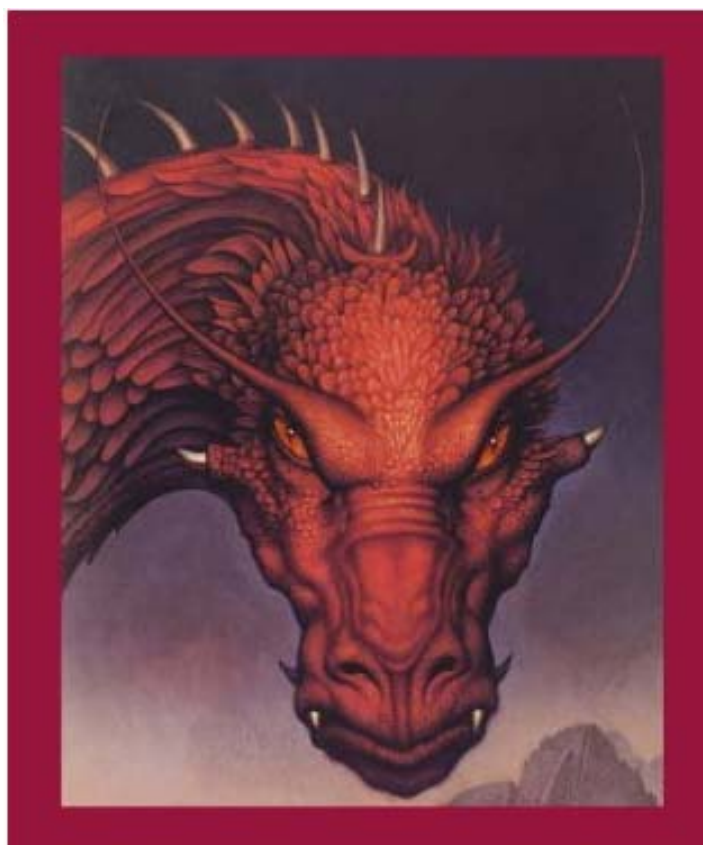


*Christopher Paolini*

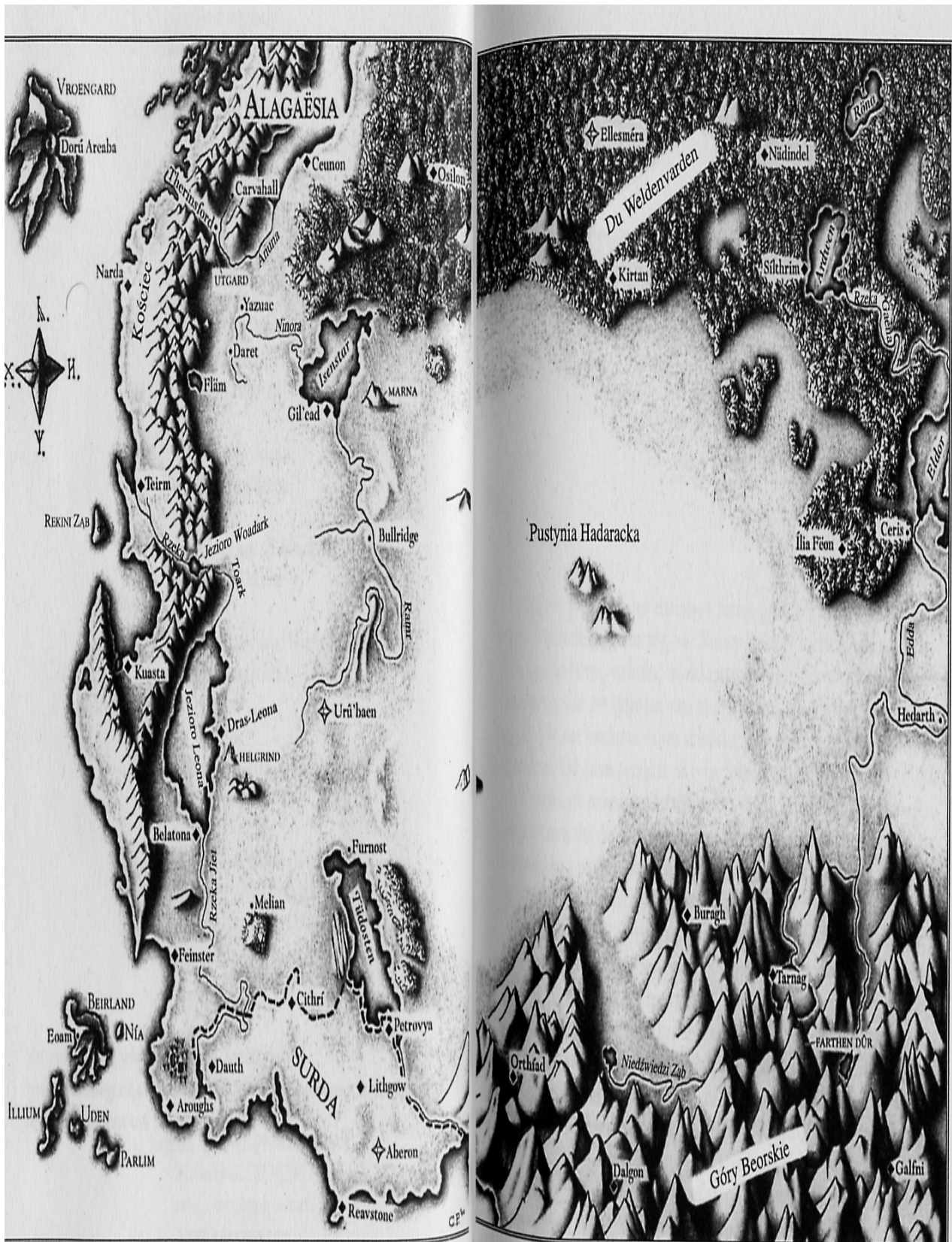
*Księga druga „Dziedzictwa”*

# *Najstarszy*

przełożyła Paulina Braiter



*Jak zawsze, książkę tę dedykuję mojej rodzinie. A także moim niesamowitym fanom.  
To dzięki wam ta przygoda trwa dalej.  
Se onr sverdar sitja hvass!*



*Alagaesia*

# *Streszczenie „Eragona”*

## *Księgi pierwszej „Dziedzictwa”*

Eragon, piętnastoletni chłopiec z farmy, przeżywa wstrząs, gdy w górach zwanych Koścem znajduje lśniący błękitny kamień. Chłopiec zabiera go na farmę, na której mieszka wraz z wujem Garrowem i kuzynem Roranem. Garrow i jego już teraz nieżyjąca żona, Marian, wychowali Eragona. Nic nie wiadomo o ojcu chłopaka; jego matka, Serena, była siostrą Garrowa. Od czasu przyścia na świat Eragona już jej nie widziano.

W pewnym momencie kamień pęka i wychodzi z niego maleńki smok. Gdy Eragon dotyka smoczycy, na jego dłoni pojawia się srebrzyste znamię i powstaje nierozzerwalna więź łącząca ich umysły i czyniąca z Eragona jednego z legendarnych Smoczyczych Jeźdźców.

Jeźdźcy Smoków pojawili się tysiące lat wcześniej, po wielkiej wojnie elfów ze smokami, chcąc dopilnować, aby nigdy już nie doszło do podobnego konfliktu pomiędzy dwiema rasami. Z czasem Jeźdźcy stali się strażnikami pokoju, nauczycielami, uzdrowicielami, filozofami naturalnymi i największymi z magów, jako że złączenie ze smokiem ujawnia talent magiczny. Pod ich przywództwem i czujnym okiem w Alagaesii nastąpiła złota era.

Gdy ludzie przybyli do tej krainy, także dołączyli do elitarnego zakonu. Po wielu latach pokoju potworne wojownicze urgale zabiły smoka młodego człowieka, Galbatorixa. Oszalały po tej stracie i odmowie starszych przyznania mu drugiego smoka Galbatorix postanowił obalić Jeźdźców.

Ukradł innego smoka - którego nazwał Shruikan i zmusił do służby za pomocą czarnej magii - i zgromadził wokół siebie grupę trzynastu zdrajców: Zaprzysiężonych. Z pomocą owych okrutnych uczniów Galbatorix wymordował Jeźdźców, zabił ich przywódcę Vraela i ogłosił się królem Alagaesii. W tym jednak tylko częściowo mu się powiodło, elfy i krasnoludy pozostały, bowiem bezpieczne w swych kryjówkach, a część ludzi założyła na południu Alagaesii niezależne królestwo Surdę. Od dwudziestu lat między frakcjami panuje równowaga poprzedzona osiemdziesięcioma latami otwartego konfliktu, jaki nastąpił po zniszczeniu Jeźdźców.

Tę właśnie kruchą polityczną równowagę zakłóca pojawienie się Eragona. Eragon lęka się, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo - powszechnie wiadomo, że Galbatorix zabił wszystkich Jeźdźców, którzy nie przysięgli mu posłuszeństwa - toteż ukrywa przed rodziną smoczycę i sam ją wychowuje. Nadaje jej imię Saphira, po smoczycy wspomnianej przez wioskowego bajora, Broma. Wkrótce Roran opuszcza farmę, przyjmując pracę, która pozwoli mu zarobić dość pieniędzy, by mógł poślubić córkę rzeźnika, Katrinę.

Gdy Saphira jest już wyższa od Eragona, w Carvahall pojawiają się dwa złowrogi, przypominające chrząszcze stwory, Ra'zacowie. Szukają kamienia, który był jej jajem. Przerazona Saphira porzywa Eragona i odlatuje z nim w głąb Kościa. Eragonowi udaje się przekonać ją, by zawróciła, do tego czasu jednak jego dom zostaje zniszczony przez Ra'zaców. W ruinach Eragon odnajduje Garrowa, torturowanego i ciężko rannego.

Wkrótce potem Garrow umiera i Eragon przysięga wyśledzić i zabić Ra'zaców. Pomaga mu Brom, który wie o istnieniu Saphiry i chce towarzyszyć Eragonowi w jego podróży. Gdy Eragon się na to zgadza, Brom daje mu miecz, Za'roca, należący kiedyś do Jeźdźcy. Odmawia jednak odpowiedzi na pytanie, jak go zdobył.

Podczas podróży Eragon uczy się wiele od Broma, między innymi walki mieczem i posługiwania magią. W końcu gubią ślad Ra'zaców i odwiedzają miasto Teirm, bo Brom uważa, że jego stary przyjaciel Jeod może pomóc im odnaleźć kryjówkę potworów.

W Teirmie ekscentryczna zielarka Angela przepowiada Eragonowi przyszłość. Uprzedza, że największe potęgi będą zmagać się, by zawładnąć jego przeznaczeniem, przewiduje epicki romans z panną szlachetnego rodu, fakt, że pewnego dnia Eragon opuści Alagaesie, by już nie powrócić, oraz zdradę kogoś z jego rodziny. Jej towarzysz, kotołak Solembum, także przekazuje mu kilka rad.

Następnie Eragon, Brom i Saphira wyruszają do Dras-Leony, gdzie mają nadzieję odszukać Ra'zaców.

Brom ujawnia w końcu, że jest agentem Vardenów - grupy buntowników dążących do obalenia Galbatorixa - i że ukrywał się w wiosce Eragona, czekając na pojawienie się nowego Smoczego Jeźdźca. Wyjaśnia też, że dwadzieścia lat wcześniej, wraz z Jeodem, wykradli jajo Saphiry Galbatorixowi. W czasie ucieczki Brom zabił Morzana, pierwszego i ostatniego z Zaprzysiężonych. Na świecie istnieją już tylko dwa smocze jaja, i oba pozostają nadal w rękach Galbatorixa.

W pobliżu Dras-Leony Ra'zacowie zastawiają pułapkę na Eragona i jego towarzysza. Chroniący Eragona Brom zostaje śmiertelnie ranny. Tajemniczy młodzieniec imieniem Murtagh przegania Ra'zaców. Twierdzi, że on sam także ich tropi. Następnej nocy Brom umiera. Tuż przed śmiercią wyznaje, że kiedyś był Jeźdźcem, a jego zabita smoczyca również nosiła imię Saphira. Eragon chowa Broma w grobowcu z piaskowca, który Saphira przemienia w czysty diament.

Już bez Broma, Eragon i Saphira postanawiają dołączyć do Vardenów. Pechowym zrządzeniem losu Eragon zostaje schwyty w mieście Gil'ead i sprowadzony przed oblicze Cienia Durzy, prawej ręki Galbatorixa. Z pomocą Murtagha udaje mu się uciec z więzienia, zabierają też ze sobą nieprzytomną elfkę Aryę, również wcześniej uwięzioną. W tym momencie Murtagh i Eragon są już wielkimi przyjaciółmi.

Arya nawiązuje w myślach kontakt z Eragonem i mówi mu, że przewoziła jajo Saphiry pomiędzy elfami i Vardenami w nadziei, że może wykluje się dla jednego z ich dzieci. Jednakże podczas ostatniej podróży wpadła w pułapkę zastawioną przez Durzę i musiała odesłać gdzieś jajo magią. W ten sposób trafiło do Eragona. Teraz została ciężko ranna, wymaga medycznej pomocy Vardenów. Dzięki myślowym obrazom pokazuje Eragonowi, jak odnaleźć buntowników. Rozpoczyna się heroiczny wyścig. Eragon i jego przyjaciele w ciągu ośmiu dni pokonują niemal czterysta mil. Ściga ich oddział urgali, który dogania uciekinierów w olbrzymich Górach Beorskich. Murtagh, odmawiający wcześniej dołączenia do Vardenów, musi wyznać Eragonowi, że jest synem Morzana. On sam jednak potępił czyny ojca i umknął opiece Galbatorixa, by samodzielnie wykuć swój los. Pokazuje Eragonowi wielką bliznę przecinającą mu plecy, ślad po tym jak Morzan cisnął w niego swym mieczem, Zar'rokiem, gdy Murtagh był jeszcze dzieckiem. W ten sposób Eragon dowiaduje się, że jego miecz należał kiedyś do ojca Murtagha, tego samego, który zdradził Jeźdźców Galbatorixowi i zabił wielu dawnych kompanów.

W ostatniej chwili Vardeni atakują urgale i ratują życie Eragona i jego towarzyszy. Okazuje się, że buntownicy mają swą bazę w Farthen Dûrze, wydrążonej górze wysokiej na dziesięć mil i szerokiej na dziesięć. Mieści się w niej także stolica krasnoludów, Tronjheim. Wewnątrz góry Eragon staje przed obliczem Ajihada, przywódcy Vardenów, a Murtagh zostaje uwięziony z powodu swojego ojca. Ajihad wyjaśnia Eragonowi wiele spraw, także to, że Vardeni, elfy i krasnoludy zgodzili się, że kiedy pojawi się nowy Jeździec, najpierw przejdzie przeszkolenie u Broma, a potem zostanie wysłany do elfów, aby zakończyć naukę. Teraz Eragon musi podjąć decyzję, co począć dalej.

Poznaje króla krasnoludów Hrothgara i córkę Ajihada, Nasuadę. Zostaje poddany próbie przez Bliźniaków, dwóch zdecydowanie niesympatycznych magów służących Ajihadowi. Walczy z Aryą, która tymczasem odzyskała siły, i ponownie spotyka Angelę i Solembuma, żyjących teraz wśród Vardenów.

Eragon i Saphira błogosławią także jedną z sierot Vardenów.

Nagle do Farthen Dûru docierają wieści, że krasnoludzkimi tunelami zbliża się do nich armia urgali. Dochodzi do bitwy. Eragon zostaje rozdzielony z Saphirą i musi sam walczyć z Durzą. Durza, przewyższający siłą każdego człowieka, z łatwością pokonuje Eragona i rozcina mu plecy od ramienia po biodro. W tym momencie Arya i Saphira rozbijają sufit komnaty, szeroki na sześćdziesiąt stóp gwiazdzisty szafir - odwracając uwagę Durzy dostatecznie długo, by Eragon mógł pchnąć go mieczem prosto w serce. Uwolnione od zaklęcia Durzy urgale zostają wyparte do tuneli.

W czasie, gdy Eragon leży nieprzytomny po bitwie, telepatycznie kontaktuje się z nim istota, która przedstawia się jako Togira Ikonoka - Kaleka Uzdrawiony. Proponuje, że udzieli odpowiedzi na wszystkie pytania Eragona i nalega, by odnalazł go w Ellesmérze, gdzie żyją elfy.

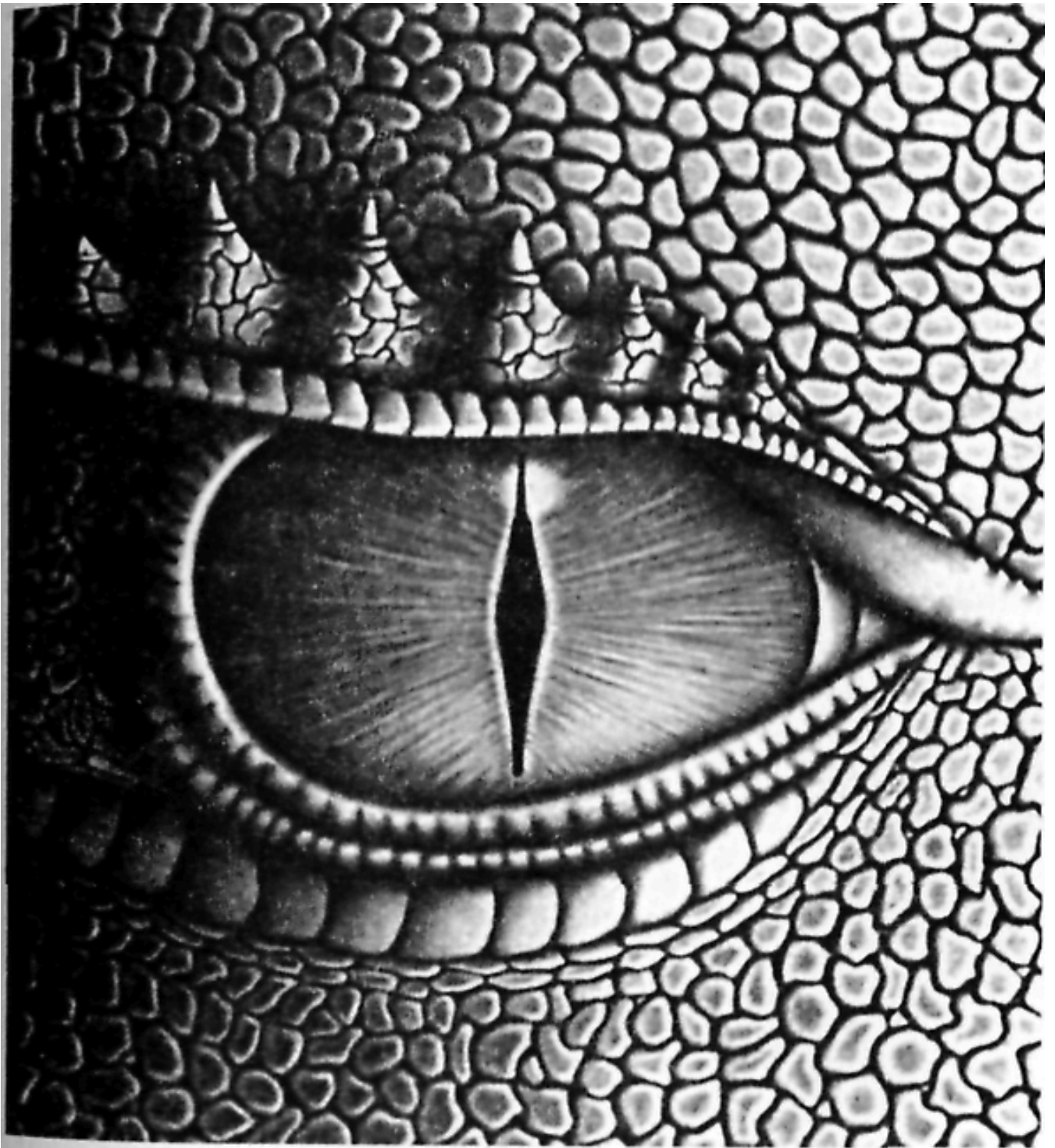
Gdy Eragon się budzi, odkrywa, że mimo wysiłków Angeli została mu po walce rozległa blizna, podobna do tej Murtagha. Zrozpaczony, pojmując także, iż zabił Durzę wyłącznie dzięki łutowi szczęścia i że rozpaczliwie potrzebuje szkolenia.

Pod koniec książki pierwszej Eragon postanawia odnaleźć Togirę Ikonokę i zostać jego uczniem. Los snuje swą nić, w Alagaesii słychać pierwsze zwiastuny wojny i zbliża się dzień, gdy Eragon będzie musiał stawić czoło swemu jednemu, prawdziwemu wrogowi: królowi Galbatorixowi.

## *Spis treści*

Bliźniacze klęski .....	9
Rada Starszych.....	14
Prawda pośród przyjaciół.....	20
Roran.....	24
Myśliwi i ofiary.....	30
Przyrzeczenie Saphiry.....	35
Requiem.....	39
Hołd.....	42
Wizyta, wąż i wiadomość.....	45
Dar Hrothgara.....	53
Szczypce i młot.....	56
Zapłata.....	61
Az Sweldn rak Alshuin.....	65
Celbedeil.....	72
Diamenty wśród ocy.....	79
Pod mrocznym niebem.....	84
Hen, w dół, dokąd wiedzie bystry nrt.....	88
Spływ.....	94
Arya Svit'kona.....	99
Ceris.....	103
Rany z przeszłości.....	108
I obecne rany.....	113
Twarz jego wroga.....	118
Strzała w serce.....	124
Inwokacja DagshelgrMiasto sosen.....	129
Miasto sosen .....	136
Królowa Islanzadi.....	140
Z przeszłości.....	148
Przemowa.....	150
Reperkusje.....	155
Exodus.....	159
Na skałach Tel'naeir.....	163
Sekretne życie mrówek.....	173
Pod drzewem Menoa.....	180
W labiryncie przeciwności.....	187
Po nitce do kłębka.....	193
Elva.....	197
Powrót bólu.....	201
Dlaczego walczysz? .....	203
Czarny wilec.....	210
Natura zła.....	219
Obraz doskonałości.....	225
Unicestwiacz.....	229
Narda.....	236
Młot opada.....	243
Początki mądrości.....	252
Strzaskane jaja, zniszczone gniazda.....	260
Dar smoków.....	265
Na rozgwieżdżonej polanie.....	274

Lądowanie.....	277
Teirm.....	280
Jeod Laskonogi.....	284
Nieoczekiwany sojusznik.....	286
Ucieczka.....	292
Dziecięca igraszka.....	300
Zwiastuny wojny.....	302
Czerwona klinga, biała klinga.....	307
Wizje dalekie i bliskie.....	311
Dary.....	318
Paszczka ceanu.....	323
Preprawa przez Oko Dzika.....	326
Do Aberonu.....	330
Płnące Równiny.....	335
Chmury wojny.....	345
Nar Garzhvog.....	347
Mikstura wiedzy.....	351
Nadejście burzy.....	357
Spotkanie.....	362
Najstarszy.....	365
Dziedzictwo.....	370
Znów razem.....	375





## *Bliźniacze kłęski*

*Pieśni umarłych to lamenty żywych.*

Tak właśnie pomyślał Eragon, przekraczając rozrąbane truchło urgala i słuchając zawodzenia kobiet, zbierających szczątki ukochanych z mokrej od krwi ziemi Farthen Duru. Za jego plecami Saphira delikatnie okrążyła zwłoki. Jej lśniące błękitne łuski stanowiły jedyną barwną plamę pośród mroku wypełniającego wydrążoną górę.

Minęły trzy dni od czasu, gdy Vardeni i krasnoludy stanęli do walki z urgalami o Tronjheim, wysokie na milę stożkowe miasto przycupnięte pośrodku Farthen Duru, lecz na polu bitwy wciąż pozostało mnóstwo trupów. Było ich po prostu za dużo, by pogrzebać wszystkie od razu. W oddali, pod murem Farthen Dûru, płonął wielki ogień, do którego wrzucano martwe urgale. Nie dla nich pogrzeby i zaszczytne miejsca spoczynku.

Od chwili, gdy ocknął się, odkrył, że Angela uleczyła mu ranę, Eragon trzykrotnie próbował pomagać w zbieraniu zwłok. Za każdym razem atakował go straszliwy ból, eksplodujący gdzieś w kręgosłupie. Uzdrowiciele podawali mu najróżniejsze mikstury, Arya i Angela twierdziły, że całkiem wrócił do zdrowia, Eragon jednak wciąż cierpiał. Nawet Saphira nie potrafiła mu pomóc i tylko dzieliła z nim ból, który odczuwała poprzez łączącą ich umysłową więź.

Eragon przesunął dłonią po twarzy i uniósł wzrok ku gwiazdom widocznym w odległym otworze krateru Farthen Dûru. Po niebie snuły się pasma tłustego dymu. Trzy dni. Trzy dni minęły od zabicia przezeń Durzy; trzy dni, odkąd ludzie zaczęli nazywać go Cieniobójcą; trzy dni, odkąd resztki świadomości czarownika opanowały mu umysł. Wówczas ocalał go tajemniczy Togira Ikonoka, Kaleka Uzdrawiony. Eragon nie opowiedział o tej wizji nikomu prócz Saphiry. Walka z Durzą i mrocznymi duchami, które nim zawładnęły, odmieniła go, choć sam nie wiedział jeszcze, czy na lepsze, czy też na gorsze. Czuł się dziwnie kruchy, jak gdyby nagły wstrząs mógł strzaskać jego ciało i umysł.

Teraz zaś, wiedziony niezdrową ciekawością, przybył na miejsce walki. Niestety, nie ujrzał tam chwały, którą zapowiadały pieśni o bohaterach, lecz jedynie aurę śmierci i rozkładu.

Dawniej, jeszcze wiele miesięcy wcześniej, nim Ra'zacowie zabili jego wuja Garrowa, widok podobnie brutalnego starcia ludzi, krasnoludów i urgali zniszczyłby Eragona. Teraz czuł jedynie odrętwienie. Z pomocą Saphiry zrozumiał, że jedyną metodą zachowania rozumu pośród morza bólu jest działanie. Poza tym nie wierzył już, by życie miało jakikolwiek głębszy sens. Nie po tym, jak widział ludzi rozszarpywanych na strzępy przez Kullów, rasę gigantycznych urgali; ziemię zasłaną wciąż drgającymi członkami, piasek tak mokry od krwi, że nasiąkały nią podeszwy butów. Jeśli na wojnie istniał jakikolwiek honor, to krył się wyłącznie w walce w obronie innych.

Eragon schylił się i podniósł z ziemi ząb trzonowy. Ruszył dalej, podrzucając go na dłoni. Wraz z Saphirą powoli okrążyli zdeptaną równinę. Zatrzymali się na jej skraju, bo dostrzegli Jörmundura - pierwszego zastępcę dowódcy Vardenów, Ajihada - śpieszącego ku nim od strony Tronjheimu. Gdy się zbliżył, mężczyzna uklonił się nisko. Eragon wiedział, że jeszcze parę dni temu nie okazałby mu podobnego szacunku.

- Cieszę się, że zdążyłem cię odnaleźć, Eragonie. - Jörmundur ścisnął w dłoni zwinięty pergamin. - Ajihad wraca i chce, byś go powitał. Pozostali czekają już przy zachodniej bramie Tronjheimu. Musimy się pośpieszyć, żeby zdążyć na czas.

Eragon skinął głową i skierował się ku bramie, lekko wsparty o bok Saphiry. Ajihad spędził ostatnie trzy dni, polując na urgale, które zdołały umknąć w głąb krasnoludzkich tuneli, rozciągających się gęstą siecią w skałach pod Górą Beorskimi. W tym czasie Eragon widział go tylko raz. Ajihad wpadł wówczas we wściekłość, odkrywwszy, że jego córka Nasuada wbrew rozkazom nie odeszła przed bitwą z resztą kobiet i dzieci. Zamiast tego dołączyła do łuczników Vardenów i wraz z nimi stanęła do walki.

Ajihadowi towarzyszyli Murtagh i Bliźniacy: Bliźniacy, ponieważ łowy były niebezpieczne i przywódca Vardenów potrzebował magicznej ochrony, a Murtagh, bo pragnął z całych sił dowieść, że nie życzy Vardenom źle. Odkrycie, jak bardzo zmienił się stosunek ludzi do Murtagha, zdumiało Eragona, zważywszy na fakt, że ojcem Murtagha był Smoczy Jeździec Morzan, który zdradził Jeźdźców i przeszedł na stronę Galbatorixa. Choć Murtagh nienawidził ojca i był wiernym towarzyszem Eragona, Vardeni mu nie ufali. Teraz jednak najwyraźniej nikt nie zamierzał tracić energii na urazy i zaszłości; pozostało przecież tyle pracy. Eragonowi brakowało rozmów z Murtaghem. Nie mógł się już doczekać chwili, gdy po powrocie towarzysza usiądą razem i pomówią o wszystkim, co się zdarzyło.

Gdy Eragon i Saphira okrążyli Tronjheim, ich oczom ukazała się niewielka grupka czekająca w rzucanej przez latarnię plamie światła obok drewnianych wrót. Wśród zebranych byli Orik — krasnolud przestępujący niecierpliwie z nogi na nogę - i Arya. Biały bandaż wokół jej ramienia połyskiwał w ciemności, rzucając jasne plamy na koniuszki długich włosów. Jak zawsze, widok elfki wzbudził ogromny zachwyt u Eragona. Spojrzała na niego i Saphirę, jej zielone oczy błysnęły, a potem odwróciła się, wypatrując Ajihada.

Rozbijając Isidar Mithrim - wielki gwiazdzisty szafir, liczący sześćdziesiąt stóp średnicy i wyrzeźbiony na kształt róży - Arya pomogła Eragonowi zabić Durzę i tym samym rozstrzygnąć bitwę. Mimo to krasnoludy były na nią wściekłe za zniszczenie ich najcenniejszego skarbu. Odmówiły uprzątnięcia szczątków szafiru, które wciąż zaścielały posadzkę centralnej komnaty Tronjheimu, tworząc na niej olbrzymi krąg. Eragon, stąpając pośród kryształowych drzazg, wraz z krasnoludami oplakiwał utracone piękno.

Przystanęli z Saphirą obok Oriki i powiedli wzrokiem po otaczających Tronjheim pustkowiach, sięgających do podstawy Farthen Duru, pięć mil w każdą stronę.

- Skąd przybędzie Ajihad? - spytał Eragon.

Orik wskazał ręką grono latarni wiszących na palach wokół wylotu sporego tunelu parę mil dalej.

- Wkrótce powinien tu być.

Eragon czekał cierpliwie z pozostałymi. Udzielał zwięzłych odpowiedzi na kierowane do niego uwagi, wołał jednak rozmawiać z Saphirą w głębi umysłu. Odpowiadał mu spokój panujący w Farthen Dûrze.

Minęło pół godziny, nim dostrzegli poruszenie w odległym tunelu. Grupa dziesięciu ludzi wyłoniła się z niego, po czym odwróciła, pomagając wyjść tyluż krasnoludom. Jeden z ludzi - Eragon założył, że to Ajihad — uniósł dłoń i wojownicy ustawili się za nim w dwóch prostych szeregach. Na sygnał dowódcy oddziałek ruszył dumnie w stronę Tronjheimu.

Nim jednak żołnierze pokonali choćby pięć jardów, w tunelu za plecami wybuchło gwałtowne zamieszanie. Wskoczyły z niego kolejne postacie. Eragon zmrużył oczy; nie widział dokładnie z tak daleka.

*To urgale!* - wykrzyknęła Saphira.

Jej mięśnie napięły się niczym naciągnięta cięciwa.

Eragon wiedział, że smoczyca się nie myli.

- Urgale! - krzyknął i wskoczył na grzbiet Saphiry, czyniąc sobie wyrzuty, że zostawił w komnacie swój miecz Zar'roc. Nikt jednak nie spodziewał się ataku teraz, kiedy przegnali armię urgali.

Zabolała go rana. Saphira tymczasem rozłożyła lazurowe skrzydła, uderzyła nimi gwałtownie i skoczyła naprzód, z każdą sekundą nabierając szybkości i wysokości. W dole Arya puściła się biegiem w stronę tunelu, niemal dotrzymując kroku Saphirze. Orik biegł za nią wraz z kilkoma mężczyznami. Tymczasem Jörmundur popędził z powrotem do koszar.

Eragon musiał patrzeć bezsilnie, jak urgale atakują od tyłu żołnierzy Ajihada. Z takiej odległości nie mógł posłużyć się magią. Potwory miały po swojej stronie przewagę zaskoczenia. Szybko powaliły czterech mężczyzn, zmuszając resztę ludzi i krasnoludów, by zbili się w ciasną grupkę wokół Ajihada, próbując go chronić. Miecze i topory szczękały donośnie. Z dłoni jednego z Bliźniaków wystrzeliło światło i urgali runął na ziemię, ściskając kikut pozostały po oderwanej ręce.

Przez minutę wydawało się, że obrońcy zdołają dać odpór urgalom, potem jednak w powietrzu pojawiło się coś dziwnego, jakby wąskie pasmo mgły, które na moment spowiło walczących. Gdy zniknęło, na nogach pozostało zaledwie czterech: Ajihad, Bliźniacy i Murtagh. Urgale rzuciły się na nich, przesłaniając Eragonowi widok. On jednak patrzył dalej z narastającą grozą.

*Nie! Nie! Nie!*

Nim Saphira dotarła na miejsce walki, grupa urgali wycofała się z powrotem w głąb tuneli i zniknęła pod ziemią, pozostawiając po sobie tylko nieruchome ciała. W chwili, gdy Saphira dotknęła ziemi, Eragon zeskoczył z jej grzbietu. Przez sekundę zawahał się, ogarnięty falą wściekłości i smutku.

*Nie mogę tego zrobić.*

Przypomniawszy sobie dzień, gdy powrócił na farmę i znalazł umierającego wuja, Garrowa. Z każdym krokiem walcząc z rosnącą paniką, zaczął szukać niedobitków.

Miejsce to w osobliwy sposób przypominało pole walki, które zwiedzał nieco wcześniej, tyle, że tutaj krew była świeża.

Pośrodku zwału trupów spoczywał Ajihad, jego napierśnik nosił ślady potężnych ciosów. Wokół leżało pięć urgali, które padły z jego ręki. Oddychał głośno, z trudem. Eragon ukląkł przy nim i opuścił głowę, by łzy nie kapały na zmiażdżoną pierś wodza. Nikt nie zdołałby uleczyć podobnych ran. Arya, która do nich biegła, zatrzymała się gwałtownie. Jej twarz posmutniała, Arya, bowiem pojęła, że Ajihada nie da się ocalić.

- Eragon. - Imię to uleciało pomiędzy warg Ajihada, niewiele głośniejsze od szeptu.

- Tak, jestem tu.

- Posłuchaj mnie, Eragonie... Mam dla ciebie ostatni rozkaz. - Eragon pochylił się bardziej, by uchwycić słowa umierającego. - Musisz mi coś obiecać. Przysięgnij, że... że nie pozwolisz, by wśród Vardenów zapanował chaos. Tylko oni mogą stawić opór imperium. Muszą zachować swą siłę. Przysięgnij mi...

- Przysięgam.

- Zatem pokój z tobą, Eragonie Cieniobójco.

Ajihad odetchnął po raz ostatni, zamknął oczy i jego szlachetna twarz stężała. Umarł. Eragon pochylił głowę. Gardło ścisnęło mu się tak mocno, że każdy oddech sprawiał nieznośny ból. Arya pobłogosławiła Ajihada w pradawnej mowie, po czym zwróciła się do Eragona:

- Niestety, jego śmierć wywoła wielki zamęt. Miał rację. Musisz zrobić wszystko, co zdołasz, by zapobiec walce o władzę. Pomogę ci, jak tylko będę mogła.

Niezdolny wymówić, choć słowa, Eragon powiódł wzrokiem po reszcie trupów. Oddałby wszystko, byle tylko móc znaleźć się gdzie indziej, Saphira trąciła nosem jednego z urgali i rzekła:

*To nie powinno się było wydarzyć. To sprawa złych sił, tym gorsza, że nadeszła, gdy winniśmy czuć się bezpieczni i radować ze zwycięstwa. Obejrzała kolejne zwłoki i obróciła głowę. Gdzie są Bliźniacy i Murtagh? Nie ma ich wśród poległych.*

Eragon rozejrzał się szybko.

*Rzeczywiście. Masz rację!*

Podbiegł do wylotu tunelu, czując falę ogarniającego go podniecenia. Kałuże gęstniejącej krwi wypełniały zagłębienia w starych marmurowych stopniach niczym seria czarnych zwierciadeł, szklanych i owalnych; wyglądało to, jakby ktoś włócił po nich kilka rozszarpanych trupów.

*Urgale musiały ich zabrać! Ale czemu? Nie biorą przecież jeńców ani zakładników.* Rozpacz powróciła błyskawicznie. *Trudno. Nie możemy ich ściagać bez posiłków, a ty nie zmieścisz się w tunelu.*

*Może wciąż żyją? Zostawisz ich?*

*Co niby mam zrobić? Krasnoludzkie tunele tworzą nieskończony labirynt. Tylko bym się w nich zgubił. I nie zdołam doścignąć urgali pieszo, choć Aryi mogłoby się to udać.*

*To ją poproś.*

*Aryę?*

Eragon zawahał się, rozdarty między pragnieniem działania i niechęcią do narażania elfki. Mimo wszystko jednak, jeśli ktokolwiek z Vardenów mógł poradzić sobie z urgalami, to właśnie ona. Wyjaśnił jej, co odkryli.

Arya zmarszczyła swe ukośne brwi.

- To nie ma sensu.

- Wyruszysz w pościg?

Długą chwilę przyglądała mu się bez słowa.

- Wiol ono. - „Dla ciebie”.

Gdy skoczyła naprzód, w jej dłoni błysnął miecz. Zanurkowała we wnętrzości ziemi.

Walcząc z ogarniającą go frustracją, Eragon usiadł obok Ajihada, krzyżując nogi. Czuwał przy zwłokach, starając się oswoić z myślą, że Ajihad nie żyje, a Murtagh zaginął. Murtagh. Syn jednego z Zaprzysiężonych — trzynastu Jeźdźców, którzy pomogli Galbatorixowi zniszczyć swój zakon i przywdziać koronę króla Alagaesii — i przyjaciel Eragona. Czasami Eragon marzył o tym, by Murtagh odszedł. Teraz jednak, gdy rozłączono ich siłą, poczucie straty pozostawiło w nim niespodziewaną pustkę. Siedział bez ruchu, patrząc, jak zbliża się Orik wraz z ludźmi.

Gdy krasnolud ujrział Ajihada, tupnął głośno i zaklął w swym języku, po czym z rozmachem wbił topór w truchło urgala. Mężczyźni stali oszołomieni. Orik roztarł między dłońmi szczyptę ziemi.

- Do licha, poruszyli gniazdo szerszeni. Po tym, co tu nastąpiło, możemy się pożegnać ze spokojem wśród Vardenów. Barzulun, to wszystko komplikuje. Czy przybyłeś na czas, by usłyszeć jego ostatnie słowa?

Eragon zerknął na Saphirę.

- Mogę je powtórzyć tylko właściwej osobie.

- Rozumiem. A gdzie jest Arya?

Eragon wskazał ręką.

Krasnolud zaklął ponownie, po czym pokręcił głową i przysiadł na piętach.

Wkrótce potem zjawił się Jörmundur prowadzący dwanaście szeregow po sześciu żołnierzy. Gestem nakazał im czekać poza pierścieniem trupów. Sam ruszył naprzód, pochylił się i dotknął ramienia Ajihada.

- Jak los może być tak okrutny, stary druhu? Przybyłbym wcześniej, gdyby nie ogrom tej przeklętej góry. Wówczas może zdołałbym cię ocalić. Zamiast tego w godzinie naszego triumfu odnieśliśmy ciężką ranę.

Eragon cicho powiedział mu o Aryi i zniknięciu Bliźniaków i Murtagha.

- Nie powinna była tam iść. - Jörmundur wyprostował się szybko. - Ale teraz nic na to nie poradzimy. Ustawimy tu strażę, lecz minie, co najmniej godzina, nim zdołamy znaleźć krasnoludzkich przewodników mogących poprowadzić wycieczkę w głąb tuneli.

- Chętnie nią pokieruję - zaproponował Orik.

Jörmundur obejrzał się z namysłem na Tronjheim.

- Nie, Hrothgar będzie cię teraz potrzebował. To musi być ktoś inny. Przykro mi, Eragonie, ale każdy, kto się liczy musi tu zostać aż do wyboru następcy Ajihada. Arya będzie musiała radzić sobie sama... Zresztą i tak nie zdołamy jej doścignąć.

Eragon przytaknął, godząc się z tym.

Jörmundur raz jeszcze rozejrzał się wokół, po czym podniósł głos tak, żeby wszyscy go słyszeli.

- Ajihad zginął śmiercią wojownika. Spójrzcie, zabił pięć urgali, choć ktoś o mniejszym duchu mógł paść z ręki jednego. Oddamy mu wszelkie honory i miejmy nadzieję, że bogowie z radością przyjmą jego duszę. Ponieście go na tarczach wraz z towarzyszami... I nie wstyďte się pokazywać łez, bo nastał dzień smutku, który zapamiętamy wszyscy. Obyśmy wkrótce mogli zatopić ostrza mieczy w ciałach potworów, które zabiły naszego wodza!

Wojownicy jak jeden mąż uklękli, odsłaniając głowy w hołdzie dla Ajihada. Potem wstali i z głęboką czcią unieśli go na tarczach, tak, że legł między ich ramionami. Wielu Vardenów płakało otwarcie i łzy wsiąkały im w brody. Nie przynieśli jednak hańby swojej służbie, nie pozwolili

Ajihadowi upaść. Stąpając z powagą, ruszyli do Tronjheimu. Saphira i Eragon wędrowali pośrodku procesji.

## Rada Starszych

Eragon ocknął się i przekręcił na skraj łożka, wodząc wzrokiem po pokoju oświetlonym słabym blaskiem zasłoniętej lampy. Usiadł, patrząc na śpiącą Saphirę. Jej umięśnione boki unosiły się i opadały, gdy wielkie miechy płuc wciągały powietrze przez łuskowate nozdrza. Pomyślał o szalejącym ognistym piekle, jakie umiała teraz przywoływać i wyrzucać z paszczy. Był to doprawdy niesamowity widok: płomień dość gorące, by stopić metal, spływające bez szkody po języku i między potężnymi zębami. Odkąd pierwszy raz zionęła ogniem - podczas walki z Durzą, gdy opadała ku niemu ze szczytu Tronjheimu - Saphira wciąż przechwalała się swym nowym talentem. Często wypuszczała z paszczy niewielkie strużki ognia i korzystała z każdej sposobności, by coś podpalić.

Po strzaskaniu Isidar Mithrimu, Eragon i Saphira nie mogli już pozostać dłużej w smoczej twierdzy. Krasnoludy znalazły im kwaterę w starej strażnicy na najniższym poziomie Tronjheimu. Było to duże pomieszczenie, miało jednak niski sufit i ciemne ściany.

Eragon przypomniał sobie z bólem serca wydarzenia poprzedniego dnia. Do oczu napłynęły mu łzy i ściekły po policzkach. Chwytał jedną w dłoń. Arya dopiero późnym wieczorem dała znak życia. Wynurzyła się wtedy z tunelu zmęczona, stąpając ciężko na obolałych stopach. Mimo wszelkich wysiłków - wspartych dodatkowo magią - urgale zdołały jej uciec.

- Znalazłam to - oznajmiła i pokazała im jedną z fioletowych szat Bliźniaków, podartą i zakrwawioną, oraz tunikę Murtagha i jego skórzane rękawice. — Leżały rozrzucone na skraju czarnej otchłani, której dna nie sięga żaden tunel. Urgale musiały ukraść ich zbroje i broń, a potem cisnąć ciała w przepaść. Próbowałam postrzegać Murtagha i Bliźniaków, ujrzałam jednak tylko cienie w głębi ziemi. — Spojrzała na Eragona. - Przykro mi, ale oni nie żyją.

Teraz, w bezpiecznym schronieniu umysłu, Eragon opłakiwał Murtagha. Straszliwe, przejmujące poczucie straty i zgrozy pogarszał jeszcze fakt, że przez ostatnie miesiące poznał je aż za dobrze.

Gdy tak wpatrywał się w maleńką lśniącą kopułkę łzy na swej dłoni, postanowił, że sam spróbuje postrzec trzech mężczyzn. Wiedział, że to rozpaczliwa, bezsensowna próba, ale musiał to zrobić, by przekonać samego siebie, że Murtagh naprawdę odszedł. Z drugiej strony nie był pewien, czy chce, by powiodło mu się tam, gdzie Arya poniosła klęskę. Czy poczuje się lepiej, widząc strzaskane ciało Murtagha leżące u podstawy urwiska głęboko pod Farthen Durem?

- Draumr kopa - wyszeptał.

Przejrzysty płyn pociemniał gwałtownie; przypominał teraz kroplę nocy leżącą na srebrzystej dłoni. Coś się w niej poruszyło, niczym ptak przelatujący na tle zasnutej chmurami tarczy księżyca... ale po chwili ów ruch zamarł.

Kolejna łza dołączyła do pierwszej.

Eragon odetchnął głęboko, odchylił się i pozwolił, by ogarnął go spokój. Odkąd ocknął się uleczony z zadanej przez Durzę rany, pojął upokarzającą prawdę, że do tej pory zwyciężał dzięki czystemu szczęściu.

*Jeśli jeszcze kiedyś stawię czoło innemu Cieniowi, Ra'zacom lub Galbatorixowi, muszę być silniejszy, o ile chcę wygrać. Brom mógł nauczyć mnie więcej, wiem, że mógł. Ale bez niego pozostaje mi tylko jedno wyjście: elfy.*

Oddech Saphiry przyśpieszył, a potem otworzyła oczy i ziewnęła szeroko.

*Dzień dobry mój mały.*

*Naprawdę dobry?*

Spuścił wzrok i oparł się na rękach, przygniatając siennik.

*Raczej straszny... Murtagh i Ajihad... Czemu wartownicy w tunelach nie ostrzegli nas przed urgalami? Nie powinny móc niepostrzeżenie podążyć tropem oddziału Ajihada. Arya miała rację, to nie ma sensu.*

*Być może nigdy nie poznamy prawdy - odparła łagodnie Saphira.*

Wstała, muskając skrzydłami sufit.

*Musisz coś zjeść, a potem dowiemy się, co planują Vardeni. Nie powinniśmy tracić czasu. Za kilka godzin mogą już wybrać nowego przywódcę.*

Eragon zgodził się z nią. Przypomniawszy sobie, jak wczoraj rozstali się ze wszystkimi: Orik odbiegł, by przekazać wieści królowi Hrothgarowi, Jörmundur zabrał ciało Ajihada w miejsce, gdzie miało spocząć do czasu pogrzebu, a Arya stała samotnie, odprowadzając wzrokiem ich wszystkich. Wstał, przypiął do pasa Zar'roca, na plecy zarzucił łuk, potem pochylił się i podniósł siodło Śnieżnego Płomienia. Nagle jego tułów przeszły szpila palącego bólu, który powalił go na posadzkę, gdzie Eragon związał się, sięgając niezgrabnie do tyłu. Miał wrażenie, jakby ktoś próbował rozpiłować go na pół. Saphira warknęła, gdy dotarło do niej echo bólu. Próbowwała ukoić go własnym umysłem, nie zdołała jednak zmniejszyć cierpienia swego Jeźdźca. Jej ogon uniosł się instynktownie, jak do walki.

Atak skończył się po kilku minutach. Ostatnia fala bólu zniknęła. Eragon leżał na ziemi zdyszany, z twarzą mokrą od potu. Włosy lepiły mu się do czaszki, w uszach dzwoniło. Sięgnął do tyłu i ostrożnie przesunął palcami po szczycie blizny. Była gorąca, opuchnięta i wrażliwa. Saphira opuściła pysk i dotknęła jego ramienia.

*Och, mój mały...*

*Tym razem było gorzej* - odparł, dźwigając się chwiejnie na nogi.

Pozwoliła mu oprzeć się o siebie, gdy wycierał pot kawałkiem czystego materiału. Potem ostrożnie ruszył do drzwi.

*Jesteś dość silny, by iść?*

*Musimy. Jako smok i Jeździec mamy obowiązek udzielić publicznego wsparcia nowo wybranemu przywódcy Vardenów, a może nawet wpłynąć na ów wybór. Nie zamierzam lekceważyć znaczenia naszej pozycji. Cieszymy się teraz wśród Vardenów wielkim autorytetem. Przynajmniej nie ma tu Bliźniaków, którzy sami próbowaliby przechwycić przywództwo. To jedyna dobra strona obecnej sytuacji.*

*No dobrze, ale Durzą powinien cierpieć tysiąc lat tortur za to, co ci zrobił*

Eragon odchrząknął.

*Trzymaj się blisko mnie.*

Ruszyli przez Tronjheim w stronę najbliższej kuchni. Napotykanymi w korytarzach i przejściach ludzie zatrzymywali się i skłaniali głowy, mamrocząc „Argetlam” bądź „Cieniobójca”. Pozdrawiali ich nawet krasnoludy, choć nie tak często. Eragona uderzyły poważne udęczone miny ludzi i ciemne stroje, które przywdziali, by okazać smutek. Wiele kobiet ubrało się w czerń, ich twarze przesłaniały koronkowe welony.

W kuchni Eragon zaniósł kamienny talerz z jedzeniem na jeden z niskich stołów. Saphira obserwowała go uważnie, na wypadek gdyby atak się powtórzył. Kilka osób próbowało podejść, ona jednak uniosła górną wargę i warknęła, tak że rozpierzchli się w popłochu. Eragon skubał jedzenie, udając, że niczego nie dostrzega. W końcu, próbując odwrócić myśli od Murtagha spytał:

*Jak myślisz, kto może teraz kontrolować Vardenów, skoro nie ma już Ajihada i Bliźniaków?*

Smoczyca zawahała się.

*Może ty, jeśli ostatnie słowa Ajihada zinterpretujemy jako błogosławieństwo dla nowego wodza. Prawie nikt by się nie sprzeciwił. Nie uważam jednak żeby to było najsmądrejsze wyjście. Wiedzie wyłącznie ku kłopotom* - odpowiedziała.

*Zgadzam się. Poza tym Arya by tego nie zaakceptowała, a nie chciałbym sobie robić z niej wroga. Elfy nie mogą kłamać w pradownej mowie, w naszej jednak nie znają podobnych ograniczeń. Gdyby służyło to jej celom, mogłaby zaprzeczyć, że Ajihad powiedział cokolwiek. Nie, nie chcę tego stanowiska... Co powiesz na Jörmundura?*

*Ajihad nazywał go swoją prawą ręką. Niestety, niewiele o nim wiemy podobnie jak o innych wodzach Vardenów. Tak niewiele czasu minęło od dnia, gdy tu przybyliśmy. Będziemy musieli ocenić ich sami, ufając naszemu osądowi, przeczuciom i wrażeniom. Nie znając przeszłości.*

Eragon przesunął po talerzu kawałek ryby wokół stosu gniecionych bulw.

*Nie zapominaj o Hrothgarze i klanach krasnoludzkich. Nie będą przecież milczeć. Poza Aryą elfy nie będą miały nic do powiedzenia o sukcesji — nim dotrą do nich wieści, decyzja dawno*

zdąży zapasć. Ale krasnoludów nie można i nie należy lekceważyć. Hrothgar łaskawie patrzy na Vardenów, jeśli jednak zbyt wiele klanów mu się sprzeciwi, mogą go wymanewrować i zmusić do poparcia kogoś nienadającego się na dowódcę.

Kogóż takiego?

Osoby, którą łatwo manipulować.

Zamknął oczy i wyprostował się.

To może być każdy, w Farthen Durze. Ktokolwiek.

Długą chwilę oboje rozmyślali nad najnowszymi problemami. Saphira odezwała się pierwsza: *Eragonie, ktoś chce się z tobą widzieć. Nie mogę go przepłoszyć.*

He?

Szybko uniósł powieki i zmrużył oczy, czekając, by przywykły do światła. Przy stole stał bardzo blady młodzik. Czujnie obserwował Saphirę, jakby się bał, że smoczyca zechce go pożreć.

- O co chodzi? - spytał uprzejmie Eragon.

Chłopak wzdrygnął się, zarumienił i skłonił głowę.

- Argetlamie, zostałeś wezwany przed oblicze Rady Starszych.

- Co takiego?

Pytanie jeszcze bardziej zamaściło chłopcu w głowie.

- Ra-rada to... to... ludzie, których my, to znaczy Vardeni, wybraliśmy, by w naszym imieniu przemawiali do Ajihada. Byli jego zaufanymi doradcami. Teraz chcą cię widzieć. To wielki zaszczyt - zakończył z szerokim uśmiechem.

- A ty mnie do nich zaprowadzisz?

- Tak.

Saphira spojrzała pytająco na Eragona, który wzruszył ramionami i wstał, pozostawiając niedojedzony posiłek. Gestem polecił chłopcu, by pokazał im drogę. Podczas marszu chłopak podziwiał ze lśniącościami oczami Zar'roca, potem nieśmiało spuścił wzrok.

- Jak masz na imię? — spytał Eragon.

- Jarsha, panie.

- To dobre imię. Doskonale przekazałeś wiadomość. Powinieneś być dumny.

Jarsha rozpromienił się i lekkim krokiem ruszył naprzód.

Szybko dotarli do pokrytych wypukłymi rzeźbami kamiennych drzwi. Jarsha pchnął je i ich oczom ukazała się okrągła komnata zwieńczona błękitną jak niebo kopułą, ozdobioną malunkami konstelacji. Okrągły marmurowy stół oznaczony godłem Durgrimst Ingeitum - pionowo ustawionym młotem w otoczeniu dwunastu gwiazd - stał pośrodku komnaty. Przy stole siedział Jörmundur i dwaj inni mężczyźni, jeden wysoki i jeden gruby, kobieta o zaciśniętych wargach, wąsko osadzonych oczach i starannie wymalowanych policzkach, i druga, nad której dobroduszną twarzą piętrzyła się kępa siwych włosów; wrażeńi łagodności zaprzeczała jednak rękojeść sztyletu wystająca spomiędzy jej szat.

- Możesz odejść - rzekł do Jarshy Jörmundur.

Chłopak uklonił się i szybko odszedł.

Świadom tego, że obserwują go wszystkie oczy w komnacie, Eragon rozejrzał się i usiadł na krześle stojącym w takim miejscu, by członkowie rady musieli odwrócić głowy, jeśli chcieli wciąż na niego patrzeć. Saphira przycupnęła tuż za nim; we włosach czuł gorący oddech smoczyca.

Jörmundur uniósł się z miejsca, skłonił lekko i znów usiadł.

- Dziękuję, że przybyłeś, Eragonie, choć także poniosłeś bolesną stratę - To jest Umérth - wysoki mężczyzna - Falberd - tęgi - oraz Sabrae i Elessari - kobiety.

Eragorn skłonił głowę. A Bliźniacy? Czy także byli częścią tej rady? - zapytał, a Sabrae gwałtownie zaprzeczyła, postukując w stół długim paznokciem.

- Nie mieli z nami nic wspólnego. Byli jak mierzwa, nie, jeszcze gorzej: niczym pijawki działające zawsze wyłącznie dla własnej korzyści. Nie pragnęli służyć Vardenom, nie mieli, zatem miejsca w tej radzie.

Eragon nawet z drugiej strony stołu czuł zapach jej perfum, ciężki i oleisty niczym woń gnijącego kwiatu. Z trudem powstrzymał się od uśmiechu na to skojarzenie.



- Wystarczy. Nie przyszliśmy tu po to, by rozmawiać o Bliźniakach - uciał Jörmundur. - Stoimy w obliczu kryzysu, który należy rozwiązać szybko i sprawnie. Jeśli my nie wybierzemy następcy Ajihada, zrobi to ktoś inny. Hrothgar przysłał nam już kondolencje. A choć zachował się niezwykle uprzejmie, to z pewnością, podczas gdy my tu rozmawiamy, on snuje własne plany. Musimy też mieć na względzie Du Vrangr Gata, znających magię. Większość z nich jest oddana Vardenom, lecz nawet w najlepszych okolicznościach trudno przewidzieć jak postąpią. Mogą zechcieć sprzeciwić się naszemu wyborowi, by poprawić własną pozycję. Dlatego właśnie potrzeba nam twego wsparcia i pomocy, Eragonie. Chcemy, żebyś swym autorytetem wsparł tego, kto zajmie miejsce Ajihada.

Falberd oparł na stole mięsiste dłonie i dźwignął się z krzesła.

- Cała nasza piątka podjęła już decyzję, kogo poprze. Nie mamy wątpliwości, że to właściwa osoba. Ale - uniósł gruby palec - nim ujawnimy ci kto to, musisz nam dać słowo honoru, że niezależnie, czy się z nami zgodzisz, czy nie, nic z tego, co usłyszysz, nie opuści tej komnaty.

*Dlaczego tego żądasz?* - spytał Saphirę Eragon.

*Nie wiem. Smoczyca prychnęła. To może być pułapka. Ale musisz zaryzykować. Pamiętaj też, że ode mnie nie wymagają słowa. W razie potrzeby mogę powtórzyć wszystko Aryi. To bardzo niemądrze z ich strony zapomnieć, że inteligencją dorównuje ludziom.*

Ta myśl bardzo go ucieszyła.

- Zgoda. Macie moje słowo. A teraz mów, kto według was winien przewodzić Vardenom.

- Nasuada.

Zaskoczony Eragon spuścił wzrok, myśląc gorączkowo. Nie brał pod uwagę kandydatury Nasuady, z powodu jej młodego wieku - była zaledwie kilka lat starsza od niego. Oczywiście nie istniała żadna przyczyna, dla której nie mogłaby zostać przywódcą, ale dlaczego Rada Starszych wybrała właśnie ją? Co na tym zyskają? Przypomniał sobie wszystkie dobre rady Broma i próbował przyjrzeć się tej zagadce z każdej strony, wiedząc, że musi zdecydować szybko.

*Nasuada ma w sobie siłę stali* - zauważyła Saphira. *Będzie taka jak ojciec.*

*Może, ale czemu to ją wybrali?*

- Czemu nie ty, Jörmundurze? - spytał, usiłując zyskać na czasie. - Ajihad nazwał cię swoją prawą ręką. Czy to nie oznacza, że powinieneś zająć jego miejsce?

Wśród członków rady rozszedł się szmer niepokoju. Sabrae wyprostowała się jeszcze bardziej, splatając mocno dłonie, Umérth i Falberd spojrzeli po sobie posepnie, natomiast Elessari tylko się uśmiechnęła. Rękojeść sztyletu falowała na jej piersi.

- Ponieważ - odparł Jörmundur, starannie dobierając słowa - Ajihad mówił wówczas o sprawach wojskowych i o niczym więcej. Poza tym jestem członkiem tej rady, a nasza siła polega na wsparciu, jakiego sobie udzielamy. Niemądrze i niebezpiecznie byłoby, gdyby jedno z nas usiłowało wybić się ponad resztę.

Pozostali odprężyli się, gdy skończył. Elessari poklepała go lekko po przedramieniu.

*Ha!* - wykrzyknęła Saphira. *Zapewne chętnie przejąłby władzę, gdyby zdołał zmusić pozostałych, żeby go poparli. Zauważ, jak na niego patrzą. Jest wśród nich niczym wilk.*

*Może wilk pośród stada szakali* - zastanowił się Eragon.

- Czy Nasuada ma dość doświadczenia? - spytał głośno.

Elessari pochylili się mocno, przyciśnięta do krawędzi stołu.

- Przebywałam tu już siedem lat, kiedy Ajihad dołączył do Vardenów. Na moich oczach Nasuada stała się z uroczej dziewczynki kobietą, którą jest dzisiaj: od czasu do czasu nieco lekkomyślną, lecz doskonałą, by poprowadzić Vardenów. Ludzie ją pokochają. Ja natomiast - poklepała się czule po gorsie - i moi przyjaciele wspomozemy ją w tych trudnych czasach. Zawsze będzie miała kogoś, kto wskaże jej właściwą drogę. Brak doświadczenia nie może przeszkodzić w tym, by zajęła przeznaczoną dla niej pozycję.

Eragon nagle wszystko zrozumiał. *Chcę mieć marionetkę!*

- Pogrzeb Ajihada odbędzie się za dwa dni - wtrącił Umérth. - Tuż po nim zamierzamy ogłosić Nasuadę nową przywódczynią. Najpierw oczywiście musimy ją zapytać, ale z pewnością się zgodzi. Chcemy, żebyś był obecny podczas mianowania - wówczas nikt, nawet Hrothgar, nie

będzie mógł się sprzeciwić - i żebyś złożył hołd Vardenom. To przywróci ludziom pewność, której pozbawiła ich śmierć Ajihada, i zniweczy wszelkie próby rozbicia naszej jedności.

*Hold!*

Saphira szybko dotknęła umysłu Eragona.

*Zauważ, że nie chcę, byś przysiągł Nasuadzie, tylko Vardenom.*

*Tak, i zamierzają sami mianować Nasuadę, co pokaże wyraźnie, że rada ma większą władzę niż ona. Mogliby poprosić Aryę, żeby to zrobiła, ale oznaczałoby to uznanie, że stoi ponad Vardenami. W ten sposób pokażą swą przewagę nad Nasuada, zyskają kontrolę nad nami poprzez hołd, a publiczne uznanie przez Jeźdźca przywództwa Nastiady zwiększy ich autorytet.*

- Co się stanie - spytał - jeśli nie przyjmę waszej oferty?

- Oferty? - Falberd sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego. - Ależ oczywiście nic. Tyle, że twoja nieobecność podczas wyboru Nasuady stałaby się wielką obrazą. Jeśli bohater bitwy o Farthen Dur ją zlekceważy, Nasuada z pewnością pomyśli, że Jeździec gardzi nią i uważa Vardenów za niegodnych służby. Czy zdoła znieść podobne poniżenie?

Znaczenie tych słów było całkiem jasne. Eragon ścisnął pod stołem rękę Zar'roca. Miał ochotę krzyknąć, że nie trzeba zmuszać go do poparcia Vardenów, że i tak by to zrobił. Teraz jednak instynktownie pragnął się sprzeciwić, uniknąć kajdan, w które próbowali go zakuć.

- Skoro Jeźdźcy cieszą się tak znamienitą opinią, mógłbym uznać, że najlepiej będzie, jeśli sam poprowadzę Vardenów.

Nastrój w komnacie pogorszył się gwałtownie.

- To nie byłoby mądre - oznajmiła Sabrae.

Eragon zastanawiał się, rozpaczliwie próbując znaleźć jakieś wyjście.

*Po śmierci Ajihada - rzekła Saphira - być może nie zdołamy pozostać niezależni od wszystkich, tak jak pragnął. Nie możemy narazić się na gniew Vardenów. Jeśli ta rada ma przejąć nad nimi kontrolę po mianowaniu Nasuady, musimy ich ugłaskać. Pamiętaj, podobnie jak my, oni także muszą myśleć o sobie.*

*Ale kiedy chwycą nas w garść, czego sobie zażyczą? Czy uszanują pakt wiążący Vardenów z elfami i wyślą nas do Ellesméry na szkolenie, czy też wydadzą inny rozkaz? Jörmundur wydaje mi się człowiekiem honoru, lecz pozostali? Nie potrafię orzec.*

Saphira musnęła krawędź szczęki czubek jego głowy.

*Zgódź się przyjść na ceremonię mianowania Nasuady. Uważam, że to musimy zrobić. Co do hołdu, zobacz, czy uda ci się uniknąć zgody. Może do tego czasu wydarzy się coś, co odmieni nasza pozycję. Może Arya znajdzie rozwiązanie.*

Eragon skinął głową.

- Jak sobie życzycie. Przybędę na mianowanie Nasuady.

Jörmundur odetchnął z ulgą.

- To dobrze. Pozostało nam, zatem do załatwienia tylko jedno - zgoda Nasuady. Skoro wszyscy już tu jesteśmy, nie ma co zwlekać. Natychmiast po nią poślę. Poproszę też Aryę. Przed publicznym ogłoszeniem decyzji potrzebna nam zgoda elfów. Nie powinno być trudno ją uzyskać; Arya nie może sprzeciwić się woli rady i twojej, Eragonie. Będzie musiała zgodzić się z naszym osądem.

- Zaczekaj. - Oczy Elessari błysnęły groźnie. - Twoje słowo, Jeźdźcze. Czy podczas ceremonii złożysz hołd?

- O tak, musisz to zrobić - zawtórował jej Falberd. - Musisz to zrobić. Vardeni byliby zhańbieni, gdybyś uznał, że nie zdołamy zapewnić ci wszelkiej możliwej opieki.

*Nieźle to ujął!*

*Warto było spróbować - mruknęła Saphira. Lękam się, że nie masz innego wyjścia.*

*Nie ośmiela się na skrzywdzić, jeśli odmówię.*

*Nie, ale mogą nam bardzo uprzykrzyć życie. Nie mówię, żebyś zgodził się dla mnie, lecz dla twego dobra. Istnieje wiele niebezpieczeństw, przed którymi nie mogę cię chronić, Eragonie. Galbatorix chce nas zniszczyć, trzeba, zatem, by otaczali cię sprzymierzeńcy, nie wrogowie. Nie możemy sobie pozwolić na walkę ani z imperium, ani z Vardenami.*

- Złóżę hołd - odparł po dłuższej przerwie Eragon.

Członkowie Rady Starszych wyraźnie się odprężyli. Umérth wręcz odetchnął z ulgą i nieudolnie usiłował to zamaskować.

*Oni się nas boją!*

*I powinni - warknęła Saphira.*

Jörmundur wezwał Jarshę i przemówił do niego krótko.

Chłopak natychmiast pobiegł po Nasuadę i Aryę. Podczas jego nieobecności w komnacie zapadła niezręczna cisza. Eragon całkowicie ignorował członków rady, szukając rozpaczliwie wyjścia z pułapki. Żadnego nie znalazł.

Gdy drzwi otwarły się ponownie, wszyscy wyczekująco unieśli głowy. Pierwsza przekroczyła próg Nasuada, spoglądając ze spokojem na obecnych w komnacie. Haftowana suknia miała odcień najgłębszej czerni, głębszej nawet niż jej skóra, rozjaśnionej tylko szarfą barwy królewskiej purpury, sięgającą od ramienia po biodro. Za nią kroczyła Arya, stąpając gibko i gładko jak kotka, oraz wyraźnie oszołomiony Jarsha.

Jörmundur odprawił chłopaka, po czym przysunął krzesło Nasuadzie. Eragon pośpieszył, by uczynić to samo dla Aryi, elfka jednak zignorowała podsunięte krzesło i zatrzymała się parę kroków od stołu.

*Saphiro - rzekł - powtórz jej wszystko, co się tu stało. Mam przecucie, że członkowie rady nie powiadomią jej, że zmusili mnie do przysięgi wierności wobec Vardenów.*

- Aryo. - Jörmundur pozdrowił ją skinieniem głowy, po czym skupił wzrok na Nasuadzie. - Nasuado, córko Ajihada, Rada Starszych pragnie oficjalnie złożyć ci najszczerze kondolencje z powodu straty, która dotknęła cię bardziej niż kogokolwiek... - Zniżając głos, dodał: - Bardzo ci współczujemy. Wszyscy wiemy, jak to jest stracić kogoś z rodziny w walce z imperium.

- Dziękuję - mruknęła Nasuada, mrużąc migdałowe oczy.

Siedziała tam, nieśmiała i skromna, i sprawiała wrażenie tak bezbronnej, że Eragon zapragnął ją pocieszyć. Jakże teraz różniła się od energicznej młodej kobiety, która odwiedziła jego i Saphirę w Smoczej Twierdzy przed bitwą.

- Choć mamy teraz czas żałoby, pozostała kwestia, którą musisz rozstrzygnąć. Nasza rada nie może przewodzić Vardenom. Po pogrzebie ktoś musi zastąpić twojego ojca. Prosimy, byś przyjęła to stanowisko. Należy ci się prawnie jako jego dziedzicze. Vardeni oczekują tego po tobie.

Nasuada skłoniła głowę, jej oczy lśniły. W końcu przemówiła pełnym bólu głosem.

- Nigdy nie przypuszczałam, że w tak młodym wieku będę musiała zająć miejsce mego ojca. Jednakże... skoro twierdzicie, że to mój obowiązek... przyjmę go.

## *Prawda pośród przyjaciół*

Członkowie Rady Starszych rozpromienili się w tryumfalnych uśmiechach. Nasuada zrobiła to, czego chcieli.

- Nalegamy - oznajmił Jörmundur - zarówno dla twojego dobra, jak i wszystkich Vardenów.

Pozostali dodali słowa wsparcia, a Nasuada przyjęła je ze smutnym uśmiechem. Gdy Eragon nie dołączył do chóru, Sabrae posłała mu gniewne spojrzenie.

On tymczasem nie spuszczał wzroku z Aryi, szukając jakiegokolwiek reakcji na przekazane jej przez Saphirę wieści bądź na słowa rady. Jednakże oblicze elfki pozostało niewzruszone. Saphira natomiast poinformowała go:

*Po wszystkim chcę z tobą pomówić.*

Nim Eragon zdążył odpowiedzieć, Falberd odwrócił się do Aryi.

- Czy elfy zaakceptują ten wybór?

Elfka patrzyła na niego w milczeniu i po chwili mężczyzna poruszył się niespokojnie pod jej przeszywającym spojrzeniem. Wówczas uniosła jedną brew.

- Nie mogę mówić w imieniu mojej królowej, ale osobiście nie widzę powodów do sprzeciwu. Nasuada ma moje błogosławieństwo.

*Jak inaczej mogła odpowiedzieć, skoro wie już o wszystkim* - pomyślał z goryczą Eragon. *Przyparli nas do muru.*

Błogosławieństwo Aryi wyraźnie ucieszyło radę. Nasuada podziękowała jej, po czym zwróciła się do Jörmundura:

- Czy o czymś jeszcze musimy pomówić? Jestem bardzo zmęczona.

Jörmundur pokręcił głową.

- Poczynimy wszystkie przygotowania. Obiecuję, że nikt nie będzie cię niepokoił aż do pogrzebu.

- Raz jeszcze dziękuję. A teraz zechciejcie odejść. Potrzebuję czasu, by się zastanowić, jak najlepiej uczcić pamięć ojca i służyć Vardenom. Daliście mi wiele do myślenia. - Nasuada złożyła szczupłe dłonie na okrytych ciemną materią kolanach.

Umérth wyglądał, jakby chciał zaprotestować przeciwko takiej odprawie, lecz Falbert uciszył go machnięciem ręki.

- Oczywiście, zrobimy wszystko, byle zapewnić ci spokój. Jeśli będziesz potrzebować pomocy, jesteśmy gotowi ci służyć. - Wzywając gestem pozostałych, wyminął Aryę i ruszył ku drzwiom.

- Eragonie, mógłbyś zostać?

Zaskoczony Eragon opadł z powrotem na krzesło, nie dbając o pytające, czujne spojrzenia członków rady. Falbert przez chwilę ociągał się przy drzwiach, jakby nagle zapragnął zostać w komnacie, ale w końcu i on wyszedł. Jako ostatnia opuściła ich Arya. Nim zamknęła drzwi, spojrzała na Eragona; w jej oczach wyraźnie dostrzegł skrywaną wcześniej troskę i obawę.

Nasuada siedziała częściowo odwrócona plecami do Eragona i Saphiry

- A zatem znów się spotykamy, Jeźdźcze. Nie powitałeś mnie. Czyżbym cię uraziła?

- Nie, Nasuado, lękałem się przemówić w obawie, że mogłoby to zostać uznane za niegrzeczne. Obecna sytuacja nie sprzyja pochopnym słowom. - Nagle ogarnął go paniczny lęk przed podsłuchującymi szpiegami. Sięgając poprzez barierę w umyśle, zaczerpnął magii i zaintonował:

- Atra nosu waise vardo fra eld hórnya... Już. Teraz możemy rozmawiać swobodnie, bez obaw, że podsłucha nas człowiek, krasnolud bądź elf.

Z ciała Nasuady odpłynęło częściowo napięcie.

- Dziękuję, Eragonie. Nie wiesz nawet, jak wielki to dar. - W jej słowach zabrzmiała większa niż dotąd siła i pewność siebie.

Siedząca za krzesłem Eragona Saphira poruszyła się, po czym ostrożnie okrążyła stół i stanęła na wprost Nasuady. Opuściła wielką głowę, aż w końcu szafirowe oko spojrzęło w czarne oczy dziewczyny. Smoczyca Przyglądała się jej pełną minutę, w końcu parsknęła cicho i wyprostowała się.

*Powiedz jej - rzekła - że wraz z nią oplakuję jej stratę. Powiedz też, że musi użyzyć swej siły Vardenom, gdy zajmie miejsce Ajihada, Będą potrzebowali stanowczego przewodnika.*

Eragon powtórzył jej słowa i dodał:

- Ajihad był wielkim człowiekiem, jego imię nigdy nie zostanie zapomniane... Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Przed śmiercią Ajihad polecił mi przyrzec, że nie pozwolę, by wśród Vardenów zapanował chaos. To były jego ostatnie słowa, Arya też je słyszała. Z powodu ich implikacji zamierzałem je zachować w tajemnicy, ale masz prawo wiedzieć. Nie jestem pewien, co miał na myśli Ajihad i czego dokładnie pragnął, ale wiem jedno: zawsze będę bronił Vardenów całą swoją mocą. Chcę, byś to zrozumiała, a także to, że nie pragnę uzurpować sobie władzy nad Vardenami.

Nasuada roześmiała się z goryczą.

- Ale ta władza nie ma przypaść mnie, prawda? - Jej rezerwa zniknęła, pozostawiając jedynie opanowanie i determinację. - Wiem, czemu znalazłeś się tu przede mną i co próbuje zrobić rada. Sądzisz, że przez te lata, podczas których pomagałam ojcu, nigdy nie dyskutowaliśmy o takiej ewentualności? Spodziewałam się, że rada postąpi dokładnie tak, jak to uczyniła. Teraz wszystko jest gotowe do tego, bym objęła dowództwo.

- Nie zamierzasz pozwolić, by tobą sterowali - rzekł Eragon w nagłym olśnieniu.

- Nie. Zachowaj instrukcje Ajihada w tajemnicy. Niemądrze byłoby je rozgłaszać, bo ludzie mogliby uznać, że chciał, abyś to ty go zastąpił. To zaś podminowałoby mój autorytet i destabilizowało Vardenów. Ojciec powiedział to, co musiał, by chronić Vardenów. Na jego miejscu zrobiłabym to samo. Mój ojciec... - Głos Nasuady załamał się lekko. - Dopełnię jego dzieła, nawet gdyby miało mnie to zaprowadzić do grobu. Chcę, żebyś zrozumiał to jako Jeździec. Wszystkie plany Ajihada, jego strategię i cele są teraz moimi. Nie zawiodę go, nie okażę słabości. Imperium runie w gruzy, Galbatorix straci tron, a władzę obejmie prawowity rząd.

Gdy skończyła, po jej policzku spłynęła łza. Eragon słuchał w milczeniu. Doskonale rozumiał, w jak trudnym znalazła się położeniu, i dostrzegł u niej głębię charakteru, jakiej wcześniej nie zauważał.

- A co ze mną, Nasuado? Co ja mam zrobić dla Vardenów?

Spojrzęła mu prosto w oczy.

- Możesz robić, co zechcesz. Członkowie rady to głupcy, jeśli sądzą, że zdołają nad tobą zapanować. Dla Vardenów i krasnoludów jesteś bohaterem. Nawet elfy będą opiewać twoje zwycięstwo nad Durzą, gdy tylko o nim usłyszą. Jeśli sprzeciwisz się radzie bądź mnie, będziemy musieli ustąpić, bo ludzie poprą cię całym sercem. W tej chwili jesteś najpotężniejszym człowiekiem wśród Vardenów. Jeśli jednak uznasz moje przywództwo, nie zboczę z wyznaczonej przez Ajihada ścieżki. Udasz się z Aryą do elfów, odbierzesz nauki i powrócisz do Vardenów.

*Czemu jest z nami taka szczerą? - zastanawiał się Eragon. Jeśli ma rację, to czy mogliśmy sprzeciwić się żądaniom rady?*

Saphira zastanowiła się przez moment.

*Tak czy inaczej, jest już za późno. Zgodziłeś się spełnić ich prośby. Myślę, że Nasuada jest szczerą, bo pozwala jej na to twoje zakłęcie. A także, dlatego że ma nadzieję, iż w ten sposób zaskarbi sobie naszą lojalność.*

Nagle Eragonowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Nim jednak podzielił się nim ze smoczyką, spytał: *Czy możemy jej zaufać? Uwierzyć, że postąpi tak jak mówi? To bardzo ważne.*

*Tak - odparła Saphira. Jej słowa płynęły prosto z serca.*

Wówczas Eragon powiedział smoczyce o swoim pomysle. Gdy się zgodziła, dobył Zar'roca i podszedł do Nasuady. Zbliżając się, dostrzegł w jej oczach błysk strachu. Spojrzenie dziewczyny powędrowało ku drzwiom, a jej dłoń zniknęła w fałdach sukni. Eragon przystanął przed nią i ukląkł, oburącz unosząc Zar'roca.

- Nasuado, Saphira i ja przebywamy tu od niedawna. Przez ten czas jednak zdążyliśmy obdarzyć szacunkiem Ajihada i teraz ciebie. Walczyłaś, pod Farthen Dûrem, gdy inni uciekli, w tym dwie członkinie rady, i traktowałaś nas uczciwie, nie imając się podstępów. Ofiaruję ci, zatem moje ostrze... i mój hołd Jeźdźca.

Wymówił te słowa z głęboką powagą, świadom, że nie zdobyłby się na nie przed bitwą. Widok tak wielu ginących wokół ludzi odmienił jego spojrzenie. Sprzeciw wobec imperium nie był już tylko czymś osobistym - walczył teraz dla Vardenów i wszystkich ludzi wciąż tkwiących pod jarzmem Galbatorixa. Nieważne jak długo to potrwa, poświęcił się temu zadaniu. Na razie służba pozostawała dla niego najlepszym wyjściem.

Mimo wszystko podjęli z Saphira ogromne ryzyko, składając hołd Nasuadzie. Rada nie mogła zaprotestować, bo Eragon obiecał im jedynie, że złoży przysięgę, ale nie określił komu. Nie mieli jednak z Saphira żadnych gwarancji, że Nasuada będzie dobrym przywódcą.

*Cóż, lepiej złożyć przysięgę uczciwemu głupcowi niż kłamliwemu mędrcomu* - zdecydował Eragon.

Na twarzy Nasuady odbiło się zdumienie. Chwyciła rękojeść Zar'roca i uniosła go, wbijając wzrok w szkarłatną klingę, po czym czubkiem miecza dotknęła głowy Eragona.

- Przyjmuję twój hołd, Jeźdźcze, jak i ty przyjmujesz towarzyszące mu obowiązki. Powstań jako mój wasal i weź swój miecz.

Eragon posłuchał.

- Teraz mogę ci jako mojej suwerence powiedzieć otwarcie, że rada zmusiła mnie, bym się zgodził złożyć przysięgę Vardenom po twoim mianowaniu. To był jedyny sposób, w jaki mogliśmy z Saphirą zniweczyć ich plany.

Nasuada roześmiała się, nie skrywając radości.

- Ach, widzę, że nauczyłaś się już grać w naszą grę. Doskonale. Jako mój najnowszy i jedyny wasal, czy zgodzisz się ponownie złożyć mi hołd, tym razem publicznie, kiedy rada będzie oczekiwać twej przysięgi?

- Oczywiście.

- Świetnie, w ten sposób załatwimy problem rady. Do tego czasu zostaw mnie, muszę wszystko zaplanować i przygotować się do pogrzebu. Pamiętaj, Eragonie, więź, którą właśnie stworzyliśmy, wiąże nas jednak. Odpowiadam za tve czyny, ty zaś zgadzasz się mi służyć. Nie przynieś mi hańby.

- Ani ty mnie.

Nasuada zawahała się, potem spojrzała mu w oczy i dodała łagodniejszym tonem:

- Przyjmij wyrazy współczucia, Eragonie. Wiem, że nie ja jedna oplakuję tych, którzy zginęli. Podczas gdy ja straciłam ojca, ty utraciłeś przyjaciela. Bardzo lubiłam Murtagha i żałuję, że zginął... Zegnaj, Eragonie.

Eragon skinął głową. W ustach czuł gorzki smak. Bez słowa wyszedł z Saphirą z komnaty. Szary korytarz na zewnątrz był pusty. Eragon podparł się pod boki, odchylił głowę i odetchnął głośno. Dzień ledwie się zaczął, a jego już wyczerpały wszystkie dzisiejsze emocje.

Saphirą trąciła go nosem.

*Tędy* - mruknęła.

Bez dalszych wyjaśnień ruszyła naprzód prawą stroną tunelu; lśniące szpony stuknęły na twardej posadzce.

Eragon zmarszczył brwi, ale ruszył w ślad za nią.

*Dokąd idziemy?*

Nie odpowiedziała.

*Saphiro, proszę.*

Smoczyca tylko machnęła ogonem.

*Spójrz, jak wszystko się zmieniło* - powiedział, zmieniając temat. *Nie wiem już, co przyniesie każdy następny dzień, prócz smutku i rozlewu krwi.*

*Nie jest tak źle* — upomniała go. *Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. Powinniśmy to uczcić, nie oplakiwać.*

*Cała ta bzdurna sprawa nie nastraja mnie radośnie.*

Smoczyca parsknęła gniewnie. Z jej nozdrzy wystrzelił wąski jezor ognia i przypalił ramię Eragona, który odskoczył z krzykiem, zagryzając wargę, by nie odpowiedzieć wiązką przekleństw.

*Ups. - Saphirą pokręciła głową, by rozgonić dym.*

*Ups? O mało mnie nie przypiekłaś!*

*Nie spodziewałam się tego. Wciąż zapominam, że jeśli nie będę ostrożna, może się pojawić ogień. Wyobraź sobie, że za każdym razem, gdy unosisz rękę, w ziemię uderza piorun. Łatwo byłoby wtedy wykonać nieostrożny gest i niechcący coś zniszczyć.*

*Masz rację... przepraszam, że na ciebie krzyknąłem.*

Koścista powieka smoczycy szczęknęła, gdy Saphirą mrugnęła do niego.

*Nieważne. Próbowałam tylko powiedzieć, że nawet Nasuada nie może cię do niczego zmusić.*

*Ale przecież dałam jej moje słowo Jeźdźca!*

*Możliwe. Jeśli jednak będę musiała je złamać, by cię uchronić albo zrobić to co należy, nie zawaham się. To brzemię z łatwością udźwignę. Ponieważ jesteśmy złączeni, honor nakazuje mi cię wspierać, lecz twoja przysięga mnie nie obowiązuje. W razie potrzeby porwę cię. Wówczas nikt nie będzie mógł cię winić o nieposłuszeństwo - stwierdziła Saphirą.*

*Nie powinno do tego dojść. Jeśli będziemy musieli uciec się do takich sztuczek, by zrobić to co należy, Nasuada i Vardeni stracą wszelką wiarygodność.*

Saphirą zatrzymała się. Stanęli przed łukowatymi drzwiami biblioteki Tronjheimu. Olbrzymia, pogrążona w ciszy sala wydawała się pusta, choć rzędy ustawionych gęsto regałów i nieregularnie rozmieszczone kolumny mogły ukrywać wiele osób. Lampy rzucały łagodny blask na pokryte zwojami ściany i oświetlały znajdujące się pod nimi wnęki.

Manewrując między regałami, Saphirą poprowadziła go do jednej z nich, w której czekała Arya. Eragon przystanął, przyglądając się elfce. Sprawiała wrażenie bardziej poruszonej niż kiedykolwiek wcześniej, choć zdradzało to wyłącznie widoczne w jej ruchach napięcie. Zdążyła także przypasać miecz o zgrabnej rękojeści. Położyła na niej dłoń.

Eragon usiadł naprzeciwko przy marmurowym stole. Saphirą ustawiła się między nimi tak, by móc obserwować oboje.

- Co ty zrobiłaś? - spytała Arya z nieoczekiwaną wrogością.

- Słucham?

Uniosła wyżej brodę.

- Co obiecałaś Vardenom? *Co ty zrobiłaś?!*

Ostatnie słowa zadźwięczały bezpośrednio w umyśle Eragona, który Wstrząśnięty, pojął, że jego rozmówczyni jest bliska utraty panowania nad sobą. Poczł ukłucie strachu.

- Zrobiliśmy tylko to co musieliśmy. Nie znam zwyczajów elfów. Jeśli więc nasze działania cię zmartwiły, wybaczone, proszę. Nie ma powodów do gniewu.

- Głupcze! Nic o mnie nie wiesz. Przez siedem dziesięcioleci przemawiałam tu w imieniu mojej królowej, a przez piętnaście z tych lat przewoziłam jajo Saphiry pomiędzy Vardenami i elfami. Cały czas dokładałam wszelkich starań, by Vardeni mieli silnych przywódców, którzy mogli stawić czoło Galbatorixowi i uszanować nasze życzenia. Brom mi pomógł, zawierając układ dotyczący nowego Jeźdźca - ciebie. Ajihad szczerze chciał, byś pozostał niezależny, zachował równowagę sił. Teraz widzę, jak, chętnie czy nie, sprzymierzasz się z Radą Starszych, by kontrolować Nasuadę! Zniszczyłaś całą moją pracę! *Co ty zrobiłaś?!*

Wstrząśnięty Eragon odrzucił wszelkie pozory. Krótkimi, treściwymi zdaniem wyjaśnił, czemu zgodził się na żądania rady i w jaki sposób próbowali je z Saphirą podminować.

- Ach tak - rzekła Arya, gdy skończył.

- Tak.

Siedemdziesiąt lat! Choć wiedział, że elfy żyją bardzo długo, nigdy nie podejrzewał, że Arya jest aż tak stara, wyglądała bowiem, jakby dopiero co przekroczyła dwudziestkę. Jediną oznakę wieku w jej gładkiej twarzy stanowiły szmaragdowe oczy - głębokie, mądre i spoglądające z nieludzką powagą.

Arya odchyliła się, przyglądając mu się uważnie.

- Twoja pozycja nie jest taka, jakbym sobie życzyła, ale lepsza, niż sądziłam. Byłam niegrzeczna. Saphira... i ty rozumiecie więcej, niż przypuszczałam. Elfy zaakceptują twój kompromis, choć nigdy nie możesz zapomnieć, że jesteś naszym dłużnikiem. Daliśmy ci Saphirę. Bez naszych wysiłków nie byłoby Jeźdźców.

- Dług ten odcisnął się piętnem na dłoni i w samej krwi - odparł Eragon.

W ciszy, która zapadła, zaczął pośpiesznie szukać nowego tematu, łaknąc dłuższej rozmowy. Miał nadzieję, że może dowie się o niej czegoś więcej.

- Tak długo nie było cię w domu. Czy tęsknisz za Ellesméréą? A może żyłaś gdzie indziej?

- Ellesméréą była i zawsze pozostanie moim domem - odparła elfka, patrząc w dal, gdzieś poza niego. - Nie mieszkałam w domu rodzinnym, odkąd opuściłam go, wyruszając do Vardenów. Ściany i okna okrywał wtedy płaszcz pierwszych wiosennych kwiatów. Nawet gdy wracałam, to zawsze na krótko. Wedle naszej miary to tylko mgnienia oka, ulotne przebłyski pamięci.

Ponownie zauważył, że Arya pachnie świeżymi, sosnowymi igłami. Była to słaba, cierpka woń, pobudzająca zmysły i odświeżająca umysł.

- Musi być ci ciężko żyć pośród wszystkich tych krasnoludów i ludzi, bez nikogo z twych pobratymców.

Przekrzywiła głowę.

- Mówisz o ludziach, jakbyś nie był jednym z nich.

- Być może... - Zawahał się. - Być może jestem czymś innym, połączeniem dwóch ras. Saphira żyje we mnie, tak jak ja w niej. Mamy wspólne uczucia, zmysły, myśli, do tego stopnia, że czasem stajemy się jednym umysłem zamiast dwoma. - Saphira pochyliła z aprobatą głowę, omal nie trącając stołu długim pyskiem.

- Tak właśnie być powinno - odparła Arya. - Łączy was pakt starszy i potężniejszy, niż przypuszczacie. Nie zrozumiesz w pełni, co to znaczy być Jeźdźcem, dopóki nie zakończysz szkolenia. To jednak musi poczekać do pogrzebu. Tymczasem niechaj gwiazdy czuwają nad tobą.

To rzekłszy, odeszła, znikając wśród bibliotecznych cieni.

Eragon zamrugnął.

*Czy tylko ja mam takie wrażenie, czy też wszyscy są dziś podenerwowani? Choćby Arya. W jednej chwili się złości, w drugiej obdarza mnie błogosławieństwem - zapytał Saphirę.*

*Nikt nie poczuje się lepiej, dopóki wszystko nie wróci do normy.*

*Zdefiniuj normę.*



## Roran

Roran wspiął się szybkim krokiem na wzgórze.

Zatrzymał się i mrużąc oczy, spojrział przez opadające na twarz włosy na wiszące na niebie słońce. Pięć godzin do zachodu, nie będę mógł zostać długo. Z westchnieniem podjął wędrówkę wzdłuż rzędu wiązów. Każde z drzew otaczał pierścień nieskoszonych trawy.

Były to jego pierwsze odwiedziny na farmie od dnia, gdy wraz z Horstem i sześcioma innymi mężczyznami z Carvahall zabrali ze zniszczonego domu wszystko, co ocalało. Potrzebował pięciu miesięcy, by zebrać dość sił na powrót.

Na szczycie zatrzymał się, splatając ręce na piersi. Przed sobą widział pozostałości domu z dzieciństwa. Jeden z narożników wciąż stał - niszczeni, zwęglony - z reszty jednak pozostały tylko porośnięte trawą i chwastami szczątki. Nie dostrzegł nawet śladu stodoły. Na kilku akrach, które co roku udawało im się uprawiać, bujnie krzewiły się mlecz, gorczyca i wysoka trawa. Tu i ówdzie pozostały pojedyncze buraki bądź rzepa, ale nic więcej. Gęste pasmo drzew za farmą przesłaniało widok na rzekę Anorę.

Roran zacisnął dłoń, mięśnie szczęki napięły mu się boleśnie, gdy walczył z zalewającą go falą gniewu i rozpacz. Tkwił tam jak przyrośnięty przez wiele długich minut, czasem drżał, gdy w jego umyśle pojawiało się kolejne miłe wspomnienie. To miejsce było całym jego życiem i nie tylko. Jego przeszłością... i przyszłością. Ojciec Rorana Garrow powiedział kiedyś:

- Ziemia to coś niezwykłego. Dbaj o nią, a ona zadba o ciebie. O niewielu innych rzeczach można to rzec.

Roran zamierzał postępować zgodnie z radą ojca - aż do chwili, gdy wiadomość od Baldora wywróciła jego świat do góry nogami.

Z jękiem odwrócił się i ruszył z powrotem ku drodze. Wciąż czuł wstrząs towarzyszący tamtej chwili. Jednoczesnej utracie wszystkich, których kochał, towarzyszył szok i Roran wiedział, że nigdy się z niego nie otrząśnie. Uczucie to na zawsze wsączyło się w każdy aspekt jego osoby i zachowania.

Zmusiło go także do intensywniejszego myślenia. Zupełnie jakby obejmą ściskające jego umysł nagle prysły, pozwalając mu rozważyć idee wcześniej zupełnie niewyobrażalne. Na przykład fakt, że być może nie zostanie farmerem. Albo że sprawiedliwość - największy pewnik w pieśniach i legendach - ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Czasami podobne myśli przepelniały jego świadomość do tego stopnia, że przytłoczony ich ciężarem, z trudem podnosił się rankiem z łóżka.

Dotarłszy do drogi, skręcił na północ, poprzez dolinę Palancar z powrotem do Carvahall. Zębate góry po obu stronach doliny wciąż pokrywała gruba warstwa śniegu, lecz tu, w dole, w ciągu ostatnich tygodni przyroda przebudziła się do życia. Samotna szara chmura płynęła wolno po niebie nad jego głową w stronę szczytów.

Roran przesunął dłonią po podbródku, pod palcami poczuł kłujący zarost. To wszystko przez Eragona i tę jego przekłętą ciekawość. Przez to, że przyniósł z Kośca ów kamień. Roran potrzebował kilku tygodni, by dojść do tego wniosku. Wysłuchał uważnie relacji wszystkich. Na jego prośbę Gertrudę, wioskowa uzdrowicielka, kilkanaście razy odczytała na głos zostawiony przez Broma list. Nie istniało inne wyjaśnienie.

Czymkolwiek był ów kamień, musiał zwabić obcych. Już z tej i tylko tej przyczyny Roran obwinił Eragona o śmierć Garrowa. Nie czuł jednak złości do kuzyna, a przynajmniej nie z tego powodu. Wiedział, że Eragon nie miał złych zamiarów. Nie. Złościł go wyłącznie fakt, że Eragon pozostawił Garrowa niepogrzebanego i uciekł z doliny Palancar, porzucając swoje obowiązki, by wyruszyć w wariacką podróż ze starym bajaranem. Jak mógł zapomnieć o wszystkich, których tu zostawił? Czy uciekł, bo czuł się winny, bo się bał? Może Brom omamił go bajaniami o

przygodach? Czemu jednak Eragon miałby słuchać podobnych historii w takiej chwili? Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

Roran skrzywił się, uniósł i opuścił ramiona, próbując oczyścić umysł. List Broma... Ha! Nigdy w życiu nie słyszał śmiesznieszego i bzdurniejszego zbioru pomówień, mglistych bredni i złowieszczych aluzji. Tylko jedna zawarta w nich rada miała sens: unikać obcych. I to samo podpowiadał zdrowy rozsądek. Uznał w końcu, że stary zupełnie zwariował.

Jakiś ruch sprawił, że Roran odwrócił się gwałtownie i ujrzał dwanaście saren - wśród nich młodego samca o miękkich rogach - znikających wśród drzew. Zapamiętał szybko to miejsce, by móc znaleźć je jutro. Szczycił się tym, że potrafi polować dość zręcznie, by się utrzymać w domu Horsta, choć w tej dziedzinie nigdy nie dorównywał umiejętnościami Eragonowi.

Maszerując dalej, wciąż próbował uporządkować myśli. Po śmierci Garrowa porzucił pracę u Demptona w Therinsfordzie i wrócił do Carvahall. Horst zgodził się przyjąć go pod swój dach i przez następne miesiące zapewniał mu pracę w kuźni. Głęboki żal opóźniał decyzję Rorana co do przeszłości. Wszystko zmieniło się dwa dni temu, gdy w końcu ją podjął.

Chciał poślubić Katrinę, córkę rzeźnika. Po to przecież udał się do Therinsfordu — by zarobić dość pieniędzy na zapewnienie im spokojnego startu w życiu. Teraz jednak pozbawiony farmy, domu i środków pozwalających utrzymać żonę, Roran nie mógł z czystym sumieniem poprosić o rękę Katriny. Nie pozwoliłaby mu na to duma. Nie sądził też, by Sloan, jej ojciec, przyjął ciepło zalotnika o tak mizernych życiowych perspektywach. Nawet wcześniej Roran obawiał się, że niełatwo będzie mu przekonać Sloana do oddania Katriny. Nigdy za sobą nie przepadali. Nie mógł zaś poślubić dziewczyny bez zgody jej ojca. To oznaczałoby rozłam w jej rodzinie, oburzenie w wiosce z powodu złamania obyczajów i najprawdopodobniej krwawą waśń ze Sloaniem. Po rozważeniu swojej sytuacji Roran uznał, że pozostaje mu jedynie odbudować farmę, nawet jeśli miałoby to oznaczać wzniesienie domu i stodoły własnymi rękami. Wiedział, że trudno będzie zacząć od zera, ale gdy uda mu się tego dokonać, zwróci się do Sloane'a z podniesionym czołem. Najwcześniej za rok, na wiosnę, pomyślał Roran i skrzywił się.

Wiedział, że Katrina zaczeka - przynajmniej jakiś czas.

Nie zwalniał kroku aż do wieczora, gdy ujrzał przed sobą wioskę. Pomiedzy ciasno stłoczonymi domami rozciągały się sznury, na których wisiało pranie. Mężczyźni zmierzali ku osadzie, schodząc z pól, na których szumiała ozimina. Za Carvahall połyskiwał w blasku słońca wysoki na pół mili wodospad Iqualda, opadający z Kośca w wody Anory. Zwyczajność tego widoku poruszyła serce Rorana. Nic nie dodaje otuchy bardziej niż fakt, że wszystko toczy się jak zwykle.

Szybko skręcił z drogi, wspinając się na pagórek, na którym stał dom Horsta. Z jego okien roztaczał się widok na Kościec. Drzwi stały otworem. Roran wmaszerował do środka i kierując się dźwiękiem głosów, poszedł wprost do kuchni.

Był tam już Horst; opierał się o chropowaty stół wciśnięty w kąt pomieszczenia. Podwinięte rękawy odsłaniały przedramiona. Obok niego siedziała jego żona Elain, od pięciu miesięcy brzemienna, uśmiechając się pogodnie. Naprzeciwko zasiedli synowie, Albriecli i Baldor.

W chwili, gdy Roran przekroczył próg, Albriech mówił właśnie:

-...a przecież nie wyszedłem jeszcze wtedy z kuźni! Thane przysięga, że mnie widział, ale byłem po drugiej stronie wsi.

- Co się dzieje? - spytał Roran, zsuwając z pleców worek.

Elain i Horst wymienili szybkie spojrzenia.

- Zaczekaj, dam ci coś do jedzenia. - Postawiła przed Roranem chleb i miskę zimnego gulaszu. Potem spojrziała mu prosto w oczy. - Jak to wygląda?

Roran wzruszył ramionami.

- Całe drewno albo spłonęło, albo spróchniało. Nie zostało nic, czego można by użyć. Studnia jest wciąż nietknięta, przynajmniej tyle dobrego. Jeśli do czasu siewów chcę mieć dach nad głową, muszę jak najszybciej zebrać drewno na budowę domu. A teraz powiedzcie, co się stało?

- Ha! - wykrzyknął Horst. - Doszło do potężnej kłótni. Thane'owi zginęła kosa. Uważa, że zabrał ją Albriech.

- Pewnie zostawił ją w trawie i zapomniał gdzie - prychnął Albriech.

- Prawdopodobnie - zgodził się z uśmiechem Horst.

Roran odgryzł potężny kęs chleba.

- Oskarżanie ciebie nie ma sensu. Gdybyś potrzebował kosy, mógłbyś ją sobie wykuć.

- Wiem. - Albriech opadł ciężko na krzesło. - Ale zamiast szukać narzędzi, Thane zaczyna gadać, że widział kogoś na swym polu, i ten ktoś wyglądał jak ja... A skoro nikt inny nie wygląda jak ja, to musiałem ukraść mu kosę.

Istotnie, nikt nie wyglądał podobnie jak Albriech. Młodzian odziedziczył krzepką budowę ojca i miodowozłote włosy Elain, co sprawiało, że wyróżniał się wśród innych mieszkańców Carvahall, gdzie dominowały włosy brązowe. W odróżnieniu od brata Baldor był chudszy i ciemnowłosy.

- Z pewnością kosa się znajdzie - rzekł cicho. - Tymczasem postaraj się zanieść mięso.

- Łatwo ci mówić.

- Będziesz mnie jutro potrzebował? - spytał Horst Roran, kończąc chleb i zabierając się za mięso.

- Niespecjalnie. Muszę naprawić wóz Quimby'ego. Przeklęta rama wciąż się gnije.

Roran skinął z zadowoleniem głową.

- To dobrze. W takim razie wybiorę się na łowy. Widziałem w dolinie kilka nie najchudszych saren. No, przynajmniej nie dostrzegłem ich żeber.

Baldor rozpromienił się nagle.

- Masz ochotę na towarzystwo?

- Jasne. Możemy wyruszyć o świcie.

☆☆☆

Po skończonym posiłku Roran wyszorował twarz i ręce, po czym wyszedł na dwór, by oczyścić umysł. Leniwym krokiem skierował się w stronę centrum wioski.

Gdy był w połowie drogi, jego uwagę przyciągnęły podniesione głosy dobiegające spod Siedmiu Snopów. Odwrócił się z ciekawością i podążył do karczmy. Tam jego oczom ukazał się dziwny widok. Na werandzie siedział mężczyzna w średnim wieku, opatulony w połataną, skórzaną płaszcz. Obok niego stał worek zwieńczony stalowymi szczękami paści, typowego narzędzia traperów. Kilkunastu wieśniaków słuchało przybysza, który machnął ręką i rzekł:

- Kiedy więc przybyłem do Therinsfordu, udałem się do tego człowieka, Neila. To porządny, uczciwy jegomość, wiosną i latem pomagam mu w polu.

Roran skinął głową. Traperzy zimę spędzali w górach, wiosną powracali, by sprzedać futra i skóry garbarzom takim jak Gedrik. Potem zatrudniali się w okolicy, zwykle pomagając na farmach. Ponieważ Carvahall leżał najdalej na północ wzdłuż Kośca, odwiedzało go wielu traperów. Z tego właśnie powodu w wiosce mogli utrzymać się karczmarz, kowal i garbarz.

- Po paru kufkach piwa - no wiecie, chciałem nawilżyć gardło, po pół roku spędzonym samotnie w górach człek zapomina języka w gębie prócz paru przekleństw na czym świat stoi, gdy traci się wnyki — przyszedłem do Neila, mając wciąż na brodzie pianę, i zaczęliśmy plotkować. W czasie transakcji pytałem go o tak, towarzysko, o wieści o imperium i królu, oby zżarła go gangrena, a gardło zarosło wrzodami. Chciałem wiedzieć, czy ktoś się urodził, umarł, został wygnany, o czym powinienem wiedzieć. I wiecie co? Neil pochylił się ku mnie, całkiem spoważniał i oświadczył, że całym kraju, od Dras Leony do Gil'eadu, krążą pogłoski o dziwnych zdarzeniach w Alagaésii. Urgale właściwie zniknęły z krajów cywilizowanych, i dzięki za to bogom, ale nikt nie potrafi wyjaśnić, dokąd i po co się udały. Połowa handlu w imperium zamarała z powodu napaści i ataków, i z tego co słyszałem nie jest to dzieło zwykłych rozbójników, bo ataki są zbyt powszechne, zbyt starannie zaplanowane. Napastnicy nie kradną towarów, palą je tylko i niszczą. Ale to jeszcze nie koniec, o nie, klnę się na wąsik mojej ukochanej babki. - Traper pokręcił

głową i pociągnął łyk z bukłaka. - Ludzie szepczą o Cieniu nawiedzającym północne tereny. Widziano go na skraju Du Veldenvarden i w pobliżu Gil'eadu. Mówią, że zęby ma spiłowane w szpic, oczy pasowe jak wino, a włosy czerwone niczym krew, którą pije. Co gorsza, coś najwyraźniej ugryzło w zadek naszego prześwietnego, szalonego monarchę. Pięć dni temu żongler z południa zatrzymał się w Therinsfordzie podczas samotnej wędrówki do Ceunon i powiedział, że wojska królewskie gromadzą się i maszerują, choć nie miał pojęcia po co. - Wzruszył ramionami. - Gdy byłem dzieckiem w kolebce, tato nauczył mnie, że nie ma dymu bez ognia. Może chodzi o Vardenów? W przeszłości boleśnie zależli za skórę staremu Żelaznokościstemu. A może Galbatorix uznał w końcu, że znudziło mu się tolerowanie Surdy. Przynajmniej wie, gdzie ją znaleźć, w odróżnieniu od buntowników. Rozdepcze Surdę niczym niedźwiedź mrówkę, zapamiętajcie moje słowa.

Roran zamrugał, słysząc deszcz spadających na trapera pytań. Był skłonny wątpić w pogłoski o Cieniu - zanadto przypominały historyjkę wymyśloną przez pijanego drwala - lecz reszta informacji brzmiała dość ponuro, by odpowiadać prawdzie. Surda... Do Carvahall nie docierało wiele informacji o owym odległym kraju, lecz Roran wiedział przynajmniej, że choć z pozoru między Surdą i imperium panuje pokój, Surdanie nieustannie żyją w lęku przed napaścią potężniejszego sąsiada z północy. Z tej przyczyny ich król Orrin ponoć popierał Vardenów.

Jeśli traper miał rację co do Galbatorixa, oznaczało to, że przyszłość przyniesie paskudną wojnę i towarzyszące jej inne wątpliwe atrakcje: podniesione podatki, przymusowy pobór. Wolałbym żyć w czasach pozbawionych historycznych wydarzeń. Zamęt utrudnia życie, a tacy jak my, którym i tak żyje się najtrudniej, cierpią najbardziej, pomyślał Roran.

- Co więcej, krążą też wieści o... - traper urwał i z mądrą miną postukał się palcem po nosie - opowieści o nowym Jeźdźcu w Alagaésii! - Roześmiał się głośno, serdecznie, klepiąc się w brzuch i kołysząc w przód i w tył.

Roran także wybuchnął śmiechem. Historie o Jeźdźcach pojawiały się co kilka lat. Pierwsze dwie czy trzy bardzo go zainteresowały. Wkrótce jednak nauczył się nie ufać podobnym relacjom, wszystkie bowiem okazywały się fałszywe. Pogłoski stanowiły jedynie odzwierciedlenie marzeń tych, którzy łaknęli lepszej przyszłości.

Już miał odejść, gdy z boku, pod ścianą karczmy, zauważył Katrinę, odzianą w długą rdzawą sukienkę ozdobioną zieloną wstążką. Dziewczyna spojrzała na niego z równie głębokim uczuciem, jak on na nią. Roran podszedł do niej szybko, dotknął jej ramienia i wymknęli się razem. Wkrótce dotarli na skraj wioski, gdzie zatrzymali się, patrząc w gwiazdy. Na czystym firmamencie migotały tysiące niebiańskich ogni, a dokładnie nad ich głowami, z północy na południe, ciągnął się cudowny, perłowy szlak, spinający horyzonty niczym pasmo diamentowego pyłu.

Katrina oparła głowę na ramieniu Rorana.

- Jak ci minął dzień?

- Wróciłem do domu.

Poczuł, jak zeszywniała.

- Jak było?

- Okropnie. - Głos mu się załamał. Roran umilkł, tuląc ją mocno. W nozdrzach czuł woń miedzianych włosów dziewczyny, zapach wina, korzeni i perfum, który rozlewał się głęboko w ciele Rorana, ciepły, kojący. - Dom, stodoła, pola, wszystko już zarosło. Nie znalazłbym ich, gdybym nie wiedział gdzie szukać.

Katrina odwróciła się ku niemu. W jej oczach załśnił blask gwiazd, twarz zastygła w wyrazie współczucia.

- Och, Roranie. - Pocałowała go. - Tak wiele wycierpiałeś, tyle straciłeś, a jednak ani na chwilę nie zawiodła cię siła. Chcesz wrócić na swą farmę?

- Tak. Uprawa ziemi to jedyne na czym się znam.

- A co będzie ze mną?

Zawahał się. Odkąd zaczęli się spotykać, oboje, nigdy o tym nie wspominając, zakładali, że kiedyś się pobiorą. Nie musieli rozmawiać o swych zamiarach, były one dla nich jasne jak słońce, tak więc to pytanie wzbudziło niepokój Rorana. Czuł też, że nie powinni mówić o tym otwarcie,

skoro nie jest jeszcze gotów, by się oświadczyć. To on powinien rozpocząć rozmowy - najpierw ze Sloanem, potem z Katrina - nie ona. Teraz jednak gdy wyraziła swą troskę, musiał odpowiedzieć.

- Katrino... nie mogę zwrócić się do twego ojca tak szybko, jak zamierzałem. Wyśmiałyby mnie, i słusznie. Musimy poczekać. Gdy będę już miał dla nas dom i zakończę pierwsze żniwa, wówczas mnie wysłucha.

Dziewczyna jeszcze przez chwilę patrzyła w niebo. Szepnęła coś tak cicho, że nie dosłyszał.

- Co?

- Spytałam, czy się go boisz?

- Oczywiście, że nie! Ja...

- Musisz zatem uzyskać jego zgodę, już jutro, i ustalić termin zaręczyn. Musisz go przekonać, że choć teraz nic nie masz, zapewnisz mi dobry dom i będziesz zięciem, z którego może być dumny. Oboje wiemy co czujemy; nie ma sensu, żebyśmy marnowali całe lata.

- Nie mogę tego zrobić. - W jego głosie zadźwięczała rozpacz. Tak bardzo pragnął, by zrozumiała. - Nie zdołam cię utrzymać, nie mogę...

- Nie rozumiesz? - Cofnęła się o krok. - Kocham cię, Roranie, i chcę być z tobą, ale ojciec ma co do mnie inne plany. Jest wielu lepszych kandydatów od ciebie. Im dłużej zwlekasz, tym mocniej naciska na mnie, żebym zgodziła się na jednego z nich. Lęka się, że zostanę starą panną, i ja też się tego obawiam. Mam mało czasu, a w Carvahall nie ma wielkiego wyboru. Jeśli będę musiała wziąć innego mężczyznę, to wezmę.

W oczach Katriny zalśniły łzy. Spojrzała przenikliwie na Rorana, czekając na odpowiedź. Potem uniosła lekko sukienkę i pobiegła do domu.

Roran został na miejscu, wstrząśnięty. Jej nieobecność była równie bolesna jak utrata farmy. Otaczający go świat stał się nagle zimny, nieprzyjazny - zupełnie jakby Roran stracił część siebie.

Minęło kilka godzin, nim zdołał wrócić do domu Horsta i położyć się spać.

## *Mysliwi i ofiary*

Zwir chrząścił pod stopami Rorana, gdy ten podążał w głąb doliny, spowitej bladą poświatą i chłodnej o pierwszym brzasku. Na niebie wisiały chmury. Baldor szedł tuż za nim i obaj nieśli w dłoniach łuki. Bez słowa rozglądali się, szukając śladów saren.

- Tam - rzekł w końcu cicho Baldor, wskazując tropy wiodące w krzaki na brzegu Anory.

Roran kiwnął głową i ruszył w ich stronę. Wyglądały na zostawione co najmniej dzień wcześniej, toteż zaryzykował i powiedział:

- Czy mógłbym prosić cię o radę, Baldorze? Jak się zdaje, dobrze rozumiesz ludzi.

- Oczywiście. O co chodzi?

Przez długą chwilę milczeli.

- Sloan chce wydać za mąż Katrinę, i to nie za mnie. Każdy mijający dzień zwiększa niebezpieczeństwo, że zaaranżuje jej ślub z innym.

- Co na to Katrina?

Roran wzruszył ramionami.

- To jej ojciec. Nie może mu się sprzeciwić, skoro nie zjawił się nikt inny, kto by o nią prosił.

- To znaczy ty?

- Tak.

- Dlatego tak wcześnie wstałeś.

W istocie Roran zanadto się martwił, by w ogóle zasnąć. Całą noc rozmyślał o Katrinie, szukając rozwiązania ich problemu.

- Nie zniosę utraty jej, ale nie sądzę, by Sloan dał nam błogosławieństwo, zważywszy na mizerny stan mojego majątku.

- Owszem, też w to wątpię - zgodził się Baldor, kątem oka zerkając na Rorana. — Po cóż ci zatem moja rada?

Roran zaśmiał się cicho.

- Jak mam przekonać Sloana, by zmienił zdanie? Jak rozwiązać ten dylemat, nie rozpoczynając krwawej waśni? - Rozłożył bezradnie ręce. - Co powinienem zrobić?

- Nie masz żadnego pomysłu?

- Nawet kilka, ale żaden nie jest dobry. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy z Katriną po prostu ogłosić nasze zaręczyny - choć jeszcze nie jesteśmy zaręczeni — i stawić czoło konsekwencjom. To zmusiłoby Sloana do udzielenia zgody na nasz ślub.

Baldor zmarszczył czoło.

- Może - rzekł ostrożnie. - Ale też wywołałoby powszechne oburzenie w całym Carvahall. Niewielu zaakceptowałoby coś takiego. Zresztą niemądrze byłoby zmuszać Katrinę do wyboru pomiędzy tobą i jej rodziną. W przyszłości mogłaby cię o to winić.

- Wiem, ale jakie mam wyjście?

- Nim zdecydujesz się na drastyczne środki, radzę, byś spróbował zyskać sobie przychylność Sloana. Istnieje spora szansa, że ci się uda, jeśli tylko Sloan zrozumie, że nikt inny nie zechce poślubić rozgniewanej Katriny, zwłaszcza gdy ty pozostaniesz pod ręką, by móc przyprawić mu rogi. - Roran skrzywił się, wbijając wzrok w ziemię, na co Baldor wybuchnął śmiechem. - Jeżeli ci się nie uda, wówczas, świadom, że wyczerpałeś wszelkie inne możliwości, zawsze możesz zrobić to co mówiłeś, a ludzie mniej chętnie spluną na ciebie za złamanie tradycji. Obwiniają raczej Sloana o to, że swym uporem zmusił cię do tego.

- Żadne z tych wyjść nie jest łatwe.

- Wiedziałeś o tym od początku. - Baldor znów spoważniał. - Bez wątpienia, jeśli rzucisz wyzwanie Sloanowi, czeka cię wiele gorzkich słów, ale w końcu wszystko się uspokoi. Może nie do końca, ale zawsze. Oprócz Sloana urażeni poczują się tylko najwięksi świętoszkowie, tacy jak Quimby. Nie mam pojęcia, jak Quimby może warzyć tak świetny trunek, bo jest przecież taki sztywny i zgorzkniały.

Roran kiwnął głową. W Carvahall spory nie wygasły łatwo.

- Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać. To było... - Umilkł, wspominając niegdysiejsze dyskusje z Eragonem.

Eragon powiedział kiedyś, że są braćmi we wszystkim poza krwią. Świadomość, że istnieje ktoś, kto zawsze go wysłucha, niezależnie od okoliczności, niezmiernie dodawała sił. Jak również pewność, że ów człowiek zawsze mu pomoże, nie bacząc na koszty. Brak podobnej więzi pozostawił w duszy Rorana nieznośną pustkę.

Baldor nie naciskał go, by kontynuował. Zamiast tego przystanął i pociągnął łyk wody z bukłaka. Roran przeszedł jeszcze parę kroków i zamarł, uderzyła go bowiem dziwna woń.

Był to ciężki smród przypiekanego mięsa i zwęglonych sosnowych gałęzi.

- Kto tu jest oprócz nas?

ddychając głęboko, obrócił się wokół własnej osi, próbując odnaleźć źródło zapachu. Jego twarz musnął lekki powiew znad drogi, niosący gorący, ciężki dym. Towarzysząca mu woń jedzenia była wystarczająco silna, by do ust Rorana napłynęła ślinka.

Gestem wezwał Baldora, który pośpieszył naprzód.

- Czujesz?

Baldor przytaknął. Razem wrócili na drogę i ruszyli na południe. Jakies sto stóp dalej szlak skręcał, wymijając gęstą kępę topoli, i zniknął im z oczu. Gdy się zbliżyli, dotarli do nich głosy, stłumione przez gęstą poranną mgłę zasnuwającą dolinę.

Na skraju zagajnika Roran przystanął. Niemądrze jest zaskakiwać innych ludzi, zwłaszcza gdy również ruszyli na łowy. Poza tym coś nie dawało mu spokoju. Być może była to liczba głosów - wyglądało na to, że jest ich więcej, niż liczyła jakakolwiek rodzina w dolinie. Bez namysłu skręcił i wśliznął się pod gęste krzaki zagajnika.

- Co robisz? - zapytał szeptem Baldor.

Roran przycisnął palec do ust i zaczął skradać się naprzód równolegle do drogi. Starał się stąpać jak najciszej. Gdy pokonali zakręt, zamarł.

Na trawie przy trakcie obozowali żołnierze. Trzydzieści hełmów lśniło w promieniach porannego słońca, podczas gdy ich właściciele pochłaniali ptactwo i mięso upieczone nad kilkoma ogniskami. Stroje żołnierzy pokrywały błoto i kurz, lecz na czerwonych tunikach wciąż było widać symbol Galbatorixa, skręcony płomień obszyty złotą nicią. Pod tunikami widniały brygantyny, kolczugi i skórzane, wyściełane kubraki. Większość była uzbrojona w ciężkie miecze, choć pół tuzina miało łuki, a kolejne pół ostre halabardy.

Pośrodku obozu przycupnęły dwie zdeformowane czarne postaci, które Roran rozpoznał natychmiast z licznych opisów mieszkańców wioski, usłyszanych po powrocie z Therinsfordu: to byli obcy, którzy zniszczyli jego farmę. Ich widok zmroził mu krew w żyłach. To słudzy imperium! Ruszył naprzód, powoli sięgając po strzałę, Baldor jednak chwycił go mocno i pociągnął na ziemię.

- Stój! Przez ciebie zginiemy obydwaj.

Roran spojrzał na niego gniewnie.

- To... to ci dranie - warknął i nagle umilkł, dostrzegając, że trzęsą mu się ręce. - Wrócili!

- Roranie - wyszeptał z napięciem Baldor - nic nie możesz zrobić, posłuchaj, oni pracują dla króla. Nawet gdybyś zdołał uciec, zostałbyś uznany za banitę i sprowadził nieszczęście na Carvahall.

Czego oni chcą? Króla? Czemu Galbatorix rozkazał im torturować mojego ojca? - myślał gorączkowo Roran.

- Jeśli nie wydusili z Garrowa tego, co ich interesowało, a Eragon umknął z Bromem, to musi im chodzić o ciebie. - Baldor zawiesił głos, pozwalając, by znaczenie jego słów w pełni dotarło do Rorana. - Musimy wrócić i ostrzec wszystkich. Potem się ukryjesz. Tylko ci dwaj obcy mają konie; jeżeli pobiegniemy, zdążymy pierwsi.

Roran wpatrywał się przez krzaki w nieświadomych niczego żołnierzy. Serce tłukło mu się w piersi. Łaknął zemsty, rozpaczliwie pragnął rzucić się do walki, zaatakować, ujrzeć dwóch zwiastunów nieszczęścia naszpikowanych strzałami, dopilnować, by spotkała ich sprawiedliwość.

Nieważne, że mógłby zginąć, byle tylko w jednej szaleńczej chwili uwolnić się od bólu i smutku. Wystarczy jedynie wyjść z ukrycia, a dalej wydarzenia potoczą się same. Tylko jeden maleńki krok.

Dławiąc szloch, zacisnął pięści i odwrócił spojrzenie. Nie mogę zostawić Katriny. Na chwilę zeszytniał, mrugając, aż w końcu boleśnie powoli się cofnął.

- Wracajmy zatem.

Nie czekając na reakcję Baldora, zaczął jak najszybciej przemykać między drzewami. Gdy stracił z oczu obóz, wybiegł na drogę i puścił się pędem, gnany frustracją, złością i strachem. Baldor wygramolił się za nim, doganiając go na prostej. W końcu Roran zwolnił, biegnąc swobodnie, i zaczął czekać, aż towarzysz się z nim zrówna.

- Powiadom wszystkich. Ja porozmawiam z Horstem.

Baldor kiwnął głową i znów przyspieszył kroku.

Po dwóch milach zatrzymali się, by chwilę odpocząć i zaspokoić pragnienie. Gdy przestali dyszeć, znów ruszyli naprzód przez niskie wzgórza, otaczające Carvahall. Droga pod górę i w dół zmusiła ich do zwolnienia tempa, wkrótce jednak ujrzeni przed sobą wioskę.

Roran natychmiast skreślił do kuźni, pozostawiając Baldora na drodze. Mijając w pędzie dom, gorączkowo kreślił plany uniknięcia bądź zabicia obcych bez wzbudzenia gniewu imperium. Gdy wpadł do kuźni, Horst wbijał akurat kołek w ramę wozu Quimby'ego, śpiewając głośno:

*Hej, ho!  
Brzęczy i dźwięczy na kowadle młot,  
kapryśny metal i stali grzmot,  
z hukiem i brzękiem trzymam w garści młot  
i biję niesforne żelazo!*

Na widok Rorana Horst zamarł z uniesioną ręką.

- Co się stało, chłopcze? Baldor jest ranny?

Roran pokręcił głową i pochylił się, głośno chwytnąc powietrze. Krótkimi zdaniem zrelacjonował wszystko co widzieli i powtórzył ich wnioski, w tym najważniejszy: że obcy to bez wątpienia agenci imperium.

Horst przeczesał palcami brodę.

- Musisz opuścić Carvahall. Weź z domu jedzenie na drogę, potem zabierz moją klacz od Ivora - pożyczyl ją do karczowania pniaków - i jedź na pogórze. Gdy się dowiemy, czego chcą żołnierze, przyślę do ciebie Albriecha bądź Baldora.

- Co powiesz, jeśli spytają o mnie?

- Że wyruszyłeś na łowy i nie wiemy kiedy wrócisz. Zresztą to prawda. Wątpię, by zaryzykowali wyprawę do lasu. Będą się bali, że cię przeoczą. Zakładając oczywiście, że to o ciebie im chodzi.

Roran skinął głową, odwrócił się i pobiegł do domu Horsta. W środku zerwał ze ściany uprząż i juki klaczy, szybko przygotował prowiant - rzepe, buraki, suszone mięso i bochen chleba - złapał kociołek i wypadł na dwór. Zatrzymał się tylko na moment, by wyjaśnić Elaine, jak wygląda sytuacja. Dźwigając w objęciach niewygodne zawiniątko z zapasami, pobiegł na wschód z Carvahall na farmę Ivora.

Zastał farmera obok domu. Poganiał wierzbową witką klacz, która usiłowała wyciągnąć z ziemi rozgałęzione korzenie wiązu.

- No dalej! - krzyczał farmer. - Przyłóż się, przyłóż! - Koń zadrzał wysiłku, wokół wędzidla pokazała się piana.

W końcu pień uniósł się po gwałtownym szarpnięciu i runął na bok; korzenie skierowały się ku niebu niczym pokrzywione palce. Ivor pociągnął lekko wodze klaczy i poklepał ją dobrodusznie.

- Już dobrze, dobrze.

Roran pomachał mu z daleka, a gdy się zbliżył, wskazał dłonią konia.

- Muszę ją pożyczyć. - Szybko wyjaśnił dlaczego.

Ivor zaklął i mamrocząc pod nosem, zaczął wyprzęgać klacz.



- Zawsze ktoś przeszkadza mi w chwili, gdy na dobre zabiorę się do roboty. Nigdy wcześniej.

Splótł ręce na piersiach i marszcząc brwi, przyglądał się Roranowi, który w skupieniu siodłał konia. Gdy skończył, wskoczył na grzbiet klaczy, trzymając w dłoni łuk.

- Przepraszam, że ci przeszkodziłem, ale nic nie mogłem na to poradzić.

- Nie przejmuj się. Uważaj tylko i nie daj się złapać.

- Spróbuję.

Wbijając pięty w boki klaczy, Roran usłyszał jeszcze krzyk Ivora:

- I nie ukrywaj się nad moim strumykiem!

Uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową, pochylony nisko nad końską szyją. Wkrótce dotarł do podnóża Kościca i wjechał w góry, stanowiące północną granicę doliny Palancar. Po jakimś czasie odnalazł miejsce na zboczu, z którego mógł niezauważony obserwować Carvahall. Uwiązał wierzchowca i siadł na ziemi, czekając. Powiódł wzrokiem po ciemnych koronach sosen i zadrżał. Nie lubił przebywać tak blisko Kościca. Niemal nikt z Carvahall nie śmiał zapuszczać się w góry, a ci, którzy to robili, często nie wracali.

Wkrótce Roran ujrzał żołnierzy maszerujących parami drogą. Naprzodzie jechały dwie złowieszcze czarne postaci. Naprędce zebrana grupka mężczyzn, niektórzy z kilofami w dłoniach, zatrzymała ich na skraju wioski. Obie strony zaczęły rozmawiać, a potem stanęły naprzeciwko siebie niczym warczące psy, czekające kto uderzy pierwszy.

Po długiej chwili mężczyźni z Carvahall rozstąpili się, przepuszczając intruzów.

Co teraz? - myślał Roran, huśtając się na piętach.

☆☆☆

Do wieczora żołnierze rozbili obóz na polu obok wioski. Ich namioty tworzyły niski, szary czworobok, wewnątrz którego migały powykrzywiane cienie wartowników patrolujących obrzeża. Pośrodku czworoboku wielkie ognisko wysyłało w powietrze obłoki dymu.

Roran także rozbił obóz. Teraz mógł już tylko patrzeć i rozmyślać. Zawsze zakładał, że gdy obcy zniszczyli jego dom, dostali to po co przyszli, to znaczy kamień znaleziony przez Eragona w Kościcu. Może jednak go nie znaleźli? Może Eragon zdołał z nim uciec? Uznał, że powinien odejść, by go ochronić? Roran zmarszczył brwi. To w znacznej mierze tłumaczyło przyczynę ucieczki kuzyna, jednakże nadal wydawało się dość naciągane. Niezależnie od powodów, król musi uważać ów kamień za fantastyczny skarb, skoro przysłał po niego tak wielu ludzi.

Nie pojmuję, czemu miałyby być taki cenny? Może chodzi o magię? - zastanawiał się.

Wciągnął głęboko w płuca haust chłodnego wieczornego powietrza, słuchając pohukiwania sowy. Nagle jego uwagę przyciągnął niespodziewany ruch. Jakiś człowiek przedzierał się przez las poniżej. Roran ukrył się szybko za głazem, naciągając cięciwę łuku. Odczekał i upewniwszy się, że to Albrich, zagwizdał cicho.

Syn kowala wkrótce dotarł do głazu, dźwigając na plecach wypchany worek. Stęknął i rzucił go na ziemię.

- Myślałem już, że nigdy cię nie znajdę.

Dziwię się, że znalazłeś.

- Nie mogę powiedzieć, że podobał mi się marsz po lesie po zachodzie słońca. Cały czas spodziewałem się, że natknę się na niedźwiedzia albo coś jeszcze gorszego. Jeśli chcesz znać moje zdanie, Kościec to niedobre miejsce dla ludzi.

Roran znów spojrzał w stronę Carvahall.

- Po co właściwie przyszli?

- Żeby cię zabrać. Są gotowi czekać ile tylko trzeba na twój powrót z polowania.

Roran usiadł. Czuł się, jakby wokół jego żołądka zacisnęła się lodowata dłoń.

- Podali jakiś powód? Wspominali o kamieniu?

Albriech pokręcił głową.

- Mówili tylko, że to sprawa króla. Cały dzień zadawali pytania o ciebie i Eragona, nic więcej ich nie interesowało. Zostałbym z tobą, ale rano zauważyliby moją nieobecność. Przyniosłem ci jedzenie i koce oraz maści Gertrudę na wypadek gdybyś się zranił. Dasz sobie radę.

Przywołując na pomoc wszystkie swe siły, Roran uśmiechnął się.

- Dzięki.

- Każdy postąpiłby tak samo. - Albriech, lekko zażenowany, wzruszył ramionami.

Zawrócił, przeszedł parę kroków, po czym obejrzał się przez ramię.

- A przy okazji, ci dwaj obcy... Nazywają ich Ra'zacami.

## *Przyrzeczenie Saphiry*

Rankiem po spotkaniu z Radą Starszych Eragon czyścił właśnie i natłuszczał siodło Saphiry, starając się nie nadwierać pleców, gdy złożył mu wizytę Orik. Krasnolud odczekał cierpliwie, aż Eragon skończy oliwić pasek, po czym zapytał:

- Czujesz się dziś lepiej?

- Odrobinę.

- To dobrze, potrzebna nam twoja siła. Przychodzę po części dlatego, żeby zobaczyć jak się miewasz, a po części dlatego, że jeśli nie masz innych zajęć, Hrothgar chciałby z tobą pomówić.

Eragon uśmiechnął się cierpko.

- Dla niego zawsze znajdę czas. Musi o tym wiedzieć.

Orik roześmiał się.

- Owszem, ale grzeczniej jest spytać.

Gdy Eragon odłożył siodło, Saphira wyłoniła się z wyściełanego kąta i powitała Orika przyjacielskim warknięciem.

- Tobie też życzę dobrego dnia - odparł, składając głęboki ukłon.

Krasnolud poprowadził ich jednym z czterech głównych korytarzy Tronjheimu w stronę środkowej komnaty i rozgałęzienia schodów wiodących pod ziemię do sali tronowej króla. Nim dotarli do okrągłej komnaty skręcił na inne schody.

Dopiero po chwili Eragon zrozumiał, że Orik zrobił to, by nie musieć oglądać strzaskanego Isidar Mithrimu.

Wkrótce zatrzymali się przed granitowymi drzwiami ozdobionymi koroną o siedmiu szczytach. Siedmiu zbrojnych krasnoludów stojących po obu stronach wejścia jednocześnie uderzyło o ziemię drzewcami swych kilofów. Do wtóru łomotu drewna o kamień drzwi otwarły się do środka.

Eragon pozdrowił Orika skinieniem głowy, po czym wraz z Saphirą weszli do mrocznej sali. Maszerowali razem w stronę odległego tronu, mijając po drodze nieruchome posągi, hirny, dawnych krasnoludzkich królów. Dotarłszy do stóp ciężkiego, czarnego tronu, Eragon ukłonił się. Krasnoludzki władca pochylił w odpowiedzi srebrzystą głowę i osadzone w złotym hełmie rubiny zaśniły krwawym blaskiem niczym odłamki rozżarzonej stali. Na jego okrytych kolczugą kolanach spoczywał Volund, młot bojowy.

- Cieniobójco - przemówił Hrothgar - witaj w moim dworze. Wiele uczyniłeś od naszego ostatniego spotkania. Dowiodłeś też, że myliłem się co do Zar'roca. Ostrze Morzana będzie mile widziane w Tronjheimie, dopóki zostanie u twego boku.

- Dziękuję - odparł Eragon.

- Chcemy także, byś zatrzymał zbroję, którą nosiłeś w bitwie o Farthen Dur. Teraz naprawiają ją nasi najlepsi kowale. To samo czynią ze smoczą zbroją i gdy ją zreperują, Saphira może używać jej, jak długo zechce, bądź do chwili, gdy z niej wyrośnie. Chociaż w taki sposób możemy okazać naszą wdzięczność. Gdyby nie wojna z Galbatorixem, wyprawilibyśmy ucztę i święta na waszą cześć... Będą jednak musiały poczekać do spokojniejszych czasów.

- Wasza hojność przekracza wszystko, o czym mogliśmy marzyć - odparł Eragon w imieniu swoim i Saphiry. - Będziemy dumni z tak szlachetnych darów.

Wyraźnie zadowolony Hrothgar mimo to skrzywił się, ściągając krzaczaste brwi.

- Nie możemy, niestety, dłużej wymieniać uprzejmości. Wszystkie klany nekają mnie, bym coś zrobił w sprawie następcy Ajihada. Gdy Rada starszych ogłosiła wczoraj, że poprze Nasuadę, wśród mego ludu wybuchły dyskusje, jakich nie oglądałem, odkąd wstąpiłem na tron. Przywódcy Klanów musieli zdecydować, czy przyjmą Nasuadę, czy też poszukają innego kandydata. Większość uznała, że Nasuada winna poprowadzić Vardenów. Ja jednak, nim skłonię się ku którejś

ze stron, chcę poznać twoje zdanie, Eragonie. Żaden król nie może sobie pozwolić, by wyjść na głupca.

*Ile możemy mu powiedzieć?* - spytał Saphirę Eragon.

*Zawsze traktował nas uczciwie, ale nie mamy pojęcia, co obiecał innym. Lepiej zachowajmy ostrożność do chwili, gdy Nasuada w pełni przejmie władzę.*

*Zgoda.*

- Saphira i ja zgodziliśmy się pomóc Nasuadzie. Nie sprzeciwimy się jej powołaniu. I - Eragon zastanawiał się, czy nie posuwa się za daleko - proszę, byś uczynił to samo. Vardeni nie mogą sobie pozwolić na wewnętrzne spory. Potrzebują jedności.

- Oei. - Hrothgar odchylił się. - Przemawiasz z nowym autorytetem. Twoja sugestia brzmi dobrze, rodzi się jednak pytanie: Czy sądzisz, że Nasuada będzie mądrym przywódcą, czy też twym wyborem kierują inne motywy?

*To próba* - ostrzegła Saphira. *Chce wiedzieć, czemu ją poparliśmy.*

Eragon poczuł, jak jego usta wyginają się w lekkim uśmiechu.

- Uważam, że jest mądra i przebiegła nad swój wiek. Będzie dobrym przywódcą Vardenów.

- I dlatego ją popierasz?

- Tak

Hrodagar przytaknął i jego długa śnieżnobiała broda zafalowała.

- Z ulgą przyjmuję twoje słowa. Ostatnio zbyt mało troszczono się o to, co jest słuszne i dobre, a stanowczo za wiele o kwestie władzy dla poszczególnych osób. Trudno obserwować bez gniewu podobną głupotę.

W sali tronowej zapadła niezręczna cisza. W końcu Eragon odezwał się, by ją przerwać.

- Co zamierzacie zrobić ze smoczą twierdzą? Czy położycie nową posadzkę?

Po raz pierwszy dostrzegł w oczach króla przejmujący smutek, który pogłębił jeszcze okalające je, niczym szprychy kół, zmarszczki. Eragon nie widział dotąd krasnoluda równie bliskiego płaczu.

- Wielu trzeba rozmów, nim podejmiemy jakieś kroki. Saphira i Arya dokonały straszliwego czynu. Może koniecznego, ale i straszliwego. Być może lepiej byłoby, gdyby urgale nas pokonały, nim we dwie strzaskały Isidar Mithrim. Serce Tronjheimu pękło, podobnie nasze serca. - Hrothgar przyłożył pięść do piersi, powoli rozprostował dłoń i wyciągnął ją, chwytając owinięte w skórę drzewce Volunda.

Saphira dotknęła umysłu Eragona. Wyczuł w niej wiele emocji; najbardziej zaskoczyły go smutek i poczucie winy. Szczerze żałowała zniszczenia Gwiazdzistej Róży, mimo że musiało do tego dojść.

*Mój mały* - rzekła - *pomóż mi. Muszę pomówić z Hrothgarem. Spytaj go, krasnoludy potrafią odbudować Isidar Mithrim z odłamków?*

Gdy Eragon powtórzył jej słowa, Hrothgar wymamrotał coś we własnym języku.

- Mamy niezbędne umiejętności - dodał. - Ale co nam po nich? Zadanie to zabrałoby nam miesiące, nawet lata i w końcu otrzymalibyśmy tylko żalostną parodię piękna, które niegdyś zdołało Tronjheim! Nie pozwolę na podobną kpinę.

Saphira ani na moment nie spuszczała wzroku z króla.

*Teraz powiedz mi, że jeśli złoża Isidar Mithrim tak, by nie zabrakło nawet jednego kawałka, wierzę, że zdołam go scalić.*

Eragon zachłysnął się. W swym zdumieniu zapomniał zupełnie o obecności Hrothgara.

*Saphiro, to wymagałoby niewiarygodnej energii! Sama mi mówiłaś, że nie potrafisz swobodnie posługiwać się magią. Skąd pewność, że zdołasz to zrobić?*

*Zdołam, jeśli potrzeba stanie się wystarczająco wielka. To będzie mój dar dla krasnoludów. Przypomnij sobie grobowiec Broma i niechaj to przegna twe wątpliwości. I zamknij usta. Rozchylanie ich jest nieprzystojne, zwłaszcza przed królem.*

Gdy Eragon przekazał propozycję Saphiry, Hrothgar wyprostował się gwałtownie.

- Czy to możliwe?! - wykrzyknął. - Nawet elfy nie podjęłyby się takiego dzieła.

- Jest pewna swoich zdolności.

- Zatem odbudujemy Isidar Mithrim, nieważne, czy zajmie to dziesięć, czy sto lat. Stworzymy szkielek klejnotu i osadzimy na pierwotnych miejscach wszystkie odłamki, nie zapomnimy nawet o najmniejszym, Choćbyśmy mieli rozbijać na części większe kawałki, dokonamy tego, dokładając wszelkich wysiłków, korzystając ze wszystkich zdolności do pracy w kamieniu, by nie uronić nawet pyłku. A kiedy skończymy, przybędziecie tu i uleczycie Gwiazdzystą Różę.

- Przybędziemy. - Eragon uklonił się.

Hrothgar uśmiechnął się, zupełnie jakby na ich oczach pękł granitowy mur

- Ogromną radość sprawiłaś mi, Saphiro. Znow mam powód, by żyć i władać. Jeśli to zrobisz, krasnoludy na całym świecie będą czcić twoje imię przez niezliczone pokolenia. Idźcie teraz z moim błogosławieństwem, a ja powiadomię klany o naszej rozmowie. Nie zachowujcie milczenia, czekając na moje słowa, bo każdy krasnolud winien jak najprędzej usłyszeć tę wieść. Powtórzcie ją wszystkim, których spotkacie.

Skłoniwszy się raz jeszcze, Eragon i Saphira odeszli, pozostawiając uśmiechniętego władcę krasnoludów. Za drzwiami Eragon opowiedział o wszystkim Orikowi. Krasnolud natychmiast pokłonił się i ucałował posadzkę u stóp Saphiry. Potem wstał z szerokim uśmiechem i ucisnął dłoń Eragona.

- To doprawdy cud. Daliście nam dokładnie tę nadzieję, jakiej potrzebowaliśmy, by pogodzić się z tym co zaszło. Założę się, że dziś wieczór miód popłynie strumieniami.

- A jutro jest pogrzeb.

Orik spowaźniał.

- Jutro tak, lecz do tego czasu nie pozwolimy się dręczyć nieszczęśliwym myśłom. Chodźcie.

Nie wypuszczając dłoni Eragona, krasnolud pociągnął go w głąb Tronjheimu, do wielkiej sali biesiadnej, w której wokół kamiennych stołów zasiadało mnóstwo krasnoludów. Orik wskoczył na pierwszy z brzegu, zrzucając na podłogę naczynia, i gromkim głosem powtórzył wieści o Isidar Mithrimie. Odpowiedziały mu wiwaty i krzyki, które niemal ogłuszyły Eragona. Każdy z krasnoludów upierał się, by podejść do Saphiry i ucałować posadzkę, tak jak to uczynił Orik. Gdy skończyli, odstawili talerze i napełnili kamienne kufle piwem i miodem.

Eragon dołączył do zabawy z zapalem, który zaskoczył nawet jego. Powszechna radość pomagała przegnać melancholię, jaka zagnieździła się mu w sercu. Próbował jednak nie oddawać się pijaństwu, świadom obowiązków oczekujących go następnego dnia. Zdecydowanie wolał zachować wówczas trzeźwy umysł.

Nawet Saphira skosztowała miodu, a gdy odkryła, że jej smakuje, krasnoludy wytoczyły dla niej całą beczkę. Wsuwając potężne szczęki do środka, opróżniła ją trzema długimi łykami, po czym uniosła głowę do sufitu i beknęła, wyrzucając z paszczy olbrzymi jęzor ognia. Eragon przez kilkanaście minut przekonywał krasnoludy, że mogą bezpiecznie zbliżyć się do smoczyca, a gdy mu się to udało, natychmiast - wbrew protestom kucharza - postawiły przed nią drugą beczkę i z podziwem patrzyły, jak i tę opróżniła.

W miarę, jak Saphira się upijała, jej uczucia i myśli z coraz większą siłą zalewały Eragona. Miał coraz większe trudności z poleganiem na własnych myślach. Oglądał świat jednocześnie swoimi i jej oczami, a wzrok smoczyca sprawiał, że otoczenie zamazywało się, nabierało innych kolorów. Nawet zapachy co chwila ulegały zmianie, stawały się ostrzejsze, mocniejsze. Krasnoludy zaczęły śpiewać. Saphira, wijąc się w miejscu, nucila im do wtóru, podkreślając każdy wers rykiem. Eragon otworzył usta, by dołączyć do chóru, i ze zdumieniem odkrył, że zamiast słów wydobył się z nich ochrypły smoczy warkot. To już za wiele, pomyślał, kręcąc głową. A może po prostu jestem pijany? W końcu uznał, że to nie ma znaczenia i nie zważając na swój głos, podjął radosną pieśń. W miarę rozchodzenia się wieści o Isidar Mithrimie coraz więcej krasnoludów przybywało do sali. Wkrótce setki stłoczyły się przy stołach, tworząc ciasny pierścień wokół Eragona i Saphiry. Orik wezwał muzyków, którzy ustawili się w kątach i ściągnęli z instrumentów pokrowce z zielonego aksamitu. Wkrótce rozbrzmiały dźwięki harf, lutni i srebrnych fletów.

Minęło wiele godzin, nim w końcu zgiełk zaczął cichnąć. Wówczas Orik ponownie wgramolił się na stół. Stał tam w rozkroku, próbując zachować równowagę, z kuflem w rękę i przekrzywioną, okutą żelazem czapką na głowie.

- Słuchajcie! - wykrzyknął. - W końcu uczciliśmy wszystko tak jak należy. Urgale odeszły, Cień nie żyje, a my zwyciężyliśmy! - Krasnoludy zabębniły pięściami o blaty. To była świetna mowa, krótka i do rzeczy, lecz Orik jeszcze nie skończył. - Za Eragona i Saphirę! - huknął, unosząc kufel. Toast także spotkał się z ogólną aprobatą.

Eragon wstał i skłonił się do wtóru kolejnych okrzyków. Obok niego Saphira ryknęła i uniosła przednią nogę, przyciskając ją do piersi i próbując go naśladować. Zachwiała się, a krasnoludy, dostrzegając niebezpieczeństwo, uknęły na boki. Ledwie zdążyły. Z głośnym hukiem Saphira runęła w tył, lądując na jednym ze stołów.

Plecy Eragona przeszła gwałtowna błyskawica bólu. Bez zmysłów runął na ogon smoczy.

## Requiem

- Obudź się, Knurliem, nie możesz teraz spać. Potrzebują nas przy bramie, bez nas nie zaczną.

Eragon uniósł z wysiłkiem ciężkie powieki, świadom bólu głowy i całego ciała. Leżał na zimnym, kamiennym stole.

- Co? - Skrzywił się, czując niesmak na języku. Orik szarpnął swą brązową brodę.

- Kondukt Ajihada. Musimy do niego dołączyć.

- Nie, nie, jak mnie nazwałeś?

Wciąż przebywali w sali bankietowej, lecz prócz niego, Orika i Saphiry była pusta. Smoczyca leżała na boku między dwoma stołami. Teraz poruszyła się i uniosła głowę, rozglądając się przekrwionymi oczami.

- Kamiennogłowy! Nazwałem cię kamiennogłowym, bo od prawie godziny usiłuje cię obudzić.

Eragon usiadł z trudem i zsunął się ze stołu. W jego umyśle pojawiły się przebliski wspomnień z poprzedniego wieczoru.

*Saphiro, jak się czujesz?* - spytał, podchodząc do niej chwiejnie.

Smoczyca obróciła głowę, raz po raz przesuwając szkarłatnym językiem po zębach, niczym kot, który zjadł coś bardzo niesmacznego.

*Jestem cała... tak myślę. Coś dziwnego stało się z moim lewym skrzydłem - chyba je sobie przygniotłam, a głowę wypełniają mi setki rozpalonych strzał*

- Czy zraniła kogoś, gdy upadła? - spytał zatroskany Eragon.

Potężna pierś krasnoluda uniosła się w serdecznym śmiechu.

- Tylko tych, co z radości pospadali z krzesel. Smok, który pije i pada bez zmysłów! Z pewnością przez wiele lat będą o tym śpiewać pieśni.

Saphira rozprostowała skrzydła i z nadąsaną miną odwróciła głowę.

- Uznaliśmy, że najlepiej będzie was tu zostawić, a zresztą i tak nie mogliśmy cię poruszyć, Saphiro - kontynuował krasnolud. - Kucharz strasznie protestował; lękał się, że wypijesz więcej niż cztery beczki jego najlepszego miodu.

*I ty miałaś do mnie pretensje o picie? Gdybym opróżnił cztery beczki, padłbym trupem.*

*Dlatego właśnie nie jesteś smokiem.*

Orik wepchnął mu w rękę naręczne ubrań.

- Masz, włóż to. Nadaje się na pogrzeb bardziej niż twój strój. Ale szybko, mamy niewiele czasu.

Eragon pośpiesznie naciągnął nowe ubranie - zwiewną białą koszulę z wiązaniem przy mankietach, czerwoną kamizelę ozdobioną złotymi szamerunkami i haftami, ciemne spodnie, lśniące, wysokie czarne buty, stukające głośno o posadzkę, i obszerną pelerynę spinaną pod szyją wysadzaną klejnotami broszą. Zar'roc zawisł na ozdobnym pasie.

Eragon ochlapał twarz zimną wodą i spróbował przeczesać potargane włosy. Potem Orik wyprowadził go wraz z Saphirą z sali i poganiając, powiódł korytarzami w stronę południowej bramy Tronjheimu.

- Musimy zacząć stamtąd - wyjaśnił, poruszając się ze zdumiewającą prędkością na swych krótkich nogach - bo tam właśnie zatrzymała się trzy dni temu procesja z ciałem Ajihada. Jego podróż do grobu musi się odbywać płynnie, inaczej duch nie zazna spokoju.

*Osobliwy zwyczaj* - zauważyła Saphira.

Eragon zgodził się, dostrzegając, że smoczyca ma mały kłopot z utrzymaniem równowagi. W Carvahall ludzi zwykle grzebano na ich farmach albo, jeśli mieszkali w wiosce, na niewielkim cmentarzu. Towarzyszyła temu jedynie garstka prostych rytuałów - recytacje fragmentów pewnych ballad i stypa urządzana później dla krewnych i przyjaciół.

*Czy wytrzymasz cały pogrzeb?* - spytał po kolejnym potknięciu Saphiry.

Smoczyca skrzywiła się.

*Pogrzeb i mianowanie Nasuady. Ale potem muszę się przespać. Zaraza na ten miód!*

Eragon powrócił do rozmowy z Orikiem.

- Gdzie zostanie pochowany Ajihad?

Krasnolud zwolnił i ostrożnie spojrzął na swego towarzysza.

- To kwestia sporna wśród klanów. Gdy krasnolud umiera, uważamy że należy zamknąć go w kamieniu, w przeciwnym razie nigdy nie dołączy do swych przodków. To skomplikowane, nie mogę powiedzieć więcej komuś z zewnątrz, ale dokładamy wszelkich starań, by zapewnić mu podobny pogrzeb. Spoczynek ciała w gorszym żywiole przynosi hańbę rodzinie lub KLANOM. Pod Farthen Durem istnieje komora stanowiąca dom wszystkich knurlan, krasnoludów, którzy tu umarli. Tam właśnie trafi Ajihad. Nie może zostać pogrzebany z nami, jest bowiem człowiekiem. Przygotowano mu jednak wydrążoną niszę. Vardeni będą go odwiedzać, nie naruszając naszych uświęconych grot, a Ajihad otrzyma godny pochówek, na jaki zasłużył.

- Wasz król wiele zrobił dla Vardenów - zauważył Eragon.

- Niektórzy twierdzą, że zbyt wiele.

\*\*\*

Przed bramą — podniesioną na ukrytych łańcuchach i ukazującą słabe światło dnia sączące się do Farthen Duru - zastali już ustawiony i gotowi do drogi orszak. Na przodzie leżał Ajihad, zimny i blady na płycie z białego marmuru, dźwiganej przez sześciu mężów w czarnych zbrojach. Na głowie miał hełm wysadzany drogocennymi kamieniami, dłonie splecione tuż pod obojczykami spoczywały na kościanej rękojeści nagiego miecza wystającego spod tarczy zakrywającej pierś i nogi. Srebrna kolczuga, jakby utkana z pierścieni księżycowego światła, spływała na marmur.

Tuż za ciałem stała Nasuada, poważna i odziana w żałobną czerń. Twarz miała mokrą od łez. U jej boku czekał Hrothgar w ciemnych szatach, dalej Arya, Rada Starszych ze stosownie smutnymi minami i wreszcie szereg żałobników, ciągnący się na milę poza Tronjheim.

Wszystkie drzwi i przejścia w czteropiętrowym korytarzu wiodącym do środkowej komnaty Tronjheimu, leżącej pół mili dalej, stały otworem. Tłoczyli się w nich ludzie i krasnoludy. Pomędzy szarymi plamami twarzy długie gobeliny kołysały się unoszone setkami westchnień i szepców gdy pojawili się Saphira i Eragon.

Jórmundur wezwał ich gestem. Starając się nie naruszyć kolumny, Eragon i Saphira przesunęli się naprzód w ślad za nim, ścigani nieprzychylnym spojrzeniem Sabrae.

Orik stanął obok swego króla.

Eragon nie wiedział na co wszyscy czekają.

Latarnie były na wpół przesłonięte, toteż wokół panował chłodny półmrok nadając otoczeniu nierzeczywistą aurę. Nikt się nie poruszał, nawet nie oddychał. Przez krótką chwilę Eragon wyobraził sobie, że otaczają go posągi zastygłe na całą wieczność. Z noszy unosiła się samotna smużka dymu z kadzidła i leniwie wspinała się ku pogrążonym w mgiełce sufitym, niosąc woń cedru i janowca. W całej sali poruszała się tylko ona - cienka linia wijąca się niczym wąż i kołysząca z boku na bok.

Głęboko w Tronjheimie odezwał się bęben.

*Bum.*

Donośny basowy łoskot odbił się echem, przenikając do kości, wstrząsając miastem-górą i sprawiając, że zadźwięczało całe niczym wielki kamienny dzwon.

Postąpili krok naprzód.

*Bum.*

Przy drugim uderzeniu do pierwszego bębna dołączył kolejny, o jeszcze niższym tonie. Ich zgodne głosy wstrząsnęły korytarzem. Siła dźwięku popychała procesję w majestatycznym tempie, nadawała każdemu krokowi znaczenie, cel, powagę stosowną do okoliczności. Żadna myśl nie mogła przetrwać wibrujących wokół dźwięków, jedynie wezbranie emocji, które bębny podsycaly, zrećcznie przywołując jednocześnie łyzy i gorzko-słodką radość.



*Bum.*

Gdy tunel dobiegł końca, niosący Ajihada mężczyźni zatrzymali się pomiędzy onyksowymi kolumnami. W końcu ruszyli w głąb środkowej sali. Eragon ujrzał, jak krasnoludy poważnieją jeszcze bardziej na widok Isidar Midirimu.

*Bum.*

Wędrowali przez kryształowy cmentarz. Krąg potężnych odłamków leżał pośrodku olbrzymiej komnaty, otaczając połyskliwy wzór w posadzce: młot i gwiazdy. Wiele kawałków rozmiarami przewyższało Saphirę. W ich głębi wciąż połyskiwały promienie gwiazdzistego szafiru, na niektórych było widać płatki rzeźbionej róży.

*Bum.*

Niosący nosze wędrowali naprzód pomiędzy niezliczonymi ostrymi jak brzytwa krawędziami. Potem procesja skręciła i zeszła po szerokich stopniach, zagłębiając się w tunele poniżej. Maszerowali przez wiele grot, mijając kamienne chaty, w których krasnoludzkie dzieci tuliły się do matek, odprowadzających kondukt spojrzzeniami wielkich zdumionych oczu.

*Bum.*

Do wtóru końcowego crescendo zatrzymali się pod karbowanymi stalaktytami zwieszającymi się ze sklepienia olbrzymich katakumb, pełnych niewielkich nisz. W każdej z nich krył się grobowiec, ozdobiony imieniem i herbem klanu. Spoczywały tu tysiące - setki tysięcy. Jedyne światło rzucały rozmieszczone z rzadka czerwone latarnie, blade pośród cieni.

Po chwili niosący ciało przeszli do niewielkiego pomieszczenia, sąsiadującego z główną komorą. Pośrodku, na platformie czekała wielka kryp. ta, wypełniona ciemnością.

Na jej szczycie widniał runiczny napis:

*Niechaj wszyscy Knurlan, Ludzie i Elfy*

*Pamiętają*

*Tego człowieka.*

*Był bowiem szlachetny, silny i mądry*

*Guntera Aruna*

Na oczach zgromadzonych wokół żałobników ciało Ajihada opuszczono w głąb krypty. Ci, którzy znali go osobiście, mogli podejść bliżej. Eragon i Saphira stali tuż za Aryą. Wspinając się po marmurowych schodach, Eragon poczuł obezwładniający smutek. Jego rozpacz wzmacniał jeszcze fakt, że miał wrażenie, iż obok Ajihada chowa też symbolicznie Murtagha. Zatrzymując się obok grobu, spojrzął na Ajihada. Martwy przywódca Vardenów wydawał się znacznie spokojniejszy i bardziej pogodny niż za życia, jakby dopiero śmierć dostrzegła jego wielkość i uczciła, zmazując wszystkie ślady codziennych trosk. Eragon znał go bardzo krótko, lecz w tym czasie Ajihad zyskał sobie jego szacunek. Był wspaniałym człowiekiem i przez całe życie dążył do osiągnięcia wyznaczonego celu - wolności od tyranii. Poza tym przywódca Vardenów jako pierwszy po ucieczce z doliny Palancar ofiarował mu i Saphirze bezpieczne schronienie.

Pogrążony w smutku Eragon szukał w myślach największej możliwej pochwały. W końcu, poprzez ściśnięte gardło wyszeptał:

- Będą o tobie pamiętać, Ajihadzie, przysięgam. Spoczywaj w pokoju i bądź pewien, że Nasuada podejmie twoje dzieło, a imperium zostanie obalone dzięki temu, co osiągnąłeś.

Świadom dotyku Saphiry na ramieniu, Eragon zszedł z platformy wraz ze smoczącą i podążył za Jórmundurem na swoje miejsce.

Gdy w końcu wszyscy się pożegnali, Nasuada skłoniła się nad Ajihadem i dotknęła dłoni ojca, przytrzymując ją przez chwilę. W końcu jęknęła boleśnie i zaczęła śpiewać.

A potem zjawilo się dwanaście krasnoludów, które zakryły marmurową płytą twarz Ajihada. I tak odszedł.

## Hołd

Ludzie powoli wypełniali podziemny amfiteatr. Nad wielką areną unosił się szmer głosów, omawiających przebieg pogrzebu.

Eragon ziewnął, zasłaniając usta dłonią. Siedział w najniższym rzędzie, na poziomie podium. Miejsca obok niego zajęli Orik, Arya, Hrothgar, Nasuada i członkowie Rady Starszych. Saphira stała na schodach wiodących ku wyższym poziomom. Orik nachylił się ku Eragonowi.

- Od czasów Korgana wybierano tu wszystkich naszych królów. Słusznie zatem, by i Vardeni postąpili podobnie.

Przekonamy się jeszcze, pomyślał Eragon, czy przekazanie władzy przebiegnie spokojnie. Potarł ręką oko, przeganiając łzy. Ceremonia pogrzebowa wstrząsnęła nim do głębi.

W końcu zdenerwowanie zwyciężyło w walce ze smutkiem i ścisnęło mu trzewia. Martwił się o swą rolę w zbliżającej się uroczystości. Nawet jeśli wszystko pójdzie dobrze, mieli wraz z Saphirą wkrótce zyskać sobie potężnych wrogów. Na oślep sięgnął po Zar'roca i mocno ścisnął rękojeść miecza.

Po kilkunastu minutach amfiteatr był już wypełniony publicznością, wtedy Jórmundur wystąpił na podium.

- Ludu Vardenów, staliśmy tu po raz ostatni piętnaście lat temu, po śmierci Deynora. Jego następca, Ajihad, uczynił przeciw imperium i Galbatorixowi więcej niż ktokolwiek wcześniej. Zwyciężył w niezliczonych bitwach z przeważającymi siłami. O mało nie zabił Durzy i zadrapał klingę Cienia. A co najważniejsze, powitał w Tronjheimie Jeźdźca Eragona i Saphirę. Teraz jednak musimy wybrać nowego przywódcę.

Ktoś w górze krzyknął:

- Cieniobójca!

Eragon powstrzymał się od reakcji. Ucieszyło go, że Jórmundur nawet nie mrugnął.

- Może w przyszłości - rzekł. - Teraz jednak ma inne obowiązki. Nie, Rada Starszych długo rozmyślała. Potrzebujemy kogoś, kto rozumie nasze potrzeby i pragnienia. Kogoś, kto żył i cierpiał obok nas. Kogoś, kto odmówił ucieczki w obliczu bitwy.

W tym momencie Eragon wyczuł, że zebrani zaczynają rozumieć. Z tysięcy gardeł wyrwało się jedno imię. Jórmundur także je wymówił.

- Nasuada.

To rzekłszy, skłonił się i odszedł na bok.

Następna była Arya. Powiodła wzrokiem po zebranych.

- Elfy oddają dziś cześć Ajihadowi. W imieniu królowej Islanzadi uznają powołanie Nasuady i proponuję jej to samo wsparcie i przyjaźń, jakim darzyliśmy jej ojca. Oby gwiazdy czuwały nad nią.

Miejsce na podium zajął Hrothgar.

- Ja też popieram Nasuadę - rzekł szorstko. - Podobnie klany.

Nadeszła kolej Eragona. Stając przed tłumem, czując na sobie i Saphirze wzrok wszystkich, oświadczył:

- My również popieramy Nasuadę. - Saphira warknęła z aprobatą.

Po tych słowach poparcia członkowie Rady Starszych, z Jórmundurem na czele, ustawili się po obu stronach podium. Nasuada podeszła z dumnie uniesioną głową i uklękła przed nimi wśród kruczych fałd sukni. Jórmundur podniósł głos:

- Kierując się prawem dziedziczenia, wybraliśmy Nasuadę. Kierując się czynami jej ojca i błogosławieństwem współbraci, wybraliśmy Nasadę - Teraz pytam was, czy wybraliśmy mądrze?

Odpowiedział mu ogłuszający chór:

- Tak!

Jórmundur skinął głową.

- Zatem mocą przypisaną tej radzie, przekazujemy przypadające Ajihadowi przywileje i obowiązki jego jedynej dziedzicze, Nasuadzie. - Ostrożnie złożył na jej głowie srebrny diadem. Następnie ujął rękę dziewczyny, uniósł wysoko i wykrzyknął: - Daję wam nową przywódczynię!

Przez dziesięć minut Vardeni i krasnoludy wiwatowali, dając wyraz swej akceptacji. W sali zapanował zgiełk. W końcu, gdy krzyki ucichły, Sabrae skinęła dłonią na Eragona.

- Czas wypełnić obietnicę - szepnęła.

W tym momencie odniósł wrażenie, że wszystkie odgłosy umilkły. Jego zdenerwowanie także zniknęło. Dobrze wiedział, jak wielkie znaczenie ma ta chwila. Odetchnął głęboko, po czym wraz z Saphirą ruszyli w stronę Jórmundura i Nasuady. Wydawało mu się, że każdy krok trwa wieczność. Po drodze przyglądał się kolejno Sabrae, Elessari, Umerthowi i Falberdowi - dostrzegając ich półuśmiechy, pyszałkowatą pewność siebie i u Sabrae, otwartą wzdargę. Za plecami członków rady stała Arya. Skinęła głową na znak poparcia.

*Zaraz zmienimy, historie - oznajmiła Saphira. Rzucamy się z urwiska, nie widząc, w jak głęboką wpadniemy wodę. Ach, ale cóż za wspaniały czeka nas najpierw lot!*

Zerknąwszy przelotnie na spokojną twarz Nasuady, Eragon pokłonił się i ukląkł. Wysunął Zar'roca z pochwy i ułożył płasko na dłoniach, po czym uniósł, jakby chciał ofiarować miecz Jórmundurowi. Przez moment klinga zawisała między Jórmundurem i Nasuadą, na granicy dwóch różnych przeznaczeń. Eragon wstrzymał oddech. Jakież proste wybórze miał zdecydować o życiu, i o czymś więcej - losach smoka, króla i imperium.

A potem odetchnął głęboko i obrócił się ku Nasuadzie.

- Wiedziony najwyższym szacunkiem... i zrozumieniem czekających cię trudności, ja, Eragon, pierwszy Jeździec Vardenów, Cieniobójca i Argedam, daję ci me ostrze i składam hołd, Nasuado.

Vardeni i krasnoludy patrzyli wstrząśnięci. W jednej chwili triumf Rady Starszych przerodził się w pełną wściekłości niemoc. W ich spojrzeniach płonęła siła i nienawiść ludzi zdradzonych. Nawet Elessari poddała się tym uczuciom. Tylko Jórmundur - po krótkim oszołomieniu - wyglądał, jakby przyjął jego słowa ze spokojem.

Nasuada uśmiechnęła się i chwyciła Zar'roca, przykładając czubek miecza do czoła Eragona, dokładnie tak jak dzień wcześniej.

- To zaszczyt, że wybrałaś mnie, by mi służyć, Jeździec Eragonie. Przyjmuje go, tak jak ty przyjmujesz wszystkie obowiązki z tym związane. Powstań jako mój wasal i weź swój miecz.

Eragon posłuchał i cofnął się z Saphirą. Tłum, krzycząc entuzjastycznie zerwał się z miejsc. Krasnoludy tupąły rytmicznie swymi podkutymi buciorami, ludzie tłukli mieczami o tarcze.

Nasuada odwróciła się w stronę podium i chwyciła je obiema rękami patrząc w górę na zgromadzonych ludzi. Jej twarz rozjaśnił czysty radosny uśmiech.

- Ludu Vardenów!

Cisza.

- Jak mój ojciec przede mną, oddaję swoje życie wam i waszej sprawie. Nigdy nie ustane w walce, dopóki nie pokonamy urgali, nie zabijemy Galbatorixa i nie uwolnimy całej Alagaesii.

Odpowiedziała jej kolejna fala wiwatów.

- Mówię wam tedy, że nastał czas, byście się przygotowali. Tu, w Farthen Durze, po niezliczonych potyczkach, zwyciężyliśmy w największej z bitew. Nadeszła nasza kolej. Musimy uderzyć. Galbatorix jest słaby po utracie sporej liczby oddziałów. Podobna okazja może się nie przydarzyć nigdy więcej. Powtarzam zatem, czas się przygotować, abyśmy ponownie mogli cieszyć się zwycięstwem!

☆☆☆

Po wielu przemówieniach najróżniejszych osób, w tym wciąż kipiącego wściekłością Falberda, amfiteatr zaczął pustoszeć. Gdy Eragon wstał, by odejść, Orik chwycił go za rękę. Krasnolud wciąż sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Eragonie, czy zaplanowałeś to wszystko?

Eragon przez chwilę zastanowił się, czy rozsądnie będzie wyznać prawdę. W końcu skinął głową.

- Tak.

Orik głośno wypuścił ustami powietrze.

- To bardzo śmiałe posunięcie. Zapewniłeś Nasuadzie silną pozycję - Ale też, sądząc po reakcjach członków Rady Starszych, nie był to najbezpieczniejszy pomysł. Czy Arya go zaaprobowała?

- Zgodziła się, że to konieczne.

Krasnolud przyjrzał mu się z namysłem.

- Z pewnością. Właśnie odmieniłeś równowagę sił, Eragonie. Odtąd nikt już cię nie zlekceważy. Lękaj się jednak przegniłego kamienia. Zyskałeś sobie dziś potężnych wrogów.

Klepnął Eragona w ramię i odszedł.

Saphira odprowadziła go wzrokiem.

*Powinniśmy przygotować się do odejścia z Farthen Duru. Rada będzie szukać zemsty. Im szybciej znajdziemy się poza jej zasięgiem, tym lepiej.*

## Wizyta, wąż i wiadomość

Gdy tego wieczoru Eragon po kąpieli wracał do swej komnaty, zdumiał się, zastawszy czekającą przed drzwiami wysoką kobietę. Miała ciemne włosy, niezwykle błękitne oczy i usta wykrzywione w cierpkim uśmiechu. Jej przegub okalała złota bransoleta przedstawiająca syczącego węża. Eragon miał nadzieję, że nie jest to jedna z Vardenów przychodząca z prośbą o radę.

- Argetlamie. - Kobieta dygnęła z wdziękiem. W odpowiedzi skłonił głowę.

- Mogę czymś służyć?

- Mam nadzieję. Jestem Trianna, czarodziejka z Du Vrang Gata.

- Naprawdę czarodziejka? - Spojrzał na nią, zaintrygowany.

- A także magiczna wojowniczką, szpieg i cokolwiek, czym powinnam być dla Vardenów.

Brakuje nam władających magią, toteż każdy z nas pełni różne role. - Uśmiechnęła się, odsłaniając równe, białe zęby. - Dlatego właśnie dziś tu przyszedłem. Bylibyśmy zaszczytzeni, gdybyś zechciał objąć przywództwo nad naszą grupą. Tylko ty możesz zastąpić Bliźniaków.

Eragon niemal nieświadomie uśmiechnął się w odpowiedzi. Była taka miła i czarująca, że naprawdę nie chciał odmawiać.

- Niestety, nie mogę. Wkrótce opuszczamy z Saphirą Tronjheim. Poza tym i tak musiałbym najpierw zasięgnąć opinii Nasuady - I nie chcę mieszać się głębiej w politykę, zwłaszcza w sprawę grupy, którą kierowali Bliźniacy.

Trianna przygryzła wargę.

- Przykro mi to słyszeć. - Zbliżyła się o krok. - Może przed twym odejściem zdołalibyśmy spędzić razem nieco czasu? Pokazałabym ci, jak przyzywać i poskramiać duchy. Dla obojga z nas byłoby to bardzo pouczające.

Eragon poczuł, jak pieką go policzki.

- Jestem niezmiernie wdzięczny za tę propozycję, ale w tej chwili mam zbyt wiele zajęć.

W oczach Trianny rozbłysła iskierka gniewu, po czym zniknęła tak szybko, że zastanawiał się, czy naprawdę ją dostrzegł. Czarodziejka westchnęła.

- Rozumiem.

Sprawiła wrażenie bardzo zawiedzionej i wyglądała tak żałośnie, że Eragon poczuł wyrzuty sumienia. Kilka minut rozmowy mi nie zaszkodzi, uznał.

- Ciekaw jestem, jak nauczyłaś się władać magią?

Trianna rozpromieniła się.

- Pochodzę z Surdy, moja matka była tam uzdrowicielką. Miała odrobinę mocy i zdołała udzielić mi nauk, przekazać tradycję. Oczywiście nie dorównuję siłą Jeźdźcowi. Nikt z Du Vrang Gata nie pokonałby w pojedynkę Durzy. To czyn godny bohatera.

Zakłopotany Eragon zaszurał nogami.

- Gdyby nie Arya, nie przeżyłbym.

- Jesteś zbyt skromny, Argetlamie - upomniała go. - To ty zadałeś ostateczny cios. Powinieneś być dumny ze swych osiągnięć. Nie powstydziliby się ich sam Vrael. - Trianna nachyliła się ku niemu.

Serce Eragona zabiło szybciej, nozdrza wypełniła mu woń perfum, ciężka, pizmowa, z odrobiną egzotycznych korzeni.

- Słyszałeś układane o tobie pieśni? Vardeni śpiewają je co wieczór przy ogniskach. Twierdzą, że przybyłeś, by odebrać Galbatorixowi tron.

- Nie — uciał szybko, ostro; akurat tej pogłoski nie zamierzał tolerować. - Może i tak twierdzą, ale to nieprawda. Nieważne jaki czeka mnie los, nie chcę nikim rządzić.

- To bardzo mądre z twojej strony. Bo kimże jest król, jeśli nie człowiekiem uwięzionym w klatce obowiązków? Kiepska to nagroda dla ostatniego swobodnego Jeźdźcy i jego smoka. Nie, tobie przypada zdolność robienia tego, co zechcesz, i przez to kształtowania przyszłości Alagaesii. - Urwała i dodała po chwili: - Czy pozostawiłeś w imperium rodzinę?

*Co takiego?*

- Tylko kuzyna - odparł.

- Zatem nie jesteś zaręczony?

Pytanie to całkowicie go zaskoczyło. Nigdy wcześniej nikogo to nie interesowało.

- Nie, nie jestem.

- Z pewnością musi istnieć ktoś, na kim ci zależy. - Znów zbliżyła się krok i ozdobiony wstążkami rękaw musnął jego ramię.

- W Carvahall nie byłem z nikim blisko... - Zająknął się. - A później cały czas podróżowałem.

Trianna cofnęła się odrobinę, po czym uniosła przegub i węzowa bransoleta znalazła się na poziomie jego oczu.

- Podoba ci się? - spytała.

Eragon zamrugał i kiwnął głową, choć w istocie wąż niezbyt go zachwycił.

- Nazywam go Lorga, to mój obrońca i towarzysz. - Pochyliła się i dmuchnęła na bransoletkę, mamrocząc: - Se onim thornessa, havr sharjalvilik.

Z cichym szelestem wąż ożył. Eragon patrzył zafascynowany, jak maleńki gad wije się wokół bladej ręki czarodziejki, a potem unosi głowę i spogląda na niego rubinowymi źrenicami, poruszając szybko językiem. Jego oczy wyglądały, jakby rosły i się powiększały, aż w końcu stały się równie wielkie jak pięści Eragona. Miał wrażenie, że zapada się w ich ognistą głębię, jak zahipnotyzowany.

A potem na krótką komendę wąż zeszytywniał i wrócił do pierwotnej pozycji. Trianna westchnęła ciężko i oparła się o ścianę.

- Niewielu ludzi rozumie to co robimy, my, znający magię. Ale chciałam, byś pojął, że są inni tacy jak ty, i jeśli będziemy mogli, na pewno ci pomożemy.

Eragon położył rękę na jej dłoni. Nigdy wcześniej nie próbował się tak zbliżyć do kobiety, lecz zbudzony instynkt kazał mu nie ustawać, zaryzykować. Było to przerażające i jednocześnie upajające.

- Jeśli chcesz, możemy pójść coś zjeść. Niedaleko stąd jest kuchnia.

Trianna musnęła wierzch jego dłoni gładkimi, chłodnymi palcami, jakże innymi od szorstkich twardych rąk, do których przywykł.

- Bardzo chętnie. Czy... - Zachwiała się nagle, gdy za jej plecami gwałtownie otwarto się drzwi.

Czarodziejka odwróciła się i zachłysnęła własnym krzykiem, ujrawszy Saphirę.

Smoczyca pozostała bez ruchu, jedynie jej warga uniosła się, odsłaniając rząd ostrych zębów. A potem warknęła. Było to doprawdy wspaniałe warknięcie - przesycone głęboką pogardą i groźbą. Przez ponad minutę wznosiło się i opadało w korytarzu, przypominając nieco wściekłą, złowieszczą tyradę.

Eragon tymczasem mierzył ją gniewnym spojrzeniem.

Gdy Saphira umilkła, Trianna wciąż zaciskała obie ręce na fałdach sukni, mimowolnie szarpiąc materiał. Twarz miała bladą i przerażoną. Szybko dygnęła przed smoczycą, po czym, ledwie panując nad sobą, odwróciła się i uciekła.

Zachowując się jak gdyby nigdy nic, Saphira uniosła nogę i polizała szpon.

*Ledwie zdołałam otworzyć te drzwi* - powiedziała i pociągnęła nosem.

Eragon nie zdołał dłużej zapanować nad sobą.

*Czemu to zrobiłaś?! - wybuchnął. Nie miałaś powodów, by się wtrącać!*

*Potrzebowałeś mojej pomocy* - odparła, niewzruszona.

*Gdybym jej potrzebował, wezwałbym cię!*

*Nie krzycz na mnie* - ucięła Saphira, kłapiąc głośno szczękami. Czulił kipiące w niej emocje, równie potężne jak jego własne. *Nie pozwolę, żebyś prowadził się z dziewczką, która dba bardziej o Eragona Jeźdźca niż o ciebie jako człowieka.*

*Ona nie była dziewczką!* - ryknął Eragon i z wściekłością walnął pięścią w ścianę. *Jestem mężczyzną, Saphiro, nie pustelnikiem. Nie możesz oczekiwać, że z powodu tego, kim się stałem,*

*przestanę dostrzegać... dostrzegać kobiety. Ta decyzja nie należy do ciebie. Mogłem przynajmniej zakosztować rozmowy, zająć myśli czymś innym niż tragedie, z którymi ostatnio mamy do czynienia. Przebywałeś w mojej głowie, wiesz, co czuję. Czemu nie mogłaś zostawić mnie w spokoju? Co by się stało?*

*Ty nie rozumiesz. Unikała jego wzroku.*

*Nie rozumiem! Czy kiedyś zabronisz mi mieć żonę i dzieci, rodzinę?*

*Eragonie. W końcu spojrzęło na niego zielone oko smoczyce. Jesteśmy silnie złączeni.*

*Oczywiście!*

*I jeśli zwiążesz się z kimś, z moim błogosławieństwem lub bez niego, i się-zaangażujesz... poruszyś też moje uczucia. Powinieneś to wiedzieć. Zatem, i ostrzeżę cię tylko jeden raz, bardzo uważaj kogo wybierzesz, bo będzie to dotyczyło nas obojga.*

*Przez moment zastanawiał się nad jej słowami.*

*Nasza więź działa w obie strony. Jeśli ty kogoś znienawidzisz, ja także to odczuję. Pojmuję twoją troskę. Nie byłaś zatem po prostu zazdrosna?*

*Ponownie oblizęła szpon.*

*Może odrobinę.*

Tym razem to Eragon warknął. Minał smoczycę, wpadł do komnaty, chwycił Zar'roca i odszedł szybko, przypinając po drodze miecz.

Godzinami włóczył się po Tronjheimie, unikając kontaktu z kimkolwiek. To, co zaszło, sprawiło mu ból, choć nie mógł zaprzeczyć prawdzie zawartej w słowach Saphiry. Ze wszystkich wspólnych spraw, ta była najdelikatniejsza i co do niej najmniej się zgadzali. Tej nocy po raz pierwszy od dnia schwytania w Gil'eadzie, spał z dala od Saphiry, w koszarach krasnoludzkich.

Następnego ranka powrócił do ich komnaty. W ramach niewypowiedzianej zgody unikali rozmów o tym co zaszło. Dalsze spory nie miały sensu, skoro żadna ze stron nie zamierzała ustąpić. Poza tym oboje odczuli tak wielką ulgę, gdy znów się połączyli, że nie chcieli raz jeszcze narażać na szwank swojej przyjaźni.

Jedli właśnie drugie śniadanie i Saphira z zapalem szarpała zębami krwawy udziec, gdy w drzwiach stanął Jarsha. Jak zwykle, zapatrzył się na smoczycę szeroko otwartymi oczami, śledząc każdy jej ruch, gdy w skupieniu obgryzała główkę kości.

- Tak? - spytał Eragon, wycierając podbródek i zastanawiając się, czy to Rada Starszych posłała po niego. Od czasu pogrzebu nie miał od nich żadnych wieści.

Jarsha na moment odwrócił wzrok od Saphiry.

- Nasuada chce cię widzieć, panie. Czeka w gabinecie swego ojca.

Panie! Eragon omal nie wybuchnął śmiechem. Jeszcze niedawno to on nazywał tak ludzi, nie oni jego. Zerknął na smoczycę.

*Skończyłaś czy mam zaczekać parę minut?*

Saphira wywróciła oczami, pochłonęła resztkę mięsa i z donośnym hukiem wypluła kość.

*Jestem gotowa.*

- W porządku. - Eragon wstał. - Możesz odejść, Jarsho, znamy drogę.

Rozmiary miasta-góry sprawiły, że do gabinetu dotarli po niemal półgodzinie. Tak jak za czasów rządów Ajihada, pod drzwiami zastali strażę, lecz zamiast dwóch mężów, tym razem wartę pełnił cały oddział zahartowanych w bojach wojowników, wyczulonych na nawet najlżejszą oznakę niebezpieczeństwa. Było wyraźnie widać, że są gotowi poświęcić życie, byle tylko ochronić nową przywódczynię przed zasadzką bądź atakiem, choć z całą pewnością poznali Eragona i Saphirę, zagrodzili im drogę, chcąc najpierw powiadomić o przybyciu gości Nasuadę. Dopiero potem pozwolili im wejść do środka.

Eragon natychmiast dostrzegł drobną zmianę w gabinecie, a mianowicie obecność wazonu z kwiatami. Niewielkie, fioletowe kwiatki nie rzucały się w oczy, napełniały jednak powietrze miłym aromatem, który sprawił, że Eragon przypomniał sobie lato na wsi, świeże, dojrzałe maliny i skoszone pola, brązowiejące w promieniach słońca. Odetchnął głęboko doceniając zrzeczność, z jaką Nasuada nadała komnacie własne piętno, nie zacierając wspomnienia Ajihada.

Siedziała za szerokim biurkiem, wciąż odziana w żalobną czerń. Gdy Eragon zajął miejsce z Saphirą u boku, Nasuada pozdrowiła go, wypowiadając jego imię. Uczyniła to z prostotą, ani przyjaźnie, ani wrogo. Na moment odwróciła głowę, po czym skupiła na nim uważne, badawcze spojrzenie.

- Przez ostatnie kilka dni sprawdzałam sytuację Vardenów i to, jak się mają ich sprawy. A mają się katastrofalnie. Jesteśmy biedni, wyczerpani, brak nam zapasów i niewielu rekrutów z imperium wstępuje w nasze szeregi. Zamierzam to zmienić. Krasnoludy nie zdołają nas dłużej utrzymywać, tego lata zbiory były kiepskie, a zresztą klany także poniosły duże straty. Z tej przyczyny postanowiłam przenieść Vardenów do Surdy. To trudna decyzja, ale wierzę, że niezbędna dla naszego bezpieczeństwa. Gdy znajdziemy się w Surdzie, będziemy w końcu dość blisko, by móc bezpośrednio stawić czoło imperium.

Nawet Saphira poruszyła się, zdumiona.

*Jakiej ogromnej to wymaga pracy!* - rzekł w myślach Eragon. *Przeniesienie całego dobytku do Surdy może trwać miesiącami, nie mówiąc o ludziach. A po drodze zapewne będą musieli walczyć.*

- Sądziłem, że król Orrin nie odważy się otwarcie przeciwstawić Galbatorixowi - zaprotestował głośno.

Nasuada uśmiechnęła się ponuro.

- Gdy pokonaliśmy urgale, zmienił zdanie. Da nam schronienie, strawę i będzie walczył u naszego boku. Wielu Vardenów już przebywa w Surdzie, głównie kobiety i dzieci, które nie mogą bądź nie chcą walczyć. Udzielą nam wsparcia albo pozbawię ich miana Vardenów.

- Jakim sposobem tak szybko nawiązałaś łączność z królem Orrinem? - spytał Eragon.

- Krasnoludy korzystają z systemu zwierciadeł i lamp, dzięki którym przekazują wiadomości poprzez tunele. W niecały dzień mogą wysłać wiadomość stąd na zachodni skraj Gór Beorskich. Stamtąd kurierzy zanoszą ją do Aberonu, stolicy Surdy. Jednakże, choć szybka, ta metoda wciąż okazuje się zbyt powolna, gdy Galbatorix może zaskoczyć nas, wysyłając armię urgali, i mamy niecały dzień na przygotowanie się do walki. Nim wyruszymy, zamierzam przygotować coś skuteczniejszego pomiędzy Du Vrang Gata i magami Hrothgara.

Nasuada otworzyła szufladę biurka i wyjęła gruby zwój.

- Vardeni w ciągu miesiąca opuszczą Farthen Dur. Hrothgar zgodził się zapewnić nam bezpieczną przeprawę przez tunele. Co więcej, wysłał oddziały do Orthiadu, by zlikwidować ostatnie grupki urgali i zablokować tunele żeby nikt już nie zdołał tą drogą napaść na krasnoludy. Ponieważ jednak to może nie wystarczyć do zapewnienia przetrwania Vardenów, chcę cię prosić o przysługę.

Eragon skinął głową. Spodziewał się prośby bądź polecenia. Po cóż innego miałyby go wzywać?

- Jestem na twoje rozkazy.

- Może. - Wzrok Nasuady powędrował na moment ku Saphirze. - Ale to nie jest rozkaz i zanim odpowiesz, dobrze się zastanów. Aby zyskać poparcie dla Vardenów, chciałabym rozpuścić w imperium pogłoski, że do naszej sprawy przyłączył się nowy Jeździec, zwany Eragonem Cieniobójcą, i jego smoczyca Saphira. Ale nim to uczynię, pragnę uzyskać twoją zgodę.

*To zbyt niebezpieczne* - zaprotestowała Saphira.

*Wiadomość o naszej obecności i tak dotrze do imperium* - zauważył Eragon. *Vardeni będą chcieli przechwalać się swym zwycięstwem i śmiercią Durzy. Skoro i tak do tego dojdzie bez względu na nasze zdanie, powinniśmy się zgodzić.*

Smoczyca prychnęła cicho.

*Martwi mnie Galbatorix. Do tej pory nie ujawniliśmy publicznie, gdzie leżą nasze sympatie.*

*Nasze czyny przemawiały dość wyraźnie* - stwierdził Eragon.

*Owszem, ale nawet gdy Durzą walczył z tobą w Tronjheimie, nie próbował cię zabić. Jeśli zaczniemy otwarcie głosić sprzeciw wobec imperium, Galbatorix przestanie być pobłażliwy. Kto wie, jakie siły i spiski miał na podorędziu, gdy próbował nas schwytać. Póki żywi wątpliwości co do nas, nie wie jak postąpić.*



*Czas wątpliwości minął - oznajmił Eragon. Walczyliśmy z urgalami, zabiliśmy Durzę, a ja złożyłem hold przywódczyni Vardenów. Wszelkie wątpliwości zniknęły. Nie. Za twoim pozwoleniem zgodzę się na tę propozycję.*

Długą chwilę smoczyca milczała. W końcu pochyliła głowę.

*Jak sobie życzysz.*

Położył dłoń na jej boku i skupił wzrok na Nasuadzie.

- Rób co uznasz za stosowne. Jeśli w ten sposób zdołamy pomóc Vardenom, niechaj tak będzie.

- Dziękuję. Wiem, że proszę o wiele. Teraz, zgodnie z tym co ustaliliśmy przed pogrzebem, oczekuję, że wyruszysz do Ellesmery i zakończyć szkolenie.

- Z Aryą?

- Oczywiście. Od czasu jej schwytania elfy zerwały kontakty z ludźmi i krasnoludami. Tylko Arya zdołała je przekonać, by wyszły z ukrycia.

- Nie mogłaby posłużyć się magią, żeby je powiadomić o swym ocaleniu?

- Niestety, nie. Gdy po upadku Jeźdźców elfy wycofały się w głąb Du Veldenvarden, wzniosły wokół puszczy magiczne ściany, które nie dopuszczają do niej żadnych myśli, przedmiotów bądź istot posługujących się metodami nadprzyrodzonymi, choć z tego, co zrozumiałam z wyjaśnień Aryi, nie wzbraniają im opuszczenia lasu. Arya zatem musi sama odwiedzić Du Veldenvarden, by królowa Islanzadi dowiedziała się, że wciąż żyje, usłyszała o istnieniu twoim i Saphiry oraz wszystkim, co spotkało Vardenów przez ostatnie miesiące.

Nasuada wręczyła Eragonowi zwój ozdobiony woskową pieczęcią.

- To list do królowej Islanzadi opowiadający o sytuacji Vardenów i moich własnych planach. Strzeż go jak własnego życia, bo w niewłaściwych rękach wyrządziłby wielkie szkody. Mam nadzieję, że po tym, co się stało, Islanzadi zechce odnowić kontakty dyplomatyczne. Jej wsparcie może przeważać szalę zwycięstwa lub klęski. Arya o tym wie i zgodziła się poprzeć naszą sprawę. Chcę jednak, abys orientował się w sytuacji. Jeśli nadarzy się jakakolwiek okazja, wykorzystaj ją.

Eragon ukrył zwój pod tuniką.

- Kiedy wyruszamy?

- Jutro rano, chyba że już coś zaplanowałeś.

- Nie.

- To dobrze. - Splotła dłonie. - Powinieneś też wiedzieć, że będzie wam towarzyszyć jeszcze ktoś. - Eragon spojrzał na nią pytająco. - Król Hrothgar nalega, by gwoli sprawiedliwości przy twym szkoleniu był obecny także przedstawiciel krasnoludów, bo wpłynie ono również na ich rasę - Wysłała zatem Orika.

Z początku Eragon zareagował irytacją. Saphira - mogła zanieść ich z Aryą wprost do Du Veldenvarden, oszczędzając tygodni zbędnej podróży. Trzech pasażerów jednak nie zmieściłoby się na jej grzbiecie. Obecność Orika oznaczała, że pozostaną przykuci do ziemi.

Po dłuższym namyśle dostrzegł jednak mądrość kryjącą się w żądaniu Hrothgara. Ważne było, żeby Eragon i Saphira zachowali pozory równości w swych kontaktach z różnymi rasami. Uśmiechnął się.

- No cóż, to nas spowolni, ale musimy ugłaskać Hrothgara. Prawdę mówiąc cieszę się, że Orik pojedzie z nami. Przeprowa przez Alagaesię w towarzystwie samej Aryi to dość onieśmielająca perspektywa. Ona jest...

Nasuada także się uśmiechnęła.

- Inna.

- Właśnie. - Znów spoważniał. - Naprawdę zamierzasz zaatakować Imperium? Sama mówiłaś, że Vardeni są słabi. To nie wygląda na najmądrzejsze wyjście. Jeśli zaczekamy...

- Jeśli zaczekamy - odparła surowo - Galbatorix tylko wzrośnie w siłę. W tej chwili, po raz pierwszy od czasu śmierci Morzana, istnieje choćby cień szansy, by go zaskoczyć. Nie ma powodów sądzić, że zdołaliśmy pokonać urgale. Udało nam się tylko dzięki tobie, toteż Galbatorix nie przygotował imperium na możliwość inwazji.

*Inwazji!*- wykrzyknęła Saphira. *A jak Nasuada zamierza zabić Galbatorixa, kiedy przyfrunie, by unicestwić ich armię swoją magia?*

Gdy Eragon powtórzył głośno obiekcje smoczyca, Nasuada pokręciła głową.

- Z tego, co o nim wiemy, nie stanie do walki, jeśli coś nie zagrozi bezpośrednio Uru'baenowi. Galbatorixa nie obchodzi, czy zniszczymy pół imperium. To my musimy przyjść do niego, a nie on do nas. Czemu miałby się tym przejmować? Jeśli zdołamy doń dotrzeć, będziemy wyczerpani i zdziśiatkowani, a wtedy tym łatwiej nas zniszczy.

- Wciąż nie odpowiedziałas na pytanie Saphiry.

- To dlatego że jeszcze nie potrafię. Czeka nas długa kampania. Być może pod jej koniec staniesz się dość silny, by pokonać Galbatorixa, może dołączą do nas elfy... a ich magowie są najsilniejsi w Alagaesii. W żadnym wypadku nie możemy sobie pozwolić na zwłokę. Nadszedł czas, by podjąć ryzyko i odważyć się uczynić coś, o co nikt by nas nie podejrzewał, Vardeni zbyt długo żyli wśród cieni. Musimy albo rzucić wyzwanie Galbatorixowi, albo się poddać i przeminąć.

Ogrom tego, co sugerowała Nasuada, wstrząsnął Eragonem. Wiązało się tym tak wiele nieznanych zagrożeń, tak olbrzymie ryzyko, że sama myśl o podobnym przedsięwzięciu wydawała się niemal absurdalna. Nie on jednak podejmował w tej sprawie decyzje i pogodził się z tym faktem. Nie zamierzał dłużej o tym dyskutować.

Teraz musimy ufać jej osądowi, pomyślał.

- Ale co z tobą, Nasuado? Czy podczas naszej nieobecności będzie bezpieczna? Muszę myśleć o mojej przysiędze. Teraz moim obowiązkiem jest dopilnowanie, żeby zbyt szybko nie odbył się twój pogrzeb.

Twarz Nasuady stężała. Dziewczyna gestem wskazała drzwi i czekających za nimi wojowników.

- Nie lękaj się, jestem dobrze strzeżona. - Spuściła wzrok. - Przyznam jednak, że jedną z przyczyn przenosin do Surdy jest to, że Orrin zna mnie od dawna i zapewni mi ochronę. Po wyjeździe twoim i Aryi nie mogą tu zostać. Rada Starszych wciąż ma sporą władzę i nie pogodzi się z moim przywództwem, póki nie dowiodę bez cienia wątpliwości, że to ja kontroluje Vardenów, nie oni.

Nagle Eragonowi wydało się, że sięgnęła do ukrytego źródła wewnętrznej siły. Wyprostowała ramiona i uniosła głowę z wyniosłą, dumną miną.

- Idź już, Eragonie. Przygotuj konia, zbierz zapasy i czekaj o świcie przy północnej bramie.

Eragon skłonił się nisko, po czym odszedł z Saphirą.

\*\*\*

Po obiedzie polecili razem, szybując wysoko nad Tronjheimem, gdzie ząbkowane sopte zwisały z krawędzi Farthen Duru, tworząc wokół nich olbrzymi, biały pierścień. Choć od zmierzchu dzieliło ich wciąż kilka godzin, wewnątrz krateru zapadł już zmrok.

Eragon odchylił głowę, napawając się powiewami wiatru na twarzy. Tęsknił za nim - za wiatrem pędzącym wśród traw i goniącym chmury, przynoszącym zamęt i świeżość. Wiatrem, który niósł ze sobą deszcz i burze, i smagał drzewa tak, że pochylały się ku ziemi.

*Szczerze mówię, tęsknie też za drzewami* - pomyślał. *Farthen Dur to niesamowite miejsce, ale tyle w nim zwierząt i roślin co w grobie Ajihada.*

*Krasnoludy najwyraźniej uważają, że kwiaty można zastąpić klejnotami* - zgodziła się z nim Saphira.

Światło wokół przygasało. Gdy zrobiło się zbyt ciemno i Eragon musiał wyteńczyć wzrok, by cokolwiek widzieć, smoczyca orzekła:

*Już późno, powinniśmy wracać.*

*W porządku.*

Popłynęła ku ziemi, zataczając szerokie, leniwe spirale, zacieśniające się wokół Tronjheimu, który lśnił niczym pochodnia w samym sercu Farthen Duru. Wciąż byli daleko od miasta-góry, gdy przekrzywiła głowę. *Patrz.*

Podążył za jej wzrokiem, widział jednak tylko szarą, monotonną równinę w dole.

- Na co??

Zamiast odpowiedzieć, opuściła skrzydło i poszybowała w lewo, opadając ku jednej z czterech dróg wychodzących promieniście z Tronjheimu - na północ, południe, wschód i zachód. Gdy lądowali, dostrzegł plamę bieli na pobliskim pagórku. Plama ta falowała lekko w mroku, niczym płomyk świecy, po czym zamieniła się w Angelę, odzianą w jasną, wełnianą tunikę.

Czarownica dźwiagała wiklinowy kosz o średnicy niemal czterech stóp, wypełniony bogatą kolekcją grzybów. Eragon nie rozpoznał większości z nich. Gdy się zbliżyła, wskazał je ręką.

- Zbierasz psiary i ropuszaki?

- Halo! - Angela roześmiała się, odkładając kosz. - O nie, ropuszaki to zbyt ogólna nazwa. Zresztą tak naprawdę powinny nazywać się żabiaki. - Rozgarnęła grzyby dłonią. - Ten to kępka siarkowa, a ten czarniaczek. Tu masz pępniaczka, krasnoludzką tarczkę, rudego trzoniaka, krwistego pierścieniaka, a to kłamczuch nakrapiany. Uroczy, prawda? - Wskazywała je kolejno, kończąc na grzybie o kapeluszu pokrytym plamami różu, fioletu i żółci.

- A ten? - spytał Eragon, pokazując grzyb o jaskrawoblękitnym trzonku, ognistopomarańczowych blaszkach i lśniącym, czarnym, dwuwarstwowym kapeluszu.

Czarownica spojrzała na niego czule.

- Fricai Andlat, jak go nazywają elfy. Trzonek zawiera śmiertelną truciznę, natomiast kapelusz leczy większość zatruc. Z niego właśnie sporządza się nektar tunivor. Fricai Andlat rośnie wyłącznie w jaskiniach w Du Veldenvarden i Farthen Durze, a i tu by wymarł, gdyby krasnoludy zaczęły wywozić swoje łajno gdzie indziej.

Eragon przyjrzał się raz jeszcze pagórkowi i uświadomił sobie, że istotnie widzi przed sobą stertę łajna.

- Witaj, Saphiro. - Angela wyminęła go i poklepała Saphirę po nosie.

Smoczyca zamrugła i z zadowoloną miną zamachała koniuszkiem ogona. W tym samym momencie pojawił się Solembum, ściskający mocno w szczękach martwego szczura. Nie poruszywszy nawet wąsikiem, kotołak usiadł na ziemi i zaczął skubać gryzonia, demonstracyjnie ignorując całą trójkę.

- A zatem - Angela odgarnęła za ucho kręcony kosmyk swych bujnych włosów - wyruszenie do Ellesmery?

Eragon kiwnął głową. Nie pytał nawet, skąd o tym wie; zawsze wiedziała o wszystkim co się dzieje.

Gdy nic nie odpowiedział, czarownica skrzywiła się.

- Nie bądź taki ponury, nie idziesz przecież na szafot.

- Wiem.

- Uśmiechnij się zatem, bo skoro nie idziesz na szafot, powinieneś się cieszyć. Jesteś równie oklapły jak szczur Solembuma. Oklapły. Cóż za cudowne słowo, nie sądzisz?

To w końcu zmusiło go do uśmiechu, a Saphira zachichotała w głębi gardła.

- Nie jestem pewien, czy aż tak cudowne jak sądzisz, ale owszem, rozumiem co masz na myśli.

- Cieszę się, że rozumiesz. Dobrze jest rozumieć. - Unosząc brwi, zaczęła paznokciem jeden z grzybów i wywróciła go, oglądając uważnie blaszki. - Szczęśliwie się składa, że cię dziś spotkałam, bo jutro odjeżdżacie, a ja... ja zamierzam towarzyszyć Vardenom do Surdy. Jak już mówiłam, lubię przebywać tam gdzie coś się dzieje. I to jest właśnie takie miejsce.

Eragon uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To musi oznaczać, że czeka nas bezpieczna podróż, inaczej wyruszyłabyś z nami.

Angela wruszyła ramionami i spoważniała.

- Bądź bardzo ostrożny w Du Veldenvarden. Fakt, że elfy nie ujawniają uczuć, nie oznacza, że nie podlegają namiętnościom, tak jak my, śmiertelnicy. Najgroźniejsze jednak jest to, że potrafią je ukrywać, nieraz całymi latami.

- Byłaś tam kiedyś?

- Dawno temu.

- Co myślisz o planach Nasuady? - spytał po chwili.

- Mhm, jest skazana! Ty też jesteś skazany, oni wszyscy są skazani. - Zaśmiała się głośno, zgięta w pół, po czym nagle się wyprostowała. - Zauważ, że nie określiłam, na co jesteście skazani, więc, cokolwiek się stanie, przepowiedziałam prawdę. Jakież to mądre z mojej strony. - Dźwignęła swój kosz, opierając go o biodro. - Przypuszczam, że przez jakiś czas się nie zobaczymy, więc żegnaj, powodzenia, unikaj pieczonej kapusty, nie jedz woszczyzny z uszu i zawsze patrz na jasną stronę życia.

Mrugnawszy wesoło do Eragona, odeszła, pozostawiając go oszołomionego i oniemiałego.

Po krótkiej chwili Solembum podniósł z ziemi swój obiad i odmaszerował z godną miną.

## Dar Hrothgara

Gdy Eragon i Saphira zjawili się pod północną bramą Tronjheimu, do świtu pozostało pół godziny. Była podniesiona dostatecznie wysoko, by Saphira mogła się pod nią przecisnąć, toteż wymknęli się szybko na zewnątrz, czekając w zagłębieniu tuż przed wrotami, pod wyniosłymi kolumnami z czerwonego jaspisu i wśród rzeźb groźnie szczerzących kły bestii. Za nimi, na skraju Tronjheimu, przycupnęły dwa wysokie na trzydzieści stóp złote gryfy. Identyczne pary strzegły każdej z bram miasta--góry. Wokół nie było nikogo. Eragon trzymał w dłoni wodze Śnieżnego Płomienia. Ogier został wyszczotkowany, na nowo podkuty i osiodłany, jego juki pękały w szwach. Niecierpliwie uderzył kopytem o ziemię; Eragon nie dosiadał go od ponad tygodnia.

Wkrótce z bramy wynurzył się Oriki, dźwigający na plecach spory toból. W rękach trzymał zawiniątko.

- Nie masz konia? - spytał zdumiony Eragon.

*Czyżbyśmy mieli iść pieszo aż do Du Veldenvarden?*

Oriki odchrząknął.

- Zatrzymamy się w Tarnagu, na północ stąd. Stamtąd spłyniemy tratwami rzeką Az Ragni do Hedarth, przyczółka do handlu z elfami. Aż do Hedarth nie będziemy potrzebowali wierzchowców, zatem do tego czasu wystarczą mi moje nogi.

Z brzękiem złożył na ziemi zawiniątko i odpakował je, odsłaniając zbroję Eragona. Tarczę pomalowano na nowo, tak że umieszczony pośrodku dąb znów nabrał życia, usunięto też wszystkie wgniecenia i zadrapania. Pod nią tkwiła długa kolczuga, wypolerowana i naoliwiona tak, że lśniła jasnym blaskiem. Eragon nie dostrzegł żadnego śladu w miejscu w którym uszkodził ją zadany w plecy cios Durzy. Kaptur, rękawice, nałokietniki, nagolenniki i hełm także starannie naprawiono.

- Pracowali nad nią nasi najlepsi kowale - wyjaśnił Oriki. - Podobnie nad twoją zbroją, Saphiro. Ponieważ jednak nie możemy zabrać jej ze sobą, oddaliśmy ją Vardenom, którzy będą strzegli zbroi do twego powrotu.

*Podziękuj mu w moim imieniu* - rzekła Saphira.

Eragon zrobił to, po czym przysnurował nagolenniki i karwasze, resztę ukrył w jukach. Na ostatku sięgnął po hełm i odkrył, że Oriki obraca go w dłoniach.

- Nie śpiesz się z wkładaniem tego hełmu, Eragonie - rzekł. - Najpierw musisz dokonać wyboru.

- Jakiego wyboru?

Oriki uniósł hełm i odsłonił lśniąca przyłbicę. Eragon dostrzegł na niej zmianę: w stali wytrawiono młot i gwiazdy, symbol klanu Ingeitum, do którego należeli Hrothgar i Oriki. Oriki skrzywił się, jednocześnie zadowolony i dziwnie zaniepokojony, po czym rzekł uroczystym tonem:

- Król mój Hrothgar pragnie, bym wręczył ci ten hełm jako dowód przyjaźni, którą dla ciebie żywi. A wraz z nim Hrothgar proponuje ci przyjęcie na jednego z Durgrimst Ingeitum, członka jego własnej rodziny.

Eragon wpatrywał się w hełm, zaskoczony gestem Hrothgara.

*Czy to oznacza, że zacznę podlegać jego władzy? Jeśli w tym tempie nadal będę gromadził podległości i powiązania, wkrótce stanę się zupełnie bezsilny. Cokolwiek zrobię, złamię którąś przysięgę.*

*Nie musisz go wkładać* - zauważyła Saphira.

*I miałbym urazić Hrothgara? Znów znaleźliśmy się w pułapce.*

*Może to po prostu ma być dar? Kolejny odwód otho, nie pułapka. Przypuszczam, że w ten sposób król dziękuje nam za moją obietnicę naprawieniu Isidar Mithrimu.*

Eragon w ogóle na to nie wpadł; zanadto skupił się na rozważaniach jak krasnoludzki król mógłby zyskać nad nimi przewagę.

*To prawda. Myślę jednak, że stanowi także próbę naprawy zmienionej równowagi sił, która powstała, gdy złożyłem hold Nasuadzie. Krasnoludów z pewnością to nie ucieszyło.*

Spojrzał na czekającego niecierpliwie Orika.

- Jak często robicie coś takiego?

- Z człowiekiem? Nigdy. Hrothgar dzień i noc spierał się z członkami rodów Ingeitum, nim zgodzili się ciebie przyjąć. Jeśli zechcesz nosić nasze godło będziesz miał pełne prawa członka klanu. Możesz uczestniczyć w naszych obradach, wyrażać opinie w każdej kwestii. I - spoważniał jeszcze bardziej - jeśli zechcesz, zyskasz prawo do pogrzebienia z naszymi bliskimi.

Po raz pierwszy do Eragona dotarł w pełni ogrom tego, co uczynił Hrothgar. Dla krasnoludów nie istniał większy zaszczyt. Szybkim ruchem wziął od Orika hełm i wcisnął go na głowę.

- Jestem zaszczycony, że mogę dołączyć do Durgrimst Ingeitum.

Orik skinął głową.

- Weź zatem ten Knurlnien, to jest Kamienne Serce. Ujmij go między dłonie, o tak. Teraz musisz otworzyć własną żyłę, żeby zmoczyć kamień, lalka kropel wystarczy. Na koniec powtórz za mną: Os ii dom qiranu carn dur thargen, zeitmen, oen grimst vor fbrmv edaris rak skilfz. Narho is belgond... - Była to długa formuła, a fakt, że Orik co parę zdań przerywał i tłumaczył, czynił ją jeszcze dłuższą.

Po wszystkim Eragon szybkim zakłębieniem zaleczył skaleczenie przegubu.

- Cokolwiek powiedzą o tym klany - stwierdził Orik - zachowałeś się godnie i z powagą. Nie mogą tego zlekceważyć. - Uśmiechnął się szeroko. - Teraz należymy do tego samego klanu, jesteś moim przybranym bratem! W zwykłych okolicznościach Hrothgar sam wręczyłby ci hełm, a potem urządzilibyśmy długą ceremonię, świętując twoje przyjęcie do Durgrimst Ingeitum. Teraz jednak wydarzenia toczą się zbyt wartko, abyśmy zwlekali. Nie obawiaj się jednak, bo to nie afront! Gdy powrócicie z Saphirą do Farthen Duru, uczcimy właściwie twoje przyjęcie. Weźmiecie wtedy udział w ucztach i tańcach, i podpiszecie wiele dokumentów, by sformalizować swą nową pozycję.

- Nie mogę się już doczekać - odparł Eragon. W myślach wciąż rozważał możliwe konsekwencje przynależności do Durgrimst Ingeitum.

Orik usiadł, opierając się plecami o jedną z kolumn, zsunał z pleców toból i dobył topora. Zaczął wywijać nim w dłoniach. Po kilku minutach Pochylił się, patrząc gniewnie w stronę Tronjheimu.

- Barzul knurlar! Gdzie oni się podziewają? Arya mówiła, że tu będzie. Ha, elfy w ogóle nie mają poczucia upływu czasu.

- Często miewałeś z nimi do czynienia? - Eragon przykucnął, a Saphira obserwowała ich z zainteresowaniem.

Krasnolud roześmiał się.

- Eta. Tylko z Aryą, a i to z rzadka, bo najczęściej podróżowała. Przez siedem dziesięcioleci nauczyłem się tylko jednego: nie można ponaglać elfa. To tak, jakby próbować przekuć młotem pilnik: może pęknąć, lecz nigdy się nie zegnije.

- Czyż krasnoludy nie są takie same?

- Ach, ale nawet kamień się z czasem zmienia. - Orik westchnął i pokręcił głową. - Ze wszystkich ras elfy zmieniają się najmniej. To jeden z powodów, dla których niechętnie ruszam w drogę.

- Ale też poznamy królową Islanzadi, zobaczymy Ellesmerę i kto wie co jeszcze. Kiedy po raz ostatni krasnolud został zaproszony do Du Veldenvarden?

Orik zmarszczył brwi.

- Otoczenie niewiele znaczy. W Tronjheimie i innych naszych miastach pozostaje wiele pilnych spraw, a ja muszę wędrować przez Alagaesję, by wymienić grzeczne słówka z elfami. Potem będę siedzieć, obrastać w tłuszcz i czekać aż skończysz nauki. To może potrwać całe lata.

*Lata! Jeśli jednak tego właśnie trzeba, by pokonać Cienie i Ra'zaców, zrobię to.*

Saphira dotknęła umysłu Eragona:

*Wątpię, by Nasuada pozwoliła nam zostać w Ellesmerze dłużej niż kilka miesięcy. Z tego, co nam mówiła, wynika, że wkrótce będziemy tu potrzebni.*

- Nareszcie! - Oriki dzwignął się z ziemi.

W bramie pojawiła się Nasuada - jej stopy pod suknią śmigwały niczym wyglądające z nory myszy - Jórmondur i Arya, dzwigająca tłumok podobny do Orikowego. Na sobie miała ten sam strój z czarnej skóry, w którym Eragon ujrzał ją po raz pierwszy, przypasała też miecz.

W tym momencie Eragona uderzyła myśl, że Arya i Nasuada mogą nic zaaprobować tego, że dołączył do Ingeitum. Z nagłym lękiem i poczuciem winy pojął, że miał obowiązek zasięgnąć najpierw opinii Nasuady. I Aryi! Wzdrygnął się, wspomniawszy, z jakim gniewem powitała go po pierwszym spotkaniu z Radą Starszych.

Kiedy zatem Nasuada stanęła przed Eragonem, zawstydzony, odwrócił wzrok. Ona jednak rzekła tylko:

- Zgodziłeś się. - Głos miała łagodny, opanowany. Kiwnął głową, wciąż patrząc pod nogi.

- Zastanawiałam się, czy to zrobisz. Teraz znów jesteś związany wszystkimi trzema rasami. Krasnoludy mogą się powołać na obowiązek członka Durgrimst Ingeitum. Elfy wyszkolą cię i ukształtują; ich wpływ może być najsilniejszy, bo wraz z Saphirą wiąże was ich magia. Mnie zaś, człowiekowi, złożyłeś swój hołd. Masz obowiązki względem nas wszystkich może tak jest najlepiej. - Uśmiechnęła się, widząc jego zaskoczenie, Potem wcisnęła mu do ręki niewielką sakiewkę pełną monet i cofnęła się.

Jórmondur wyciągnął dłoń. Eragon ujął ją, wciąż lekko oszołomiony.

- Spokojnej podróży, Eragonie. Pilnujcie się.

- Chodźcie. - Arya przepłynęła obok nich w mroku Farthen Duru. - Czas ruszać. Aiedail zaszedł, a przed nami daleka droga.

- O tak - zgodził się Oriki, odcepiając od swego tłumoka czerwoną latarnię.

Nasuada raz jeszcze zmierzyła ich wzrokiem.

- No dobrze. Eragonie i Saphiro, macie błogosławieństwo Vardenów i moje. Oby wasza podróż upłynęła bezpiecznie. Pamiętajcie, spoczywa na was brzemień naszych nadziei i oczekiwań. Przynieście nam zaszczyt.

- Dołożymy wszelkich starań - przyrzekł Eragon.

Mocno ściskając wodze Śnieżnego Płomienia, ruszył za Aryą, która zdążyła już oddalić się o kilkanaście kroków. Oriki podążył za nim, a na końcu szła Saphira. Gdy smoczyca mijała Nasuadę, Eragon dostrzegł, że zatrzymała się na moment i lekko polizała dziewczynę po policzku. Potem wydłużyła krok, doganiając grupę.

Maszerowali w milczeniu na północ. Brama za ich plecami malała coraz bardziej, aż w końcu zamieniła się w plamę światła, przed którą pozostały dwie drobiny cienia - Nasuada i Jórmondur odprowadzali ich wzrokiem.

Gdy grupa w końcu dotarła do podstawy Fardien Duru, zastała czekające już otwarte olbrzymie odrzwia, wysokie na trzydzieści stóp. Trzech krasnoludzkich strażników skłoniło się i odeszło na bok, przepuszczając podróżnych. Za drzwiami zaczynał się tunel równie olbrzymich rozmiarów. Przez pierwsze pięćdziesiąt stóp wzdłuż jego ścian ciągnęły się wieńczone latarniami kolumny. Potem była już tylko pustka i cisza, jak w mauzoleum.

Wyglądało to dokładnie jak zachodnie wejście do Farthen Duru, lecz Eragon wiedział, że ten tunel jest inny. Miał przebijać się przez szeroką na milę podstawę góry i wychodzić z drugiej strony, ciągnął się pod całym łańcuchem, aż do krasnoludzkiego miasta Tarnagu.

- Oto nasza droga - oznajmił Oriki, unosząc latarnię.

Wraz z Aryą przekroczyli próg, Eragon jednak zatrzymał się, powodowany nagłym zwątpieniem. Choć nie bał się ciemności, nie zachwycała go myśl o tym, że za chwilę otoczy go wieczna noc i pozostanie z nim aż do Tarnagu. Gdy postawi stopę w zimnym tunelu, ponownie wkroczy w nieznaną, porzucając pewne przyzwyczajenia i zamieniając je na niepewną przyszłość.

*Co się stało?*-spytała Saphira.

*Nic.*

Odetchnął głęboko, po czym ruszył naprzód, pozwalając, by pochłonęła ich góra.

## *Szczypcy i młot*

Trzy dni po przybyciu Ra'zaców Roran przechadzał się nerwowo tu i tam skrajem swojego obozowiska w Koścu. Od czasu odwiedzin Albriecha nie dotarły do niego żadne wieści. Obserwacja Carvahall także niczego nie przyniosła. Spojrzał gniewnie w stronę namiotów, w których spali żołnierze, po czym podjął przerwana wędrówkę.

W południe zjadł skromny zimny posiłek. Ocierając usta wierzchem dłoni, zastanawiał się, jak długo Ra'zacowie zechcą czekać. Jeśli miała to być próba cierpliwości, zamierzał odnieść w niej zwycięstwo.

Dla zabicia czasu ćwiczył strzelanie z łuku, celując w spróchniały pień. Przerwał dopiero wtedy, gdy strzała złamała się na wbitym w korę kamieniu. Potem nie miał już nic do roboty. Znów zaczął przechadzać się tam i z powrotem wąską ścieżką łączącą głaz z miejscem, w którym nocował.

Nadal spacerował, gdy w lesie poniżej rozległy się kroki. Roran chwycił łuk i ukrył się szybko. Na widok twarzy Baldora odczuł ogromną ulgę.

Podniósł się i pomachał.

- Czemu nikt wcześniej nie przyszedł? - spytał, gdy usiedli.

- Nie mogliśmy. - Baldor otarł spocone czoło. - Żołnierze nas pilnowali. Dziś pierwszy raz miałem okazję się im wymknąć. I nie mogę zostać zbyt długo. - Odwrócił głowę, spojrzał w górę ku wyniosłemu szczytowi i zadrzał. - Jesteś odważniejszy niż ja, skoro zatrzymałeś się tutaj. Miałeś jakieś kłopoty z wilkami, niedźwiedziami, górskimi kotami?

- Nie, nic z tych rzeczy. Czy żołnierze powiedzieli cokolwiek nowego

- Jeden z nich przechwalał się wczoraj Mornowi, że cały oddział wybrano specjalnie do tej misji. - Roran zmarszczył czoło. - Trochę rozrabiają. Każdego wieczoru co najmniej dwóch lub trzech się upija. Pierwszej dnia kilku z nich zdemolowało salę w karczmie Morna.

- Zapłacili za szkody?

- Oczywiście, że nie.

Roran poruszył się, patrząc w stronę wioski.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że imperium zadało sobie tyle trudu, żeby mnie schwytać. Co niby mógłbym im dać? Co według nich mają ode mnie wyciągnąć?

Baldor podążył za jego wzrokiem.

- Dziś przesłuchali Katrinę. Ktoś wspomniał, że jesteście sobie bliscy, i Ra'zacowie uznali, że może wiedzieć, gdzie się podziałeś.

Roran wbił wzrok w twarz towarzysza.

- Nic jej nie jest? - zapytał.

- Trzeba kogoś więcej niż ci dwaj, by ją przerazić - zapewnił go szybko Baldor. Jego następne zdanie zabrzmiało ostrożnie, badawczo: - Może powinieneś zastanowić się nad poddaniem?

- Prędzej powieszę się sam i ich ze sobą! - Roran zerwał się z ziemi i podążył swą zwykłą trasą. - Jak możesz to proponować, wiedząc, że zamęczyli mi ojca?

- A co się stanie, jeśli pozostaniesz w ukryciu, a żołnierze nie zrezygnują? Założą, że skłamał, by pomóc ci uciec. Imperium nie wybacza zdrady.

Roran powoli się obrócił, tupnął lekko i usiadł gwałtownie. Jeśli się nie pokażę, Ra'zacowie będą winić tych, których mają pod ręką. A gdybym spróbował ich odciągnąć...? - zastanowił się. Roran nie czuł się dość swobodnie w lesie, by uniknąć trzydziestu ludzi i Ra'zaców. Eragon dałby radę, on nie. Mimo wszystko, o ile sytuacja nie ulegnie zmianie, to mogło być jedyne dostępne wyjście. Spojrzał na Baldora.

- Nie chcę, by ktokolwiek cierpiał z mojego powodu. Jeszcze trochę zaczekam. Jeśli Ra'zacowie zaczną się niecierpliwić i grozić... wówczas pomyślę o czymś innym.

- Paskudna sytuacja - mruknął Baldor.



- Ale zamierzam ją przeżyć.

Baldor odszedł wkrótce potem, pozostawiając Rorana sam na sam z myślami - Roran znów podjął przerwana wędrówkę. Maszerował tam i z powrotem, mila za milą, przygnieciony ciężarem trosk, a jego stopy złościły w ziemi coraz głębszą koleinę.

Gdy nadszedł mroźny wieczór, Roran zdjął buty, lękając się, że przetrze podeszwy.

Kiedy na niebie zajaśniał rosnący księżyc, przeganiający nocne cienie promieniami białego jak marmur światła, Roran dostrzegł w Carvahall jakieś zamieszanie. Dziesiątki latarni poruszały się między ciemnymi domami mrugając i migocząc z daleka. Żółte punkciki światła skupiły się w samym środku wsi niczym stadko świetlików, a potem ruszyły falą na skraj Carvahall, gdzie na spotkanie wyszła im linia pochodni z obozu żołnierzy.

Przez dwie godziny Roran obserwował stojące naprzeciw siebie światelka - latarnie objające się bezradnie o mur pochodni. W końcu obie grupy rozproszyły się i powróciły do domów i namiotów.

Ponieważ nie zdarzyło się nic więcej, Roran rozwinął siennik i wsunął się pod koc.

\*\*\*

W ciągu następnego dnia w Carvahall panowało nietypowe poruszenie. Postaci krążyły między domami, a nawet, jak odkrył ze zdumieniem, wyjechały konno w głąb doliny Palancar, kierując się na pobliskie farmy. W południe ujrzał dwóch ludzi wchodzących do obozu żołnierzy i znikających na niemal godzinę w namiocie Ra'zaców. Tak bardzo zaabsorbowało go to wszystko, że aż do wieczora tkwił w miejscu jak kołek, zapatrzony w to, co działo się na dole.

Właśnie jadł obiad, gdy spełniły się jego nadzieje i znów pojawił się Baldor.

- Głodny? - spytał Roran, wskazując gestem jedzenie.

Baldor pokręcił głową i usiadł, wyraźnie wyczerpany. Ciemne kręgi pod oczami sprawiały, że jegoskóra wydawała się cienka i posiniaczona.

- Quimby nie żyje.

Miska Rorana z brzękiem uderzyła o ziemię. Zaklął, ścierając z uda zimny gulasz.

- Jak?

- Wczoraj wieczorem paru żołnierzy zaczęło niepokoić Tarę. - Czyli żonę Morna. - Nawet jej to nie przeszkadzało, ale obaj wdali się w bójkę o to, komu pierwszemu ma służyć. Był tam Quimby, sprawdzał baryłkę piwa, które według Morna skwaśniało. Próbował ich rozdzielić.

Roran kiwnął głową. Cały Quimby - zawsze wtrącał się do wszystkiego, pilnując, by inni zachowywali się jak należy.

- Tyle że jeden z żołnierzy rzucił w niego dzbankiem i trafił go w skroń. Quimby zginął na miejscu.

Roran wbił wzrok w ziemię i oparł dłonie na biodrach, ze wszystkich sił próbując opanować przyspieszony oddech. Zupełnie jakby Baldor wymierzył mu ogłuszający cios. To niemożliwe... Quimby umarł? Farmer i okazjonalny piwowar stanowił równie nieodłączną część krajobrazu, jak otaczające Carvahall góry. Jego obecność była jednym z filarów, na których wspierała się społeczność wioski.

- Czy zostali ukarani? Baldor uniósł rękę.

- Tuż po śmierci Quimby'ego Ra'zacowie ukradli ciało z karczmy i zawlekli do swoich namiotów. Wczoraj w nocy próbowaliśmy je odzyskać. ale nie chcieli z nami rozmawiać.

- Widziałem.

Jego rozmówca odchrząknął, potarł dłońmi twarz.

- Dziś ojciec i Loring spotkali się z Ra'zacami i zdołali ich przekonać, by oddali zwłoki. Żołnierze jednak nie poniosą żadnych konsekwencji. Miałem właśnie odejść, gdy przekazano nam Quimby'ego. Wiesz, co dostała jego żona? Kości.

- Kości?

- W dodatku starannie ogryzione, widać na nich ślady zębów. Większość rozszcepiono, żeby dostać się do szpiku.

Na myśl o losie Quimby'ego Rorana ogarnęło dogłębne obrzydzenie i groza. Wiadomo było powszechnie, że duch człowieka nie może spocząć, póki ciało nie zostanie właściwie pogrzebane. Tak wielkie świętokradztwo poruszyło go do głębi.

- Co...? Kto go pożarł?

- Żołnierze byli tak samo wstrząśnięci jak my. To musieli zrobić Ra'zacowie.

- Ale czemu? Po co?

- Wątpię - rzekł Baldor - by Ra'zacowie byli ludźmi. Ty nigdy nie widziałeś ich z bliska, ja mogę ci powiedzieć, że mają cuchnący oddech i zawsze zasłaniają twarz czarnymi szalami. Ich plecy są zgarbione. Powykręcane. Porozumiewają się, klekocząc. Nawet żołnierze się ich boją.

- Skoro nie są ludźmi, to co to za stwory? — spytał ostro Roran. - Przecież nie urgale.

- Kto wie?

Teraz do obrzydzenia Rorana dołączył strach, lęk przed siłami nadprzyrodzonymi. Dostrzegł podobne uczucia na twarzy Baldora. Szybko ścisnęli sobie dłonie. Mimo wszystkich opowieści o występkach Galbatorixa zagnieżdzenie się królewskiego zła pośród ich własnych domów wstrząsnęło Roranem. Przygniotło go też brzemie nowej odpowiedzialności. Uświadomił sobie, że ma do czynienia z mocami, o których wcześniej opowiadały tylko pieśni i legendy.

- Coś trzeba z tym zrobić - wymamrotał.

☆☆☆

Po nocy zrobiło się cieplej i następnego dnia dolina Palancar pojaśniała i rozkwitła w promieniach nieoczekiwanie ciepłej wiosny. Wyglądało na to, że w Carvahall panuje spokój, Roran jednak wyczuwał przejmującą wrogość ściskającą w swych szponach wszystkich mieszkańców. Ów spokój przypominał prześcieradło naciągnięte do granic wytrzymałości podmuchami wiatru. Mimo atmosfery wyczekiwania dzień okazał się przeraźliwie nudny. Roran poświęcił go niemal w całości na dokładne szcztokowanie klaczy Horsta. W końcu położył się spać, spoglądając pomiędzy gałęziami wyniosłych sosen w gwiazdy ozdabiające niebo. Wydawały się takie bliskie, że miał wrażenie, jakby leciał pośród nich, opadając w głąb najczarniejszej otchłani.

☆☆☆

Zachodził księżyc, gdy Roran obudził się nagle. Gardło piekło go od dymu. Rozkasłał się i zerwał z ziemi, mrugając. Miał załzawione oczy. Ostry dym dusił go, uniemożliwiając oddychanie. Roran zgarnął z ziemi posłanie, osiodłał spłoszoną klacz i pognął w górę zbocza w nadziei, że wydostanie się na świeże powietrze. Szybko dostrzegł, dym podąża jego śladem, skręcił więc ostro, pędząc przez las. Po kilkunastu minutach manewrów w ciemności w końcu zostawili za sobą chmurę dymu i wyjechali na skalną półkę omiataną powiewami wiatru. Roran odetchnął kilkanaście razy, by oczyścić płuca, i zaczął szukać wzrokiem ognia. Dostrzegł go natychmiast.

Wielka wspólna stodoła w Carvahall zamieniła się w rozszałaty cyklon białych płomieni, obracających bezcenne plony w snopy bursztynowych iskieł. Zadrżał, obserwując zniszczenie zapasów żywności całej wsi. Tak bardzo chciał zacząć krzyczeć i popędzić przez las, by pomóc w próbach ugaszenia stodoły, ale nie mógł się zmusić do porzucenia bezpiecznej kryjówki.

Jedna z iskieł wylądowała na dachu Delwina. W ciągu paru sekund słomiana strzecha zajęła się falą ognia. Roran zaklął, szarpiąc włosy. Po twarzy spływały mu łzy. To dlatego nieostrożne

obchodzenie się z ogniem w Carvahall karano powieszeniem. Czy to był wypadek? A może żołnierze? Czy Ra'zacowie karzą w ten sposób wieśniaków za to, że mnie chronią? Czyżbym był za to odpowiedzialny?

Wkrótce pożar dotarł także do domu Fiska. Ogarnięty grozą Roran mógł tylko odwrócić twarz. Nienawidził siebie i swego tchórzostwa.

☆☆☆

O świcie wszystkie ognie zostały zgaszone bądź wypaliły się same. Jedyne łut szczęścia i bezwietrzna noc ocaliły Carvahall przed zniszczeniem. Roran czuwał do samego końca, potem wycofał się do swego starego obozowiska i padł na ziemię. Od rana do wieczora leżał pogrążony w nieświadomości, postrzegając świat jedynie poprzez pryzmat niespokojnych snów.

Gdy w końcu się ocknął, zaczął wyczekiwać gościa. Był pewien, że ktoś się zjawi. Tym razem owym kimś okazał się Albriech. Przybył o zmierzchu z ponurą, zmęczoną miną.

- Chodź ze mną - polecił. Roran spał się.

- Czemu?

- Czy postanowili mnie wydać? - pomyślał. Jeśli istotnie to przez niego wybuchł pożar, mógł zrozumieć czemu wieśniacy pragną się go pozbyć. Może nawet by się zgodził, że to konieczne. Trudno przypuszczać, że wszyscy w Carvahall mieliby się poświęcić dla niego. Nie oznaczało to jednak, że zgodzi się, by tak po prostu oddali go Ra'zacom. Po tym co owe potwory zrobiły z Quimbym, Roran walczyłby na śmierć, byle tylko nie stać się ich więźniem.

- Ponieważ -Albriech zacisnął szczęki - to żołnierze zaproszyli ogień. Morn zakazał im wstępu pod Siedem Snopów, ale upili się własnym piwem i w drodze do obozu jeden z nich rzucił pochodnię pod ścianę stodoły.

- Czy komuś coś się stało?

- Kilka oparzeń. Gertrudę się nimi zajęła. Próbowaliśmy negocjować z Ra'zaczami. Splunęli z pogardą, słysząc nasze prośby, by imperium wyrównano nam straty i ukarało winnych. Odmówili nawet zatrzymania żołnierzy w namiotach.

- Po co więc mam wracać?

Albriech zaśmiał się głucho.

- Po szczypce i młot. Potrzebujemy cię. Musisz pomóc usunąć Ra'zaczów.

- Zrobicie to dla mnie?

- Nie narażamy życia wyłącznie dla ciebie. Teraz dotyczy to już całej wioski. Chodź, przynajmniej porozmawiaj z ojcem i pozostałymi. Myślę, że chętnie opuścisz te przeklęte góry.

Roran zastanawiał się długą chwilę nad propozycją Albriecha. W końcu zgodził się mu towarzyszyć. Albo to, albo ucieczka, a uciec zawsze zdąży, pomyślał. Zabrał kłacz, przywiązał worki do siodła i podążył w ślad za Albriechem w głąb doliny.

Gdy zbliżyli się do wioski, zwolnili i poruszali się teraz powoli od drzewa do drzewa. Albriech pierwszy wśliznął się za beczkę z deszczówką i sprawdził ulicę. Potem dał sygnał Roranowi. Razem skradali się wśród cieni, cały czas wypatrując sług imperium. Gdy dotarli do kuźni, Albriech otworzył jedno skrzydło drzwi dość szeroko, by Roran i kłacz mogli cicho wejść do środka.

Wewnątrz samotna świeca rzucała migotliwy blask na pierścien czekających w ciemności twarzy. Był tam Horst - w blasku świecy jego gęsta broda sterczała w przód niczym półka pomiędzy surowymi obliczami Delwina, Gedrica i Loringa. Na resztę grupy składali się młodszy mężczyźni: Baldor, trzech synowie Loringa, Parr i syn Quimby'ego, Nolfavrell, zaledwie trzynastoletki.

Gdy Roran wszedł do kuźni, wszyscy spojrzeli na niego.

- Ach, udało ci się - rzekł Horst. - Uniknąłeś pecha, który czyha w Koścu.

- Miałem szczęście.

- Możemy zatem zaczynać. Co dokładnie? - Roran przywiązał klacz do kowadła.

Odpowiedział mu Loring. Ogorzała, twardą jak pergamin twarz szewca pokrywała gęsta sieć zmarszczek.

- Próbowaliśmy rozsądnie rozmawiać z tymi Ra'zacami, tymi najeźdźcami. - Urwał. Jego szczupłą postać wstrząsnął nieprzyjemny metaliczny kaszel dobiegający z głębi piersi. - Ale oni odrzucili rozsądek. Narazili nam wszystkich. Bez cienia skruchy ani wyrzutów sumienia. - Odchrząknąć, po czym podjął, starannie podkreślając każde słowo: - Muszą... stąd... odejść... Takie stwory...

- Nie - wtrącił Roran. - Nie stwory. Świętokradcy. Bezczęściele.

Mężczyźni skrzywili się i pokiwali głowami. Delwin podjął przerwany wątek:

- Chodzi o to, że zagrożone jest życie wszystkich. Gdyby ogień rozprzestrzenił, zginęłyby dziesiątki ludzi, a ocaleni straciliby wszystko. Ustaliliśmy zatem, że musimy przegnać Ra'zaców z Carvahall. Dołączysz do nas?

Roran zawahał się.

- A jeśli tu wrócą albo sprowadzą posiłki? Nie pokonamy całego imperium.

- Nie - rzekł uroczystym tonem Horst. - Ale nie możemy też milczeć i pozwalać żołnierzom, by nas zabijali i niszczyli nasz dobytek. Jest granica, poza którą mężczyzna musi stanąć do walki.

Loring roześmiał się, odrzucając głowę w tył. Blask płomyka padł na pieńki jego zębów.

- Najpierw się ufortyfikujemy - wyszeptał radośnie. - Potem staniemy do walki. Sprawimy, że pożałują, że spojrzeli na ich ropiejących parszywych oczu kiedykolwiek spojrzeli na Carvahall. Ha, ha!

## Zapłata

Gdy Roran zgodził się na ich plan, Horst zaczął rozdawać zebranych szpadle, widły, cepy - wszystko, co nadawało się do przegnania żołnierzy i Ra'zaców.

Roran zważył w dłoni kilof i odłożył go na bok. Choć nigdy nie przepadał za opowieściami Broma, jedna z nich, „Pieśń o Grandzie”, poruszyła w nim jakąś strunę, gdy usłyszał ją po raz pierwszy. Opowiadała o Grandzie, największym wojowniku swych czasów, który zamienił miecz na żonę i farmę, nie znalazł jednak spokoju, bo zazdrosny miejscowy pan rozpoczął krwawą waśń z jego rodziną. To zmusiło Granda, by znów zaczął zabijać. Nie stanął jednak do walki z mieczem w dłoni, tylko ze zwykłym młotem.

Roran podszedł do ściany i zdjął z niej średni młot z długim drzewcem. Z jednej strony młot kończył się zaokrąglonym ostrzem. Podrzucając go, Podszedł do Horsta.

- Mogę go wziąć?

Horst zmierzył wzrokiem narzędzie i Rorana.

- Używaj go mądrze. - Odwrócił się do reszty grupy. - Posłuchajcie, chcemy ich wystraszyć, nie zabić. Złamcie parę kości, jeśli trzeba, ale niech was nie poniesie. I cokolwiek zrobicie, nie stawajcie do walki. Może czujecie się jak bohaterowie, ale pamiętajcie, że mamy do czynienia z wyszkolonymi żołnierzami.

Gdy wszyscy znaleźli sobie broń, opuścili kuźnię i przekradli się przez Carvahall na skraj obozowiska Ra'zaców. Żołnierze w większości już spali, pozostawili tylko czterech wartowników okrążających szare namioty, Dwa konie Ra'zaców stały przywiązane do kołków obok dymiącego ogniska

Horst cicho wydał rozkazy. Posłał Albriecha i Delwina, by z zaskoczenia zaatakowali dwóch strażników. Parr i Roran mieli zająć się pozostałą dwójką.

Roran wstrzymał oddech, skradając się w stronę nieświadomego niczego żołnierza. Serce zadrżało mu, a w kończynach poczuł ukłucia energii Rozdygotany, ukrył się za narożnikiem domu, czekając na sygnał Horsta

Czekaj. Czekaj.

Horst wyskoczył z wrzaskiem z ukrycia, prowadząc atak na namioty, Roran śmignął naprzód i zamachnął się. Młot trafił z upiornym chrzęstem w ramię wartownika. Żołnierz zawył i upuścił halabardę. Zachwiał się, gdy Roran rąbnął go w żebra i plecy. Znów uniósł młot i mężczyzna uciekł, wzywając pomocy.

Roran pobiegł za nim, krzycząc bez ładu i składu. Jednym ciosem zwałił bok wełnianego namiotu, deptając wszystkich, którzy zostali w środku Walną wyłaniający się z innego namiotu hełm; metal zadźwięczał niczym dzwon. Roran ledwie dostrzegł przebiegającego obok Loringa - stary piekarz zanosił się śmiechem i wydawał radosne okrzyki, dźgając żołnierzy widłami. Wokół panował zamęt.

Obróciwszy się, Roran ujrzał żołnierza próbującego nałożyć cięciwę na łuk. Podbiegł do niego i uderzył drzewce stalowym młotem, przełamując je na dwoje. Żołnierz uciekł. Skrzeczący upiornie Ra'zacowie wygramolili się ze swego namiotu z mieczami w dłoniach. Nim zdążyli zaatakować, Baldor odwiązał ich konie i pogonił je w stronę dwóch zniekształconych postaci. Ra'zacowie rozdzielili się i przegrupowali - tylko po to, by dać się porwać żołnierzom, którzy w panice rzucili się do ucieczki.

Walka dobiegła końca.

Roran stał w ciszy, zdyszany, zaciskając kurczowo palce na trzonku młota. Po chwili ruszył naprzód, wymijając powalone namioty i rozrzucone koce. Horst uśmiechał się pod wąsem.

- To najlepsza bójka, w jakiej uczestniczyłem od lat.

Wioska za ich plecami ożyła; ludzie próbowali odkryć źródło hałasu Roran patrzył, jak za okiennicami rozbłyskują lampy. Odwrócił się, słysząc cichy płacz.

Nolfavrell klęczał obok ciała żołnierza, raz po raz dźgając go w pierś.

Po brodzie spływały mu łzy. Gedric i Albriech podbiegli i odciągnęli chłopaka od trupa - Nie powinien być isć z nami - mruknął Roran.

Horst wzruszył ramionami.

- Miał do tego prawo.

Mimo wszystko zabicie jednego z ludzi Ra'zaców tylko utrudni nam pozbycie się bezczęścicieli, pomyślał Roran.

- Powinniśmy zabarykadować drogę i prześwity między domami, żeby nie mógł zaatakować nas znieca. - Roran rozejrzył się po swych towarzyszach, sprawdzając ich obrażenia. Dostrzegł, że przedramię Delwina przecina długie skaleczenie. Farmer zabandażował je pasem tkaniny oddanym z zakrwawionej koszuli.

Kilkoma krótkimi okrzykami Horst przywrócił porządek w grupie. Wysłał Albriecha i Baldora, by przyprowadzili stojący w kuźni wóz Quimbyego. Synowie Loringa i Parra mieli przeczesać Carvahall w poszukiwaniu przedmiotów, które mogły się przydać do zabarykadowania wioski.

Tymczasem na skraju pola zaczęli gromadzić się ludzie. Patrzyli na to, co zostało z obozu Ra'zaców, i na martwego żołnierza.

- Co się stało?! - krzyknął Fisk.

Loring podbiegł naprzód i spojrzał prosto w oczy cieśli.

- Co się stało? Powiem ci co się stało. Przegnaliśmy tych łajnobrodych, złapaliśmy ze spuszczonej portkami i wysmagaliśmy jak psy.

- Cieszę się — powiedziała Birgit. Rudowłosa kobieta tuliła do łona Nolfavrella, nie zważając na pokrywającą jego twarz krew. - Zasłużyli, by zginąć jak tchórze. To oni zabili mi męża.

Mieszkańcy wioski zaszemrali z aprobatą, wówczas jednak odezwał się Thane:

- Oszalałeś, Horst? Nawet jeśli przepłoszyłeś Ra'zaców i ich żołnierzy, Galbatorix po prostu przyśle kolejnych ludzi. Imperium nigdy nie zrezygnuje póki nie schwyta Rorana.

- Powinniśmy go im oddać — warknął Sloan. Horst uniósł ręce.

- Zgadzam się, nikt nie jest wart więcej niż całe Carvahall. Ale jeśli oddamy im Rorana, myślicie, że Galbatorix nie ukarze nas za nasz opór? W jego oczach nie jesteśmy lepsi od Vardenów.

- To czemu zaatakowaliście obóz? - chciał wiedzieć Thane. - Kto dał wam prawo podjęcia takiej decyzji? Skazaliście nas wszystkich.

Tym razem odpowiedziała Birgit:

- Pozwoliłbyś, żeby zabili ci żonę? - Przycisnęła ręce do obu stron twarzy syna i oskarżycielskim gestem pokazała Tliane'owi zakrwawione dłonie. - Pozwoliłbyś im nas spalić, ziemiobijco?

Spuścił wzrok, niezdolny stawić czoła jej surowemu spojrzeniu.

- Spalili moją farmę - oznajmił Roran. - Pożarli Quimby'ego i o mało nie zniszczyli Carvahall. Podobne zbrodnie nie mogą ująć płazem. Czyżbyśmy stali się spłoszonymi królikami, które bez walki przyjmują swój los? Nie! Mamy prawo się bronić. - Urwał, widząc Albriecha i Baldona ciągnących ulicą wóz. - Możemy dyskutować później, teraz musimy się przygotować. Kto nam pomoże?

Natychmiast zgłosiło się ponad czterdziestu mężczyzn. Razem zabrali się do pracy. Czekają ich trudne zadanie: zamiana Carvahall w twierdzę. Roran pracował bez wytchnienia, przybijając między domami sztachety, ustawiając zaimprovizowane barykady z pełnych kamieni beczek i wlokąc kłody na główną drogę, którą zablokowali dwoma przewróconymi wozami.

W pewnym momencie Katrina zdybała go w bocznej alejce i uściskała.

- Cieszę się, że wróciłeś i że jesteś bezpieczny.

Ucałował ją lekko.

- Katrino... porozmawiam z tobą, gdy tylko skończymy.

Uśmiechnęła się niepewnie, z iskierką nadziei. - Miałaś rację, to niemądre z mojej strony, że zwlekałem. Każda chwila spędzona razem jest cenna i nie zamierzam marnować pozostałego nam czasu, gdy kaprys losu w każdej chwili może rozłączyć nas na zawsze.

Oblewał właśnie wodą strzechę domu Kiselta, by nie zajęła się płomieniami, gdy Parr krzyknął.

- Ra'zacowie!

Roran upuścił wiadro i podbiegł do wozów, gdzie zostawił młot. Chwytną broń, ujrzał jednego z Ra'zaców. Siedział na koniu, daleko na drodze, poza zasięgiem strzał. Trzymana w lewej dłoni pochodnia oświetlała stwora, prawą odchylił w tył, jakby szykował się do rzutu.

Roran wybuchnął śmiechem.

- Zamierza ciskać w nas kamieniami? Jest zbyt daleko, żeby trafić w... - Urwał, bo Ra'zac wziął potężny zamach.

W powietrzu poszybowała szklana fiolka i roztrzaskała się o wóz po prawej. W sekundę później kula ognia wyrzuciła go w górę, a niewidzialna pięść rozpalonego powietrza cisnęło Roranem o ścianę.

Oszołomiony, upadł na czworaki, dysząc gwałtownie. Przez dźwięczący w uszach huk przebił się rytmiczny tętent galopującego konia. Roran dzwignął się z trudem z ziemi i spojrzał w stronę źródła dźwięku tylko po to by odskoczyć gwałtownie, gdy Ra'zacowie wpadli do Carvahall przez ognistą wyrwę między wozami.

Błyskawicznie ściągnęli wodze i błysnęły klingi, gdy zaatakowali otaczających ich ludzi. Roran ujrzał śmierć trzech z nich - a potem Horst i Loring dotarli na miejsce i zaczęli dźgać Ra'zaców widłami. Nim wieśniacy zdążyli zareagować, przez wyrwę wleli się żołnierze, zabijając w ciemności wszystkich bez wyboru.

Roran wiedział, że muszą ich zatrzymać, w przeciwnym razie Carvahall padnie. Skoczył z boku na nieświadomego niczego żołnierza i uderzył go w twarz ostrzem młota. Mężczyzna, nie wydając z siebie najłżejszego głosu, runął na ziemię. Gdy pozostali żołnierze popędzili ku nim, Roran zerwał z bezwładnej ręki trupa tarczę. W ostatniej chwili zdążył ją unieść, zasłaniając się przed pierwszym ciosem.

Szybko odparował pchnięcie miecza i cofając się w stronę Ra'zaców, zamachnął się młotem, uderzając napastnika pod brodę i posyłając na ziemię.

- Do mnie! - krzyknął. - Brońcie swoich domów! - Uskoczył przed cięciem; pięciu żołnierzy próbowało go okrążyć. - Do mnie!

Pierwszy na wezwanie odpowiedział Baldor, potem Albriech. W kilka sekund później dołączyli do nich synowie Loringa, a po nich kilkunastu innych. Z bocznych uliczek kobiety i dzieci zasypywały żołnierzy kamieniami.

- Trzymajcie się razem - polecił Roran, nie ustępując. - Nas jest więcej. Żołnierze zatrzymali się na widok gęstniejącej linii wieśniaków. Gdy za plecami Rorana zebrała się ich ponad setka, powoli ruszył naprzód.

- Atakujcie, głupcccy! - wrzasnął Ra'zac, uskakując przed widłami Loringa.

Samotna strzała śmignęła ku Roranowi. Odrzucił ją tarczą i roześmiał się. Ra'zacowie zrównali się już z żołnierzami, sycząc z wściekłości. Spod czarnych kapturew spoglądali gniewnie na wieśniaków. Nagle Roran poczuł jak ogarnia go dziwna senność, poczucie niemocy. Nie miał siły się ruszyć nawet myślenie przychodziło mu z trudem. Zmęczenie zdawało się przykuwać do ziemi ręce i nogi.

I wówczas z głębi Carvahall dobiegł go ochrypły okrzyk Birgit. W sekundę później nad jego głową przeleciał kamień i pomknął ku pierwszemu z Ra'zaców, który z nadludzką szybkością uchylił się przed pociskiem.. Ta chwila dekoncentracji, choć krótka, wystarczyła, by umysł Roran. uwolnił się spod usypiającego wpływu. Czy to była magia?

Odrzucił tarczę, chwycił oburącz młot i wznosił go wysoko nad głowę. tak jak czynił to Horst, gdy przekuwał świeżą sztabę metalu. Roran uniósł się na palcach, wyginając do tyłu całe ciało, po czym z rozmachem opuścił ręce. Młot obrócił się w powietrzu i uderzył z hukiem o tarczę Ra'zaca, pozostawiając potężne wgniecenie.

Te dwa ataki wystarczyły, by rozproszyć resztki dziwnych mocy Ra'zaców. Stwory zaczęły klekotać do siebie. Tymczasem wieśniacy ruszyli z głośnym okrzykiem naprzód. Wówczas Ra'zacowie szarpnęli wodze i zawrócili wierzchowce.

- Wycofać sssię! - wrzasnęli, wymijając żołnierzy. Odziani w szkarłat wojownicy wymaszerowali tyłem z Carvahall, dźgając mieczami wszystkich, którzy zanadto się zbliżyli. Dopiero gdy odeszli spory kawałek od płonących wozów, odważyli się odwrócić plecami.

Roran westchnął i podniósł młot. Pomacał ręką stłuczone miejsca, czując ból w boku i na plecach, pamiątki zderzenia ze ścianą. Pochylił głowę, odkrywając, że wybuch zabił Parra. Zginęło też dziewięciu innych mężczyzn. Żony i matki zaczęły już zawodzić z rozpaczą i ich głosy wlatywały ku nocnemu niebu.

Jak mogło do tego dojść? zastanawiał się Roran.

- Chodźcie tu wszyscy! - krzyknął Baldor.

Roran zamrugał i wybiegł na środek drogi, dołączając do niego. Zaledwie dwadzieścia jardów dalej, na grzbiecie konia przycupnął Ra'zac tkwił na nim niczym olbrzymi żuk. Stwór skinął palcem na Rorana.

- Ty... pachnieszysz jak twój kuzzzyn. Nigdy nie zzapominamy zapachu.

- Czego ode mnie chcecie?! - krzyknął Roran. - Po co tu przyszliście.

Ra'zac zachichotał upiornie, nieludzko.

- Chcemy... informacccji. - Obejrzał się przez ramię za swymi znikającymi towarzyszami, po czym wrzasnął: - Oddajcie Rorana, a sssprzedam wasss w niewolę! Chronście go, a pożremy wasss wszszysstkich. Nassstępnym razem wysssluchamy odpowiedzi. Oby była właściwa!



## *Az Sweldn rak Anhuin*

Drzwi otwały się ciężko i do tunelu wtargnęło światło. Eragon skrzywił się - po długim pobycie pod ziemią jego oczy odwykły od blasku dnia. Saphira syknęła i wygięła szyję, by lepiej przyjrzeć się otoczeniu.

Pokonanie podziemnego szlaku z Fardien Duru zajęło im pełne dwa dni. Eragonowi jednak zdawało się, że minęło znacznie więcej czasu. Sprawili to otaczający ich zewsząd mrok i milczenie, jakie narzucił wędrowcom. Przez cały ten czas zamienili ze sobą najwyżej kilka słów.

Miał nadzieję, że podczas wspólnej podróży dowie się czegoś więcej o Aryi, lecz jedyne dotąd informacje stanowiły efekt zwykłej obserwacji, wcześniej nie posilał się z nią i ze zdumieniem odkrył, że zabrała własny prowiant i nie jadła mięsa. Spytał ją nawet, dlaczego.

- Gdy zakończysz szkolenie, nigdy więcej nie spożyjesz ciała zwierząt, a jeśli nawet, to bardzo, bardzo rzadko.

- Czemu miałbym rezygnować z mięsa? - prychnął.

- Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Zrozumiesz, gdy dotrzemy do Ellesmery.

Teraz, śpiesząc przez próg, zapomniał o wszystkim, nie mogąc się już doczekać chwili, gdy ujrzy cel wędrówki. Odkrył, że stoi na granitowej półce ponad sto stóp nad fioletowymi wodami jeziora, połyskującego w promieniach wschodzącego słońca. Podobnie jak Kósthamera, tu także woda rozlewała się między górami, wypełniając dokładnie kraniec doliny. Z drugiej strony jeziora wypływała na północ rzeka Az Ragni, wijąca się między szczytami aż do miejsca, gdzie w oddali wylewała się na wschodnie równiny.

Po jego prawej wznosiły się nagie góry, oprócz kilku niewyraźnych szlaków pozbawione śladów życia. Natomiast po lewej... Po lewej ujrział krasnoludzkie miasto Tarnag. Tu krasnoludy przekształciły pozornie niezmiennie Beory w serię tarasów. Na niższych mieściły się głównie farmy - ciemne półkola ziemi czekającej na obsianie. Tu i tam wyrastały z niej przysadziste chaty, z tego co widział Eragon zbudowane wyłącznie z kamienia. Nad tymi pustymi poziomami piętrzyły się kolejne warstwy połączonych budynków, zwieńczonych gigantyczną kopułą w złocie i bieli - zupełnie jakby całe miasto stanowiło jedynie wiodące do niej schody. W promieniach słońca połyskiwała, niczym wypolerowany kamień księżycowy, mleczna kula osadzona na szczycie piramidy z szarego łupku.

Orik odgadł pytanie Eragona.

- To Celbedeil - oznajmił. - Największa świątynia krasnoludzka i dom Durgrimst Quan, klanu Quan, sług i posłańców bogów.

*Czy oni władają Tarnagiem?* - spytała Saphira.

Eragon powtórzył jej słowa.

- Nie. - Arya wyminęła ich szybko. - Choć Quan są silni, jest ich niewiele. Mimo władzy, jaką dzierżą nad zaświatami... i złotem, to Ragni Hefthyn - Straż Rzeczna - włada Tarnagiem. Podczas pobytu tutaj zamieszkamy u ich przywódcy, Undina.

Gdy w ślad za elfką zeskoczyli z półki i zaczęli przedzierać się przez karłowaty las porastający górę, Orik odwrócił się do Eragona.

- Nie przejmuj się nią - wyszeptał. - Od wielu lat spiera się z Quan. Za każdym razem, gdy odwiedza Tarnag i rozmawia z kapłanem, kończy się to kłótnią wystarczająco zaciętą, by wystraszyć Kulla.

- Arya?

Orik przytaknął z ponurą miną.

- Niewiele o tym wiem, ale słyszałem, że zdecydowanie nie zgadza się z wieloma praktykami Quan. Najwyraźniej elfy nie wierzą w szeptanie w powietrze próśb o pomoc.

Eragon zapatrzył się w plecy Aryi, zastanawiając się, czy Orik mówi prawdę, a jeśli tak, to w co wierzy sama elfka. Odetchnął głęboko, przeganiając te myśli. Cudownie było znów znaleźć się pod gołym niebem, poczuć zapach mchu, paproci i leśnych drzew, i ciepłe dotknięcie słońca na

twarży, usłyszeć brzęk pszczoł i innych owadów, Ścieżka zawiodła ich na skraj jeziora, a potem znów w górę, w stronę Tarnagu i jego otwartych bram.

- Jak udało się wam ukryć Tarnag przed Galbatorixem? - spytał Eragon - Rozumiem, Farthen Dur, ale to... Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Orik zaśmiał się cicho.

- Ukryć? To byłoby niemożliwe. Nie, po upadku Jeźdźców musieliśmy porzucić wszystkie nasze miasta na powierzchni i wycofać się do tuneli tylko tak mogliśmy umknąć Galbatorixowi i Zaprzysiężonym. Często przelatywali nad Beorami, zabijając każdego, kogo spotkali.

- Sądziłem, że krasnoludy zawsze żyły pod ziemią.

Orik ściągnął brwi.

- Niby czemu? Owszem, łączy nas pokrewieństwo z kamieniem, ale lubimy otwartą przestrzeń tak samo jak elfy i ludzie. Jednak dopiero przez ostatnie półtora dziesięciolecia od śmierci Morzana ośmieliliśmy się wrócić do Tarnagu i innych starożytnych miast. Galbatorix dysponuje nienaturalną potęgą, ale nawet on nie zaatakowałby sam całego miasta. Oczywiście wraz ze swym smokiem mogliby wyrządzić nam olbrzymie szkody, gdyby tylko chcieli, lecz w dzisiejszych czasach rzadko opuszczają Uru'baen, nie wyjeżdżają nawet na krótkie wycieczki. Nie zdołałby też sprowadzić tu armii, nie pokonawszy najpierw Buraghu bądź Farthen Duru.

*Iomal tego nie zrobił*- skomentowała Saphira.

Gdy dotarli na szczyt niewielkiego pagórka, Eragon wzdrygnął się, zaskoczony widokiem zwierzęcia, które wypadło z krzaków wprost na ścieżkę. Kudłate stworzenie przypominało górską kozę z Kościca, tyle że większą o jedną trzecią i obdarzoną olbrzymimi prążkowanymi rogami, zakręconymi wokół głowy. W porównaniu z nimi rogi urgala wydawały się małe niczym jaskółcze gniazda. Jeszcze dziwniejsze było siodło przypięte do grzbietu kozy i siedzący w nim krasnolud, celujący w powietrze z na wpół naciągniętego łuku.

- Hert Durgrimst? Fild rastn?! - krzyknął krasnolud.

- Orik Thrifkz menthiv oen Hrethcarach Eragon rak Durgrimst Ingeitum - odparł Orik. - Wharn, az vanyali-carharug Arya. Ne oc Undinz grimstbelardn.

Koza przyglądała się czujnie Saphirze. Eragon dostrzegł w jej spojrzeniu inteligencję, choć zakończony kędzierzawą brodą smutny pysk sprawiał raczej zabawne wrażenie. Skojarzył mu się z Hrothgarem i Eragon z trudem powstrzymał uśmiech, myśląc, jak bardzo krasnoludsko wygląda to zwierze.

- Azt jok jordn rast - padła odpowiedź.

Bez żadnego słyszalnego polecenia krasnoluda koza skoczyła naprzód, pokonując tak wielki dystans, że przez moment zdawało się, że leci. A potem jeździec i wierzchowiec zniknęli wśród drzew.

- Co to było? - Eragon odprowadził ich zdumionym wzrokiem.

Orik ruszył naprzód.

- Feldunost, jedno ze zwierząt żyjących wyłącznie w tych górach. Każde z nich dało imię naszemu klanowi. Lecz Durgrimst Feldunost to chyba najodważniejszy i najbardziej szanowany klan.

- Czemu?

- Feldunosty dają nam mleko, wełnę i mięso. Bez nich nie przeżylibyśmy w Beorach. Gdy Galbatorix i jego zdrazieccy Jeźdźcy siali wśród nas terror, to właśnie Durgrimst Feldunost ryzykowali życie, i wciąż ryzykują, doglądając stad i pól. Wszyscy jesteśmy ich dłużnikami.

- Czy wszystkie krasnoludy dosiadają feldunostów? - Z trudem wymówił to osobliwe słowo.

- Tylko w górach. Feldunosty są zręczne i wytrzymałe, ale bardziej nadają się na skały niż na otwarte przestrzenie.

Saphira trąciła nosem Eragona, sprawiając, że Śnieżny Płomień cofnął się spłoszony.

*Cóż za wspaniała zwierzyna. To byłyby lepsze łowy, lepsze niż jakiekolwiek w Kościcu czy później. Gdybym miała dość czasu w Tarnagu...*

*Nie - uciał Eragon. Nie możemy sobie pozwolić na obrażanie krasnoludów.*

Smoczyca parsknęła z irytacją.

*Mogłabym najpierw poprosić je o zgodę.*

Ścieżka kryjąca się dotąd w cieniu czarnych gałęzi dotarła na wielką polanę otaczającą miasto. Grupki obserwatorów zaczęły już zbierać się na polach. Z miasta wyjechało siedem feldunostów w wysadzanych klejnotami uprzężach. Ich jeźdźcy trzymali w dłoniach lance zwieńczone proporcami, które łopotały w powietrzu niczym bicze. Ściągając wodze niezwyklego wierzchowca, jadący na czele krasnolud odezwał się pierwszy.

- Witajcie, mieście Tarnag. Mocą otho Undina i Gannela ja, Thorv, syn Brokka, ofiaruję wam w pokoju schronienie w naszych progach. - Jego akcent był szorstki, zgrzytliwy, zupełnie niepodobny do Orikowego.

- Mocą otho Hrothgara my z Ingeitum przyjmujemy waszą gościnę - odparł Orik.

- Ja także, w imieniu Islanzadi - dodała Arya.

Najwyraźniej usatysfakcjonowany Thorv wezwał gestem swych towarzyszy, którzy ustawili feldunosty w formacji wokół czwórki przybyszów. Z dumnymi minami krasnoludy ruszyły naprzód, prowadząc ich do Tarnagu i dalej przez bramy miasta.

Zewnętrzny mur liczył sobie czterdzieści stóp grubości. Mroczny tunel wiódł na pierwszą z wielu farm okalających Tarnag. Po pokonaniu pięciu kolejnych poziomów, z których każdego strzegła ufortyfikowana brama, zostawili za sobą pola i znaleźli się w mieście.

W odróżnieniu od masywnych fortyfikacji budynki wewnątrz murów, choć wzniesione z kamienia, ukształtowano tak zręcznie, że wydawały się lekkie i pełne wdzięku. Sklepy i domy ozdabiała mocarne, śmiałe rzeźby. Lecz większe wrażenie robił sam kamień, pokrywały go bowiem warstwy glazury w żywych barwach, od jaskrawego szkarłatu po najdelikatniejszą zieleń.

W całym mieście wisiały na ścianach pozbawione płomieni krasnoludzkie lampy. Ich wielobarwne światła zwiastowały nadejście długiego, górskiego zmierzchu i nocy. W odróżnieniu od Tronjheimu Tarnag wzniesiono wyłącznie z myślą o krasnoludach, bez żadnych ustępstw na rzecz ludzi, elfów bądź smoków. W najlepszym razie drzwi miały pięć stóp wysokości, a zazwyczaj cztery i pół. Eragon mimo swego średniego wzrostu czuł się niczym olbrzym, który trafił na scenę dla lalek.

Na szerokich ulicach panował tłok; krasnoludy z najróżniejszych klanów krzątały się, doglądając swych spraw, albo targowały zacięcie w kramach. Wiele miało na sobie osobliwe, egzotyczne stroje - choćby grupka groźnych czarnowłosych krasnoludów noszących srebrne hełmy wykute na kształt wilczych łbów.

Eragon głównie przyglądał się krasnoludzkim kobietom. Wcześniej w Tronjheimie widywał je zaledwie przelotnie. Były bardziej przysadziste od mężczyzn, twarze miały okrągłe, rysy toporne, lecz ich oczy błyszczały, włosy opadały na plecy pysznymi kaskadami, a dłonie delikatnie podtrzymywały maleńkie dzieci. Nie uznawały ozdóbek, prócz niewielkich, misternie wykutych brosz z żelaza i kamienia.

Słyszając ostry tętent feldunostów, krasnoludy odwracały głowy, przyglądając się przybyszom. Wbrew oczekiwaniom Eragona nie wiwatowały, lecz raczej skłaniały głowy, mamrocząc: „Cieniobójca”; gdy zaś dostrzegały młot i gwiazdy na hełmie Eragona, podziw zniknął, zastąpiony szokiem i w wielu przypadkach oburzeniem. Pierścień rozgniewanych krasnoludów zacisnął się wokół feldunostów; zebrani wodzili wściekłym wzrokiem pomiędzy zwierzętami i Eragonem, wykrzykując nieprzychylnie komentarze.

Eragon poczuł mrowienie na karku.

*Najwyraźniej przyjęcie mnie do klanu nie było najpopularniejszą decyzją w życiu Hrothgara.*

*Owszem - zgodziła się Saphira. Być może wzmocnił swą władzę nad tobą, ale kosztem zniechęcenia wielu krasnoludów. Lepiej zejźmy z widoku nim poleje się krew.*

Thorv i pozostali strażnicy jechali naprzód i nie zważając na tłum, prowadzili ich przez kolejne siedem poziomów. W końcu tylko jedna brama dzieliła przybyszów od olbrzymiego masywu Celbedeilu. Wówczas Thorv skręcił w lewo, w stronę wielkiego dworu, przytulonego do zbocza góry i strzeżonego przez barbakan z dwiema zębatymi wieżami. Gdy się zbliżyli, pomiędzy

domów wysypała się grupka uzbrojonych krasnoludów, tworząc zwarty szereg blokujący ulicę. Długie, fioletowe chusty osłaniały ich twarze i opadały na ramiona.

Strażnicy natychmiast zatrzymali feldunosty, a ich twarze przybrały wrogi wyraz.

- Co się dzieje? - spytał Orika Eragon, ale krasnolud tylko pokręcił głową i ruszył naprzód z dłonią na toporze.

- Etil nithgech! - krzyknął zamaskowany krasnolud, unosząc pięść. – Formv Hrethcarach... formv Jurgencarmeitder nos eta goroth bahst Tarnag, dur encesti rak kythn! Jok is warrev as barzulegur dur Durgrimst, Az Sweldn rak Anhuin, mógh tor rak Jurgenvren? Ne udim etal os rast knurlag. Knur-lag ana... - przemawiał przez długą chwilę z rosnącym podnieceniem.

- Vrron! - warknął Thorv, przerywając mu i dwa krasnoludy zaczęły się kłócić. Mimo ostrej wymiany zdań Eragon dostrzegł, że Thorv żywi szacunek dla swego rozmówcy.

Eragon przesunął się na bok, próbując wyjrzeć zza feldunosta Thorva. i zamaskowany krasnolud umilkł gwałtownie, ze zgrozą wskazując palcem jego hełm.

- Knurlag qana qiranu Durgrimst Ingeitum! - wrzasnął. - Qarzul ana Hrotghar oen volfild...

- Jok is frekk durgrimstvren? - przerwał mu cicho Orik, dobywając topora.

Eragon z niepokojem zerknął na Aryę, elfka jednak w zbytnim napięciu słuchała wymiany zdań, by to zauważyć. Ukradkiem opuścił dłoń i odszukał owiniętą drutem rękojeść Zar'roca.

Obcy krasnolud wbił w Orika groźne spojrzenie, po czym wyjął z kieszeni żelazny pierścień, wyrwał z brody trzy włosy, owinał je wokół pierścienia i cisnął wyniosłe na ulicę, spluwając w ślad za nim. Następnie odziane w fiolet krasnoludy odeszły bez słowa.

Thorv, Orik i pozostali wojownicy wzdrygnęli się, gdy pierścień z brzękiem wylądował na granitowym chodniku. Nawet Arya wyglądała na wstrząśniętą. Dwa młodsze krasnoludy zbladły i sięgnęły po miecze. Thorv jednak warknął: „Eta!” i natychmiast opuściły ręce.

Ich reakcje zaniepokoiły Eragona znacznie bardziej niż dziwaczne spotkanie. Gdy Orik ruszył samotnie naprzód i schował pierścień do sakiewki, Eragon nie zdołał dłużej kryć ciekawości.

- Co to znaczy?

- To znaczy - odparł Thorv - że masz wrogów.

Pośpieszyli przez barbakan na szeroki dziedziniec, na którym ustawiono trzy stoły bankietowe, przystrojone proporcami i latarniami. Przed stołami czekała grupa gospodarzy, a na ich czele siwobrody krasnolud w narzuconej na ramiona wilczej skórze. Szeroko rozłożył ręce.

- Witajcie w Tarnagu, ojczystym mieście Durgrimst Ragni Hefthyn. Słyszeliśmy o tobie wiele dobrego, Eragonie Cieniobójco. Jestem Undin, syn Derunda i przywódca klanu.

Kolejny krasnolud wystąpił naprzód. Miał barki i pierś wojownika, spojrzenie ciemnych oczu pod wypukłym czołem wbił w twarz Eragona.

- Ja jestem Gannel, syn Orma Krwawego Topora i przywódca klanu Durgrimst Quan.

- To zaszczyt gościć u was. - Eragon skłonił głowę.

Poczuł irytację zignorowanej Saphiry.

*Cierpliwości* - mruknął, zmuszając się do uśmiechu.

Smoczyca prychnęła.

Przywódcy klanów powitali kolejno Aryę i Orika, ten jednak całkowicie zlekceważył ich gościnność i w odpowiedzi tylko wyciągnął dłoń, na której spoczywał żelazny pierścień. Oczy Undina rozszerzyły się. Ostrożnie ujął pierścień, trzymając go w dwóch palcach niczym jadowitą żmiję.

- Kto ci to dał?

- Az Sweld rak Anhiin. I nie mnie, tylko Eragonowi.

Na widok troski widocznej na twarzach krasnoludów wcześniejsze obawy Eragona powróciły. Widział, jak samotne krasnoludy z mniejszym lękiem stawiały czoło całym oddziałom Kullów. Pierścień musiał symbolizować coś naprawdę strasznego, skoro tak bardzo nimi wstrząsnął jego widok.

Ondin zmarszczył brwi, słuchając szeptów doradców.

- Musimy naradzić się w tej sprawie - rzekł w końcu. - Cieniobójco, przygotowaliśmy na twą cześć ucztę. Jeśli pozwolisz, moi słudzy zaprowadzą cię do komnat. Tam możesz się odświeżyć i wówczas zaczniemy.

- Oczywiście.

Eragon oddał wodze Śnieżnego Płomienia czekającemu krasnoludowi i podążył za przewodnikiem w głąb dworu. Mijając drzwi, obejrzał się i ujrzał Aryę i Orika naradzających się gorączkowo z przywódcami klanów.

*Zaraz wrócę - przyrzekł Saphirze.*

Pokonawszy w kucki krasnoludzkie korytarze, z ulgą przekonał się, że przydzielony mu pokój jest dość przestronny, by mógł stanąć swobodnie. Służący uklonił się nisko.

- Wrócę, gdy Grimstborith Undin będzie gotów.

Kiedy służący zniknął, Eragon odetchnął głęboko, napawając się ciszą. Spotkanie z zamaskowanymi krasnoludami wciąż nękało mu umysł, utrudniając odpoczynek.

*Na szczęście, niedługo zabawimy w Tarnagu, i dzięki temu raczej nie zdołają nam przeszkodzić.*

Zdjął rękawicę i podszedł do marmurowej misy, osadzonej w podłodze obok niskiego łoża. Wsunął dłoń do wody i z cichym krzykiem cofnął gwałtownie. Była bliska wrzenia. To pewnie krasnoludzki zwyczaj, uznał. Zaczekał, aż trochę wystygnie, potem umył twarz i szyję, szorując je energicznie w obłokach pary. Odświeżony, ściągnął nogawice i tunikę, i przebrał się w strój z pogrzebu Ajihada. Sięgnął po Zar'roca, uznał jednak, że w ten sposób uraziłby Undina. Zamiast tego przypasał nóż myśliwski. A potem wyjął z worka powierzony przez Nasuadę zwój, przeznaczony dla Islanzadi. Zważył go w dłoni, szukając dla niego najlepszej kryjówki. Wiadomość była zbyt ważna, żeby pozostawić ją w komnacie, gdzie ktoś mógłby odczytać ją bądź ukraść. W końcu, ponieważ nic lepszego nie przyszło mu do głowy, wepchnął zwój w rękaw.

*Powinien być tu bezpieczny, o ile nie wdam się w walkę, a wtedy będę miał na głowie ważniejsze problemy.*

☆☆☆

Gdy w końcu służący wrócił, minęło zaledwie południe, lecz słońce zniknęło już za wyniosłymi górami, pogrążając Tarnag w półmroku. Po wyjściu z budynku, Eragona uderzyła przemiana, jakiej uległo miasto.

Przedwczesny zmierzch ujawnił prawdziwą moc krasnoludzkich lamp - ich czysty, jasny blask zalał ulice, sprawiając, że cała dolina lśniła. Undin i pozostałe krasnoludy czekały na dziedzińcu wraz z Saphirą, która usadowiła się u szczytu stołu. Nikt nie przejawiał ochoty, by dyskutować z wyborem przez nią miejsca.

*Stało się coś? - spytał Eragon, spiesząc ku niej.*

*Otulin wezwał dodatkowych żołnierzy i kazał zaryglować bramy.*

*Spodziewa się ataku?*

*Przynajmniej obawia się takiej możliwości.*

- Eragonie, proszę, dołącz do mnie. - Przywódca klanu wskazał gestem stojące po jego prawicy krzesło. Zaczekał, aż Eragon zajmie miejsce, po czym usiadł. Reszta kompanii pośpiesznie podążyła w ich ślady.

Eragona ucieszył fakt, że Orik zasiadł u jego boku, a Arya dokładnie naprzeciwko. Oboje mieli ponure miny. Nim zdążył spytać Orika o pierścień, Undin klepnął głośno w stół.

- Ighn az voth! - huknął.

Z dworu wysypali się służący, dźwigający półmiski z kutego złota, na których piętrzyły się stosy mięsów, ciast i owoców. Rozdzielili się na trzy kolumny, jedną na każdy stół, i zamaszystym ruchem ustawili półmiski na blatach.

Wkrótce stoły uginały się pod ciężarem zup i gulasze z najróżniejszymi bulwami, pieczonej dziczyzny, długich, gorących bochnów chleba na zakwasie i rzędów miodowych ciastek ociekających konfiturą malinową. Pośród zieleni spoczywały filety z pstrągów przybrane

pietruszką, a obok z serowej urny wystawała smętna głowa marynowanego węgorka, jakby w nadziei, że jakimś cudem zdoła umknąć do rzeki. Na każdym stole posadzono łabędzia otoczonego stadkiem faszeryowanych kuropatw, gęsi i kaczek. Grzyby były wszędzie, pokrojone w pasma i smażone, nasadzane na łebki ptaków niczym czepki, bądź wyrzeźbione na kształt zamków pośród fos pełnych gęstego sosu. Eragon chłonał oczami niewiarygodną różnorodność odmian, od białych puszystych bryłek wielkości jego pięści, poprzez grzyby, które mógłby pomylić ze sfalowaną korą, i delikatne ropuszki, przekrojone na pół, by widać było błękitne wnętrze.

W końcu wniesiono najważniejsze danie uczy: olbrzymiego pieczonego dzika, lśniącego od sosu. Eragon uznał, że to dzik, zwierzę jednak dorównywało wielkością Śnieżnemu Płomieniowi. Trzeba było sześciu krasnoludów, by je unieść. Kły miało dłuższe niż jego przedramię, ryj szeroki jak głowa Eragona, a zapach pieczenia przesłaniał wszystko, zalewał. stoły ostrymi falami woni tak mocnej, że łzawiły od niej oczy.

- Nagra - wyszeptał Orik. - Olbrzymi dzik. Ondin naprawdę chce cię dziś uczcić, Eragonie. Jedyne najdzielniejsze krasnoludy mają odwagę polować na nagry, a podają je tylko tym, których darzą ogromnym szacunkiem. Myślę też, że gest ten ma świadczyć, że będzie cię popierał w sporze z Durgrimst Nagra.

Eragon nachylił się ku niemu tak, by nikt nie słyszał ich rozmowy.

- Zatem to jest kolejne zwierzę żyjące tylko w Beorach? Mógłbyś wymienić mi pozostałe?

- Leśne wilki tak wielkie, że polują na nagry, i dość zręczne, by schwytać feldunosta. Niedźwiedzie jaskiniowe, które my nazywamy urzhadn, a elfy beorn. Od nich to nazwali tutejsze szczyty, choć my używamy innej nazwy. Nazwa gór to sekret, którym nie dzielimy się z żadną inną rasą. I...

- Smer voth - polecił Ondin, uśmiechając się do gości.

Słudzy natychmiast dobyli niewielkich zakrzywionych noży i ukroili porcje nagry, które umieścili na talerzach wszystkich z wyjątkiem Aryi - w tym solidny kawałek dla Saphiry. Ondin uśmiechnął się ponownie, ujął sztylet i odciął kęs mięsa. Eragon sięgnął po własny nóż, lecz Orik chwycił go za rękę.

- Zaczekaj.

Ondin przeżuwał powoli, wywracając oczami i przesadnie kiwając głową. W końcu przełknął.

- Ilf gauhnith! — wykrzyknął.

- Teraz - rzucił Orik, wracając do przerwanej posiłku.

Eragon nigdy nie jadł nic podobnego. Mięso dzika było soczyste, miękkie i dziwnie korzenne, jakby je namoczono w miodzie i jabłeczniku. Mięta, którą zostało przyprawione, jeszcze to podkreślała.

*Zastanawiam się, jak zdołali upiec coś tak wielkiego* - przesłał myśl Eragon.

*Bardzo wolno* - skomentowała Saphira, skubiąc swoją porcję nagry.

- Pochodzący z czasów, gdy wśród klanów powszechnie zdarzało się trucicielstwo, zwyczaj - wyjaśnił Orik pomiędzy kęsami - nakazuje gospodarzowi pierwszemu kosztować jedzenia, by pokazać, że goście mogą częstować się bezpiecznie.

W czasie bankietu Eragon sprawiedliwie dzielił czas pomiędzy próbowanie różnych potraw i rozmowy z Orikiem, Aryą i siedzącymi nieco dalej krasnoludami. Godziny płynęły szybko, uczta zaś była tak bogata, że dopiero późnym popołudniem podano ostatnią potrawę, spożyto ostatnie kęsy i opróżniono kielichy. Gdy służba zaczęła sprzątać ze stołów, Undin odwrócił się do Eragona.

- Odpowiadał ci ten posiłek?

- Był przepyszny.

Undin skinął głową.

- Cieszę się, że ci smakowało. Kazałem wczoraj wynieść na dwór stoły, by smok mógł zjeść z nami. - Ani na moment nie spuszczał wzroku z Eragona.

Eragon poczuł ogarniający go lodowaty chłód. Świadomie bądź nie, Undin potraktował Saphirę jak zwyczajne zwierzę. Wcześniej zamierzał na osobności spytać go o zamaskowane krasnoludy, teraz jednak zaprzagnął zbić gospodarza z pantałyku.

- Dziękujemy ci z Saphirą - rzekł. - Panie, czemu rzucono nam pierścień?

Na dziedzińcu zapadła cisza. Eragon kątem oka dostrzegł, jak Orik krzywi się gwałtownie, Arya natomiast uśmiechnęła się, jakby rozumiała, o co mu chodzi.

Undin zmarszczył groźnie brwi i odłożył sztylet.

- Knurlagn, których spotkałeś, należą do klanu mającego tragiczną historię. Przed upadkiem Jeźdźców byli jednym z najstarszych i najbogatszych rodów w naszym królestwie. Jednakże dwa błędy przypieczętowały ich los. Mieszkali na zachodnim skraju Gór Beorskich, a ich najlepsi wojownicy wstępowali na służbę u Vraela.

W jego głosie zadźwięczała ostra gniewna nuta.

- Galbatorix i jego na wieki przekleci Zaprzysiężeni wymordowali ich w waszym mieście Uru'baenie. Potem nadlecieli tutaj i zabili wielu. Z całego klanu przeżyła tylko Grimstcarvlors Anhuin i jej straż przyboczna. Anhuin wkrótce zmarła ze smutku, mężczyźni zaś przyjęli miano Az Sweldn rak Anhuin, Łzy Anhuin, i zakryli twarze, by na zawsze pamiętać o stracie i pragnieniu zemsty.

Eragon poczuł, że pieką go policzki. Czuł ogromny wstyd i z trudem walczył, by jego twarz go nie zdradziła.

- W miarę upływu lat - podjął Undin, wpatrując się gniewnie w pozostałe na półmisku ciastko - odbudowali swój klan, czekając i szukając sposobności zapłaty. A teraz zjawiłeś się ty, ze znakiem Hrothgara na czole. To dla nich najgorsza możliwa obelga. Nieważne, jak bardzo przysłużyłeś się nam w Farthen Durze. Stąd pierścień, ostateczne wyzwanie. Oznacza on, że Durgrimst Az Sweldn rak Anhuin będą sprzeciwiać ci się ze wszystkich sił i środków, w każdej sprawie, małej czy dużej. Ogłosili się twymi najgorszymi przeciwnikami, wrogami krwi.

Czy życzą mi śmierci? - spytał sztywno Eragon.

Undin na moment odwrócił wzrok. Zerknął na Gannela, po czym pokręcił głową i zaśmiał się gardłowo.

- Nie, Cieniobójco. Nawet oni nie ośmieliliby się skrzywdzić gościa. To zabronione. Chcą tylko, abys odszedł stąd jak najdalej. - Gdy Eragon wciąż patrzył na niego wyczekująco, Undin dodał: - Proszę, nie rozmawiajmy dłużej o tych przykrych sprawach. Wraz z Gannelem ofiarowaliśmy ci na znak przyjaźni jadro i miód, czyż to się nie liczy?

Kapłan mruknął z aprobatą.

- Doceniam to - ustąpił w końcu Eragon. Saphira spojrzała na niego poważnie.

*Oni się boją, Eragonie. Boją się i czują złość, bo zmuszono ich do przyjęcia pomocy Jeźdźca.*

*Tak. Może i walczą u naszego boku, ale nie dla nas.*

## Celbedeil

Pozbawiony świtu ranek zastał Eragona we dworze Ondina. Przywódca klanu rozmawiał właśnie z Orikiem po krasnoludzku. Na widok Eragona podszedł do niego.

- Cieniobójco, dobrze spałeś?

- Tak.

- To świetnie. — Gestem wskazał Orika. — Zastanawialiśmy się nad tym, kiedy wyruszyć w drogę. Miałem nadzieję, że zdołacie spędzić z nami trochę czasu, lecz w tych okolicznościach chyba będzie najlepiej, jeśli podejmiecie podróż jutro wczesnym rankiem, gdy niewiele krasnoludów wychodzi na ulice i mogłoby stawić wam czoło. Służba szykuje już dla ciebie zapasy i transport. Na rozkaz Hrothgara strażnicy mają towarzyszyć ci aż do Ceris. Pozwoliłem sobie zwiększyć ich liczbę z trzech do siedmiu.

- A co z dzisiejszym dniem?

Undin wzruszył okrytymi futrem ramionami.

- Zamierzałem ci pokazać cuda Tarnagu, ale teraz byłoby niemądrze, gdybyś wędrował po ulicach miasta. Jednakże Grimstborith Gannel zaprosił cię na cały dzień do Celbedeilu. Zgódź się, jeśli chcesz. Z nim będziesz bezpieczny. Przywódca klanu jakby zapomniał o swych wcześniejszych zapewnieniach, że Az Sweldn rak Anhuin nie skrzywdzą gościa.

- Dziękuję, chętnie to zrobię.

Wychodząc z dworu, Eragon odciągnął na bok Orika.

- Jak poważny jest ten spór? - spytał. - Muszę znać prawdę.

Krasnolud odpowiedział z wyraźną niechęcią.

- W przeszłości zdarzało się często, że krwawa waśń trwała całe pokolenia. Waśnie doprowadziły do śmierci całych rodów. Az Sweldn rak Anhuin zbyt się pośpieszyli, przywołując dawne zwyczaje. Nie robiono tego od czasu ostatnich wojen klanów. Dopóki nie odwołają przysięgi musisz strzec się ich zdrady; nieważne, czy to będzie trwało rok, czy wiek. Przykro mi, że przyjaźń z Hrothgarem ściągnęła to na ciebie, Eragonie Ale nie jesteś sam. Durgrimst Ingeitum stoją u twego boku.

Gdy Eragon znalazł się na zewnątrz, pośpieszył do Saphiry, która spędziła noc zwinięta w kłębek na dziedzińcu.

*Nie masz nic przeciwko temu bym odwiedził Celbedeil?*

*Idź, jeśli musisz. Ale zabierz Zar'roca.*

Posłuchał jej, po czym wsunął za tunikę zwój Nasuady.

Gdy Eragon podszedł do zewnętrznych bram dworu, pięć krasnoludów pchnięciem otworzyło odrzwia z ledwo ociosanych pni, a potem ustawiło się wokół niego, kładąc dłonie na toporach i mieczach. Jego eskorta szybko sprawdziła okolicę. Strażnicy pozostali z Eragonem, który cofał się śladem wczorajszych kroków aż do strzeżonego wejścia na najwyższy poziom Tarnagu.

Zadrzał. Miasto wydawało się nienaturalnie puste - zamknięte drzwi zaryglowane okiennice. Nieliczni przechodnie osłaniali twarze i skręcali w boczne uliczki, by nie przechodzić obok niego. Nie chcą, by ich widziano blisko mnie. Może to świadomość, że Az Sweldn rak Anhuin zemści się na wszystkich, którzy mi pomogą, wywołuje takie zachowanie. myślał. Nie mogąc się doczekać opuszczenia ulicy, Eragon uniósł rękę, by zastukać we wrota. Jednakże, nim to uczynił, jedno z odrzwi ze zgrzytem uchyliły się na zewnątrz. Krasnolud w czarnej szacie wezwał go gestem Zaciągając ciaśniej pas od miecza, Eragon wszedł do środka, pozostawiając na ulicy swoją eskortę.

Najpierw uderzyła go barwa. Kolumny dźwigające Celbedeil otaczała zgryźliwie zielona murawa, niczym płaszcz zarzucony na wierzchołek symetrycznego wzgórza. Zwoje bluszczy wily się wokół starożytnych ścian budynku. dusiły je w swych uściskach. Na szpiczastych liściach wciąż migotały kropelki rosy. A ponad wszystkim, prócz gór, wznosiła się wielka biała kopuła ze złotymi żebrami. Następnie zareagował zmysł węchu. Kwiaty i kadzidło pachniały oszałamiająco, a ich



wonie mieszały się, tworząc aromat tak natchniony i zwiewny, że Eragon odniósł wrażenie, iż mógłby żywić się owym zapachem. Jako ostatni dotarł do niego dźwięk, mimo bowiem obecności grupek kapłanów wędrujących po wykładanych mozaikami ścieżkach i rozległych trawnikach, Eragon słyszał jedynie cichy łopot skrzydeł przelatującego nad głową gawrona. Krasnolud ponownie wezwał go gestem i ruszył główną aleją w stronę Celbedeilu. Po drodze Eragon mógł zachwycać się bogactwem i mistrzowskim rzemiosłem, którego ślady widział wszędzie wokół. W mury wprawiono klejnoty wszelkich barw i szlifów, lecz wszystkie bez skazy, Kamienne sufity, ściany i posadzki pokrywała koronka kutego czerwonego złota, tu i ówdzie akcentowanego perlami i srebrem. Od czasu do czasu mijali fragmenty muru wyrzeźbione całkowicie z jadeitu.

W świątyni nie dostrzegł ani jednej ozdobnej tkaniny, ale za to wciąż spotykał ustawione pod ścianami posągi. Wiele z nich przedstawiało potwory i bóstwa w scenach bitewnych.

Pokonawszy kilka pięter, przeszli przez miedziane drzwi, powleczone zielonkawą śniedzią i ozdobione misternymi plecionkami, i znaleźli się w pustej komnacie o drewnianej podłodze. Na ścianach wisiały zbroje, a obok nich półki z zakończonymi ostrzami kijami, identycznymi jak ten, którym Angela walczyła w Farthen Durze.

W tej komnacie był Gannel i ćwiczył właśnie walkę z trzema młodszymi krasnoludami. Przywódca klanu zakasał szatę, by poruszać się swobodnie. Miał wykrzywione usta, a w jego dłoniach wirowało drzewce, tępe ostrza świszczały niczym rozgniewane szerszenie. Dwa krasnoludy rzuciły się na Gannela tylko po to, by runąć w brzęku metalu i drewna, gdy w piruecie wyminął je, trafiając w kolana i głowy, i posyłając na ziemię. Eragon uśmiechnął się, obserwując, jak Gannel rozbraja ostatniego przeciwnika i zasypuje go gradem ciosów.

W końcu przywódca klanu zauważył Eragona i odprawił swych towarzyszy.

- Czy wszyscy Quan tak świetnie władają tym ostrzem? - spytał Eragon, patrząc, jak Gannel odkłada broń. - To niezwykła umiejętność jak na kapłana.

Gannel odwrócił się do niego.

- Musimy być gotowi do obrony, nieprawdaż? Wielu wrogów krąży po tej krainie.

Eragon skinął głową.

- To niezwykle miecze. Tylko raz widziałem podobny, posługiwała się nim pewna zielarka w bitwie o Fardien Dur.

Krasnolud gwałtownie wciągnął w płuca powietrze, po czym wypuścił je z sykiem przez zęby.

- Angela. - Jego oblicze zachmurzyło się. - Wygrała swą broń od kapłana w grze w zagadki. To był niegodny podstęp, bo tylko nam wolno posługiwać się hudwirmami. Ona i Arya... - Wzruszył ramionami i podszedł do niewielkiego stolika. Tam napełnił dwa kamienne kufle piwem. Jeden wręczył Eragonowi. - Zaprosiłem cię dziś tutaj na prośbę Hrothgara. Powiedział, że skoro przyjąłeś jego ofertę i stałeś się jednym z Ingeitum, mam cię zaznajomić z tradycjami krasnoludzkimi.

Eragon pociągnął łyk piwa. Milczał, patrząc, jak promienie słońca oświetlają gęste brwi Gannela, rzucając na jego twarz długie cienie, skapujące powoli ku brodzie.

- Nigdy wcześniej — ciągnął przywódca klanu - nikt z zewnątrz nie poznał naszych tajemnych wierzeń. Nie wolno ci o nich rozmawiać z ludźmi i elfami. Bez tej wiedzy jednak nie zdołasz zrozumieć w pełni, co to znaczy być knurla. Jesteś Ingeitum, z naszej krwi, naszego ciała, naszego honoru. Rozumiesz?

- Tak.

- Chodź. - Gannel zabrał piwo i poprowadził Eragona z pokoju ćwiczeń przez pięć pysznych korytarzy aż do wejścia wiodącego do pogrążonej w mroku komory. W powietrzu unosiła się ciężka woń kadzidła. Naprzeciwko nich przysadzista sylwetka posągu wznosiła się dumnie od podłogi aż po sufit. Słaby blask oświetlał zamyślane krasnoludzkie oblicze, wyciosane zdumiewająco prymitywnie z brązowego granitu.

- Kto to? — spytał oszołomiony Eragon.

Poczuł się nagle bardzo mały.

- Guntera, król bogów. To wojownik i uczonec, choć wpada w kapryśne nastroje. Składamy mu zatem całopalne ofiary, w każdą równonoc przed zasiewami, a także z okazji śmierci i narodzin.

Prosimy wówczas, by dalej darzył nas swą łaską. - Gannel obrócił dłoń w jakimś niezwykłym geście i skłonił się przed posągiem. - To do niego modlimy się przed bitwą, on bowiem wykuł ten świat z kości olbrzyma i zaprowadził na nim porządek. Wszystkie krainy należą do Guntery.

Następnie poinstruował Eragona, jak właściwie okazać cześć bogu, opisując gesty i słowa do tego stosowane. Opowiedział o znaczeniu kadzidla, o tym jak symbolizuje życie i szczęście, i przez wiele minut powtarzał legendy o Gunterze, o tym jak bóg urodził się w pełni sprawny matce wilczycy u zarania gwiazd; jak walczył z potworami i olbrzymami, żeby zdobyć w Alagaesii miejsce dla swych pobratymców, i jak wziął sobie za żonę Kilf boginię rzeki. Następnie przeszli do posągu Kilf, wyrzeźbionego niezwykle misternie z jasnoblękitnego kamienia. Jej włosy opadały łagodnymi falami, spływając po szyi i okalając wesołe ametystowe oczy. W dłoniach trzymała lilię wodną i kawałek porowatego czerwonego kamienia, którego Eragon nie znał.

- Co to? - spytał, wskazując ręką.

- Korale wydobyte z głębin morza graniczącego z Beorami.

- Korale?

Gannel pociągnął łyk piwa.

- Nasi nurkowie znaleźli go, szukając pereł. Wygląda na to, że w słonej wodzie pewne kamienie rosną jak rośliny.

Eragon patrzył zachwycony. Nigdy nie myślał o kamykach i gładkach jak o czymś żywym, oto jednak miał przed sobą dowód, że potrzebują tylko wody i soli, by się rozrastać. W końcu wyjaśniało to, skąd kamienie biorą się ciągle na polach w dolinie Palancar, choć każdej wiosny wieśniacy starannie je wybierali. One rosły!

Przeszli do Urura, władcy powietrza i niebios, i jego brata Morgothala, boga ognia. Przed karminową rzeźbą Morgothala kapłan wyjaśnił, że bracia kochali się tak bardzo, że żaden nie mógł istnieć niezależnie. Dlatego na dziennym niebie widać płonący pałac Morgothala, a nocą nad głowami rozbłyskują iskry z jego kuźni. Stąd też wieczna troska Urura, który karmi swego brata, by nie umarł.

Pozostało im już tylko dwoje bogów: Sindri - matka ziemi - i Helzvog.

Posąg Helzvoga różnił się od pozostałych. Nagi bóg stał zgięty w pół nad bryłą szarego krzemienia wielkości krasnoluda, gładząc ją czubkiem palca. Mięśnie jego twarzy napinały się w nadludzkim wysiłku, lecz samo oblicze miało nieskończenie czuły wyraz, jakby bóg przypatrywał się nowo narodzonemu dziecku. Głos Gannela opadł do cichego szeptu.

- Owszem, Guntera jest królem bogów, lecz to Helzvog panuje w naszych sercach. To on uznał, że po pokonaniu olbrzymów należy zasiedlić ten świat. Reszta bogów nie zgadzała się, ale Helzvog puścił ich słowa mimo uszu i w tajemnicy ukształtował pierwszego krasnoluda z korzeni góry.

Gdy odkryto jego czyn, zazdrość ogarnęła bogów i Guntera stworzył elfy, by w jego imieniu zawładnęły Alagaesią. Wówczas Sindri ulepiła z ziemi ludzi, a Urur i Morgothal połączyli swoją wiedzę i powołali do życia smoki. Tylko Kilf się powstrzymała. Tak właśnie na świat przybyły pierwsze rasy.

Eragon chłonał słowa Gannela. Wierzył w szczerość przywódcy klanu nie potrafił jednak opędzić się od jednego prostego pytania: „Skąd on to wie?”. Czuł podświadomie, że zadanie go nie byłoby zbyt uprzejme, toteż jedynie kiwał głową i słuchał.

- To - oznajmił Gannel, opróżniając do końca kufel - prowadzi nas do najważniejszego rytuału. Wiem, że Orik rozmawiał o nim z tobą. Wszystkie krasnoludy muszą po śmierci spocząć w kamieniu. W przeciwnym razie nasze dusze nie dołączą do Helzvoga, nie trafią na jego dwór. Nie jesteśmy dziećmi ziemi, powietrza czy ognia, lecz kamienia. Jako Ingeitum masz obowiązek zapewnić stosowne miejsce spoczynku każdemu krasnoludowi, który zginie w twym towarzystwie. Jeśli zawiedziesz, a nie będziesz ranny bądź zajęty walką z wrogiem, Hrothgar wygna cię i aż do śmierci żaden krasnolud nie dostrzeże twojej obecności. - Wyprostował plecy, wbijając wzrok w Eragona. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Przestrzegaj zwyczajów, które ci dziś opisałem, a nie stanie się nic złego.

- Nie zapomnę - obiecał Eragon.

Zadowolony Gannel poprowadził ich krętymi schodami, oddalając się od posągów. Podczas wspinaczki przywódca klanu wsadził rękę pod szatę i wyjął prosty naszyjnik - łańcuszek z wisiorkiem w kształcie miniaturowego srebrnego młota. Wręczył go Eragonowi.

- To kolejna przysługa, o którą prosił mnie Hrothgar - wyjaśnił Gannel. - Martwi się, że Galbatorix mógł wydobyc z umysłów Durzy, Ra'zaców bądź żołnierzy, których spotkałeś podczas swych wędrówek twoją podobiznę.

- Czemu miałbym się tego bać?

- Bo wówczas Galbatorix mógłby cię postrzegać. Może już to uczynił.

Po plecach Eragona przepelzł lodowaty wąż strachu. Powinienem być o tym pomyśleć, upomniał się w duchu.

- Naszyjnik nie pozwoli nikomu postrzegać ciebie ani twego smoka Aby działał, musisz go mieć na szyi. Rzuciłem zaklęcie osobiście, powinno więc zachować moc nawet w obliczu najpotężniejszego umysłu. Ostrzegam jednak, po uruchomieniu naszyjnik będzie czerpał z twojej siły, do czasu aż go zdejmiesz albo minie niebezpieczeństwo.

- A jeśli będę spał? Czy naszyjnik mógłby pochłonąć całą moją energię, nim się ocknę??

- Nie, po prostu by cię obudził.

Eragon przesunął w pacach młot. Trudno jest odeprzeć cudze zaklęcia, a co dopiero zaklęcia Galbatorixa. Jeśli Gannel jest tak zręcznym magiem, to jakie jeszcze czary może kryć jego dar? Zauważył linijkę runów wyciętych wzdłuż rękojeści młota. Układały się w słowa Astim Hefthyn.

- Czemu krasnoludy piszą tymi samymi runami, co ludzie? - zapytał, stając u szczytu schodów.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Gannel się zaśmiał. Jego głos zabrzmiał gromko w świątyni. Potężne ramiona zadrżały.

- Jest dokładnie odwrotnie. To ludzie piszą naszymi runami. Gdy twoi przodkowie wylądowali w Alagaesii, byli równie wielkimi analfabetami jak króliki. Wkrótce jednak przyjęli nasz alfabet i dopasowali go do swego języka. Niektóre wasze słowa pochodzą nawet z naszej mowy, na przykład ojciec, pater. Pierwotnie słowo to brzmiało farthen.

- Zatem Farthen Dur to znaczy... - Eragon przełożył przez głowę naszyjnik i schował go pod tunikę.

- Nasz Ojciec.

Gannel zatrzymał się przy drzwiach i wyprowadził Eragona na kolistą galerię, umiejscowioną bezpośrednio pod kopułą. Galeria okrążała Celbedeil; pomiędzy łuków roztaczał się widok na góry za Tarnagiem i tarasy miasta w dole.

Eragon nie poświęcił większej uwagi widokom, bo zafascynowała go wewnętrzna ściana galerii, pokryta w całości jednym wielkim obrazem, olbrzymią barwną historią rozpoczynającą się od wizerunku przedstawiającego stworzenie krasnoludów przez Helzvoga. Wypukłe postaci i przedmioty odcinały się od powierzchni, nadając panoramie hiperrealistyczny wygląd. Kolory lśniły żywo, wszystko było doskonałe do najmniejszego szczegółu.

- Jak to zrobiono? - spytał z zachwytem Eragon.

- Każdą ze scen wyryto w niewielkich marmurowych płytach, które wypalono wraz z emalią i złożono w jedną całość.

- Nie łatwiej byłoby użyć zwykłej farby?

- Owszem - odrzekł Gannel. - Ale nie dbając o to, by obraz przetrwał wieki, tysiące lat bez żadnych zmian. Emalia nigdy nie blaknie, nie traci barw w odróżnieniu od farb olejnych. Tę pierwszą część wyrzeźbiono zaledwie dziesięć lat po odkryciu Farthen Duru, na długo, zanim elfy postawiły stopę w Alagaesii.

Krasnolud ujął rękę Eragona i poprowadził go wzdłuż obrazu. Za każdym krokiem pokonywali niezliczone lata historii.

Eragon ujrzał, że krasnoludy były niegdyś nomadami wędrujący po bezkresnej równinie, w końcu jednak ziemia stała się tak gorąca i jałowa że musieli przenieść się na południe w Góry Beorskie. Tak właśnie powstała Pustynia Hadaracka, uświadomił sobie ze zdumieniem. Podczas wędrówki wzdłuż muralu oglądał kolejne ważne wydarzenia, od oswojenia feldunostów, po

wyrzeźbienie Isidar Mithrimu, pierwsze spotkanie krasnoludów i elfów, i koronację każdego krasnoludzkiego króla. Wśród wizerunków często pojawiały się smoki, pałace i mordujące bez litości. Przy tych fragmentach Eragon z trudem powstrzymywał się od komentarzy. Po chwili zwolnił kroku, bo dotarł do wydarzenia, które miał nadzieję ujrzeć - wojny pomiędzy elfami i smokami. Krasnoludy poświęciły wiele miejsca zniszczeniom poczynionym w Alagaesii przez obie rasy. Zadrzał ze zgrozy na widok elfów i smoków zabijających się nawzajem. Walki ciągnęły się przez wiele jardów, każda z nich bardziej krwawa niż poprzednia. Aż w końcu ciemność zniknęła i Eragon ujrzał młodego elfa klęczącego na skraju urwiska i trzymającego w objęciach białe smocze jajo.

- Czy to...? - wyszeptał.

- O tak, to Eragon, Pierwszy Jeździec. Całkiem wierna podobizna, zgodził się bowiem pozować naszym mistrzom.

Zafascynowany Eragon zapatrzył się w twarz swego imiennika. Zawsze wyobrażałem go sobie starszego, pomyślał. Elf miał skośne oczy osadzone nad haczykowanym nosem i wąski podbródek. Wszystko to sprawiało, że wyglądał groźnie i drapieżnie. Była to obca twarz, całkowicie odmienna od jego własnej... a jednak układ ramion, uniesionych, spiętych, przypominał Eragonowi, jak on sam się czuł, gdy znalazł jajo Saphiry. Nie jesteśmy aż tacy różni, ty i ja, pomyślał, muskając palcami chłodną emalię. A kiedy moje uszy upodobnią się do twoich, naprawdę staniemy się braćmi w otchłani czasu. Ciekawe, czy podobałoby ci się moje postępowanie? Wiedział, że dokonali co najmniej jednego identycznego wyboru - obaj zatrzymali jaja.

Usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, i odwróciwszy się ujrzał Aryę zbliżającą się z drugiego końca galerii. Elfka powiodła wzrokiem po ścianie z tą samą obojętną miną, którą Eragon dostrzegł u niej podczas konfrontacji z Radą Starszych. Choć nie potrafił rozpoznać emocji Aryi, wyczuwał, że cała ta sytuacja budzi w niej niesmak. Elfka skłoniła głowę. - Grimstborith.

- Aryo.

- Udzieliłeś Eragonowi lekcji waszej mitologii?

Gannel uśmiechnął się niezbyt przyjaźnie.

- Każdy winien rozumieć wiarę społeczeństwa, do którego należy.

- Lecz pojąć nie znaczy uwierzyć. - Pogładziła ręką jedną z kolumn. - I nie oznacza, że ci, którzy strzegą podobnych wierzeń, czynią to dla czegoś więcej niż materialnego zysku.

- Zaprzeczasz ofiarom, które ponosi mój klan, by zapewnić dostatek naszym braciom?

- Niczemu nie zaprzeczam. Pytam jedynie, ile dobrego moglibyście zdziałać, gdybyście rozdali swe bogactwa potrzebującym, głodującym, bezdomnym, czy nawet kupili zapasy dla Vardenów. Zamiast tego usypaliście z nich pomnik swych własnych pobożnych życzeń.

- Dosyć! - Krasnolud zacisnął pięści. Na jego twarz wystąpiły ciemne plamy. - Bez nas susza wypaliłaby zbiory, rzeki i jeziora wylałyby, nasze stada zrodziłyby jednookie potworki. Same niebiosa runęłyby, strzaskane gniewem bogów! - Arya uśmiechnęła się. - Tylko nasze modły i obrzędy zapobiegają temu wszystkiemu. Gdyby nie Helzvog, gdzie...

Eragon wkrótce pogubił się w dyskusji. Nie rozumiał ogólnej krytyki Durgrimst Quan wygłoszonej przez Aryę, lecz z reakcji Gannela wywnioskował, że w mocno oględny sposób zasugerowała, iż bogowie krasnoludscy nie istnieją, zakwestionowała sprawność umyslową każdego krasnoluda, który odwiedza świątynię, i wskazała argumenty w ich rozumowaniu, które uznała za błędne - a wszystko to powiedziała miłym i uprzejmym tonem.

Po kilku minutach Arya uniosła dłoń, powstrzymując Gannela.

- Na tym właśnie polega różnica między nami, Grimstborith. Ty poświęcasz się temu, w co wierzysz, ale nie umiesz tego dowieść. Musimy zatem pogodzić się z tym, że mamy odmienne poglądy. - Odwróciła się do Eragona. - Az Sweldn rak Anhuin podburzyli mieszkańców Tarnagu przeciwko tobie. Undin uważa, i ja także, że najlepiej byłoby, gdybyś do odjazdu pozostał we dworze.

Eragon zawahał się. Bardzo chciał zwiedzić Celbedeil, jeśli jednak szykowały się kłopoty, jego miejsce było u boku Saphiry. Skłonił się przed Gannelem i przeprosił go, wyjaśniając, że musi odejść.

- Nie musisz przeproszać, Cieniobójco - rzekł przywódca klanu, posyłając nieprzychylnie spojrzenie Aryi. - Rób to co konieczne i niechaj towarzyszy ci błogosławieństwo Guntery.

Eragon i Arya razem opuścili świątynię i pod eskortą tuzina wojowników przeszli przez miasto. Gdy znaleźli się na ulicach, Eragon usłyszał krzyki rozgniewanego tłumu zebranego na niższym poziomie. Od najbliższego dachu odbił się kamień. Ruch przyciągnął wzrok Eragona; obróciwszy głowę, ujrzał czarny pióropusz dymu wznoszący się ze skraju miasta.

Gdy dotarli do dworu, Eragon pośpieszył do swojej komnaty. Tam naciągnął kolczugę, przypiął do łydek nagolenniki, a do przedramion karwasze, założył na głowę skórzaną czapkę, kaptur z kolczugi i wreszcie hełm, a na końcu chwycił tarczę. Zgarniając juki i swój worek, wybiegł na dziedziniec, gdzie usiadł przy prawej przedniej nodze Saphiry.

*Tarnag przypomina kopnięte mrowisko - zauważyła.*

*Miejmy nadzieję, że nic nas nie pogryzie.*

Wkrótce dołączyła do nich Arya oraz oddział pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby krasnoludów, które usiadły pośrodku dziedzińca. Krasnoludy czekały spokojnie, porozumiewając się cichymi pomrukami. Cały czas obserwowały zamkniętą na glucho bramę i wznoszącą się za nimi górę.

- Boją się - oznajmiła Arya, siadając obok Eragona - że tłumy mógł nie dopuścić nas do tratów.

- Zawsze może nas przenieść Saphira.

- Śnieżnego Płomienia także? I strażników Ondina? Nie, jeśli nas zatrzymają, będziemy musieli poczekać, dopóki wzburzenie w mieście nie osłabnie. - Spojrzała w ciemniejące niebo. - Wielka szkoda, że zdołałeś urazić tak wiele krasnoludów. Zapewne jednak nie dałoby się tego uniknąć. Klany zawsze toczyły spory. To, co raduje jeden, rozwściecza inne.

Ścisnął w palcach skraj kolczugi.

- Teraz żałuję, że przyjąłem ofertę Hrothgara.

- A, tak. Podobnie jak z Nasuadą, uważam że dokonałeś jedyne możliwego wyboru. Nie masz się za co winić. Jeśli ktokolwiek jest tu winien, to Hrothgar, dlatego że w ogóle ci to zaproponował. Musiał przecież zdawać sobie sprawę z konsekwencji.

Przez kilkanaście minut milczeli. Grupa krasnoludów chodziła wokół dziedzińca, by rozprostować nogi.

W końcu Eragon odezwał się pierwszy.

- Masz w Du Veldenvarden rodzinę? Minęła długa chwila.

- Nikogo, z kim byłabym blisko - odparła w końcu elfka. - Dlaczego?

Znow się zawahała.

- Nie byli zachwyceni moją decyzją zostania ambasadorem królowej. Uznali to za niestosowne. Gdy zignorowałam ich obiekcje i pozwoliłam sobie wytatuować na łopatce yawe, co oznacza, że poświęcam się większemu dobru u naszej rasy - to samo zresztą znaczy twój pierścień, który dostałeś od Broma - moja rodzina mnie odtrąciła. Nie chcą się ze mną widywać.

- Ale to było ponad siedemdziesiąt lat temu! - zaprotestował.

Arya odwróciła wzrok, ukrywając twarz pod zasłoną włosów. Eragon próbował sobie wyobrazić, co musiała czuć wygnana z rodziny elfka, mieszkająca w otoczeniu dwóch zupełnie innych ras. Nic dziwnego, że tak bardzo zamknęła się w sobie, pomyślał.

- Czy poza Du Veldenvarden są jeszcze jakieś elfy?

- Naszą trójkę wysłano z Ellesmery. - Wciąż nie odsłaniała twarzy. - Fiolin i Glenwing zawsze podróżowali ze mną, gdy przewoziliśmy jajo Saphiry pomiędzy Tronjheimem i Du Veldenvarden. Tylko ja przeżyłam zasadzkę Durzy.

- Jacy oni byli?

- Dumni i wojowniczy. Glenwing uwielbiał rozmawiać w myślach z ptakami. Stawał w lesie otoczony przez stadko rozśpiewanych ptaków i godzinami słuchał ich muzyki. Potem czasami śpiewał nam najpiękniejsze melodie.

- A Kaolin?

Tym razem Arya nie odpowiedziała, choć jej dłonie zacisnęły się na łuku. Niezrażony Eragon poszukał szybko innego tematu.

- Cemu tak bardzo nie lubisz Gannela?

Niespodziewanie spojrzała na niego i miękko pogładziła policzek Eragona, który wzdrygnął się, zdumiony.

- Ta rozmowa - oznajmiła - musi poczekać na inną okazję.

Następnie wstała i spokojnie przeniosła się na drugą stronę dziedzińca. Oszołomiony Eragon wbijał wzrok w jej plecy.

*Nic nie rozumiem* - rzekł, opierając się o brzuch Saphiry.

Smoczyca parsknęła z rozbawieniem, a potem owinęła go szyją i ogonem po czym natychmiast zasnęła.

W dolinie szybko zapadał zmrok. Eragon walczył z nadchodzącą sennością. Zdjął naszyjnik Gannela i kilkanaście razy zbadał go magicznie, ale znalazł tylko zaklęcie ochronne kapłana. W końcu poddał się, z powrotem włożył naszyjnik i ukrył go pod tuniką, nasunął na siebie tarcze i usiadł wygodnie, czekając na świt.

☆☆☆

O pierwszym brzasku, który rozjaśnił niebo nad ich głowami - choć dolinę wciąż skrywał cień i miała w nim pozostać aż do południa - Eragon obudził Saphirę. Krasnoludy już wstały i krzątały się, owijając szmatami broń, by móc bezszelestnie przekraść się przez Tarnag; Undin kazał nawet obwiązać szmatami szpony Saphiry i kopyta Śnieżnego Płomienia.

Gdy wszystko było gotowe, Undin i jego żołnierze ustawili się w czworobok wokół Eragona, Saphiry i Aryi. Ostrożnie otwarto wrota, te przesunęły się bezdźwięcznie na naoliwionych zawiasach, po czym cały oddział wyruszył w stronę jeziora.

Tarnag wyglądał na kompletnie opustoszały. Wzdłuż pustych ulic stały domy, mieszkańcy których leżeli pogrążeni w snach. Nieliczne napotykanne po drodze krasnoludy przyglądały im się w milczeniu, po czym odchodziły niczym duchy, znikając wśród cieni.

Przy bramie każdego poziomu strażnicy przepuszczali ich bez słowa. Wkrótce grupa zostawiła za sobą budynki. Maszerowali teraz przez puste pola u podstawy Tarnagu. W końcu dotarli do kamiennego nabrzeża tui nad nieruchomą szarą wodą. Czekali już tam na nich dwie szerokie tratwy zacumowane przy nadbrzeżu. Trzy krasnoludy przykucnęły na pierwszej tratwie, cztery na drugiej. Na widok Undina wstały pośpiesznie. Eragon pomógł im spętać Śnieżnego Płomienia i przesłonić mu oczy, a potem zwabić konia na drugą tratwę, gdzie zmusili go, by ukląkł, i przywiązali. Tymczasem Saphira ześlizgnęła się z brzegu do jeziora i nad powierzchnią była widoczna tylko jej głowa.

Undin ścisnął ramię Eragona.

- Tu się rozstajemy. Masz moich najlepszych ludzi, będą cię chronić aż do samego Du Veldenvarden.

Eragon próbował mu dziękować, lecz przywódca klanu pokręcił głową.

- Nie, to nie kwestia wdzięczności. To mój obowiązek. Wstyd mi tylko że nienawiść Az Sweldn rak Anhiin rzuciła cień na twój pobyt u nas.

Eragon pokłonił się. Potem wszedł na pierwszą tratwę wraz z Orikiem i Aryą. Rozwiązano cumy i krasnoludy odepchnęły tratwę od brzegu długimi tyczkami. Zbliżał się świt, gdy obie tratwy popłynęły w stronę ujścia Az Ragni. Saphira podążała między nimi.

## *Diamenty wśród nocy*

Imperium wtargnęło do mojego domu.

Słowa te raz po raz pojawiały się w myślach Rorana, gdy słuchał rozdzierających jęków mężczyzn rannych w nocnej bitwie z Ra'zacami i żołnierzami. On sam drżał ze strachu i wściekłości, aż w końcu całym jego ciałem zawładnęły dreszcze, policzki piekły go, oddychał z trudem. Czuł też smutek, wielki smutek... Zupełnie jakby czyny Ra'zaców zniszczyły niewinność krainy jego dzieciństwa.

Pozostawiając uzdrowicielce Gertrudę opiekę nad rannymi, Roran ruszył w stronę domu Horsta, po drodze zauważając zaimprovizowane bariery wypełniające prześwity między budynkami - deski, sztachety, beczki, stosy kamieni i połamane ramy dwóch wozów zniszczonych wybuchem spowodowanym przez Ra'zaców. Wszystkie wydawały się żałośnie kruche.

Nieliczni ludzie krążący po Carvahall byli oszołomieni na skutek szoku rozpaczy i wyczerpania. Sam Roran także czuł ogromne zmęczenie, większe niż kiedykolwiek przedtem. Nie spał od dwóch dni, a po walce bolały go ręce i plecy.

Przekroczywszy próg domu Horsta, ujrzał Elaine, stojącą w otwartych drzwiach jadalni i słuchającą prowadzonych wewnątrz rozmów. Wezwała go gestem.

Po odparciu kontrataku Ra'zaców najważniejsi obywatele Carvahall zamknęli się w izbie, próbując ustalić, jak postępować dalej i czy Horst i jego sprzymierzeńcy winni zostać ukarani za rozpoczęcie wrogich działań. Narada trwała niemal cały ranek.

Roran zajrzał do pokoju. Wokół długiego stołu siedzieli Birgit, Loring, Sloan, Gedric, Delwin, Fisk, Morn i paru innych. Horst zajął miejsce u szczytu stołu.

- I powtarzam, że to było głupie i nieroztropne! - wykrzyknął Kiselt oparty na kościstych łokciach. - Nie mieliście prawa narażać...

Morn machnął ręką.

- Już o tym rozmawialiśmy. Kwestia, czy powinno było do tego dojść nie ma teraz znaczenia. Ja akurat zgadzam się z postępowaniem Horsta. Quimby był także moim przyjacielem i drzę na myśl, co te potwory zrobiłyby z Roranem. Teraz jednak chcę wiedzieć, jak mamy wydobyć się z tarapatów.

- To łatwe. Trzeba zabić żołnierzy - warknął Sloan.

- I co wtedy? Przyjdą nowi i w końcu utoniemy w morzu szkarłatnych tunik. Nawet jeśli wydamy im Rorana, to nic nie da. Słyszeliście co mówili Ra'zacowie. Jeśli będziemy chronić Rorana, zabiją nas, jeśli nie sprzedadzą w niewolę. Wy może sądzicie inaczej, ale co do mnie, wolę umrzeć niż spędzić resztę życia jako niewolnik. - Morn pokręcił głową zaciskając usta w wąską, ponurą linię. - Nie przeżyjemy.

Fisk się pochylił.

- Możemy odejść.

- Nie ma dokąd odejść - odparował Kiselt. - Za plecami mamy Kościec, drogę zablokowali żołnierze, a za nimi rozciąga się imperium.

- To wszystko twoja wina! - krzyknął Thane, wskazując drżącym palcem Horsta. - Przez ciebie spalały nasze domy i wymordują dzieci. Przez ciebie!

Horst wstał tak szybko, że jego krzesło runęło na ziemię.

- Gdzie twój honor, człowieku? Pozwolisz, by nas pożarli? Bez walki?

- Owszem, jeśli jedyną alternatywą jest samobójstwo.

Thane powiódł wściekłym wzrokiem wokół stołu, po czym wymaszerował gniewnie z pokoju, mijając Rorana. Jego twarz wykrzywił grymas czystego paraliżującego strachu.

Gedric odprowadził go wzrokiem i dostrzegł Rorana.

- Chodź, wejdz, czekaliśmy na ciebie.

Roran splótł ręce za plecami, czując na sobie uważne spojrzenia.

- Jak mogę pomóc?

- Myślę - oznajmił Gedric - że wszyscy zgodziliśmy się, iż przekazanie cię imperium niczego nie rozwiąże. Nie ma sensu dyskutować, jak byśmy postąpili, gdy sytuacja wyglądała inaczej. Teraz możemy tylko przygotować się na kolejny atak. Horst wykuje nam groty włóczni i jeśli wystarczy czasu, inną broń. Fisk zgodził się zrobić tarcze; na szczęście jego warsztat nie spłonął. Ktoś musi też zająć się naszą obroną i chcemy, żebyś to ty zrobił. Oczywiście wszyscy ci pomogą.

Roran skłonił głowę.

- Dołożę wszelkich starań.

Obok Morna stała, górując nad mężem, Tara - wysoka i silna kobieta o przetykanych siwizną czarnych włosach i mocarnych rękach, które równie zgrabnie radziły sobie z ukręcaniem łbów kurczakom, jak z rozdzielaniem walczących w karczmie.

- Postaraj się, Roranie, bo nie chcemy kolejnych pogrzebów. - Odwróciła się do Horsta. - Nim weźmiemy się do roboty, musimy pogrzebać naszych ludzi. Są też dzieci, które trzeba wysłać w bezpieczne miejsce, może na farmę Cawleya nad strumieniem Nost. Ty także powinnaś iść, Elaine.

- Nie opuszczę Horsta - oznajmiła spokojnie żona kowala.

Tara najeżyła się.

- To nie jest miejsce dla kobiety w piątym miesiącu ciąży. Jak tak dalej pójdzie, stracisz dziecko.

- Zajmowanie się mną zaszkodzi mu mniej niż zamartwianie się w niewiedzy. Urodziłam już synów, zostanę. Wiem też, że podobnie postąpisz ty i wszystkie żony z Carvahall.

Horst okrążył stół i z czułym uśmiechem ujął dłoń Elaine.

- Ja też nie chciałbym, żebyś się oddalała od mego boku, ale dzieci powinny odejść. Cawley zajmie się nimi. Musimy jednak sprawdzić, czy droga na jego farmę jest bezpieczna.

- Nie tylko to - wychrypiął Loring. - Żaden z nas, ani jeden szczeniak, nie może zadać się teraz z żadną rodziną z doliny prócz Cawleya. Tamci nie zdołają nam pomóc, a nie chcemy, by ci bezczęściciele ich nękali.

Wszyscy zgodzili się, że mówi mądrze, i spotkanie dobiegło końca, a jego uczestnicy rozproszyli się po wsi. Wkrótce jednak zeszli się ponownie, wraz z większością mieszkańców, na maleńkim cmentarzu za domem Gertrude. Obok grobów ułożono dziesięć trupów spowitych w białe całuny. Na każdej nieruchomej piersi spoczywała gałązka tojadu, a na szyi wisiał srebrny amulet.

Gertrude wystąpiła naprzód i wyrecytowała imiona poległych; Parr Wyglif, Ged, Bardrick, Farold, Hale, Garner, Kelby, Melkolf i Albem. Położyła im na powiekach czarne kamyczki, a potem uniosła ręce, skierowała ku niebu twarz i drżącym głosem zaintonowała pogrzebową pieśń. Z kącików zamkniętych oczu spływały łzy, podczas gdy jej głos wznosił się i opadał w rytm melodii z niepamiętnych czasów; jęczała i zawodziła wraz z całą, pogrążoną w żałobie wioską. Śpiewała o ziemi i nocy, i o odwiecznym smutku ludzkości, przed którym nikt nie zdoła umknąć.

Gdy ostatnia żałobna nuta rozplynęła się w ciszy, członkowie rodzin zaczęli kolejno wychwalać zalety i osiągnięcia tych, których stracili. Potem pogrzebano ciała.

Wzrok zasłuchanego Rorana padł na anonimowy kopiec, pod którym pochowano trzech żołnierzy. Jednego zabił Nolfavrell, dwóch ja, pomyślał. Wciąż czuł przeszywający jego ciało wstrząs towarzyszący rozdzieraniu mięśni, łamaniu kości, miażdżeniu młotem. W gardle wezbrała mu żółć z trudem opanował mdłości, nie chcąc wymiotować przed całą wioską. To ja ich unicestwiłem. Roran nigdy nie pragnął nikogo zabić, a jednak pozbawił życia więcej ludzi niż ktokolwiek w Carvahall. Miał wrażenie, że na czole odcisnęło mu się krwawe piętno.

Odszedł najszybciej jak mógł, nie zatrzymując się, nawet by pomówić z Katriną i wspiał się na miejsce, z którego widział całe Carvahall. Zastanawiał się, jak najlepiej bronić wioski. Niestety, zabudowa była zbyt rzadka, żeby móc stworzyć mur, fortyfikując prześwity między domami. Roran nie sądził też, by walka pod ścianami domów i w ogrodach stanowiła najlepszy pomysł. Anora strzeże naszej zachodniej flanki, pomyślał. Co do reszty Carvahall, nie zdołalibyśmy powstrzymać nawet dziecka. Co można zbudować w ciągu kilku godzin, by skutecznie bronić dostępu do wsi?



Puścił się biegiem z powrotem i gdy dotarł na środkowy plac, zawołał:

- Potrzebuję wszystkich wolnych mężczyzn, by pomogli ścinać drzewa.

Po minucie z domów wysypali się pierwsi ludzie.

- No dalej, więcej, wszyscy muszą pomóc. - Roran czekał, podczas gdy grupa wokół niego powiększała się z każdą chwilą.

Jeden z synów Loringa, Darmmen przepchnął się do przodu i zapytał:

- Jaki masz plan?

Roran podniósł głos, by wszyscy go słyszeli.

- Potrzebna nam zaporą wokół Carvahall, im grubsza tym lepsza. Po-myślałem, że jeśli zetniemy duże drzewa, ułożymy je na bokach i zaostriamo gałęzie, Ra'zacom będzie trudno się przez nie przedrzeć.

- Jak myślisz, ile drzew na to potrzeba? - spytał Orval.

Roran zawahał się, próbując ocenić obwód Carvahall.

- Co najmniej pięćdziesiąt, może nawet sześćdziesiąt, by zrobić to jak należy. - Mężczyźni zakłęli i zaczęli protestować. - Chwileczkę. - Roran policzył ich szybko; w sumie na plac przybyło czterdziestu ośmiu ludzi. - Jeśli każdy z was przez następną godzinę zetnie jedno drzewo, to może dostarczyć. Dacie radę?

- Za kogo nas uważasz? - odparł Orval. - Już jako dziesięciolatek ścinałem drzewo szybciej niż w godzinę!

- A co powiesz na jeżyny i dzikie róże? - wtrącił Darmmen. - Moglibyśmy obłożyć nimi drzewa. Te ciernie odstraszą każdego.

Roran uśmiechnął się szeroko.

- To świetny pomysł. Niech wasi synowie zaprzęgną konie, żebyśmy mogli przyciągnąć drzewa na miejsce. - Mężczyźni zgodzili się i rozbiegli po wsi, zbierając topory i piły. Roran zatrzymał Darmmena. - Dopilnuj, by drzewa miały gałęzie na całej długości, inaczej się nie uda.

- Gdzie ty będziesz? - spytał Darmmen.

- Zajmę się kolejną linią obrony.

Roran zostawił go i pobiegł do domu Quimby'ego. Birgit krzątała się w środku, zabijając deskami okna.

- Tak? - spytała, patrząc na niego.

Szybko wyjaśnił jej swój plan dotyczący drzew.

- Chcę wykopać rów tuż za nimi, by spowolnić każdego, kto zdoła się przedostać. Moglibyśmy nawet wbić w dno zaostrome paliki i...

- O co ci chodzi, Roranie?

- Chciałbym, żebyś zebrała wszystkie kobiety i dzieci, i zaczęła z nimi kopać. Sam sobie nie poradzę, a mamy niewiele czasu. - Roran spojrzał jej prosto w oczy. - Proszę.

Birgit zmarszczyła brwi.

- Czemu akurat ja?

- Bo, podobnie jak ja, nienawidzisz Ra'zaców i wiem, że zrobisz wszystko, żeby ich powstrzymać.

- O tak - Birgit i głośno klasnęła w dłonie. - Doskonale. Będzie jak sobie życzysz. Ale nigdy nie zapomnę, Roranie Garrowsonie, że to ty i twoja rodzina ściągnęliście śmierć na mojego męża. - Odeszła, nim zdążył odpowiedzieć.

Spokojnie przyjął jej wrogość - biorąc pod uwagę, że straciła męża, mógł się tego spodziewać. Miał szczęście, że nie ogłosiła krwawej waśni.

Po chwili otrząsnął się i pobiegł do miejsca, w którym droga wchodziła do wsi. Był to najślabszy punkt w całym Carvahall i należało chronić go szczególnie. Ra'zacowie nie mogli ponownie tak łatwo dostać się do wioski.

Roran zatrudnił do pomocy Baldora i razem zaczęli kopać rów w poprzek traktu.

- Wkrótce będę musiał stąd iść - uprzedził Baldor między dwoma uderzeniami kilofa. - Ojciec potrzebuje mnie w kuźni.

Roran, nie unosząc głowy, mruknął, że rozumie. W jego umyśle znów pojawiły się wspomnienia żołnierzy, tego jak wyglądali, gdy ich powalił i owego strasznego uczucia, gdy młot miażdżył ciała niczym spróchniałe pnie. Przerwał, znów czując mdłości, i po raz pierwszy dostrzegł poruszenie w całym Carvahall. Ludzie szykowali się na kolejny atak.

Gdy Baldor odszedł, Roran sam dokończył kopanie głębokiego do połowy ud rowu. Potem pobiegł do warsztatu Fiska. Za zgodą cieśli wybrał pięć kłód utwardzonego drzewa i kazał przywieźć je na drogę. Tam pochylił je kolejno, wsuwając końce do rowu. Wkrótce utworzyły trudną do sforsowania barierę. Właśnie udeptywał ziemię wokół kłód, gdy podszedł do niego Darmmen.

- Mamy drzewa, właśnie je układamy.

Roran poszedł wraz z nim na północny skraj Carvahall, gdzie dwunastu mężczyzn zmagало się z bujnymi, zielonymi sosnami, układając je w rząd, podczas gdy konny zaprzęg poganiany przez młodego chłopca zawrócił na wzgórze.

- Większość z nas pomaga ściągnąć tu drzewa. Reszta tnie jak szalona. zupełnie jakby chcieli wyrąbać cały las.

- To dobrze, przyda nam się dodatkowe drewno.

Darmmen wskazał ręką stos gęstych krzaków jeżyn, malin i dzikiej róży, spoczywający na skraju pola Kiselta.

- Wyciąłem je nad Anorą i możesz ich użyć wedle woli. Ja pójdę poszukać następnych.

Roran klepnął go w ramię i odwrócił się ku wschodniej części Carvahall, gdzie długi, zakrzywiony szereg kobiet, dzieci i mężczyzn pracował w pocie czoła. Zbliżywszy się, odszukał Birgit, wydającą rozkazy niczym generał i rozdającą wodę kopaczom. Rów miał już pięć stóp szerokość i dwie głębokości.

- Imponujące - rzekł, gdy Birgit przystanęła, żeby zaczerpnąć tchu.

Kobieta, nie patrząc na niego, odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

- Najpierw przeoraliśmy ziemię, to ułatwiło kopanie.

- Masz może wolną łopatę? - spytał.

Brigit wskazała stertę narzędzi leżących po drugiej stronie rowu. Gdy Roran ruszył do niej, dostrzegł w szeregu pochylonych pleców miedziany błysk włosów Katriny. Stojący obok niej Sloan, z furją, niemal obsesyjnie wymachiwał kilofem, jakby próbował rozedrzeć ciało ziemi, ściągnąć glinianą skórę i odsłonić kryjące się pod nią mięśnie. Jego oczy błyskały szaleńczo, odsłaniał zęby we wściekłym grymasie, nie zważając na drobinki ziemi i brudu pokrywające mu twarz i wargi.

Roran zadrżał na widok miny rzeźnika i ruszył dalej, odwracając głowę, by uniknąć spojrzenia przekrwionych oczu. Chwycił łopatę i natychmiast wbił w ziemię, z nadzieją że ciężka praca fizyczna przegna z jego umysłu wszelkie troski.

☆☆☆

Dzień minął szybko, wypełniony szaleńczą pracą. Wieśniacy zapomnieli o przerwach na posiłek czy odpoczynek. Rów stawał się coraz dłuższy i głębszy. W końcu okrążył dwie trzecie wioski i sięgnął brzegów Anory. Z wykopywanej ziemi usypywano sterty po wewnętrznej stronie rowu - miały uniemożliwić przeskoczenie przeszkody i utrudnić wspinaczkę.

Wczesnym popołudniem palisada z drzew została ukończona. Roran przerwał wówczas kopanie i zajął się ostrzeniem niezliczonych gałęzi, specjalnie posplatanych i powyginanych, i narzucaniem na nie cierniowej sieci. Od czasu do czasu musieli przesuwać drzewo, by farmerzy mogli zagnać swe stada do wioski.

Do wieczora fortyfikacje były już silniejsze i rozleglejsze, niż Roran przewidywał, choć wciąż wymagały kilku godzin pracy, by mogły stawić opór atakującym.

Roran usiadł na ziemi, szarpiąc zębami pajdę chleba i spoglądając w gwiazdy poprzez mgiełkę zmęczenia. Czyjaś dłoń opadła mu na ramię. Uniósł wzrok i ujrzał Albriecha.

- Proszę. - Syn kowala wręczył mu prymitywną tarczę, zrobioną ze zbitych kołkami desek, i długą na sześć stóp włócznię. Roran przyjął je z wiecznością i Albriech ruszył dalej, rozdając tarcze i broń wszystkim, których napotkał.

Roran dźwignął się z ziemi, zabrał młot z domu Horsta i tak uzbrojony pomaszerował do wylotu głównej drogi, gdzie Baldor pełnił wartę w towarzystwie dwóch innych mężczyzn.

- Obudźcie mnie, gdy będziecie chcieli odpocząć - polecił i legł na miękkiej trawie pod dachem pobliskiego domu. Ułożył na ziemi broń tak, by mógł znaleźć ją w ciemności, i zamknął oczy, przywołując sen.

- Roranie.

Szept rozległ się tuż przy jego prawym uchu.

- Katrina? - Roran z trudem usiadł na ziemi, mrugając. Odsłoniła lampę i promień światła oświetlił jego udo. - Co ty tu robisz?

- Chciałam cię zobaczyć. - W jej oczach, wielkich i tajemniczych na bladej twarzy, odbijały się nocne cienie.

Ujęła go za rękę i poprowadziła na pustą werandę, znajdującą się daleko poza zasięgiem słuchu Baldora i pozostałych wartowników. Tam położyła mu dłonie na policzkach i ucałowała lekko. Był jednak zbyt zmęczony i udreńczony, by odpowiedzieć czułością. Cofnęła się o krok, patrząc nań uważnie.

- Co się stało Roranie, coś złego?

Na jego ustach odmalował się gorzki śmiech.

- Coś złego? Coś złego stało się z całym światem, jest pokrzywiony niczym przetrącony obraz. - Przycisnął pięść do brzucha. - Ze mną też stało się coś złego. Za każdym razem, gdy próbuję odpocząć, widzę żołnierzy krwawiących pod moim młotem. Ludzi, których zabiłem, Katrino. I ich oczy... oczy! Wiedzieli, że zaraz zginą, i nic nie mogli na to poradzić. - Zadrżał. - Wiedzieli, ja też wiedziałem, a jednak musiałem to zrobić. Nie mogłem... - Poczul spływające po policzkach gorące łzy.

Katrina przytuliła do piersi jego głowę, on zaś zapłakał gorzko, wspominając ostatnie dni. Opłakiwał Garrowa i Eragona. Opłakiwał Parra, Quimby'ego i pozostałych poległych. Opłakiwał samego siebie i los Carvahall. Szlochał tak, że w końcu rozszalałe emocje ucichły, pozostawiając go oczyszczonego niczym wyluskany strąk.

W końcu zmusił się, by odetchnąć głęboko, uniósł wzrok i po raz pierwszy dostrzegł, że Katrina także płacze. Kciukiem starł jej łzy, lśniące niczym diamenty wśród nocy.

- Katrino, ukochana - powtórzył. - Ukochana. Nie mogę ci dać niczego poza moją miłością. Mimo to muszę spytać. Wyjdiesz za mnie?

W słabym świetle ujrzał, jak jej twarz się rozpromienia. Potem dziewczyna zawahała się i Roran dostrzegł w jej oczach cień wątpienia. Bez zgody Sloana nie powinien pytać ani ona odpowiadać. Lecz Rorana już to nie obchodziło, musiał wiedzieć, teraz, zaraz, czy spędzą razem życie.

- Tak, Roranie - rzekła w końcu cicho. - Wyjdę.

## *Pod mrocznym niebem*

Tej nocy spadł deszcz.

Dolinę Palancar zasnuły wielowarstwowe, ciężarne chmury, które zachłannymi mackami przywarły do gór i napełniły powietrze gęstą, zimną mgłą. Roran patrzył przez okno na strugi szarej wody, rozbryzgujące się na liściach drzew, zamieniające dno otaczającego Carvahall rowu w błoto i skrobiące bezceremonialnymi palcami po strzechach i gontach wioski, gdy chmury wyrzucały na ziemię swój ładunek. Wszystko było mokre, zamazane i ukryte za gęstą zasłoną ulewy.

Późnym rankiem burza ustąpiła, choć z nieba nadal siąpiła mglista mżawka. Szybko przemoczyła włosy i ubranie Rorana, gdy objął wartę przy barykadzie na drodze. Przykucnął obok ściany z bali, otrzepał płaszcz i naciągnął głębiej kaptur, próbując zapomnieć o chłodzie.

Mimo pogody cały czas kipiał z radości wywołanej zgodą Katriny. Byli zaręczeni! Miał wrażenie, jakby brakujący fragment świata w końcu znalazł się na miejscu, jakby obdarzono go pewnością siebie niezwycięzonego wojownika. Jakie znaczenie mieli żołnierze, Ra'zacowie czy imperium w obliczu podobnej miłości? Byli jedynie drewnem podsycającym jeszcze Jej ogień.

Szczęście jednak nie przeszkadzało mu w rozważaniu obecnie najważniejszego dylematu jego życia. Jak sprawić, by Katrina przeżyła gniew Galbatorixa? Od chwili, gdy się obudził, nie myślał o niczym innym. Najlepiej byłoby, gdyby ukryła się u Cawleya, uznał w końcu, próbując przebić wzrokiem spowijającą drogę mgiełkę. Ale nigdy nie zgodzi się odejść, chyba że każe jej Sloan. Może zdołam go przekonać; z pewnością on także chce, by znalazła się w bezpiecznym miejscu.

Podczas gdy zastanawiał się, jak najlepiej przemówić do rzeźnika, chmury znów zgęstniały i deszcz ponownie zaatakował wioskę, zalewając ziemię lodowatymi falami. Wokół Rorana ożyły kałuże, krople deszczu wzburzyły ich powierzchnię. Drobnie rozbryzgi wyskakiwały w powietrze niczym spłoszone pasikoniki.

Gdy Roran zgłodniał, przekazał wartę Larnemu, najmłodszemu synowi Loringa, i poszedł poszukać czegoś do jedzenia, przemykając między domami. Skręcił za róg i ze zdumieniem ujrzał stojącego na werandzie Albriecha, który kłócił się z grupką mężczyzn.

- Ślepy jesteś?! - krzyknął właśnie Ridley. - Wystarczy przekraść się pod topolami i nigdy cię nie zobaczą. Wybrałeś najgłupszy możliwy szlak.

- Spróbuj, jeśli chcesz - odpalił Albriech.

- Zrobię to.

- A potem opowiesz mi, jak smakowały ci strzały.

- Może - wtrącił Thane - nie jesteście tak ociążali jak ty.

Albriech odwrócił się ku niemu z gniewną miną.

- Twoje słowa są równie tępe jak humor. Nie jestem tak głupi, by ryzykować życie mojej rodziny pod osłoną kilku gałęzi, których nigdy wcześniej nie widziałem. - Thane wybałuszył oczy, na jego poczerwieniałej twarzy wystąpiły białe cętki. - No co - dodał szyderczo Albriech - zapomniałeś języka w gębie?

Thane ryknął i uderzył go pięścią w policzek, jednak Albriech zaśmiał się tylko.

- Rękę masz słabą jak kobieta. - Chwycił Thane'a za ramię i zrzucił z werandy w błoto. Mężczyzna leżał tam chwilę, oszołomiony.

Trzymając włócznię niczym pałkę, Roran wskoczył na werandę obok Albriecha, nie dopuszczając do niego Riley'a i pozostałych.

- Koniec - warknął wściekły. - Mamy innych wrogów. Później możemy zwołać wiec i wybrać rozjemców, którzy ustalą, któremu z nich należy się grzywna. Ale do tego czasu nie możemy walczyć między sobą.

- Łatwo ci mówić. - Riley niemalże wypluł te słowa. - Nie masz żony ani dzieci. - Pomógł Thane'owi podnieść się z ziemi i odszedł wraz ze swymi towarzyszami.

Roran wbił wzrok w Albriecha, na którego policzku coraz szerzej rozlewał fioletowy siniak.

- O co chodziło? - spytał.

- O to że... - Albrich urwał, skrzywił się i pomacał szczękę. - Wybrałem się na zwiad z Darmmenem. Ra'zacowie rozstawili żołnierzy na kilku wzgórzach. widzą stamtąd drugi brzeg Anory i całą dolinę. Paru z nas może przekradłoby się niepostrzeżenie, ale nie zdołamy przemycić dzieci do Cawleya - nie zabijając wpierw żołnierzy. Równie dobrze moglibyśmy od razu powiedzieć Ra'zacom, dokąd zmierzamy.

Roran poczuł, jak ogarnia go groza, wsączając się niczym trucizna w serce i żyły - Co mam robić? Wstrząśnięty, objął Albricha ramieniem.

- Chodź, Gertrudę powinna to obejrzeć.

- Nie. - Albrich uwolnił się. - Ma znacznie pilniejsze przypadki. - Odetchnął głęboko, jakby się szykował do dania nura w głąb jeziora, po czym odszedł w strugach deszczu do kuźni.

Roran odprowadził go wzrokiem, pokręcił głową i wszedł do środka. Elain siedziała na podłodze, otoczona wianuszkami dzieci. Zajmowali się ostrzeniem stosu grotów włóczni pilnikami i oselkami. Roran wezwał ją gestem i szybko przeszli do sąsiedniego pokoju. Tam opowiedział o tym, co zaszło.

Elain zakłęta ostro, kompletnie go zaskakując. Nigdy nie słyszał, by używała podobnego języka.

- Czy Thane ma powód, by ogłosić waśń?

- Możliwe - przyznał Roran. - Obaj się wyzywali, ale przekleństwa Albricha były najmocniejsze. Jednakże to Thane uderzył pierwszy. Sami moglibyście ogłosić waśń.

- Bzdura. - Elain ciałniej owinęła ramiona szalem. - To powinni rozstrzygnąć rozjemcy. Jeśli będziemy musieli zapłacić grzywnę, trudno, byle tylko uniknąć rozlewu krwi. - Wymaszerowała z domu, trzymając w dłoni już ukończoną włócznię.

Wzburzony Roran znalazł w kuchni chleb i mięso, po czym usiadł z dziećmi, pomagając im ostrzyć groty włóczni. Gdy zjawiła się jedna z matek, Felda, zostawił dzieci pod jej opieką i powłóczęgając nogami, wrócił na drogę.

Kiedy przykucnął w błocie, promień słońca przebił się przez chmury i oświetlił strugi deszczu tak, że każda kropla rozbłysła krystalicznym ogniem. Roran zapatrzył się w nie w niemym zachwycie, nie zważając na spływającą po twarzy wodę. Wyrwa w chmurach rozszerzyła się i wkrótce obok ciężkich, burzowych chmur przesłaniających trzy czwarte nieba nad doliną Palancar, pojawiło się pasmo najczystszej błękitu. Ciemna burzowa powała i kął, pod którym padały promienie, sprawiły, że zalany deszczem krajobraz z jednej strony rozświetliło złociste światło, a z drugiej spowiły głębokie cienie, nadając polom, krzakom, drzewom, rzece i górom niezwykle odcienie. Zupełnie jakby cały świat zamienił się w rzeźbę z błyszczącego metalu.

W tym momencie Roran dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Spojrzał w dół i zobaczył stojącego na drodze żołnierza, jego kolczuga lśniła niczym lód. Mężczyzna gapił się oszołomiony na nowe fortyfikacje wokół Carvahall po czym odwrócił się i uciekł w złocistą mgłę.

- Żołnierze! - krzyknął Roran, zrywając się z miejsca.

Pożałował, że nie ma łuku; zostawił go w domu, by nie zmókł. Pocieszała go tylko świadomość, że żołnierzom jeszcze trudniej przychodziło chronienie broni.

Mężczyźni i kobiety wypadli z domów i zgromadzili się przy rowie, wyglądając przez mur splecionych sosen. Długie gałęzie płakały kroplami wody, przejrzystymi kabaszonami, w których odbijały się rzędy niespokojnych oczu.

Roran odkrył, że stoi u boku Sloana. Rzeźnik trzymał w lewej dłoni jedną z prymitywnych tarcz Fiska, w prawej dzierzył zakrzywiony tasak, półokrągły niczym sierp księżycy. U pasa wisiał mu co najmniej tuzin noży, wielkich i ostrych jak brzytwy. Pozdrowili się z Roranem krótkimi skinieniami głowy i skupili wzrok na miejscu, w którym zniknął żołnierz.

Niecała minutę później z mgły wypląnął bezcielesny głos Ra'zaca.

- Nie ustajęcc w obronie Carvahall, ogłościliście ssswój wybór i przypięczętowaliście los. Zginiecie wszyscy!

- Może odważycie się pokazać swe robaczywe pyski, wy bladokrwiste, krzywonogie, węzookie parszywce! - odparł Loring. - Roztrzaskamy wam czaszki i utuczemy nasze wieprze waszą krwią.

W odpowiedzi poszybowało ku nim coś ciemnego i rozległ się tępy łoskot. W drzwi, cał od lewej ręki Gedrica, wbiła się włócznia.

- Kryć się! - krzyknął Horst ze środka szeregu.

Roran ukląkł za tarczą, wyglądając przez szczelinę między dwiema deskami. Zdążył w sam czas, bo nad ścianą drzew przeleciało właśnie kilka włócznie, które wbiły się w ziemię między przycupniętymi wieśniakami.

Gdzieś z mgły dobiegł go krzyk agonii. Serce Rorana zatrzepotało boleśnie w piersi. Dyszał głośno, choć nawet się nie poruszył, dłonie miał śliskie od potu. Usłyszał cichy brzęk tłuczonego szkła dobiegający z północnego krańca wioski... a potem huk wybuchu i łoskot pękającego drewna.

Wraz ze Sloanem obrócili się gwałtownie i popędzili przez Carvahall. Po drugiej stronie wsi grupa sześciu żołnierzy odciągała właśnie na bok strzaskane szczątki kilku drzew. Za nimi na czarnych koniach czekali Ra'zacowie. w strugach deszczu ich sylwetki sprawiały jeszcze bardziej upiorne wrażenie. Roran bez wahania rzucił się na pierwszego żołnierza, dźgając włócznią. Podniesiona ręka odparowała pierwsze i drugie pchnięcie, potem trafił mężczyznę w biodro, a gdy tamten się potknął, w szyję. Sloan zawył niczym zranione zwierzę, cisnął tasakiem i rozciął na pół hełm żołnierza, miażdżąc mu czaszkę. Dwaj kolejni zaatakowali, dobywając mieczy. Sloan uskoczył, śmiejąc się w głos, i zablokował ich cięcia tarczą.

Jeden z żołnierzy zadał cios tak mocny, że klinga utkwiała w deskach tarczy - Sloan szarpnięciem przyciągnął go ku sobie i rzeźnickim nożem rozplątał twarz i oko. Dobył szybko drugiego tasaka i z szaleńczym uśmiechem zaczął okrażać przeciwnika.

- Mam cię wypatroszyć?! - zawołał. Miał na twarzy straszliwy, krwiożerczy uśmiech. - Czy najpierw okulawić?

W pierwszym starciu z kolejnymi dwoma napastnikami Roran stracił włócznię. Ledwie zdołał chwycić młot i odtrącić celujący mu w nogę miecz. Żołnierz, który wyrwał mu włócznię, teraz cisnął nią, celując w pierś Rorana. Ten upuścił młot, chwycił drzewce w locie - co zaskoczyło go równie mocno jak żołnierza - obrócił i przebił grotem zbroję i żebra oszołomionego mężczyzny. Pozbawiony broni, musiał się cofnąć przed ostatnim żołnierzem. Potknął się o trupa, kalecząc łydkę ostrzem miecza, i przeturlał się na bok, by uniknąć dwuręcznego cięcia. Zaczął rozpaczliwie macać w głębokim po kostki błocie, szukając czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za broń. Jego palce musnęły rękojeść miecza. Wyrwał go z kałuży i chlasnął dzierżącą ostrze dłoń żołnierza, odcinając kciuk. Przeciwnik spojrzał tępo na zakrwawiony kikut.

- Oto efekty nieużywania tarczy - powiedział.

- Owszem - zgodził się Roran i odrąbał mu głowę.

Ostatni żołnierz wpadł w panikę i umknął ku obojętnym widmom Ra'zaców, ścigany gradem wyzwisk Sloana. Gdy w końcu przebił lśniąca zasłonę deszczu, Roran ujrzał z dreszczem zgrozy, jak dwie czarne postaci pochylają się na koniach i powykręcanymi rękami chwytają żołnierza za kark. Okrutne palce zacisnęły się, mężczyzna wrzasnął rozpaczliwie, szarpnął się i znieruchomiał. Ra'zacowie zarzucili trupa na grzbiet jednego z koni, po czym zawrócili i odjechali. Roran zadrżał. Spojrzał na Sloana, wycierającego ostrza noży.

- Dobrze walczyłeś.

Nigdy nie podejrzewał rzeźnika o taki bojowy zapał.

- Nie dostaną Katriny - odparł cicho Sloan. - Nigdy, nawet gdybym musiał wszystkich obdrzeć ze skóry, albo walczyć z tysiącem urgali i samym królem. Rozedrę niebo i utopię imperium w jego własnej krwi, nim choćby ją skaleczą. - Gwałtownie zacisnął szczęki, wepchnął za pas ostatni nóż i zaczął przeciągać trzy pęknięte drzewa z powrotem na miejsce.

Roran tymczasem odturlał martwych żołnierzy w błoto poza fortyfikacjami.

Zabiłem już pięciu, pomyślał.

Pozbywszy się ostatniego ciała, wyprostował się i rozejrzał wokół zdumiony, słyszał bowiem tylko ciszę i szmer deszczu. Czemu nikt nam nie pomógł? Zastanawiając się, co jeszcze się stało, wrócił ze Sloanem na miejsce pierwszego ataku. Dwaj żołnierze wisieli bez życia na śliskich gałęziach palisady. Nie to jednak przyciągnęło uwagę Rorana. Horst i pozostali wieśniacy klęczeli wokół niewielkiego ciała. Roran zachłysnął się gwałtownie. To był Elmund, syn Delwina. Ciśnięta

włócznia trafiła w bok dziesięciolatka. Jego rodzice siedzieli w błocie obok z nieruchomymi twarzami.

Trzeba coś zrobić, pomyślał Roran, osuwając się na kolana i wspierając na włóczni. Niewiele dzieci przeżywało pierwsze pięć, sześć lat, ale utrata pierwotnego, gdy wszystko wskazywało, że mógł dożyć wieku męskiego i już jako silny, dorosły mężczyzna zająć miejsce ojca w Carvahall, to dość, by zniszczyć człowieka. Katrina... dzieci... ich wszystkich trzeba chronić.

Ale gdzie? Gdzie? Gdzie?!

## *Hen, w dół, dokąd wiedzie bystry nurt*

Pierwszego dnia po opuszczeniu Tarnagu Eragon nauczył się imion wszystkich strażników Undina. Brzmiały one: Arna, Trfhga, Hedin, Ekksvar, Shrrgnien - Eragon nie potrafił go wymówić, usłyszał jednak, że znaczy: Wilcze Serce - Duthmer i Thorv.

Pośrodku każdej tratwy stała niewielka chatka. Eragon wolał spędzać czas, siedząc na krawędzi tratwy i oglądając zostające w tyle Góry Beorskie. Zimorodki i kawki polatywały nad czystą wodą. Błękitne czaple stały jak na szczudłach na bagnistym brzegu, widoczne w plamach światła przenikającego przez gałęzie leszczyn, buków i wierzb. Od czasu do czasu z kępy paproci odzywała się żaba.

- Pięknie tu - rzekł Eragon, gdy Orik przycupnął obok niego.

- W istocie. - Krasnolud zapalił w milczeniu fajkę, odchylił się i zaciągnął.

Eragon nasłuchiwał skrzypienia drewna i lin, obserwując, jak Trihga steruje tratwą za pomocą długiego wiosła z tyłu.

- Oriku, możesz mi powiedzieć, czemu Brom dołączył do Vardenów? Tak mało o nim wiem. Przez niemal całe życie był dla mnie tylko wiejskim bazarzem.

- Brom nigdy nie dołączył do Vardenów, on pomógł ich odnaleźć. - Orlik umilkł, wytrząsając do wody odrobinę popiołu. - Gdy Galbatorix został królem, Brom poza Zaprzysięzonymi pozostał jedynym żyjącym Jeźdźcem.

- Ale przecież nie był już Jeźdźcem, jego smok zginął w walce w Doru Araebie.

- Cóż, Jeźdźcem z wyszkolenia. Brom jako pierwszy zorganizował przyjaciół i sprzymierzeńców Jeźdźców, wygnanych z własnych domów. To on przekonał Hrothgara, by pozwolił Vardenom zamieszkać w Farthen Durze i on zapewnił im wsparcie elfów.

Jakiś czas milczeli obaj.

- Czemu Brom oddał przywództwo? - spytał w końcu Eragon.

Orik uśmiechnął się cierpko.

- Może nigdy go nie pragnął. Było to jeszcze nim Hrothgar mnie adoptował, więc nie widywałem Broma w Tronjheimie. Zawsze krążył gdzieś po świecie, walcząc z Zaprzysięzonymi i uczestnicząc w kolejnych spiskach.

- Twoi rodzice nie żyją?

- Tak, zaraza zabrała ich, gdy byłem młody, i Hrothgar serdecznie przyjął mnie w swym dworze, a ponieważ nie ma dzieci, uczynił swym spadkobiercą.

Eragon pomyślał o swoim hełmie oznaczonym symbolem Ingeitum.

- Mnie też Hrothgar okazał wiele serca.

Gdy zapadł zmierzch, krasnoludy powiesiły w narożnikach tratw okrągłe lampy, rzucające czerwone światło; Eragon przypomniał sobie, że nie razi ono oczu przywykłych do ciemności. Stał obok Aryi, przyglądając się czystemu, nieruchomemu wnętrzu jednej z nich.

- Wiesz, jak je robią? - spytał.

- Za pomocą zaklęcia, którego nauczyliśmy krasnoludy dawno temu i które wykorzystują z wielką zręcznością.

Podrapał się po brodzie i policzkach, czując pod palcami kłujący zarost.

- Mogłabyś w czasie podróży nauczyć mnie magii?

Spojrzała na niego; mimo kołysania idealnie utrzymywała równowagę.

- To nie moja rola. Czeka na ciebie nauczyciel.

- Zatem powiedz mi przynajmniej, co oznacza imię mojego miecza.

Głos Aryi zabrzmiał dziwnie łagodnie.



- Twój miecz to Nieszczęście i je właśnie przynosił, póki nie trafił do ciebie.

Eragon spojrział z odrazą na Zar'roca. Im więcej dowiadywał się o swej broni, tym bardziej wydawała mu się złowroga, jakby sama z własnej woli mogła zadawać ból i cierpienie. Nie tylko Morzan zabijał nim Jeźdźców, samo imię Zar'roca także było złe. Gdyby nie fakt, że Brom mu go podarował, że Zar'roc nigdy się nie tępił i nie mógł złamać, w tym momencie.

Eragon cisnąłby miecz do rzeki.

Nim zrobiło się jeszcze ciemniej, podpłynął do Saphiry. Wzlecieli razem po raz pierwszy od dnia opuszczenia Tronjheimu. Poszybowali wysoko nad Az Ragni, tak że otoczyło ich rozrzedzone powietrze, a woda w dole zamieniła się w fioletową wstążkę.

Eragon ścisnął mocno nogami pozbawiony siodła grzbiet smoczyca. Czuł, że twarde łuski ocierają się o blizny, pamiątkę pierwszego wspólnego lotu. Kiedy Saphira przechyliła się w lewo, wznosząc się w górę w kolumnie rozgrzanego powietrza, ujrzał trzy brązowe punkciki startujące ze zbocza poniżej i szybujące ku nim. Z początku Eragon wziął je za sokoły, gdy się jednak zbliżyły, uświadomił sobie, że zwierzęta mają niemal dwadzieścia stóp długości, cienkie, giętkie ogony i skórzaste skrzydła. W istocie przypominały smoki, choć ciała miały mniejsze, smuklejsze i bardziej węzowe niż Saphira. Miast błyszczeć, ich łuski były pokryte plamami brązu i zieleni.

Podekscytowany Eragon wskazał je Saphirze.

*Czy to mogą być smoki?* - spytał.

*Nie wiem.*

Skręciła ku nim, uważnie przyglądając się krążącym wokół dziwnym stworzeniom. Wydawały się zaskoczone widokiem Saphiry - śmigwały ku niej, po czym syczały głośno i w ostatniej chwili zawracały.

Eragon uśmiechnął się i sięgnął umysłem, próbując dotknąć ich myśli. Gdy to uczynił, wszystkie trzy wzdrygnęły się i wrzasnęły, otwierając paszcze niczym zgłodniałe węże. Ich przeszywający krzyk ranił nie tylko fizycznie, ale i mentalnie. Uderzył Eragona z dziką siłą, próbując go unieszkodliwić. Saphira także to poczuła. Wciąż wrzeszcząc przenikliwie, stwory zaatakowały ostrymi jak brzytwy szponami.

*Trzymaj się.*

Ostrzegła smoczyca. Złożyła lewe skrzydło i skręciła gwałtownie, unikając starcia z dwójką zwierząt, po czym szybko uderzyła skrzydłami, wznosząc się nad trzecie. Jednocześnie Eragon usilnie próbował zablokować ich krzyk. Gdy jego umysł się przeczyścił, sięgnął po magię.

*Nie zabijaj ich* - poleciła Saphira. *Chcę poćwiczyć.*

Choć stwory były zręczniejsze od smoczyca, Saphira dysponowała przewagą masy i siły. Jeden z nich zanurkował ku niej. Lecąc w dół, Saphira obróciła się do góry nogami i kopnęła go w pierś. Wrzask osłabł, gdy ranny przeciwnik się wycofał. Smoczyca rozłożyła szeroko skrzydła, obracając się ponownie, by stawić czoło zbliżającym się pozostałym dwóm stworom, i wygięła szyję. Eragon usłyszał głęboki grzmot między jej żebrami, a potem z pyska Saphiry wystrzelił jęzor ognia. Głowę smoczyca otoczyła jaskrawobłękitna poświata, w której blasku podobne klejnotom łuski rozbłysły ogniście. Zdawało się, że coś rozświetla ją od wewnątrz.

Dwa niby - smoki zaskrzeczały przerażone i umknęły na bok. Atak umysłowy ustał, gdy oddaliły się, opadając ku zboczcu góry.

*O mało mnie nie zrzuciłaś.*

Eragon puścił jej szyję, którą dotąd ścisnął zdrętwiałymi rękami.

Spojrziała na niego, wyraźnie zadowolona z siebie.

*O mało, ale jednak nie.*

*To prawda.* Zaśmiał się.

Uradowani zwycięstwem, wrócili na tratwy. Gdy Saphira wylądowała w wielkim rozbryzgu wody, Orik powitał ich, wołając:

- Nic się wam nie stało?!

- Nie! - odkrzyknął Eragon.

Lodowata woda pieniała mu się wokół nóg, gdy Saphira podpływała do tratwy.

- Czy to kolejny gatunek występujący tylko w Beorach?

Orik wciągnął go na tratwę.

- Nazywamy je fanghurami. Nie są tak mądre jak smoki i nie zieją ogniem, ale to wciąż niezwykle groźni przeciwnicy.

- Zauważyliśmy. - Eragon roztarł dłońmi skronie, próbując przegnać ból głowy, wywołany atakiem fanghurów. - Nie mogli jednak dorównać Saphirze.

*Oczywiście* - prychnęła smoczyca.

- Tak właśnie polują - wyjaśnił krasnolud. - Za pomocą umysłu unieruchamiają swą zdobycz, a potem zabijają.

Saphira ochlapała ich obu, uderzywszy w wodę koniuszkiem ogona.

*Dobry pomysł; może wypróbuję go podczas następnych łowów.*

*W walce też mógłby się przydać* - dodał Eragon.

Arya podeszła na skraj tratwy.

- Cieszę się, że ich nie zabiliscie. Fanghury są tak rzadkie, że boleśnie odczułyby utratę tej trójki.

- Wciąż jest ich dość, by niszczyły nasze stada - warknął Tnorv z wnętrza chaty. Krasnolud podszedł do Eragona, mamrocząc z irytacją pod poskręcaną brodą:

- Nie lataj więcej w Górach Beorskich, Cieniobójco. I tak trudno cię bronić, bez wypraw powietrznych i walk twojego smoka z latającymi żmijami.

- Dopóki nie dotrzemy do równin, zostaniemy na ziemi - przyrzekł Eragon.

- To dobrze.

Gdy zatrzymali się na noc, krasnoludy przycumowały tratwy do osik u ujścia niewielkiego strumienia. Arna rozpałił ogień, tymczasem Eragon pomógł Ekksvarowi sprowadzić na ląd Śnieżnego Płomienia. Uwiązali ogiera do palika wbitego w spłachetek trawy. Thorv doglądał rozbijania sześciu dużych namiotów. Hedin zebrał dość drewna, by wystarczyło do rana, a Duthmer zniósł z drugiej tratwy zapasy i zaczął przyrządzać obiad. Arya objęła wartę na skraju obozu; wkrótce dołączyli do niej Ekksvar, Arna i Trihga. Gdy Eragon zorientował się, że nie ma nic do roboty, przykucnął przy ognisku z Orikiem i Shrrgnieniem. Shrrgnien zsunął rękawice i wyciągnął nad ogień pokryte bliznami ręce. Wówczas Eragon dostrzegł, że z kostek krasnoluda przy wszystkich palcach prócz kciuków sterczą ćwieki z błyszczącej stali, długie na jakieś ćwierć cala.

- Co to? - spytał.

Shrrgnien spojrzał na Orika i roześmiał się.

- To moje Ascudgamln... moje stalowe pięści. - Nie wstając, obrócił się i uderzył w pień osiki, pozostawiając w korze cztery symetryczne dziury. Ponownie zaśmiał się głośno. - Dobrze do uderzania w różne rzeczy, co?

Eragona ogarnęła ciekawość zmieszana z zazdrością.

- Jak się je robi? To znaczy, jak mocujesz ćwieki do dłoni?

Shrrgnien zawahał się, szukając odpowiednich słów.

- Uzdrowiciel wprowadza cię w głęboki sen, żebyś nie czuł bólu. Wtedy wiercą. To dobre słowo? Wiercą ci otwór na wylot stawów. - Urwał i zaczął mówić szybko do Orika w języku krasnoludów.

- W każdym otworze montuje się metalowe gniazdo - wyjaśnił Orik. - Za pomocą magii uzdrowiciel goi rany i łączy kość z metalem. Gdy wojownik wyzdrowieje, może wkręcać w gniazda różne kolce i ćwieki.

- Tak, tak - potwierdził Shrrgnien z szerokim uśmiechem.

Chwytał ćwiek nad lewym palcem wskazującym, ostrożnie wykręcił i podał Eragonowi. Eragon uśmiechnął się i podrzucił na dłoni ostry kawałek stali.

- Chętnie sprawiłbym sobie takie stalowe pięści. - Oddał ćwiek Shrrgnieniowi.

- To niebezpieczna operacja - ostrzegł Orik. - Niewiele knurlan robi sobie Ascudgamln, bo łatwo można stracić władzę w rękach, jeśli wiertło wnika zbyt głęboko. - Uniósł pięść i pokazał Eragonowi. - Mamy grubsze kości niż ty. U człowieka to może się nie udać.

- Zapamiętam.

Mimo wszystko Eragon nie mógł uwolnić się od wizji walki Ascudgamln. Mógłby bezkarnie uderzać absolutnie wszystko, łącznie z urgalami w zbrojach. Zachwycił go ten pomysł.

☆☆☆

Po posiłku Eragon poszedł do namiotu. Ogień rzucał dość światła by móc dostrzec sylwetkę Saphiry, przycupniętej obok niczym postać wycięta z czarnego papieru i przyklepiona do płóciennej ściany.

Usiadł, naciągając koc na nogi, i zapatrzył się w swoje kolana. Choć był senny, nie chciał jeszcze spać. Nagle pomyślał o domu. Zastanawiał się, co porabia Roran, Horst i pozostali mieszkańcy Carvahall. Czy wiosna w dolinie Palancar jest dość ciepła, by farmerzy mogli rozpocząć siewy. Zalała go gwałtowna fala smutku i tęsknoty.

Wyciągnął z worka drewnianą miskę i napelnił ją z bukłaka po wręby. Potem skupił się na obrazie Rorana. - Draumr kopa - wyszeptał.

Jak zawsze, woda poczerniała, po czym rozjaśniła się, ukazując postrzegany obiekt. Eragon ujrzał Rorana siedzącego samotnie w sypialni w blasku świecy. Poznał ów pokój, oglądał go w domu Horsta. Roran musiał rzucić pracę w Therinsfordzie. Jego kuzyn pochylił się, obejmując rękami kolana, i zapatrzył w przeciwną ścianę z dobrze znaną Eragonowi miną, która oznaczała, że Roran zmaga się z trudnym problemem. Poza lekkim zmęczeniem wyglądało jednak na to, że miewa się dobrze. Odkrycie to ucieszyło Eragona. Po minucie uwolnił magię, zakończył zaklęcie i oczyścił taflę wody.

Z lżejszym sercem opróżnił miskę, po czym położył się, naciągając koc aż pod brodę. Zamknął oczy i osunął się w ciepły zmierzch, oddzielający jawę od snu, gdy rzeczywistość zaczyna uginać się i falować w powiewach wiatru myśli, a twórcze wizje rozkwitają uwolnione z codziennych okowów, i wszystko jest możliwe.

Wkrótce zasnął. Całą noc leżał bez snów, lecz tuż przed przebudzeniem zwykle nocne zjawy zniknęły zastąpione wizją tak wyraźną i ostrą, jak wszystko co oglądał na jawie.

Ujrzał udęczone niebo, czarne i szafirowe od dymu. Kruki i orły krążyły wysoko ponad przestłami strzał, spinającymi łukami obie strony wielkiej bitwy. W zdeptanym błocie leżał mężczyzna w pękniętym hełmie i zakrwawionej kolczudze. Uniesiona ręka zasłaniała mu twarz. Przed oczami Eragona pojawiła się zakuta w metal dłoń. Rękawica była tak blisko, że lśniąca stal przesłoniła pół świata. Niczym nieubłagana maszyna, kciuk i ostatnie trzy palce zwinęły się w pięść, pozostawiając wyprostowany palec wskazujący, który opadł w stronę powabnego mężczyzny władczo niczym samo przeznaczenie.

☆☆☆

Rankiem, gdy Eragon wyczołgał się z namiotu, wciąż dręczyła go senna wizja. Saphira oddaliła się spory kawałek. Kiedy powiedział jej, co zobaczył, przestała przeżuwać, po czym gwałtownie wygięła szyję i połknęła cały kawał mięsa.

*Gdy zdarzyło się to po raz ostatni - rzekła - okazało się prawdziwą przepowiednią toczących się gdzie indziej wydarzeń. Sądysz, że w Alagaesii trwa bitwa?*

Kopnął leżącą na ziemi gałąź.

*Nic jestem pewien. Brom twierdził, że można postrzegać wyłącznie ludzi, miejsca i rzeczy, które już się widziało. Ale ja nigdy nie widziałem tego miejsca. Podobnie Aryi, gdy śniłem o niej w Teirmie.*

*Może zdoła ci to wyjaśnić Togira Ikonoka?*

Szykujące się do odpłynięcia krasnoludy sprawiały wrażenie bardziej odprężonych, odkąd znaleźli się daleko od Tarnagu. Kiedy zaczęli spław Az Ragni, sterujący tratwą ze Śnieżnym Płomieniem Eksvar zaintonował swym dudniącym basem:

*Hen, w dół, dokąd wiedzie bystry nurt,  
i wzbiera Kilfy ciemna krew,  
my chyżych dosiadamy klód  
dla rodu, klanu i honoru.*

*Pod niebem, tam gdzie orli szlak,  
przez wilków lodów mroczny las  
spływamy tam na krwawych pniach  
po złoto, brylant i lśniąca stal.*

*Tarczę i topór chwyć w dłoń,  
Zbroja ochroni kamień mój,  
Gdy ojców mych opuszczę dwór  
i w pustą, jasną ruszę dal.*

Pozostałe krasnoludy dołączyły do Ekksvara i podjęły chórem pieśń w swym języku. Cichy pomruk ich głosów towarzyszył Eragonowi, gdy młodzian, stąpając ostrożnie, przeszedł na sam dziób. Arya siedziała tam, krzyżując nogi.

- Miałem wizję we śnie - rzekł Eragon.

Elfka spojrzała na niego z zainteresowaniem, a on pośpiesznie zrelacjonował co widział.

- To nie postrzeżenie - oznajmiła Arya. Przemawiała rozmyślnie powoli, by uniknąć jakichkolwiek nieporozumień. - Bardzo długo zastanawiałam się nad tym, jak zdołałeś mnie ujrzeć uwięzioną w Gil'eadzie, i uważam, że podczas gdy leżałam nieprzytomna, mój duch szukał pomocy ze wszystkich możliwych źródeł.

- Ale czemu ja?

Arya skinieniem głowy wskazała wijącą się w wodzie Saphirę.

- Przez piętnaście lat strzeżenia jaja przywykłam do obecności Saphiry. Szukałam czegokolwiek, co wydawało mi się znajome. W ten sposób dotknęłam twojego snu.

- Masz dość sił, by móc z Gil'eadu nawiązać kontakt z kimś z Teirmu? Zwłaszcza gdy byłaś odurzona?

Na wargach Aryi zatańczył cień uśmiechu.

- Mogłabym stać u bram Vroengardu i wciąż rozmawiać z tobą jasno i wyraźnie jak teraz. - Urwała na chwilę. - Skoro nie postrzegłeś mnie w Teirmie, nie mogłeś postrzegać i w nowym śnie. To musi być przecucie. Jak nam wiadomo, od czasu do czasu przytrafia się ono członkom wszystkich ras rozumnych, a najczęściej znajdującym magię.

Tratwa szarpnęła się i Eragon chwycił kurczowo pobliski toból z zapasami.

- Jeśli to, co widziałem, dopiero się stanie, jak możemy temu zapobiec? Czy nasz wybór ma jakiegokolwiek znaczenie? A jeśli w tej chwili wskoczą do rzeki i utoną?

- Akurat tego nie zrobisz. - Arya zanurzyła lewy palec wskazujący w wodzie i znieruchomiała. Samotna kropla pozostała na jej skórze niczym rozedrgana soczewka. - Kiedyś, dawno temu elf Maerzadi miał przecucie, że przypadkiem zabije w bitwie swego syna. Zamiast żyć spokojnie, i czekać, popełnił samobójstwo, ratując syna i dowodząc, że przyszłość nie jest ustalona. Ale jeśli ktoś nie chce się zabijać, wciąż może odmienić swój los. Zwłaszcza gdy nie wie, jaki wybór doprowadzi go do owego miejsca w czasie. - Strzepnęła dłonią i kropla zniknęła. - Wiemy, że można zdobyć informacje dotyczące przyszłości. Wróżbici często wyczuwają ścieżkę, którą może podążać czyjeś życie. Nie potrafimy jednak dopracować tego procesu tak, by pozwalał nam wybrać co, gdzie i kiedy możemy zobaczyć.

Eragonem głęboko wstrząsnęła cała koncepcja zdobywania wiedzy na temat przyszłości. Prowokowała do zbyt wielu pytań dotyczących natury rzeczywistości. Nieważne, czy przeznaczenie i los naprawdę istnieją, czy też nie, ja mogę tylko cieszyć się teraźniejszością i żyć godnie i z honorem, pomyślał, a po chwili zapytał:

- Co miałyby mnie powstrzymać przed postrzeganiem moich wspomnień? Widziałem w nich wszystko, powinienem więc móc obejrzeć to za pośrednictwem magii.

Arya zerknęła na niego szybko.

- Jeśli cenisz własne życie, nigdy tego nie próbuj. Wiele lat temu kilkunastu naszych magów poświęciło się rozwiązaniu tajemnicy czasu. Gdy próbowali przywołać przeszłość, zdołali jedynie ujrzeć w zwierciadle rozmazany obraz, a potem zakłęcie pochłonęło całą ich energię i wszystkich zabiło. Odtąd nie przeprowadzaliśmy podobnych eksperymentów. Niektórzy twierdzą, że zakłęcie zadziałałoby, gdyby połączyło w nim siły więcej magów, ale nikt nie chce ryzykować i teoria pozostaje niedowiedziona. Nawet gdybyśmy mogli postrzegać przeszłość, nie na wiele by się to zdało. Aby postrzec przyszłość, trzeba by wiedzieć dokładnie, co się stanie, gdzie i kiedy, a wówczas postrzeganie nie byłoby potrzebne. To, dlaczego ludzi we śnie nawiedzają przeczucia, pozostaje zagadką. Jak nieświadomie mogą dokonywać czegoś, na czym poległ nasi najwięksi mędrcy? Przeczucia mogą się wiązać z samą naturą i materią magii, albo też funkcjonować podobnie jak smocze wspomnienia przodków. W magii powstało jeszcze wiele ścieżek do zbadania. - Wstała jednym płynnym ruchem. - Postaraj się wśród nich nie zgubić.

## Spływ

Rankiem dolina zaczęła się rozszerzać. Tratwy płynęły chyżo ku jasnej szczelinie pomiędzy dwiema górami.

W południe dotarli do niej i ich pasażerowie wyjrzeni z cienia na słoneczną równinę, sięgającą aż ku północnemu horyzontowi. A potem prąd wypchnął tratwy poza oszronione skały, otaczające świat mury zniknęły i nad głowami Eragona i jego towarzyszy otwarło się olbrzymie niebo opadające ku płaskiemu horyzontów. Niemal natychmiast zrobiło się cieplej. Az Ragni skrzyła na wschód, płynąc między pogórzem i równinami.

Wyglądało na to, że tak wielka otwarta przestrzeń budzi w krasnoludach dziwną nerwowość. Co chwila mamrotały między sobą i zerkwały tęsknie ku pozostawionej w tyle skalnej bramie.

Eragonowi natomiast słońce dodało energii. Trudno było opędzić się od senności, gdy trzy czwarte dnia spędzali w półmroku. Płynąca za jego tratwą Saphira wydźwignęła się z wody i wleciała nad równinę. Po chwili zamieniła się w maleńki punkcik na lazurowej kopule nieboskłonu.

*Co widzisz? - spytał.*

*Olbrzymie stada gazeli na północy i wschodzie, na zachodzie Pustynię Haradacką. To wszystko.*

*Nikogo innego? Urgali, łowców niewolników, nomadów?*

*Jesteśmy sami.*



Tego wieczoru Thorv wybrał na obozowisko niewielką zatoczkę. Podczas gdy Duthmer szykował obiad, Eragon oczyścił miejsce obok namiotu, dobył Zar'roca i przyjął pozycję, której nauczył go Brom, gdy fechtowali się raz pierwszy. Wiedział, że nie może dorównać elfom, i nie zamierzał zaniechać ćwiczeń przed przybyciem do Ellesmery. Niemal boleśnie powoli uniósł Zar'roca nad głowę i opuścił go oburącz, jakby chciał rozłupać hełm przeciwnika. Przez sekundę utrzymał tę pozycję. Całkowicie kontrolując każdy ruch, obrócił się w prawo, przekręcając klingę tak, by odparować niewidzialny cios, i znów zamarł ze sztywnymi rękami.

Kątem oka dostrzegł obserwujących go Aryę, Orika i Thorva. Zignorował ich, skupiając się wyłącznie na rubinowym mieczu w dłoniach. Trzymał go jak węża, który w każdej chwili mógłby wyrwać mu się z uchwytu i ugryźć w rękę.

Ponownie się obrócił i rozpoczął serię pchnięć i ciosów, przechodząc z jednego w drugie z niezwykłą płynnością i opanowaniem. Stopniowo zwiększał tempo. Oczyma umysłu nie widział już pogrążonej w cieniu zatoczki, lecz grupę rozwścieczonych urgali i Kullów. Uskakiwał i ciął, parował, ripostował, robił uniki i pchał, wirując gwałtownie. Walczył z bezrozumną energią, tak jak w Farthen Durze, nie myśląc o bezpieczeństwie własnego ciała, śmigając i powalając niewidocznych wrogów.

Obrócił właśnie Zar'roca, próbując przerzucić rękojeść z jednej dłoni do drugiej, gdy nagle upuścił go, bo ognista linia bólu przecięła mu plecy. Zachwiał się i upadł.

Nad sobą słyszał głosy Aryi i krasnoludów, widział jednak tylko konstelację migotliwych czerwonych punkcików pośród mgły, jakby na świat opadła krwawa zasłona. Nie istniało nic prócz bólu, który przeganiał myśli i rozum, czyniąc z ciała wyłącznie tępe, oszalałe zwierzę, błagające o litość.



Gdy Eragon doszedł do siebie na tyle, by się rozejrzeć, odkrył, że położono go w namiocie i ciasno opatulono kocami. U jego boku siedziała Arya, a Saphira wsuwała głowę do środka.

- Długo byłem nieprzytomny? - spytał Eragon.

*Jakiś czas, w końcu zasnęłaś. Próbowałam wyciągnąć cię z twojego ciała do mojego i osłonić przed bólem, ale niewiele mogłam poradzić, bo straciłeś świadomość.*

Eragon zamknął oczy. Bolało go całe ciało. Odetchnął głęboko i spojrzał na Aryę.

- Jak mogę przejść szkolenie? - spytał cicho. - Jak mam walczyć, posługiwać się magią? Jestem jak stłuczone naczynie. - Jego twarz wyglądała w tej chwili bardzo staro.

- Możesz siedzieć i obserwować - odparła równie cicho elfka. - Możesz słuchać. Czytać. I się uczyć.

Mimo słów Aryi w jej głosie usłyszał nutę niepewności, a nawet lęku. Przekręcił się na bok, unikając spojrzenia elfki. Wstydził się własnej bezradności.

- Jak Cię mi to zrobił?

- Nie znam odpowiedzi, Eragonie, nie jestem najmądrzejszą ani najsilniejszą z elfów. Wszyscy staramy się jak możemy i nie można cię o to winić. Może czas uleczy twą ranę. - Arya przyłożyła mu palce do skroni i wymamrotała: — Se mor'ranr ono finna. — Gdy skończyła, wyszła z namiotu.

Eragon usiadł i skrzywił się, gdy podkurczone mięśnie pleców zaprotestowały. Spojrzał na swe dłonie, nie widząc ich.

*Zastanawiam się, czy blizna Murtagha też sprawiała mu podobny ból?*

*Nie wiem* - odparła Saphira.

Zapadła śmiertelna cisza, a potem wyszeptał:

- Boję się.

*Czemu?*

*Bo - zawahał się - bo w żaden sposób nie potrafię zapobiec kolejnemu atakowi. Nie wiem, kiedy ani gdzie nastąpi, wiem jednak, że jest nieunikniony. Czekam zatem i w każdej chwili obawiam się, że jeśli podniosę coś ciężkiego albo wyciągnę rękę w złą stronę, ból powróci. Moje własne ciało jest teraz moim wrogiem.*

Saphira zamruczała w głębi gardła.

*Ja także nie znam odpowiedzi. Życie to zarówno ból, jak i rozkosz. Jeśli taka jest cena, jaką musisz zapłacić za godzinę radości, czy to zbyt wiele?*

*Tak* - warknął.

Odrzucił koc i precyzyjnie przesunął się obok niej, wychodząc do obozu. Arya i krasnoludy siedzieli wokół ogniska.

- Zostało jeszcze coś do jedzenia? - spytał Eragon.

Duthmer bez słowa napełnił miskę i podał mu ją. Thorv spojrzał na niego z szacunkiem.

- Czujesz się lepiej, Cieniobójco? - Najwyraźniej krasnoludami wstrząsnęło to wydarzenie.

- Nic mi nie jest.

- Ciężkie dźwigasz brzemię.

Eragon skrzywił się, wstał gwałtownie i pomaszerował na skraj obozowiska. Tam usiadł w ciemności. Wyczuwał w pobliżu obecność Saphiry, zostawiła go jednak w spokoju. Zaklął pod nosem i z tępą złością dziabnął łyżką gulasz Duthmera. Właśnie przetykał pierwszy kęs, gdy tuż obok odezwał się Orik.

- Nie powinienes tak ich traktować.

Eragon spojrzał ze złością na pogrążoną w cieniu twarz krasnoluda.

- Co takiego?

- Thorv i jego ludzie mają chronić ciebie i Saphirę. Jeśli trzeba, oddadzą za was życie i powierzą ci swój uświęcony pogrzeb. Powinienes o tym pamiętać.

Eragon zmełł w zębach ostrą odpowiedź i zapatrzył się w czarną powierzchnię rzeki - cały czas będącą w ruchu - próbując się uspokoić.

- Masz rację, dałem się ponieść gniewowi.

Zęby Orika błysnęły w uśmiechu.

- To lekcja, jaką musi przejść każdy dowódca. Mnie wbił ją do głowy Hrothgar, gdy cisnąłem butem w krasnoluda, który pozostawił swą halabardę w miejscu, gdzie ktoś mógł na nią nastąpić.

- Trafiłeś go?

- Złamałem mu nos. - Orik zachichotał.

Wbrew wszystkiemu Eragon także wybuchnął śmiechem.

- Zapamiętam sobie, by tego nie robić. - Ujął oburącz miskę, grzejąc o nią dłonie.

Orik sięgnął do sakwy i Eragon usłyszał brzęk metalu.

- Proszę. - Krasnolud upuścił mu na dłoń dziwnie połączone złote pierścienie. - To łamigłówka, sprawdzamy nią bystrość i zręczność naszych ludzi. Jest osiem obrączek; jeśli ułożysz je właściwie, połączą się w jeden pierścień. Odkryłem, że przydaje się, by uporządkować rozbiegane myśli.

- Dziękuję - wymamrotał Eragon, zafascynowany złożoną układanką z lśniącego metalu.

- Jeśli to ułożysz, możesz zatrzymać pierścienie.

Po powrocie do namiotu Eragon położył się na brzuchu i w słabym blasku ognia sączącym się przez uchylone wejście obejrzał uważnie pierścienie. Cztery obrączki zapętleły się z czterema kolejnymi. Każda od dołu była gładka, a od góry asymetryczna i pofalowana w miejscach łączeń z pozostałymi.

Zaczął eksperymentować z różnymi układami i wkrótce poczuł frustrację. W żaden sposób nie widział, jak ustawić dwa zestawy obrączek równoległe do siebie tak, by można je było spasować.

Całkowicie pochłonięty zagadką, zapomniał o przeżytej tego dnia grozie

\*\*\*

Eragon ocknął się przed świtem. Przetarł zaspane oczy, wyszedł z namiotu i przeciągnął się. Jego oddech pozostawiał w mroźnym powietrzu obłoczki pary. Eragon pozdrowił skinieniem głowy pełniącego wartę przy ognisku Shrrgniena, ruszył nad rzekę i przemył twarz, mrugając gwałtownie po zetknięciu z zimną wodą.

Szybką myślą zlokalizował Saphire, przypasał Zar'roca i ruszył do smoczycy, przeciskając się przez rzędy buków rosnące na brzegu Az Ragni. Wkrótce twarz i ręce miał mokre i śliskie od rosy, która osiadła na splatanych, przegradzających drogę zaroślach. Z pewnym trudem przecisnął się przez gęstwinę gałęzi i znalazł na pograżonej w ciszy równinie. Przed sobą ujrzał okrągłe wzgórze. Na jego szczycie niczym dwa pradawne posągi stały Saphira i Arya. Spoglądały na wschód, gdzie na niebie płonęła pierwsza ognista luna, zalewając równinę bursztynowym światłem.

Gdy pierwsze promienie słońca oświetliły obie postaci, Eragon przypomniał sobie, jak Saphira oglądała wschód przycupnięta na słupku łóżka kilka godzin po wykluciu. Przypominała wówczas sokoła bądź jastrzębia, jej oczy lśniły pod kościstymi grzebieniami. Wyniośle wyginała szyję a w każdym calu jej ciała była widoczna surowa siła. Była łowczynią obdarzoną dzikim pięknem kojarzącym się z tym słowem. Ostre rysy Aryi i jej wdzięk dzikiego, drapieżnego kota idealnie pasowały do smoczycy. Obie stały skąpane w pierwszych promieniach dnia.

Po plecach Eragona przebiegł dreszcz podziwu i radości. Smoczy Jeździec: oto, kim jest. Ze wszystkiego, co mogła zaoferować Alagaesia niewiarygodnym zrządzeniem losu otrzymał właśnie to. Myśl o tym cudzie sprawiła, że do oczu napłynęły mu łzy. Uśmiechnął się w szaleńczej radości, która przegnała wszystkie wątpliwości i lęki.

Wciąż uśmiechnięty, wspinał się na wzgórze i stanął obok Saphiry. Razem oglądali świt.



Arya spojrzała na niego. Eragon popatrzył elfce w oczy i coś drgnęło gwałtownie w jego wnętrzu. Zarumienił się, nie wiedząc czemu. Nagle poczuł się z nią związany; miał wrażenie, że Arya rozumie go lepiej niż ktokolwiek prócz Saphiry. Reakcja ta kompletnie go zaskoczyła, bo nigdy wcześniej nie czuł nic podobnego.



Przez resztę dnia wystarczyło, by Eragon powrócił myślami do owej chwili i uśmiechał się, znów czując dziwne emocje, których nie umiał rozpoznać. Przez większość czasu siedział wsparty plecami o ścianę chatki na tratwie, próbując rozwiązać zagadkę pierścienia Orika i oglądając zmieniające się krajobrazy.

Około południa minęli wylot doliny do Az Ragni wpadła druga rzeka i nurt rozszerzył się i przyspieszył. Brzegi oddaliły się na ponad milę. Krasnoludy z najwyższym trudem powstrzymywały tratwy przed ślepym pędem naprzód i zderzeniem z pniami drzew, od czasu do czasu przepływającymi obok.

Milę od miejsca złania się rzek Az Ragni skrzyła na północ i minęła górę, której szczyt spowijał wieniec chmur. Góra stała samotnie, oderwana od głównego łańcucha Borów, niczym olbrzymia wieża strażnicza czuwająca nad równinami.

Na jej widok krasnoludy się skłoniły.

- Oto Moldun Wyniosły, ostatnia prawdziwa góra, jaką ujrzymy podczas tej podróży - poinformował Eragon Orik.

Gdy przycumowali wieczorem, Eragon ujrzał, jak krasnolud odpakuje owinięte w tkaninę długie czarne pudło, ozdobione wzorami z macicy perłowej, rubinów i srebrnymi zawijaszami. Orik zwolnił zamek i uniósł wieko, odsłaniając pozbawiony cięciwy łuk złożony na wyściółce z czerwonego aksamitu. Wygięte ramiona łuku były hebanowoczarne i pokryte misternymi wzorami przedstawiającymi rośliny, kwiaty, zwierzęta i runy, wykutymi z najszlachetniejszego złota. Była to tak wspaniała broń, że Eragon zastanawiał się, jak ktokolwiek odważyłby się jej użyć.

Orlik nałożył cięciwę - łuk niemal dorównywał mu rozmiarami, lecz dla Eragon był niewiele większy od dziecięcej zabawki - i odłożył pudło.

- Idę poszukać świeżego mięsa - oznajmił. - Wrócę za godzinę. - To rzekłszy zniknął w zaroślach.

Thorv mruknął z dezaprobatą, ale nie próbował go powstrzymać.

- Znalazłem stadko siedzące na drzewie - oznajmił, rzucając ptaki Duthmerowi.

Gdy krasnolud sięgnął po wysadzone klejnotami pudło, Eragon nie zdołał dłużej powstrzymać ciekawości.

- Z jakiego drewna zrobiono ten łuk?

- Drewna? - Orik zaśmiał się i pokręcił głową. - Tak krótkiego łuku nie da się zrobić z drewna, jeśli chcesz posłać strzałę na dalej niż dwadzieścia jardów. Złamie się, albo po kilku strzałach całkowicie zniekształci. Nie, to łuk z rogu urgala.

Eragon przyjrzał mu się podejrzliwie, pewien, że krasnolud próbuje zeń zadrwić.

- Róg nie jest dość giętki i sprężysty, by zrobić z niego łuk.

Orik zachichotał.

- Bo trzeba wiedzieć, jak go potraktować. Z początku używaliśmy rogów feldunostów, ale te urgali nadają się równie dobrze. Róg przecina się wzdłuż na pół, potem pozbawia wierzchniej warstwy tak, by osiągnął właściwą grubość. Następnie rozkłada się go na płasko, gotuje i szlifuje piaskiem, by osiągnął odpowiedni kształt. Potem przykleja się do cisowej listwy klejem uwarzonym z rybich łusek i skóry z podniebienia pstrąga. Spód listwy pokrywamy wieloma warstwami ścięgien, nadają one bowiem sprężystość łukowi. Ostatni etap to dekoracje. Cały proces może trwać nawet dziesięć lat.

- Nigdy nie słyszałem o podobnych łukach - rzekł z podziwem Eragon. W porównaniu z tą bronią jego własny wyglądał jak ledwie ociosana gałąź. - Jak daleko strzela?

- Sam zobacz. - Orik wręczył mu łuk.

Eragon ujął go ostrożnie, bojąc się uszkodzić misterne zdobienia. Krasnolud wyciągnął z kołczana strzałę i wręczył mu. - Ale będziesz mi winien jedną strzałę.

Eragon przyłożył drzewce do cięciwy, wycelował nad Az Ragni i naciągnął łuk. Mimo że łuk wygiął się na niecałe dwie stopy, zaskoczyło go odkrycie, że ważył znacznie więcej niż jego własny. Ledwie wystarczyło mu sił, by utrzymać cięciwę. Wystrzelił i pocisk zniknął przy wtórze brzęku cięciwy, by po sekundzie pojawić się daleko nad rzeką. Eragon patrzył oszołomiony, jak strzała ląduje w rozbryzgu piany w połowie szerokości Az Ragni.

Natychmiast sięgnął przez barierę w umyśle, przywołując moc magiczną.

- Gath sem oro un lam iet - rzekł. Po kilku sekundach strzała śmignęła w powietrzu i wylądowała na jego wyciągniętej dłoni. - A oto - rzekł - strzała, którą jestem ci winien.

Orlik uderzył się pięścią w pierś i z radością zabrał łuk i strzałę.

- Cudownie! Czyli nadal pozostaną mi dwa tuziny. W przeciwnym razie musiałbym zaczekać do przybycia do Hedarth, by uzupełnić zapas.

Zręcznie zdjął cięciwę i schował łuk, owijając pudło miękkimi szmatkami

Eragon dostrzegł obserwującą ich Aryę.

- Czy elfy także używają rogowych łuków? - spytał. - Jesteś tak silna, że drewniany łuk z pewnością by pękł, gdyby odpowiadał ci wagą.

- My wyśpiewujemy nasze łuki z drzew, które już nie rosną – odparła i odeszła.

☆☆☆

Przez wiele dni płynęli spokojnie pośród łąk porośniętych wiosenną trawą. Góry Beorskie stawały się coraz mniejsze i zlewały w mglisty biały mur za ich plecami. Na brzegach często pojawiały się olbrzymie stada gazel i niewielkich, czerwonych jeleni, obserwujących ich swymi wilgotnymi oczami.

Teraz, gdy nie groziło im już spotkanie z fanghurami, Eragon niemal cały czas latał na Saphirze. Odkąd dotarli do Gil'eadu, pierwszy raz mieli okazję spędzić tak wiele czasu razem w powietrzu i w pełni z niej korzystali. Poza tym chętnie opuszczał zatłoczony pokład tratwy. Bliskość Aryi budziła w nim irracjonalny niepokój.

## *Arya Svit'kona*

Eragon i jego towarzysze podążali z nurtem Az Ragni do czasu, aż wpadła do rzeki Eddy, płynącej na nieznaną wschód. W miejscu ujścia Az Ragni odwiedzili krasnoludzką placówkę handlową Hedarth i zamienili tratwy na osły. Ze względu na swój wzrost krasnoludy nigdy nie dosiadały koni.

Arya odmówiła zaproponowanego jej wierzchowca.

- Nie wróć do kraju moich przodków na grzbiecie osła - oznajmiła.

Thorv zmarszczył brwi.

- Jak dotrzymasz nam kroku?

- Pobiegnę.

I rzeczywiście pobiegła, wyprzedzając Śnieżnego Płomienia i osły, i znikając im z oczu. Zastali ją czekającą spokojnie na następnym wzgórzu. Mimo wysiłku nie zdradzała podczas wieczornego popasu żadnych oznak zmęczenia, a między śniadaniem i kolacją nie odzywała się więcej niż paroma słowami. Z każdym krokiem sprawiała wrażenie coraz bardziej spiętej.



Z Hedarth ruszyli na północ w górę Eddy, ku jej źródłom w jeziorze Eldor.

Po trzech dniach ujrzeni przed sobą Du Veldenvarden. Z początku las przypominał mglistą linię na horyzoncie, stopniowo jednak rósł w oczach, zamieniając się w szmaragdowe morze pradawnych dębów, buków i klonów. Z grzbietu Saphiry Eragon zobaczył, że puszcza rozciąga się aż po horyzont na północy i zachodzie. Wiedział, że sięga znacznie dalej, na całą długość Alagaesii.

W jego oczach cienie zalegające pod wyniosłymi gałęziami drzew wydawały się tajemnicze i ekscytujące, a także niebezpieczne, wśród nich bowiem mieszkały elfy. Gdzieś w mrocznym sercu Du Veldenvarden leżała ukryta Ellesmera, gdzie miał ukończyć szkolenie, a także Osilon i inne miasta elfów.

Od czasu upadku Jeźdźców odwiedzało je niewielu przybyszów z zewnątrz. Dla śmiertelników puszcza była niebezpiecznym miejscem, pełnym niezwyklej magii i osobliwych stworzeń.

*Wygląda zupełnie jak inny świat — zauważył.*

Z ciemnego wnętrza lasu wzleciała para motyli, krążących wokół siebie w tańcu.

*Mam nadzieję - odparła Saphira - że między drzewami, na używanej przez elfy ścieżce wystarczy dla mnie miejsca. Nie mogę cały czas lecieć.*

*Z pewnością w czasach Jeźdźców elfy zapewniły smokom dostęp do swych miast.*

*Mhm.*

Tej nocy, gdy Eragon miał się kłaść, u jego boku pojawiła się Arya, zupełnie jakby zmaterializowała się wprost z powietrza. Zaskoczony, aż podskoczył. Nigdy nie rozumiał, jak udaje się jej poruszać tak cicho. Nim zdążył spytać, czego chce, poczuł dotyk jej umysłu.

*Chodź za mną, najciszej jak umiesz.*

Kontakt zaskoczył go równie mocno jak prośba. Podczas ucieczki do Farthen Duru wymieniali się myślami - tylko w ten sposób mógł się z nią porozumieć z powodu śpiączki, w jakiej się pogrążyła - lecz od chwili ozdrowienia nie próbował dotknąć umysłu elfki. Było to niezwykle osobiste przeżycie. Za każdym razem, gdy sięgał do świadomości innej osoby, miał wrażenie, jakby ocierała się o nią jakaś część jego nagiej duszy. Rozpoczynanie czegoś tak intymnego bez zaproszenia wydawało mu się grubiańskie i nieuprzejme, a poza tym naraziłoby na szwank zaufanie Aryi. od początku niezbyt głębokie. Poza wszystkim Eragon obawiał się, że podobna więź ujawniłaby jego nowe, skomplikowane uczucia dla elfki. Nie chciał, żeby go wydrwiła.

Podążając za nią, wymknął się z kręgu namiotów, starannie wyminął pełniącego pierwszą wartę Trihgę i w końcu znalazł się poza zasięgiem słuchu krasnoludów. Wewnątrz niego Saphira obserwowała pilni całą akcję, gotowa w razie potrzeby stanąć u jego boku.

Arya przysiadła na omszałym zwałonym pniu i nie patrząc na Eragona oplótła ciasno rękami kolana.

- Nim dotrzemy do Ceris i Ellesmery, musisz się dowiedzieć o pewnych rzeczach, abyś swoją ignorancją nie zawstydził siebie ani mnie.

- Na przykład? - Zaciekawiony, przykucnął naprzeciwko.

Zawahała się.

- Podczas lat służby jako ambasadorka Islanzadi zauważyłam wielokrotnie, że ludzie i krasnoludy niezbyt różnią się od siebie. Macie podobne wierzenia i namiętności. Wielu ludzi żyło spokojnie pośród krasnoludów, bo rozumieli ich kulturę, tak jak one rozumieją waszą. I wy i krasnoludy kochacie, pożądacie, nienawidzicie, walczyście i tworzyście w podobny sposób. Twoja przyjaźń z Orikiem i przyjęcie do Durgrimst Ingeitum mogą być tego dowodem. - Eragon zgodził się z tym, choć osobiście uważał, że również sporo ich dzieli.

- Natomiast elfy nie przypominają innych ras.

- Mówisz, jakbyś nie była jednym z nich - zauważył, powtarzając słowa z Farthen Duru.

- Żyłam wśród Vardenów dostatecznie długo, by przywyknąć do ich tradycji - odparła sucho

Arya.

- Ach, chcesz więc powiedzieć, że elfy nie odczuwają tych emocji, to krasnoludy i ludzie? Trudno mi w to uwierzyć. Wszystkie żywe istoty mają te same podstawowe potrzeby i pragnienia.

- Nie to chciałam powiedzieć! - zaprotestowała ostrym tonem.

Eragon wzdygnął się, po czym, marszcząc brwi, przyjrzał się jej uważnie niej. Taka szorstka reakcja dziwnie do niej nie pasowała. Arya zamknęła oczy, przyłożyła palce do skroni i odetchnęła głęboko.

- Ponieważ elfy żyją tak długo, uważamy grzeczność za największą z zalet - kontynuowała. - Nie można sobie pozwalać na obrażanie kogoś kto może żywić urazę przez dziesiątki, nawet setki lat. Uprzejmość to jedyny sposób zapobieżenia narastaniu podobnych pretensji. Nie zawsze się to udaje, ale ściśle trzymamy się naszych rytuałów, bo chronią nas przed popadaniem w skrajności. Elfy nie są też zbyt płodne, z całych sił zatem staramy się unikać konfliktów między sobą. Gdyby panowała u nas przestępczość tak wielka, jak wśród ludzi bądź krasnoludów, wkrótce byśmy wymarli. Istnieją właściwe słowa, którymi należy powitać strażników w Ceris, pewne zachowania i protokoły, jakich należy przestrzegać stając przed królową Islanzadi, i sto różnych sposobów witania napotkanych elfów. Zwykle najrozważniejszym wyjściem jest zachowanie milczenia.

- Przy wszystkich tych zwyczajach - zaryzykował komentarz Eragon - zdaje się, że ułatwiłście sobie obrażanie innych. Na wargach Aryi zatańczył słaby uśmiešek.

- Być może. Wiesz równie dobrze jak ja, że zostaniesz oceniony wedle najwyższych standardów. Jeśli popełnisz błąd, elfy uznają, iż uczyniłeś to celowo, a gdy odkryją, że zrodziła go ignorancja, zaszkodzi ci to jeszcze bardziej. Znacznie lepiej być uważanym za nieuprzejmego mędrca niż nieuprzejmego durnia. Inaczej ryzykujesz, że zechcą tobą manipulować niczym Wężem w rozgrywce runów. Młyny naszej polityki miały powoli i subtelnie. To, co jednego dnia robi bądź mówi elf, może stanowić jedynie drobne posunięcie w strategii, której korzenie sięgają tysiąc lat w przeszłość, i nie mieć żadnego wpływu na dalsze zachowanie owego elfa. To gra, którą gramy wszyscy, niewielu jednak nad nią panuje. Wkrótce do niej przystąpisz. Teraz być może pojmujesz, czemu mówiłam, że elfy nie przypominają innych ras. Krasnoludy także żyją długo, są jednak płodniejsze niż my i nie dzielają naszych zahamowań oraz upodobania do intryg. A ludzie... - Elfka umilkła taktownie.

- Ludzie - odparł Eragon - wykorzystują jak najlepiej mogą to, co im dano.

- Istotnie.

- Czemu nie mówisz tego wszystkiego Oriкови? On także zatrzyma się w Ellesmerze, jak i my.

W głosie Aryi zadźwięczało napięcie.

- Orik poznał już nieco naszą etykietę, a ty jako Jeździec powinieneś sprawiać wrażenie lepiej wychowanego niż on.

Eragon przyjął to upomnienie bez protestów.

- Czego muszę się nauczyć?

I tak Arya urządziła Eragonowi - i poprzez niego Saphirze - lekcję zawilosci elfiego społeczeństwa. Najpierw wyjaśniła, że gdy jeden elf spotyka drugiego, zatrzymują się i unoszą do ust dwa palce na znak, że: Podczas naszej rozmowy nie zniekształcimy prawdy. Potem następuje fraza: *Atra esterni ono thelduin*, na którą należy odpowiedzieć: *Atra du evarinya ono varda*.

- A jeśli - dodała - chcesz się zachować wyjątkowo oficjalnie, jest jeszcze trzecia odpowiedź: *Un atra mor'ram lifa unin hjarta onr*, co oznacza: I niechaj pokój zamieszka w twoim sercu. Słowa te pochodzą z błogosławieństwa udzielonego nam przez smoki, gdy zawarliśmy z nimi pakt. W całości brzmi następująco:

*Atra esterni ono thelduin  
morrar Ufa unin hjarta onr,  
un du evarinya ono varda*

Czyli:

*Niechaj sprzyja ci szczęście,  
pokój zamieszka w sercu,  
a gwiazdy cię strzegą.*

- Skąd wiadomo, kto ma przemówić pierwszy?

- Jeśli witasz kogoś o wyższej pozycji niż twoja albo chcesz uczcić podwładnego, mów pierwszy. Jeżeli witasz kogoś o niższej pozycji niż twoją, mówisz drugi. Jeżeli nie masz pewności co do swojej pozycji, daj rozmówcy szansę, by odezwał się pierwszy. Jeśli milczy, zrób to ty. Takie są zasady.

*Czy mnie także dotyczą?* - spytała Saphira.

Arya podniosła z ziemi zeschnięty liść i zgmiotła go między palcami. Za jej plecami obóz pograżył się w cieniu; krasnoludy przygasiły ogień i przysypały płomienie warstwą piasku tak, by żar przetrwał do rana.

- W naszej kulturze nikt nie stoi wyżej niż smok. Nawet królowa nie ma nad tobą władzy. Możesz robić i mówić co zechcesz. Nasze prawa nie obowiązują smoków.

Następnie pokazała Eragonowi, jak ma przekreślić prawą dłoń i położyć na mostku w osobliwym geście.

- Tak zrobisz - rzekła - gdy spotkasz się z Islanzadą. Gestem tym wskazujesz, że ofiarujesz jej swoją lojalność i posłuszeństwo.

- Czy to wiążące przyrzeczenie, jak mój hołd złożony Nasuadzie?

- Nie, tylko oznaka uprzejmości, i to drobna.

Eragon z wysiłkiem próbował zapamiętać najróżniejsze zwroty, jakich uczyła go Arya.

Elfy miały różne pozdrowienia dla mężczyzn i kobiet, dorosłych i dzieci, chłopców i dziewcząt, a także w zależności od pozycji społecznej i prestiżu, jakim cieszył się rozmówca. Lista była przerażająco długa, lecz Eragon wiedział, że musi nauczyć się jej bezbłędnie.

Gdy wchłonął tyle ile zdołał, Arya wstała i otrzepała ręce.

- Jeśli niczego nie zapomnisz, poradysz sobie. - Odwróciła się, by odejść.

- Zaczekaj. - Eragon wyciągnął rękę, by ją zatrzymać, i cofnął gwałtownie, nim dostrzegła jego zuchwałość. Elfka spojrzała przez ramię, w jej ciemnych oczach kryło się pytanie i Eragon poczuł ból w żołądku, szukając słów, którymi mógłby wyrazić swe myśli. Mimo wysiłków zdołał w końcu wykrztusić: - Dobrze się czujesz, Aryo? Odkąd opuściliśmy Hedarth, wydajesz się roztargniona i dziwnie nieswoja.

Twarz Aryi stężała w zimną maskę i Eragon skrzywił się w duchu, widząc, że wybrał niewłaściwy sposób, choć nie potrafił pojąć czemu pytanie to miałoby ją urazić.

- Gdy dotrzemy do Du Veldenvarden - oznajmiła - oczekuję, że nie będziesz się do mnie zwracał w równie poufały sposób, chyba że zechcesz mnie urazić. - Odeszła szybko.

*Biegnij za nią!*- wykrzyknęła Saphira.

*Co takiego?*

*Nie możemy sobie pozwolić, żeby była na nas zła. Idź, przeproś.*

*Nie!*. Jego duma zaprotestowała gwałtownie. *To jej wina, nie moja.*

*Idź, przeproś, Eragonie, albo napelnię ci namiot padliną.* To nie była czcza groźba.

*Jak?*

Saphira zastanawiała się przez moment, po czym powiedziała mu, co ma robić.

Nie sprzecząc się dłużej, zerwał się z miejsca i pomknął naprzód, wyprzedzając Aryę i zmuszając, by przystanąła. Spojrzała na niego wyniośle.

Szybko dotknął czubkami palców ust.

- Arya Svit'kona - rzekł, używając świeżo poznanego tytułu oznaczającego kobietę obdarzoną wielką mądrością. - Przemówiłem niezręcznie i błagam cię o wybaczenie. Wraz z Saphira troszczymy się o twoje samopoczucie. Po tym wszystkim, co dla nas zrobiłaś, uznaliśmy, że jeśli potrzebujesz pomocy, zaproponujemy ci ją bez wahania.

W końcu Arya ustąpiła.

- Doceniam waszą troskę. Ja także przemówiłam nieroztropnie. - Spuściła wzrok; mimo otaczających ich ciemności Eragon dostrzegł, że jest spięta. - Pytasz, co mnie niepokoi, Eragonie? Naprawdę chcesz wiedzieć? Zatem powiem ci. - Jej głos zabrzmiał miękko niczym ostowy puch unoszony z wiatrem.- Boję się.

Oszołomiony Eragon nie odpowiedział, a ona minęła go i pozostawiła samego w mroku nocy.

## Ceris

Rankiem czwartego dnia Shrrgnien podjechał do Eragona.

- Słyszałem, że ludzie mają dziesięć palców u nóg. Czy to prawda? przyznam bowiem, że nigdy dotąd nie zapuszczałem się poza nasze granice.

- Oczywiście, że mamy dziesięć palców - odparł Eragon. Zaskoczony, przekreślił się lekko w siodle na grzbiecie Śnieżnego Płomienia, uniósł stopę, zdjął prawy but i skarpetę, i pomachał palcami przed zdumionymi oczami Shrrgnienu. - A wy nie?

Krasnolud pokręcił głową.

- Nie, mamy siedem u każdej stopy. Takimi właśnie stworzył nas Helzvog. Pięć to za mało, sześć pechowa liczba, ale siedem... Siedem jest akurat.

Raz jeszcze zerknął na stopę Eragona, po czym pogonił osła i zaczął rozmawiać z ożywieniem z Amą i Hedinem, którzy po chwili wręczyli mu kilkanaście srebrnych monet.

*Mam wrażenie* - rzekł Eragon, naciągając z powrotem but - *że stanowiłem obiekt zakładu.*

Z jakiejś przyczyny Saphirę ta myśl niezmiernie rozbawiła.



Zapadł zmierzch i na niebie zaświecił księżyc w pełni, a Edda zbliżyła się jeszcze bardziej do granicy Du Veldenvarden. Jechali teraz wąskim szlakiem wiodącym poprzez gęszcz dereni i dzikich róż. Krzaki właśnie kwitły i w wieczornym powietrzu unosiła się słodka woń. Eragon spoglądał z niecierpliwością na mroczny las. Wiedział, że znaleźli się już w królestwie elfów i są blisko Ceris. Pochylił się w siodle, mocno trzymając wodze. Saphira, równie podniecona jak on, krążyła mu nad głową, niecierpliwie machając ogonem.

Miał wrażenie, jakby znalazł się w świecie ze snu.

*Wszystko to wydaje się nierzeczywiste.*

*O tak, tu dawne legendy wciąż stąpają po ziemi.*

W końcu dotarli na niewielką łączkę wciśniętą między las i rzekę.

- Zatrzymajcie się tutaj - poleciła cicho Arya. Wyszła naprzód, stanęła w bujnej trawie i wykrzyknęła w pradawnej mowie: - Wystąpcie, bracia moi, nie macie się czego lękać! Oto ja, Arya z Ellesmery. Moi towarzysze to przyjaciele i sojusznicy, nie żywią wobec nas złych zamiarów. - Dodała też inne słowa, których Eragon nie znał.

Przez kilkanaście minut słyszeli tylko szmer płynącej wody. Nagle spod nieruchomych liści dobiegły ich wypowiedziane po elficku słowa, tak szybko i cicho, że Eragon ich nie zrozumiał.

Arya odpowiedziała jednym krótkim „tak”.

Zaszeleściły liście i na skraju lasu pojawiły się dwa elfy. Dwa kolejne ujrzeli na konarach poskręcane go starego dębu. Te na ziemi trzymały w dłoniach długie włócznie o białych grotach, pozostałe unosiły łuki. Wszystkie miały na sobie tuniki barwy mchu i kory, a na nich zwiewne płaszcze spięte na ramieniu kościanymi broszami. Włosy jednego były czarne jak loki Aryi, pozostałe miały włosy jasne niczym światło gwiazd.

Elfy zeskoczyły z drzew i uściśniły Aryę, śmiejąc się radośnie czystymi, dźwięcznymi głosami. Chwyciły się za ręce i zaczęły tańczyć w krąg niczym dzieci, śpiewając wesoło i wirując w trawie.

Eragon patrzył na nie zdumiony. Znając Aryę, nigdy nie sądził, że elfy lubią czy nawet umieją się śmiać. Był to cudowny dźwięk, przypominający harfy i flety, przepelnione radością i zachwytem dla własnej muzyki. Chętnie słuchałby ich do końca życia.

I wtedy znad rzeki nadleciała Saphira i usiadła obok Eragona. Gdy się zjawiała, elfy krzyknęły zdenerwowane i wycelowały w nią broń. Arya przemówiła szybko, uspokajająco, wskazując najpierw Saphirę, potem Eragona. Gdy urwała, by zaczerpnąć tchu, Eragon zdjął rękawicę z białej dłoni, uniósł ją tak, by gedwey ignasia zajaśniała w promieniach księżyca, i rzekł, jak kiedyś do Aryi:

- Eka fricai un Shurtugal. - Jestem Jeźdźcem i przyjacielem. Przypomniał sobie wczorajszą lekcję, dotknął ust i dodał: - Atra esterni ono thelduin.

Elfy opuściły broń, a ich twarze o ostrych rysach rozpromieniły się. Kolejno przyłożyły palce do ust i pokłoniły się jemu i Saphirze, odpowiadając cicho w pradawnej mowie.

Następnie wstały, wskazały krasnoludy i roześmiały się, jakby coś je rozbawiło. Odwróciły się i zagłębiły w las, wołając.

- Chodźcie, chodźcie!

Eragon podążył za Aryą wraz z Saphirą i krasnoludami, mamroczącymi między sobą. Gdy znaleźli się między drzewami, nad ich głowami zawisłe zielone sklepienie, a świat pograżył się w aksamitnej ciemności, miejscami rozjaśnianej promieniami księżyca, przeświecającymi przez wyrwy w kopule liści. Eragon słyszał elfy szepczące i śmiejące się wokół, nie dostrzegał jednak żadnego. Od czasu do czasu, gdy on bądź krasnoludy schodzili z drogi, wykrzykiwały im wskazówki.

Przed nimi wśród drzew zapłonął ogień, posyłając w głąb lasu roztańczone widmowe cienie. Gdy Eragon znalazł się w kręgu światła, ujrzał trzy chatki przycupnięte razem pod wielkim dębem. Wysoko nad drzewie dostrzegł zadaszoną platformę. Siedzący tam wartownik mógł obserwować rzekę i las. Między dwiema chatkami rozciągnięto długą tyczkę, wisiały na niej pęki suszących się roślin.

Cztery elfy zniknęły w chatkach i wróciły po chwili, dźwigając naręcza owoców i warzyw - bez śladu mięsa. Szybko zaczęły szykować posiłek dla gości. Podczas pracy nucily, przechodząc płynnie z jednej melodii w drugą, gdy tylko nakazał im to kaprys. Kiedy Orik spytał o ich imiona, ciemnowłosy elf wskazał siebie.

- Jestem Lifaen z rodu Rilvenar. Moi towarzysze to Eburna, Celdin i Nari.

Eragon usiadł obok Saphiry, ciesząc się, że może odpocząć i obserwować elfy. Choć nie było wśród nich kobiet, ich twarze przypominały oblicze Aryi: delikatne usta, wąskie nosy i wielkie, skośne oczy, błyszczące pod prostymi brwiami. Reszta ciała także była harmonijnie zbudowana wąskie ramiona, smukłe ręce i nogi. Wszystkie były piękniejsze i szlachetniejsze niż jakikolwiek znany mu człowiek, choć w egzotyczny, wyrafinowany sposób.

*Kto by pomyślał, że odwiedzę kiedyś ojczyznę elfów?*

Eragon uśmiechnął się i oparł o narożnik chaty.

Ciepło ognia sprawiło, że poczuł senność. Nad jego głową lśniąca, błękitna oczy Saphiry uważnie obserwowały elfy.

*W tej rasie kryje się więcej magii - zauważyła w końcu - niż w ludziach i krasnoludach. Mam wrażenie, że nie powstali z ziemi i kamienia, lecz pochodzą z innej krainy leżącej między światami, niczym odbicia oglądane poprzez wodę.*

*Nie brak im wdzięku - zgodził się Eragon.*

Elfy poruszały się jak tancerze, każdy ich gest był gładki i płynny.

Brom wyjaśnił Eragonowi, że nieuprzejmie jest, gdy ktoś bez pozwolenia przemawia umysłem do związanego z Jeźdźcem smoka. Elfy przestrzegały tego zwyczaju, wymawiając na głos słowa adresowane do Saphiry, która następnie odpowiadała im bezpośrednio. Zwykle Saphira nie dotykała umysłów ludzi i krasnoludów, pozwalając, by Eragon powtarzał jej komentarze. Niewielu przedstawicieli owych ras przeszło szkolenie pozwalające strzec swego umysłu i zachować prywatność. Uważała też użycie podobnie intymnej formy kontaktu w zwykłych rozmowach za zbyt nachalne. Elfy nie miały jednak takich zahamowań - powitały Saphirę w swych umysłach, napawając się jej obecnością.

W końcu posiłek był gotowy. Gospodarze podali go na rzeźbionych półmiskach, przypominających w dotyku twardą kość, choć w zdobionych je wzorach w formie kwiatów i



pędów odcinały się słoje drewna. Eragon dostał też flaszkę agrestowego wina, zrobioną z tego samego niezwykłego materiału; wokół szyjki butelki owijał się rzeźbiony smok.

Podczas gdy jedli, Lifaen wyjął trzciniową fletnię i zaczął grać tęskną melodię. Jego palce przebiegały sprawnie po dziurkach. Wkrótce najwyższy, srebrzystowłosy elf Nari uniósł głowę i zaśpiewał:

*O!  
Dzień odszedł już, gwiazd jasnych kiść  
Na niebie lśni, nie szumi liść,  
Wiec z bólu drwij i z wroga kpij,  
Menoi krew bezpieczna dziś!*

*Utracił córę leśny lud,  
W zbolątych sercach zaległ chłód,  
Lecz minął strach i płomień zgasł,  
Znalazła Jeźdźca, stał się cud!*

*Smok w niebo wzięci ponad las,  
Pieśń zemsty rozbrzmi pośród nas.  
Prawicy moc wnet przegna noc.  
Bo zabić króla nastał czas!*

*O!  
Wiatr ucichł już i rzeka śpi,  
Na drzewach ptaki śnią, a my  
Wśród z bólu drwin i z wroga kpin  
Radości ogłaszamy dni!*

Gdy skończył, Eragon wypuścił ustami długo wstrzymywane powietrze. Nigdy dotąd nie słyszał podobnego głosu. Czuł się, jakby elf odsłonił przed nim swą naturę, własną duszę.

- To było piękne, Narf-vodhr.

- Zwykła prosta improwizacja, Argetlamie - odparł skromnie Nari. - Ale i tak ci dziękuję.

Thorv odchrząknął.

- Bardzo ładnie, mości elfie. Musimy jednak zająć się sprawami ważniejszymi niż recytacje.

Czy mamy dalej towarzyszyć Eragonowi?

- Nie - odparła szybko Arya, przyciągając spojrzenia pozostałych elfów. - Rankiem możecie wrócić do domu. Dopilnujemy, by Eragon dotarł do Ellesmery.

Thorv skłonił głowę.

- Wykonaliśmy zatem nasze zadanie.

☆☆☆

Leżąc na posłaniu przygotowanym przez elfy, Eragon wyteżył słuch. Z jednej z chat dobiegł go głos Aryi. Choć używała wielu nie znanych mu słów z pradawnej mowy, wywnioskował, że tłumaczyła gospodarzom, jak straciła jajo Saphiry i co działo się potem. Gdy umilkła, zapadła długa cisza. W końcu odezwał się jeden z elfów.

- Dobrze, że wróciłaś, Aryo Dróttningu. Islanzadi ogromnie cierpiała gdy cię schwytano i skradziono jajo. W dodatku uczyniły to urgale! Rozpacz raniła jej serce i wciąż rani.

- Ciszej, Edurno, ciszej - upomniał go drugi. - Dvergar są mali, mają jednak dobry słuch i z pewnością meldują o wszystkim Hrothgarowi.

Potem głosy ucichły i Eragon nie dosłyszał nic więcej, gdyż ich szmer zlał się z cichym szeptem liści. Wkrótce zasnął, a w jego snach raz po raz dźwięczała pieśń elfa.



Gdy Eragon ocknął się i ujrzał skąpany w słońcu Du Veldenvarden, w powietrzu wisiała ciężka woń kwiatów. Nad jego głową rozciągało się zielonożółte sklepienie z falujących liści, podtrzymywane potężnymi filarami pni zakorzenionych głęboko w suchej, nagiej ziemi. W wiecznym zielonym cieniu zdołały przeżyć tylko mchy, porosty i kilka niskich krzaków. Brak poszycia sprawiał, że z łatwością dawało się wnikać wzrokiem głęboko pomiędzy grube kolumny drzew i wędrować swobodnie pod szeleszczącą liściastą kopułą.

Eragon wstał szybko i odkrył, że Thorv i jego podwładni już się spakowali i są gotowi do wymarszu. Ekksvar przywiązał do swego wierzchowca osła Orika. Eragon podszedł do nich szybko.

- Dziękuję - rzekł do Thorva. - Dziękuję wam wszystkim za to, że ochranialiście mnie i Saphirę. Proszę, przekazcie wyrazy wdzięczności Undinowi.

Thorv uderzył się pięścią w pierś.

- Powtórzę twoje słowa. - Zawahał się i obejrzał, patrząc na chaty. - Elfy to dziwaczna rasa, pełna światła i mroku. Rankiem piją z tobą, wieczorem dźgają cię w plecy. Zawsze pilnuj swoich pleców, Cieniobójco. To kapryśny lud.

- Zapamiętam.

- Mhm. - Thorv skinął ręką w stronę rzeki. - Zamierzają płynąć do jeziora Eldor łodziami. Co poczniesz ze swym koniem? Możemy odprowadzić go do Tarnagu, a stamtąd do Tronjheimu.

- Łodziami?! - wykrzyknął poruszony Eragon.

Od początku zamierzał zabrać Śnieżnego Płomienia do Ellesmery. Wygodnie było dysponować koniem, gdy Saphira się oddaliła, albo w miejscach zbyt ciasnych, by zdołała się tam wcisnąć. Przesunął palcem po skąpym zaroscie wzdłuż linii szczęki.

- To bardzo szczodra oferta. Dopilnujesz, by dobrze się nim zajęto? Nie zniósłbym myśli, że mogłoby go spotkać coś złego.

- Na mój honor - przyrzekł Thorv. - Po powrocie przekonasz się, że jest silny i dobrze odkarmiony.

Eragon przyprowadził Śnieżnego Płomienia i przekazał opiece Thorva ogiera, jego siodło i zestaw do pielęgnacji. Pożegnał się kolejno ze wszystkimi wojownikami, po czym wraz z Saphirą i Orikiem odprowadzili wzrokiem krasnoludy, podążające rym samym szlakiem, którym dzień wcześniej przybyli na polanę.

Powróciwszy do chat, podążyli za elfami do zagajnika na brzegu Eddy. Tam wyciągnięte na brzeg po obu stronach głązu czekały dwie białe łodzie o burtach zdobionych rzeźbami, przedstawiającymi splecione pędy.

Eragon wsiadł do najbliższej łodzi i wsunął juki pod nogi. Zaskoczyła go jej lekkość - mógłby sam podnieść łódź jedną ręką. Jeszcze bardziej zdumiał go fakt, że, jak się zdawało, kadłuby zrobiono z płatów brzozonej kory połączonych bez śladu w jedną całość. Wiedziony ciekawością dotknął burty - kora była twarda i napięta niczym naciągnięty pergamin, i chłodna od kontaktu z wodą. Postukał w nią kłykciami - łódź zawibrowała niczym wyciszony bęben.

- Czy wszystkie wasze łodzie budujecie tak samo?

- Poza największymi - odparł Nari, zajmując miejsce na dziobie. - Te wyśpiewujemy z najlepszych cedrów i dębów.

Nim Eragon zdążył spytać, co elf ma na myśli, dołączył do niego Orik Arya i Lifaen wsiedli do drugiej łodzi. Elfka odwróciła się do stojących na brzegu Edurny i Celdina.

- Strzeżcie tej drogi, by nikt nie podążył za nami, i nie mówcie nikomu o naszej obecności. Królowa musi dowiedzieć się jako pierwsza. Gdy tylko dotrzemy do Silthrimu, przyśle wam posiłki.

- Aryo Dróttningu.

- Niechaj gwiazdy czuwają nad wami - odpowiedziała.

Nari i Lifaen pochylili się, wyciągnęli z łodzi zakończone spiczasto, długie na dziesięć stóp tyczki i zaczęli jednocześnie popychać łódki w górę rzeki. Saphira wśliznęła się do wody za nimi. Z łatwością sięgając dnia szponami, ruszyła naprzód i znalazła się równoległe do nich. Gdy Eragon na nią spojrział, mrugnęła leniwie, po czym zanurzyła się tak, że woda wezbrała, zalewając wygięty grzbiet smoczycy. Elfy roześmiały się i zasypały ją komplementami, wychwalając siłę i wielkość Saphiry.

Po godzinie dotarli do jeziora Eldon. Tafla wody falowała niespokojnie ptaki i muchy roiły się przy ścianie drzew porastającej zachodni brzeg. Wschodni wznosił się łagodnie ku równinom. Po tamtej stronie wędrowały setki saren.

Opuściwszy nurt rzeki, Nari i Lifaen schowali swe tyczki i rozdali wszystkim wiosła o piórach przypominających kształtem liście. Oriki i Arya umieli już sterować łodzią, lecz Nari musiał wyjaśnić Eragonowi cały proces.

- Skręcamy w tę stronę, z której wiosłujesz - rzekł. - Jeśli zatem ja będę wiosłował po prawej, a Oriki po lewej, ty musisz przenosić się z jednej strony na drugą, inaczej zejdziemy z kursu.

W blasku dnia włosy Nariego migotały niczym najcieńszy, filigranowy, srebrny drut. Każdy z osobna przypominał ognistą linię. Eragon wkrótce opanował nową umiejętność i jego ciało wpadło w rytm wiosłowania tak, że umysł mógł wędrować swobodnie. W ten sposób unosił się na chłodnych wodach jeziora, zagubiony w fantastycznych światach ukrytych pod powiekami. Gdy przerwał, by chwilę odpocząć, ponownie wyjął z pasa układankę Oriki i zaczął zmagać się z zapartymi złotymi obrączkami, próbując ułożyć je jak należy. Zauważył to Nari.

- Mogę zobaczyć ten pierścień?

Eragon wręczył go elfowi, który odwrócił się doń plecami. Przez kilka chwil wraz z Orikiem sami manewrowali łódką, tymczasem Nari majstrował przy splecionych obrączkach. W końcu z radosnym okrzykiem uniósł dłoń, na jego środkowym palcu zabłysnął kompletny pierścień.

- Wspaniała zagadka - rzekł, zsunął pierścień i potrząsnął nim tak, że ten powrócił do stanu poprzedniego, po czym oddał go Eragonowi.

- Jak ją rozwiązałeś? - spytał Eragon z ukłuciem zazdrości. Nie mógł wierzyć, że Nari tak szybko poradził sobie z układanką. - Zaczekaj, nie mów mi, chcę sam do tego dojść.

- Oczywiście - odparł elf z uśmiechem.

## *Rany z przeszłości*

Przez trzy i pół dnia obywatele Carvahall omawiali najnowszy atak, tragiczną śmierć młodego Elmunda i zastanawiali się, jak można rozwiązać ich po trzykroć przekłętą sytuację. Ta sama zacięta debata toczyła się we wszystkich pomieszczeniach wszystkich domów. Jedno słowo wystarczyło, by przyjaciele zwracali się przeciwko przyjaciołom, mężowie przeciwko żonom, dzieci przeciwko rodzicom, tylko po to, by w chwilę później pogodzić się i znów zacząć rozpaczliwie szukać możliwego ratunku.

Niektórzy twierdzili, że skoro Carvahall i tak czeka zagłada, równie dobrze mogą zabić Ra'zaców i pozostałych żołnierzy, by przynajmniej się na nich zemścić. Inni twierdzili, że jeśli Carvahall naprawdę czeka zagłada, logika nakazuje poddać się i zdać na łaskę króla, nawet gdyby oznaczało to tortury i śmierć dla Rorana i niewolę dla pozostałych mieszkańców. Jeszcze inni nie popierali żadnej ze stron, lecz raczej pograżyli się w najmroczniejszym gniewie skierowanym przeciwko wszystkim, którzy doprowadzili do tej katastrofy. Wielu starało się utopić swą panikę na dnie kufli.

Sami Ra'zacowie najwyraźniej uświadomili sobie, że po śmierci jedenastu żołnierzy nie dysponują już dostatecznie silnym oddziałem, by zaatakować Carvahall, toteż wycofali się dalej w głąb drogi. Następnie rozstawili strażników w dolinie Palancar i czekali.

- Jeśli chcecie znać moje zdanie, czekają na zawszone oddziały z Ceunon bądź Gil'eadu - oznajmił Loring podczas jednego ze spotkań.

Roran słuchał wszystkich uważnie, nie odzywał się i w milczeniu analizował kolejne plany. Wszystkie wydawały się niebezpiecznie ryzykowne.

Wciąż nie powiedział Sloanowi, że zaręczyli się z Katriną. Wiedział, że niemądrze jest z tym zwlekać, obawiał się jednak reakcji rzeźnika na wieść, że oboje złamali tradycję i tym samym podważyli jego władzę ojcowską.

Poza tym Roran miał dość pracy, by zapomnieć o innych sprawach. Wiedział, że wzmocnienie otaczających Carvahall fortyfikacji to w tej chwili najważniejsze zadanie.

Nakłonienie ludzi do pomocy okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Po ostatniej walce wieśniacy chętniej słuchali jego poleceń - to znaczy ci, którzy nie obwiniali go o spowodowanie całego nieszczęścia. Roran reagował zdumieniem na swój nowy, niezwykły autorytet, póki w końcu nie pojął, że stanowi on owoc podziwu, szacunku i może nawet strachu wywołanego przez śmierci, które zadał. Ludzie zaczęli nazywać go Roranem Młotorękim.

Przydomek ten nawet go ucieszył.

Gdy w dolinie zapadła noc, Roran oparł się o ścianę w kącie jadalni Horsta. Przymknął oczy. Zza skapanego w blasku świec stołu dobiegały go głosy kobiet i mężczyzn. Kiselt opisywał właśnie stan zapasów w Carvahall.

- Nie umrzemy z głodu - zakończył. - Ale jeśli wkrótce nie zajmiemy się polami i stadami, równie dobrze możemy poderżnąć sobie gardła przed nadejściem zimy. To będzie lżejsza śmierć.

Horst skrzywił się.

- Ot, psie ujadanie!

- Ujadanie czy nie - wtrąciła Gertrudę - wątpię, czy będziemy mieli okazję się przekonać.

Gdy żołnierze przybyli, przewyższaliśmy ich swą liczbą dziesięciokrotnie. Oni stracili jedenastu ludzi, my dwunastu, opiekuje się też dziewięcioma rannymi. Co się stanie, Horście, gdy będzie ich dziesięć razy więcej niż nas?

- Damy ich bardom powód, by zapamiętali nasze imiona - odparował kowal.

Gertrudę pokręciła ze smutkiem głową.

Loring walnął pięścią w stół.

- A ja twierdzę, że teraz nasza kolej, by zaatakować, nim ściągną posiłki. Potrzebujemy tylko kilku ludzi, tarcz i włóczni, i możemy zetrzeć z powierzchni ziemi tę zarazę. Można to zrobić jeszcze dziś.

Roran poruszył się niespokojnie. Słyszał już takie wypowiedzi i tak jak wcześniej, propozycja Loringa zapoczątkowała kłótnię, która podzieliła całą grupę. Po godzinie dyskusja wciąż trwała w najlepsze, nie pojawiły się też żadne nowe pomysły prócz sugestii Thane'a, by Gedric wyprawił sobie swoją własną skórę, która to sugestia o mało nie doprowadziła do bójki. W końcu, gdy głosy ucichły, Roran przykuśtykał do stołu tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to zraniona łydka.

- Chcę coś powiedzieć. - Dla niego stanowiło to odpowiednik nadeptnięcia na długi cierń i wyszarpięcia go, bez zważania na ból. Trzeba było to zrobić, i im szybciej, tym lepiej.

Wszystkie spojrzenia - wrogie, łagodne, twarde, gniewne, obojętne i ciekawe - zwróciły się ku niemu. Roran odetchnął głęboko.

- Niezdecydowanie oznacza śmierć równie pewną, jak ta od miecza czy strzały. - Orval wywrócił oczami, reszta słuchała uważnie. - Nie wiem, czy powinniśmy zaatakować, czy uciec...

- Dokąd? - parsknął Kiselt.

- ...ale wiem jedno: musimy chronić nasze dzieci, matki i chorych, Ra'zacowie odcięli nam drogę do Cawleya i na pozostałe farmy w dolinie. Co z tego? Znamy te ziemie lepiej niż ktokolwiek w Alagaesii. Jest pewne miejsce... miejsce, w którym nasi bliscy będą bezpieczni: Kościec.

Skrzywił się, słysząc chór podniesionych, oburzonych głosów. Sloan był najgłośniejszy.

- Prędeż zawiśnię, nim postawię stopę w tych przeklętych górach!

- Roranie - odezwał się Horst, uciszając pozostałych. - Ze wszystkich ludzi ty powinieneś wiedzieć najlepiej, że Kościec jest zbyt niebezpieczny. To właśnie tam Eragon znalazł kamień, który ściągnął do naszej wioski Ra'zaców. Góry są zimne, pełne wilków, niedźwiedzi i innych potworów. Czemu w ogóle o nich wspominasz?

Roran miał ochotę krzyknąć „By ochronić Katrinę!”. Zamiast tego rzekł:

- Ponieważ, nieważne ilu żołnierzy wezwą Ra'zacowie, nigdy nie ośmielą się wtargnąć w głąb Kośca. Nie po tym, jak Galbatorix stracił w nim połowę swej armii.

- To było dawno temu - wtrącił z powątpiewaniem Morn.

Roran uchwycił się tych słów.

- A z czasem opowieści stały się jeszcze bardziej przerażające. Istnieje szlak wiodący na szczyt wodospadu Iqualda. Wystarczy tylko posłać tam dzieci i pozostałych. Będą na skraju gór, ale nadal bezpieczni. Jeśli Carvahall padnie, mogą poczekać, aż żołnierze odejdą, a potem schronić się w Therinsfordzie.

- To zbyt niebezpieczne - warknął Sloan. Rzeźnik ścisnął krawędź stołu tak mocno, że koniuszki jego palców zbieleły. - Zimno, bestie... żaden rozsądny człowiek nie pośle tam swej rodziny.

- Ale... - Roran urwał.

Reakcja Sloana zbiła go z tropu. Choć wiedział, że rzeźnik nienawidzi Kośca bardziej niż reszta wieśniaków - jego żona zginęła na skałach obok wodospadu Iqualda — miał nadzieję, że szaleńcze pragnienie chronienia Katriny okaże się dość silne, by pokonać awersję Sloana. Teraz pojął, że będzie musiał przekonać rzeźnika tak jak wszystkich innych. Zmusił się zatem do ugodowego tonu.

- Tam nie jest tak źle. Śnieg na szczytach już się topi. W Koścu nie jest zimniej niż parę miesięcy temu tutaj. I wątpię, by wilki bądź niedźwiedzie niepokoiły dużą grupę.

Sloan skrzywił się, unosząc wargę, tak że odsłoniła zęby i z uporem pokręcił głową.

- W Koścu nie znajdą niczego prócz śmierci.

Pozostali zdawali się podzielać jego zdanie, co tylko wzmocniło determinację Rorana, był bowiem przekonany, że Katrina zginie, jeśli on nie zdoła ich przekonać. Przebiegł wzrokiem krąg zebranych, poszukując przyjaznej twarzy.

- Delwinie, wiem, że to zabrzmi okrutnie, ale gdyby Elmunda nie było w Carvahall, wciąż by żył. Z pewnością musisz się zgodzić, że to właściwe wyjście. Masz szansę oszczędzić twojego bólu innym rodzicom. Nikt nie odpowiedział.

- I Birgit! - Roran powlókł się ku niej, ciężko wspierając łokcie na oparciach krzesel. - Chcesz, by Nolfavrell podzielił los swego ojca? On musi odejść. Nie rozumiecie? Tylko w ten

sposób będzie bezpieczny. - Choć Roran usilnie starał się powstrzymać uczucia, do oczu napłynęły mu łzy. - Tu chodzi o dzieci! - krzyknął z gniewem.

W pokoju panowała cisza. Roran wbił wzrok w drewno pod palcami, usiłując się uspokoić.

Delwin poruszył się pierwszy.

- Nigdy nie odejdę z Carvahall, dopóki pozostaną tu zabójcy mego syna. Jednakże - zawiesił głos, po czym podjął powoli - nie mogę zaprzeczyć prawdziwości twoich słów. Dzieci należy chronić.

- Mówiłam to od początku - oznajmiła Tara.

Wówczas odezwał się Baldor.

Roran ma rację. Nie możemy dać się oslepić strachowi. Większość z nas wspięła się kiedyś na szczyt wodospadu. To bezpieczne.

- Ja też - wtrąciła w końcu Birgit - muszę się zgodzić.

Horst przytaknął.

- Wolałbym tego nie robić, ale zważywszy na okoliczności... Nie sądzę żebyśmy mieli inny wybór.

Po minucie kolejni mężczyźni i kobiety zaczęli z niechęcią popierać propozycję Rorana.

- Bzdura! - wybuchnął Sloan.

Wstał, kierując oskarżycielko palec w jego stronę.

- Skąd wezmą dość jedzenia, by przetrwać tam kilka tygodni? Nie mogą go zabrać. Jak się rozgrzeją? Jeśli rozpalą ogniska, tamci ich zobaczą. Jak, jak, jak? Jeśli nie umrą z głodu, zamarzną. Jeśli nie zamarzną, zostaną pożarci. Jeśli nie padną łupem zwierząt... Kto wie? Może spadną?

Roran rozłożył ręce.

- Jeżeli wszyscy pomożemy, to wystarczy im jedzenia. Ogień to nie problem, wystarczy nieco zagłębić się w las. Co zresztą i tak muszą zrobić bo przy wodospadzie nie ma miejsca na obóz.

- Wymówki! Usprawiedliwienia!

- Co według ciebie powinniśmy zrobić, Sloanie? - spytał Morn, przyglądając mu się ciekawie.

Rzeźnik zaśmiał się z goryczą.

- Nie to.

- Zatem co?

- Nieważne. To po prostu jest zły wybór.

- Nie musisz w nim uczestniczyć - przypomniał Horst.

- I nie zamierzam - odparł Sloan. - Jeśli chcecie, zróbcie to, ale ani ja, ani nikt z mojej krwi nie postawi nogi w Koścu, dopóki w moich kościach wciąż jest szpik. - Chwycił płaszcz i wyszedł, posyłając jadowite spojrzenie Roranowi, który skrzywił się w odpowiedzi.

W jego opinii Sloan przez swój tępy upór narażał życie Katriny. Skoro nie potrafi zrozumieć, że Kościec to najlepsze schronienie, uznał Roran stał się moim wrogiem i muszę wziąć sprawy we własne ręce.

Horst pochylił się wsparty na łokciach i splótł grube palce.

- A zatem, jeśli mamy wcielić w życie plan Rorana, jakie przygotowania należy poczynić?

Zebrani spojrzeli po sobie niespokojnie i zaczęli dyskutować na ten

Roran odczekał chwilę, upewniając się, że osiągnął swój cel, po czym wymknął się z jadalni. Okrążając wioskę, zaczął szukać Sloana pod murem z drzew. W końcu dostrzegł rzeźnika przykucniętego przy pochodni, z tarczą złożoną na kolanach. Roran obrócił się na pięcie i pobiegł do kramu Sloana. Tam pośpieszył do kuchni na tyłach.

Katrina przerwała zastawianie stołu i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Roran! Czemu tu jesteś? Powiedziałeś ojcu?

- Nie. - Ruszył naprzód i ujął jej rękę, napawając się dotykiem.

Sam pobyt z nią w jednym pomieszczeniu napełniał go radością.

- Mam do ciebie ogromną prośbę. Postanowiono odesłać dzieci i kilka innych osób do Kośca, nad wodospad Iqualda. - Katrina głośno zaczerpnęła tchu. - Chcę, żebyś im towarzyszyła.

Zszokowana dziewczyna uchyliła się z jego uścisku i odwróciła do kominka. Splotła ręce na piersi, wpatrując się w zalegający na palenisku pulsujący żar. Przez długą chwilę milczała.

- Po śmierci matki ojciec zabronił mi zbliżać się do wodospadu - rzekła w końcu. - Pozwalał mi odwiedzać tylko farmę Albema. Od dziesięciu lat nie znalazłam się bliżej Kośca. - Zadrżała. W jej głosie zabrzmiała oskarżycielska nuta. - Jak możesz proponować, bym porzuciła ciebie i mojego ojca? To mój dom, tak samo jak twój. Dlaczego miałabym odejść, skoro Elain, Tara i Birgit zostają?

- Katrino, proszę. - Nieśmiało położył dłonie na jej ramionach. - Ra'zacowie przybyli po mnie. Nie chcę, byś ucierpiała z mojego powodu. Dopóki grozi ci niebezpieczeństwo, nie mogę się skupić na tym co najważniejsze, na obronie Carvahall.

- Kto by mnie szanował po tak tchórzliwej ucieczce? - Uniosła podbródek. - Wstydziłabym się stanąć przed kobietami z Carvahall i nazwać się twoją żoną.

- Tchórzliwej? Nie ma nic tchórzliwego w strzeżeniu i chronieniu dzieci w Koścu. Wprost przeciwnie, wyprawa w góry wymaga większej odwagi niż pozostanie tutaj.

- Co to za koszmar? - szepnęła Katrina. Obróciła się w ramionach Rorana, oczy jej lśniły, a usta zaciskały się stanowczo. - Mężczyzna, który pragnie zostać moim mężem, nie chce, bym stała u jego boku.

Pokręcił głową.

- Nieprawda, ja...

- Właśnie, że prawda! A jeśli zginiesz, kiedy mnie nie będzie?

- Nie mów tak...

- Nie! Carvahall ma niewielkie szanse przetrwania, i jeśli musimy zginąć, chcę, żebyśmy umarli razem. Nie pragnę się ukrywać w Koścu, żyjąc z pustką w sercu. Niechaj ci, którzy mają dzieci, zajmą się nimi. Ja zatroszczę się o moich bliskich. - Po policzku Katriny spłynęła łza.

Roran poczuł gorącą falę wdzięczności i podziwu dla jej oddania. Spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

- Właśnie z miłości chcę, byś odeszła. Wiem, co czujesz. Wiem, że to najcięższa ofiara, jaką może złożyć któreś z nas, i proszę cię o nią.

Katrina zadrżała. Całe jej ciało zeszywniało. Białe dłonie zacisnęły się na muślinowej szarfie.

- Jeśli to zrobię - rzekła łamiącym się głosem - musisz mi przyrzec, tu i teraz, że nigdy więcej nie poprosisz mnie o coś takiego. Musisz przyznać, że nawet gdybyśmy stanęli naprzeciwko samego Galbatorixa i tylko jedno z nas mogło uciec, nie poprosisz, bym odeszła.

Roran spojrział na nią bezradnie.

- Nie mogę.

- Jak zatem możesz oczekiwać, że zrobię coś, czego ty nie potrafisz?! - krzyknęła. - To moja cena. Ani złoto, ani klejnoty, ani piękne gładkie słówka nie zastąpią tej przysięgi. Jeśli nie kochasz mnie dość mocno, by także uczynić ofiarę, Roranie Młotoreki, to odejdz, bo nigdy więcej nie chcę oglądać twej twarzy.

Nie mogę jej stracić, przemknęło mu przez głowę. Nie zważając na przejmujący ból, gorszy niż wszystko co do tej pory znosił, skłonił głowę.

- Masz moje słowo.

Katrina opadła na krzesło, wciąż sztywno wyprostowana. Otarła łzy rąbkiem rękawa.

- Ojciec znienawidzi mnie, jeśli odejdę - rzekła cicho.

- Jak mu o tym powiesz?

- Nie powiem - oznajmiła zadziornie. - Nigdy nie pozwoli mi wybrać się do Kośca. Musi jednak zrozumieć, że to moja decyzja. Zresztą nie ośmieli się ścigać mnie w góry. Boi się ich bardziej niż samej śmierci.

- Utraty ciebie może bać się jeszcze bardziej.

- Zobaczymy. Kiedy nadejdzie czas powrotu, spodziewam się, że pomówisz z nim o naszych zaręczynach. To powinno dać mu dość czasu, by pogodził się z faktami.

Roran złapał się na tym, że kiwa głową, w duchu jednak pomyślał, że będą mieli szczęście, jeśli wszystko pójdzie tak gładko.



## *I obecne rany*

Roran obudził się o świcie. Przez chwilę leżał bez ruchu, wpatrując się w białoną powałę i słuchając własnego powolnego oddechu. Po minucie przekręcił się na bok, wstał, ubrał się i pomaszerował do kuchni. Tam ukroił sobie pajdę chleba, posmarował twarogiem i wyszedł na werandę podziwiać wschód słońca.

Jego spokój zniknął wkrótce, gdy przez ogród pobliskiego domu przebiegła grupka rozbawionych dzieci, krzyczących z radości podczas zabawy w łapaj-kota. Za nimi zjawilo się kilkoro dorosłych, usiłujących schwytać swoje potomstwo. Roran patrzył, jak hałaśliwa kawalkada znika za rogiem. Wsunął do ust resztkę chleba i wrócił do kuchni, która tymczasem zapełniła się innymi domownikami.

- Dzień dobry, Roranie - powitała go Elain. Otworzyła okiennice i spojrzała w niebo. - Chyba znów zanosi się na deszcz.

- Im więcej deszczu, tym lepiej - oznajmił Horst. - Zasłoni nas podczas wspinaczki na górę Narnmor.

- Nas? - zapytał Roran.

Usiadł przy stole obok przecierającego zaspane oczy Albriecha.

Kowal przytaknął.

- Sloan miał rację co do prowiantu i zapasów. Musimy pomóc wnieść je nad wodospad, inaczej naszym rodzinom nie wystarczy jedzenia.

- Czy w Carvahall pozostanie dość mężczyzn, by obronić wieś?

- Oczywiście, oczywiście.

\*\*\*

Gdy wszyscy zjedli, Roran pomógł Baldorowi i Albriechowi zapakować część żywności ze spiżarni, koce i inne zapasy w trzy duże tłumoki. Za rzucili je sobie na ramiona i zanieśli na północny kraniec wioski, Rorana bolała łydka, ale mógł to wytrzymać. Po drodze spotkali trzech Darmmena, Larnego i Hamunda, podobnie objuczonych.

Tuż przy rowie okrążającym domy Roran i jego towarzysze natknęli się na dużą grupę dzieci, rodziców i dziadków zajętych przygotowaniami do wyprawy. Kilka rodzin zaoferowało osły, by pomóc zanieść na górę zapas i mniejsze dzieci. Zwierzęta uwiązano w długim szeregu, a ich ryk jeszcze zwiększał ogólny zamęt.

Roran położył na ziemi swój pakunek i przeczesał wzrokiem grupę. Ujrzał Svarta - niemal sześćdziesięcioletniego wuja Ivora i najstarszego mężczyznę w Carvahall - siedzącego na beli ubrań i podsuwającego do zabawy dziecku koniuszek swej długiej, siwej brody; Nolfavrella, nad którym czuwała Birgit; Feldę, Nollę, Calithę i kilka innych matek o zatroskanych twarzach oraz wielu niechętnych ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Wśród tłumu dostrzegł też Katrinę. Zerknęła na niego sponad wężła, kto rym zawiązywała worek, i uśmiechnęła się, po czym wróciła do pracy.

Ponieważ najwyraźniej nikt nie dowodził tą grupą, Roran postarał się opanować chaos, doglądając układania i pakowania najróżniejszych zapasów. Odkrył, że brakuje im bukłaków. Gdy poprosił o więcej, wkrótce dysponował trzynastoma ponad limit. Podobne opóźnienia sprawiły, że poranek upływał szybko.

Pograżony w dyskusji z Loringiem na temat tego, czy będą potrzebne dodatkowe buty, umilkł nagle na widok Sloana stojącego u wylotu uliczki Rzeźnik przebiegł wzrokiem po krzątających się ludziach. Jego zaciśnięte usta o opadających kącikach otaczały zmarszczki wywołane pogardliwą miną. Nagle na widok Katriny zmarszczki jeszcze się pogłębiły, w oczach zabłysło gniewne niedowierzanie. Dziewczyna zarzuciła worek na plecy, w ten sposób

rozstrzygając wątpliwość, że nie znalazła się tu tylko po to by pomóc. Pośrodku czoła Sloana zapulsowała żyłka.

Roran pośpieszył w stronę Katriny, lecz rzeźnik dotarł do niej pierwszy. Chwytał mocno worek i potrząsał nim gwałtownie.

- Kto, ci kazał?! - krzyknął.

Katrina powiedziała coś o dzieciach i próbowała się uwolnić, lecz Sloan szarpnął worek, wykręcając jej ręce, i gdy paski zsunęły się z ramion, cisnął go na ziemię tak mocno, że zawartość rozsypała się wokół. Wciąż krzycząc, złapał córkę za rękę i zaczął odciągać na bok. Katrina wbiła obcas w ziemię, walcząc z całych sił; jej miedzianorude włosy opadły na twarz niczym burza piaskowa.

Rozwścieczony Roran rzucił się na Sloana i wyrwał mu Katrinę, popychając rzeźnika w pierś tak, że tamten poleciał kilka kroków w tył.

- Przestań! To ja chciałem, żeby poszła.

Sloan spojrzał na niego wściekle.

- Nie masz prawa! - warknął.

- Mam wszelkie prawa. - Roran rozejrzał się po kręgu zebranych wokół gapiów i oznajmił tak głośno, by usłyszeli wszyscy: - Jesteśmy z Katriny zaręczeni i zamierzamy się pobrać. Nie życzę sobie, byś tak traktował moją przyszłą żonę.

Po raz pierwszy tego dnia wieśniacy umilkli, ucichły nawet osły.

Twarc Sloana pobladła; odbił się na niej wstrząs i głęboki, dojmujący ból, w oczach zabłyśły łzy. Przez moment Roran mu współczuł, potem jednak usta rzeźnika wykrzywiły się w grymasie nienawiści, a skóra poczerwieniała jak burak. Zaklął głośno.

- Ty dwulicowy tchórze! Jak mogłeś patrzeć mi w oczy i rozmawiać ze mną niczym uczciwy człowiek, a jednocześnie zalecać się bez pozwolenia do mojej córki? Zawsze zadawałem się z tobą w dobrej wierze, a ty za moimi plecami splądrowałeś mój dom.

- Miałem nadzieję zrobić to jak należy - odparł Roran - lecz wydarzenia sprzysięgły się przeciwko mnie. Nigdy nie pragnąłem zadać ci bólu. Choć nie ułożyło się to tak, jakbyśmy chcieli, wciąż proszę cię o błogosławieństwo, jeśli zechcesz go udzielić.

- Wolałbym mieć za syna robaczywego wieprza niż ciebie! Nie masz farmy nie masz rodziny i nie będziesz mieć nic wspólnego z moją córką! - Rzeźnik znów zaklął. - A ona nie będzie mieć nic wspólnego z Koścem!

Sloan sięgnął po Katrinę, lecz Roran zagroził mu drogę, wyraz twarzy miał równie twardy jak zaciśnięte pięści. Oddaleni od siebie zaledwie o pięćdziesiąt centymetrów, przypatrywali się sobie, dygocząc od tłumionych emocji. Otoczone czerwonymi obwódkami oczy Sloana błyszczały szaleńczo.

- Katrino, chodź tu - polecił.

Roran cofnął się tak, że ich trójka utworzyła trójkąt, i spojrzał na Katrinę. Po jej twarzy spływały łzy, wodziła wzrokiem od niego do ojca i z powrotem. Z wahaniem wystąpiła naprzód, po czym z przeciągłym, zbolałym krzykiem zaczęła szarpać włosy, niezdolna podjąć decyzji.

- Katrino! - wykrzyknął Sloan z cieniem strachu w głosie.

- Katrino - mruknął Roran.

Na dźwięk jego głosu dziewczyna powstrzymała łzy. Wyprostowała się i jej twarz przybrała spokojny wyraz.

- Przykro mi, ojcze - rzekła - ale postanowiłam posłubić Rorana. - Stała u jego boku.

Sloan zbładł jak prześcieradło. Zagryzł wargę tak mocno, że pojawiła się na niej kropla rubinowej krwi.

- Nie możesz mnie opuścić! Jesteś moją córką! - Rzucił się na nią, zakrzywiając palce.

W tym samym momencie Roran ryknął i z całej siły uderzył rzeźnika, powalając go w błoto na oczach całej wioski.

Sloan dzwignął się powoli, twarz i szyję pokrywał mu rumieniec wstydu. Gdy znów popatrzył na Katrinę, wyglądał, jakby zapadł się w sobie i zmałował. Roran miał wrażenie, że patrzy na blade widmo niegdysiejszego rzeźnika. W końcu Sloan wyszeptał:

- Zawsze tak jest, że ci, którzy są najbliżsi naszemu sercu, potrafią zadać nam największy ból. Nie dostaniesz ode mnie posagu, żmijo, ani spadku po matce. - Płacząc, odwrócił się i umknął do swego sklepu.

Katrina oparła się ciężko o Rorana, a on objął ją ramieniem. Przywarli do siebie, podczas gdy ludzie stłoczyli się wokół, pocieszając, radząc, gratulując i czyniąc im wyrzuty. Mimo poruszenia Roran nie dostrzegał niczego prócz kobiety, którą obejmował i która obejmowała jego.

W tym momencie podbiegła do nich Elain, tak szybko jak na to pozwalała jej ciąża.

- Och, moje biedactwo! - wykrzyknęła i uściśnęła Katrinę, odciągając ją od Rorana. - Naprawdę jesteście zaręczeni? - Katrina skinęła głową i uśmiechnęła się, po czym wybuchnęła histerycznym płaczem, wtulając głowę w ramię żony kowala. - Już dobrze, dobrze. - Elain zakołysała nią lekko, pogładziła głowę i próbowała uspokoić, ale bez powodzenia.

Za każdym razem, gdy Roranowi zdawało się, że Katrina dochodzi do siebie, ta zaczynała płakać jeszcze gwałtowniej. W końcu Elain spojrzała na niego nad jej trzęsącymi się ramionami i oznajmiła: - Zabieram ją do domu.

- Pójdę z wami.

- Nie, nie pójdziesz - odparła Elain. - Potrzebuje czasu, żeby się uspokoić, a ty masz co robić. Chcesz poznać moją radę? - Roran kiwnął głową. - Trzymaj się z dala od niej do wieczora. Gwarantuję ci, że do tego czasu będzie rześka jak skowronek. Jutro dołączy do pozostałych.

Nie zwlekając na odpowiedź, Elain odprowadziła zapłakaną Katrinę do kuźni, z dala od palisady ze splątanych drzew. Roran został z bezwładnie zwisającymi rękami. Czuł się oszołomiony i bezradny

- Co my zrobiliśmy?

Bardzo żałował, że wcześniej nie uprzedził Sloana o ich zaręczynach. Żałował, że nie mogli wspólnie uczynić wszystkiego, by uchronić Katrinę przed imperium. Żałował też, że Katrina musi porzucić dla niego swą jedyną rodzinę. Był teraz podwójnie za nią odpowiedzialny. Nie mieli wyboru, musieli się pobrać. Straszliwie wszystko skomplikowałem. Westchnął i zacisnął pięść, posykując cicho, gdy stłuczone kostki przesunęły się pod skórą.

- Jak się czujesz? - Baldor podszedł do niego szybkim krokiem.

Roran zmusił się do uśmiechu.

- Nie wyszło dokładnie tak, jak chciałem. Kiedy w grę wchodzi Kościec, do Sloana nie docierają żadne argumenty.

- Podobnie jak wtedy, gdy w grę wchodzi Katrina.

- Owszem... ja. - Roran umilkł, bo stanął przed nim Loring.

- To była przekłeta głupota z twojej strony! - huknął szewc, marszcząc nos. Potem wysunął podbródek i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając spróchniałe pieńki zębów. - Ale życzę wam z dziewczyną wiele szczęścia. - Pokręcił głową. - Przyda ci się szczęście, Młotoręki.

- Wszystkim nam się przyda - rzucił przechodzący obok Thane.

Loring pomachał ręką.

- Milcz, marudo. Posłuchaj, Roranie, przeżyłem w Carvahall wiele, wiele lat i moje doświadczenie mówi mi, że lepiej, iż stało się to teraz niż wczasach, gdy wszyscy gnuśniejemy w spokoju i cieple.

Baldor przytaknął, ale Roran nie zrozumiał.

- Czemu?

- Czyż to nie oczywiste? W zwykłych okolicznościach stalibyście się z Katriną obiektem plotek na następne dziewięć miesięcy. - Loring przyłożył palec do skrzydełka nosa. - Teraz jednak zbyt wiele się dzieje. Ludzie wkrótce o wszystkim zapomną i być może odnajdziecie nawet odrobinę spokoju.

Roran zmarszczył brwi.

- Wolalbym, żeby mnie obgadywano, niż to, że mam pod domem tych wszystkich bezczęścieli.

- Jak i my. Mimo to jednak masz przynajmniej za co dziękować losowi. A wszyscy potrzebujemy czegoś, za co moglibyśmy mu dziękować. Zwłaszcza gdy już weźmiemy ślub. Loring zachichotał, wskazując go ręką. - Uważaj, chłopcze, zaraz spłoną ci policzki.

Roran mruknął coś pod nosem i zajął się zbieraniem z ziemi dobytku Katriny. Co chwila jednak przerywały mu komentarze kolejnych przechodzących wieśniaków. Żaden z nich nie pomagał uspokoić skołatanych nerwów.

- Zaraza - mruknął po jednym szczególnie złośliwym.

\*\*\*

Choć niezwykła scena, która rozegrała się na oczach całej wioski, opóźniła wyprawę w głąb Kościca, późnym rankiem karawana ludzi i osłów ruszyła nagim szlakiem wyżłobionym w zboczu góry Narnmor, na szczyt wodospadu Iqualda. Była to stroma wspinaczka, toteż poruszali się powoli ze względu na dzieci i ciężar dźwiganych przez wszystkich pakunków.

Przez większość czasu Roran pomagał Calicie - żonie Thane'a - i jej piątce dzieci. Był z tego powodu zadowolony, nie obciążał bowiem zanadto zranionej łydki i mógł dokładnie przemyśleć ostatnie wydarzenia. Starcie ze Sloanem wstrząsnęło nim do głębi. Pocieszał się, że przynajmniej Katrina nie zostanie zbyt długo w Carvahall. W głębi serca bowiem Roran był przekonany, że wioska wkrótce padnie. Był to wniosek bolesny, ale oczywisty.

W trzech czwartych drogi zarządził postój i oparł się o drzewo, oddając z podziwem roztaczający się w dole widok na dolinę Palancar. Próbował odnaleźć wzrokiem obóz Ra'zaców - wiedział, że leży po lewej stronie od Anory, na drodze wiodącej na południe - ale nie dostrzegł nawet smużki dymu.

\*\*\*

Roran usłyszał ryk wodospadu Iqualda na długo przed tym, nim ujrzał go przed sobą. Kaskada przypominała jako żywo wielką, śnieżną grzywę, opadającą z poszarpanej głowy Narnmora w leżącą pół mili niżej dolinę. Ogromny strumień wody zakrzywiał się w locie w różne strony pod wpływem kolejnych powiewów wiatru.

Roran minął kamienną półkę, za którą Anora traciła kontakt z ziemią, łąkę porośniętą gęsto krzaczkami poziomek i w końcu znalazł się na wielkiej polanie z jednej strony zamkniętej przez stos gładów. Odkrył, że podążający na czele kolumny zaczęli już rozbijać obóz. W lesie dźwięczały krzyki i śmiechy dzieci.

Roran ściągnął z pleców worek, odwiązał od niego siekiere i wraz z kilkorga innymi mężczyznami zabrał się za wycinanie krzaków. Gdy skończyli zaczęli rąbać drzewa: dość, by otoczyć cały obóz. Wkrótce powietrze wypełniła woń sosnowej żywicy. Roran pracował szybko; po każdym rytmicznym uderzeniu wlatywały w powietrze oderwane od pnia drzazgi.

Gdy ukończyli fortyfikacje, obóz nabrał już kształtu: siedemnaście wełnianych namiotów, cztery niewielkie ogniska. Ludzie i osły patrzyli na to z ponurymi minami. Nikt nie chciał odchodzić i nikt nie chciał zostać.

Roran przyjrzał się gromadzie chłopców i starców ściskających w dłoniach włócznie. Zbyt wiele doświadczenia i zbyt mało, pomyślał. Dziadkowie wiedzą, jak poradzić sobie z niedźwiedziami i innymi leśnymi zwierzętami, ale czy synom wystarczy sił, by tego dokonać? Potem jednak zauważył twardy błysk w oczach kobiet i uświadomił sobie, że choć w tej chwili trzymają w objęciach dzieci albo opatrują zadrapane ręce, zawsze mają pod ręką własne tarcze i włócznie. Uśmiechnął się. Może... może wciąż pozostała nam nadzieja.

Wypatrzył siedzącego samotnie na pniu Nolfavrella, patrzącego tęsknie w stronę doliny Palancar, i dołączył do niego. Nolfavrell spojrzał na niego z powagą.

- Niedługo odchodzicie, prawda?

Roran skinął głową. Zaimponowała mu determinacja i opanowanie chłopca.

- Dołożysz wszelkich starań, żeby zabić Ra'zaców i pomścić mojego ojca, prawda? Sam bym to zrobił, ale mama twierdzi, że muszę pilnować braci i sióstr.

- Jeśli zdołam, przyniosę ci ich głowy - obiecał Roran. Podbródek chłopca zadrżał.

- To dobrze!

- Nolfavrell... - Roran zawiesił głos, szukając właściwych słów.

- Oprócz mnie jako jedyny tutaj zabiłeś człowieka. Nie oznacza to, że jesteśmy lepsi czy gorsi od pozostałych, ale wiem, że mogę ci zaufać i wiem, że jeśli zostaniecie zaatakowani, będziesz walczył. Gdy jutro zjawi się tu Katrina, będziesz ją chronił?

Pierś Nolfavrella napięła się dumnie.

- Będę jej strzegł, dokądkolwiek pójdzie. - Nagle oklapł, jakby pożałował swych słów. - To znaczy... kiedy nie będę musiał się zajmować...

Roran zrozumiał.

- Och, oczywiście, twoja rodzina jest najważniejsza. Ale może Katrina mogłaby zamieszkać w namiocie z twoimi braćmi i siostrami?

- Tak - rzekł powoli Nolfavrell. - Tak, to powinno się udać. Możesz. na mnie polegać.

- Dziękuję. - Roran klepnął go w ramię.

Mógł poprosić kogoś starszego i silniejszego, lecz dorośli byli zbyt zajęci własnymi obowiązkami by bronić Katriny. Natomiast Nolfavrell będzie miał wiele okazji, by dopilnować jej bezpieczeństwa.

Może zająć moje miejsce, dopóki nie wróci. pomyślał Roran i wstał, widząc zbliżającą się Birgit.

Kobieta popatrzyła nań nieprzychylnie.

- Chodź, już czas - rzuciła. Następnie objęła syna i pomaszerowała w stronę wodospadu.

Roran i pozostali mężczyźni z Carvahall podążyli w ślad za nią. Za ich plecami pozostawieni w niewielkim obozie oparli się o pnie i patrzyli melancholijnie przed siebie, jak przez pręty drewnianej klatki.

## *Twarz jego wroga*

Roranowi krzątającemu się przez resztę dnia przy różnych pilnych zajęciach wydawało się, że czuje w duszy pustkę, jaka zapanowała w Carvahall. Zupełnie jakby część jego istoty oderwała się i ukryła w Koścu. Po zniknięciu dzieci wioska zamieniła się w zbrojny obóz i zmiana ta odcisnęła swe piętno na wszystkich. Wokół widział jedynie poważne twarze.

Gdy słońce pogrążyło się w końcu w czekających niecierpliwie zębiskach Kośca, wdrapał się na wzgórze do domu Horsta. Zatrzymał się przed drzwiami frontowymi z ręką na klamce, niezdolny wejść do środka, Czemu przeraża mnie to równie mocno jak walka? W końcu zrezygnował z drzwi frontowych, okrążył dom i wśliznął się wprost do kuchni. Ze zgrozą odkrył, że siedzi tam Elain. Żona kowala robiła na drutach i rozmawiała z Katriną, która przysiadła naprzeciwko niej. Obie spojrzały na Rorana.

- Czy... czy dobrze się czujesz? - zapytał.

Katrina podeszła do niego.

- Nic mi nie jest. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Po prostu przeżyłam okropny wstrząs, kiedy ojciec... kiedy... - Na moment pochyliła głowę. - Elain była dla mnie cudowna. Zgodziła się użyczyć mi na noc pokoju Baldora.

- Cieszę się, że już ci lepiej. — Roran uściśnął ją, próbując jednym dotknięciem przekazać całą swą miłość i podziw.

Elain zwinęła robótkę.

- No już, słońce zaszło. Czas, żebyś się położyła, Katrino.

Roran wypuścił z wahaniem dziewczynę, która ucałowała go w policzek.

- Do zobaczenia rano.

Już miał ruszyć za nią, zatrzymał się jednak, słysząc surowy głos Elain.

- Roranie. - Wyraz jej delikatnej twarzy był twardy jak skała.

- Tak?

Elain zaczęła na skrzypienie stopni, oznaczające, że Katrina znalazła się poza zasięgiem słuchu.

- Mam nadzieję, że wszystkie obietnice, jakie złożyłeś tej dziewczynie były szczerze. Bo jeśli nie, zwołam więc i w ciągu tygodnia doprowadzę do tego, że wygnają cię z wioski.

Roran słuchał jej, oszołomiony.

- Oczywiście, że mówiłem szczerze. Kocham ją.

- Katrina zrezygnowała właśnie ze wszystkiego, co posiadała i co wiele dla niej znaczyło. Dla ciebie. - Elain patrzyła na niego nieubłaganym wzrokiem. - Widywałam mężczyzn, którzy obdarzali swym uczuciem młode panny równie lekko, jak chłop karmi ziarnem kury. Panny wdychały, płakały i wierzyły, że są dla nich kimś wyjątkowym. Lecz dla owych mężczyzn były wyłącznie przelotną zabawką. Zawsze zachowywałeś się godnie i honorowo, Roranie. Lecz ogień w lędźwiach może zamienić nawet najrozsądniejszego człeka w oszalałego głupca bądź przebiegłego, złośliwego lisa. Czy jesteś jednym z nich? Bo Katrinie nie potrzeba głupca ani oszusta. Nie trzeba jej nawet miłości. Przede wszystkim potrzebuje mężczyzny, który zapewni jej bezpieczeństwo. Jeśli ją porzucisz, będzie najbiedniejszą osobą w Carvahall, zmuszoną żyć na łasce przyjaciół, naszą pierwszą i jedyną żebraczką. Na krew w moich żyłach, nie pozwolę, by do tego doszło!

- Ja też nie! - zaprotestował Roran. - Musiałbym nie mieć serca, by zrobić coś takiego.

Elain uniosła podbródek.

- Właśnie. Nie zapominaj, że zamierzasz poślubić kobietę, która straciła zarówno posag, jak i spadek po matce. Rozumiesz, co to oznacza dla Katriny? Nie ma sreber, pościeli, obrusów, koronek, niczego potrzebnego do prowadzenia domu. Podobne przedmioty to cały nasz majątek, przechodzący z matki na córkę, odkąd nasi przodkowie osiedlili się w Alagaesii. To one wyznaczają naszą wartość. Kobieta pozbawiona spadku jest jak... jak...

- Jak mężczyzna bez farmy i zajęcia - dokończył Roran.

- Właśnie. Sloan postąpił okrutnie, odbierając Katrinie spadek. Ale teraz nic już nie można na to poradzić. Ani ty, ani ona nie macie pieniędzy ani środków do życia. A jest ono trudne nawet bez dodatkowych problemów. Będziecie musieli zacząć od zera. Czy ta wizja cię przeraża, wydaje się nieznośna? Pytam raz jeszcze i nie kłam, albo pożałujecie tego oboje do końca życia. Zaopiekujesz się nią bez wyrzutów i niechęci?

- Tak.

Elain westchnęła i napełniła dwa fajansowe kubki jabłecznikiem z dzbanka wiszącego między belkami. Jeden wręczyła Roranowi i usiadła z powrotem przy stole.

- Proponuję zatem, byś poświęcił się całkowicie odbudowie domu i majątku Katriny, żeby wraz ze swymi córkami mogła stać bez wstydu pośród innych żon z Carvahall.

Roran pociągnął łyk chłodnego jabłeczniaka.

- Jeśli przeżyjemy.

- Owszem. - Odgarnęła za ucho kosmyk jasnych włosów i pokręciła głową. - Ciężką wybrałaś drogę, Roranie.

- Musiałem dopilnować, by Katrina opuściła Carvahall.

Żona kowala uniosła brwi.

- Zatem o to chodziło. Cóż, nie będę się spierać. Ale czemu, na bogów, nie porozmawiałeś ze Sloanem wcześniej o waszych zaręczynach? Gdy Horst poprosił mojego ojca, najpierw podarował naszej rodzinie dwanaście owiec, świnie i osiem par żelaznych świeczników, nim w ogóle zapytał, czy ojciec się zgodzi. Tak właśnie powinno się to załatwiać. Z pewnością mogłeś wymyślić lepszą strategię niż bójka z przyszłym teściem.

Z ust Rorana wyrwał się przepęlniony bólem śmiech.

- Owszem, mogłem, ale przez te ataki nie potrafiłem znaleźć odpowiedniej chwili.

- Ra'zacowie nie zaatakowali nas od prawie sześciu dni.

Skrzywił się.

- Nie, ale... to było... och, sam nie wiem. - Sfrustrowany, uderzył pięścią w stół.

Elain odstawiła kubek i oplotła jego ręce swymi drobnymi dłońmi.

- Jeśli zdołasz zasypać przepaść dzielącą cię od Sloana już teraz, nim poszerzy się jeszcze w dziesiątkach pretensji i wyrzutów, twoje życie z Katriną będzie znacznie łatwiejsze. Jutro rano powinieneś iść do jego domu i błagać o przebaczenie.

- Nie będę błagał! Nie jego.

- Posłuchaj mnie, Roranie. Spokój w rodzinie jest wart miesiąc błagań, wiem to z doświadczenia. Spory niczego nie rozwiązują, sprawiają tylko, że wszyscy czują się nieszczęśliwi.

- Sloan nienawidzi Kośca, nie zechce ze mną rozmawiać.

- Musisz jednak spróbować - odparła otwarcie Elain. - Nawet jeśli odrzuci twoje przeprosiny, przynajmniej nikt nie będzie cię winić, że nie próbowałeś. Jeżeli kochasz Katrinę, przełknij dumę i zrób to co należy. Nie każ jej cierpieć za twoje błędy. - Dokończyła swój jabłeczniak, małym kapturkiem zgasła świecę i zostawiła Rorana siedzącego w ciemności.

Minęło kilkanaście minut, nim zdołał choćby drgnąć. Wyciągnął rękę przesunął ją po kredensie, aż w końcu wymacał drzwi, po czym ruszył na górę, cały czas nie odrywając palców od rzeźbionych ścian, by utrzymać równowagę. W swoim pokoju rozebrał się szybko i padł na łóżko.

Obejmując wypchaną wełną poduszkę, nasłuchiwał odgłosów rozbrzmiewających nocą w domu: skrobania i cichutkich pisków myszy na strychu, trzasków drewnianych belek stygnących w ciemności, szeptu i pieszczot wiatru na framudze okna i... i szurania stóp w korytarzu za drzwiami.

Patrzył, jak haczyk nad klamką unosi się i drzwi przesuwają powoli z cichym zgrzytem protestu. Na moment zamarły, do środka wśliznęła się ciemna postać, drzwi zamknęły się i Roran poczuł falę włosów muskającą mu twarz, a także usta jak płatki róży. Westchnął.

Katrina.



Huk grzmotu wyrwał go ze snu.

Światło zalało mu twarz, gdy usiłował odzyskać świadomość, niczym nurek rozpaczliwie zmierzający ku powierzchni. Uniósł powieki i ujrzał poszarpaną dziurę wybitą w drzwiach. Do środka wpadło sześciu żołnierzy, za nimi dwóch Ra'zaców, którzy zdawali się wypełniać pokój swą upiorną obecnością. Ktoś przycisnął mu miecz do szyi. Obok niego Katrina krzyknęła i naciągnęła na siebie kołdrę.

- Wsstawaj - polecił Ra'zac.

Roran ostrożnie podniósł się z łóżka. Serce tłukło mu się tak gwałtownie, iż miał wrażenie, że zaraz eksploduje w piersi.

- Zwiążcie mu ręce i przyprowadźcie.

Gdy żołnierz zbliżył się ze sznurem do Rorana, Katrina znów krzyknęła i skoczyła na napastników, gryząc i drapiąc jak szalona. Jej ostre paznokcie rozdzierały skórę, strużki krwi oślepiały przeklinających w głos żołnierzy. Roran opadł na kolano, chwycił z podłogi młot, po czym dźwignął się zapał mocno i z głośnym rykiem zamachnął nad głowę. Żołnierze rzucili się na niego, próbując go pokonać samą masą; bez skutku. Skoro Katrinie groziło niebezpieczeństwo, Roran był niezwyciężony. Pod jego ciosami pękały tarcze, brygantyny i kolczugi. Bezlitosna broń miażdżyła hełmy. Dwóch mężczyzn odniosło ciężkie rany, trzech padło, by nigdy już nie wstać.

Brzęk i hałas obudziły resztę gospodarstwa. Roran jak przez mgłę usłyszał dobiegające z korytarza krzyki Horsta i jego synów. Ra'zacowie zaczęli syczeć między sobą, po czym pomknęli naprzód i z nieludzką siłą chwycili Katrinę. porywając ją z podłogi i umykając na zewnątrz.

- Roranie! - krzyknęła.

Przyzywając na pomoc całą swą energię, Roran wypadł na zewnątrz, przebijając się pomiędzy dwoma pozostałymi przy życiu żołnierzami. Gdy znalazł się w korytarzu, ujrzał Ra'zaców wyłażących przez okno. Skoczył ku nim i uderzył drugiego w chwili, gdy ten miał zeskoczyć z parapetu. Ra'zac szarpnął się gwałtownie, chwycił w powietrzu przegub Rorana i zaklekotał radośnie. Cuchnący oddech stworza omiół Roranowi twarz.

- Tak, to cciebie chcemy doszstać.

Roran próbował się wyrwać, lecz Ra'zac nie ustępował. Wolną ręką zasypywał ciosami twarde niczym stal ramiona i głowę stworza. W rozpaczy i wściekłości chwycił rąbek kaptura Ra'zaca i pociągnął w tył, odsłaniając głowę.

Spojrzała na niego upiorna, umęczona, wrzeszcząca twarz. Stwór miał lśniącą czarną skórę przypominającą skrzydła żuka. Był całkiem łysy; pozbawione powiek, źrenic i tęczówek oczy dorównywały wielkością pięści Rorana i lśniły niczym kule szlifowanego hematytu. W miejscu nosa, ust i podbródka z oblicza stworza sterczał długi, haczykowaty, szpiczasty dziób, spod którego wysuwał się ostro zakończony, fioletowy język.

Roran wrzasnął i zapał się piętami o framugę, próbując uwolnić się od tej potworności. Ra'zac jednak nieubłaganie wywlekał go z domu. W dali Roran widział Katrinę, która wciąż szarpała się i krzyczała wniebogłosy.

W chwili, gdy ugięły się pod nim kolana, u jego boku stanął Horst objął go umięśnionym ramieniem.

- Niech ktoś przyniesie włócznię! - huknął kowal. Warknął głośno a na jego szyi wystąpiły żyły, gdy z całych sił przytrzymał Rorana. - Trzeba czegoś więcej niż ten demoni pomiot, by nas pokonać!

Ra'zac pociągnął po raz ostatni, a kiedy nie udało mu się porwać Rorana, przekrzywił głowę.

- Jesteś naszsz - syknął.

Z oślepiającą szybkością śmignął naprzód. Roran zawył, czując dziób zamykający się na jego prawym ramieniu i rozdzierający mięsień. W tym samym momencie jego przegub pękł z trzaskiem. Ze złowieszczym chichotem Ra'zac uwolnił go i spadł w noc.



Horst i Roran runęli razem na podłogę.

- Mają Katrinę - wyjęczał Roran, świat pociemniał mu w oczach, gdy dźwignął się z ziemi wsparty na lewej ręce, prawa zwisała bezwładnie

Z jego pokoju wyłonili się Albriech i Baldor; obaj zalani krwią, za sobą zostawili tylko trupy.

- Teraz zabiłem już ośmiu.

Roran znalazł swój młot i kuśtykając, ruszył korytarzem, natychmiast jednak zastąpiła mu drogę Elain w długiej białej koszuli.

Spojrzała na niego okrągłymi oczami, chwyciła za rękę i popchnęła na drewnianą skrzynię stojącą pod ścianą.

- Musisz iść do Gertrudę.

- Ale...

- Jeśli nie powstrzyma krwawienia, stracisz przytomność.

Spuścił wzrok. Na prawym ramieniu gwałtownie rozszerzała się szkarłatna plama.

- Musimy uratować Katrinę, nim... - Zaciśnął zęby w nagłym atak bólu. - Nim coś jej zrobią.

- On ma rację, nie możemy czekać. - Horst stanął nad nimi. - Zabandażuj go najlepiej jak potrafisz i idziemy.

Elain zaciśnęła wargi i pośpieszyła do bieliźniarki. Wróciła, niosąc kilka szmatek, którymi ciasno owinęła rozszarpane ramię Rorana i jego pęknięty przegub. Tymczasem Albriech i Baldor pozbawili żołnierzy zbroi i mieczy. Horst zadowolili się włócznią.

Elain oparła dłonie na piersi męża.

- Bądź ostrożny. - Spojrzała na synów. - Wszyscy bądźcie.

- Nic nam nie będzie, matko - przyrzekł Albriech. Elain zmusiła się do uśmiechu i ucałowała ich kolejno w policzki.

Razem wyszli z domu i pobiegli na skraj Carvahall, gdzie odkryli rozsuniętą zaporę z drzew i zabitego Byrda, który pełnił tej nocy wartę. Baldur ukląkł i uważnie obejrzał ciało.

- Został zadżgany od tyłu - rzekł zdławionym głosem.

Roran ledwo go usłyszał, tak głośno tętniła mu w uszach krew. Oszołomiony, oparł się o dom i odetchnął kilka razy.

- Hej, kto idzie? - Pozostali wartownicy zeszli ze swych stanowisk wzdłuż umocnień i zgromadzili się wokół zamordowanego ziomka. W świetle osłoniętych lamp, zniżając głos Horst opisał im atak i porwanie Katriny.

- Kto się do nas przyłączy? - spytał.

Po krótkiej dyskusji pięciu mężczyzn zgodziło się im towarzyszyć. Reszta miała pozostać, by strzec wylotu w palisadzie i obudzić resztę wioski.

Odpychając się od ściany, Roran przeszedł na czoło grupy. Razem przemykali przez pola i w głąb doliny, ku obozowisku Ra'zaców. Każdy krok sprawiał mu niewymowny ból, ale Roran nie zwracał na to uwagi. Nie liczyło się nic prócz Katriny. Raz potknął się i zachwiał, Horst podtrzymał go bez słowa.

Pół mili od Carvahall Ivor zauważył czuwającego na pagórku wartownika, co zmusiło ich do nadłożenia drogi. Kilkaset jardów dalej ujrzeli przed sobą czerwony blask pochodni. Roran uniósł zdrową rękę, nakazując im zwolnić, i zaczął się czołgać wśród wysokich traw, płosząc przy tym królika. Reszta grupki poszła w jego ślady. Wkrótce dotarł na skraj leszczynowego zagajnika, tam zatrzymał się i rozsunął ostrożnie witki, przyglądając się trzynastu pozostałym żołnierzom. Gdzie ona jest?

Żołnierze zupełnie nie przypominali dumnego oddziału, który niedawno przybył do Carvahall. Byli teraz zmęczeni, obdarci, mieli powgniatane zbroje i wyszczerbione miecze. Większość nosiła bandaże pokryte rdzawymi plamami zaschniętej krwi. Skupili się razem naprzeciwko dwóch zakapturzonych Ra'zaców. Oddzielało ich od siebie niskie ognisko. Jeden z żołnierzy krzyczał właśnie:

- ...połowę z nas wybiła banda zdegenerowanych, durnych, wiejskich szczurów, nie odróżniających piki od berdysza i nie potrafiących znaleźć czubka miecza, nawet gdy tkwi im

głęboko we flakach. A dlaczego nas pokonali? Dlatego że wy macie mniej rozumu niż mój giermek! Nawet jeśli sam Galbatorix wylizuje wam buty, mnie to nie obchodzi. Nie kiwniemy palcem, póki nie dostaniemy nowego dowódcy. - Pozostali przytaknęli. - I to człowieka.

- Czyżby? - spytał cicho jeden z Ra'zaców.

- Mamy dosyć przyjmowania rozkazów od pokurczy, które tylko klekoczą i gwizdzą jak imbryki. Brzydziecie nas! I nie wiem, co zrobiliście z Sardsonem, jeśli jednak zostanieie tu jeszcze jedną noc, naszpikujemy was stalą i przekonamy się czy krwawicie jak my. Możecie jednak zostawić dziewczynę, chętnie...

Mężczyzna nie zdołał dokończyć zdania, bo większy z Ra'zaców przeskoczył przez ognisko i wylądował mu na ramionach niczym olbrzymi kruk. Pod jego ciężarem żołnierz runął z wrzaskiem na ziemię. Próbował dobyć miecza, lecz Ra'zac dwukrotnie przebił mu szyję dziobem i mężczyzna znieruchomiał.

- Mamy walczyć z czymś takim? - wymamrotał przyuczajony obok Rorana Ivor.

Żołnierze zamarli ze zgrozy, patrząc, jak obaj Ra'zacowie zlizują krew z szyi trupa. Gdy czarne stwory wstały, zatarły kościste ręce, jakby chciały je obmyć.

- Tak, oczywiście - powiedziały. - Odejdziemy. Zostańcie, jeśli chcecie, za parę dni zjawia się possilki.

A potem Ra'zacowie odchyliłi głowy w tył i zaczęli wrzeszczeć ku niebu. zawodząc coraz piskliwiej i piskliwiej, aż w końcu ich głosy wzniosły się tak wysoko, że ludzie przestali je słyszeć.

Roran także uniósł wzrok. Z początku niczego nie zobaczył, później jednak ogarnęła go niema groza, bo wysoko nad Koścem pojawiły się dwa kanciaste cienie, przesłaniające gwiazdy. Zbliżyły się, szybko rosnąc z każdą chwilą, aż w końcu złowieszcze kształty wypełniły pół nieba. W dolinie zerwał się cuchnący wiatr niosący ze sobą siarkowe miazmaty, które sprawiły, że Roran zaczął się dławić i krztusić.

Żołnierze także się rozkaszleli. Klnąc głośno, przycisnęli do nosów rękawy i chustki.

Nad nimi cienie zatrzymały się i zaczęły opadać, pogrążając obóz w złowrogim mroku. Słabe płomyki pochodni zamigotały, jakby za moment miały zgasnąć. Nadal jednak dawały dość światła, by ludzie mogli ujrzeć dwie bestie opadające między namioty.

Ciała miały nagie i bezwłose jak mysie noworodki. Żyłaste piersi i blachy pokrywała napięta, szara skóra. Sylwetkami przypominały zagłodzone psy, tyle że ich tylne nogi były wystarczająco umięśnione, by zmiażdżyć głaz. Z tyłu wydłużonych głów wyrastały niskie grzebienie naprzeciwko długich, prostych, hebanowoczarnych dziobów, przeznaczonych do przebijania ofiar, i zimnych, wylupiastych oczu identycznych jak oczy Ra'zaców. Z ich ramion i pleców wyrastały olbrzymie skrzydła, chłoszczące z impetem powietrze.

Żołnierze padli na ziemię, kuląc się i zakrywając ze zgrozą twarze. Ze stworów promieniowała upiorna, obca inteligencja. Najwyraźniej należały do rasy znacznie starszej i potężniejszej niż ludzie. Rorana ogarnął nagły strach, że sobie z nimi nie poradzi. Za jego plecami Horst zaczął szeptać do ludzi, nalegając, by zostali na miejscu, w ukryciu, inaczej wszyscy zginą.

Ra'zacowie skłonili się przed bestiami, po czym wśliznęli się do namiotu i powrócili, dźwigając związaną linami Katrinę i prowadząc Sloana. Rzeźnik szedł z własnej woli. Roran patrzył na nich, oszołomiony. Nie mógł pojąć, jakim cudem stwory pojmały Sloana. Jego dom stoi daleko od domu Horsta, myślał gorączkowo i nagle zrozumiał.

- On nas zdradził - rzekł Roran, sam tym faktem zdziwiony. Powoli zacisnął palce na trzonku młota, gdy dotarła do niego w pełni groza sytuacji. - Zabił Byrda i zdradził nas! - Po policzkach spłynęły mu łzy wściekłości.

- Roranie - mruknął Horst, przykucając obok niego - nie możemy teraz zaatakować, wyrzną nas wszystkich. Roranie... słyszysz mnie?

Słyszał, owszem, ale jak przez mgłę. Patrzył, jak mniejszy z Ra'zaców wskakuje na grzbiet jednego z potworów i chwytą rzuconą mu przez drugiego Katrinę. Teraz Sloan sprawiał wrażenie przerażonego; zaczął klócić się z Ra'zakiem, kręcąc z uporem głową i wskazując na ziemię. W końcu Ra'zac uderzył go w usta i powalił. Zarzucił sobie rzeźnika na ramię i dosiadł drugiej bestii.

- Wrócimy, gdy będzie bezzpiecznie. Jeśli zzzabijecie chłopaka, zzzapłacicie zżyciem.

A potem ich wierzchowce ugięły potężne uda i wystartowały w niebo, ponownie zasnuwając cieniem morze gwiazd.

Roranowi nie pozostało żadne słowo ani uczucie. Był całkowicie zdruzgotany. Mógł już tylko zabić żołnierzy. Wstał i uniósł młot, szykując się do ataku. Gdy jednak wystąpił naprzód, krew zatętniła mu jednocześnie w głowie i w zranionym ramieniu, ziemia zniknęła w rozbłysku światła i stracił świadomość.

## *Strzała w serce*

Odkąd opuścili posterunek w Ceris, kolejne dni przypominały jeden długi mglisty sen - ciepłe popołudnia, wiosłowanie na jeziorze Eldor, a potem na rzece Gaenaie. Wokół nich bulgotała woda płynąca tunelem pośród ciemnozielonych sosen, zagłębiającym się jeszcze dalej w puszcze Du Veldenvarden. Eragona zachwycała podróż z elfami. Nari i Lifaen cały czas się uśmiechali, śmiali głośno i śpiewali pieśni, zwłaszcza w obecności Saphiry. Gdy towarzyszyła im smoczyca, rzadko patrzyli na cokolwiek poza nią i poruszali jakikolwiek inny temat.

Jednakże, bez względu na podobieństwa w wyglądzie, elfy nie były ludźmi. Poruszały się za szybko, zbyt płynnie, jak na zwykłe istoty z krwi i kości. A gdy się odzywały, często stosowały skomplikowane przenośnie i aforyzmy, w których Eragon natychmiast się gubił. Pomiedzy napadami wesołości Lifaen i Nari potrafili milczeć całymi godzinami, obserwując otoczenie w spokojnym niemym zachwycie. Jeśli Eragon bądź Orlik próbowali odezwać się do nich podczas owej kontemplacji, otrzymywali w odpowiedzi najwyżej parę słów.

Dopiero to porównanie sprawiło, że Eragon docenił, jak otwarta i bezpośrednia jest Arya. W istocie miał wrażenie, że elfka czuje się niezręcznie w obecności Lifaena i Nariego, jakby nie była do końca pewna jak się zachowywać wśród swoich pobratymców.

Siedzący na dziobie Lifaen obejrzał się przez ramię.

- Powiedz mi, Eragonie-finiarelu, o czym w tych mrocznych czasach śpiewacie wy, ludzie? Pamiętam poematy i pieśni, jakie słyszałem w Ilirei, sagi o waszych dumnych królach i możnowładcach. Było to jednak bardzo dawno temu i te wspomnienia zwiędły w mej głowie niczym jesienne kwiaty. Jakież nowe dzieła stworzyli ludzie?

Eragon zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie tytuły recytowanych przez Broma historii. Gdy Lifaen je usłyszał, ze smutkiem pokręcił głową.

- Tak wiele zostało stracone. Nie przetrwały ballady dworskie i, jeśli mówisz prawdę, podobnie większość waszej historii i sztuki poza fantastycznymi bajkami, które Galbatorix pozwolił zachować.

- Brom opowiedział nam kiedyś o upadku Jeźdźców - rzekł obronnym tonem Eragon.

Pod powiekami ujrzał przesłany przez polującą Saphirę obraz saren przeskakujących nad spróchniałymi pniami.

- To był dzielny człowiek. - Przez minutę Lifaen wiosłował w milczeniu. - My także śpiewamy o upadku... lecz rzadko. Większość z nas żyła, gdy Vrael runął w otchłań, i wciąż oplakujemy nasz spalone miasta - czerwone lilie Evayeny, kryształ Luthiviry i zamordowane rodziny. Czas nie stępi ostrza bólu, nie leczy owych ran. Będziemy cierpieć tak samo nawet wtedy, gdy minie tysiąc tysięcy lat i słońce zgaśnie, pozostawiając świat zawieszony w wiecznej nocy.

Siedzący z tyłu Orlik odchrząknął.

- Podobnie ma się rzecz u krasnoludów. Pamiętaj, elfie, przez Galbatorixa straciliśmy cały klan.

- A my naszego króla, Evandara.

- Nigdy o tym nie słyszałem - wtrącił zaskoczony Eragon.

Lifaen przytaknął, okrążając podwodną skałę.

- Niewielu słyszało. Brom mógł ci o tym opowiedzieć. Był tam, gdy zadano śmiertelny cios. Przed śmiercią Vraela elfy stawiły czoło Galbatorixowi na równinach Ilirei, po raz ostatni próbując go pokonać. Tam właśnie Evandar...

- Gdzie jest Ilirea? - spytał szybko Eragon.

- To Uru'baen, chłopcze - wyjaśnił Orlik. - Kiedyś miasto elfów.

Nie zrażony Lifaen podjął opowieść.

- Tak jak mówisz, Ilirea była jednym z naszych miast. Opuściliśmy ją podczas wojny ze smokami. Wiele wieków później, po wygnaniu króla Palancera, ludzie założyli tam swoją stolicę.

- Króla Palancara? - powtórzył Eragon. - Kto to był? Czy właśnie jego imieniem nazwano dolinę Palancar?

Tym razem elf odwrócił się i spojrzął na niego z rozbawieniem.

- Masz tyle pytań, ile drzewo liści, Argetlamie.

- Brom też tak uważał.

Lifaen uśmiechnął się. Przez chwile milczał, jakby zbierał myśli.

- Gdy twoi przodkowie przybyli do Alagaesii setki lat temu, przeczesywali ją w poszukiwaniu miejsca do życia. W końcu osiedli w dolinie Palancar, choć wówczas nie nosiła takiej nazwy, była bowiem jednym z nielicznych nadających się do obrony miejsc nie zajętych przez nas ani krasnoludy. Tam właśnie wasz król Palancar zaczął budować potężne państwo. Próbując poszerzyć swe granice, wypowiedział nam wojnę, choć go nie sprowokowaliśmy. Trzy razy atakował i trzykroć zwyciężaliśmy. Nasza siła wzbudziła przerażenie możnowładców Palancara. Błagali swego władcę o pokój. On jednak odrzucił ich rady. Wówczas panowie zwrócili się do nas z traktatem, który podpisaliśmy bez wiedzy ich króla. Dzięki naszej pomocy Palancara strącono z tronu i wygnano, jednak wraz z rodziną i wasalami odmówił opuszczenia doliny. Ponieważ nie chcieliśmy ich zabijać, wzniesiliśmy wieżę Ristvak'baen, by Jeźdźcy mogli obserwować Palancara i dopilnować, żeby nigdy już nie zdobył władzy i nie zaatakował nikogo w Alagaesii. Wkrótce Palancar zginął z ręki syna nie chcącego czekać na naturalną kolej rzeczy. Od tego czasu polityka rodzinna składała się głównie z zabójstw, zdrad i innych zbrodni i ród Palancara stał się cieniem dawnej świetności. Jednakże jego potomkowie nigdy nie odeszli. Krew królów wciąż krąży w żyłach mieszkańców Therinsfordu i Carvahall.

- Rozumiem - mruknął Eragon. Lifaen uniósł ciemną brew.

- Naprawdę? To znacznie ważniejsze, niż mógłbyś sądzić. Właśnie to wydarzenie przekonało Anurina, poprzednika Vraela i przywódcę Jeźdźców, by pozwolił ludziom do nich dołączyć. Miało to zapobiec podobnym sporom w przyszłości.

Orik zaśmiał się.

- To musiało wywołać wiele dyskusji.

- Nie była to zbyt popularna decyzja - przyznał Lifaen. - Nawet teraz niektórzy powątpiewają w jej mądrość. Doprowadziła do tak gwałtownego sporu pomiędzy Anurinem i królową Dellanir, że Anurin odrzucił naszą władzę i osiadł z Jeźdźcami we Yroengardzie, zachowując niezależność.

- Skoro jednak Jeźdźcy byli oddzieleni od rządu, jak mogli utrzymywać pokój? - spytał Eragon.

- Nie mogli - wyjaśnił Lifaen. - Dopóki królowa Dellanir nie dostrzegła mądrości w uniezależnieniu Jeźdźców od wszystkich władców i królów i nie przywróciła im dostępu do Du Veldenvarden. Do końca jednak nie podobała jej się myśl, że czyjaś władza mogła podważać jej własną.

Eragon zmarszczył brwi.

- Czy, nie o to właśnie chodziło?

- Tak... I nie. - Jeźdźcy mieli strzec Alagaesii przed błędami różnych rządów i ras, ale kto miał pilnować strażników? Właśnie ten problem doprowadził do upadku. Nie było nikogo, kto mógł wytknąć niedoskonałości własnego systemu Jeźdźców, nikt bowiem nad nimi nie czuwał. I tak zginęli.

Eragon zanurzył wiosło z jednej, potem z drugiej strony, rozważając słowa Lifaena. Zadrzało mu w dłoni, przecinając ukośnie nurt.

- Kto został królem bądź królową po Dellanir?

- Evandar. Objął węzłasty tron pięćset lat temu, gdy Dellanir abdykowała, by móc w spokoju studiować tajemnice magii, i dzierżył go aż do śmierci. Teraz rządzi nami Islanzadi, jego małżonka.

- To... - Eragon urwał z otwartymi ustami.

Zamierzał powiedzieć „niemożliwe”, nagle jednak uświadomił sobie, jak śmiesznie zabrzmiałoby to słowo. Zamiast tego rzekł:

- Czy elfy są nieśmiertelne?

- Kiedyś byliśmy tacy jak wy - odparł Lifaen. - Promienne ulotne istoty, nietrwałe niczym rosa. Teraz nasze życie ciągnie się bez końca przez niezliczone suche lata. O tak, jesteśmy nieśmiertelni, choć wciąż ulegamy ranom ciała.

- Staliście się nieśmiertelni? Jak?

Elf odmówił rozwinięcia tematu, choć Eragon wypytywał go o szczegóły. W końcu chłopak spytał:

- Ile lat ma Arya?

Lifaen zwrócił ku niemu błyszczące oczy, badając Eragona wzrokiem.

- Arya? Czemu cię to interesuje?

- Ja... - Eragon urwał, nagle niepewny własnych zamiarów.

Arya dziwnie go pociągała, wszystko jednak komplikował fakt, że była elfką, jak również jej wiek, z pewnością znacznie przewyższający wiek Eragona.

*Musi uważać mnie za dziecko.*

- Nie wiem - rzekł w końcu szczerze. - Ale ocaliła życie moje i Saphiry, i chciałbym dowiedzieć się o niej czegoś.

- Wstyd mi - Lifaen starannie wymówił każde słowo - że zadałem takie pytanie. Wśród naszego ludu nieuprzejmością jest wtrącać się w czyjeś sprawy. Muszę jednak dodać i wierzę, że Orik zgodzi się ze mną, iż powinieneś dobrze strzec swego serca, Argetlamie. Teraz nie czas, by je tracić a i okazja nie najlepsza.

- Owszem - mruknął Orik.

Eragona zalała fala gorąca, krew napłynęła mu do twarzy niczym parzący roztopiony lód. Nim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, w jego umyśle odezwała się Saphira.

*Natomiast to właśnie czas, by strzec swojego języka. Mają dobre zamiary nie obrażaj ich.*

Odetchnął głęboko, próbując uwolnić się z okowów wstydu.

*Zgadzasz się z nimi?*

*Wierzę, Eragonie, że przepelnia cię miłość i szukasz kogoś, kto odwzajemniłyby twe uczucia.*

*To nie powód do wstydu.*

Przez chwilę rozważał jej słowa.

*Wrócisz niedługo?*

*Właśnie lecę.*

Nagle przypomniał sobie o swoich towarzyszach i odkrył, że elf i krasnolud obserwują go uważnie.

- Rozumiem twoją troskę i nadal chciałbym poznać odpowiedź na pytanie.

Lifaen zawahał się przez moment.

- Arya jest dość młoda. Urodziła się na rok przed zniszczeniem Jeźdźców; Sto lat!

Choć Eragon oczekiwał takiej liczby, to jednak przeżył wstrząs ukrył go pod obojętną maską, myśląc gorączkowo. Mogłaby mieć prawnuki starsze ode mnie. Przez kilka minut zastanawiał się nad tym W końcu odezwał się, próbując oderwać myśli od tego tematu.

- Wspomniałeś, że ludzie odkryli Alagaesię osiemset lat temu, ale Brom twierdził, że przybyliśmy tu trzy stulecia po powstaniu Jeźdźców tysiące lat temu.

- Dwa tysiące siedemset cztery lata, wedle naszej rachuby - wtrącił Orik. - Brom miał rację. Jeśli za „przybycie” ludzi do Alagaesii uznasz jeden statek z dwudziestoma wojownikami. Wylądowali na południu tam gdzie teraz mieści się Surda. Spotkaliśmy się, kiedy badali okolice i wymieniliśmy podarki. Potem jednak odплыnęli i przez niemal dwa tysiąclecia nie oglądaliśmy innego człowieka. Wówczas to w Alagaesii zjawił się wraz z całą flotą król Palancar. Do tego czasu ludzie całkowicie o nas zapomnieli. Powtarzali jedynie mroczne bajki o włochatych ludziach gór porywających nocą dzieci. Też mi!

- Wiesz, skąd przybył Palancar? - spytał Eragon.

Orik zmarszczył brwi i przygryzł koniuszek wąsa. W końcu pokręcił głową

- Nasze historie mówią jedynie, że jego ojczyzna leżała daleko na południu, poza Beorami. A opuścił ją z powodu wojny i głodu.

Eragonowi nagle przyszła do głowy fascynująca myśl.

- Zatem gdzieś jeszcze mogą istnieć kraje, które być może pomogłyby nam w walce z Galbatorixem!

- Możliwe - przyznał krasnolud. - Trudno jednak będzie je znaleźć, nawet z grzbietu smoka. I wątpię, by porozumiewali się tym samym językiem. Poza tym, czemu mieliby nam pomóc? Vardeni nie mają zbyt wiele do zaproponowania innemu krajowi, i pozostaje jeszcze kwestia dotarcia na pole bitwy. Przemarsz armii z Farthen Duru do Uru'baenu jest już dostatecznie trudny, co dopiero mówić o sprowadzeniu wojsk z odległości setek, jeśli nie tysięcy mil.

- Zresztą i tak nie moglibyśmy pozwolić ci tam lecieć - dodał Lifaen.

- Mimo wszystko jednak... - Eragon urwał, bo nad rzeką pojawiła się Saphira otoczona chmarą rozwścieczonych wróbli i kosów, usiłujących odegnać smoczycę od swych gniazd. Jednocześnie armie ukrytych w gałęziach drzew wiewiórek powitały ją chóralnymi piskami i świergotami.

Lifaen rozpromienił się.

- Czyż nie jest wspaniała? Spójrzcie, jak światło odbija się w jej łuskach. Żaden skarb na świecie nie może się z tym równać.

Podobne okrzyki dobiegły ich z drugiej łodzi, od Nariego.

- To jest nie do zniesienia - mruknął pod nosem Orik.

Eragon ukrył uśmiech, choć zgadzał się z krasnoludem. Elfom nigdy nie nudziło się wychwalanie Saphiry.

*Parę komplementów jeszcze nikomu nie zaszkodziło* - odezwała się smoczyca.

Wylądowała w olbrzymim rozbryzgu i zanurzyła głowę, umykając przed nurkującym wróblem.

*Oczywiście, że nie.*

Spojrzała na niego spod wody.

*Czy to sarkazm?*

Zachichotał i nie odpowiedział. Zerknął w stronę drugiej łodzi, obserwując wiosłującą Arye. Plecy miała idealnie wyprostowane, twarz nieprzeniknioną, gdy przepływała przez rozedrganą płataninę światła i cieni pod omszałymi drzewami. Wyglądała tak mrocznie i poważnie, że nagle zapragnął ją pocieszyć.

- Lifaenie - spytał cicho, tak żeby Orik go nie usłyszał. - Czemu Arya jest taka... nieszczęśliwa? Ty i...

Ramiona elfa zeszywniały pod rdzawą tuniką. Po chwili odpowiedział szeptem tak cichym, by usłyszał go jedynie Eragon.

- Jesteśmy zaszczytzeni, mogąc służyć Aryi Dróttningu. Wycierpiała dla naszego ludu więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Świętujemy, radując się tym, co osiągnęła z Saphirą, i płaczemy w snach, wspominając jej ofiarę i stratę. Smutki Aryi należą tylko do niej i nie mogą ujawnić ich bez pozwolenia.

☆☆☆

Wieczorem, gdy Eragon siedział przy ognisku, gładząc dłonią kępę mchu, który w dotyku przypominał królicze futro, usłyszał nagle poruszenie w głębi lasu. Wymieniając spojrzenia z Saphirą i Orikiem, zaczął skradać się w stronę tych odgłosów, dobywając Zar'roca.

Zatrzymał się na brzegu niewielkiego jaru. Spojrzał na drugą stronę, gdzie białozór ze złamanym skrzydłem szamotał się w kępie śnieguliczek. Na jego widok drapieżny ptak zamarł, po czym otworzył dziób i zaskrzeczał przesywającym głosem,

*Co za straszny los, nigdy już nie móc latać* - zauważyła Saphira.

Wkrótce zjawiała się Arya. Przez chwilę przyglądała się białozorowi, potem naciągnęła cięciwę, wycelowała i trafiła go idealnie w pierś. Z początku Eragon sądził, że uczyniła to dla mięsa, elfka jednak nawet nie próbowała podnieść ptaka ani strzały.

- Czemu? - spytał.

Arya z kamienną twarzą zdjęła cięciwę.

- Był zbyt ciężko ranny, żebym zdołała go wyleczyć. Umarłby dziś w nocy lub jutro. Taka jest natura rzeczy. Oszczędziłam mu godzin cierpienia.

Saphira opuściła głowę i dotknęła ramienia Aryi długim pyskiem, po czym wróciła do obozu, trącając po drodze ogonem drzewa i zeskrobując z nich płaty kory. Gdy Eragon ruszył w ślad za nią, poczuł, jak Orik szarpie go za rękaw, i pochylił się ku niemu.

- Nigdy nie proś elfa o pomoc. Może uznać, że lepsza będzie dla ciebie śmierć. Co ty na to?



## *Inwokacja Dagshelgr*

Choć Eragon wciąż czuł zmęczenie po poprzednim dniu, zmusił się do wstania przed świtem, chcąc przyłapać śpiące elfy. Stało się to dla niego pewnego rodzaju grą - próbował odkryć, kiedy elfy wstają i czy w ogóle śpią. Jak dotąd nie widział żadnego z zamkniętymi oczami. Ten dzień nic stanowił wyjątku.

- Dzień dobry - pozdrowili go z góry Nari i Lifaen.

Eragon wyciągnął szyję i przekonał się, że obaj stoją na gałęziach sosny, ponad pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Przeskakując z kocim wdziękiem z gałęzi na gałąź, elfy zeskoczyły do niego.

- Pełniliśmy wartę - wyjaśnił Lifaen.

- Po co?

Arya wynurzyła się zza drzewa. - Na moją prośbę. Du Veldenvarden kryje w sobie wiele tajemnic i niebezpieczeństw, zwłaszcza dla Jeźdźca. Żyjemy tu tysiące lat, stare zaklęcia wciąż zalegają w najmniej oczekiwanych miejscach. Magia przenika powietrze, wodę i ziemię. Zdarzało się, że wywierała wpływ na zwierzęta. W lesie można znaleźć bardzo dziwne istoty, nie zawsze przyjazne.

- Czy one... - Eragon urwał, poczuł mrowienie gedwey ignasii.

Naszyjnik w kształcie srebrnego młota podarowany przez Gannela rozgrzał tak gwałtownie. Chłopak poczuł, jak czerpie z niego siłę.

Ktoś próbował go postrzegać.

*Czy to Galbatorix?* - zastanawiał się, przerażony.

Chwycił naszyjnik i wyciągnął go zza tuniki, gotów zerwać łańcuszek, gdyby zaudał go osłabił. Saphira popędziła ku Eragonowi z drugiej strony obozu, wspomagając go własnymi zasobami energii.

W chwilę później atak minął i Eragon poczuł na skórze chłód metalu. Podrzucił wisior na dłoni i z powrotem ukrył pod ubraniem.

*Nasi wrogowie nas szukają* - oznajmiła Saphira.

*Wrogowie? To nie mógł być ktoś z Du Vrangr Gata?*

*Myślę, że Hrothgar z pewnością poinformował Nasuadę o tym, że rozkazał Ganellowi podarować ci ten naszyjnik... Może nawet to był właśnie jej pomysł.*

Arya zmarszczyła brwi, słysząc wyjaśnienia Eragona.

- Jeśli tak, to szybkie przybycie do Ellesmery staje się jeszcze ważniejsze. Musisz natychmiast podjąć trening. Wydarzenia w Alagaesii nabierają tempa i lękam się, że zabraknie ci czasu na naukę.

Eragon chciał jeszcze o tym pomówić, lecz krzątająca, jaka zapanowała w likwidowanym obozie, odebrała mu tę sposobność. Szybko załadowali łodzie, zgasił ogień i znów ruszyli w górę Geny.

Byli na wodzie ponad godzinę, gdy Eragon dostrzegł, że rzeka staje się szersza i głębsza. W kilka minut później ujrzeli przed sobą wodospad, który napelniał Du Veldenvarden miarowym łoskotem. Katarakta miała około stu stóp wysokości. Woda spływała ku nim z kamiennej ściany, stercząca u góry półka uniemożliwiała wspinaczkę.

- Jak zdołamy się przeprowadzić? - spytał, czując na twarzy zimny wodny pył.

Lifaen wskazał lewy brzeg. W pewnej odległości od wodospadu biegła ścieżka, wyłobiona w stromym zboczu.

- Musimy przenieść nasze łodzie i zapasy przez pół staj, potem rzeka znów płynie spokojnie.

W piątkę rozwiązała pakunki wciśnięte między siedzenia łódek i podzielili ich zawartość na stosy, które ukryli we własnych workach. Eragon sapnął, dźwigając swój - był dwukrotnie cięższy niż ten, który zwykle niósł, wędrując pieszo.

*Mogłabym zanieść to w górę rzeki, nie tylko twoje rzeczy, ale wszystkie* - zaproponowała Saphira, wypełzając na błotnisty brzeg i otrząsając się z wody.

Gdy Eragon powtórzył jej słowa, Lifaen wzdrygnął się ze zgrozą.

- Nigdy nie śniłoby się nam, by potraktować smoka jak juczne zwierzę. To by cię zhańbiło, Saphiro, podobnie Eragona Shur'tugala, i przyniosło wstyd naszej gościnności.

Saphira parsknęła, z jej nozdrzy wytrysnął pióropusz ognia, posyłając w powietrze potężny obłok pary.

*Co za bzdury.*

Sięgając obok Eragona pokrytą łuskami łapą, zaczepiła pazurami o paski worka i przeniosła go nad ich głowami.

*Złapcie mnie, jeśli potraficie!*

Ciszę rozdarł srebrzysty czysty śmiech przypominający trele drozda.

Zdumiony Eragon odwrócił głowę i zobaczył Aryę. Po raz pierwszy słyszał, jak się śmieje, i dźwięk ten wzbudził w nim zachwyt. Uśmiechnęła się do Lifaena.

- Musisz jeszcze wiele się nauczyć, jeśli uważasz, że możesz mówić smokowi, co mu wolno, a czego nie.

- Ale hańba...

- To nie hańba, jeśli Saphira czyni to z własnej woli. A teraz chodźmy, nim stracimy więcej czasu.

Z nadzieją, że wysięk nie wywoła ataku bólu pleców, Eragon wraz z Lifaenem dźwignął łódź i oparł ją na ramieniu. Musiał całkowicie polegać na elfie, który prowadził ich obu ścieżką; sam Eragon widział tylko ziemię pod swymi stopami.

W godzinę później dotarli na szczyt skalnego grzbietu i powędrowali dalej, pozostawiając w tyle niebezpieczne wzburzone wody, do miejsca w którym Gaena znów stawała się spokojna i gładka jak szkło. Saphira czekała już tam na nich. Była pochłonięta chwytaniem ryb na płyciźnie, zanurzony swą trójkątną głowę w wodzie.

Arya ją przywołała.

- Za następnym zakrętem leży jezioro Ardwen - powiedziała do Saphiry i Eragona - a na jego wschodnim brzegu Silthrim, jedno z naszych największych miast. Dalej rozciąga się szeroka połać lasu dzieląca nas od Ellesmery. Wokół Silthrimu spotkamy wiele elfów, nie chcę jednak, by was widziano, dopóki nie porozmawiamy z królową Islanzadi.

*Czemu?* - spytała Saphira, niczym echo odbijając myśli Eragona.

- Wasza obecność - wyjaśniła swym melodyjnym głosem Arya - to zwiastun ogromnej i straszliwej zmiany czekającej nasze królestwo. Podobne zmiany są niebezpieczne, jeśli nikt nad nimi nie panuje. Królowa musi was spotkać jako pierwsza. Tylko ona jest dość mądra i potężna, by doglądać owej zmiany

- Masz o niej wysokie mniemanie - zauważył Eragon.

Słyszac te słowa, Nari i Lifaen zatrzymali się, obserwując czujnie Aryę. Twarz elfki znieruchomiała, a jej głowa była dumnie uniesiona.

- Dobrze nam przewodziła. Eragonie, wiem że masz w swoim worku płaszcz z kapturem zabrany z Tronjheimu. Póki nie znajdziemy się z dala od możliwych obserwatorów, czy zechcesz nałożyć go i naciągnąć, tak by nikt nie dostrzegł twoich okrągłych uszu i nie zorientował się, że jesteś człowiekiem?

Eragon kiwnął głową.

- A ty, Saphiro musisz ukrywać się za dnia i doganiać nas nocami. Ajihad mówił mi, że tak właśnie czyniłaś w imperium.

*I nienawidziłam każdej chwili* - warknęła smoczyca.

- Tylko dwa dni, dzisiaj i jutro. Potem znajdziemy się dość daleko od Silthrimu, by nie musieć martwić się możliwością spotkania z kimś ważnym - obiecała Arya.

Saphira zwróciła lazurowe oczy ku Eragonowi.

*Gdy uciekliśmy z imperium, przysięgam, że zawsze będę dość blisko, by cię chronić. Za każdym razem, gdy się oddaliłam, działo się coś złego: Yazuac, Daret, Dras-Leona, łowcy niewolników.*

*Nie w Teirmie.*

*Wiesz, co mam na myśli! A teraz z jeszcze większą niechęcią myślę o rozstaniu. Nie możesz sam się bronić ze względu na okaleczone plecy.*

*Wierzę, że Arya i pozostali mnie obronią. A ty nie?*

Saphira zawahała się.

*Ufam Aryi.*

Odwróciła się, podeszła do brzegu rzeki, przez chwilę siedziała bez ruchu, po czym wróciła.

*No dobrze.*

Przekazała swą zgodę Aryi, dodając:

*Ale nie zamierzam czekać dłużej niż do jutrzejszego wieczoru, nawet jeśli będziecie wtedy w samym centrum Silthrimu.*

- Rozumiem - odparła Arya. - I nawet po zmroku musisz lecieć bardzo ostrożnie, bo elfy widzą wyraźnie w niemal całkowitej ciemności. Jeśli cię dostrzegą, mogą zaatakować magią.

*Cudownie* -skomentowała Saphira.

Podczas gdy Orik i elfy rozmieszczali bagaże w łodziach, Eragon z Saphira zwiedzali pogrążony w półmroku las, szukając stosownej kryjówki. W końcu zadowolili się suchą dolinką otoczoną pierścieniem zwietrzałych skał i zasłaną sosnowymi szpilkami, tworzącymi miękki kobierzec. Saphira zwinęła się w kłębek na ziemi i skinęła głową.

*Idź już.. Nic mi nie będzie.*

Eragon uścisnął jej szyję - starannie unikając ostrych kolców - a potem odszedł niechętnie, oglądając się za siebie. Nad rzeką, nim ruszyli w dalszą drogę, naciągnął płaszcz z kapturem.

Gdy ujrzeli przed sobą jezioro Ardwen, nie wiał nawet najśłabszy wiaterek i olbrzymia tafla wody była gładka i lśniąca. Niczym w zwierciadle, odbijały się w niej drzewa i chmury. Złudzenie było tak doskonałe, że Eragonowi zdawało się, iż spogląda przez okno na inny świat. Miał wrażenie, że jeśli będą płynąć dalej, łódzie runą w nieskończoną otchłań odbitego nieba. Zadrzał na tę myśl.

W zasnutą lekką mgiełką dali liczne łódzie z białej brzozy kory śmigwały niczym nartniki wzdłuż obu brzegów, rozpędzane do niewiarygodnej szybkości siłą rąk elfów. Eragon pochylił głowę i mocniej naciągnął kaptur, by ukryć twarz.

Im bardziej oddalali się od siebie z Saphirą, tym bardziej słabła łącząca ich myślowa więź, aż w końcu pozostała tylko cieniutka nić. Wieczorem w ogóle nie czuł obecności smoczyca, nawet gdy wyteżał swój umysł do ostatecznych granic. Nagle Du Veldenvarden wydał mu się znacznie bardziej samotny i pusty.

Gdy mrok zgęstniał, jakąś milę przed nimi rozbłysło skupisko białych świateł rozwieszonych na różnych wysokościach wśród drzew. Lśniły one srebrzystym blaskiem księżyca w pełni, niesamowite i tajemnicze w ciemnościach.

- Oto Silthrim - oznajmił Lifaen.

Tuż obok przepłynęła z cichym pluśnięciem ciemna łódź, zdążająca w przeciwnym kierunku. Sterujący elf mruknął cicho:

- Kvetha Fricai.

Arya podprowadziła swoją łódź do Eragona.

- Zatrzymamy się tu na noc.

Obóz rozbili w pewnej odległości od jeziora Ardwen, w miejscu gdzie ziemia była dość sucha, by dało się na niej spać. Zaciekle ataki rojów komarów zmusiły Aryę do rzucenia zaklęcia ochronnego, żeby we względnym komforcie mogli zjeść kolację.

Potem cała piątka usiadła wokół ogniska, wpatrując się w złociste płomienie.

Eragon oparł głowę o drzewo, obserwując przecinający niebo meteor. Powieki ciążyły mu i już miały opaść, gdy z otaczających Silthrim lasów napłynął ku niemu kobiecy głos, słaby szmer muskający zaledwie wewnątrz jego ucha, niczym ptasi puch. Eragon zmarszczył brwi i wyprostował się, próbując uchwycić ów ulotny szept.

Niczym smużka dymu, gęstniejąca w miarę jak ogień nabiera życia, głos stawał się mocniejszy, aż w końcu cały las zaczął wzdychać i nucić kuszącą złożoną melodię, wznoszącą się i opadającą w szybkim rytmie. Kolejne głosy dołączyły do owej nieziemskiej pieśni, rozwijając pierwotny temat w setki wariacji. Powietrze jakby migotało do wtóru burzy dźwięków. Owa magiczna melodia wzbudziła u Eragona dreszcze spływające po plecach, zaćmiła mu zmysły, wabiąc w aksamitny mrok. Uwiedziony cudownym zaśpiewem, zerwał się z miejsca, gotów

popędzić przez las aż do źródła owych głosów, gotów tańczyć wśród drzew po mchu i dołączyć do elfich zabaw. Nim jednak zdążył się poruszyć, Arya chwyciła go za rękę i obróciła szarpnięciem tak, że znalazł się naprzeciwko niej.

- Eragonie! Oczyść umysł! - Bezskutecznie próbował wyrwać się z jej uścisku. - Eyddr eyreya onr! Opróżnij uszy!

I wtedy wszystko umilkło, zupełnie jakby ogłuchł. Przestał walczyć i rozejrzał się, pragnąc zrozumieć, co się właśnie stało. Po drugiej stronie ogniska Lifaen i Nari szamotali się bezdźwięcznie z Orikiem.

Eragon patrzył na poruszające się usta Aryi - a potem z trzaskiem dźwięk powrócił, nie słyszał już jednak muzyki.

- Co się...? - spytał oszołomiony.

- Puszczajcie mnie! - warknął Oriki.

Lifaen i Nari unieśli ręce i się cofnęli.

- Wybacz nam, Oriki-vodhr - rzekł Lifaen.

Arya zerknęła w stronę Silthrimu.

- Pomyliłam się w obliczeniach. Nie chciałam znaleźć się w pobliżu miasta podczas Dagshelgr. Nasze saturnalia, nasze zabawy, są dla śmiertelników niebezpieczne. Śpiewamy w pradawnej mowie, a słowa układają się w zaklęcia namiętności i tęsknoty, którym nawet nam trudno jest stawić czoło.

Nari poruszył się niespokojnie.

- Powinniśmy być teraz w gaju.

- Powinniśmy - zgodziła się Arya - ale musimy wypełnić nasz obowiązek i poczekać.

Wstrząśnięty Eragon siadł bliżej ognia, żałując, że nie ma przy nim Saphiry. Z pewnością ochroniłaby mu umysł przed wpływem muzyki.

- O co chodzi z tym Dagshelgr? - spytał.

Arya dołączyła do niego i usiadła, krzyżując swe długie nogi.

- Chodzi o to, by zapewnić lasowi zdrowie i płodność. Każdej wiosny śpiewamy drzewom, roślinom i zwierzętom. Bez nas Du Veldenvarden byłby o połowę mniejszy.

Jakby dla podkreślenia jej słów, ptaki, jelenie, wiewiórki szare i rude, pasiaste borsuki, lisy, króliki, wilki, żaby, ropuchy, żółwie i wszystkie inne zwierzęta w pobliżu zaczęły pędzić szaleńczo naprzód do wtóru kakofonii jęków i krzyków.

- Szukają partnerów - wyjaśniła Arya. - W całym Du Veldenvarden, w każdym z naszych miast elfy śpiewają tę pieśń. Im więcej ich bierze w tym udział, tym silniejsze zaklęcie i tym większy tego lata będzie Du Veldenvarden.

Eragon gwałtownie cofnął rękę przed przechodzącą obok trójką jeży. W całym lesie rozlegała się owa pieśń. Znalazłem się w krainie czarów, pomyślał, splatając ręce na piersi.

Oriki okrążył ognisko i podniósł głos.

- Na moją brodę i topór, nie życzę sobie, by wbrew mej woli ktoś próbował ovladnąć mną za pomocy magii. Jeśli znów do tego dojdzie, Aryo, przysięgam na kamienny pas Helzvoga, że wrócę do Farthen Duru, a na ciebie spadnie gniew Duirgrimst Ingeitum.

- Nie chciałam, abyście trafili na Dagshelgr - odparła elfka. - Przepraszam za mój błąd. Choć chronię was przed tym zaklęciem, nie możesz uciec przed magią. W Du Veldenvarden przepełnia ona wszystko.

- Zgoda, byle tylko nie mamiała mego umysłu. - Oriki pokręcił głową i poglądził trzonek topora, przyglądając się mrocznym istotom przyczajonym w ciemności poza kręgiem światła.

☆☆☆

Tej nocy żadne z nich nie spało. Eragonowi i Orikowi nie dawał zasnąć nieznośny hałas, czyniony przez wpadające między namioty zwierzęta, elfy zaś nasłuchiwały pieśni. Lifaen i Nari krążyli bez końca po obozie, Arya spoglądała tęsknym wzrokiem ku Silthrimowi. Jasna skóra napinała się na jej kościach policzkowych.

Po czterech godzinach zamętu opadła ku nim z nieba Saphira. W jej oczach lśniło dziwne światło. Zadrżała i wyprostowała nogi, dysząc przez rozchylone szczęki.

*Ten las - powiedziała. - On żyje. I ja żyję. Moja krew płonie jak nigdy dotąd. Płonie tak jak twoja, gdy myślisz o Aryi. Ja... rozumiem.*

Eragon położył dłonie na jej ramieniu, czując wstrząsające smoczycą dreszcze. Jej boki wibrowały, gdy mruzczała do wtóru muzyki. Wbiła w ziemię ostre szpony, mięśnie napięły się i zacisnęły w potwornym wysiłku zachowania bezruchu. Koniuszek ogona skręcał się, jakby zaraz miała rzucić się do ataku.

Arya wstała i dołączyła do Eragona po drugiej stronie Saphiry. Elfka także położyła dłoń na jej ramieniu. Cała trójka stała zapatrzona w ciemność, połączona w jeden żywy łańcuch.



Gdy nastał świt, pierwszą rzeczą, jaką Eragon zauważył, były kępki jasnozielonych młodych szpilek na końcach gałęzi wszystkich drzew. Pochylił się i obejrzał zdeptaną śnieguliczkę. Tej nocy każda roślina, duża i mała, gwałtownie urosła. Las wibrował żywymi kolorami, wszystko było soczyste, świeże, młode. Powietrze pachniało, jakby dopiero co spadł deszcz.

Stojąca obok Saphira otrząsnęła się.

*Gorączka minęła - oznajmiła. Znów jestem sobą. Ale to co czułam... Zupełnie jakby świat urodził się na nowo, a ja pomagałam go tworzyć ogniem w moich członkach.*

*Jak się czujesz? No wiesz, w środku?*

*Potrzebuję czasu, by zrozumieć to co przeżyłam.*

Ponieważ muzyka ucichła, Arya zdjęła zaklęcia z Eragona i Orika.

- Lifaenie, Nari - poleciała - udajcie się do Silthrimu i sprowadźcie dla nas konie. Nie możemy iść stąd pieszo do Ellesmery. Powiadomcie także kapitan Damitę, że posterunek w Ceris wymaga wzmocnienia.

Nari skłonił się.

- A co rzec, gdy zapyta, czemu go opuściliśmy?

- Powiedzcie, że jej niegdysiejsze nadzieje i lęki spełniły się. Gad ukąsił własny ogon. Zrozumie.

Po opróżnieniu łodzi z zapasów oba elfy wyruszyły do Silthrimu. W trzy godziny później Eragon usłyszał trzask łamanej gałązki. Uniósł wzrok i ujrzał, jak wracają przez las na pysznych białych ogierach. Za sobą prowadzili cztery identyczne konie. Wspaniałe wierzchowce poruszały się między drzewami z niesamowitą gracją. Ich sierść odbijała migotliwy blask szmaragdowego zmierzchu. Żaden nie miał uzdy ani siodła.

- Blóthr, blóthr - wymamrotał Lifaen i jego wierzchowiec się zatrzymał.

- Czy wszystkie wasze konie są równie szlachetnej krwi? - spytał Eragon.

Podszedł do jednego, oszołomiony jego urodą. Konie elfów zaledwie o kilka piędzi przewyższały kuce. To ułatwiało kluczenie pomiędzy rosnącymi ciasno pniami. Wyraźnie nie bały się Saphiry.

- Nie wszystkie. - Nari zaśmiał się, odrzucając w tył srebrne włosy. - Hodujemy je od stuleci.

- Jak mam na nim jechać?

- Koń elfów reaguje natychmiast na polecenia w pradawnej mowie - odpowiedziała mu Arya. - Powiedz mu dokąd chcesz iść, a zabierze cię tam. Nie karć go nigdy uderzeniem ani ostrym słowem, nie jest bowiem naszym niewolnikiem, lecz przyjacielem. Poniesie cię tak długo jak zechce. Jazda na nim to wielki przywilej. Zdołałam ocalić jajo Saphiry przed Durzą tylko dlatego, że nasze konie wyczuły, że coś jest nie tak, i nie pozwoliły nam wjechać w zasadzkę... Nie dadzą ci

spaść, jeśli sam nie rzucisz się na ziemię, i potrafią znaleźć najbezpieczniejszy, najszybszy szlak przez zdradziecki teren. W tym są podobne do krasnoludzkich feldunostów.

- Zgadza się - zagrział Orik. - Feldúnost może wnieść cię na szczyt urwiska i z powrotem bez jednego siniaka. Ale jak zdołamy zabrać prowiant i inne zapasy bez siodeł? Nie będę jechał konno z workiem na plecach.

Lifaen cisnął do jego stóp naręcze skórzanych juków i wskazał szóstego wierzchowca.

Spakowanie zapasów w juki i ułożenie ich stosu na końskim grzbiecie zajęło im pół godziny.

Potem Nari powtórzył Eragonowi i Orikowi słowa służące do kierowania koniem:

- Ganga fram znaczy „naprzód”, blóthr „stój”, hlaupa „biegnij”, a ganga apr „zawracaj”.

Jeżeli znacie pradawną mowę, możecie wydawać dokładniejsze polecenia. - Podprowadził Eragona do konia. - To jest Folkvir. Wyciągnij rękę.

Eragon posłuchał. Ogier parsknął i obwąchał jego dłoń, po czym dotknął jej pyskiem i pozwolił, by Eragon pogładził go po szyi.

- Dobrze - rzekł z zadowoleniem Nari i powtórzył cały rytuał z Orikiem przy następnym koniu.

Gdy Eragon dosiadł Folkvira, Saphira podeszła bliżej. Spojrzał na nią, dostrzegając, że wciąż wygląda na poruszoną wydarzeniami zeszłej nocy.

*Jeszcze jeden dzień - rzekł.*

*Eragonie... Gdy byłam pod działaniem zaklęcia elfów, pomyślałam o czymś, co zawsze uważałam za drobnostkę, a co teraz zawisło mi nad głową niczym masyw mrocznej grozy. Każda istota, od najczystszych po najstraszniejsze potwory, ma swego partnera. Ja nie. Zadrżała i zamknęła oczy. W tym sensie jestem sama.*

Jej słowa przypomniały Eragonowi, że Saphira ma zaledwie nieco ponad osiem miesięcy. Zwykle nie dostrzegało się jej młodości, sprawiały to odziedziczone instynkty i wspomnienia, lecz w tej dziedzinie była jeszcze mniej doświadczona niż on sam, z jego mizernymi próbami romansów w Carvahall i Tronjheimie. W sercu Eragona wezbrało współczucie, stłumił je jednak, nim zdołało przeniknąć przez myślowe łącze. Saphira zareagowałaby wyłącznie pogardą. Współczucie nie mogło rozwiązać jej problemu ani sprawić, by poczuła się lepiej.

*Galbatorix wciąż ma dwa smocza jaja. Podczas pierwszej audiencji u Hrothgara wspominałaś, że chciałabyś je uratować. Gdyby się udało...*

Saphira parsknęła z goryczą.

*To mogłoby potrwać całe lata, a nawet gdybyśmy wykradli jaja, nie ma gwarancji, że coś się z nich wylegnie - ani że będą to samce, ani że będziemy do siebie pasować. Los skazał moją rasę na wymarcie.*

Sfrustrowana, machnęła ogonem, łamiąc młode drzewko. Wydawała się niebezpiecznie bliska łez.

*Co mam rzec?- spytał, poruszony. Nie możesz się poddawać. Wciąż masz szanse znalezienia partnera. Nawet jeśli z wykradzionymi przez Galbatorixa jajami się nie uda, gdzieś w świecie muszą istnieć smoki, tak jak ludzie, elfy i urgale. Gdy tylko wypełnimy swoje obowiązki, pomożę ci ich szukać. Zgoda?*

*Zgoda.*

Pociągnęła nosem. Odchyliła głowę i wydmuchnęła z nozdrzy chmurę białego dymu, który rozpląnął się wśród gałęzi.

*Nie powinnam dawać się ponosić emocjom.*

*Bzdura. Nie jesteś z kamienia. Musisz czuć takie rzeczy, ale obiecaj, że nie będziesz o nich rozmyślać, gdy się rozstaniemy.*

Spojrzała na niego olbrzymim szafirowym okiem.

*Nie będę.*

Eragona ogarnęła fala ciepła, gdy poczuł wdzięczność smoczycy za słowa pociechy i otuchy. Pochylił się na grzbiecie Folkvira, przyłożył dłonie do jej szorstkiego policzka i przytrzymał chwilę.

*Jedź już, mój mały - mruknęła. Zobaczymy się później.*

Niechętnie zostawiał ją w takim stanie. Z wahaniem wjechał do lasu, kierując się na zachód, w stronę serca Du Veldenvarden. Po godzinie rozmyślań nad problemem Saphiry wspomniął o nim Aryi.

Czoło elfki zmarszczyło się lekko.

- To jedna z największych zbrodni Galbatorixa. Nie wiem, czy istnieje rozwiązanie, ale musimy mieć nadzieję. Musimy.

## Miasto sosen

Eragon tak długo przebywał w Du Veldenvarden, że zaczął tęsknić za polanami, polami, nawet górami - wszystkim poza niezliczonymi pniami drzew i skąpym poszyciem. Loty z Saphirą także nie przynosiły ulgi, widział bowiem pod sobą wyłącznie wzgórze najeżone zielonymi drzewami, znikające w dali niczym szmaragdowe morze. Często gałęzie nad ich głowami były tak gęste, że nie można było poznać, z której strony wschodzi, a z której zachodzi słońce. W połączeniu z monotonnym otoczeniem fakt ten sprawił, że Eragon czuł się beznadziejnie zagubiony. Nieważne ile razy Arya bądź Lifaen wskazywali mu właściwe kierunki, wiedział, że gdyby nie elfy, mógłby błąkać się po puszczy do końca życia i nigdy się z niej nie wydostać.

Gdy padał deszcz, powąła chmur i leśne sklepienie pogrążyły ich w nieprzeniknionej ciemności. Zupełnie jakby znaleźli się głęboko pod ziemią. Spadająca z nieba woda zbierała się na czarnych sosnowych szpilkach na szczytach drzew, po czym ściekała sto stóp lub więcej w dół na ich głowy, niczym tysiące maleńkich wodospadów. W takich momentach Arya przywoływała lśniąca kulę zielonego magicznego ognia, która unosiła się nad jej prawą dłoń - jedyne źródło światła w olbrzymim lesie. Zatrzymywali się i kulili pod drzewem, czekając, aż burza przejdzie. Jednakże nawet w kilka godzin później woda uwieczona pośród tysięcy gałęzi przy najlżejszym poruszeniu drzew siała im na głowy.

W miarę, jak zagłębiali się w serce Du Veldenvarden, drzewa stawały się coraz grubsze i wyższe, rosły też coraz rzadziej, bo ich gałęzie rozpościerały się szeroko. Pnie - nagie, brązowe kolumny pnące się ku wyniosłemu, sklepieniemu dachowi, niewyraźnemu wśród cieni - miały ponad dwieście stóp wysokości, więcej niż jakiegokolwiek drzewo w Koścucu bądź Beorach. Eragon zmierzył obwód jednego z tych drzew i doliczył się siedemdziesięciu stóp.

Gdy wspomniał o tym Aryi, elfka pokiwała głową.

- To oznacza, że jesteśmy już blisko Ellesmery. - Wyciągnęła rękę i jej dłoń spoczęła na węzlastym korzeniu obok.

Wyglądało to, jakby z czułością dotykała ramienia przyjaciela bądź kochanka.

- Te drzewa to jedne z najstarszych istot żywych w Alagaesii. Elfki pokochały je, gdy pierwszy raz ujrzeliśmy Du Veldenvarden, i ze wszystkich sił staramy się pomóc im rosnąć. - Wąska klinga światła przebiła się przez szmaragdowe gałęzie w górze i powlokła rękę i twarz Aryi płynnym złotem, oślepiająco jasnym pośród zalegających w lesie cieni. - Przebyliśmy razem długą drogę, Eragonie, teraz jednak wkraczasz do mojego świata. Stąpaj ostrożnie, bo w tej ziemi i powietrzu kryje się wiele wspomnień i nic nie jest takie, jak się wydaje... Nie leć dzisiaj z Saphirą, poruszyliśmy bowiem magiczne linie ochronne otaczające Ellesmerę. Niemądrze byłoby zbaczać ze ścieżki.

Eragon skłonił głowę i wycofał się do Saphiry, która leżała zwinięta na łożu z mchów, zabawiając się wypuszczaniem z nozdrzy pióropuszy dymu i obserwowaniem, jak się rozplywają w górze.

*Teraz mam aż nadto miejsca na ziemi - oznajmiła bez wstępów smoczyca. Nie będę mieć problemów.*

*To dobrze.*

Dosiadł Folkvira i podążył za Orikiem i elfami w głąb pustego, milczącego lasu. Saphira pełzła obok niego. Łuski smoczycy i biała sierść koni lśniły w półmroku.

Eragon zatrzymał się nagle, oszołomiony surowym pięknem otaczającej go puszczy. Panowała w niej atmosfera spowitej chłodem starości, jakby pod tym szpilkowym sklepieniem nic się nie zmieniło od tysiąca lat i nie miało się zmienić już nigdy; jakby czas zapadł w sen, z którego się nie przebudzi.

Późnym popołudniem mrok rozproszył się, ukazując stojącego przed nimi elfa, skapanego w jasnym promieniu słońca padającym ukośnie ze sklepienia. Był odziany w zwiewne szaty, a jego głowę zdobiła srebrna przepaska. Twarz miał starą, szlachetną i pogodną.

- Eragonie - wymamrotała Arya. - Pokaż mu swoją dłoń i pierścień.



Eragon odsłonił prawą dłoń i uniósł ją tak, by światło padło najpierw na pierścień Broma, a potem na gedwey ignasic. Elf uśmiechnął się, zamknął oczy i rozłożył szeroko ręce w powitalnym geście. Znieruchomiał.

- Droga wolna - oznajmiła Arya.

Na ciche polecenie jej wierzcholec ruszył naprzód. Objechali elfa, niczym woda rozstępująca się u podstawy skały. A gdy minęli go wszyscy, nieznajomy wyprostował się, klasnął w dłonie i zniknął. W tym samym momencie oświetlający go blask także zniknął.

*Kto to?*- spytała Saphira.

*To Gilderien Mądry* - odparła Arya. *Księżę z rodu Miolandry, dzierżący biały płomień Vdndila i strażnik Ellesmery od czasów Du Fyrn Skulblaka, naszej wojny ze smokami. Nikt nie może wejść do miasta bez jego pozwolenia.*

Ćwierć mili dalej las przeredził się, tworząc w sklepieniu wyrwy, przepuszczające pasma migotliwego blasku. A potem przejechali pod dwoma potężnymi, wspartymi o siebie drzewami i zatrzymali się na skraju pustej łąki.

Ziemię porastały gęste kępy kwiatów, od różowych róż, poprzez dzwonki i lilie. Ulotne skarby wiosny zalegały wokół niczym stosy rubinów, szafirów i opali. Upajająca woń wabiła roje trzmieli. Po prawej, za rzędem krzaków szemrał strumień. Para wiewiórek uganiała się wokół głazu.

W pierwszym momencie Eragon pomyślał, że w takim miejscu mogłyby odpoczywać nocą sarny. Gdy jednak przyjrzał się uważniej, zaczął dostrzegać ścieżki ukryte wśród roślin i drzew, ciepłe, miękkie światło w miejscach, które powinien przesłaniać brązowy cień, osobliwy układ gałęzi i kwiatów, tak subtelny, że niemal wymykający się uwadze - wskazówki, że to, co widzi, nie do końca stworzyła natura. Zamrugał i widok roztaczający się przed jego oczami zmienił się nagle, jakby ktoś przysunął mu przed twarz soczewkę nadającą wszystkiemu znajome kształty. Owszem, widział ścieżki i kwiaty. Lecz to, co wziął za skupiska grubych, poskręcanych drzew, okazało się budynkami wyrastającymi wprost z sosen.

Jedno z drzew rozszerzało się u podstawy, tworząc dwupiętrowy dom wsparty na znikających w poszyciu korzeniach. Oba piętra były sześciokątne, choć wyższe wyglądało na dwukrotnie mniejsze od parteru, co nadawało drzewu schodkowy wygląd. Dachy i ściany zrobiono z cienkich płatów drewna narzuconych na sześć masywnych podstaw. Mchy i żółte porosty pokrywały dach i zwisały nad wysadzonymi klejnotami oknami, umieszczonymi w każdej ze ścian. Drzwi frontowe ciemniały tajemniczo pod łukiem ozdobionym obcymi symbolami.

Inny dom przycupnął między trzema sosnami, połączonymi z nim kilkoma wygiętymi gałęziami. Wzmocniony tymi podporami, wznosił się na cztery piętra, jasne i przestronne. Obok stała altana upleciona z wierzbowych i dereniowych gałązek i obwieszona pozbawionymi płomieni latarniami, wyglądającymi jak narośle na korze.

Każdy niezwykle budynek idealnie uzupełniał otoczenie, doskonale pasując do reszty lasu i zlewając się z nim do tego stopnia, że nie można było określić, gdzie się kończy sztuka, a gdzie zaczyna dzieło natury. Pozostawały ze sobą w absolutnej równowadze. Miast opanować otoczenie, elfy postanowiły zaakceptować świat taki, jaki jest i przystosować się do niego.

W końcu Eragon zaczął dostrzegać kątem oka lekkie poruszenie. Byli to mieszkańcy Ellesmery. Ujrzał dłonie, bladą twarz, stopę w sandale, uniesioną rękę. Czujne, ostrożne elfy powoli występowały naprzód, kierując spojrzenia migdałowych oczu ku Saphirze, Aryi i Eragonowi.

Kobiety miały rozpuszczone włosy, opadające na plecy kaskadami srebra bądź czerni, ozdobione świeżymi kwiatami. Wszystkie odznaczały się delikatną, zwiewną urodą, pod którą kryła się niezłomna siła. Eragonowi wydały się idealne. Mężczyźni byli równie urodziwi, mieli wysoko osadzone kości policzkowe, pięknie rzeźbione nosy i ciężkie powieki. Obie płcie ubierały się w proste tuniki w odcieniach zieleni i brązu, oblamowane nasyconym pomarańczem, czerwienią i złotem.

*Piękny lud, bez dwóch zdań* - pomyślał Eragon.

Dotknął palcami ust w powitalnym geście.

Elfy jednocześnie się pokłoniły. Potem uśmiechnęły się i zaśmiały, nie krępując radości. Jedna z kobiet zanuciła:

*Gala O Wyrda brunhvit  
Abr Berundal vandr-fóðhr,  
Burthro laufibladar ekar undir,  
Eom kona dauthleikr...*

Eragon przycisnął dłonie do uszu, obawiając się, że owa melodia jest zaklęciem podobnym do tego, które słyszał w Silthrimie, lecz Arya pokręciła głową i odsunęła jego ręce.

- To nie magia. - Po chwili przemówiła do swego konia: - Ganga. - Ogier zarżał i odszedł. - Uwolnijcie wasze wierzchowce, już ich nie potrzebujemy. Zasłużyły na odpoczynek w stajni.

W miarę, jak Arya wędrowała brukowaną ścieżką wykładaną kawałkami zielonego turmalinu, wijącą się wśród malw, domów i drzew, i przekraczającą strumień, pieśń przybierała na sile. Elfy tańczyły wokół ich grupy, wirując w piruetach, śmiejąc się w głos, a czasem wskakując na gałęzie i przebiegając im nad głowami. Wysławiały Saphirę, nazywając ją "długoszoną", „córą powietrza i ognia" i „mocarną".

Eragon uśmiechnął się, zachwycony i zauroczony.

*Mógłbym tu żyć - pomyślał, czując dziwny spokój. Ukryty w Du Veldenvarden, trochę w domu, trochę na dworze, bezpieczny przed resztą świata... O tak, bardzo podobała mu się Ellesmera, bardziej niż jakiegokolwiek krasnoludzkie miasto.*

Wskazał ręką siedzibę połączoną z wysoką sosną.

- Jak to zrobiliście? - spytał Aryę.

- Śpiewamy lasowi w pradawnej mowie i przekazujemy mu naszą siłę, by wzrastał w kształtach w jakich pragniemy. Wszystkie nasze budynki i narzędzia powstają w ten sam sposób.

Ścieżka doprowadziła ich do płataniny korzeni tworzącej stopnie - nagie płamy ziemi pośród brązu i zieleni. Wspięli się do drzwi osadzonych w ścianie z młodych drzewek. Eragonowi szybciej zabiło serce. Drzwi otworzyły się jakby z własnej woli, ukazując salę pełną drzew. Setki gałęzi spletały się, tworząc sufit przypominający pszczeli plaster. Pod nim, wzdłuż każdej ze ścian ustawiono dwanaście foteli.

Zasiadało w nich dwadzieścia czworo elfich panów i dam. Byli piękni, o gładkich twarzach, nie zdradzających oznak wieku, i bystrych mądrych oczach, lśniących z podniecenia. Pochylali się, ściskając poręcze foteli, i z nieskrywanym podziwem i nadzieją wpatrywali się w Eragona i jego towarzyszy. W odróżnieniu od innych elfów ci nosili u pasów miecze o rękojeściach wysadzanych brylantami i granatami, a ich czoła zdobiły przepaski.

U szczytu sali zaś stał biały namiot osłaniający tron z grubych poskręcanych korzeni. Zasiadała na nim królowa Islanzadi. Była piękna jak jesienny zmierzch, dumna i wyniosła. Ciemne brwi wznosiły się na jej czole, przywodząc na myśl ptasie skrzydła, usta miała czerwone niczym jagody ostrokrzewu. Czarne jak noc włosy okalał diamentowy diadem. Była ubrana w szkarłatną tunikę przepasaną pasem z plecionego złota, a jej ramiona pokrywał aksamitny, spięty pod szyją płaszcz, opadający na ziemię łagodnymi falami. Mimo imponującego wyglądu królowa sprawiała wrażenie kruchej, jakby kryła w sobie ogromny ból. Tuż obok jej lewej ręki stała zakrzywiona różdżka z grawerowaną poprzeczką, na której przysiadł śnieżnobiały kruk, przestępujący niecierpliwie z nogi na nogę. Na widok Eragona przekrzywił głowę i zmierzył go przenikliwym spojrzeniem, po czym zakrakał cicho i wrzasnął; „Wyrda!".

Eragon zadrżał, czując siłę kryjącą się w tym słowie.

Drzwi zamknęły się za ich plecami. Razem weszli do sali i zbliżyli się do królowej. Arya pierwsza uklękła na porośniętej mchem ziemi i pokłoniła się, po niej uczynił to Eragon, Orik, Lifaen i Nari. Saphira, która dotąd nigdy nie ukloniła się nikomu, nawet Ajihadowi ani Hrothgarowi, również pochyliła głowę.

Islanzadi wstała i gdy ruszyła w ich stronę, płaszcz powiewał za nią. Zatrzymała się przed Aryą, położyła drżące ręce na jej ramionach i odezwała się melodyjnym głosem.

- Wstań.

Arya posłuchała.

Królowa dłuższą chwilę wpatrywała się z napięciem w jej twarz, tak skupiona, jakby próbowała odczytać niezrozumiały tekst. W końcu objęła ją z okrzykiem:

- O moja córko, jakże cię skrzywdziłam!

## *Królowa Islanzadi*

Eragon klęczał przed królową elfów i jej doradcami w fantastycznej sali, zbudowanej z pni z żywych drzew, w niemal mitycznej krainie i odczuwał wyłącznie szok. Arya to księżniczka!

W pewnym sensie ten tytuł do niej pasował; zawsze sprawiała wrażenie osoby przywykłej do wydawania rozkazów. Myślał jednak o tym z goryczą, ów fakt bowiem stanowił kolejną barierę między nimi, podczas gdy on najchętniej zburzyłby je wszystkie. W ustach czuł smak popiołu. Przypomniawszy sobie prorocstwo Angeli, że pokocha kobietę ze szlacheckiego rodu... i ostrzeżenie, że nie wiadomo, czy skończy się to dobrze, czy źle.

Wyczuwał też zdumienie Saphiry. Wkrótce zastąpiło je rozbawienie.

*Najwyraźniej sami o tym nie wiedząc, podróżowaliśmy w obecności członkini królewskiego rodu.*

*Czemu nam nie powiedziała? Może naraziłoby ją to na jeszcze większe niebezpieczeństwo.*

- Islanzadi Dróttning - powiedziała oficjalnym tonem Arya.

Królowa cofnęła się jak oparzona.

- O moja córko, jakże cię skrzywdziłam - powtórzyła w pradawnej mowie i ukryła twarz w dłoniach. - Odkąd zniknęłaś, prawie nie spałam i nie jadłam. Prześladowała mnie myśl o twym losie, lękałam się, że nigdy cię już nie zobaczę. Odprawienie cię z dworu było największym błędem mego życia. Czy zdołasz mi wybaczyć?

Zgromadzone w sali elfy słuchały tego ze zdumieniem.

Arya zastanawiała się długo.

- Przez siedemdziesiąt lat żyłam i kochałam, walczyłam i zabijałam, nie rozmawiając z tobą, matko - rzekła w końcu. - Nasze życia są długie, to prawda, ale i ten czas trudno nazwać krótkim.

Islanzadi wyprostowała się, unosząc głowę.

- Nie mogę zmienić przeszłości, Aryo, choć bardzo bym chciała.

- A ja nie mogę zapomnieć tego, co przeżyłam.

- I nie powinnaś. - Islanzadi uściśnęła dłonie córki. - Aryo, kocham cię, jesteś moją jedyną rodziną. Jeżeli musisz, odejź, ale, jeśli nie chcesz się mnie wyrzec, pogodzę się z tobą.

Przez jedną straszliwą chwilę wydawało się, że Arya nie odpowie, albo, co gorsza, odrzuci propozycję. Eragon dostrzegł jej wahanie. Obejrzała się szybko na zgromadzonych, po czym spuściła wzrok.

- Nie, matko, nie mogłabym odejść.

Islanzadi uśmiechnęła się niepewnie i znów objęła córkę. Tym razem Arya odpowiedziała tym samym gestem i twarze zebranych elfów rozjaśniły uśmiechy.

Biały kruk podskoczył na swej poprzeczce.

- Na drzwiach wyryto mądrość tę, tradycję rodu, światła skre, co prosto brzmi: Kochajmy się!

- Cicho, Bładgenie - upomniała go Islanzadi. - Zachowaj swoją gadaninę dla siebie. - Odsunęła się i odwróciła do Eragona i Saphiry. - Musicie mi wybaczyć tę nieuprzejmość i to, że was zignorowałam: was, naszych najważniejszych gości.

Eragon dotknął palcami ust, a potem przekręcił prawą dłoń i przyłożył do mostka, tak jak nauczyła go Arya.

- Islanzadi Dróttning. Astra esterni ono thelduin. - Nie wątpił, że powinien przemówić pierwszy.

Ciemne oczy Islanzadi rozszerzyły się.

- Atra dum evarinya ono varda.

- Un atra mor'ranr lifa unin hjarta onr - odparł Eragon, kończąc rytuał. Natychmiast dostrzegł, że elfy zaskoczyła jego znajomość ich zwyczajów. W myślach słyszał, jak Saphira powtarza słowa pozdrowienia dla królowej.

- Smoku - odezwała się Islanzadi. - Jak masz na imię?

*Saphira.*

W oczach królowej błysnęła iskra zrozumienia, - Witaj w Ellesmerze, Saphiro. A twoje imię, Jeźdźcze?

- Eragon Cieniobójca, Wasza Wysokość.

Tym razem wśród siedzących za nim elfów rozległ się głośny szmer, nawet Islanzadi sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Potężne nosisz imię - rzekła cicho. - Imię, które rzadko nadajemy naszym dzieciom. Witaj w Ellesmerze, Eragonie Cieniobójco. Długo na ciebie czekaliśmy. - Podeszła do Orika, powitała go, po czym wróciła na tron i poprawiła na ramionach aksamitny płaszcz.

- Z twojego przybycia, Eragonie, tak wcześnie po wykluciu jaja Saphiry, a także z pierścienia na twej dłoni i miecza u boku wnioskuję, że Brom nie żyje i nie dokończył twojego szkolenia. Chciałabym usłyszeć całą historię, także to, jak zginął Brom, jak poznałeś moją córkę czy też ona ciebie. Potem, krasnoludzie, opowiesz mi o swej misji, a ty, Aryo, o swych przygodach od czasu zasadzki w Du Veldenvarden.

Eragon już wcześniej relacjonował swoje przeżycia, toteż bez problemu powtórzył wszystko królowej. W kilku momentach, gdy zawiodła go pamięć, Saphira podsunęła dokładny opis wydarzeń. Niektóre fragmenty opowiadała tylko smoczyca. Gdy skończyli, wyjął z worka zwój Nasuady i wręczył Islanzadi.

Królowa ujęła go, przełamała czerwoną woskową pieczęć i przeczytawszy szybko list, westchnęła, na moment zamykając oczy.

- Teraz dopiero dostrzegam głębię swego błędu. Mój smutek znacznie szybciej dobiegłby końca, gdybym, dowiedziawszy się o schwytaniu Aryi w zasadzkę, nie wezwała do domu naszych wojowników i nie ignorowała posłańców Ajihada. Nie powinnam była obwiniać Vardenów o jej śmierć. Jak na kogoś tak starego, wciąż jestem bardzo niemądra.

Zapadła długa cisza; nikt nie śmiał przytaknąć ani zaprzeczyć. W końcu Eragon przywołał całą swą odwagę.

- Skoro Arya powróciła żywa - rzekł - czy zechcesz znów udzielić pomocy Vardenom, pani? W przeciwnym razie Nasuadzie się nie uda, a ja poprzysiągłem jej pomoc.

- Mój spór z Vardenami jest teraz niczym pył na wietrze - odparła Islanzadi. - Nie lękaj się, wspomozemy ich tak jak kiedyś i jeszcze bardziej, ze względu na ciebie i ich zwycięstwo nad urgalami. - Pochyliła się, wsparta na jednej ręce. - Zechcesz oddać mi pierścień Broma, Eragonie? - Bez wahania zdjął go z palca i wręczył królowej, która chwyciła go z jego dłoni smukłymi palcami. - Nie powinienes być go nosić, Eragonie, nie jest przeznaczony dla ciebie. Jednakże, ze względu na pomoc, jakiej udzieliłeś Vardenom i mojej rodzinie, nazywam cię dziś przyjacielem elfów i przekazuję ten pierścień, Aren, by, gdziekolwiek pójdiesz, wszystkie elfy wiedziały, że mogą ci ufać i pomagać.

Eragon podziękował jej i z powrotem założył pierścień. Czuł na sobie niepokojąco przenikliwy wzrok królowej, badający, analizujący. Miał wrażenie, że Islanzadi wie o wszystkim, co mógłby powiedzieć bądź zrobić.

- Od wielu lat nie słyszeliśmy podobnych nowin w Du Veldenvarden - rzekła. - Przywykliśmy do wolniejszego tempa życia niż reszta Alagaesii i niepokoi mnie, że mogło wydarzyć się tam tak wiele, a wieści o tym nie dotarły do mych uszu.

- A co z moim szkoleniem? - Eragon zerknął na siedzące pod ścianami elfy, zastanawiając się, czy któryś z nich to Togira Ikonoka, istota, która przeniknęła do jego umysłu i uwolniła go od złowrogiego wpływu Durzy po bitwie o Farthen Dur, a potem zachęciła Eragona, by przybył do Ellesmery.

- Rozpocznie się w stosownym czasie. Lękam się jednak, że nauka nie na wiele się zda, póki nie opuści cię twoja przypadłość. Jeśli nie pokonasz magii Cienia, pozostaniesz jedynie figurantem. Nadal będziesz użyteczny lecz tylko jako cień nadziei, którą żywiliśmy przez ponad wiek. - Islanzadi nie czyniła mu wyrzutu, a jednak jej słowa raniły Eragona niczym uderzenia młota. Wiedział, że ma rację. - Nie ma w tym twojej winy i boli mnie, że muszę głośno o tym mówić, winienes jednak zrozumieć powagę swego kalectwa. Przykro mi.

Następnie królowa zwróciła się do Orika.

- Wiele czasu minęło, odkąd ktoś z twojej rasy odwiedził nasz dwór. krasnoludzie. Eragon-finiarel wyjaśnił powód twojej obecności. Ale czy masz coś do dodania?

- Jedynie pozdrowienia od mego króla Hrothgara i prośbę, obecnie już niepotrzebną, abyście ponownie nawiązali kontakt z Vardenami. Poza tym jestem tu tylko po to, by doglądać przestrzegania paktu, jaki Brom zawarł pomiędzy wami i ludźmi.

- Dotrzymujemy naszych obietnic, nieważne, czy złożonych w tym języku, czy też w pradawnej mowie. Przyjmuję pozdrowienia Hrothgara i także go pozdrawiam. - W końcu królowa spojrzała na Aryę. Eragon był pewien, że pragnęła to zrobić od początku. - A teraz, córko, opowiedz, co cię spotkało.

Arya zaczęła mówić powolnym, monotonnym głosem, relacjonując historię schwytania, a potem długiego uwięzienia i tortur w Gil'eadzie.

Saphira i Eragon świadomie pominęli szczegóły cierpianych przez nią mąk, lecz ona sama bez skrepowania wspomniała o wszystkich torturach, jakim ją poddano. Ów beznamiętny opis wzbudził w Eragonie tę samą wściekłość, jaką czuł wówczas, gdy po raz pierwszy ujrzał rany elfki. Zebrani słuchali w ciszy słów Aryi, choć ich dłonie zaciskały się na rękojeściach mieczy, a twarze stężały w zimnej wściekłości. Po policzku Islanzadi spłynęła samotna łza.

Gdy Arya skończyła, gibki elf podszedł do niej, stąpając po kobiercu z mchu

- Wiem, że mówię w imieniu nas wszystkich, Aryo Dróttningu, gdy powiadam, że serce przepelnia mi żal z powodu tego, co wycierpiałas. To zbrodnia, której nie da się wytłumaczyć, zrozumieć ani naprawić. Galbatorix musi zostać ukarany. Jesteśmy też twymi dłużnikami za to, że nie zdradziłaś Cieniowi położenia naszych miast. Niewielu z nas zdołałoby stawić mu czoło.

- Dziękuję, Dathedrvor.

Teraz znów przemówiła Islanzadi; jej głos rozbrzmiewał wśród drzew niczym dzwon.

- Wystarczy. Nasi goście stoją tu znużeni, a my już zbyt długo rozmawiamy o złych rzeczach. Nie chcę, by naszą radość zmąciły wspomnienia dawnych nieszczęść. - Jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech. - Moja córka wróciła, pojawił się smok i Jeździec, musimy uczcić to jak należy.

Wstała, wysoka i wspaniała w szkarłatnej tunice, i klasnęła w dłonie. Na ten dźwięk na fotele i namiot posypały się setki lilii i róż, które zmaterializowały się dwadzieścia stóp nad ich głowami i opadły niczym kolorowy śnieg, wypełniając powietrze ciężkim zapachem.

*Nie użyła pradawnej mowy* - zauważył Eragon.

Dostrzegł też, że gdy wszyscy oglądali z zachwytem kwiaty, Islanzadi dotknęła lekko ramienia Aryi.

- Nigdy byś tak nie cierpiała — szepnęła niemal niedosłyszalnie - gdybyś posłuchała mej rady. Miałam rację, sprzeciwiając się twojej decyzji przyjęcia yawe.

- To była moja decyzja.

Królowa zawałała się, w końcu skinęła głową i wyciągnęła rękę.

- Bładgenie.

Kruk zatrzepotał skrzydłami i wzleciał ze swego miejsca, lądując na jej lewym ramieniu. Wszyscy zgromadzeni skłonili się, gdy Islanzadi przeszła przez salę i otworzyła drzwi dzielące ich od setek elfów czekających na zewnątrz. Wygłosiła krótką przemowę w pradawnej mowie, z której Eragon nic nie rozumiał. Elfy odpowiedziały wiwatami i rzuciły się w wir zajęć.

- Co powiedziała? - zapytał szeptem Nariego. Elf uśmiechnął się.

- Kazała wytoczyć beczki najlepszych trunków i podpalić kuchenne ognie, dziś bowiem czeka nas noc uczt i śpiewów. Chodź. - Chwycił Eragona za rękę i pociągnął za królową wędrującą pomiędzy gęstymi sosnami, wśród kęp strzępiastych paproci. Podczas audiencji słońce obniżyło się na niebie, zalewając las bursztynowym światłem, które przywierało do drzew i roślin niczym warstewka lśniącego oleju.

*Zdajesz sobie sprawę* - odezwała się Saphira - *że król, o którym wspominał Lifaen, Evandar, to musiał być ojciec Aryi?*

Eragon o mało się nie potknął.

*Masz rację. A to znaczy, że zginął z ręki Galbatorixa bądź Zaprzysiężonych. Kregi wewnątrz kregów.*

Zatrzymali się na szczycie niewielkiego wzgórza. Grupa elfów ustawiła tam długi stół na koziołkach i krzesła. Wokół nich w lesie wrzała praca. W miarę zbliżania się wieczoru w Ellesmerze zapłonęły wesoło ognie, w tym jeden obok stołu.

Ktoś wręczył Eragonowi kielich z tego samego niezwyklego drewna, jakie oglądał w Ceris. Pociągnął łyk przejrzystego płynu i sapnął, czując w gardle ogień. Trunek smakował jak przyprawiony korzeniami jabłecznik, zmieszany z miodem. Nagle zamrowiły go koniuszki palców i uszu. umysł gwałtownie się przejaśnił.

- Co to jest? - spytał Nariego. Elf wybuchnął śmiechem.

- Faelnirv? Destylujemy go z jagód czarnego bzu i promieni księżycy. W razie potrzeby silny mężczyzna może podróżować trzy dni, nie żywiąc się niczym innym.

*Saphiro, musisz tego skosztować.*

Smoczyca obwąchała kielich, otworzyła paszczę i pozwoliła, by wlał do środka resztę faelnirvu. Jej oczy rozszerzyły się, a ogon zadrżał.

*To dopiero przysmak! Jest tego więcej?*

Nim Eragon zdążył odpowiedzieć, podszedł do nich Orik, głośno tupiąc.

- Córka królowej - mruknął, kręcąc głową. - Żałuję, że nie mogę zawiadomić o tym Hrothgara i Nasuady. Z pewnością chcieliby wiedzieć

Islanzadi usiadła na krześle o wysokim oparciu i ponownie klasnęła w dłonie. Z głębi miasta wyłonił się kwartet elfów, niosący instrumenty muzyczne. Dwa miały harfy z wiśniowego drewna, trzeci trzcinowe piszczałki, czwarta - kobieta - jedynie swój głos. Wykorzystała go natychmiast, intonując pieśń.

Eragon rozumiał mniej więcej co trzecie słowo, to jednak wystarczyło, by się uśmiechnął. Pieśń opowiadała o jeleniu, który nie mógł napić się wody ze stawu, bo wciąż nękała go sroka.

Eragon, słuchając, cały czas wodził wokół wzrokiem. W końcu dostrzegł drobną dziewczynkę krążącą za plecami królowej. Gdy spojrział na nią ponownie zauważył, że jej kędzierzawe włosy nie są srebrne jak u wielu elfów, lecz pobielające ze starości, a twarz ma pomarszczoną niczym stare, zwiędnięte jabłko. Nie była elfem, krasnoludem ani - Eragon czuł to wyraźnie - człowiekiem. Uśmiechnęła się do niego, ukazując rząd ostrych zębów.

Kiedy pieśniarka skończyła, rozległy się dźwięki fletów i lutni. Do Eragona podeszły dziesiątki elfów, które pragnęły poznać jego i - przede wszystkim - Saphirę.

Elfy przedstawiały się kolejno, kłaniając się z gracją i dotykając warg palcami, wskazującym i środkowym. Eragon odpowiadał tym samym, powtarzając raz po raz pozdrowienia w pradawnej mowie. Został zasypany uprzejmymi pytaniami o jego przygody, lecz przede wszystkim elfy skupiały uwagę na jego towarzysze.

Z początku Eragon chętnie oddawał pole Saphirze. Po raz pierwszy znaleźli się w miejscu, w którym zebrani interesowali się rozmową ze smoczycą. Wkrótce jednak poczuł irytację - przywykł do tego, że słucha się każdego jego słowa. Uśmiechnął się ponuro, wstrząśnięty odkryciem, że odkąd dołączył do Vardenów, do tego stopnia uzależnił się od uwagi innych. Wreszcie postanowił się odprężyć i radować ucztą.

Wkrótce nad łąką rozeszła się woń jedzenia. Pojawiły się elfy dźwigające półmiski ze stosami przysmaków. Prócz bochnów gorącego chleba i piramid małych, okrągłych miodowych ciastek, wszystkie inne potrawy przyrządzono wyłącznie z owoców, jarzyn i jagód. Jagody stanowiły główny element - znajdowały się we wszystkim, od zupy z czarnych jagód, poprzez sos malinowy, po galaretkę jeżynową. Obok ciasta z grzybami z farszem ze szpinaku, tymianku i porzeczek stał półmisek pokrojonych w plastry jabłek, oblanych syropem i obsypanych poziomkami.

Nie podano żadnego mięsa, nawet ryb ani ptactwa, co zdumiało Eragona. W Carvahall i wszędzie w imperium mięso stanowiło symbol statusu i luksusu. Im więcej miało się złota, tym częściej można było pozwolić sobie na steki i cielęcinę. Nawet drobniejsza szlachta jadała mięso do każdego posiłku. Rezygnacja z niego sugerowałaby pustki w kufrach. A jednak elfy nie wyznawały

tej samej filozofii, mimo ich oczywistego bogactwa i łatwości, z jaką mogły polować za pomocą magii.

Zebrani ruszyli do stołu z entuzjazmem. Wkrótce wszyscy zajęli miejsca. Islanzadi u szczytu stołu, wraz z krukiem Bładgenem. Dathedr po jej lewej ręce, Arya i Eragon po prawicy, Oriki naprzeciwko nich, a dalej reszta elfów, w tym Nari i Lifaen. Po drugiej stronie stołu nie ustawiono krzesła, jedynie wielki rzeźbiony półmisek dla Saphiry.

Uczta trwała długo i Eragon miał wrażenie, że wszystko wokół niego stopniowo rozplywa się w wirze rozmów i ogólnie panującej radości. Tak bardzo zafascynowało go otoczenie, że stracił rachubę czasu. Dostrzegał jedynie śmiechy i obce słowa krążące mu nad głową oraz ciepło pozostawione w żołądku przez łyk faelnirvu. Ulotna muzyka harfy wzdychała i szeptała na skraju jego słuchu, wywołując dreszcze podniecenia. Od czasu do czasu odkrywał nagle, że jego wzrok przyciąga leniwe spojrzenie zmrużonych oczu kobiety-dziecka, obserwującej go z nieustanną czujnością, nawet podczas jedzenia.

Gdy na moment zapadła cisza, Eragon odwrócił się do Aryi, która przez cały posiłek wypowiedziała najwyżej tuzin słów. Patrzył na nią w milczeniu.

Arya poruszyła się.

- Nawet Ajihad nie wiedział.

- Słucham?

- Poza granicami Du Veldenvarden nie powiedziałam nikomu, kim jestem. Brom oczywiście wiedział; po raz pierwszy spotkał mnie tutaj. Ale na moją prośbę dotrzymał tajemnicy.

Eragon zastanawiał się, czy elfka tłumaczy mu się z poczucia obowiązku, czy też dlatego, że czuje się winna, bo oszukała jego i Saphirę.

- Brom powiedział kiedyś, że to, czego elfy nie mówią, często jest znacznie ważniejsze od tego to co mówią.

- Dobrze nas rozumiał.

- Ale czemu? Jakie znaczenie miało to, czy ktokolwiek wiedział?

Tym razem Arya się zawahała.

- Gdy opuściłem Ellesmerę, nie pragnęłam wcale, by ktokolwiek przypominał mi o mojej pozycji. Nie uważałam też, by to mogło wpłynąć na moje zadanie i kontakty z Vardenami i krasnoludami. Nie miało to nic wspólnego z tym, kim się stałam... kim jestem. - Zerknęła na królową.

- Mogłaś powiedzieć Saphirze i mnie.

Arya zjeżyła się, słysząc wyrzut w jego głosie.

- Nie miałam powodów przypuszczać, że Islanzadi zmieniła zdanie. - Powiedzenie wam nic by nie zmieniło. Moje myśli należą do mnie, Eragonie.

Zarumienił się, wyczuwając ukryte znaczenie tych słów: Czemu ona - dyplomatka, księżniczka, elfka, starsza od jego ojca i dziadka, kimkolwiek byli - miała by zwierzać się jemu, szesnastoletniemu człowiekowi?

- Przynajmniej - mruknął - pogodziłaś się ze swą matką.

Uśmiechnęła się dziwnie.

- A miałam wybór?

W tym momencie Bładgen zeskoczył z ramienia Islanzadi i pomaszerował na środek stołu. Pochylił głowę w lewo i w prawo w szyderczej parodii ukłonu. Zatrzymał się przed Saphirą, zakasłał ochryple, a potem wykrakał:

*Smoki, jak koty*

*Lubią psoty.*

*Smoki, jak ptaki*

*Wola draki,*

*Lecz nie im zabawa.*

*Gdy na stole strawa!*



Elfy zamarty przerażone, czekając na reakcję Saphiry. Po długiej chwili smoczyca oderwała wzrok od placka z pigwą i wypuściła obłok dymu, który, całkowicie spowił Bładgena.

*A zwłaszcza małe smakowite ptaszki - dodała, wysyłając myśl tak, by dotarła do wszystkich.*

Elfy wybuchnęły śmiechem, Bładgen odskoczył, kracząc z oburzeniem i uderzając skrzydłami by rozproszyć dym.

- Muszę przeprosić za złośliwe wierszyki Bładgena - powiedziała Islamzadi. - Zawsze miał kąśliwy język, mimo że próbowaliśmy go utemperować.

*Przyjmuję przeprosiny* - odparła spokojnie Saphira, wracając do placka.

- Skąd on pochodzi? - spytał Eragon.

Bardzo chciał nawiązać zwykłą rozmowę z Aryą, ale też był szczerze ciekaw.

- Bładgen? - odparła Arya. - Ocalił kiedyś życie mojemu ojcu. Evandar walczył z urgalem, ale potknął się i wypuścił miecz. Nim urgall zdążył uderzyć, podfrunął do niego kruk i wydziobał mu oczy. Nikt nie wie czemu ptak to zrobił, lecz jego interwencja wystarczyła, by Evandar odzyskał równowagę i zwyciężył w walce. Mój ojciec zawsze był szczodry, toteż podziękował krukowi, błogosławiąc go zaklęciami obdarzającymi inteligencją i długim życiem. Magia jednak zrobiła jeszcze coś, czego ojciec nie przewidział: Bładgen na zawsze stracił swój kolor, zyskał za to zdolność przepowiadania pewnych wydarzeń.

- On widzi przyszłość? - spytał zdumiony Eragon.

- Widzi? Nie, ale być może czasami wyczuwa to, co ma nadejść. Tak czy inaczej, zawsze mówi zagadkami. Zwykle to są okropne bzdury. Pamiętaj jednak, że jeśli Bładgen podejdzie do ciebie i powie coś, co nie będzie żartem albo dowcipem, warto wysłuchać jego słów.

Gdy uczta dobiegła końca, Islanzadi wstała, co wywołało poruszenie, bo wszyscy pośpiesznie zerwali się z miejsc.

- Jest późno, czuję zmęczenie i chcę wrócić do mej altany. Saphiro i Eragonie, zechciejcie mi towarzyszyć, a pokażę wam, gdzie możecie spędzić dzisiejszą noc.

Królowa skinęła dłonią na Aryę i odeszła od stołu. Arya podążyła za nią.

Okrażając stół, Eragon zatrzymał się przy kobiecie-dziecku, bo znów jego uwagę przyciągnęło spojrzenie drapieżnych źrenic. Wszystkie elementy jej wyglądu, począwszy od oczu, poprzez kędzierzawe włosy i białe kły, poruszyły pewne wspomnienie.

- Jesteś kotołakiem, prawda?

W odpowiedzi zamrugła i odsłoniła zęby w drapieżnym uśmiechu.

- Poznałem jednego z twoich pobratymców, Solebuma. Spotkaliśmy się w Teirmie, a potem w Farthen Durze.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- O tak, znam go. Mnie ludzie nudzą, lecz jego bawią podróże z czarownicą Angelą - odparła.

A potem jej spojrzenie powędrowało ku Saphirze i kotołaczka wydała z siebie gardłowe pół warknięcie, pół mruknięcie wyrażające aprobatę.

*Jak masz na imię?*— spytała Saphira.

- Tu, w sercu Du Veldenvarden imiona mają wielką moc. Smoczyco O tak. Jednakże... pośród elfów znana jestem jako Obserwatorka, Szybkołapa i Tancerka Snu. Wy możecie nazywać mnie Maud. - Odrzuciła w tył grzywę sztywnych białych włosów. - Lepiej idźcie za królową młodzieniaszki tutejsza władczyni nie przepada za głupcami i spóźnialskimi.

- Miło było cię poznać, Maud. - Eragon skłonił się, a Saphira pochyliła głowę.

Zerknął na Orika, zastanawiając się, gdzie zanocuje krasnolud, a potem ruszył za Islanzadi. Doścignęli królową w chwili, gdy dotarła do podstawy drzewa. Wokół pnia bieżyły lekkie schody wznoszące się spiralą ku serii kulistych pomieszczeń podtrzymywanych w koronie drzewa przez rozłożyste gałęzie. Islanzadi uniosła smukłą dłoń, wskazując gniazdo nad nimi.

- Saphiro. musisz tam pofrunąć, nie hodowaliśmy naszych schodów z myślą o smokach. - Odwróciła się do Eragona. - Tu właśnie mieszkał przywódca Smoczycy Jeźdźców, gdy przebywał w Ellesmerze. Oddaję ci ów dom, jesteś bowiem prawowitym spadkobiercą tego tronu. To twoje dziedzictwo.

Nim Eragon zdążył podziękować, królowa minęła go i odeszła z Aryą. Odprowadził wzrokiem elfkę, póki nie zniknęła w sercu miasta.

*Zobaczymy, jakie kwatery dla nas przeznaczone?*

Saphira skoczyła w powietrze i poszybowała wokół drzewa, zataczając ciasny krąg i balansując na koniuszku skrzydła trzymanego prostopadle do ziemi.

Gdy Eragon wszedł na pierwszy stopień, przekonał się, że Islanzadi mówiła prawdę. Schody tworzyły jedność z drzewem, kora pod jego stopami była wygładzona przez niezliczone stopy elfów, nadal jednak stanowiła część pnia. Podobnie kręcone pączyce słupki podtrzymujące zakrzywioną poręcz, na której spoczęła jego prawa dłoń. Ponieważ stopnie zaprojektowano z myślą o sile elfów, były bardziej strome niż te, do których przywykł, i wkrótce Eragon poczuł ostry ból w łydkach. Kiedy dotarł na górę - przez klapę w podłodze jednego z pomieszczeń - dyszał tak ciężko, że musiał oprzeć dłonie na kolanach i zgiąć się wpół. Dopiero po chwili wyprostował się i rozejrzał wokół.

Stał w kolistym przedsionku. Ze środka podłogi wyrastał postument, z którego wylaniała się para jasnych rąk i zaplecionych, lecz nie stykających się przedramion. Z przedsionka wychodziło troje drzwi - jedno wiodło do surowo urządzonej jadalni, mogącej pomieścić najwyżej dziesięć osób, drugie do szafy z pustym zagłębieniem w podłodze - Eragon nie potrafił odgadnąć do czego miało służyć - a ostatnie do sypialni otwartej na olbrzymią puszcę Du Veldenvarden.

Eragon zdjął wiszącą na haku w suficie lampę i ruszył do sypialni. Natychmiast otoczyła go gromadka cieni, podskakujących i wirujących w piruetach niczym szaleni tancerze. W zewnętrznej ścianie ział otwór w kształcie Izy, dość duży, by pomieścić smoka. W sypialni czekało łóżko ustawione tak, by leżąc na plecach mógł patrzeć w niebo i księżyc. Dostrzegł też kominiek zrobiony z szarego drewna, które w dotyku wydawało się twarde i zimne jak stal, zupełnie jakby ktoś ścisnął deski i sprasował je z niewyobrażalną mocą, oraz olbrzymią niską misę, ustawioną na podłodze i wysłaną miękkimi kocami, a mogącą pomieścić Saphirę.

W tym momencie smoczyca wylądowała na skraju otworu. Jej łuski lśniły niczym konstelacja błękitnych gwiazd. Za plecami Saphiry ostatnie promienie słońca przeszywały las, malując skałki i wzgórza mglistym, bursztynowym blaskiem, w którym szpilki na gałęziach połyskiwały niczym rozżarzone żelazo, a cienie umykały przed nim hen, ku fioletowemu horyzontowi. Oglądane z wysokości miasto wyglądało niczym seria szczelin i otworów w olbrzymiej powale lasu - wysepki spokoju pośród szumiącego-go zielonego oceanu. Dopiero teraz Eragon dostrzegł prawdziwe rozmiary Ellesmery. Miasto rozciągało się na kilkanaście mil na zachód i północ.

*Jeśli tu właśnie zwykle mieszkał Vrael, jeszcze bardziej szanuje Jeźdźców - rzekł Eragon. Wszystko jest znacznie prostsze, niż oczekiwałem.*

Cała budowla zakołysała się lekko, reagując na podmuch wiatru.

Saphira obwąchała swoje koce.

*Nie widzieliśmy jeszcze Vroengardu - ostrzegła, choć czuł, że się z nim zgadza.*

Gdy Eragon zamknął środkowe drzwi sypialni, dostrzegł w kącie co, czego wcześniej nie zauważył - spiralne stopnie okrążające komin z ciemnego drewna. Unosząc przed sobą latarnię, wspiął się na nie powoli, ostrożnie stawiając kroki. Po jakichś dwudziestu stopach znalazł się w gabinecie. Ustawiono w nim biurko, na którym czekały pióra, kałamarze i papier, lecz nie pergamin - oraz kolejne wyściełane smocze siedlisko. W zewnętrznej ścianie także pozostawiono wielki otwór.

*Saphiro, chodź, zobacz.*

*Jak?- spytała.*

*Od zewnątrz.*

Skrzywił się, słysząc skrzywienie i trzask kory pękające pod szponami smoczy, która wypełzła z sypialni i wspięła się po ścianie do gabinetu.

*Zadowolona?- spytał, gdy się zjawiała.*

Saphira zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem szafirowych oczu, po czym zaczęła przyglądać się ścianom i meblom.

*Zastanawiam się - rzekła - jak można tu utrzymać ciepło, skoro pokoje są otwarte na przestrzał.*

*Nie wiem.*

Eragon przyjrzał się ścianom po obu stronach otworu. Lekko obmacywał abstrakcyjne wzory przywołane przez pieśni elfów. Nagle poczuł pod palcami pionową krawędź tkwiącą w korze. Pociągnął ją i ze ściany wysunęła się zwiewna błona. Ruszył szybko naprzód, wlokąc za sobą materiał i po drugiej stronie wejścia znalazł identyczne zagłębienie.

Wsunął w nie krawędź tkaniny. Powietrze natychmiast zgęstniało i stało się wyraźnie cieplejsze.

*Oto twoja odpowiedź - rzekł.*

Puścił materiał, który śmignął z powrotem, nawijając się na szpulę.

Gdy wrócili do sypialni, Eragon rozpakował bagaże. Tymczasem Saphira leżała zwinięta w kłębek. Ostrożnie ułożył swą tarczę, nagolenniki, karwasze, kaptur i hełm, następnie zdjął tunikę i ściągnął koszulę z podszytej skóra kolczugi. Nagi do pasa, usiadł na łóżku i zaczął się przyglądać naoliwionym ogniwoom. Ze zdumieniem pomyślał, że przypominają łuski Saphiry.

*Udało się - rzekł, zadziwiony.*

*Długa podróż... ale tak, dotarliśmy do celu. Mamy szczęście, że po drodze nie dopadł nas pech.*

Eragon skinął głową.

*Teraz dowiemy się, czy było warto. Czasami zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby poświęcić ten czas, udzielając pomocy Vardenom.*

*Eragonie! Wiesz, że potrzebujemy dalszych wskazówek. Brom by tego chciał. Poza tym warto było tu przybyć, choćby po to, żeby zobaczyć Ellesmerę i Islanzadi.*

*Może.*

W końcu zadał jej pytanie, które nurtowało go od dłuższego czasu.

*Co sądzisz o tym wszystkim?*

Saphira lekko rozchyliła szczęki, ukazując zęby.

*Nie wiem. Elfy mają wiele tajemnic, nawet więcej niż Brom, a swoją magią potrafią dokonywać rzeczy dla nas wręcz niewyobrażalnych. Nie mam pojęcia, jakich metod używają, by przekształcić swe drzewa w coś takiego, Nie mam też pojęcia, jak Islanzadi przywołała kwiaty. To wykracza poza moje zrozumienie.*

Eragon z ulgą odkrył, że nie tylko on czuje się oszołomiony.

*A Arya?*

*Co z nią?*

*No wiesz, to, kim jest naprawdę?*

*To nie ona się nie zmieniła, tylko twoje jej postrzeganie.*

Saphira zaśmiała się gardłowo - ów dźwięk przypominał zgrzyt kamieni młyńskich - i oparła głowę na przednich nogach.

Gwiazdy świeciły już jasno na niebie, w Ellesmerze rozbrzmiewały ciche pohukiwania sów, cały świat pogrążył się w ciszy i spokoju, zasypiając w rozsrzebrzonym mroku nocy.

Eragon przykrył się puchową kołdrą. Wyciągnął rękę, by zasłonić lampę, i nagle zamarł z dłonią cal od zamka. Oto przebywał w stolicy elfów ponad sto stóp nad ziemią, leżąc w łóżku należącym niegdyś do Vraela!

Ta myśl przeważała szalę.

Przekręcił się, wyprostował, jedną ręką chwycił lampę, drugą Zar'roca i zaskoczył Saphirę, wdrapując się na jej podwyższenie i przytulając do ciepłego boku smoczy. Saphira zaczęła nucić, okryła go aksamitnym skrzydłem, on zaś zgasił światło i zamknął oczy.

Zasnęli razem głęboko i spali długo w domu w Ellesmerze.

## Z przeszłości

Eragon ocknął się o świcie, doskonale wypoczęty. Poklepał żebra Saphiry i smoczyca uniosła skrzydło. Przeczesując dłońmi wzburzone włosy, podszedł do otworu i oparł się o jego krawędź, dotykając ramieniem szorstkiej kory. Las w dole migotał niczym pole diamentów - to każde drzewo odbijało poranne promienie słońca miriadami kropel rosy.

Eragon drgnął, zaskoczony, gdy Saphira zanurkowała obok niego, obróciła się niczym świder, opadając ku drzewom w dole, i rycząc z radości, wleciała w górę, zataczając pętlę.

*Dzień dobry, mój mały.*

Uśmiechnął się, ciesząc się jej szczęściem.

Otworzył drzwi sypialni i ujrzał dwie tace z jedzeniem - głównie owocami - ustawione na progu. Obok leżało naręczce ubrań z przypiętą kartką, Eragon z trudem odcyfrował pochyłe pismo nie czytając od ponad miesiąca i zapomniał niektóre litery. W końcu jednak zrozumiał treść listu:

*Witajcie, Saphiro Bjartskular i Eragonie Cieniobójco. Ja Bellaen z rodu Miolandry, pokornie proszę Cif, Saphiro, o wybaczenie za ten jakże mato zadowolający posiłek. Elfy nie polują, w Ellemerze ani w żadnym z naszych miast nie znajdzie się nawet kawałek mięsa. Jeśli zechcesz, możesz uczynić podobnie jak smoki z dawnych czasów i polować w Du Veldenvarden. Prosimy jedynie, żebyś pozostawiła swe zdobycze w lesie, tak by nasze powietrze i woda pozostały nieskażone krwią.*

*Eragonie, oto ubranie dla Ciebie. Utkąła je Niduen z dworu Islanzadi, to jej dar dla Ciebie.*

*Niechaj sprzyja Ci szczęście,*

*pokój zamieszka w sercu,*

*a gwiazdy Cię strzegą.*

*Bellaen du Hljódhr*

Gdy Eragon powtórzył Saphirze treść wiadomości, smoczyca odparła:

*Nie ma problemu. Po wczorajszym posiłku przez jakiś czas nie muszę jeść.*

Schrupała jednak kilka pełnoziarnistych ciastek.

*To z grzeczności - wyjaśniła*

Eragon dokończył śniadanie, następnie cisnął na łóżko naręczce strojów i rozwinął je starannie, odkrywając dwie rdzawe tuniki oblamowane soczystą zielenią, kremowe nogawice ogrzewające łydki i trzy pary skarpet tak miękkich, że gdy zważył je w dłoniach, przelewały się przez palce niczym woda. Jakość materiału pozostawiła daleko w tyle wyroby tkaczek z Carvahall, a także znane mu dzieła rąk krasnoludzkich.

Eragon z wdzięcznością przyjął nowe odzienie. Jego tunika i bryczesy nosiły, niestety, ślady podróży, tygodni spędzonych w deszczu i słońcu od dnia opuszczenia Farthen Duru. Rozebrał się szybko i naciągnął jedną z pięknych tunik, napawając się delikatnym dotykiem materiału.

Właśnie sznurował buty, gdy ktoś zapukał do drzwi sypialni.

- Proszę - rzekł Eragon, sięgając po Zar'roca.

Orik wsunął głowę do środka i wszedł ostrożnie, sprawdzając stopą podłogę przed sobą. Zmierzył sufit nieufnym spojrzeniem.

- Dajcie mi porządną, solidną jaskinię i zabierzcie sobie swoje ptasie gniazda. Jak minęła wam noc, Eragonie? Saphiro?

- Dość dobrze. A tobie? - spytał Eragon.

- Spałem jak kamień. - Krasnolud zachichotał, zadowolony ze swojego dowcipu, a potem schylił nagle głowę, przesuwając palcami po głowicy topora. - Widzę, że zjadłeś, chciałbym więc prosić cię, byś mi towarzyszył. Arya, królowa i całe stado innych elfów czekają na ciebie u stóp drzewa. - Wyraźnie zdenerwowany, wbił w Eragona wzrok. - Dzieje się coś o czym nam nie mówią. Nie jestem pewien, czego od ciebie chcą, ale to bardzo ważne. Islanzadi jest spięta niczym wilk zagwany w ślepy zaułek. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli cię uprzedzę.

Eragon podziękował mu, po czym obaj zeszli po schodach. Tymczasem Saphira łagodnie opadła na ziemię. U stóp drzewa czekała już Islanzadi, otulona w płaszcz ze wzburzonych łabędzich piór. Ten widok przywodził na myśl śnieg usypany nad piersią kardynała. Powitała ich szybko.

- Chodźcie za mną - poleciła.

Podążając krętą ścieżką, zaprowadziła grupę na skraj Ellesmery, w miejsce gdzie stało niewiele budynków, a opuszczone ścieżki zarastała różnorodna roślinność. U stóp zadrzewionego wzgórza Islanzadi się zatrzymała.

- Nim pójdziemy dalej - rzekła spiętym głosem - wasza trójka musi przysiąc w pradawnej mowie, że nigdy nie wspomnicie innym o tym, co tu zobaczycie. Nie możecie tego uczynić bez mojej zgody, zgody mojej córki czy też tego, kto zastąpi nas na tronie.

- Czemu miałbym sam się kneblować? - spytał ostro Orík.

*Faktycznie, czemu?* - dodała Saphira. *Nie ufacie nam?*

- To nie kwestia zaufania, lecz bezpieczeństwa. Za wszelką cenę musimy strzec tej wiedzy, to nasza największa przewaga nad Galbatorixem. Jeśli wypowiesz te słowa w pradawnej mowie, nigdy świadomie nie ujawnisz naszej tajemnicy. Przybyłeś tu, by doglądać szkolenia Eragona, Orík-vodhr. Jeśli nie dasz mi słowa, możesz od razu wracać do Farthen Duru.

- Wierzę, że nie macie złych zamiarów wobec krasnoludów ani Vardenów - rzekł po długiej chwili Orík. - Inaczej nigdy bym się nie zgodził. Chcę też, byś przyrzekła na honor swojego dworu i klanu, że to nie jest podstęp. Powiedz, co mam rzec.

Podczas gdy królowa uczyła Orika właściwej wymowy wybranego zwrotu, Eragon spytał Saphirę:

*Czy powinienem?*

*A mamy wybór?*

Eragon przypomniał sobie, że Arya zadała mu wczoraj to samo pytanie. Powoli zaczął rozumieć o co w tym chodzi; królowa nie pozostawiła mu pola do manewru.

Gdy Orík skończył, Islanzadi spojrzała wyczekująco na Eragona, on zaś zawahał się na moment, po czym wygłosił przysięgę, podobnie Saphira.

- Dziękuję - rzekła Islanzadi. - Teraz możemy zaczynać.

Na szczycie wzgórza rozstąpiły się drzewa, tworząc miejsce dla połączenia czerwonej koniczyny porastającej kilkanaście jardów ziemi, aż do krawędzi skalnego urwiska. Urwisko sięgało na staję w obie strony i opadało tysiąc stóp ku lasowi rozlewającemu się szeroko aż po horyzont. Eragon, gdy spoglądał na bezkresne połączenie lasu, miał wrażenie jakby znalazł się na skraju świata.

Znam to miejsce, uświadomił sobie nagle, wspominając wizję Togiry Ikonoki.

*Łup.*

Powietrze zadrżało, poruszone siłą uderzenia.

*Łup.*

Kolejny tępy huk sprawił, że Eragon zaszczeakał zębami.

*Łup.*

Wepchnął palce do uszu, chroniąc je przed bolesnymi uderzeniami ciśnienia. Elfy stały bez ruchu

*Łup.*

Koniczyna pochyliła się, poruszona nagłym, gwałtownym powiewem

*Łup.*

Spod krawędzi urwiska wynurzył się olbrzymi złoty smok z Jeźdźcem na grzbiecie.

## Przemowa

Roran patrzył gniewnie na Horsta.

Byli w pokój u Baldora. On sam siedział na łóżku, słuchając słów kowala.

- Co niby miałem zrobić? Gdy zemdlałeś, nie mogliśmy przypuścić ataku. Poza tym ludzie nie byli w stanie walczyć i nie mam do nich pretensji. Na widok tych potworów sam o mało nie odgryzłem sobie języka. - Horst potrząsnął bujną grzywą włosów. - Zostaliby wciągnięci w sam środek jednej ze starych opowieści, Roranie, i zupełnie mi się to się podoba. - Roran zachował kamienną twarz. - Posłuchaj, jeśli chcesz, możesz zabić żołnierzy, ale najpierw musisz odzyskać siły. Znajdziesz wielu ochotników, ludzie ufają ci w bitwie. Zwłaszcza po tym, jak wczoraj pokonałeś tamtych.

Roran wciąż milczał. Horst westchnął, poklepał go po zdrowym ramieniu wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Roran nawet nie mrugnął. Jak dotąd przez całe życie zależało mu tylko na trzech rzeczach: rodzinie, domu w dolinie Palancar i Katrinie. Rodzinę stracił w zeszłym roku, wrogowie spalili i zburzyli jego dom, choć pozostała mu ziemia, i to właśnie ona liczyła się naprawdę.

A teraz stracił Katrinę.

Przez żelazne kleszcze ściskające mu gardło przedarł się zdławiony szloch. Miał przed sobą dylemat, który rozdzierał mu duszę: jedynym sposobem ocalenia Katriny był pościg za Ra'zacami i opuszczenie doliny Palancar. Nie mógł jednak zostawić Carvahall na pastwę żołnierzom. Nie mógł też zapomnieć o Katrinie.

Moje serce albo mój dom, pomyślał z goryczą. Jedno bez drugiego nie miało znaczenia. Gdyby zabił żołnierzy, zapobiegłby tylko powrotowi Ra'zaców i być może Katriny. Tak czy inaczej, walka nie miała sensu, skoro nadciągały już posiłki, bo ich przybycie oznaczało nieubłaganą zagładę całej wioski.

Zacisnął zęby, czując nową falę bólu promieniującą z ramienia. Zamknął oczy. Mam nadzieję, że poźrą Sloana tak jak Quimby'ego. Żaden los nie byłby zbyt straszny dla tego zdrajcy. Roran przeklinał go najczarniejszymi słowami, jakie znał.

Nawet gdybym mógł swobodnie odejść z Carvahall, jak miałbym znaleźć Ra'zaców? Kto wie, gdzie oni mieszkają? Kto ośmieliłby się udzielić informacji o sługach Galbatorixa? Wezbrała w nim rozpacz. Wciąż zmagał się z tym problemem. Wyobraził sobie, jak przybywa do jednego z wielkich miast imperium, krążąc bez celu między brudnymi budynkami i hordami obcych w poszukiwaniu wskazówki, prześlysku, cienia swej miłości.

To było beznadziejne.

Zgiął się wpół i z jego oczu popłynęła rzeka łez. Jęczał głośno, pograżony w otchłani cierpienia i strachu. Kołysał się długo, ślepy na wszystko prócz zniszczenia jego świata.

☆☆☆

Zdawało się, że minęły całe wieki, nim szluchy Rorana zamieniły się w słabe jęki protestu. Otarł oczy i zmusił się do głębszego zaczerpnięcia tchu. Skrzywił się, bo płuca go zapiekły, jakby wypełniły je odłamki szkła.

- Muszę pomyśleć - rzekł sam do siebie.

Oparł się o ścianę i wyłącznie siłą woli zaczął kolejno tłumić rozszalałe emocje, zmuszać je, by się poddały jednej jedynej rzeczy, która mogła ocalić go przed obłędem: rozumowi. Szyja i ramiona dygotały mu z wysiłku

Gdy w końcu odzyskał panowanie nad sobą, starannie uporządkował myśli, niczym mistrz rzemieślnik szykujący swe narzędzia. W zakamarkach swojej wiedzy musi kryć się rozwiązanie, jeśli tylko okaże się dość pomysłowy.

Nie mógł tropić Ra'zaców w powietrzu, to oczywiste. Ktoś będzie musiał powiedzieć mu, gdzie ich znaleźć. A ze wszystkich ludzi, których mógł zapytać, najwięcej wiedzieli zapewne Vardeni. Ich jednak było równie trudno znaleźć jak owych bezceścicieli, a nie mógł tracić czasu na kolejne poszukiwania. Choć... cichy głos pod czaszką przypominał mu o pogłoskach, które słyszał od myśliwych i handlarzy, że Surda potajemnie wspiera Vardenów. Surda. Kraj ów leżał u stóp imperium, tak przynajmniej Roran słyszał, nigdy bowiem nie widział na własne oczy mapy Alagaesii. W idealnych warunkach dotarcie tam konno trwałoby kilkanaście tygodni. Dłużej, gdyby musiał unikać żołnierzy. Oczywiście najszybszą metodą dotarcia na południe byłoby pożeglowanie wzdłuż brzegu. To jednak wiązało się z koniecznością jazdy aż do rzeki Toark, a następnie do Teirmu, gdzie znalazłby statek. Straciłby zbyt wiele czasu, no i wciąż pozostawał problem żołnierzy.

- Gdyby, jeśli, może, jak - mamrotał, raz po raz zaciskając lewą dłoń.

Na północ od Teirmu jedynym znanym mu portem była Narda, lecz aby do niej dotrzeć, trzeba by pokonać całą szerokość Koścca. Z tego, co wiedział, nikt tego nie dokonał, nawet traperzy.

Roran zaklął cicho, fantazje nie miały sensu. Powiniennem próbować ocalić Carvahall, nie je opuścić. Problem tkwił w tym, że doszedł już do wniosku, iż cała wioska i wszyscy, którzy w niej pozostali, są skazani na śmierć. W kącikach oczu znów wezbrały mu łzy. Wszyscy, którzy pozostali...

A gdyby... A gdyby wszyscy z Carvahall ruszyli wraz ze mną do Nardy, a potem do Surdy? W ten sposób jednocześnie osiągnęłyby oba swe cele. Śmiałość tej idei uderzyła go jak młot.

To herezja, bluźnierstwo sądzić, że zdołałby przekonać farmerów, by opuścili swe pola, kupców, by porzucili kramy. A jednak... Czy było inne wyjście prócz niewoli bądź śmierci? Tylko Vardeni przygarniali pod swe skrzydła uciekinierów z imperium. Roran był pewien, że buntownicy ucieszą się, gdy pojawi się u nich cała wioska pełna rekrutów. Zwłaszcza takich, którzy już się sprawdzili w boju. Poza tym sprowadzając ze sobą wieśniaków, zyskałby zaufanie Vardenów, którzy dzięki temu być może powierzyliby mu sekret kryjówki Ra'zaców. Może wyjaśniliby też, czemu Galbatorixowi tak bardzo zależy, by mnie schwytać.

Jeśli plan miał się powieść, trzeba by jednak wcielić go w życie, nim do Carvahall dotrą nowe oddziały. To pozostawiało zaledwie kilka dni, jeśli nie mniej. W tym czasie trzeba by przygotować wymarsz około trzystu osób. Wolał nie myśleć o związanych z tym komplikacjach.

Roran wiedział, że same logiczne argumenty nie przekonają nikogo do odejścia. Trzeba zagrać na emocjach ludzi. Jedynie natchniona pasja mogła sprawić, by poczuli w głębi serc potrzebę porzucenia dotychczasowych zwyczajów, majątków, domów. Nie wystarczy zasiać w nich ziarna strachu wiedział bowiem, że strach często każe zagrożonym walczyć z większą determinacją i zapałem. Musiał raczej sprawić, aby ujrzeli przed sobą nowy cel, przeznaczenie, by uwierzyli tak jak on, że dołączenie do Vardenów i stawienie oporu tyranii Galbatorixa to najszlachetniejsze dzieło na świecie.

Wymagało to pasji, która nie ustąpi pod jarzmem trudów, cierpień czy nawet śmierci.

Oczyma duszy Roran ujrział stojącą przed nim Katrinę, bladą i znękaną, poważnie spoglądającą bursztynowymi oczami. Przypominał sobie ciepło jej skóry, korzenny zapach włosów i to, jak się czuł, będąc z nią pod osłoną ciemności. A potem za jej plecami w długim rzędzie pojawili się członkowie rodziny, przyjaciele, wszyscy których znał w Carvahall, żywi i umarli. Gdyby nie Eragon i ja, Ra'zacowie nigdy by tu nie przybyli. Muszę ocalić wioskę przed imperium, tak samo jak muszę uratować Katrinę przed tymi bezceścicielami.

Czerpiąc siły z owej wizji, Roran wstał z łóżka; zranione ramię zabolowało go gwałtownie. Zachwiał się i oparł o ścianę. Czy kiedykolwiek odzyskam władzę w prawej ręce? Zaczekał, aż ból ustąpi. Gdy tak się nie stało, obnażył zęby w grymasie determinacji, odepchnął się od ściany i wymaszerował z pokoju.

Elain, która składała właśnie ręczniki w korytarzu, na jego widok wykrzyknęła ze zdumieniem.

- Roran! Co ty...

- Chodź - warknął, kuśtykając obok niej.

Baldor przekroczył z zatroskaną miną próg swego pokoju.

- Roranie, nie powinieneś nigdzie chodzić, straciłeś zbyt wiele krwi. Pomogę ci...

- Chodź.

Roran słyszał, jak podążają za nim. Zszedł po schodach skracających ku głównemu wyjściu, w którym stali pogrążeni w rozmowie Horst i Albriech. Zaskoczeni, unieśli wzrok.

- Chodźcie.

Puścił mimo uszu pytania, którymi go zasypali, otworzył drzwi frontowe i wyszedł na dwór. Nastął już wieczór i niebo ciemniało. Na jego głowę ciężki pióropusz chmur zabarwił się złotem i fioletem.

Maszerujący na czele niewielkiej grupki Roran, tupiąc ciężko, skierował się na skraj Carvahall, powtarzając swą dwusylabową wiadomość każdej napotkanej kobiecie i każdemu mężczyźnie. Dotarłszy do umocnień, chwycił pochodnię, osadzoną na tyczce wetkniętej w zachłanne błoto, obrócił się i po własnych śladach wrócił do centrum wioski.

Wbił tyczkę między stopy, uniósł lewą rękę i ryknął:

- Chodźcie!

Jego głos rozszedł się po całej wsi. Roran wzywał ich wszystkich, a oni wypadali z domów i pogrążonych w mroku uliczek i zaczęli gromadzić się wokół - wielu wiedzionych ciekawością, inni pełni współczucia, podziwu, czasem złości. Raz po raz krzyk Rorana rozchodził się echem po dolinie. Przybył Loring ze swymi synami. Z drugiej strony przyszli Birgit, Delwin i Fisk z żoną, Isold. Morn i Tara razem wyszli z gospody i dołączyli do kręgu widzów.

Gdy stanęła już przed nim większość mieszkańców Carvahall, Roran umilkł, zaciskając lewą pięść tak mocno, że paznokcie wbiły mu się w dłoń. Katrina, powtarzał w myślach. Unosząc rękę, wyprostował palce, ukazując wszystkim szkarłatne lzy ściekające ku ramieniu.

- Oto mój ból - rzekł. - Przyjrzyjcie się dobrze, bo będzie też wasz, o ile nie pokonamy przekleństwa, które zesłał nam okrutny los. Wasi przyjaciele i rodziny zostaną zakuci w kajdany, i dokonają żywota w niewoli w odległych krainach bądź też zginą na waszych oczach, rozsiekani mieczami żołnierzy. Galbatorix zasypie naszą ziemię solą, tak by na zawsze została jałowa. To właśnie widziałem. To wiem.

Krążył niczym wilk w klatce, wodząc dokoła gniewnym spojrzeniem Kołyszając głową. Słuchali go uważnie. Teraz musiał wzbudzić w nich furję dorównującą jego własnej.

- Ci bezczesciele zabili mego ojca. Mój kuzyn uciekł. Moja farma stała zniszczona. Moją przyszłą żonę porwał jej własny ojciec, który zamordował Byrda i zdradził nas wszystkich! Pożarty Quimby, spalona stodoła na siano, domy Fiska i Delwina, Parr, Wyglif, Ged, Bardrick, Farold, Hale, Garner, Kelby, Melkolf, Albem i Elmund zabici. Wielu z was odniosło rany tak jak ja i nie może dłużej utrzymać swej rodziny. Nie wystarczy, że każdego dnia naszego życia ciężko harujemy, nie wystarczy, że musimy płacić mordercze podatki Galbatorixowi, mamy jeszcze znosić te bezsensowne męki? - Roześmiał się szaleńczo prosto w niebo, podnosząc głos do krzyku. Usłyszał dźwięczący w nim obłęd.

W tłumie nikt nawet nie drgnął.

- Teraz znam prawdziwą naturę imperium i Galbatorixa. Są źli. Galbatorix to nienaturalna skaza na obliczu świata. Zniszczył Jeźdźców i najlepsze czasy spokoju i dobrobytu, jakie znały dzieje. Jego słudzy to ohydne demony zrodzone w pradawnej otchłani, ale czy Galbatorixowi wystarczy zmiżdżenie nas pod obcasem? Nie, on chce zatruć całą Alagaesie, zdusić nas ciężkim płaszczem biedy. Nasze dzieci i ich potomkowie będą żyć w mroku, aż po kres czasu zamienieni w niewolników, robactwo, szczury poddawane torturom dla jego zabawy. Chyba że...

Roran spojrział w otwarte szeroko oczy wieśniaków, świadom tego jak wielką ma nad nimi władzę. Nikt dotąd nie śmiał powiedzieć tego, co on właśnie zamierzał. Pozwolił, by głos opadł mu niemal do szeptu.

- Chyba że znajdziemy w sobie dość odwagi, by stawić opór złu. Walczyliśmy z żołnierzami i Ra'zacami, jeśli jednak będziemy czynić to samotnie, niczego nie zmienimy. Wkrótce zapomną o nas albo wywozją jak śmieci. Nie możemy tu zostać, a ja nie pozwolę, by Galbatorix stał z



powierzchni ziemi wszystko, dla czego warto żyć. Wolę raczej, by wydłubano mi oczy i odrąbano dłonie, niż żeby do tego doszło!

Wybieram walkę!

Wybieram odejście od grobu tak, by mogli się w nim pogrzebać moi wrogowie!

Wybieram odejście z Carvahall.

Przeprowadzę się przez Kościec i popłynę z Nardy statkiem do Surdy, tam dołączę do Vardenów, którzy od dziesięcioleci walczą, by uwolnić nas od tej tyranii. - Wieśniakami wstrząsnął ten pomysł. - Ale nie chcę iść sam. Chodźcie ze mną. Chodźcie i wykorzystajcie szansę zbudowania sobie lepszego życia. Odrzućcie krepujące was kajdany. - Roran wskazał ręką swych słuchaczy, wodząc wokół palcem. - Za sto lat czyje imiona zadźwięczą na ustach bardów? Horst... Birgit... Kiselt... Thane; będą recytować o nas sagi. Będą śpiewać pieśń o Carvahall, jedynej wsi dostatecznie śmiałej, by sprzeciwić się woli imperium.

W oczach Rorana zakręciły się łzy dumy.

- Cóż może być szlachetniejszego od uwolnienia Alagaesii od skazy Galbatorixa? Nie będziemy już dłużej żyli w strachu, że ktoś zniszczy nasze farmy, zabije nas czy pożre. Zachowamy dla siebie zebrane ziarno, zatrzymując podatek, który w przyszłości będziemy mogli wysłać w darze prawowitemu władcy. Rzeki i jeziora spłyną złotem, będziemy bezpieczni. szczęśliwi i tłuści. To nasze przeznaczenie.

Roran uniósł przed dłońią twarz i powoli zacisnął palce wokół krwawiącej rany. Stał tak, zgarbiony, ukrzyżowany dziesiątkami spojrzeń, i czekał na reakcję na swą mowę. Bez skutku. W końcu uświadomił sobie, że chcą, by kontynuował. Chcieli usłyszeć więcej o sprawie i przyszłości, którą im opisywał z Katriną.

I wtedy gdy poza kręgiem pochodni zapadła ciemność, Roran wyprostował się i znów zaczął mówić. Niczego nie ukrywał. Starał się jedynie sprawić, by zrozumieli jego myśli i uczucia. Aby i oni poświęcili się celowi.

- Nasza era dobiega końca. Jeśli chcemy wraz z dziećmi żyć swobodnie, musimy wystąpić naprzód i związać nasze losy z Vardenami. - W jego głosie wściekłość walczyła o lepsze ze słodyczą, cały czas jednak przemawiał z gorączkowym przekonaniem fascynującym zgromadzonych.

Gdy Roran wyczerpał już wszystkie wizje, jakie mógł przywołać, spojrzał w twarze swych sąsiadów i przyjaciół.

- Wyruszę za dwa dni - oznajmił. - Jeśli chcecie, możecie mi towarzyszyć. Tak czy inaczej, pójdę. - Skłonił głowę i wycofał się z kręgu światła.

Nad ich głowami sierp księżyca przeświecał słabo przez cienką zasłonę chmur. Lekki wietrzyk przemykał przez Carvahall. Żelazny kurek zaskrzypiał na dachu, obracając się pod wpływem powiewu.

Z tłumu wystąpiła Birgit. Stała w świetle, unosząc spódnicę, by się nie potknąć. Z onieśmiałą miną poprawiła szal.

- Dzisiaj widzieliśmy... - Urwała, pokręciła głową i zaśmiała się zakłopotana. - Trudno mi przemawiać po Roranie. Nie podoba mi się jego plan, ale wiem, że jest niezbędny, choć z innego powodu. Chcę doścignąć Ra'zaców i pomścić śmierć mojego męża. Pójdę z nim i zabiorę moje dzieci. - Gdy skończyła, także cofnęła się od pochodni.

Na minutę zapadła cisza, po czym z kręgu zebranych wystąpili Delwin i jego go żona, Lenna. Poruszyli się jednocześnie, objęci ramionami.

- Rozumiem twoje pragnienie, siostrze. My także łakniemy zemsty, ale, co ważniejsze, chcemy, by reszta naszych dzieci była bezpieczna. Z tej przyczyny także pójdziemy.

Kilka kobiet, które straciły mężów, dołączyło do nich, potakując, Wieśniacy przez chwilę szepotali między sobą, potem umilkli i znieruchomieli. Nikt nie miał ochoty poruszać tego tematu, był zbyt ważny.

Roran doskonale to rozumiał. Sam nadal starał się zanalizować wszystkie konsekwencje swojego pomysłu, W końcu Horst podszedł do pochodni i marszcząc czoło, spojrzał w płomień.

- Nie ma co teraz gadać. Potrzebujemy czasu do namysłu. Każdy musi zdecydować za siebie. Jutro... Jutro też będzie dzień. Może wszystko stanie się jaśniejsze. - Pokręcił głową, podniósł pochodnię, odwrócił i zgasił wbijając w ziemię, tak że wszyscy musieli odnaleźć drogę do domu w słabym świetle księżyca.

Roran dołączył do Albriecha i Baldora, maszerujących w dyskretnej odległości za rodzicami, tak by tamci mogli porozmawiać bez przeszkód. Żaden z braci nie patrzył na Rorana. Zaniepokojony brakiem reakcji, w końcu nie wytrzymał.

- Myślicie, że ktoś pójdzie ze mną? Czy byłem dość dobry?

Albriech zaśmiał się głośno.

- Dość dobry?

- Roranie - rzekł dziwnym głosem Baldor. - Dziś mógłbyś przekonać urgala, by zajął się uprawą ziemi.

- Nie!

- Kiedy skończyłeś, byłem gotów chwycić włócznię i popędzić za tobą w głąb Koścca. I nie byłbym w tym osamotniony. Pytanie nie brzmi „kto odejdzie?”, tylko „Kto zostanie?”. To co mówiłeś... Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego.

Roran zmarszczył brwi. Zamierzał jedynie przekonać ludzi, by przyjęli jego plan, a nie, by traktowali go jako przywódcę. Ale jeśli to konieczne... - pomyślał i wzruszył ramionami.

Niemniej jednak ta perspektywa kompletnie go zaskoczyła. Wcześniej czułby niepokój i lęk, teraz był wdzięczny za wszystko, co mogło pomóc mu uratować Katrinę i ocalić wioskę.

Baldor pochylił się do brata.

- Ojciec straci większość narzędzi.

Albriech przytaknął z powagą.

Roran wiedział, że kowale sami robią sobie narzędzia niezbędne do pracy i owe narzędzia tworzą dziedzictwo przekazywane z ojca na syna. od mistrza do czeladnika. Jedną z miar bogactwa i umiejętności kowala stanowiła liczba posiadanych narzędzi. A teraz Horst miał z nich zrezygnować. To będzie... Nie będzie trudniejsze niż to co czeka pozostałych mieszkańców, pomyślał Roran. Żałował tylko, że w ten sposób Albriech i Baldor stracą należny im spadek.

Gdy dotarli do domu, Roran od razu ruszył do sypialni Baldora i położył się. Za ścianą słyszał cichy szmer głosów Horsta i Elain. Zasnął, wyobrażając sobie podobne dyskusje toczące się w całym Carvahall, decydujący o losie wioski i wszystkich mieszkańców.

## Reperkusje

Następnego dnia rano Roran wyrwał przez okno i ujrzał dwunastu mężczyzn opuszczających Carvahall i kierujących się w stronę wodospadu Iqualda. Ziewnął i pokuśtykał na dół do kuchni.

Horst siedział samotnie przy stole, obracając w dłoniach kubek ale.

- Dzień dobry - rzucił.

Roran mruknął coś pod nosem, oderwał od leżącego na kredensu bochna piętę i usiadł na drugim końcu stołu. Jedząc, dostrzegł przekrwione oczy i potarganą brodę kowala. Odgadł, że Horst nie kładł się przez całą noc.

- Wiesz, czemu grupka ludzi idzie na...?

- Muszą pomówić z rodzinami - odparł Horst, przerywając mu. - Od świtu bez przerwy ktoś wybiega z wioski, kierując się w głąb Kościca.. - Z głośnym trzaskiem odstawił kubek. - Nie masz pojęcia, co zrobiłeś, Roranie, żądając, byśmy odeszli. W całej wsi panuje wzburzenie. Przyparłeś nas do muru, oferując tylko jedno wyjście: twoje. Niektórzy ludzie nienawidzą cię za to. Oczywiście spora część nienawidziła cię już wcześniej, z powodu tego, co na nas ściągnąłeś.

Roran poczuł w ustach smak trocin i wezbrało w nim oburzenie. To Eragon przyniósł tu kamień, nie ja!

- A pozostali?

Horst pociągnął łyk piwa i skrzywił się.

- Pozostali cię uwielbiają. Nigdy nie sądziłem, że nadejdzie dzień, gdy syn Garrowa poruszy me serce słowami. Ale tobie się to udało, chłopcze naprawdę. - Machnął nad głową sękatą ręką. - To wszystko tutaj? Zbudowałem ten dom dla Elain i moich synów, ukończenie go zabrało mi siedem lat! Widzisz tę belkę nad drzwiami? Umieszczając ją tam, zламаłem trzy palce u stopy. I wiesz co? Zostawię to wszystko z powodu tego, co wczoraj powiedziałeś.

Roran milczał. Tego właśnie chciał. Opuszczenie Carvahall było jedynym możliwym wyjściem, a skoro już raz się na nie zdecydował, nie widział powodu, by zadreć się wyrzutami sumienia i żalem. Decyzja zapadła, Bez słowa skargi przyjmę to co się stanie, nieważne jak będzie okropne, bo to nasza jedyna ucieczka przed imperium, myślał.

- Ale - Horst pochylił się, wsparty na łokciu, czarne oczy płonęły pod krzaczastymi brwiami - zapamiętaj, że jeśli rzeczywistość nie dorówna wspaniałym wizjom, które przywołałeś, będziesz miał wiele do spłacenia. Jeśli dasz ludziom nadzieję, a potem ją odbierzesz, oni cię zniszczą.

Ta perspektywa nie wzruszyła Rorana. Jeżeli dotrzemy do Surdy, buntownicy powitają nas jak bohaterów. Jeśli nie, nasza śmierć spłaci wszystkie długi.

- Gdzie jest Elain? - spytał, kiedy kowal skończył.

Horst skrzywił się.

- Za domem. - Wstał i przyglądał tunikę na masywnych ramionach. - Muszę iść uprzątnąć kuźnię i zdecydować, które narzędzia zabiorę ze sobą Resztę ukryję bądź zniszczę. Imperium nie zarobi na mojej pracy.

- Pomogę ci. — Roran odsunął krzesło.

- Nie — odparł szorstko Horst. - To coś, co mogę zrobić wyłącznie z Albriechem i Baldorem. Ta kuźnia to całe moje życie, podobnie ich obu. A zresztą z tą ręką na niewiele byś się nam zdał. Zostań tu, przydasz się Elain.

Po wyjściu kowala Roran otworzył boczne drzwi. Elain, pogrążona w rozmowie z Gertrudę, stała obok wielkiego stosu drewna; Horst cały rok pilnował, by nie zabrakło drwa na opał. Uzdrawicielka podeszła do Rorana i dotknęła jego czoła.

- Ach, po wczorajszych wydarzeniach bałam się, że może masz gorączkę. Członkowie twojej rodziny zdrowieją niewiarygodnie szybko. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, gdy Eragon zaczął chodzić zaledwie dwa dni po tym, jak otarł sobie nogi do żywego ciała. - Roran

zesztywniał na wzmiankę o kuzynie, Gertrude jednak nic nie zauważyła. - Zobaczmy jak tam twoje ramię, zgoda?

Pochylił głowę tak, by uzdrowicielka mogła sięgnąć do jego karku i odwiązać supeł przytrzymujący temblak. Ostrożnie opuścił prawą rękę usztywnioną między łóbkami, prostując ją. Gertrude wsunęła palce pod okrywający ranę opatrunek i zerwała go szybkim ruchem.

- O rany - mruknęła.

W powietrzu rozeszła się ostra, dławiąca woń. Roran zacisnął zęby, czując wzbierającą w gardle żółć. Spojrzał w dół. Skóra pod opatrunkiem zbieleła i zmiękła, stała się gąbczasta niczym olbrzymie znamię z ciała pędraka. Samą ranę po ugryzieniu zaszyto, gdy był nieprzytomny, widział zatem jedynie zygzakowatą różową linię; z przodu ramienia pokrywała ją zaschnięta krew. Opuchlizna i zaczerwienienie sprawiły, że skręcony katgut wstrzymał się głęboko w ciało, a z rany wypływały krople przejrzystego płynu

Gertrude zacmokała, badając go uważnie, po czym ponownie nałożyła bandaż i spojrzała Roranowi prosto w oczy.

- Goi się nieźle, ale może wdać się zakażenie. Jeszcze nie wiem. Jeśli do niego dojdzie, będę musiała wypalić ci ranę.

Roran skinął głową.

- Czy kiedy ręka wyzdrowieje, będzie sprawna?

- O ile mięsień zrośnie się tak, jak powinien. Zależy też od tego, do czego jej potrzebujesz.

Musisz...

- Czy będę mógł walczyć?

- Jeśli chcesz walczyć - odparła powoli Gertrude - proponuję, byś nauczył się posługiwać lewą ręką.

Poklepała go po policzku i pośpieszyła z powrotem do swej chaty.

Moja ręka. Roran wpatrywał się w zabandażowaną kończynę, jakby nie należała już do niego. Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo i jego poczucie tożsamości wiąże się ze stanem całego ciała. Rana fizyczna powodowała ranę duszy i odwrotnie. Roran szczyił się swym ciałem i jego uszkodzenie wywołało atak paniki. Zwłaszcza że miało być trwałe. Nawet jeśli odzyska władzę w ręce, na zawsze pozostanie mu szeroka blizna, pamiątka po obrażeniach.

Elain wzięła Rorana za rękę i poprowadziła z powrotem do domu. Tam wrzuciła poszarpane listki mięty do czajnika i ustawiła go na kuchni.

- Ty naprawdę ją kochasz, prawda?

- Co takiego? - Spojrzał na nią zdumiony.

Elain położyła dłoń na wydętym brzuchu.

- Katrinę. - Uśmiechnęła się. — Nie jestem ślepa. Wiem, co dla niej zrobiłeś, i jestem z ciebie dumna. Nie każdy mężczyzna posunąłby się tak daleko.

- To nie będzie miało znaczenia, jeśli nie zdołam jej uwolnić.

Czajnik zaczął głośno gwizdać.

- Zdołasz, jestem tego pewna. Tak czy inaczej - Elain naląła mu do kubka naparu z mięty - lepiej zaczniemy już przygotowania do podróży. Najpierw sprawdzę kuchnię. Tymczasem, czy ty zechcesz pójść na górę i przynieść mi wszystkie ubrania, pościel i inne rzeczy, które mogłyby się przydać?

- Gdzie mam je położyć? - spytał Roran.

- Może być w jadalni.

☆☆☆

Ponieważ góry były zbyt strome, a las za gęsty dla wozów, Roran zrozumiał, że będą musieli ograniczyć bagaż do tego, co zdołają unieść sami. a także włączyć na grzbiety dwóch koni Horsta. W dodatku jednego z nich nie mogli zanadto obciążać, tak by wystarczyło miejsca dla Elain, gdy szlak stanie się zbyt trudny dla ciężarnej kobiety.

Sytuację komplikował dodatkowo fakt, że część rodzin w Carvahall nie miała dość wierzchowców, by wystarczyć im zarówno do niesienia zapasów, jak i zbyt młodych, starych i niesprawnych, którzy nie zdołają dotrzymać kroku reszcie grupy. Wszyscy musieli dzielić się swymi zapasami. Pytanie jednak brzmiało: Z kim? Wciąż jeszcze nie wiedzieli, kto oprócz Birgit i Delwina wyruszy w drogę.

Kiedy więc Elain skończyła pakować te przedmioty, które uznała za absolutnie niezbędne - głównie jedzenie i koce - wysłała Rorana, by dowiedział się, czy ktoś potrzebuje dodatkowego miejsca, a jeśli nie, to czy mogliby jej go użyczyć. Pozostało bowiem mnóstwo mniej ważnych przedmiotów, które pragnęła zabrać, jeśli znajdzie dla nich transport.

Mimo krążących pośpiesznie po ulicach ludzi, w Carvahall panowała ciężka, wymuszona cisza, nienaturalny spokój kontrastujący z gorączkową aktywnością panującą w domach. Niemal wszyscy poruszali się w milczeniu, ze spuszczoneymi głowami, pogrążeni w myślach.

Gdy Roran zjawił się pod domem Orwała, musiał przez niemal minutę tłuc kołatką, nim farmer mu otworzył.

- A to ty, Młotoręki. - Orval wyszedł na werandę. - Przepraszam, że musiałeś czekać, byłem zajęty. Czym mogę służyć? - Uderzał w otwartą dłoń długą, czarną fajką i zaczął obracać ją nerwowo w palcach.

Z domu dobiegł łoskot przesuwanych gwałtownie krzesel i brzęk rondli i garnków.

Roran szybko wyjaśnił propozycję i prośbę Elain. Orval zmrużył oczy i spojrzął w niebo.

- Szacuję, że mam miejsce akurat na moje własne rzeczy. Popytaj innych, a jeśli wciąż będziesz go potrzebował, jest jeszcze para wołów, które zdołają unieść nieco więcej.

- A zatem idziecie z nami?

Farmer przestąpił z nogi na nogę.

- No, tego nie powiedziałem. Po prostu... szykujemy się na wypadek kolejnego ataku.

- Ach tak.

Zdumiony Roran pokuśtykał do domu Kiselta. Wkrótce odkrył, że nikt nie chce przyznać, że zdecydował się odejść - mimo że Roran wyraźnie widział czynione przez mieszkańców przygotowania.

I wszyscy traktowali Rorana z szacunkiem, który dziwnie go drażnił. Był widoczny w drobnych gestach: wyrazach współczucia z powodu nieszczęścia, jakie go spotkało, pełnej uszanowania ciszy, gdy się odzywał, i pomrukach aprobaty, gdy coś mówił. Zupełnie jakby niedawne czyny dźwignęły Rorana na piedestał i zastraszyły ludzi, których znał od dzieciństwa, tworząc między nimi dystans.

Jestem napiętnowany, pomyślał Roran, kuśtykając w błocie. Zatrzymał się na skraju kałuży i pochylił, by obejrzeć swe oblicze, ciekaw, czy zdoła dostrzec, czym różni się od innych.

Ujrzał mężczyznę w obszarpanym, poplamionym krwią ubraniu, człowieka o zgarbionych plecach i zgiętej ręce przywiązanej do piersi. Policzki i szyję porastał mu kilkudniowy, szorstki zarost. Potargane włosy tworzyły wokół głowy brudną, splecioną aureolę. Najbardziej przerażające jednak były oczy, głęboko zapadnięte i nadające twarzy udręczony wyraz. Wgłębi owych dwóch ponurych otworów lśniły źrenice, płonące niczym stopiona stal, pełne tęsknoty, wściekłości i obsesyjnego pragnienia zemsty. Usta Rorana wykrzywiły się w uśmiechu, przez co jego oblicze nabrało jeszcze bardziej upiornego wyglądu. Podobało mu się to, odzwierciedlało jego uczucia. Teraz zrozumiał, jak udało mu się wpłynąć na wieśniaków, Obnażył zęby. Mogę wykorzystać ten wygląd, użyć go do zniszczenia Ra'zaców. Unosząc głowę, podreptał dalej ulicą, zadowolony z siebie.

W tym momencie podszedł do niego Thane i mocno uściśnął lewe przedramię Rorana.

- Młotoręki! Nie wiesz nawet, jak mnie cieszy to spotkanie.

- Cieszy? - Roran zastanawiał się, czy w ciągu jednej nocy cały świat wywrócił się do góry nogami.

Thane energicznie pokiwał głową.

- Odkąd zaatakowaliśmy żołnierzy, wszystko wydawało mi się beznadziejne. Z bólem przyznaję, że tak było. Serce cały czas tłukło mi się w piersi, jakbym miał runąć w głąb studni. Trzęsły mi się

ręce, czułem się okropnie. Miałem wrażenie, jakby ktoś mnie otruił! To było gorsze niż śmierć. Ale to, co powiedziałaś wczoraj, natychmiast mnie uleczyło, pozwoliło odnaleźć cel i sens istnienia tego świata! Ja... nie potrafię nawet wyjaśnić, przed jaką grozą mnie ocaliłaś. Masz we mnie dłużnika. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, proś, a pomogę.

Wzruszony Roran także uściśnął ramię farmera.

- Dziękuję, Thane, dziękuję.

Tamten pochylił głowę, w oczach miał łzy. Wypuścił Rorana i zostawił go stojącego samotnie pośrodku ulicy.

Co ja takiego zrobiłem?

## Exodus

Gdy tylko Roran otworzył drzwi Siedmiu snopów, karczmy Morna, uderzyła go ściana ciężkiego, zadymionego powietrza. Zatrzymał się pod rogami urgala przybitymi nad wejściem, czekając, aż wzrok przywyknie do panującego wewnątrz półmroku.

- Jest tu kto?! - zawołał.

Drzwi zaplecza otwały się z trzaskiem. Wymaszerowała z nich Tara, tuż za nią dreptał Morn. Oboje spojrzeli gniewnie na Rorana. Tara oparła masywne pięści na biodrach.

- Czego tu chcesz? - rzuciła nieprzyjaźnie.

Roran wpatrywał się w nią przez moment, próbując ustalić powód tej wrogości.

- Postanowiliście już, czy będziecie mi towarzyszyć w wyprawie przez Kościec?

- To nie twoja sprawa - warknęła Tara.

Wprost przeciwnie. Z trudem powstrzymał cisnące się na usta słowa.

- Jeśli chcecie odejść, Elain pyta, czy macie w swych workach wolne miejsce na parę drobiazgów albo czy sami potrzebujecie dodatkowego miejsca. - Ona...

- Dodatkowego miejsca?! - wybuchnął Morn. Machnął ręką w stronę ściany za szynkwasem, pod którą ustawiono dębowe beczki. - Mam tu dwanaście opakowanych w słomę baryłek najczystszej zimowej ale przechowywanych w idealnej temperaturze przez pięć ostatnich miesięcy. To ostatnia porcja uwarzona przez Quimby'ego. Co mam z nim zrobić Albo z zapasami piwa i porteru. Jeśli je tu zostawię, żołnierze rozprawią się z nimi w tydzień albo rozbiją beczki i wyleją piwo na ziemię, tak że skosztują go tylko robaki i pędraki. Och! - Karczmarz usiadł, załamując ręce i kręcąc głową. - Dwanaście lat pracy! Od dnia śmierci ojca kierowałem karczmą tak jak on wcześniej, dzień w dzień. A potem ty i Eragon napytaliście wszystkim kłopotów. To... - Urwał, oddychając z trudem, i otarł rąbką rękawa opuchniętą od łez twarz.

- Już, już dobrze. — Tara objęła męża ramieniem, po czym uniosła oskarżycielsko palec ku twarzy Rorana. - Kto dał ci prawo poruszać całe Carvahall swymi wymyślnymi słowami? Jeśli odejdziemy, jak mój biedny mąż zarobi na życie? Nie może zabrać ze sobą swej pracy, tak jak Horst czy Gedric. Nie może przykucnąć w pustym polu i zacząć je uprawiać jak ty.

- To niemożliwe! Wszyscy odejdą, a my zostaniemy i umrzemy z głodu. Jeśli i my odejdziemy, też umrzemy z głodu. Zrujnowałeś nas!

Roran powiódł wzrokiem od zarumienionej, gniewnej twarzy Tary, do zrozpaczonego oblicza Morna. Odwrócił się i otworzył drzwi. Zatrzymał się na progu.

- Zawsze uważałem was za przyjaciół - rzekł cicho. - Nie pozwolę, żebyście zginęli z ręki żołnierzy imperium.

Wyszedł na dwór, ciasniej owinął się kamizelą i ruszył naprzód, zostawiając za sobą karczmę, głęboko zatopiony w myślach.

Przystanął przy studni Fiska, by się napić, i odkrył, że obok stoi Birgit Przez chwilę patrzyła, jak zмага się, jedną ręką kręcąc kolbą, po czym zajęła jego miejsce i wciągnęła na górę cebrzyk, który podała Roranowi. Pociągnął łyk zimnej wody.

- Cieszę się, że idziesz z nami - rzekł, oddając jej cebrzyk.

Birgit zmierzyła go spokojnym spojrzeniem.

- Widzę siłę, która cię napędza, Roranie, bo mnie także nie pozwala ustać w miejscu. Oboje pragniemy odnaleźć Ra'zaców. Gdy jednak to zrobimy, będziesz musiał zapłacić za śmierć Quimby'ego. Nigdy o tym nie zapominaj. - Wepchnęła pusty cebrzyk z powrotem do studni i pozwoliła, by opadł swobodnie. Kolba zawirowała szaleńczo. W sekundę później usłyszeli głuchy plusk.

Roran uśmiechnął się, patrząc, jak Birgit odchodzi. Jej deklaracja bardziej go ucieszyła, niż zaniepokoiła. Wiedział, że nawet gdyby wszyscy inni w Carvahall mieli porzucić obrany cel bądź zginąć, Birgit pomoże mu w łowach na Ra'zaców. Potem jednak - jeśli będzie jakieś potem - będzie musiał zapłacić jej cenę albo ją zabić. Tylko tak rozstrzygało się podobne sprawy.

☆☆☆

Wieczorem Horst i jego synowie wrócili do domu, niosąc dwa niewielkie tobołki zawinięte w natuszczony materiał.

- To wszystko? - spytała Elain.

Horst skinął głową. Położył zawiniątka na stole i rozpakował, ukazując cztery młoty, trzy pary cęgów, zacisk, średni miech i trzyfuntowe kowadło.

Podczas obiadu Albriech i Baldor opowiadali o potajemnych przygotowaniach czynionych przez wielu wieśniaków. Roran słuchał z uwagą, starając się zapamiętać, kto komu pożyczył osła, kto nie zdradzał oznak przygotowań do wyjazdu, a kto mógłby potrzebować pomocy.

- Największym problemem - oznajmił Baldor - jest żywność. Nie udźwigniemy zbyt wiele, a w Kościecu trudno będzie upolować dość zwierzyny, by wykarmić dwieście czy trzysta osób.

- Mhm. - Horst, mając usta pełne fasoli, pokiwał przecząco palcem. Przełknął głośno. - Nie, łowy tu nie pomogą, musimy zabrać ze sobą stada. W sumie mamy dość owiec i kóz, by wykarmić wszystkich przez miesiąc albo dłużej.

Roran uniósł nóż.

- Wilki.

- Bardziej martwi mnie, jak dopilnujemy tych wszystkich zwierząt w lesie - odparł Horst. - Przeganianie stad będzie prawdziwą męką.

☆☆☆

Cały następny dzień Roran spędził, pomagając wszystkim, którym zdołał. Nie odzywał się zbyt często i generalnie pozwalał, by ludzie widzieli, że pracuje dla dobra wioski. Późnym wieczorem padł na łóżko wyczerpany, lecz pełen nadziei.

Świt rozdarł zasłonę snów i Roran przebudził się z poczuciem, że oto nadszedł ów ważny dzień, na który tak długo czekali. Zszedł na palcach na dół, wyszedł na dwór i zapatrzył się na zamglone góry, chłonąc poranną ciszę. W powietrzu widział biały obłok swego oddechu, nie marzył jednak, bo serce biło mu jak młotem z powodu lęku i niecierpliwości.

Po zjedzonym w milczeniu śniadaniu Horst wyprowadził konie przed dom. Roran pomógł Albriechowi i Baldorowi załadować na nie juki i inne tobołki z zapasami. Następnie podniósł własny worek i syknął, gdy skórzany pas nacisnął na ranę.

Horst zamknął drzwi domu i przez moment stał z dłonią opartą na stalowej gałce. Potem ujął rękę Elain.

- Ruszajmy - rzekł.

Wędrując przez Carvahall, Roran widział ponure rodziny zebrane przy domach obok stosów dobytku i stad hałaśliwych zwierząt. Obserwował owce i psy z workami przywiązanymi do grzbietów, zapłakane dzieci dosiadające osłów, i widział zaimprovizowane sanie przyczepione do koni i obwieszane klatkami z trzepoczącymi skrzydłami kurami. Widział efekt swej przemowy i nie wiedział: śmiać się czy płakać.

Dotarli na północny skraj Carvahall i zatrzymali się, czekając na innych. Minęła minuta. Z boku podeszła do nich Birgit w towarzystwie Nolfavrella i jego młodszego rodzeństwa. Birgit powitała Horsta i Elain, i ustawiła się nieopodal.

Zza palisady wyłonili się Ridley i jego rodzina, przed sobą gnali ponad setkę owiec ze wschodniego zbocza doliny Palancar.

- Uznałem, że lepiej będzie zabrać je z Carvahall - huknął Ridley, przekrzykując beczące zwierzęta.

- Dobrze pomyślałeś - odparł Horst.

Następnie zjawił się Delwin, Lenna i ich pięcioro dzieci; Orval z rodziną; Loring z synami: Calitha i Thane, który uśmiechnął się szeroko do Rorana; i wreszcie klan Kiselta. Niedawno owdowiałe kobiety, takie jak Nolla, stłoczyły się wokół Birgit. Gdy słońce wynurzyło się znad wierzchołków gór, większość mieszkańców wioski zebrała się pod palisadą. Ale nie wszyscy.



Wciąż nie zjawili się Morn, Tara i kilkanaście innych osób. A gdy Roran ujrzał Ivora, zobaczył, że przybył on z pustymi rękami.

- Zostajesz - rzekł Roran.

Ominął stadko rozeźlonych kóz, które próbowała uspokoić Gertrude.

- Owszem — odparł Ivor; w jego głosie zabrzmiało znużenie i rezygnacja.

Zadrżał, splótł na piersi kościste ręce i spojrzał wprost we wschodzące słońce, unosząc głowę tak, by pochwycić promienie.

- Svart odmówił wyjazdu. Ha! Namawianie go, by udał się w głąb Kościca, przypomina rzeźbienie w poprzek słoju. Ktoś musi się nim zająć, a że ja nie mam dzieci... - Wzruszył ramionami. - Wątpię zresztą, bym zdołał się rozstać z moją farmą.

- Co zrobisz, gdy przybędą żołnierze? - Stanę do walki, którą zapamiętają do końca życia.

Roran zaśmiał się ochryple i klepnął Ivora w ramię, starając się usilnie nie myśleć o losie, jaki - jak obaj wiedzieli - czekał wszystkich, którzy zostaną.

Do gotowej do wyjazdu grupy podszedł chudy mężczyzna w średnim wieku, Ethlbert.

- Jesteście głupcami! - krzyknął i ludzie odwrócili się do niego. - Do tej pory zachowywałem spokój w obliczu tego obłędu, ale nie podążę za oszalałym wariatem! Gdyby nie oślepiły was jego słowa, dostrzeżlibyście, że prowadzi was na śmierć. Ale ja nie pójdę! Wolę zaryzykować, spróbować przemknąć się obok żołnierzy i poszukać schronienia w Therinsfordzie. To przynajmniej nasi ludzie, a nie barbarzyńcy, których znajdziecie w Surdzie. - Splunął na ziemię, odwrócił się na pięcie i odmaszerował.

Roran przebiegł wzrokiem tłum w obawie, że Ethlbert mógł przekonać kogoś do powrotu. Z ulgą odkrył, że ludzie jedynie mamroczą między sobą. Mimo wszystko wolał nie zwlekać, nie dawać im szansy, żeby zmienili zdanie.

- Ile jeszcze powinniśmy zaczekać? - spytał cicho Horsta. - Albriechu, weź Baldora i pobiegnijcie przez wioskę, sprawdźcie, czy boś jeszcze przyjdzie. Jeśli nie, ruszamy.

Bracia popędzili w dwie przeciwne strony.

W pół godziny później Baldor powrócił z Fiskiem, Isold i ich pożyczonym koniem. Isold zostawiła swego męża i pośpieszyła do Horsta, odpędzając gestem każdego, kto stanął jej na drodze, nieświadoma faktu, że większość włosów wymknęło jej się z koka, stercząc na wszystkie strony. Zatrzymała się, dysząc głośno.

- Przykro mi, że przychodzimy tak późno, ale Fisk nie potrafił zamknąć warsztatu. Nie umiał wybrać odpowiednich hebli i strugów. - Zaśmiała się głośno, niemal histerycznie. - Zupełnie jakbym oglądała kota otoczonego stadkiem myszy i próbującego zdecydować, którą ma ścigać. Najpierw ta, potem tamta.

Na wargach Horsta zatańczył cierpki uśmieszek.

- Doskonale to rozumiem.

Roran wyciągnął szyję, wypatrując Albriecha. Na próżno. Zazgrzytał zębami.

- Gdzie on jest?

Horst klepnął go po plecach.

- Zdaje mi się, że tam.

Albriech zbliżał się, maszerując między domami, na plecach dźwigał trzy baryłki piwa. Jego twarz miała tak żaloszny wyraz, że Baldor i kilku innych mężczyzn zaśmiało się w głos. Po obu stronach Albriecha szli Morn i Tara, potykający się pod ciężarem olbrzymich worków, podobnie osioł i dwie kozy, które ciągnęli za sobą. Ku zdumieniu Rorana zwierzęta objuczono kolejnymi baryłkami.

- Nie wytrzymają nawet mili! - Roran poczuł gniew z powodu bezmyślności tej rodziny. - I zabraknie im prowiantu. Oczekują, że będziemy ich karmić czy...?

Horst zaśmiał się i uciszył go gestem.

- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się jedzeniem. Piwo Morna wzmocni tylko morale, a to warto więcej niż kilka dodatkowych posiłków. Sam zobaczysz.

Gdy tylko Albriech uwolnił się od baryłek, Roran podszedł do niego i jego brata.

- To wszyscy? - spytał.

Gdy potwierdzili, zaklął i uderzył się pięścią w udo. Oprócz Ivora trzy rodziny postanowiły zostać w dolinie Palancar: Ethlberta, Parra i Knute'a. Nie mogą ich zmusić do wyjazdu, pomyślał i westchnął. - W porządku, nie ma sensu czekać dłużej.

Wszystkim wieśniakom udzieliło się podniecenie - w końcu nadeszła ta chwila. Horst wraz z piątką innych mężczyzn odciągnęli na bok kłody i przerzucili deski nad rowem, by ludzie i zwierzęta mogli go pokonać.

Horst machnął ręką.

- Chyba powinieneś pójść pierwszy, Roranie.

- Zaczekajcie. - Fisk podbiegł do nich i z wyraźną dumą wręczył Roranowi poczerńnięty sześcioramienny kij z drewna głogu, zwieńczony węzłem oczyszczonych i wygładzonych korzeni, a u dołu okuty błękitną stalą zakończoną tępym szpikulcem. - Zrobiłem ją wczoraj w nocy - oznajmił cieśla. Pomyślałem, że ci się przyda.

Roran przesunął lewą dłoń po drewnie, zachwycając się jego gładkością.

- Nie mógłbym marzyć o niczym lepszym. Jesteś mistrzem w swoim fachu. Dziękuję.

Fisk uśmiechnął się szeroko i wycofał.

Świadom, że spoczywają na nim spojrzenia wszystkich zgromadzonych, Roran zwrócił się ku górcom i wodospadowi Igualda. Uciskane szerokim rzemieniem ramię zapulsowało boleśnie. Za plecami miał kości ojca i wszystko, co znał przez całe życie. Przed nim rozciągały się poszarpane granie sięgające wysoko ku jasnemu niebu, zagradzające mu drogę i utrudniające osiągnięcie celu. On jednak nie zamierzał się poddać. Ani oglądać za siebie.

Katrina.

Unosząc wysoko głowę, Roran ruszył naprzód. Jego laska postukiwała o twarde deski, gdy przeszedł przez rów i opuścił Carvahall, prowadząc mieszkańców wioski.

## *Na skałach Tel'naeir*

*Lup.*

Jasny niczym ogniste słońce smok wisiał przed Eragonem i pozostałymi osobami, stojącymi pod skałami Tel'naeir, omiatając ich uderzeniami powietrza spod potężnych skrzydeł. Zdawało się, że jego ciało płonie: - to jasne promienie świtu odbijały się w złocistych łuskach, zalewając ziemię i drzewa oślepiającą kaskadą światła. Był znacznie większy od Saphiry, dość wielki, by liczyć sobie kilkaset lat. Miał też odpowiednio masywniejszą szyję, nogi i ogon. Na jego grzbiecie siedział Jeździec; śnieżnobiała szata odbijała się jasną plamą od płomienistych łusek.

Eragon padł na kolana, unosząc twarz.

*Nie jestem sam...*

Zalała go fala podziwu i ulgi. Nie będzie musiał samotnie dźwigać brzemienia odpowiedzialności za Vardenów i Galbatorixa. Oto miał przed sobą strażników dawnych tradycji, wskrzeszonych z otchłani czasu po to, by go poprowadzić. Żywy symbol, świadectwo historii, na których się wychował. Oto jego mistrz, żywa legenda!

Smok odwrócił się, by wylądować, i Eragon zachłysnął się głośno. Lewa przednia noga smoka została odrąbana, pozostał po niej tylko żaloszny biały kikut. Do oczu chłopca napłynęły łzy.

Na szczyt wzgórza posypał się deszcz suchych gałązek i liści, gdy smok osiadł pośród słodkiej koniczyny i złożył skrzydła. Jeździec ostrożnie zsiadł ze swego wierzchowca, zsuwając się po ocalałej prawej przedniej nodze smoka, i podszedł do Eragona, splatając przed sobą dłonie. Był to elf o srebrnych włosach, niewiarygodnie stary, choć jedyną oznakę wieku stanowiły głęboki żal i współczucie odcisnięte w rysach pięknej twarzy.

- Osthato Chetowa - rzekł Eragon. - Mędrzec w Smutku Pograżony... Kazałeś mi i przybyłem. - Nagle wzdrygnął się, przypominając sobie o nakazach dobrego wychowania, i pośpiesznie dotknął ust. - Atra esterni ono thelduin.

Jeździec uśmiechnął się, ujął ramiona Eragona i podniósł go, patrząc nań z taką czułością, że Eragon nie był w stanie odwrócić wzroku. Pochłonęła go bezdenna głębia oczu elfa.

- Me właściwe imię brzmi Oromis, Eragonie Cieniobójco.

- Wiedziałaś - szepnęła Islanzadi; jej twarz przez moment zdradzała ból który jednak szybko przerodził się w furję. - Wiedziałaś o istnieniu Eragona i mi nie powiedziałaś. Czemu mnie zdradziłaś, Shur'tugalu?

Oromis uwolnił Eragona i spojrzał na królową.

- Milczałem, bo nie byłem pewien, czy Eragon bądź Arya pożyją wystarczająco długo, by tu dotrzeć. Nie chciałem dawać ci kruchej nadziei, która w każdej chwili mogła okazać się ułudą.

Islanzadi obróciła się gwałtownie i płaszcz z łabędzich piór wydał się niczym skrzydła.

- Nie miałaś prawa zatrzymywać dla siebie podobnych informacji! Mogłam posłać wojowników, którzy chroniliby Aryę, Eragona i Saphirę w Farthen Durze i odeskortowali ich tu bezpiecznie.

Oromis uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie ukrywałem przed tobą niczego, Islanzadi, prócz tego, czego sama nie chciałaś dostrzec. Gdybyś wciąż postrzegała krainy poza naszym lasem tak, jak nakazuje ci to obowiązek, odnalazłabyś szybko źródła chaosu, który ogarnął Alagaesię, i poznała prawdę o Aryi i Eragonie. Zrozumiałe, że w swej rozpaczce mogłaś zapomnieć o Vardenach i krasnoludach. Ale o Bromie? Vinr Alfakyn? Ostatnim z przyjaciół elfów? Byłaś ślepa, Islanzadi i źle pełniłaś obowiązki władcy. Nie mogłem ryzykować, że jeszcze bardziej pograżysz się w żalu, i narażać cię na kolejną stratę.

Furia Islanzadi minęła szybko. Królowa pochyliła głowę, jej ramiona opadły.

- Tak bardzo skarłałam - szepnęła.

Eragona otoczył obłok gorącego, wilgotnego powietrza. To złoty smok pochylił się, by przyjrzeć mu się okiem, które lśniło i płonęło jasnym ogniem.

*Bądź pozdrowiony, Eragonie Cieniobójco. Ja jestem Glaedr.*

Jego głos - jego, bo niewątpliwie był to samiec - zagrział, wstrząsając umysłem Eragona niczym ryk górskiej lawiny.

Eragon mógł jedynie w odpowiedzi dotknąć palcami warg.

*To dla mnie zaszczyt.*

Następnie Glaedr skupił swą uwagę na Saphirze. Smoczyca czekała nieruchomo, sztywno wyginając szyję, podczas gdy Glaedr obwąchiwał jej policzek i krawędź skrzydła. Eragon dostrzegł, jak napięte mięśnie nóg Saphiry drżą.

*Pachniesz ludźmi - oznajmił Glaedr - I wiesz o swej rasie tylko tyle, ile nauczyli cię ludzie. Ale masz serce prawdziwego smoka.*

Podczas owej niemej rozmowy Orík powitał Oromisa.

- Zaprawdę, wykracza to poza wszystko o czym mogłem marzyć i czego oczekiwać. Jesteś radosną niespodzianką w tych mrocznych czasach, Jeźdźcze. - Przycisnął pięść do serca. - Jeśli nie uznasz tego za zuchwałość, w imieniu mego króla i klanu poproszę cię o coś, tak jak każe zwyczaj naszego ludu.

Oromis skinął głową.

- A ja spełnię tę prośbę, jeśli to będzie leżeć w mej mocy.

- Zatem powiedz, czemu pozostałeś w ukryciu przez te wszystkie lata? Byłeś bardzo potrzebny, Argetlamie.

- Ach - mruknął Oromis. - Wiele smutków istnieje na tym świecie, a jednym z największych jest nie móc pomóc cierpiącym. Nie mogłem jednak ryzykować opuszczenia sanktuarium, gdybym bowiem zginął przed wykluciem jednego z jaj skradzionych przez Galbatorixa, wówczas nie pozostałby nikt, kto mógłby przekazać nasze tajemnice nowemu Jeźdźcowi, i jeszcze trudniej przyszedłoby pokonanie wroga.

- To był ów powód? - Orík niemal wypluł to zdanie. - To słowa tchórza! Jaja mogły się nigdy nie wykluć.

Zapadła śmiertelna cisza.

Jedynie Glaedr warknął cicho.

- Gdybyś nie był moim gościem - oznajmiła Islanzadi - sama powaliłabym cię za tę obrazę.

Oromis rozłożył ręce.

- Ależ nie, nie czuję się obrażony, to naturalna reakcja. Zrozum jednak, Oríku, że Glaedr i ja nie możemy walczyć. Glaedr stracił nogę, a ja - dotknął boku swej głowy - ja także jestem okaleczony. Gdy byłem jeńcem, Zaprzysiężeni zniszczyli coś we mnie i choć wciąż mogę uczyć siebie i innych, nie potrafię już zapanować nad magią poza drobnymi zaklęciami. Moc umyka mi, nieważne jak bardzo się staram. W bitwie byłbym gorzej niż bezużyteczny; osłabiałbym swych sojuszników, a wróg z łatwością mógłby mnie schwytać i wykorzystać przeciwko wam. Usunąłem się zatem spod wpływu Galbatorixa dla dobra wielu, choć bardzo pragnąłem otwarcie stawić mu czoło.

- Kaleka Uleczony, na ciele, lecz nie na duchu - mruknął Eragon.

- Wybacz mi - szepnął wstrząśnięty Orík.

- To nie ma znaczenia. - Oromis położył dłoń na ramieniu Eragona.

- Islanzadi Dróttning, czy mogę odejść?

- Idź - odparła ze znużeniem. - Idź i znikaj mi z oczu.

Glaedr przywarł do ziemi i Oromis zrećźnie wdrapał się po jego nodze na siodło.

- Eragonie i Saphiro, chodźcie z nami. Mamy wiele do omówienia.

Złoty smok zeskoczył z urwiska i zatoczył krąg nad ich głowami, wznosząc się z wiatrem.

Eragon i Orík z powagą uścisnęli sobie ręce.

- Przynieś zaszczyt naszemu klanowi - rzekł krasnolud.

Gdy Eragon dosiadł Saphiry, czuł się, jakby właśnie wyruszał w długą podróż. Miał wrażenie, że powinien pożegnać się z tymi, których pozostawiał na ziemi. Zamiast tego spojrzął na Aryę i uśmiechnął się, pokazując jej swój zachwyt i radość. Elfka lekko zmarszczyła brwi, jakby coś ją zaniepokoiło. A potem zniknął jej z oczu, uniesiony w niebo przez niecierpliwą, pełną zapału Saphirę. Dwa smoki podążyły razem wzdłuż białego urwiska, zmierzając na północ. Przez

kilkanaście mil towarzyszył im jedynie łopot ich skrzydeł. Saphira leciała przed Glaedrem. Jej entuzjazm udzielił się też Eragonowi, wzmacniając jego własne uczucia.

Wylądowali na innej polanie na skraju urwiska, w miejscu gdzie ściana skał znikwała w ziemi. Stara ścieżka wiodła z urwiska aż do drzwi niskiej chaty wyrastającej między pniami czterech drzew, z których jedno wznosiło się nad strumieniem wypływającym z mrocznych ostępów lasu. Glaedr nie mógł wejść do środka - cała chata z łatwością zmieściłaby się w jego potężnej piersi.

- Witajcie w moim domu. - Oromis wylądował na ziemi z niezwykłą gracją. - Mieszkam tu na skraju skał Tel'naei'r, ponieważ dzięki temu mogę w spokoju rozmyślać i studiować. Mój umysł pracuje lepiej z dala od Ellesmery i obecności innych. Zniknął w chacie, by po chwili powrócić z dwoma stołkami i z flaszkami czystej, zimnej wody, dla siebie i Eragona. Eragon pociągnął łyk, podziwiając wspaniały widok na Du Veldenvarden i próbując ukryć swój podziw i zdenerwowanie. Czekał, aż elf przemówi pierwszy.

*Siedzę obok innego Jeźdźca!*

U boku Eragona przycupnęła Saphira, wbijając wzrok w Glaedra i powoli ugniatając szponami ziemię. Przerwa w rozmowie przeciągała się coraz bardziej. Mijały minuty... pół godziny... godzina. Doszło do tego, że Eragon zaczął odmierzać upływ czasu zmianą położenia słońca. Z początku w jego umyśle aż kipiało od pytań, w końcu jednak przerodziły się one w spokojną akceptację. Wystarczała mu obserwacja upływającego dnia.

Dopiero wtedy Oromis wreszcie się odezwał.

- Nauczyłeś się już doceniać cierpliwość. To dobrze.

Dopiero po chwili Eragon odnalazł swój głos.

- Nie można w pośpiechu skradać się do sarny.

Oromis opuścił flaszkę.

- To prawda. Pokaż mi swoje ręce; przekonałem się, że wiele mówią o danej osobie. - Eragon zdjął rękawice i pozwolił elfowi chwycić się za przeguby szczupłymi palcami. Oromis obejrzał uważnie odciski swego towarzysza. - Popraw mnie, jeśli się mylę. Posługiwałeś się kosą i pługiem częściej niż mieczem, choć przywykłeś do łuku.

- Owszem.

- I mało pisałeś i rysowałeś, być może w ogóle.

- Brom nauczył mnie pisać w Teirmie.

- Mhm. Poza wyborem narzędzi widzę wyraźnie, że zwykle bywasz nieostrożny i nie dbasz o własne bezpieczeństwo.

- Czemu tak twierdzisz, Oromis-elda? - Eragon posłużył się najdostojniejszym znanym mu przydomkiem.

- Nie elda - poprawił Oromis. - Możesz nazywać mnie mistrzem w tym języku bądź ebrithilem w pradawnej mowie, niczym innym. Tak samo potraktujesz też Glaedra. Jesteśmy waszymi nauczycielami, a wy naszymi uczniami. Macie zatem okazywać nam stosowny szacunek. - Oromis przemawiał łagodnie, lecz z autorytetem kogoś, kto oczekuje absolutnego posłuszeństwa.

- Tak, mistrzu Oromisie.

- Ty także, Saphiro.

Eragon czuł, jak ciężko przyszło smoczyicy przełamać swą dumę, by powiedzieć:

*Tak, mistrzu.*

Oromis kiwnął głową.

- Już lepiej. Każdy, kto ma taką kolekcję blizn, jest albo beznadziejnym pechowcem, walczy jak berserker, albo świadomie naraża się na niebezpieczeństwo. Czy walczysz jak berseker?

- Nie.

- Nie wyglądasz też na pechowca, wprost przeciwnie. Pozostaje zatem jedynie możliwe wytłumaczenie. Chyba że uważasz inaczej?

Eragon powrócił myślami do swych przeżyć w domu i w drodze, próbując zaklasyfikować własne zachowania.

- Powiedziałbym raczej, że gdy raz poświęcę się pewnemu projektowi bądź ścieżce, doprowadzam je do końca, nie bacząc na koszty... Zwłaszcza jeśli kogoś, kogo kocham, grozi niebezpieczeństwo. - Zerknął na Saphirę.

- A czy podejmujesz trudne wyzwania?

- Lubię wyzwania.

- Odczuwasz zatem potrzebę wypróbowania swych zdolności w walce u potężnymi przeciwnościami.

- Lubię pokonywać wyzwania, ale przeżyłem zbyt wiele trudów, by zrozumieć, że głupotą jest świadome utrudnianie sobie życia. I tak ledwo zdołałem przetrwać.

- A jednak postanowiłeś podążyć w ślad za Ra'zacami, choć łatwiej byłoby pozostać w dolinie Palancar. I przybyłeś tutaj.

- Należało tak postąpić... mistrzu.

Przez kilkanaście minut siedzieli w milczeniu. Eragon próbował odgadnąć o czym myśli elf, lecz jego przypominająca maskę twarz nie zdradzała niczego. W końcu Oromis poruszył się lekko.

- Czy w Tarnagu dostałeś może jakąś błyskotkę, Eragonie? Ozdobę, fragment zbroi czy nawet monetę?

- Owszem. - Eragon sięgnął pod tunikę i wyłowił naszyjnik z małym wisiosem w kształcie srebrnego młota - Gannel zrobił go dla mnie na rozkaz Hrothgara, by uniemożliwić komukolwiek postrzeganie Saphiry i mnie. Lękali się, że Galbatorix mógł odkryć jak wyglądam... Skąd wiedziałeś?

- Ponieważ - odparł Oromis - nie mogłem cię już wyczuć.

- Ktoś próbował mnie postrzegać w pobliżu Silthrimu, jakiś tydzień temu. To byłeś ty?

Oromis pokręcił głową.

- Po tym, jak pierwszy raz postrzegłem cię z Aryą, nie musiałem się uciekać do tak prymitywnych metod. Mogłem sięgnąć i dotknąć twego umysłu moim, tak jak to uczyniłem, gdy zostałeś ranny w Farthen Durze. - Unosząc amulet, wymamrotał kilka zdań w pradawnej mowie, po czym go wypuścił. - Nie wykrywam w nim żadnych innych zaklęć. Zatrzymaj go i zawsze miej przy sobie, to cenny dar. - Zetknął czubki swych długich palców, zakończonych paznokciami okrągłymi i jasnymi niczym rybie łuski, i spojrzał poprzez ich łuk ku białemu horyzontowi. - Czemu tu jesteś, Eragonie?

- Aby dokończyć szkolenie.

- Jak myślisz, z czym to się wiąże?

Eragon poruszył się nerwowo.

- Z dalszą nauką magii i walki. Brom nie zdołał nauczyć mnie wszystkiego, co sam umiał.

- Magia, walka mieczem i inne podobne umiejętności są bezużyteczne, jeśli nie wiesz jak i kiedy ich użyć. Tego właśnie muszę cię nauczać. Jednakże, jak dowiódł Galbatorix, moc pozbawiona ograniczeń moralnych to najniebezpieczniejsza siła na tym świecie. Zatem moim głównym zadaniem będzie pomóc wam, Eragonie i Saphiro, zrozumieć kierujące wami zasady, abyście nie podjęli właściwych wyborów z niewłaściwych powodów. Musicie dowiedzieć się więcej o sobie, o tym, kim jesteście i co potraficie zdziałać. Dlatego tu przybyliście.

*Kiedy zaczniemy?* - spytała Saphira.

Oromis już miał odpowiedzieć, nagle jednak zeszywniał i opuścił swą flaszkę. Jego twarz poczerwieniała gwałtownie, palce wykrzywiły się niczym szpony, wczepiając się w szatę niczym kulki rzepu. Przemiana była natychmiastowa i przerażająca. Nim Eragon zdołał choćby drgnąć, elf znów się odprężył, jego postawa zdradzała teraz ogromne wyczerpanie.

Zatroskany Eragon ośmielił się spytać cicho:

- Dobrze się czujesz?

Kąciki ust Oromisa wygięły się w rozbawieniu.

- Gorzej, niżbym chciał. My, elfy, uważamy się za nieśmiertelne, ale nawet elfy nie potrafią uniknąć pewnych chorób ciała, których rozwój ich magia umie jedynie opóźnić. Nie lękaj się... to nic zaraźliwego, nie mogę jednak się tego pozbyć. - Westchnął. - Przez dziesiątki lat splatałem setki drobnych, słabych zaklęć, by nałożone na siebie zdublowały efekt czarów wykraczających teraz

poza moje możliwości. Oplotłem się nimi, abym mógł dożyć narodzin ostatnich smoków i dopilnować wskrzeszenia Jeźdźców z gruzów naszych błędów.

- Ile masz czasu, nim...?

Oromis uniósł ukośną brew.

- Nim umrę? Mamy czas, ale bardzo mało, zwłaszcza jeśli Vardem zażąda twojej pomocy. W związku z tym, by odpowiedzieć na twoje pytanie, Saphiro, natychmiast zaczniemy naukę i będziemy szkolić się szybciej niż jakikolwiek Jeździec w dziejach. Muszę bowiem przekazać wam dziesięciolecia wiedzy w czasie miesiący czy nawet tygodni.

- Wiesz chyba - Eragon poczuł gwałtowną falę wstydu, która sprawiła, że zapiekły go policzki — o moim... kalectwie? — Zająknął się na ostatnim słownie, nienawidząc jego brzmienia.  
- Jestem równie okaleczony jak ty.

W spojrzeniu Oromisa pojawiło się współczucie, choć ton głos pozostał stanowczy.

- Eragonie, jesteś kaleką tylko wtedy, gdy się za takiego uważasz. Rozumiem co czujesz, musisz jednak być dobrej myśli, bo pesymizm stanowi większe utrudnienie niż jakiegokolwiek obrażenia fizyczne. Mówię to z doświadczenia. Użalenie się nad sobą nie pomoże ani tobie, ani Saphirze. Wraz z pozostałymi tkaczami zakłęcz zbadamy twoje obrażenia, szukając sposobu, by je uleczyć. Tymczasem jednak rozpoczniemy szkolenie, jakby nic ci nie dolegało.

Eragonowi ścisnął się żołądek, chłopiec poczuł w ustach smak żółci, dostrzegając możliwe konsekwencje tych słów. Z pewnością Oromis nie każe mi znów znosić tych męczarni!

- Ból jest nieznośny - rzucił gorączkowo. - Zabije mnie. Ja...

- Nie, Eragonie, nie zabije cię. Tyle przynajmniej wiem o twojej kłątwie. Obaj jednak mamy swoje obowiązki: ty wobec Vardenów, ja wobec ciebie. Nie możemy ich porzucić z powodu zwykłego bólu, zbyt wiele od tego zależy. Nie stać nas na porażkę. - Eragon mógł jedynie pokręcić głową. Walczył z narastającą paniką, próbował zaprzeczyć słowom Oromisa, lecz nie potrafił uniknąć zawartej w nich prawdy. - Eragonie, musisz sam przyjąć to brzemię. Czy nie ma nikogo, niczego, dla kogo byłbyś gotów się poświęcić?

Najpierw pomyślał o Saphirze, nie robił tego jednak dla niej. Ani dla Nasuady. Ani nawet dla Aryi. Co zatem nim kierowało? Gdy złożył hołd Nasuadzie, uczynił to dla dobra Rorana i innych ludzi uwięzionych w imperium. Ale czy znaczyli dla niego dość, by naraził się na takie męki? Tak, uznał. Tak, tyle właśnie znaczą, bo tylko ja mam szansę im pomóc, i nie wyzwolę się z cienia Galbatorixa, póki nie uwolnię ich także. To mój jedyny cel w życiu. Co innego mógłbym zrobić? Zadrzał, wymawiając znamienne słowa:

- Zgadzam się w imieniu tych, dla których walczę, ludzi z Alagaesii, wszystkich ras cierpiących pod jarzmem Galbatorixa. Bez względu na ból, przysięgam, że będę uczył się pilniej niż jakikolwiek Jeździec wcześniej.

Oromis z powagą skinął głową.

- Niczego innego nie oczekuję. - Przez chwilę patrzył na Glaedra i w końcu wydał Eragonowi polecenie: - Wstań i zdejmij tunikę. Chcę zobaczyć, do czego jesteś zdolny.

*Zaczekaj - wtrąciła Saphira. Czy Brom wiedział o twoim istnieniu, mistrzu?*

Eragon zastygł w bezruchu, zdumiony jej słowami.

- Oczywiście — odparł Oromis. — Jako chłopiec w Ilirei był moim uczniem. Cieszę się, że pogrzebaliście go jak należy, miał bowiem ciężkie życie i niewielu okazało mu dobroć. Mam nadzieję, że nim runął w otchłań, odnalazł spokój.

Eragon zmarszczył brwi.

- Znałeś też Morzana?

- Był moim uczniem przed Bromem.

- A Galbatorixa?

- Byłem jednym ze starszych, którzy odmówili mu drugiego smoka po śmierci pierwszego. Ale nie, nigdy nie miałem nieszczęścia go uczyć. Osobiście wytropił i zabił wszystkich swych mentorów.

Eragon chciał pytać dalej, wiedział jednak, że lepiej będzie poczekać. Wstał zatem i rozsznurował górę tuniki.

*Wygląda na to - rzekł do Saphiry - że nigdy nie poznamy wszystkich tajemnic Broma.*

Zdjął tunikę i zadrżał, czując na skórze chłodny powiew. A potem wyprostował ramiona i wypiął pierś.

Oromis okrążył go i zatrzymał się z okrzykiem zdumienia na widok przecinającej plecy Eragona blizny.

- Czy Arya bądź jeden z uzdrowicieli Vardenów nie zaproponowali ci usunięcia tej szramy? Nie musisz jej nosić.

- Arya proponowała, ale... - Eragon urwał, niezdolny wyrazić swych uczuć. W końcu rzekł tylko: - Stanowi teraz część mnie, tak jak blizna Murtagha jest częścią jego.

- Blizna Murtagha?

- Murtagh miał podobną szramę. Pochodziła z czasów dzieciństwa, gdy jego ojciec Morzan cisnął w niego Zar'rokiem.

Oromis przyglądał mu się długo, z powagą. W końcu skinął głową i wznowił oględziny.

- Masz silne mięśnie i nie przekrzywiasz ciała jak większość szermierzy. - Jesteś oburęczny?

- Nie do końca, ale musiałem nauczyć się walczyć lewą ręką po tym, jak w Teirmie złamałem prawą w nadgarstku.

- Doskonale, to nam oszczędzi nieco czasu. Spleć dłonie za plecami i unieś je jak najwyżej.

Eragon posłuchał, lecz natychmiast poczuł ostry ból ramion; ledwo udało mu się zetknąć z tyłu dłonie.

- Teraz pochyl się, nie zginając kolan. Spróbuj dotknąć ziemi. - To okazało się jeszcze trudniejsze Eragon wygiął się niczym garbus, z rękami wiszącymi bezużytecznie po obu stronach głowy, napięte ścięgna nóg piekły nieznośnie, a jego palce nadal dzieliło od ziemi dziewięć, dziesięć cali.

- Przynajmniej możesz się rozciągnąć, nie robiąc sobie krzywdy. Nie liczyłem na aż tak wiele. Zdołasz wykonać ćwiczenia rozciągające, nie nadwreżając się. To dobrze.

Następnie Oromis zwrócił się do Saphiry.

- Chce poznać także twoje zdolności, smoku.

Opisał jej serię skomplikowanych póz, które zmuszały ją do wygięcia każdego kawałka długiego ciała w najbardziej fantastyczne kształty. Ćwiczenia zakończyła seria akrobacji powietrznych, jakich Eragon jeszcze nie oglądał. Zaledwie kilka z nich wykraczało poza umiejętności Saphiry, na przykład pętla w tył połączona ze śrubami w powietrzu.

Gdy wylądowała, to Glaedr odezwał się pierwszy.

*Lękam się, że zanadto pieściliśmy się z Jeźdźcami. Gdyby nasze pisklęta musiały same dbać o siebie, tak jak ty i nasi przodkowie, być może wszystkie dysponowałyby twoimi umiejętnościami.*

- Nie - nie zgodził się Oromis. - Nawet gdyby Saphira wychowała się w Vroengardzie i przeszła tradycyjne szkolenie, wciąż byłaby wspaniałym lotnikiem. Rzadko widywałem smoki tak naturalnie związane z niebem. - Saphira zamruła, po czym zaszeleściła skrzydłami i zajęła się starannym oczyszczaniem jednego ze szponów, tak by ukryć głowę przed ich wzrokiem. - Nadal możesz rozwijać swe umiejętności tak jak my wszyscy, ale zostało tego bardzo, bardzo niewiele.

Elf usiadł ponownie, utrzymując idealnie wyprostowany tułów. Przez następne pięć godzin, według szacunków Eragona, Oromis zapoznawał się ze wszystkimi aspektami wiedzy jego i Saphiry, od botaniki, poprzez pracę ciesielską, po metalurgię i medycynę. Zwłaszcza interesowała go ich znajomość historii i pradawnej mowy. Przesłuchanie to dodało otuchy Eragonowi, przypomniało mu nieustanne przepytywania Broma podczas długich podróży do Teirmu i Dras-Leony.

Gdy przzerwali, by spożyć posiłek, Oromis zaprosił Eragona do swego domu, zostawiając smoki na dworze. Siedziba elfa była niemal pozbawiona mebli, poza niezbędnymi do zachowania higieny, przyrządzania jedzenia i pracy umysłowej. Dwie ściany od sufitu po posadzkę pokrywały otwory mieszczące setki zwojów. Obok stołu wisiała złota pochwa tej samej barwy co łuski Glaedra i pasujący do niej miecz o klindze koloru lśniącego brązu.

Po wewnętrznej stronie drzwi tkwił osadzony w drzewie płaski obraz wysoki na pięć i szeroki na dwie stopy. Przedstawiał piękne miasto o wysmukłych wieżach, zbudowane u stóp



wysokiej skarpy i oświetlone rdzawymi promieniami wschodzącego letniego księżyca. Dziobatą księżycową tarczę przecinał na pół horyzont, tak że przypominała tkwiącą na ziemi olbrzymią kopułę dorównującą wielkością górze. Obraz był tak wyraźny i doskonały w każdym szczególe, że Eragon z początku wziął go za magiczne okno. Dopiero gdy przekonał się, że wizerunek pozostaje nieruchomy uwierzył, że naprawdę został namalowany.

- Co to za miejsce? - spytał.

Kanciaste rysy Oromisa na moment stężały.

- Powinieneś dobrze zapamiętać ten obraz, Eragonie, tam bowiem tkwi serce wszystkich waszych nieszczęść. Widzisz przed sobą nasze dawne miasto, Ilireę. Ilirea spłonęła i została porzucona podczas Du Fyrn Skulblaka, po czym została stolicą Królestwa Broddring. Obecnie to czarny gród Uru'baen. Sporządziłem ów fairth nocą, gdy wraz z pozostałymi musieliśmy umknąć z naszych domów przed przybyciem Galbatorixa.

- Ty namalowałeś ten... fairth?

- Nie, nic podobnego. Fairth to wizerunek przywołany magią na wypolerowanym łupku, na którym wcześniej rozprowadzono warstwy barwników. Obraz na drzwiach przedstawia dokładnie Ilireę taką, jaką widziałem ją w chwili wymówienia zaklęcia.

- A co to za królestwo Broddring? - naciskał Eragon, niezdolny powstrzymać fali pytań.

Oczy Oromisa rozszerzyły się, a jego wargi wygięły w grymasie niezadowolenia.

- Nie wiesz? - Eragon pokręcił głową. - Jak możesz nie wiedzieć? Biorąc pod uwagę to, jak się wychowałeś, i lęk, jaki Galbatorix budzi w sercach waszego ludu, rozumiem czemu dorastałeś w mroku, nieświadom swego dziedzictwa. Nie potrafię jednak pojąć, dlaczego Brom zlekceważył swe obowiązki i nie nauczył cię nawet tego, co wiedzą najmłodsze z dzieci elfów i krasnoludów. Dzieci waszych Vardenów powiedziałyby mi nauki o przeszłości.

- Broma bardziej interesowało utrzymanie mnie przy życiu niż nauki o ludziach, którzy dawno odeszli - odparował Eragon.

Na te słowa Oromis umilkł.

- Wybacz mi - rzekł w końcu. - Nie chciałem podważać decyzji Broma. Po prostu jestem ogromnie niecierpliwy; mamy tak mało czasu, a każda nowa rzecz, którą musisz poznać, oznacza skrócenie twojego szkolenia. - Otworzył szafki ukryte w rzeźbionej ścianie i wyciągnął z nich bułki i misy owoców, które ustawił na stole.

Na moment przymknął oczy, stojąc nieruchomo, a potem zaczął jeść.

- Królestwo Broddring to kraina ludzi z czasów przed upadkiem Jeźdźców. Po tym, jak Galbatorix zabił Vraela, przybył do Ilirei z Zaprzysięzonymi i obalił króla Angrenosta, przyjmując dla siebie jego tron i tytuły. Wówczas królestwo Broddring stało się zaczątkiem podbojów Galbatorixa. Wkrótce dodał do nich Vroengard i inne krainy na wschodzie i południu, tworząc imperium, które znamy dzisiaj. Technicznie rzecz biorąc, królestwo Broddring wciąż istnieje, choć wątpię, by obecnie znaczyło coś więcej niż jedna z nazw na królewskich dekretach.

Nie chcąc zdręzczać elfa dalszymi pytaniami, Eragon skupił się na jedzeniu. Jednakże wyraz twarzy musiał zdradzać dręczące go wątpliwości, bo Oromis odezwał się sam.

- Przypominasz mi Broma, gdy wybrałem go na swego ucznia. Był młodszy niż ty, miał zaledwie dziesięć lat, lecz dorównywał ci ciekawością. Wątpię, bym przez pierwszy rok usłyszał od niego coś innego poza „jak”, „co”, „kiedy” i przede wszystkim „dlaczego”. Nie obawiaj się, mów co ci leży na sercu.

- Chcę się dowiedzieć tak wielu rzeczy - wyszeptał Eragon. - Kim jesteś, skąd pochodzisz, skąd przybył Brom, jaki był Morzan, jak, co, kiedy, dlaczego? Chcę też wiedzieć wszystko o Vroengardzie i Jeźdźcach. Może wówczas wyraźniej ujrzę drogę, którą podążam.

Zapadła cisza. Oromis starannie oskubywał grono porzeczek, pochłaniając kolejno smakowite owoce. Gdy ostatni z nich zniknął między czerwonymi jak wino wargami, elf zatarł dłonie, „polerując je”, jak mawiał Garrow.

- Wiedz tedy - powiedział - że urodziłem się kilka stuleci temu w naszym mieście Luthvirze, zbudowanym w lasach nad jeziorem Tiidosten. W wieku lat dwudziestu, jak wszystkie dzieci elfów, przyprowadzono mnie przed jaja podarowane przez smoki Jeźdźcom i Glaedr wykuł

się dla mnie. Zostaliśmy wyszkoleni jako Jeźdźcy. Przez niemal sto lat podróżowaliśmy po świecie, wykonując rozkazy Vraela. W końcu nastął dzień, gdy uznano, że winniśmy powrócić i przekazać nasze doświadczenia następnemu pokoleniu. Zamieszkaliśmy zatem w Ilirei, ucząc nowych Jeźdźców, po jednym, najwyżej dwóch, aż do dnia gdy zniszczył nas Galbatorix.

- A Brom?

- Brom urodził się w rodzinie iluminatorów, w Kuascie, z matki Neldy i ojca Holcomba. Kuasta jest do tego stopnia odizolowana przez Kościec od reszty Alagaesii, że stała się osobliwym miejscem, w którym królują niezwykle zwyczaje i przesady. Zaraz po przybyciu do Ilirei Brom stukał trzy razy we framugę przed wejściem i wyjściem z pokoju. Inni uczniowie żartowali z jego nawyków, aż w końcu je porzucił. Morzan był moją największą klęską. Brom go uwielbiał, nigdy nie odstępował od jego boku, nie sprzeciwiał mu się i nie wierzył, że mógłby się okazać w czymkolwiek lepszy. Przyznaję ze wstydem, bo mogłem temu zapobiec, że Morzan doskonale zdawał sobie z tego sprawę i wykorzystywał oddanie Broma na setki różnych sposobów. W końcu stał się tak dumny i okrutny, że zastanawiałem się, czy ich nie rozdzielić. Nim jednak zdołałem to uczynić, Morzan pomógł Galbatorixowi wykraść smocze pisklę, Shruikana, i zastąpić smoka, którego utracił Galbatorix. W trakcie kradzieży zginął też pierwszy Jeździec Shruikana. A potem Morzan i Galbatorix odlecieli razem, przypieczętowując nasz los. Nie zdołasz sobie wyobrazić, jak bardzo wstrząsnęła Bromem zdrada Morzana, dopóki nie zrozumiesz głębi jego uczucia dla przyjaciela. Gdy zaś Galbatorix w końcu się ujawnił, a Zaprzysiężeni zabili smoka Broma, ten skupił cały swój gniew i ból na jednej osobie, którą uważał za odpowiedzialną za zniszczenie swego świata: Morzanie.

Oromis urwał, twarz miał poważną.

- Wiesz, czemu utrata smoka bądź Jeźdźca zwykle zabija drugiego z pary?

- Potrafię sobie wyobrazić. - Eragon zadrżał na tę myśl.

- Ból jest sam w sobie okropny, choć nie zawsze stanowi czynnik decydujący. Prawdziwe szkody powoduje jednak uczucie towarzyszące umieraniu części twego umysłu, osobowości. Gdy spotkało to Broma, lękałem się, że na jakiś czas popadł w obłąd. Kiedy schwytano mnie, a potem uciekłem, sprowadziłem go do Ellesmery. On jednak odmówił pozostania tu i zamiast tego wymaszerował z naszą armią na równiny Ilirei, gdzie zginął król Evandar. Nie da się opisać panującego wówczas chaosu. Galbatorix był zajęty wzmacnianiem swej władzy, krasnoludy wycofały się do tuneli. Cały południowy wschód ogarnęła wojna, gdy ludzie zbuntowali się i stanęli do walki, tworząc Surdę, a my straciliśmy naszego króla. Gnany żądzą zemsty Brom wykorzystał ów zamęt na swą korzyść. Zgromadził wokół siebie wielu wygnańców, uwolnił część więźniów i wraz z nimi stworzył Vardenów. Przez kilka lat kierował nimi, potem przekazał władzę, by móc swobodnie oddać się swemu prawdziwemu celowi - doprowadzeniu do upadku Morzana. Osobiście zabił trzech Zaprzysiężonych, w tym Morzana. Był też odpowiedzialny za śmierć pięciu innych. Za życia zaznał niewiele szczęścia, był jednak dobrym Jeźdźcą i dobrym człowiekiem, i jestem zaszczycony, że mogłem go poznać.

- Nigdy nie słyszałem, by jego imię kojarzono ze śmiercią Zaprzysiężonych - zaprotestował Eragon.

- Galbatorix nie chciał publicznie rozgłaszać faktu, że wciąż jeszcze istnieje ktoś, kto mógłby pokonać jego sługi. Znaczną część swej władzy opiera na pozorach niezniszczalności.

Raz jeszcze Eragon musiał odmienić swe postrzeganie Broma. Najpierw uważał go za wioskowego bazarza, potem wojownika i maga, z którym podróżował, potem Jeźdźca, a obecnie buntownika, przywódcę rebelii i zabójcę. Trudno było pogodzić ze sobą wszystkie te role.

*Czuję się, jakbym ledwo go znał. Chciałbym, abyśmy przynajmniej raz mogli porozmawiać o tym wszystkim - pomyślał.*

- Był dobrym człowiekiem - zgodził się.

Wyjrzał przez jedno z okrągłych okien wychodzących na urwisko i wpuszczających do środka ciepłe promienie popołudnia. Przez chwilę przyglądał się Saphirze i dostrzegł, że w obecności Glaedra zachowuje się nieśmiało i zalotnie. W jednej chwili obracała się, oglądając coś na polanie, w następnej szeleściła skrzydłami i przybliżała się do większego smoka, kołysząc głową

z boku na bok i machając koniuszkiem ogona, jakby miała rzucić się na jelenia. Przypominała Eragonowi kociaka próbującego sprowokować do zabawy starego kocura. Glaedr jednak zachowywał kamienny spokój, nie zważając na manewry smoczyicy.

*Saphiro* - rzekł Eragon.

Odpowiedziała roztargnioną myślą, ledwo go dostrzegając.

*Saphiro, odpowiedz mi. Co się stało? Wiem, że jesteś podekscytowana, ale nie rób z siebie widowiska.*

*Ty wiele razy robiłaś z siebie widowisko* - warknęła.

Jej odpowiedź tak bardzo go zaskoczyła, że umilkł. Ludzie często czynią podobnie okrutne uwagi, nigdy jednak nie spodziewał się, że usłyszy coś takiego od Saphiry.

*To niczego nie zmienia* - zdołał w końcu rzec.

Smoczyca mruknęła w odpowiedzi i zamknęła przed nim umysł, choć wciąż wyczuwał nici łączących ich emocji.

Gdy wrócił do siebie, odkrył, że Oromis przygląda mu się z powagą swymi szarymi oczami. Spojrzenie elfa było tak przenikliwe, iż Eragon poczuł pewność, że jego nauczyciel zrozumiał co zaszło. Zmusił się do uśmiechu, wskazując Saphirę.

- Choć jesteśmy złączeni, nigdy nie potrafię przewidzieć co zrobi. Im więcej się o niej dowiaduję, tym bardziej pojmuję, jak bardzo się różnimy.

Wówczas Oromis po raz pierwszy powiedział coś, co Eragon uznał za słowa prawdziwej mądrości:

- Ci, których kochamy, są dla nas często najbardziej obcy. - Elf umilkł na chwilę. - Jest bardzo młoda, ty także. Glaedr i ja potrzebowaliśmy dziesiątków lat, by w końcu w pełni się zrozumieć. Więź łącząca Jeźdźca i smoka przypomina każdy inny związek, stale się rozwija. Ufasz jej?

- Powierzyłbym jej własne życie.

- A ona tobie?

- Tak.

- Zatem pobbaj jej. Wychowałeś się jako sierota. Ona przez całe życie wierzyła, że jest ostatnim zdrowym przedstawicielem całej rasy Teraz odkryła, że się myli. Nie dziw się, jeśli miną miesiące, nim w końcu przestanie zadrećcać Glaedra i z powrotem skupi się na tobie.

Eragon obrócił między palcami jagodę; jego apetyt zniknął bez śladu.

- Czemu elfy nie jedzą mięsa?

- A czemu mielibyśmy? - Oromis uniósł truskawkę i przysunął ją tak, by światło odbiło się od pokrytej dołeczkami skórki, oświetlając maleńkie włoski porastające owoc. - Wszystko czego potrzebujemy możemy wyśpiewać z roślin, łącznie z jedzeniem. Byłoby barbarzyństwem skazywać zwierzęta na cierpienia tylko po to, by zyskać kolejne dania na stole. Wkrótce lepiej zrozumiesz nasz wybór.

Eragon zmarszczył czoło. Zawsze jadał mięso i nie zachwyła go perspektywa żywienia się wyłącznie owocami i warzywami podczas pobytu w Ellesmerze.

- Nie tęsknicie za jego smakiem?

- Nie można tęsknić za czymś, czego nigdy się nie zaznało.

- A Glaedr? Nie może się żywić wyłącznie trawą.

- Nie, ale nie zadaje też bólu bez potrzeby. Każdy z nas wykorzystuje najlepiej to co mu dano. Nie możesz nic poradzić na to, jaki się urodziłeś.

- A Islanzadi? Ma płaszcz z łabędzich piór.

- Piór odrzuconych przez ptaki i zbieranych przez wiele lat. Żaden łabędź nie zginął, by zapewnić jej okrycie.

W milczeniu dokończyli posiłek. Potem Eragon pomógł Oromisowi wyszorować piaskiem naczynia. Elf szybko schował je do kredensu.

- Kąpałeś się dziś rano? - spytał, zaskakując Eragona, który w odpowiedzi pokręcił głową. - Proszę zatem, zrób to jutro i każdego następnego dnia

- Każdego dnia? Woda jest na to za zimna, dostanę zimnicy. Oromis spojrzął na niego dziwnie.

- To ją ogrzej.

Teraz to Eragon odwrócił wzrok.

- Nie jestem dość silny, by zagrzać magicznie cały strumień - zaprotestował

Głośny śmiech Oromisa odbił się echem w całym domu. Na zewnątrz Glaedr obrócił głowę w stronę okna i przez chwilę przyglądał się elfowi.

- Zakładam, że wczoraj wieczorem zwiedziłeś swoją siedzibę? - Eragon przytaknął. - Czy widziałeś niewielkie pomieszczenie z zagłębieniem w posadzce?

- Sądziłem, że służy do prania ubrań albo pościeli.

- Nie, do prania twojej osoby. W ścianie nad zagłębieniem są ukryte dwa pokręta; obróć je i możesz wykąpać się w wodzie o dowolnej temperaturze. Poza tym - gestem wskazał podbródek Eragona - dopóki jesteś mym uczniem, oczekuję, że będziesz się golił do czasu, aż zdołasz wyhodować pełną brodę, jeśli zechcesz. Nie życzę sobie, byś wyglądał jak drzewo pozbawione połowy liści. Elfy się nie gołą, rozkażę jednak, by znaleziono brzytwę i zwierciadło, i ci je przysłano.

Krzywiąc się z powodu ciosu zadanego jego dumie, Eragon się zgodził, Wyszli na dwór i Oromis spojrzął na Glaedra, po czym smok oświadczył:

*Ustaliliśmy już plan nauki twojej i Saphiry.*

- Zaczniecie... - rzekł elf.

*... jutro, godzinę po wschodzie słońca, w porze czerwonej lilii. Wróćcie tu wtedy.*

- I zabierz ze sobą siodło, które zrobił dla ciebie Brom, Saphiro - dodał Oromis. - Tymczasem możecie robić co zechcecie. Ellesmera kryje w sobie wiele cudów, jeśli tylko zechcecie je obejrzeć.

- Zapamiętam. - Eragon skłonił głowę. - Nim odejdę, mistrzu, chcę ci podziękować za to, że pomogłeś mi w Tronjheimie po śmierci Durzy. Wątpię, bym przeżył bez twojej pomocy. Jestem twym dłużnikiem.

*Oboje jesteście twymi dłużnikami* - dodała Saphira.

Oromis uśmiechnął się lekko i także skłonił głowę.

## *Sekretne życie mrówek*

W chwili, gdy Oromis i Glaedr zniknęli im z oczu, Saphira odezwała się szybko:

*Eragonie, drugi smok. Możesz w to uwierzyć?*

Poklepał ją po ramieniu.

*To cudowne.*

Wysoko nad Du Veldenvarden jedyną oznaką, że w lesie ktoś mieszka, pozostawały zwiewne pióropusze dymu, unoszące się z koron drzew i wkrótce rozplywające w czystym powietrzu.

*Nigdy nie sądziłam, że spotkam innego smoka, prócz Shruikana. Może miałam nadzieję, że uratuję skradzione przez Galbatorixa jaja, ale nic poza tym. A teraz to! Poruszyła się pod nim radośnie. Glaedr jest niesamowity, prawda? Taki stary i silny, ma takie jasne łuski. Musi być dwa, nie, nawet trzy razy większy ode mnie. Widziałeś jego szpony? One...*

Przez następne kilkanaście minut rozplywała się nad zaletami Glaedra, dokładnie opisując je wszystkie. Silniej jednak niż słowa przemawiały emocje, które wyczuwał w niej Eragon: zapal i entuzjazm połączony z czymś, co można określić najlepiej jako tęskne uwielbienie.

Eragon próbował przekazać Saphirze to czego dowiedział się od Oromisa, wiedział bowiem, że go wtedy nie słuchała. Odkrył jednak, iż nie da się zmienić tematu rozmowy. Siedział w milczeniu na grzbiecie smoczyca, szybując nad szmaragdowym oceanem, i czuł się najsamotniejszym człowiekiem na świecie.

Po powrocie do swej siedziby uznał, że nie wyruszy dziś na zwiedzanie.

Był za bardzo zmęczony wydarzeniami całego dnia i tygodniami podróży. Saphira chętnie usiadła na swym łożu, gawędząc na temat Glaedra, podczas, gdy Eragon badał tajemnice łaźni elfów.



Nastał ranek, a wraz z nim zjawiała się paczuszka owinięta w przejrzysty papier zawierająca obiecane przez Oromisa brzytwę i lusterko. Ostrze było dziełem elfów i nigdy się nie tępiło. Eragon, krzywiąc się, najpierw się wykapał w parującej, gorącej wodzie, a potem uniósł lusterko, oglądając swą twarz.

*Wyglądam starzej, znać po mnie wiek i zmęczenie. I nie tylko.*

Jego rysy wyostrzyły się, nadając mu ascetyczny, drapieźny wygląd. Nie był elfem, ale nikt, kto przyjrzałby mu się uważniej, nie wzięłby go za człowieka czystej krwi. Odgarniając włosy, odsłonił zwięzające się wyraźnie uszy, kolejny dowód tego, jak więź z Saphirą odmieniła jego ciało. Musnął palcami jedną z małżowin, badając nieznajomy kształt. Trudno przyszło mu zaakceptować przemianę ciała. Choć wiedział, że do niej dojdzie - i od czasu do czasu cieszył się tą perspektywą będącą potwierdzeniem, że naprawdę jest Jeźdźcem - gdy stała się rzeczywistością, oszołomiła go. Świadomość, że nie ma nic do powiedzenia co do kształtu własnego ciała, budziła w nim opór, ale jednocześnie był ciekaw, do czego doprowadzi ów proces. Dodatkowo, wciąż przechodził przez własny, ludzki okres dojrzewania i związane z nim trudności i tajemnice.

*Kiedy w końcu dowiem się, kim i czym jestem? - myślał.*

Przyłożył brzytwę do policzka, tak jak czynił to kiedyś Garrow, i przesunął po skórze. Ostrze odcięło włosy, pozostawiło jednak poszarpane resztki. Zmienił kąt brzytwy i spróbował ponownie, z nieco większym powodzeniem.

Gdy jednak dotarł do podbródka, brzytwa poślizgnęła mu się w palcach i skaleczyła głęboko od kącika ust aż po koniec szczęki. Eragon zawył i upuścił ją, przyciskając dłoń do rany, z której krew spływała wprost na szyję - Przez odsłonięte zęby wykrztusił:

- Waise heill!

Ból szybko ustąpił, gdy magia połączyła zranione ciało, choć serce nadal tłukło mu się w piersi.

*Eragonie!* - krzyknęła Saphira.

Wcisnęła głowę i ramiona do sieni i nosem otworzyła drzwi łazienki. Jej nozdrza rozszerzyły się, gdy poczuła zapach krwi.

*Przeżyję* - zapewnił ją.

Zlustrowała pomieszczenie.

*Bądź ostrożniejszy. Wolalabym, żebyś pozostał włochaty niczym liniejący jelen, niż miał obciąć sobie głowę przy próbie golenia.*

*Ja także. I idź już, nic mi nie jest.*

Saphira odchrząknęła i wycofała się niechętnie.

Eragon usiadł, mierząc nieprzychylnym wzrokiem brzytwę.

- Do licha z tym - mruknął w końcu.

Opanowując rozdrażnienie, przejrzał zasób swych słów w pradawnej mowie, wybrał te, których potrzebował, po czym wymówił wymyślone na poczekaniu zaklęcie. Z jego twarzy opadły smużki czarnego pyłu, pozostawiając idealnie gładkie policzki. Zadowolony, poszedł osiodłać Saphirę, która natychmiast wystartowała, zmierzając ku skałom Tel'naeir. Wylądowali przed chatą. Oromis i Glaedr już na nich czekali.

Elf obejrzał uważnie siodło Saphiry, przesunął palcami po każdym rzemieniu, zatrzymując się przy szwach i sprzączkach, po czym oświadczył, że biorąc pod uwagę okoliczności jego powstania, to całkiem niezła robota.

- Brom zawsze miał zręczne ręce. Używaj tego siodła, gdy musisz podróżować w pośpiechu. Kiedy jednak będziesz mógł pozwolić sobie na wygodę... - na moment zniknął w chacie, po czym pojawił się, dźwigając grube, sztywne siodło o siedzeniu i paskach ozdobionych złoceniami - użyj tego. Zrobiono je we Vroengardzie i wzmocniono wieloma zaklęciami, tak by nigdy cię nie zawiodło w razie potrzeby.

Eragon ugiął się pod ciężarem siodła, które wręczył mu Oromis. Kształtem przypominało dzieło Broma, miało też rzędy sprzączek i pasków unieruchamiających nogi Jeźdźca i zwisających z boków. Głębokie siedzisko ukształtowano ze skóry tak, by mógł wygodnie lecieć całymi godzinami, zarówno wyprostowany, jak i półleżąc na szyi Saphiry. Na paskach oplatających pierś smoczyca było pełno węzłów i zakładek, aby w miarę jej wzrostu dało się je dopasować. Uwagę Eragona zwróciła seria szerokich pasów po obu stronach zwieńczenia siodła. Spytał, do czego służą.

Glaedr zagrzmiął cicho:

*Zabezpieczają twoje przeguby i ręce tak, byś nie zginął niczym wytrzęsiony szczur, gdy Saphira wykona skomplikowany manewr.*

Oromis pomógł Eragonowi zdjąć siodło ze smoczyca.

- Saphiro, polecisz dziś z Glaedrem, a ja będę pracował z Eragonem.

*Jak sobie życzysz* - odparła i zaskrzeczała z podniecenia.

Glaedr dźwignął z ziemi swe złote cielsko i pofrunął na północ. Saphira podążała tuż za nim. Oromis nie dał Eragonowi zbyt wiele czasu do rozmyślań po odejściu smoczyca. Poprowadził go na środek kwadratu ubitej ziemi pod wierzbą po drugiej stronie polany.

- To, co ci pokaże, nazywamy rimgarem, Tańcem Węża i Żurawia - oświadczył, stając naprzeciwko niego w kwadracie. - To seria póż, jakie opracowaliśmy, by przygotować naszych wojowników do walki, choć obecnie korzystają z nich wszystkie elfy pragnące zachować zdrowie i sprawność. Na rimgar składają się cztery poziomy, każdy trudniejszy niż poprzedni. Zaczniemy od pierwszego.

Lęk przed zbliżającą się męką niemal zupełnie sparaliżował Eragona, który zacisnął pięści i zgarbił ramiona. Napięta blizna ciągnęła mu skórę na plecach, gdy wbijał wzrok w ziemię między stopami.

- Odpnij się - poradził Oromis.

Eragon szybko rozprostował dłonie i pozwolił, by zwisły bezwładnie na końcu sztywnych rąk.

- Prosiłem, byś się odprężył, Eragonie; nie możesz ćwiczyć rigmaru, kiedy jesteś sztywny jak kawałek starej skóry.

- Tak, mistrzu. - Eragon skrzywił się i niechętnie rozluźnił mięśnie i stawy, choć w żołądku nadal wyczuwał napięcie.

- Złącz stopy, opuść ręce po bokach, spójrz wprost przed siebie. Teraz odetchnij głęboko i unieś ręce nad głowę, tak by dłonie się zetknęły... właśnie tak. Wypuść powietrze, pochyl się jak najdalej, oprzyj dłonie o ziemię, wykonaj wdech... i przesunij nogi do tyłu. Dobrze. Zacerpnij tchu i wygnij się, patrząc w niebo... wypuść powietrze, unosząc biodra, tak by stworzyć trójkąt. Odetchnij przez tył gardła... i wydech. Wdech... wydech... wdech...

Ku ogromnej uldze Eragona kolejne pozycje okazały się na tyle łagodne, by nie rozpalić ognia w plecach, lecz jednocześnie dostatecznie trudne, by pot zaperlił mu się na czole, a oddech przyspieszył. Odkrył, że uśmiecha się z czystej radości, jego znużenie zniknęło bez śladu, gdy wykonywał kolejne ćwiczenia - większość z nich dalece przekraczała jego możliwości - mając więcej energii i pewności siebie niż przed bitwą w Farthen Durze.

*Może jestem uleczony?!*

Oromis ćwiczył wraz z nim, demonstrując sprawność i siłę niespotykane u kogoś tak starego. Elf potrafił dotknąć czołem palców u nóg.

W dodatku cały czas doskonale panował nad sobą, ćwiczył spokojnie jakby przechadzał się po ogrodzie. Jego polecenia były cichsze i bardziej cierpliwe niż rozkazy Broma, nie można było jednak się im oprzeć. Uczeń nawet na moment nie mógł zbyć z właściwej ścieżki.

- Zmyjmy teraz pot z naszych ciał - rzekł Oromis, gdy skończyli

Obaj podeszli do strumienia obok domu i szybko zrzucili ubrania. Eragon ukradkiem przyglądał się elfowi, ciekaw, jak tamten wygląda, obnażony. Oromis był bardzo szczupły, lecz mięśnie miał idealnie nakreślone rysujące się pod skórą wyraźnymi, mocnymi liniami, jak wyrzeźbione. Na jego piersi i nogach nie wyrastał nawet najmniejszy włos, podobnie wokół łędźwi. W porównaniu z mężczyznami, których oglądał w Carvahall, Eragonowi ciało elfa wydało się niemal upiorne, kryła się w nim jednak wyrafinowana elegancja, jak u dzikiego kota.

Po kąpieli Oromis zaprowadził Eragona daleko w głąb Du Veldenvarden, do kotlinki, w której ciemne drzewa nachylały się ku sobie, przesłaniając niebo gęstwiną gałęzi i woalami kędzierzawych porostów. Stopy zapadały im się w mchu aż po kostki, wokół panowała cisza.

Oromis wskazał biały pniak o płaskim, wypolerowanym szczycie, szerokim na trzy stopy. Pniak wyrastał z ziemi pośrodku polany.

- Usiądź tam - polecił elf. Eragon wykonał rozkaz. - Skrzyżuj nogi i zamknij oczy. - Świat wokół pociemniał. Z prawej strony Eragon usłyszał szept Oromisa. - Otwórz swój umysł i słuchaj otaczającego cię świata, myśli wszystkich istot na tej polanie, od mrówek wśród drzew po robaki w ziemi. Słuchaj, aż w końcu usłyszysz je wszystkie i zrozumiesz ich naturę i cel istnienia. Słuchaj, a gdy nie usłyszysz już nic nowego, przyjdź i opowiedz mi czego się nauczyłeś.

A potem w lesie zapadła cisza.

Niepewny, czy Oromis naprawdę odszedł, Eragon z wahaniem opuścił otaczające umysł bariery i sięgnął poza niego świadomością, tak jak wtedy, gdy próbował z wielkiej odległości nawiązać kontakt z Saphirą. Z początku otaczała go jedynie pustka. Potem jednak w ciemności zaczęły pojawiać się iskierki światła i ciepła, i ich moc rosła, aż w końcu znalazł się pośrodku galaktyki roztańczonych konstelacji. Każdy jasny punkcik oznaczał życie. Do tej pory, gdy kontaktował się z innymi umysłami, jak u Cadoca, Śnieżnego Płomienia czy Solembuma, koncentrował się zawsze na tym, z kim chciał się porozumieć. Teraz jednak... Teraz czuł się tak jakby stał głuchy pośrodku tłumu i zaczynały docierać do niego przepływające wokół rzeki rozmów.

Nagle poczuł się odsłonięty. Był całkowicie bezbronny wobec świata.

Każdy człowiek czy istota, ktokolwiek, kto chciałby wtargnąć do jego umysłu i zawładnąć nim, mógł to teraz uczynić. Eragon spiął się podświadomie, wycofując się w głąb siebie i świadomość otaczającej go doliny zniknęła.

Przypomniawszy sobie jedną z lekcji Oromisa, zaczął oddychać wolniej, kontrolując płuca, dopóki nie odprężył się na tyle, by znów otworzyć umysł.

Ze wszystkich wyczuwanych żywotów miazdzącą większość stanowiły owady, ich liczba go oszołomiła. Dziesiątki tysięcy żyły w stopie kwadratowej mchu, miliony na niewielkiej polanie, niezliczone rzesze poza nią. Ich obfitość wręcz go przeraziła. Zawsze wiedział, że ludzie w Alagaesii są nieliczni i narażeni na różne niebezpieczeństwa, nigdy dotąd jednak nie wyobrażał sobie, że nawet owady tak bardzo przewyższają ich swoją liczbą.

Ponieważ nie znał zbyt wielu ich odmian, a Oromis wspominał o mrówkach, Eragon skoncentrował się na kolumnie czerwonych mrówek maszerujących po ziemi i łodygach krzaka dzikiej róży. To, co od nich wychwytał, nie przypominało myśli - mrówki miały zbyt prymitywne mózgi - lecz raczej bodźce: nakaz szukania pożywienia i unikania obrażeń, obrony terytorium, płodzenia młodych. Badając instynkty mrówek, zaczął rozumieć ich zachowanie. Zafascynowany, odkrył, że, prócz kilku osobników badających zewnętrzne granice ich królestwa, mrówki wiedziały dokładnie, dokąd idą. Nie potrafił określić, jaki mechanizm nimi kieruje, podążały jednak jasno określonymi ścieżkami prowadzącymi z gniazda do pożywienia i z powrotem. Źródło pożywienia stało się kolejną niespodzianką. Tak jak przypuszczał, mrówki zabijały i pożerały inne owady. Przede wszystkim jednak skupiały się na hodowli czegoś, co pokrywało krzak róży. Cokolwiek to było, ledwie to wyczuwał. Skupił całą swą siłę, próbując zidentyfikować to stworzenie i zaspokoić ciekawość.

Odpowiedź okazała się tak prosta, że zaśmiał się w głos, gdy ją dostrzegł: mszyce. Mrówki zachowywały się niczym pasterze mszyc, prowadząc je i chroniąc, a także pobierały od nich pożywienie, masując im brzuchy koniuszkami swoich czułków. Eragon nie mógł w to uwierzyć, im dłużej jednak obserwował, tym bardziej zyskiwał pewność, że się nie myli.

Śledził mrówki pod ziemią, zmierzające do skomplikowanego systemu tuneli, i patrzył, jak dbają o niektórych członków swych społeczności, kilkanaście razy większych niż reszta owadów. Nie potrafił jednak określić celu ich istnienia. Widział tylko otaczające je roje sług, obracające większe mrówki i regularnie usuwające produkowane przez nie drobinki materii.

Po jakimś czasie Eragon uznał, że zdobył już od mrówek tyle informacji, ile tylko mógł — chyba że miałby siedzieć tam przez resztę dnia - i właśnie miał wrócić do swego ciała, gdy na polanę wskoczyła wiewiórka. Jej pojawienie się przypominało nagły, oślepiający rozbłysk światła, Eragon bowiem przywykł do owadów. Oszołomiony, dał się ponieść prądowi odczuć dobiegających od zwierzęcia. Węszył po lesie jego nosem, czuł, jak kora ustępuje pod zakrzywionymi pazurkami, a powietrze przepływa wokół wzniesionego puchatego ogona. W porównaniu z mrówką wiewiórka kipiała energią i dysponowała niekwestionowaną inteligencją. A potem przeskoczyła na inną gałąź i zniknęła z jego świadomości. Kiedy Eragon otworzył oczy, las wydał mu się mroczniejszy i cichszy. Chłopiec odetchnął głęboko i rozejrzał się, po raz pierwszy doceniając, jak wiele form życia istnieje na świecie. Wyprostował zdrtwiałe nogi i podszedł do krzaka róży.

Pochylił się i obejrzał uważnie gałązki. Istotnie, przywierały do nich mszyce i ich szkarłatne strażniczki, a u podstawy krzaka piętrzył się stos sosnowych szpilek oznaczający wejście do labiryntu mrówek. Dziwnie było oglądać to wszystko własnymi oczami. Nic nie zdradzało licznych, subtelnych powiązań, o których właśnie się dowiedział.

Pogrążony w myślach Eragon wrócił na polanę, zastanawiając się, co z każdym krokiem miazdzy pod stopami. Gdy wyłonił się z cienia drzew, zaskoczyło go odkrycie, jak nisko opadło słońce. Musiał tam siedzieć co najmniej trzy godziny.

Znalazł Oromisa w chacie. Elf pisał coś gęsim piórem. Dokończył spokojnie wiersz, wytarł koniuszek pióra i zakorkował kałamarz.

- Co takiego usłyszałeś, Eragonie? - spytał.

Eragon z zapalem podzielił się informacjami. Opisując swe przeżycia, usłyszał własny głos i pobrzmiwający w nim entuzjazm, gdy opowiadał elfowi o subtelnościach społeczności mrówek.

Zrelacjonował wszystko, co zdołał sobie przypomnieć, nie pomijając najdrobniejszych i najmniej ważnych obserwacji, dumny ze zgromadzonej wiedzy. Gdy skończył, Oromis uniósł brwi.



- I to wszystko?

- Ja... - Eragona ogarnęła rozpacz, bo pojął, że jakimś cudem udało mu się źle zrozumieć sens całego ćwiczenia. - Tak, ebrithilu.

- A co z innymi organizmami w ziemi i powietrzu? Możesz mi opowiedzieć, co robiły, podczas gdy twoje mrówki strzegły swoich podopiecznych?

- Nie, ebrithilu.

- Na tym właśnie polega twój błąd. Musisz stać się świadom wszystkich rzeczy jednak, nie skupiać się wyłącznie na jednym temacie. To podstawowa umiejętność. Dopóki jej nie opanujesz, każdego dnia będziesz przez godzinę medytował na pniu.

- Skąd się dowiem, że opanowałem tę sztukę?

- Gdy będziesz mógł obserwować jedno, a widzieć wszystko.

Oromis wezwał Eragona gestem do stołu. Położył przed nim czystą kartkę papieru wraz z piórem i kałamarzem.

- Jak dotąd, wystarczała ci niepełna znajomość pradawnej mowy. Choć żaden z nas nie zna wszystkich słów w tym języku, musisz poznać jego gramatykę i strukturę, tak abyś się nie zabił, niewłaściwie umieszczając w zdaniu czasownik czy popełniając podobny błąd. Nie oczekuję, że będziesz nim mówił jak elf, to wymagałoby całego życia ćwiczeń. Spodziewam się jednak, że osiągniesz odruchową znajomość pradawnej mowy, to znaczy będziesz się nią posługiwał bez zastanowienia. Dodatkowo musisz nauczyć się ją czytać i zapisywać. Ta umiejętność nie tylko pomoże ci w zapamiętywaniu słów - jest niezbędna, kiedy potrzeba ułożyć wyjątkowo długie zakłęcie, a nie ufa się własnej pamięci, albo też zna się podobne zakłęcie i pragnie go użyć. Każda z ras opracowała własny system zapisywania pradawnej mowy. Krasnoludy korzystają w tym celu ze swego alfabetu runicznego, podobnie ludzie. To jednak tylko prymitywne techniki, niezdolne wyrazić prawdziwej subtelności języka. Potrafi to nasz własny Liduen Kvaedhi, pismo poetyckie. Liduen Kvaedhi stworzono tak, by stał się możliwie najbardziej elegancki, piękny i precyzyjny. Składa się z czterdziestu dwóch różnych kształtów podstawowych, reprezentujących poszczególne dźwięki. Kształty te można łączyć w niemal nieskończoną różnorodność symboli reprezentujących pojedyncze słowa i całe frazy. Symbol na twym pierścieniu to jeden z nich, symbol na Zar'rocu kolejny... Zacznijmy zatem. Jakie są podstawowe samogłoski występujące w pradawnej mowie?

- Co takiego?

Wkrótce okazało się, jak dalece Eragon nie ma pojęcia o podstawach pradawnej mowy. Gdy podróżował z Bromem, stary bazarz skupiał się na przekazaniu mu listy słów, których mógł potrzebować do przetrwania, a także na doskonaleniu wymowy. W tych dwóch dziedzinach radził sobie świetnie, nie potrafił jednak wyjaśnić różnicy pomiędzy rodzajnikiem określonym i nieokreślonym. Jeśli nawet luki w jego wiedzy irytowały Oromisa, elf nie dawał tego po sobie poznać słowami czy czynami. Pracował jednak usilnie nad tym, by je zapełnić.

- Nigdy nie potrzebowałem zbyt wielu słów w mych zaklęciach - zauważył w pewnej chwili Eragon. - Brom twierdził, że to dar, iż potrafię zdziałać tak wiele z samym brisingr. Najdłuższe zdania w pradawnej mowie wypowiedziałem podczas rozmowy z Aryą w jej umyśle i błogosławieństwa sieroty w Farthen Durze.

- Pobłogosławiłeś dziecko w pradawnej mowie? - spytał Oromis z nagłą czujnością. - Pamiętasz, jak dokładnie brzmiało to błogosławieństwo?

- Tak.

- Powtórz mi je. - Eragon to uczynił i oblicze elfa wykrzywiło się w nagłej grozie. - Użyłeś słowa skólr?! - wykrzyknął. - Jesteś pewien? To nie było skóliro?!

Eragon zmarszczył brwi.

- Nie, skólr. Czemu nie miałbym go użyć? Skólr oznacza „chronią” i „chronią cię od złego”. To było dobre błogosławieństwo.

— To nie błogosławieństwo, lecz klątwa. - Oromis okazywał większe zdenerwowanie niż kiedykolwiek wcześniej. - Przyrostek „- o” tworzy czas przeszły czasowników kończących się na „r” i „i”. Skóliro oznacza „chroni”, lecz skólr znaczy „ochrona”. Powiedziałeś zatem: „Niechaj dobry los i szczęście stale ci sprzyjają i bądź ochroną od złego”. Zamiast ustrzec dziecko przed

kaprysmi losu, skazałeś je na to, by poświęcało się dla innych, chłono ich nieszczęścia i cierpienia tak, by mogli żyć w pokoju...

- Nie, nie, to niemożliwe! - Eragon wzdygnął się na te słowa. - Efekt zaklęcia określa nie tylko znaczenie słowa, ale też zamiar. A ja nie zamierzałem jej skrzywdzić...

- Nie możesz wykroczyć poza wewnętrzną naturę słowa. Nagiać ją, owszem, nakierować, jak najbardziej, ale nie zaprzeczyć jego definicji, tak by znaczyło coś przeciwnego. - Oromis złączył ręce, wbijając wzrok w stół; jego wargi zacisnęły się, tworząc płaską, białą linię. - Muszę wierzyć, że nie miałeś złych zamiarów. Inaczej odmówiłbym dalszego udzielania ci nauk. Jeśli byłeś szczery i miałeś czyste serce, to błogosławieństwo może uczynić mniej złego, niż się obawiam, choć nadal stanie się zaczątkiem bólu.

Eragon zadygotał gwałtownie, uświadamiając sobie w pełni, co uczynił z życiem owego dziecka.

- Może to nie naprawi mojego błędu - rzekł - ale przynajmniej nieco go złagodzi. Saphira oznaczyła czoło dziewczynki, tak jak to uczyniła z moją dłońią, zostawiając na niej gedwey ignasię.

Po raz pierwszy w życiu widział na własne oczy oniemiałego elfa. Szare oczy Oromisa rozszerzyły się, jego usta otwarły. Ścisnął poręcz fotela tak mocno, że drzewo jęknęło w proteście.

- Ktoś kto nosi znak Jeźdźców, choć sam nie jest Jeźdźcem - wymamrotał. - Przez całe życie nie spotkałem nikogo takiego jak wasza dwójka. Każda decyzja którą podejmujecie, wydaje się mieć skutki sięgające o wiele dalej, niżli ktokolwiek mógłby przypuszczać. Każdy wasz kaprys zmienia świat.

- To dobrze czy źle?

- Ani tak, ani tak. Gdzie teraz przebywa to dziecko?

Eragon potrzebował chwili na opanowanie rozszalałych myśli.

- U Vardenów, albo w Farthen Durze, albo w Surdzie. Sądzisz, że znak Saphiry jej pomoże?

- Nie wiem - przyznał Oromis. - Nie znam precedensu, z którego mógłbym zaczerpnąć tę wiedzę.

- Muszą istnieć sposoby zdjęcia błogosławieństwa, usunięcia zaklęcia - rzekł niemal błagalnym tonem Eragon.

- Owszem, istnieją, ale, żeby były naprawdę skuteczne, ty sam musisz je zastosować, a na razie nie możesz opuścić Ellesmery. I nawet w najlepszych okolicznościach pozostałości twej magii będą do końca życia ściagały dziewczynkę. Taka jest moc pradawnej mowy. - Urwał. - Widzę, że rozumiesz powagę sytuacji, powiem więc to tylko raz: ponosisz pełną odpowiedzialność za los owej dziewczynki, a ponieważ ją skrzywdziłeś, na tobie spoczywa obowiązek pomagania jej w każdych okolicznościach. Zgodnie z prawem Jeźdźców to twoja hańba, nie mniejsza, niż gdybyś splodził ją poza łóżem małżeńskim, co, jeśli pamiętam, u ludzi jest powodem prawdziwego wstydu.

- Tak - szepnął Eragon. - Rozumiem. - Rozumiem, że zmusiłem bezbronne dziecko, by przyjęło na siebie straszne przeznaczenie, nie pytając go nawet o zgodę. Czy ktoś, kto nigdy nie ma szans, by zachować się źle, może być naprawdę dobrym? Uczyniłem z niej niewolnicę.

Wiedział też, że gdyby on sam został podobnie odmieniony bez pytania o zdanie, nienawidziłby swego ciemności w każdej chwili swojego życia.

- Zatem nie będę więcej o tym mówił.

- Tak, ebrithilu.

☆☆☆

Do końca dnia Eragon pozostał cichy, wręcz przygnębiony. Gdy wyszli na dwór na spotkanie z powracającymi Saphirą i Glaedrem, tylko na moment uniósł wzrok. Drzewa zadrżały w powiewach huraganu wywołanego przez dwa smoki. Saphira sprawiała wrażenie bardzo z siebie dumnej; wysoko unosiła głowę, maszerując ku Eragonowi z otwartą w wilczym uśmiechu paszczą.

Pod ciężarem Glaedra pękł kamień, gdy stary smok zwrócił ku Eragonowi olbrzymie oko - rozmiarem dorównujące półmiskowi - i spytał:

*Jakie są trzy zasady dostrzegania opadających prądów i pięć zasad ich unikania?*

Zaskoczony Eragon mógł tylko zamrużyć, patrząc tępo na Glaedra.

- Nie wiem.

Oromis podszedł do smoczycy.

- Jakie istoty hodują mrówki i jak czerpią z nich pożywienie?

*Nie mam pojęcia* - oznajmiła Saphira z wyraźną urazą.

W oczach Oromisa rozbłysły iskry gniewu. Splótł ręce na piersi, choć jego twarz pozostała spokojna.

- Po wszystkim, co razem przeżyliście, sądziłem, że nauczyliście się podstawowej lekcji bycia Shurtugalem: dzielić się wszystkim ze swym partnerem. Czy odcięlibyście sobie prawą rękę, latalibyście na jednym skrzydle? Nigdy. Czemu zatem ignorujecie więź, która was łączy? Robiąc tak, odrzucacie najcenniejszy dar i przewagę nad każdym pojedynczym przeciwnikiem. Nie powinniście jedynie rozmawiać ze sobą myślami, lecz raczej połączyć swe świadomości, póki nie zaczniecie myśleć i zachowywać się jak jedno. Spodziewam się, że odtąd każde z was będzie wiedziało, czego uczy się drugie.

- A co z naszą prywatnością? - zaprotestował Eragon.

*Prywatnością?* - powtórzył Glaedr. *Jeśli chcecie, po odejściu stąd zachowujcie swe myśli dla siebie. Ale póki was uczymy, nie macie żadnej prywatności.*

Eragon spojrział na Saphirę. Czuł się jeszcze gorzej niż przedtem. Smoczyca długo unikała jego spojrzenia, aż w końcu tupnęła nogą i spojrzała na niego.

*Co?!*

*Oni mają racje. Zanieśliśmy swoje obowiązki.*

*To nie moja wina.*

*Wcale tego nie powiedziałem.*

Odgadła jednak, co Eragon myśli naprawdę. Niechętnie przyjmował uwagę, jaką poświęcała Glaedrowi, i to, jak bardzo zapominała o nim samym.

*Na przyszłość spiszemy się lepiej, prawda?*

*Oczywiście!* - odwarknęła.

Nie przeprosiła jednak Oromisa ani Glaedra, pozostawiając ten obowiązek Eragonowi.

- Więcej was nie zawieziemy.

- Postarajcie się. Jutro przejdziecie sprawdzian z tego, czego nauczyło się drugie. - Oromis pokazał mu okrągły drewniany bibelot, spoczywający na dłoni. - Dopóki będziesz pamiętał, by nakręcać je regularnie, urządzenie to obudzi cię o stosownej porze każdego ranka. Wróć tu, gdy tylko zjesz i się wykupiesz.

Kiedy Eragon wziął od niego bibelot, zaskoczył go jego ciężar. Przedmiot wielkości orzecha pokrywały głębokie rzeźbione zawijasy, otaczające gałkę wyrzezaną na podobieństwo róży kosmatej. Na próbę obrócił gałkę i usłyszał trzy szczęknięcia ukrytego mechanizmu.

- Dziękuję - rzekł.

## *Pod drzewem Menoa*

Saphira i Eragon pożegnali się i polecili z powrotem do swego domu na drzewie. Saphira trzymała między przednimi łapami swoje nowe siodło. Nie przyznając się do tego głośno, stopniowo otworzyli przed sobą umysły, pozwalając, by łącząca ich więź poszerzyła się i pogłębiła, choć żadne świadomie nie sięgnęło ku drugiemu. Wzburzone emocje Eragona okazały się dość silne, by Saphira i tak je wyczuła, spytała bowiem:

*Co się stało?*

Czując pulsujący ból, narastający za oczami, wyjaśnił jej, jaką straszliwą zbrodnię popełnił w Farthen Durze. Wieść ta wstrząsnęła smoczyką równie mocno jak nim samym.

*Twój dar mógł pomóc dziewczynce, ale to, co zrobiłem, jest niewybaczalnie i jedynie ja skrzywdzi* - rzekł.

*Nie obwiniaj wyłącznie siebie. Podzielam twą znajomość pradawnej mowy i ja także nie dostrzegłam tego błędu.*

Gdy Eragon nie odpowiedział, dodała:

*Przynajmniej plecy nie sprawiły ci dziś kłopotu. Bądź za to wdzięczny.*

Mruknął coś pod nosem; nie miał wcale ochoty porzucać ponurego nastroju.

*A czego ty nauczyłaś się tego pięknego dnia?*

*Jak rozpoznawać i unikać niebezpiecznych zjawisk pogodowych.*

Urwała, najwyraźniej gotowa podzielić się z nim wspomnieniami. Był jednak zbyt zajęty zamartwianiem się wypaczoną klątwą, by wypytywać dalej, nie potrafił też znieść myśli o tak wielkiej intymności w owej chwili. Gdy się nie odezwał, Saphira także milczała.

Po powrocie do sypialni, podobnie jak poprzedniego wieczoru, znalazł pod drzwiami tacę z jedzeniem. Zaniósł ją na łóżko - zasłane świeżą pościelą - i usiadł, by zjeść, przeklinając brak mięsa. Obolały po ringarze, oparł się na poduszkach i właśnie miał spożyć pierwszy kęs, gdy usłyszał ciche pukanie u wejścia do komnaty.

- Proszę - warknął, pociągając łyk wody.

Niemal udławił się, widząc przekraczającą próg Aryę. Elfka zamieniła swój zwyczajowy skórzany strój na miękką, zieloną tunikę, podtrzymywaną paskiem ozdobionym kamieniami księżycowymi. Zrezygnowała także z opaski, pozwalając, by włosy opadły jej swobodnie wokół twarzy i na ramiona. Największa zmiana jednak zaszła nie w jej stroju, lecz zachowaniu. Napięcie, które Eragon wyczuwał w niej od pierwszego spotkania, zniknęło bez śladu. Wyglądało na to, że w końcu zdołała się odprężyć. Zerwał się z miejsca, dostrzegając, że Arya ma gołe stopy.

- Aryo, dlaczego przysłałaś?

Elfka dotknęła najpierw dwoma palcami ust.

- Zamierzasz spędzić kolejny wieczór w domu?

- Ja...

- Przebywasz w Ellesmerze od trzech dni, ale jak dotąd nie widziałeś jeszcze naszego miasta. Wiem, że zawsze pragnęłaś je zwiedzić. Ten jeden raz zapomnij o znużeniu i zechciej mi towarzyszyć. - Niemal płynąc ku niemu, podniosła leżącego u boku Eragona Zar'roca i wezwała chłopca gestem.

Wstał z łóżka i podążył za nią do przedsionka. Razem zeszli stromymi schodami okrążającymi szorstki pień drzewa. Nad ich głowami gęstniejące chmury lśniły w ostatnich promieniach słońca opadającego poza krawędź świata.

Kawałki kory posypały się na głowę Eragona. Uniósł wzrok i ujrzał wyglądającą z sypialni Saphirę. Nie rozkładając skrzydeł, smoczyca skoczyła w powietrze i opadła sto stóp niżej, lądując w potężnym obłoku

*Idę z wami.*

- Oczywiście - odparła Arya, jakby nie spodziewała się niczego innego.

Eragon skrzywił się, bo chciał być z nią sam, ale wiedział, że nie powinien się skarżyć.

Wędrowali pod drzewami. Zmrok zapuścił już między nie swe macki wychynawszy z wnętrza pustych pni, ciemnych szczelin w gałęziach, spod węzlastych dachów. Tu i tam pod drzewem lśniła podobna do klejnotu lampa, inne kołysały się na końcach gałęzi, rzucając na ziemię obok ścieżki plamy łagodnego światła.

Elfy krzątały się w blasku lamp, pracując nad różnymi projektami, zwykle samotne, prócz nielicznych par. Kilkanaście siedziało wysoko na drzewach, wygrywając słodkie melodie na trzciniowych fletniach. Inne patrzyły w niebo z błogim spokojem, ani w pełni świadome, ani śpiące. Jeden siedział ze skrzyżowanymi nogami przed kołem garncarskim obracającym się w miarowym rytmie, a jego palce nadawały kształt delikatnej urnie. Kotołaczka Maud przykucnęła obok w cieniu, obserwując pracę garncarza. Jej oczy błysnęły srebrzyście, gdy spojrzała na Eragona i Saphirę. Elf podążył za jej wzrokiem i pozdrowił ich skinieniem głowy, nie przerywając pracy.

Wśród drzew Eragon dostrzegł innego elfa - nie potrafił rozpoznać, kobietę czy mężczyznę - przykucniętego na głazie pośrodku strumienia i mruczącego zakłęcie nad trzymaną w dłoniach szklaną kulą. Chłopiec obrócił głowę, starając się przyjrzeć mu lepiej, lecz elf zniknął już w ciemności.

- Jak - spytał Eragon, zniżając głos - większość elfów zarabia na życie?

- Nasze opanowanie magii - odparła równie cicho Arya - daje nam tyle swobody, ile zapagniemy. Nie polujemy, nie uprawiamy ziemi. W rezultacie całymi dniami rozwijamy swe zainteresowania, nieważne czego dotyczą. Bardzo niewiele jest rzeczy, które musimy zdobywać.

Poprzez dereniowy tunel pod płaszczem z powoju wkroczyli do zamkniętego atrium domu stojącego w pierścieniu drzew. Środek atrium zajmowała pozbawiona ściany chata, w której kryła się kuźnia i zestaw narzędzi; Eragon był pewien, że nawet Horst by ich pozazdrościł.

Nieznajoma elfka wsunęła parę niewielkich cęgów w sam środek żarzących się węgli. Prawą ręką naciskała miech. Z niesamowitą szybkością wyciągnęła cęgi z ognia, ukazując pierścieni rozpalonej do białości stali zaciśnięty w ich szczękach, przesunęła go przez krawędź niedokończony kolczugi wiszącej na kowadle, chwyciła młot i uderzeniem wzbila w powietrze snop iskier, zamykając ogniwo.

Dopiero wtedy Arya podeszła do niej.

- Atra esterni ono thelduin.

Elfka odwróciła się ku nim, krwisty blask ognia padł od dołu na jej szyję i policzek. Całą twarz elfki pokrywała delikatna siateczka zmarszczek, podobnych do napiętych drutów, tkwiących tuż pod skórą. Była to najwyraźniej oznaka wieku, jaką Eragon widział u przedstawicieli tego ludu.

Nie odpowiedziała Aryi, co, jak wiedział, stanowiło poważną obrazę, zwłaszcza że córka królowej zaszczyliła ją, odzywając się pierwsza.

- Rhunón-elda, przyprowadziłam ci najnowszego Jeźdźca, Eragona Cieniobójcę

- Słyszałam, że nie żyjesz - odparła Rhunón, zwracając się do Aryi. Głos miała niski, ochryply, niepodobny do głosu innych elfów.

Eragonowi skojarzył się ze starcami z Carvahall, którzy siedzieli na werandach i paląc fajki, opowiadali długie historie. Arya uśmiechnęła się.

- Kiedy ostatnio wysłaś z domu, Rhunón?

- Powinnaś wiedzieć. To było w święto letniego przesilenia, do udziału w którym mnie zmusiłaś. - Trzy lata temu.

- Czyżby?

Rhunón zmarszczyła brwi, zgarniając węgle i przykrywając je ciężką kratą.

- I co z tego? Towarzystwo innych mnie męczy. Nieustanna, bezsensowna gadanina, która...

- Spojrzała gniewnie na Aryę. - Czemu rozmawiamy w tym wstrętnym języku? Pewnie chcesz, żebym wykuła mu miecz? Wiesz, że przysięgam nigdy już nie tworzyć narzędzi śmierci po zdradzie owego Jeźdźca i zniszczeniach, jakich dokonał moją klingą.

- Eragon ma już miecz. - Arya uniosła rękę i podała kowalce Zar'roca.

Rhunón ujęła go, patrząc z zachwytem. Poglądziła palcami czerwoną jak wino pochwę, zatrzymując się przy wytrawionym w niej czarnym symbolu. Starła odrobinę brudu z rękojeści, po czym oplotła ją palcami i dobyła miecza z wprawą wojownika. Powiodła wzrokiem wzdłuż

krawędzi Zar'roca i wygięła w dłoniach ostrze tak mocno, że Eragon zląkł się, że zaraz pęknie. A potem jednym szybkim ruchem Rhunón uniosła Zar'roca nad głowę i opuszczała na tkwiące na kowadłe cęgi, przecinając je na pół z donośnym brzękiem.

- Zar'roc - rzekła - pamiętam cię. - Przytuliła broń, niczym matka pierworodnego. - Równie doskonały jak w dniu, gdy cię ukończyłam. - Odwróciła się do nich plecami i uniosła wzrok ku splecionym gałęziom w górze; palcami pieściła krzywizny rękojeści. - Przez całe życie wykuwałam te miecze. A potem przybył on i je zniszczył. Stulecia pracy zniweczone w jednej chwili. Z tego, co wiedziałam, tylko cztery dzieła mych rąk przetrwały. Jego miecz, Oromisa i dwa inne strzeżone przez rody, które zdołały ocalić je przed Wyrdfell.

*Wyrdfell?*- ośmielił się spytać Eragon Aryę.

*To inna nazwa Zaprzysiężonych.*

Rhunón zwróciła się do Eragona:

- A teraz Zar'roc powrócił do mnie. Ze wszystkich mych dzieł jego najmniej spodziewałam się jeszcze raz ująć w dłoń. Jak zdobyłeś klingę Morzana?

- Dał mi ją Brom.

- Brom? - Zważyła Zar'roca w dłoni. - Brom... Pamiętam Broma. Błagał mnie, bym wykuła mu nowy miecz w miejsce tego, który stracił. Szczerze pragnęłam mu pomóc, ale złożyłam już przysięgę. Moja odmowa niepomiernie go rozgniewała, Oromis musiał go ogłuszyć, bo Brom nie chciał opuścić tej kuźni.

Eragon zapisał w pamięci tę informację.

- Twoje dzieło dobrze mi służyło, Rhunón-elda. Gdyby nie Zar'roc, już dawno bym nie żył. To nim zabiłem Cienia Durzę.

- Naprawdę? Zatem zdał się na coś dobrego. - Rhunón wsunęła Zar'roca do pochwy i oddała Eragonowi, choć z lekkim wahaniem, po czym spojrzała na Saphirę. - Ach. Bądź pozdrowiona, skulblaka.

*Bądź pozdrowiona, Rhunón-elda.*

Nie pytając o pozwolenie, Rhunón podeszła do Saphiry i postuliła kwadratowym paznokciem w łuskę smoczy, przekrzywiając głowę i próbując przeniknąć wzrokiem półmrok.

- Dobry kolor, nie jak te brązowe smoki, ciemne niczym błoto. Zwyczaj nakazuje, by miecz Jeźdźca pasował do odcienia smoka, a taki błękit dałby wspaniałą klingę... - Sprawiała wrażenie, jakby ta myśl pozbawiła ją wszelkiej energii. Elfka odwróciła się do kowadła i zapatrzyła w rozcięte szczypce, najwyraźniej straciwszy chęć do dalszej pracy.

Eragon uznał, że nie powinni kończyć rozmowy w tak przygnębiający sposób. Nie umiał jednak znaleźć taktownego sposobu zmiany tematu. Jego uwagę przyciągnęła lśniąca kolczuga. Gdy przyjrzał się jej uważnie, ze zdumieniem odkrył, że każdy pierścień został starannie skutym. Ponieważ maleńkie ogniwo stygły bardzo szybko, zwykle skuwało się je przed połączeniem w jedną całość, co oznaczało, że najlepsze kolczugi - takie jak należąca do Eragona - składały się z ogniwa na zmianę skutych na gorąco i zaciśniętych. Chyba że kowal dysponował szybkością i precyzją ruchów elfa...

- Nigdy nie widziałem kolczugi dorównującej tej - rzekł - nawet u krasnoludów. Skąd bierzesz cierpliwość, by skuć każde ogniwo? Czemu nie używasz magii, oszczędzając sobie pracy?

Nie spodziewał się namiętnego wybuchu, który ożywił Rhunón. Elfka odrzuciła krótkie włosy.

- Miałabym pozbawić się całej płynącej z niej radości? O tak, każdy elf ja także - mógłby użyć magii, by zaspokoić swe pragnienia. I niektórzy rzeczywiście to robią. Wówczas jednak, jaki sens ma ich życie? Jak mają wypełniać swój czas? Powiedz mi.

- Nie wiem - przyznał.

- Zajmując się tym co najbardziej kochają. Gdy możesz zdobyć wszystko, czego pragniesz, wypowiadając kilka słów, cel nie ma znaczenia, liczy się tylko podróż. Niechaj to będzie dla ciebie nauką. Pewnego dnia staniesz przed tym samym dylematem, jeśli pożyjesz dość długo... A teraz odejdźcie, zmęczyły mnie rozmowy. - To rzekłszy, Rhunón zsunęła pokrywę z kuźni, chwyciła nową parę szczypiec i zanurzyła w węglach pierścieni, z determinacją naciskając miech.

- Rhunón-elda - rzekła Arya - pamiętaj, że wrócę do ciebie w przeddzień Agaeti Blódhren. Odpowiedziało jej jedynie chrząknięcie.

Rytmiczny dźwięk stali uderzającej o stal, samotny niczym krzyk umierającego ptaka w nocy towarzyszył im podczas wędrówki przez dereniowy tunel i dalej na ścieżkę. Rhunón była już tylko niewielką czarną postacią, pochyloną nad rozżarzone palenisko.

- To ona wykuła wszystkie miecze Jeźdźców? - spytał Eragon. - Co do sztuki?

- Je i jeszcze więcej. Jest najznamienitszym kowalem, jaki żył na tym świecie. Pomyślałam, że powinieneś ją poznać: dla jej i twego dobra. - Dziękuję.

*Zawsze jest taka opryskliwa?* - chciała wiedzieć Saphira.

Arya roześmiała się.

- Zawsze. Dla niej nie liczy się nic prócz jej rzemiosła. Słynie ze swej niecierpliwości i niechęci do wszystkiego i każdego, kto przeszkadza jej w pracy. Tolerujemy jednak jej ekscentryczność z powodu niewiarygodnych umiejętności i osiągnięć.

Podczas gdy mówiła, Eragon próbował przetłumaczyć słowa Agaeti Blódhren. Był niemal pewien, że blódh oznacza krew. Czyli Blódhren musiało znaczyć „przysięga krwi”. Nigdy jednak nie słyszał słowa agaeti.

- Święto - wyjaśniła Arya, kiedy ją o to spytał. - Co sto lat urządzamy Święto Przysięgi Krwi, by upamiętnić nasz pakt ze smokami. Oboje macie szczęście, że jesteście tu teraz, bo właśnie zbliża się ta noc. - Jej ukośne brwi uniosły się i zmarszczyła czoło. - Można rzec, że los istotnie sprowadził was tu w najszcześniejszym momencie.

Zaskoczyła Eragona, prowadząc ich w głąb Du Veldenvarden, ścieżkami wijącymi się wśród pokrzyw i krzaków porzeczek. W końcu światło wokół nich zgasło i znaleźli się w dzikiej głuszy. W mroku Eragon musiał polegać na bystrym wzroku Saphiry, by nie zgubić drogi. Drzewa miały coraz grubsze pnie, rosły coraz ciasniej. Zdawało się, że lada moment utworzą nieprzenikloną barierę. Dokładnie w chwili, gdy odniósł wrażenie, że dalej już nie dotrą, las się skończył i wyszli na polanę zalaną blaskiem jasnego półksiężyca wiszącego na wschodnim niebie.

Pośrodku polany stała samotna sosna. Nie wyższa niż reszta jej rodzeństwa, była jednak grubsza niż sto innych drzew razem wziętych. W porównaniu z nią wydawały się wiotkie niczym rozkołysane młode pędy. Z masywnego pnia drzewa rozchodził się gąszcz korzeni, pokrywając ziemię grubymi żyłami, które wywoływały wrażenie, że cały las wyrasta z tego jednego drzewa, że oto widzą przed sobą serce Du Veldenvarden. Drzewo panowało nad lasem niczym troskliwa matrona, chroniąca pod dachem ze swych gałęzi mieszkańców puszczy.

- Oto drzewo Menoa - wyszeptła Arya. - To w jej cieniu obchodzimy Agaeti Blódhren.

Lodowate ciarki spływały po boku Eragona, gdy rozpoznał tę nazwę. Po tym, jak Angela przepowiedziała mu przyszłość w Teirmie, podszedł do niego Solembum i rzekł:

*Kiedy nadejdzie czas i będziesz potrzebował broni, szukaj pod korzeniami drzewa Menoa. A gdy wszystko wyda się stracone, a twoja moc nie wystarczy, idź pod skalę Kuthian i wymów swe imię, by otworzyć Kryptę Dusz.*

Eragon nie miał pojęcia, jaka broń może leżeć zagrzebana pod korzeniami drzewa ani jak miałby ją znaleźć.

*Widzisz cokolwiek?* - spytał Saphirę.

*Nie, ale też wątpię, by słowa Solebuma nabrały sensu, póki nie znajdziemy się w potrzebie.*

Eragon powtórzył Aryi obie rady kotołaka, choć podobnie jak w przypadku Ajihada i Islanzadi - zatrzymał dla siebie proroctwo Angeli z powodu jego osobistej natury i ponieważ lękał się, że dzięki niemu Arya może odczytać jego uczucia.

- Kotołaki rzadko ofiarują swoją pomoc - powiedziała Arya, gdy skończył. - A kiedy to robią, nie należy ich ignorować. Z tego, co wiem, nie ukryto tu żadnej broni, nie wspomina o tym żadna pieśń czy legenda. Co do skały Kuthian... nazwa ta dźwięczy echem w mojej głowie niczym głos z na wpół zapomnianego snu, znajomy, a jednocześnie obcy. Słyszałam ją już wcześniej. Nie pamiętam jednak gdzie.

Gdy zbliżył się do drzewa Menoa uwagę Eragona przyciągnęły gromady mrówek biegających po korzeniach. Widział jedynie rozmazane czarne plamki, lecz zadanie Oromisa

wyczuliło go na otaczające go prądy życia i umysłem wyczuwał prymitywną świadomość owadów. Opuścił osłonę, pozwalając swym myślom rozlać się szerzej, lekko dotknął Saphiry i Aryi, i posłał je jeszcze dalej, by się przekonać, co jeszcze żyje na polanie. Niespodziewanie natknął się na coś olbrzymiego, świadomą istotę tak ogromnej natury, że nie potrafił wyczuć granic jej umysłu. Nawet potężny intelekt Oromisa, z którym Eragon nawiązał kontakt w Farthen Durze wydał się w porównaniu z tą obecnością maleńki. Samo powietrze sprawiało wrażenie, jakby wibrowało energią i siłą promieniującą z... drzewa?

Źródła nie dało się pomylić z niczym innym.

Myśli drzewa, rozważne i leniwe, poruszały się w tempie wolniejszym nawet niż lód narastający stopniowo na granicę. Drzewo nie zwracało uwagi na Eragona ani, był tego pewien, jakiegokolwiek inne samotne stworzenie. Całkowicie zajmowały je sprawy istot rosnących i rozkwitających w blasku słońca, konwalii i przyłasczek, wieczornych pierwiosnków, jedwabistych ostróżek, żółtej gorczyicy pnącej się wysoko obok rajskiej jabłoni o fioletowych kwiatach.

- Ono jest przytomne! - wykrzyknął wstrząśnięty Eragon. - To znaczy... jest inteligentne.

Wiedział, że Saphira także to czuje. Przekrzywiając głowę, wpatrywała się w drzewo Menoa, jakby nasłuchując, po czym wleciała na jedną z gałęzi, szerokich niczym gościniec z Carvahall do Therinsfordu. Przysiadła tam z wdziękiem, kołysząc zwisającym swobodnie ogonem. Widok smoka na drzewie był do tego stopnia niezwykły, że Eragon o mało nie wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, że jest przytomna - odparła Arya. Jej głos rozbrzmiewał miękko w nocnym powietrzu. - Chciałbyś, żebym opowiedziała ci historię drzewa Menoa?

- Bardzo.

Biała błyskawica przeszła niebo niczym samotna zjawia i zatrzymała się pod postacią Bładgena obok Saphiry. Wąskie ciało i wygięta szyja kruka sprawiały, że przypominał skapca pławiącego się w blasku stosu złota. Kruk uniósł białą głowę i zakrzyknął złowieszczo.

- Wyrda!

- Oto jego historia. W dawnych czasach, w latach korzeni i wina, przed naszą wojną ze smokami i zanim staliśmy się nieśmiertelni w stopniu, w jakim nieśmiertelnym może być istota z krwi i wrażliwego ciała, żyła kobieta, Linnea. Linnea postarzała się, pozbawiona towarzystwa mężczyzny i dzieci. Nie czuła potrzeby posiadania ich, wolała zajmować się sztuką śpiewania do roślin, w której celowała. Działo się tak, dopóki w jej drzwiach nie stanął młodzian i nie omamił kobiety słowami miłości. Jego uczucie przebudziło Linnee taką, która, jak sądziła, nigdy nie istniała, i pragnienie doświadczenia tego, co nieświadomie poświęciła. Propozycja drugiej szansy okazała się zbyt wielką pokusą. Linnea porzuciła swą pracę i całkowicie oddała się młodzieńcowi. Przez jakiś czas byli szczęśliwi.

Lecz mężczyzna ów był młody i z czasem zaczął tęsknić za partnerką bliską mu wiekiem. Jego wzrok padł na młodą niewiastę, zaczął się do niej zalecać i zdobył jej serce. Przez jakiś czas oni także byli szczęśliwi.

Gdy Linnea odkryła, że została wzgardzona i porzucona, oszalała z żalu Młodzian uczynił rzecz najgorszą z możliwych: dał jej zakosztować pełni życia, a potem odebrał jej ją bez zastanowienia, niczym kogut podfruwający od jednej kury do drugiej. Znalazła go z tamtą kobietą i w swej furii zabiła nożem.

Linnea wiedziała, że to, co uczyniła, było złe. Wiedziała też, że nawet gdyby oczyszczono ją z zarzutu morderstwa, nigdy nie zdołałaby powrócić do swego poprzedniego życia. Straciło ono dla niej wszelką radość i sens. Podeszła zatem do najstarszego drzewa w Du Veldenvarden, przywarła do niego i złączyła się z nim śpiewem, porzucając wszelkie więzi łączące ją z jej własną rasą. Przez trzy dni i trzy noce śpiewała, a gdy skończyła, stała się jednością ze swymi umiłowanymi roślinami. I odtąd przez wszystkie tysiąclecia czuwa nad lasem. Tak właśnie powstało drzewo Menoa.

Gdy opowieść dobiegła końca, Arya i Eragon usiedli obok siebie na potężnym korzeniu, dwanaście stóp nad ziemią. Eragon stuknął piętami o drzewo, zastanawiając się, czy Arya pragnęła, by ta opowieść stała się dla niego ostrzeżeniem, czy też po prostu mu ją przytoczyła.

Wkrótce jego wątpliwości zmieniły się w pewność.



- Jak sądzisz? - spytała. - Czy młodzieniec był winny tej tragedii?  
- Myślę - odparł, wiedząc, że nieprzemysłana odpowiedź mogłaby spowodować zwrócenie się Aryi przeciwko niemu - że to, co uczynił było okrutne i że Linnea zbyt ostro zareagowała. Oboje zawinili.

Arya patrzyła na niego tak długo, że w końcu odwrócił wzrok.

- Nie pasowali do siebie.

Eragon już miał zaprzeczyć, ale się powstrzymał. Miała rację i wymanewrowała go tak, że musiał przyznać to głośno.

- Może - mruknął.

Cisza narastała między nimi niczym mur, którego żadne nie chciało przebić. Ze skraju polany dochodziło cykanie świerszczy.

- Powrót do domu dobrze ci robi - rzekł wreszcie Eragon.

- Istotnie. - Arya pochyliła się z gracją, podniosła niewielką gałąź odrzuconą przez drzewo Menoa i zaczęła splatać ze szpilek niewielki koszyk.

Do policzków Eragona napłynęła krew. Miał nadzieję, że w blasku księżyca elfka nie dostrzeże głębokiego rumieńca.

- Gdzie... gdzie mieszkasz? Czy macie z Islanzadi pałac albo zamek?

- Mieszkamy we dworze Tialdari, siedzibie naszych przodków w zachodniej części Ellesmery. Chętnie pokażę ci nasz dom.

- Ach. - Nagle w oszołomionym umyśle Eragona pojawiło się praktyczne pytanie, przeganiające zakłopotanie i wstyd.

- Aryo, czy ty masz rodzeństwo? - Pokręciła głową. - Zatem jesteś jedyną dziedziczką tronu elfów?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Nie rozumiem, czemu pozwolono ci zostać ambasadorem u Vardenów i krasnoludów i przewozić jajo Saphiry stąd do Tronjheimu. To zbyt niebezpieczne zadanie dla księżniczki, nie mówiąc już o przyszłej królowej.

- Chcesz powiedzieć, że jest zbyt niebezpieczne dla ludzkiej kobiety. Mówiłam już wcześniej, że nie jestem jedną z waszych bezradnych niewiast. Nie pojmujesz też, że inaczej niż wy czy krasnoludy traktujemy naszych monarchów. Dla nas najważniejszym obowiązkiem króla bądź królowej jest służba ludowi w każdy możliwy sposób. Jeśli oznacza poświęcenie życia, czynimy to chętnie, by dowieść naszego oddania, jak mawiają krasnoludy: honorowi, ogniewi i domowi. Gdybym zginęła, pełniąc me obowiązki, spomiędzy innych rodów wybrano by nowego następcę. Nawet teraz, gdybym uznała, że perspektywa objęcia tronu budzi moją niechęć, nie musiałabym zostać królową. Nie wybieramy przywódców, którzy nie chcą poświęcić się całkowicie dla dobra innych. - Zawahała się, po czym przyciągnęła kolana do piersi i oparła na nich brodę. - Miałam wiele lat na dopracowanie tych argumentów w dyskusjach z mą matką. - Przez minutę świerszcze bez przeszkód cykały na polanie, w końcu Arya spytała: - Jak idzie ci nauka u Oromisa?

Eragon odchrząknął. Paskudny nastrój wrócił wraz z falą przykrych wspomnień, odbierając mu przyjemność przebywania z Aryą. Teraz pragnął jedynie wczłgać się do łóżka, zasnąć i zapomnieć o całym dniu.

- Oromis-elda - rzekł, starannie przetrawiając każde słowo, nim w końcu je wypowiedział - jest bardzo dokładny. - Skrzywił się, gdy z miążdżącą siłą chwyciła go za ramię.

- Co się stało?

Próbował uwolnić się z jej uchwytu.

- Nic.

- Podróżowałam z tobą dość długo, by wiedzieć, kiedy jesteś szczęśliwy, zły albo cierpisz. Czy coś zaszło między wami? Jeśli tak, musisz mi powiedzieć, bym mogła naprawić sytuację. A może to twoje plecy? Moglibyśmy...

- Nie chodzi o moje szkolenie! - Mimo irytacji Eragon dostrzegł, że elfka sprawia wrażenie naprawdę zatroskanej, co go ucieszyło. - Spytaj Saphire, ona ci powie.

- Chcę to usłyszeć od ciebie - rzekła cicho.

Mięśnie szczęki Eragona zadrżały, gdy zacisnął zęby. Niskim głosem, niewiele donośniejszym od szeptu opisał jej najpierw to, jak nie udała mu się medytacja na polanie, a potem opowiedział o incydencie, który zatrzał mu serce niczym jad przyczajonej w piersi żmii: błogosławieństwie.

Arya wypuściła jego rękę i zacisnęła palce na korzeniu drzewa Menoa, jakby się bała, że spadnie.

- Barzul! - Krasnoludzkie przekleństwo przeraziło Eragona; nigdy wcześniej nie słyszał, by Arya klęła, a to słowo wydawało się wyjątkowo stosowne, oznaczało, bowiem zły los. - Oczywiście wiedziałam o twoim czynie w Farthen Durze, ale nigdy nie sądziłam... nigdy nie podejrzewałam, że mogło dojść do czegoś takiego. Błagam cię o wybaczenie, Eragonie, za to, że zmusiłam cię dziś do opuszczenia kwatery. Nie pojmowałam twojego cierpienia. Z pewnością chcesz być sam.

- Nie - odparł. - Jestem wdzięczny za towarzystwo i za wszystko, co mi pokazałaś. - Uśmiechnął się do niej i po chwili elfka również odpowiedziała mu uśmiechem.

Siedzieli razem, drobni i nieruchomi u stóp prastarego drzewa, patrząc, jak księżyc wznosi się coraz wyżej nad pograżony we śnie lasem, aż w końcu niknie za gęstniejącymi chmurami.

- Zastanawiam się tylko, co się stanie z tą dziewczynką.

Wysoko nad ich głowami Bładgen zaszeleścił białymi jak kość piórami.

- Wyrda! - zaskrzeczał.

## *W labiryncie przeciwności*

Nasuada splotła ręce na piersiach i - nie starając się nawet ukryć swego zniecierpliwienia - zmierzyła wzrokiem dwóch stojących przed nią mężczyzn.

Ten po prawej miał grubą szyję i wysuwał głowę do przodu niemal pod kątem prostym do ramion, co nadawało mu wygląd upartego, tępego osiłka. Wrażenie to podkreślały jeszcze gęste brwi, potargane i tak krzaczaste, że niemal zakrywały oczy, oraz wyjątkowo pełne usta, nawet podczas mówienia wydęte niczym kapelusz różowego grzyba. Nasuada wiedziała jednak, że ów odstręczający wygląd o niczym nie świadczy. Mężczyzna miał język cięty jak najlepszy trefniś.

Najbardziej charakterystyczną cechą drugiego mężczyzny była blada skóra, nieciemniejąca nawet w bezlitosnych promieniach słońca Surdy, choć Vardeni przebywali w Aberonie, stolicy królestwa, już od kilku tygodni. Nasuada zgadywała, że musiał się urodzić na południowych krańcach imperium. W dłoniach trzymał wełnianą czapkę, którą skręcał tak, że zamieniała się w twardą, krótką linę.

- Ty - rzekła, wskazując go. - Ile twoich kur zabił? Powtórz.

- Trzyście, pani.

- Wszyscy powtarzają, że to pechowa liczba, mości Gamble - powiedziała Nasuada, przenosząc wzrok na drugiego mężczyznę. - Taką też okazała się dla ciebie. Jesteś winien kradzieży i zniszczenia cudzej własności bez przekazania stosownej zapłaty.

- Nigdy temu nie przeczyłem.

- Zastanawiam się tylko, jakim cudem udało ci się zjeść trzyście kur w cztery dni. Czy kiedykolwiek bywasz najedzony, mości Gamble?

Mężczyzna uśmiechnął się i podrapał po policzku. Cichy zgrzyt nieprzyciętych paznokci trących o szorstki zarost irytował ją. Z wysiłkiem powstrzymała się od prośby, by przestał.

- Nie bierz tego za oznakę braku szacunku, pani, lecz napełnienie mojego brzucha nie stanowiłoby problemu, gdybyś właściwie nas karmiła przy całej pracy, którą tu mamy. Spory ze mnie człek i kiedy już spędzę pół dnia, rozbijając kilofem kamienie, potrzeba mi kawałka mięsa w żołądku. Staralem się oprzeć pokusie, naprawdę. Lecz trzy tygodnie skąpych racji i oglądania farmerów przeganiających obok tłuste stada, którymi nie chcieli się podzielić nawet z głodującymi... Cóż, przyznaję, złamałem się. Nie jestem silnym człkiem, jeśli chodzi o jedzenie. Lubię zjeść ciepło i lubię zjeść suto. I nie uważam, że tylko ja.

I w tym właśnie tkwi problem, pomyślała Nasuada. Vardenów nie było stać na wykarmienie wszystkich, nawet z pomocą króla Surdy Orrina. Orrin otworzył przed nimi skarbiec, nie zamierzał jednak postąpić tak jak Galbatorix, gdy wyprawiał swe wojsko przez imperium: rekwirować zapasów gromadzonych przez rodaków, nie płacąc za nie. Szlachetne, ale jeszcze bardziej utrudnia mi pracę, pomyślała. Wiedziała jednak, że podobne postępowanie różni ją, Orrina, Hrothgara i Islanzadi od despotyzmu Galbatorixa. Jakże łatwo byłoby przekroczyć tę granicę i nawet tego nie dostrzec.

- Rozumiem, co tobą kierowało, mości Gamble. Jednakże, choć Vardeni nie są krajem i nie podlegamy niczyjej władzy prócz naszej własnej, nie daję ci to - ani komukolwiek innemu - prawa do lekceważenia zasad nakreślonych przez mych poprzedników i przestrzeganych tu, w Surdzie. Rozkazuję, zatem, byś zapłacił miedziaka za każdą skradzioną kurę.

Gamble zaskoczył ją, zgadzając się bez protestów.

- Jak każesz, pani - rzekł.

- To wszystko?! - wykrzyknął blady mężczyzna, jeszcze mocniej skręcając czapkę. - To nieuczciwa cena. Gdybym sprzedał je na targu...

Nasuada nie zdołała się pohamować.

- Tak, dostałbyś więcej. Ale wiem przypadkiem, że mości Gamble'a nie stać na pokrycie równowartości kur, bo to ja wypłacam mu pensję. Podobnie zresztą twoją. Zapominasz, że jeśli

zdecyduje, że należy zarekwirować twój drób dla dobra Vardenów, będziesz miał szczęście, gdy dostaniesz miedziaka za sztukę. Zrozumiano?

- On nie może...

- Zrozumiano?

Po chwili blady mężczyzna spokorniał.

- Tak. Pani - wymamrotał.

- Doskonale. Możecie obaj odejść.

Gamble dotknął dłonią czoła i skłonił się przed Nasuadą, po czym wraz z nadąsanym właścicielem kur wycofał się z kamiennej komnaty.

- Wy także - rzuciła do strażników czekających po obu stronach drzwi.

Gdy tylko odeszli, z pełnym znużenia westchnieniem opadła na fotel i sięgnęła po wachlarz. Zaczęła poruszać nim szybko, na próżno próbując pozbyć się kropel potu roszących czoło. Nieustanny upał pozbawiał ją sił i sprawiał, że nawet najprostsze zadania wydawały się nieznośnie trudne. Podejrzewała, że czułaby się zmęczona nawet zimą. Choć doskonale знаła wszystkie tajemnice Vardenów, przeniesienie całej organizacji z Farthen Duru przez góry Beorskie do Aberonu w Surdzie wymagało więcej pracy, niż przypuszczała. Zadrżała, przypominając sobie długie dni spędzone w niewygodnym siodle. Planowanie i realizacja wyjazdu były niezwykle trudne, podobnie integracja Vardenów w nowym otoczeniu, przy jednoczesnym przygotowywaniu ataku na imperium.

Brak mi już czasu, by rozwiązywać wszystkie te problemy, poskarżyła się w duchu.

W końcu odrzuciła wachlarz i pociągnęła szarfę dzwonka, wzywając swą służkę Faricę. Proporzec wiszący po prawej stronie biurka z drzewa wiśniowego zafalował, gdy ukryte za nim drzwi się otwały. Farica wysliznęła się spod płachty tkaniny i stanęła przy łokciu Nasuady, spuszczać wzrok

- Jeszcze ktoś? - spytała Nasuada.

- Nie, pani.

Starła się nie okazać ulgi. Raz w tygodniu udzielała audiencji, rozstrzygając wszelkie spory wśród Vardenów. Każdy, kto uważał, że został skrzywdzony, mógł ubiegać się o spotkanie z nią i prosić o osąd. Nie potrafiła wyobrazić sobie trudniejszego i bardziej niewdzięcznego obowiązku. Jak mawiał często jej ojciec po negocjacjach z Hrothgarem: dobry kompromis złości wszystkich bez wyjątku. I tak to właśnie wyglądało.

Skupiając się na najpilniejszych sprawach, zwróciła się do Faricy:

- Chcę, żeby przeniesiono tego Gamble'a. Dajcie mu prace, w której, wykorzysta się jego elokwencję, może w kwatermistrzostwie, byle tylko dostawał pełne racje. Nie chcę, żeby znów stanął przede mną oskarżony o kradzież.

Farica kiwnęła głową, podeszła do biurka i zapisała instrukcje Nasuady na zwoju pergaminu. Już ta umiejętność czyniła z niej niezastąpioną pomocnicę.

- Gdzie go znajdę? - spytała.

- W jednej z drużyn roboczych w kamieniołomach.

- Tak, pani. Ach, gdy byłaś zajęta, król Orrin prosił, byś odwiedziła go w pracowni.

- Co tam zrobił tym razem? Oślepił się? - Nasuada obmyła przeguby i szyję wodą lawendową, sprawdziła swą fryzurę w lustrze z polerowanego srebra, podarowanym przez Orrina, poprawiła wierzchnią suknię i wyprostowała rękawy.

Zadowolona, wyszła szybko z komnaty; Farica stąpała tuż za nią. Tego dnia słońce świeciło tak jasno, że nie potrzeba było pochodni, by oświetlić wnętrze zamku Borromeo - i tak zresztą nikt nie zniósłby ich gorąca. Słoneczne promienie wpadały przez ukośne otwory strzelnicze i oświetlały wewnętrzną ścianę korytarza, kreśląc w powietrzu regularne złote pasma. Nasuada wyjrzała przez jeden z otworów na barbakan, gdzie około trzydziestu odzianych w pomarańczowe tuniki żołnierzy Orrina szykowało się do kolejnego patrolu wokół stolicy.

To pewnie i tak by nic nie dało, gdyby Galbatorix postanowił sam nas zaatakować, pomyślała z goryczą. Chroniła ich przed tym tylko duma Galbatorixa i taką przynajmniej miała nadzieję, jego strach przed Eragonem. Wszyscy przywódcy są świadomi ryzyka uzurpacji, lecz

sami uzurpatorzy jeszcze bardziej boją się zagrożenia, które mógłby stanowić samotny, zdeterminowany człowiek. Nasuada wiedziała, że rozpoczęła niezwykle niebezpieczną grę z najpotężniejszym szaleńcem w Alagaesii. Jeśli popełni błąd, oceniając, jak mocno może nacisnąć, zostaną wraz z resztą Vardenów zniszczeni, a razem z nimi wszystkie nadzieje na zakończenie panowania Galbatorixa.

Woń świeżości w zamku przypomniła jej czasy, które spędziła tu jako dziecko. Wówczas na tronie zasiadał wciąż ojciec Orrina, król Larkin. W tamtym okresie rzadko widywała Orrina - był o pięć lat starszy od niej i zajmowały go już książęce obowiązki. Obecnie jednak często zdawało się jej, że to ona jest starsza. Przy drzwiach pracowni musiała się zatrzymać, czekając, aż strażnicy pełniący wartę poinformują króla o jej przybyciu. Wkrótce na schodach rozbrzmiewał donośny głos Orrina.

- Pani Nasuado! Jakże się cieszę, że przyszałaś. Chcę ci coś pokazać.

Mobilizując całą siłę umysłu, weszła wraz z Faricą do pracowni. Przed sobą ujrzały labirynt stołów pełnych najfantastyczniejszych alembików, retort i szalek - zupełnie jakby znalazły się w szklanym gąszczu, czekającym tylko, by pochwycić ich suknie którąś z niezliczonych, kruchych gałązek. Ciężka woń metalicznych oparów sprawiła, że Nasuadzie napłynęły do oczu łzy. Unosząc rąbki spódnic, zagłębiały się wraz z Faricą kolejno między stoły, mijając wagi i klepsydry, stare tomy okute poczeriałym żelazem, krasnoludzkie astrolabia i stopy fosforyzujących, kryształowych przyrządów, z których sypały się kapryśne, błękitne iskry.

Znalazły Orrina przy ławie z marmurowym blatem. Szklaną rurką zamkniętą z jednej strony mieszał właśnie rtęć. Rurka liczyła sobie, co najmniej trzy stopy długości, choć była szeroka zaledwie na ćwierć cala.

- Panie - rzekła Nasuada.

Jak wypadło komuś równemu rangą królowi, pozostała wyprostowana, podczas gdy Faricą dygnęła nisko.

- Widzę, że doszedłeś do siebie po zesłotygodniowym wybuchu.

Orrin skrzywił się dobrodusznie.

- Nauczyłem się, że niemądrze jest łączyć fosfor i wodę w zamkniętej przestrzeni. Efekty mogą być dość gwałtowne.

- Czy w pełni powrócił ci słuch?

- Nie do końca, ale...

Uśmiechnięty szeroko, niczym chłopiec, który dostał właśnie swój pierwszy sztylet, odpalił cienki patyk od węgla w palniku - Nasuada nie potrafiła pojąć, jak znosił ten żar w takim upale - przeniósł z powrotem na ławę i za jego pomocą zapalił fajkę nabitą bernardynkiem.

- Nie wiedziałam, że palisz.

- Tak naprawdę nie palę - przyznał - ale odkryłem, że dopóki mój bębenek nie do końca się zrósł, mogę zrobić coś takiego. - Zaciągnawszy się, wydał policzki. Po chwili z jego lewego ucha wypłynęła smużka dymu, cienka niczym wąż opuszczający swe gniazdo, i popłynęła w górę wokół głowy.

Było to tak nieoczekiwane, że Nasuada wybuchnęła śmiechem. Po chwili Orrin zawtórował jej, wypuszczając z ust pióropusz dymu.

- To naprawdę niezwykle uczucie. Strasznie łaskocze, gdy wylatuje.

Nasuada szybko spoważniała.

- Czy chciałeś omówić ze mną coś jeszcze, panie?

Król pstryknął palcami.

- Oczywiście. - Zanurzając w tygielku długą, szklaną rurkę, napełnił je rtęcią, po czym palcem zatkał wolny koniec i pokazał Nasuadzie. - Zgodzisz się, że jedyną rzeczą w tej rurce jest rtęć?

- Zgodzę.

Dlatego właśnie chciał się ze mną widzieć? - pomyślała.

- A teraz? - Jednym szybkim ruchem odwrócił rurkę i wsunął otwarty koniec do kociołka, zabierając palec. Miast się wylać, jak oczekiwała Nasuada, rtęć w rurce opadła mniej więcej do

połowy, po czym się zatrzymała i zamarła. Orrin wskazał pustkę ponad metalem. — Co zajmuje to miejsce?

- To musi być powietrze - oświadczyła Nasuada.

Orrin uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

- Skoro tak, jak udałoby mu się wyminąć rtęć bądź przeniknąć przez szkło? Nie ma żadnej drogi, którą mogłoby się tam dostać. - Gestem wskazał Faricę. - Jaka jest twoja opinia, panienko?

Farica przez dłuższą chwilę przyglądała się rurce, w końcu wzruszyła ramionami.

- To nie może być nic, panie.

- Ach, wręcz przeciwnie. Myślę, że to właśnie jest nic. Uważam, że rozwiązałem jedną z najstarszych zagadek filozofii naturalnej, tworząc i dowodząc istnienia próżni! Całkowicie niweczy to teorię Vachera i oznacza, że Ladin był naprawdę geniuszem. Przeklęte elfy, chyba zawsze mają rację.

Nasuada z trudem zmusiła się do zachowania serdecznego tonu.

- Jakiemu celowi to służy?

- Celowi? — Orrin spojrzał na nią ze szczerym zdumieniem. - Oczywiście żadnemu, mnie przynajmniej nic nie przychodzi do głowy. Jednakże pomoże nam to w zrozumieniu mechanizmów rządzących naszym światem, tego, jak i czemu dzieją się różne rzeczy. To cudowne odkrycie i kto wie, do czego jeszcze doprowadzi. - Mówiąc, opróżnił rurkę, po czym starannie złożył ją w wyściełanym aksamitem pudle, kryjącym podobne, kruche instrumenty. - Najbardziej jednak podnieca mnie perspektywa wykorzystania magii do przeniknięcia tajemnic natury. Zaledwie wczoraj Trianna pomogła mi jednym zaklęciem odkryć dwa zupełnie nowe gazy. Wyobraź sobie, czego mogliśmy się dowiedzieć, gdybyśmy systematycznie zastosowali magię w dyscyplinach filozofii naturalnej. Zastanawiam się, czy samemu nie nauczyć się magii, jeśli mam taki talent i jeśli zdołam przekonać jakiegoś maga, by przekazał mi swą wiedzę. Wielka szkoda, że twój Smoczy Jeździec, Eragon, nie towarzyszy ci tutaj. Z pewnością zdołałby mi pomóc.

Nasuada spojrzała na Faricę.

- Zaczekaj na mnie na zewnątrz. - Kobieta dygnęła i odeszła.

Słyszając szcęk zamykanych drzwi pracowni, Nasuada zwróciła się do króla:

- Orrinie, czy zupełnie postradałeś rozum?

- Co to ma znaczyć?

- Podczas gdy ty marnujesz czas w zamknięciu, prowadząc eksperymenty, których nikt nie rozumie, a które przy okazji zagrażają twemu zdrowiu kraj balansuje na krawędzi wojny. Tysiące spraw czekają na twoją decyzję - a ty stoisz tu, wydmuchując dym i bawiąc się rtęcią?

Jego twarz stężała.

- Jestem doskonale świadom mych obowiązków, Nasuado. Możesz przewodzić Vardenom, ale to ja jestem królem w Surdzie i lepiej, byś o tym pamiętała, nim jeszcze raz przemówisz do mnie tak zuchwale. Czy muszę ci przypominać, że tylko mej dobrej woli zawdzięczacie schronienie tutaj?

Wiedziała, że to czcza groźba. Wielu mieszkańców Surdy miało krewnych wśród Vardenów i na odwrót. Zbyt wiele ich łączyło, by któreś z nich mogło opuścić drugie. Nie, prawdziwym powodem urazy Orrina była kwestia władzy. Ponieważ nie dało się przez dłuższy czas utrzymać w gotowości dużych grup zbrojnych - jak Nasuada się przekonała, wy-karmienie tak wielu próżnujących ludzi to prawdziwy logistyczny koszmar- Vardeni zaczęli znajdować sobie pracę, zakładać farmy i na różne sposoby wtapiać się w społeczność kraju. Do czego mnie to doprowadzi? Zostanę dowódcą nieistniejącej armii, generałem bądź doradcą podległym Orrinowi? - myślała. Jej pozycja była bardzo niepewna. Jeśli zacznie działać zbyt szybko, zanadto przejmie inicjatywę, Orrin uzna to za zagrożenie i zwróci się przeciwko niej, zwłaszcza teraz, gdy spowijała ją chwała zwycięstwa Vardenów w Farthen Durze. Jeżeli jednak będzie zwlekać zbyt długo, stracą szansę wykorzystania chwilowej słabości Galbatorixa.

Uwięziona w labiryncie przeciwności, dysponowała tylko jednym atutem - władzą nad graczami, którzy mieli odegrać główną rolę w kolejnym akcie dramatu: Eragonem i Saphirą.

- Nie chcę podważać twojej władzy, Orrinie - rzekła. - Nigdy nie miałam takiego zamiaru i przepraszam, jeśli tak to zabrzmiało. - Król schylił głowę w sztywnym ukłonie. Niepewna, jak go przekonać, oparła koniuszki palców o skraj ławy. - Tyle, że... jest tak wiele spraw do załatwienia. Pracuję dniami i nocami, nawet przy łóżku trzymam tabliczkę na notatki. Ale wciąż pojawia się coś nowego. Czuję się, jakbyśmy scalił chwalili się na skraju przepaści.

Orrin wziął z ławy pokryty czarnymi plamami tłuczek i zaczął obracać między dłońmi w miarowym, hipnotycznym rytmie.

- Nim tu przybyliście... nie, nie tak. Nim twój Jeździec zmaterializował się w pełni z eteru niczym Moratensis z jego źródła, sądziłem, że przeżyję swe życie jak mój ojciec i wcześniej dziadek, to znaczy w sekrecie sprzeciwiając się Galbatorixowi. Musisz mi wybaczyć, że nie od razu potrafię przywyknąć do nowej sytuacji.

Nie mogła oczekiwać głębszej skruchy.

- Rozumiem.

Na moment zatrzymał tłuczek.

- Dopiero niedawno uzyskałaś władzę, podczas gdy ja dzierżę moją od kilku lat. Jeśli mogę być dość zuchwały, by zaoferować ci radę, odkryłem, że dla zachowania zdrowego umysłu konieczne muszę poświęcać część dnia rozwijaniu własnych zainteresowań.

- Nie mogłabym - zaprotestowała Nasuada. - Każda stracona chwila może być właśnie tą, której trzeba, by pokonać Galbatorixa.

Tłuczek znów znieruchomiał.

- Jeśli nadal będziesz się tak zapracowywać, tylko zaszkodziś Vardenom. Nikt nie może funkcjonować bez chwili spokoju i wytchnienia. To nie muszą być długie przerwy, wystarczy pięć, dziesięć minut. Możesz nawet ćwiczyć strzelanie z łuku, co również posłuży twojemu celowi, lecz w inny sposób. Dlatego właśnie kazałem zbudować sobie tę pracownię. Dlatego wydychuję dym i bawię się ręką, jak to ujęłaś. Aby nie musiał krzyczeć z frustracji przez resztę dnia.

Choć niechętnie rozstawała się z wizją Orrina - próżniaka, Nasuada musiała przyznać, że w jego słowach kryje się głębszy sens.

- Zapamiętam twoje zalecenia.

Jego wcześniejsza swoboda częściowo powróciła.

- O nic więcej nie proszę.

Nasuada podeszła do okna, rozchyliła szerzej okiennice i spojrzała w dół na Aberon. W mieście rozbrzmiewały krzyki kupców, zachwalających swe towary niczego niepodważającym przechodniom. Z zachodniego gościńca wiatr przynosił tumany żółtego pyłu, zwiastujące przybycie karawany. Rozgrzane powietrze nad glinianymi dachówkami drżało, niosąc woń bernardynka i kadzidła, spływającą z marmurowych świątyń i pól otaczających Aberon niczym płatki kwiatu.

- Otrzymałaś kopię naszych najnowszych raportów z imperium? - spytała, nie odwracając się.

- Tak.

Dołączył do niej, stając w oknie.

- Jaka jest twoja opinia?

- Że są zbyt skape i niepełne, by wyciągnąć z nich znaczące wnioski.

- Nie mamy lepszych.

- Zdradź mi swoje podejrzenia i przeczucia. Wyciągaj wnioski ze znanych faktów, tak jak w jednym ze swoich eksperymentów. - Uśmiechnęła się. - Obiecuję, że nie przywiążę wagi do twoich słów

Musiała poczekać na jego odpowiedź, a gdy ta nadeszła, miała w sobie żalobny ciężar złowieszczej przepowiedni.

- Zwiększone podatki, puste koszary, konie i woły konfiskowane w całym imperium... Wygląda na to, że Galbatorix zbiera siły, szykując się do konfrontacji. Nie wiem jednak, czy zamierza się bronić, czy atakować.

Roztańczone cienie chłodziły ich twarze; to chmara szpaków przesłoniła słońce.

- Najbardziej dręczy mnie teraz pytanie: Ile Galbatorix potrzebuje czasu do pełnej mobilizacji? To, bowiem określi naszą strategię. - Tygodni, miesięcy, lat. Nie potrafię przewidzieć, co zrobi.

Skinał głową.

- Czy twoi agenci nadal rozpowszechniają wieści o Eragonie?

- Staje się to coraz bardziej niebezpieczne, ale owszem. Mam nadzieję, że jeśli rozpuścimy w miastach takich jak Dras - Leona pogłoski o mocy Eragona, gdy dotrzemy do miasta i mieszkańcy go ujrzą, dołączą do nas z własnej woli i unikniemy oblężenia.

- Wojna rzadko bywa tak łatwa.

Nie skomentowała tej uwagi.

- A jak przebiega mobilizacja twojej własnej armii? Vardeni jak zawsze są gotowi do walki.

Orrin rozłożył ręce w uspokajającym geście.

- Trudno jest podburzyć cały naród, Nasuado. Najpierw muszę przekonać część szlachty, by mi pomogła. Trzeba wyprodukować zbroje i broń, zgromadzić zapasy...

- A tymczasem, jak mam wykarmić moich ludzi? Potrzebujemy więcej ziemi. niż nam przydzieliliś.

- Wiem o tym - rzekł.

- I zdobędziemy ją tylko najeżdżając imperium. Chyba że zechcesz na zawsze zostawić Vardenów w Surdzie. Jeżeli tak, będziesz musiał znaleźć domy dla tysięcy ludzi, których przyprowadziłam z Farthen Duru. To z pewnością nie ucieszy twoich obywateli. Tak czy inaczej, wybieraj szybko, bo lękam się, że jeśli nadal będziesz zwlekać, Vardeni zamienią się w nieopanowaną hordę. - Starła się, by nie zabrzmiało to jak groźba.

Mimo to Orrinowi wyraźnie nie spodobała się jej aluzja. Górna warga króla uniosła się w grymasie.

- Twój ojciec nigdy nie pozwalał ludziom wymknąć się spod kontroli. Ufam, że ty także do tego nie dopuścisz, jeśli chcesz pozostać przywódczynią Vardenów. Co do naszych przygotowań, istnieje limit tego, co możemy uczynić w tak krótkim czasie. Po prostu musisz zaczekać, aż będziemy gotowi.

Nasuada zacisnęła palce na parapecie tak mocno, że na jej przegubach wystąpiły żyły, a paznokcie wbiły się w szczeliny między kamieniami. Nie pozwoliła jednak, by w jej głosie zabrzmiała choćby nuta gniewu.

- W takim razie, czy użyczysz Vardenom więcej złota na pożywienie?

- Nie, dałem wam już wszystkie pieniądze, które mogłem wydać.

- Co zatem będziemy jeść?

- Proponuję, abyście sami zebrali fundusze.

Wściekła, obdarzyła Orrina najszerszym, najpromienniejszym uśmiechem, utrzymując go dość długo, by poczuł się niezręcznie, a potem pokłoniła się nisko niczym służka, ani na moment nie zmieniając obłąkańczo radosnej miny.

- Zatem żegnaj, panie. Mam nadzieję, że reszta twojego dnia będzie równie przyjemna jak nasza rozmowa.

Orrin wymamrotał coś niezrozumiałego, a ona zawróciła i ruszyła szybko w stronę wyjścia. Niesiona gniewem Nasuada trąciła prawym rękawem nefrytową butelkę i zrzuciła ją na ziemię. Kamień pękł; żółty płyn obryzgał jej rękaw i wsiąkł w spódnicę. Nie zatrzymując się strzepnęła rękę.

Farica dołączyła do niej na schodach. Razem pokonały płataninę korytarzy wiodących do komnat Nasuady.



## Po nitce do kłębką

Otwierając gwałtownie drzwi swych pokojów, Nasuada wmaszerowała do środka i opadła na fotel przy biurku, nie dostrzegając otoczenia. Kręgosłup miała tak sztywny, że jej ramiona nie dotknęły oparcia - jakby zamroził ją nierozwiązywalny problem, przed którym stanęli Vardeni. Jej pierś poruszała się coraz wolniej, aż w końcu ruch ten stał się prawie niedostrzegalny.

Przegrałam, powtarzała w myślach.

- Pani, twój rękaw!

Gwałtownie wyrwana z zamyślenia Nasuada spojrzała w dół i odkryła, że Farica uderza jej prawą rękę ściereczką do kurzu. Z haftowanego rękawa wnosila się smużka dymu. Wystraszona, zerwała się z fotela i przekręciła rękę, próbując odszukać źródło dymu. Jej rękaw i spódnica kruszyły się, zamieniały w kredowobiałe pajęczyny, wydzielając gryzące opary.

- Uwolnij mnie z niej - poleciła.

Trzymając skażoną rękę jak najdalej od ciała, zmusiła się, by stać nieruchomo i czekać, aż Farica rozsznuruje wierzchnią suknię. Palce służki gorączkowo drapały plecy Nasuady, w rozpaczliwym pośpiechu zmagając się z węzłami, aż w końcu rozluźniły wełniany stanik opinający tors. Gdy tylko suknia opadła jej z ramion, Nasuada wyrwała ręce z rękawów i zrzuciła spódnice.

Dyszając, stanęła przy biurku, odziana jedynie w pantofle i lniana koszulę. Ku jej uldze kosztowny batyst nie został uszkodzony, choć przesiąknął ostrym odorem.

- Sparzyło cię, pani? - spytała Farica. Nasuada pokręciła głową, nie ufając własnemu głosowi. Służka trąciła czubkiem trzewika suknię. - Co to za diabelstwo?

- Jedna z paskudnych mikstur Orrina - wychrypiała Nasuada. - Rozlałam ją w jego pracowni.

Przez chwilę oddychała głęboko, uspokajając się; z rozpaczą przyjrzała się zniszczonej sukni. Utknęły ją krasnoludzkie kobiety z Durgrimst Ingeitum w darze na ostatnie urodziny Nasuady. Była najelegantszym strojem z jej garderoby i Nasuada nie dysponowała niczym, co mogłoby ją zastąpić nie mogła też zamówić nowej sukni, biorąc pod uwagę trudności finansowe Vardenów.

Będę musiała poradzić sobie jakoś bez niej, pomyślała.

Farica pokręciła głową.

- Co za szkoda, taka piękna suknia. - Okrążyła biurko, zebrała koszyk z przyborami do szycia i wróciła, niosąc parę ostrych nożyczek. - Równie dobrze możemy ocalić jak najwięcej materiału. Wytnę zniszczone kawałki i każę je spalić.

Nasuada skrzywiła się i zaczęła krążyć po pokoju, kipiąc z wściekłości na własną niezręczność. Złościło ją też, że do coraz dłuższej liczby problemów dołączył jeszcze jeden.

- Co teraz włożę, wychodząc na dwór? - spytała ostro.

Nożyczki zgrabnie i szybko kroili miękką wełnę.

- Może płócienną suknię?

- Jest za prosta, by móc w niej wystąpić przed obliczem Orrina i jego doradców.

- Daj mi szansę, pani. Z pewnością zdołam przerobić ją tak, by dobrze ci służyła. Kiedy skończę, będzie wyglądała dwakroć wspanialej niż ta tutaj.

- Nie, nie, to się nie uda, po prostu mnie wyśmieją. Dostatecznie trudno mi zachować ich szacunek, gdy jestem stosownie ubrana, a co dopiero, kiedy pojawię się w połatanej sukni, dobitnie świadczącej o naszej biedzie.

Starsza kobieta spojrzała na nią surowo.

- Uda się, o ile nie będziesz przeproszać za swój wygląd. Co więcej, gwarantuję, że inne damy zachwycą się nową modą i zaczną cię naśladować. Zaczekaj, a sama się przekonasz. - Farica podeszła do drzwi, uchyliła je i wręczyła zniszczony materiał jednemu ze strażników. - Twoja pani chce, żeby to spalić. Zrób to w sekrecie i nie wspominaj nikomu, inaczej odpowiesz przede mną.

Strażnik zasalutował. Nasuada nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Jak ja bym sobie poradziła bez ciebie, Farico?

- Przypuszczam, że całkiem dobrze.

Przywdziawszy zieloną suknię myśliwską - która dzięki lekkiej spódnicy lepiej nadawała się na upał - Nasuada uznała, że choć nie żywi zbyt przychylnych uczuć wobec Orrina, posłucha jego rady i zrobi sobie przerwę w codziennej pracy. Porzucając ważne zajęcia, pomogła Faricy rozpruć szwy zniszczonej sukni. Odkryła, że mozolne zajęcie pozwala jej lepiej skupić myśli. Wyciągając nici, dyskutowała o problemach Vardenów ze służką, w nadziei że Farica może dostrzec rozwiązanie, które jej umknęło.

Ostatecznie jednak usłyszała tylko następującą uwagę:

- Jak się wydaje, większość spraw tego świata ma swoje korzenie w złocie. Gdybyśmy mieli go dość, moglibyśmy podkupić czarny tron Galbatorixa. Nie musielibyśmy nawet walczyć z jego ludźmi.

Naprawdę oczekiwałam, że ktoś inny wykona za mnie moją pracę? - spytała samą siebie Nasuada. - Ja nas w to wpakowałam i ja muszę nas z tego wyplątać.

Zamierzając rozciąć szew, wyciągnęła rękę i zahaczyła czubkiem nożyczek rąbek klockowej koronki, przecinając ją na pół. Przez chwilę wpatrywała się w poszarpaną dziurę, zerwane końce nici barwy pergaminu, tworzące wzory, które wiły się po sukni niczym splecione ze sobą robaki. Poczula, jak w gardle wzbiera jej histeryczny śmiech. Jednocześnie w oczach zakręciły się łzy. Czy mogła mieć jeszcze większego pecha?

Klockowa koronka stanowiła najcenniejszą część sukni. Choć jej produkcja wymagała umiejętności, o rzadkości i prawdziwej wartości koronki decydował inny czynnik: czas. Długi, przeraźliwie długi, otepiająco długi czas. Jej produkcja trwała tak długo, że jeśli ktoś samotnie próbował zrobić sobie koronkowy welon, mógł mierzyć swe postępy nie w tygodniach, lecz w miesiącach. Koronka była cenniejsza niż jej równoważnik w złocie bądź srebrze.

Nasuada przesunęła palcami po nicianych pasmach, zatrzymując się przy wyciętej dziurze. Koronka nie wymagała nawet tak wiele energii, wyłącznie czasu. Osobiście Nasuada nienawidziła koronczarstwa. Energia... energia. W tym momencie w jej umyśle niczym błyskawica przemknęła seria obrazów: Orrin mówiący o wykorzystaniu magii do badań; Trianna, kobieta, która przewodziła Du Vrangr Gata od czasu śmierci Bliźniaków; słuchanie jednego z uzdrowicieli Vardenów, który wyjaśniał Nasuadzie zasady rządzące magią, gdy miała zaledwie pięć czy sześć lat. Wszystkie te oderwane doświadczenia połączyły się w tok rozumowania tak niezwykle i nieprawdopodobny, że w końcu uwolniły uwięziony w jej gardle śmiech.

Farica spojrzała dziwnie na swą panią, czekając na wyjaśnienie. Nasuada wstała tak szybko, że połowa sukni zsunęła jej się z kolan na podłogę.

- Natychmiast sprowadź mi Triannę - poleciła. - Nie obchodzi mnie, co robi, przyprowadź ją tutaj.

Skóra wokół oczu służki napięła się lekko, Farica jednak tylko dygnęła w odpowiedzi.

- Jak sobie życzysz, pani. - wyszła ukrytymi drzwiami dla służby.

- Dziękuję - wyszeptła Nasuada w pustej komnacie.

Doskonale rozumiała niechęć służki. Ona także czuła się niezręcznie, gdy musiała kontaktować się z władającymi magią. W istocie ufała Eragonowi tylko dlatego, że był Jeźdźcem - choć właściwie niczego to nie dowodziło, co dobitnie pokazał Galbatorix - i z powodu jego hołdu lennego, Nasuada wiedziała, że Eragon nigdy nie złamie przysięgi. Przerazała ją myśl o mocach magów i czarowników. Świadomość, że z pozoru zwykła osoba może zabić jednym słowem, wtargnąć do czyjegoś umysłu, jeśli tylko zechce, oszukiwać, kłamać, kraść do woli i łamać wszystkie prawa, ciesząc się niemal zupełną bezkarnością, była doprawdy przerażająca. Serce zabiło jej szybciej.

Jak można pilnować przestrzegania prawa, skoro pewna część ludności włada niezwykłymi mocami? Na swym najprostszym poziomie wojna Vardenów z imperium stanowiła wyłącznie próbę wymierzenia sprawiedliwości człowiekowi, który nadużył swych mocy magicznych i niedopuszczenia, by popełnił kolejne zbrodnie. Cały ten ból i zniszczenie tylko dlatego, że nikt nie miał dość sił, by pokonać Galbatorixa. Nie pokona go nawet upływ czasu!

Choć nie lubiła magii, wiedziała, że odegra ona kluczową rolę w detronizacji Galbatorixa i że ona, Nasuada, nie może sobie pozwolić na konflikt ze stosującymi magię aż do pewnego zwycięstwa. Gdy jednak niego dojdzie, zamierzała rozwiązać ów problem.

Nagle jej rozmyślania przerwało śmiałe pukanie do drzwi. Nasuada przywołała na twarz miły uśmiech i wzniosła barierę wokół umysłu, tak jak ją uczono.

- Wejść - rzuciła.

Musiała dołożyć wszelkich starań, by zachować się uprzejmie po tym, jak tak bezceremonialnie wezwała Triannę.

Drzwi otwały się i do komnaty wmaszerowała ciemnowłosa czarodziejka. Jej ciemne loki piętrzyły się na głowie, upięte niedbale w pośpiechu. Wyglądała jakby dopiero co wstała z łóżka. Skłoniła się na modłę krasnoludzką

- Wzywałaś mnie, pani?

- Owszem. - Siedząca wygodnie w fotelu Nasuada powoli zmierzyła spojrzeniem czarodziejkę. Czując na sobie jej wzrok, Trianna uniosła wyżej głowę. - Muszę wiedzieć, jaka jest najważniejsza zasada magii.

Trianna zmarszczyła brwi.

- Cokolwiek zechcesz uczynić magią, będzie wymagało takiej samej energii, jak przeprowadzone w zwykły sposób.

- A to, co możecie uczynić, ogranicza jedynie wasza pomysłowość i znajomość pradawnej mowy?

- Istnieją też inne ograniczenia, lecz ogólnie rzecz biorąc, tak. Pani, czemu pytasz? To podstawy magii i jestem pewna, że choć nie są omawiane powszechnie, ty z pewnością już o nich słyszałaś.

- Istotnie. Chciałam się upewnić, że właściwie je rozumiem. - Nie wstając z krzesła, Nasuada sięgnęła w dół i uniosła suknię, pokazując Triannie uszkodzoną koronkę. - Zatem wedle tych ograniczeń powinnaś móc opracować zaklęcie pozwalające produkować koronkę za pomocą magii?

Ciemne wargi czarodziejki wykrzywiły się we wzgardliwym, wyniosłym grymasie.

- Du Vrangr Gata ma ważniejsze zadania niż naprawa twoich strojów, pani. Nasza sztuka nie jest tak przyziemna, by stosować ją do zwykłych kaprysów. Z pewnością krawcy i szwaczki lepiej ci posłużą. A teraz, jeśli wybaczysz, muszę...

- Milcz, kobieto! - rzuciła Nasuada tonem nie pozwalającym na żadne sprzeciwy. Zaskoczona Trianna urwała w pół zdania. - Widzę, że Du Vrangr Gata winna przejść tę samą lekcję, co wcześniej Rada Starszych: może jestem młoda, ale nie jestem dzieckiem, które można traktować z góry. Pytam o koronkę, bo jeśli zdołacie produkować ją szybko i łatwo dzięki magii, będziemy mogli utrzymać Vardenów, sprzedając tanie koronki klockowe i niciane w całym imperium. Właśni poddani Galbatorixa dostarczą nam niezbędnych funduszy.

- Ależ to śmieszne! - zaprotestowała Trianna.

Nawet twarz Faricy zdradzała powątpiewanie.

- Nie można opłacać wojny koronką.

Nasuada uniosła brwi.

- Czemu nie? Kobiety, których dotąd nie było stać na własne koronki, rzucają się na nasze. Każda żona farmera pragnąca wyglądać na bogatszą niż jest w istocie, będzie chciała je kupić. Nawet bogaci kupcy i szlachta zapłacą, bo nasze koronki będą piękniejsze niż jakiegokolwiek zrobione ludzką ręką. Zgromadzimy fortunę dorównującą krasnoludzkiej. To jest, jeśli wystarczy wam umiejętności magicznych, by zrobić to, czego żądam.

Trianna odrzuciła włosy.

- Wątpisz w moje umiejętności?

- Można to zrobić?

Czarodziejka zawahała się. Potem wzięła od Nasuady suknię i długą chwilę przyglądała się pasmom koronki.

- Powinno się udać - rzekła w końcu. - Ale nim zyskam pewność, będę musiała przeprowadzić kilka prób.

- Uczyń to natychmiast. Od tej pory to twoje najważniejsze zadanie. Znajdź też doświadczoną koronczarkę, by doradziła ci wzory.

- Tak, pani Nasuado.

Nasuada pozwoliła sobie na łagodniejszy ton.

- To dobrze. Chcę też, byś wybrała najbystrzejszych członków Du Vrangr Gata i wraz z nimi pracowała nad wymyśleniem innych technik magicznych, które pomogą Vardenom. To twój obowiązek, nie mój.

- Tak, pani Nasuado.

- Teraz możesz odejść. Zgłoś się do mnie jutro rano.

- Tak, pani Nasuado.

Nasuada z zadowoleniem odprowadziła wzrokiem czarodziejkę, po czym zamknęła drzwi, pozwalając sobie na chwilę dumy z tego, co osiągnęła. Wiedziała, że żaden mężczyzna, nawet jej ojciec, nie wymyśliłby czegoś podobnego.

- To mój wkład w dzieło Vardenów - rzekła do siebie, żalując, że Ajihad jej nie widzi. Głośniej dodała: - Zaskoczyłam cię, Farico?

- Zawsze mnie zaskakujesz, pani.

## Elva

- Pani... jesteś potrzebna.

- Co się stało? - Nasuada niechętnie otworzyła oczy i ujrzała wchodzącego do komnaty Jórmondura. Żyłasty weteran zdjął hełm, wsunął go pod prawą pachę i ruszył ku niej, wspierając lewą dłoń na rękojeści miecza.

Ogniwa jego kolczugi zadzwoniły, gdy się pokłonił.

- Pani ma.

- Witaj, Jórmondurze. Jak się dziś miewa twój syn? - Ucieszyła się z jego przybycia. Ze wszystkich członków Rady Starszych Jórmondur najłatwiej zaakceptował jej przywództwo, służąc Nasuadzie z tą samą psią wiernością i determinacją jak wcześniej Ajihadowi.

Gdyby wszyscy moi wojownicy byli tacy jak on, nikt by nas nie powstrzymał, pomyślała.

- Kaszel ustąpił.

- Cieszę się, że to słyszę. A teraz powiedz, co cię sprowadza?

Na czole Jórmondura pojawiły się zmarszczki. Przyglądał wolną dłonią związane z tyłu w kucyk włosy. Nagle zorientował się, co robi i pośpiesznie opuścił rękę.

- Magia najosobliwszego rodzaju.

- Ach tak?

- Pamiętasz dziecię, które pobłogosławił Eragon?

- Owszem.

Nasuada widziała dziewczynkę tylko raz, słyszała jednak o krążących wśród Vardenów opowieściach o dziecku, a także nadziejach, co może zdziałać dziewczynka, gdy dorośnie. Ona sama podchodziła do tego tematu znacznie bardziej pragmatycznie. Czymkolwiek stanie się dziecko, nastąpi to dopiero za wiele lat. Do tej pory bitwa z Galbatorixem już dawno się zakończy - zwycięstwem bądź porażką.

- Proszono mnie, bym cię do niej zaprowadził.

- Proszono? Ale kto i czemu?

- Chłopiec na polu ćwiczeń powiedział mi, że powinnaś odwiedzić dziecko. Dodał, że to cię zainteresuje. Nie chciał mi podać imienia, ale wyglądał tak jak ludzka postać kotołaka czarownicy, pomyślałem więc... cóż, pomyślałem, że powinnaś wiedzieć. - Jórmondur zarumienił się lekko. - Zadałem moim ludziom kilka pytań dotyczących dziewczynki i usłyszałem, że jest... inna.

- W jakim sensie?

Wzruszył ramionami.

- Słyszałem dosyć, by nabrać pewności, że powinnaś posłuchać rady kotołaka.

Nasuada zmarszczyła brwi. Z dawnych opowieści wiedziała, że zlekceważenie słów kotołaka to szczyt głupoty, często wiodący wprost do zguby. Jednakże jego towarzyska, zielarka Angela, władała również magią i Nasuada nie do końca jej ufała. Zielarka była zbyt niezależna, zbyt nieprzewidywalna.

- Magia - mruknęła tonem, który zamienił to słowo w przekleństwo.

- Magia - zgodził się Jórmondur, choć w jego głosie zabrzmiał podziw i lęk.

- Doskonale, chodźmy odwiedzić dziecię. Czy jest w zamku?

- Orrin przeznaczył dla niej i jej opiekunki pokoje w zachodniej części twierdzy.

- Zaprowadź mnie tam.

Zbierając spódnice, Nasuada poleciła Faricy przełożyć umówione na resztę dnia spotkanie, po czym wyszła z komnaty. Za sobą usłyszała pstryknięcie palców Jórmondura, który dał znak wartownikom, by zajęli pozycje wokół niej. W chwilę później dołączył do Nasuady, wskazując drogę.

Upał panujący w zamku Borromeo jeszcze wzrósł i zamknięci w nim ludzie czuli się jak uwięzieni w olbrzymim piecu chlebowym. Powietrze nad parapetami drżało i migotało niczym płynne szkło.

Choć nie czuła się dobrze, Nasuada wiedziała doskonale, że i tak znosi gorąco lepiej niż większość ludzi, a to z powodu swej ciemnej skóry.

Najbardziej cierpieli ludzie tacy, jak Jormundur, a także strażnicy, którzy musieli cały dzień nosić zbroje, nawet, gdy stacjonowali w bezlitośnie palących promieniach słońca.

Nasuada obserwowała uważnie pięciu mężczyzn, widząc, jak na ich odsłoniętej skórze perli się pot, a oddechy stają się jeszcze cięższe. Od czasu przybycia do Aberonu kilkunastu Vardenów zemdląło z powodu udaru cieplnego. Dwaj zmarli godzinę czy dwie później i nie miała zamiaru tracić kolejnych poddanych, zmuszając ich do przekraczającego fizyczne możliwości wysiłku.

Gdy uznała, że potrzebują odpoczynku, poleciła im się zatrzymać i nie zważając na protesty, posłała służącego po wodę.

– Nie mogą pozwolić, żebyście padali jak muchy.

Nim dotarli do celu, musieli zatrzymać się jeszcze dwukrotnie. W końcu znaleźli się przed zwykłymi, pozbawionymi ozdób drzwiami, osadzonymi w wewnętrznej ścianie korytarza. Podłoga przed nimi była zasłana darami. Jormundur zastukał i po chwili odpowiedział mu trzęsący się głos:

- Kto tam?

- Pani Nasuada przybywa, by zobaczyć dziecko.

- Czy ma szczerze serce i silną wolę?

Tym razem to Nasuada odpowiedziała.

- Serce me jest czyste, a wola niczym żelazo.

- A zatem przekrocz próg i witaj.

Drzwi otwały się, ukazując przedsionek oświetlony samotną czerwoną krasnoludzką lampą. Nikt na nich nie czekał. Ruszywszy naprzód, Nasuada odkryła, że ściany i sufit przykrywają warstwy ciemnej tkaniny, sprawiając, że to miejsce przypominało jaskinię bądź jamę. Ku swemu zdumieniu poczuła na skórze chłodne, wręcz zimne powietrze, jak w rześką, jesienną noc. Lęk zatopił zatrute szpony w jej brzuchu. Magia. Drogę przesłoniła jej czarna, siatkowa zasłona. Odsuwając ją, ujrzała pokój niegdyś niewątpliwie salon. Teraz jednak usunięto z niego wszystkie meble prócz rzędu krzeseł ustawionych pod spowitymi w materiał ścianami. W zagłębieniu w opinającej sufit materii wisiało grono krasnoludzkich lamp, rzucając poskręcane, wielobarwne cienie. Z kąta pokoju obserwowała ją zgarbiona starucha. Po jednej stronie miała zielarkę Angełę, po drugiej kotołaka, który stał zjeżony. Na środku pomieszczenia klęczała blada dziewczynka. Nasuada oceniła, że ma jakieś trzy, cztery lata. Dziewczynka grzebała w ustawionym na podłodze talerzu z jedzeniem. Nikt się nie odzywał. Nasuada rozejrzała się zaskoczona.

- Gdzie jest dziecko?

Dziewczynka uniosła wzrok.

Na widok smoczego piętka jaśniejącego na czole dziecka Nasuada zachłysnęła się głośno. Spojrzała głęboko w fioletowe oczy. Dziewczynka wygięła usta w upiornym uśmiechu.

- Jestem Elva.

Nasuada zdrygnęła się, odruchowo zaciskając palce na rękojeści sztyletu, który przypięła do lewego ramienia. To był głos dorosłej osoby, w którym brzmiało doświadczenie i cynizm. W ustach dziecka zabrzmiał odrażająco.

- Nie uciekaj - rzekła Elva - jestem twoją przyjaciółką.

Odsunęła pusty talerz i odwróciła głowę ku starusze.

- Więcej jedzenia.

Stara kobieta pośpiesznie opuściła pokój, a wówczas Elva poklepała podłogę obok siebie.

- Usiądź, proszę. Czekałam na ciebie odkąd nauczyłam się mówić.

Nie wypuszczając sztyletu, Nasuada powoli opuściła się na kamienną posadzkę.

- Kiedy to było?

- W zeszłym tygodniu.

Elva przykucnęła i spłótła ręce na kolanach. Przyszpiliła Nasuadę spojrzeniem swych upiornych oczu, patrzących z nadnaturalną mocą. Nasuada odniosła wrażenie, jakby fioletowa lanca przeszła jej czaszkę i wniknęła w umysł, rozdzierając myśli i wspomnienia. Z trudem zwalczyła pragnienie, by krzyknąć.

Elva pochyliła się i przyłożyła do jej policzka miękką dłoń.

- Wiesz, nawet Ajihad nie mógłby lepiej pokierować Vardenami. Wybrałaś właściwą ścieżkę. Twoje imię będzie sławione w pieśniach przez wiele stuleci, a ludzie będą opiewać twą odwagę i mądrość, która kazała ci przenieść Vardenów do Surdy i zaatakować imperium, gdy wszyscy uważali to za szaleństwo.

Oszołomiona Nasuada gapiała się na dziewczynkę. Niczym klucz wsunięty w zamek, słowa Elvy doskonale odpowiadały jej najgłębszym lękom, wątpliwościom, dręczącym ją, co noc, gdy budziła się zlna potem w ciemności. Ogarnęła ją niespodziewana fala emocji, naglej pewności siebie i spokoju, którego nie zaznała od dnia śmierci Ajihada. Z jej oczu wytrysnęły łzy ulgi, spływając po policzkach. Zupełnie jakby Elva wiedziała dokładnie, co powiedzieć, by ją pocieszyć, Nasuada nienawidziła jej za to.

Euforia walczyła w niej z niechęcią do okazywania słabości i do osoby, która ją wywołała. Nie ufała też zamiarom dziecka.

- Czym ty jesteś? - spytała ostro.

- Jestem tym, czym stworzył mnie Eragon.

- On cię pobłogosławił. Straszliwe, stare oczy zniknęły na moment pod powiekami, gdy Elva mrugnęła.

- Sam nie rozumiał, co robi. Odkąd Eragon mnie zaczarował, gdy tylko widzę człowieka, wyczuwam wszelkie dręczące go troski i cierpienia, i te, które dopiero nastaną. Kiedy byłam mniejsza, nic nie mogłam z tym zrobić, toteż urosłam.

- Ale czemu...?

- Magia w mej krwi każe mi chronić ludzi przed bólem, bez zważania na własne cierpienie i na to, czy chcę to zrobić, czy nie. - Uśmiechnięte usta wykrzywiły się. - Jeśli opieram się temu pragnieniu, wiele mnie to kosztuje.

Gdy Nasuada rozważyła znaczenie jej słów, pojęła, że niepokojący wygląd Elvy stanowi jedynie produkt uboczny cierpienia, na które ją narażono. Zadrżała na myśl o tym, co musiała znieść dziewczynka. Połączenie tego przymusu i niemożliwości działania musiało dosłownie ją rozdzierać. Wbrew samej sobie zaczynała współczuć Elvie.

- Czemu mi o tym mówisz?

- Uznałam, że powinnaś wiedzieć, kim i czym jestem. - Elva urwała, ogień w jej oczach zapłonął z nową siłą. - I że będę walczyć dla ciebie jak tylko zdołam. Użyj mnie niczym zabójcy, w ukryciu, w mroku, bez litości.

Zaśmiała się przenikliwie.

- Zastanawiasz się, czemu, widzę to. Bo jeśli ta wojna nie dobiegnie końca, i to im szybciej, tym lepiej, doprowadzi mnie do obłądu. Dostatecznie trudno jest mi znosić ból życia codziennego, a co dopiero okropności bitwy. Wykorzystaj mnie, zatem, a dopilnuję, byś żyła tak szczęśliwie, jak żaden inny człowiek.

W tym momencie starucha wróciła do pokoju, skłoniła się przed Elwą i wręczyła jej nowy półmisek jedzenia. Nasuada z wręcz namacalną ulgą patrzyła, jak dziewczynka pochyła się i atakuje baranią nogę, oburącz wpychając do ust mięso. Jadła z drapieżną zawziętością wygłodniałego wilka, demonstrując całkowity brak manier. Ciemne włosy opadły na ozdobione smoczym piętrem czoło i fioletowe oczy, ponownie nadając jej wygląd niewinnego dziecka.

Nasuada odczekała chwilę, w końcu jednak zrozumiała, że Elva powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia. Wówczas, wezwana gestem Angeli, przeszła z zielarką do sąsiedniego pokoju, pozostawiając bladą dziewczynkę siedzącą samotnie pośrodku ciemnej, spowitej w tkaniny komnaty. Tkwiła tam niczym upiorny płód w łonie matki, czekający na właściwy moment, by wychynąć na świat.

Angela sprawdziła, czy dokładnie zamknęła drzwi.

- Wciąż tylko je i je - szepnęła. - Nie możemy zaspokoić jej apetytu przy obecnych racjach. Czy mogłabyś...

- Zostanie nakarmiona, nie martw się o to. - Nasuada roztarła ramiona, jakby próbując pozbyć się wspomnienie strasznych, upiornych oczu.

- Dziękuję.
- Czy coś takiego zdarzyło się kiedykolwiek wcześniej?

Angela pokręciła głową tak mocno, że uniosły się jej kręcone włosy.

- Nie, i to w całych dziejach magii. Próbowалаm sprawdzić jej przyszłość, ale to beznadziejna zagadka - piękne słowo, zagadka - bo jej życie wiąże się ze zbyt wieloma innymi.

- Jest niebezpieczna?
- Wszyscy jesteśmy niebezpieczni.
- Wiesz, co mam na myśli.

Angela wzruszyła ramionami.

- Jest niebezpieczniejsza od wielu i mniej niebezpieczna od innych. Jeśli jednak kogoś zabije, to najpewniej siebie. Gdy spotka kogoś, kogo czeka nieszczęście, i zakłęcie Eragona ją zaskoczy, zajmie miejsce nieszczęśnika. Dlatego właśnie prawie cały czas przebywa w zamknięciu.

- Z jakim wyprzedzeniem potrafi przewidzieć przyszłość?
- Najwyżej dwóch, trzech godzin.

Oparta o ścianę Nasuada zastanawiała się nad najnowszą komplikacją w swym życiu. Odpowiednio użyta Elva może stanowić potężną broń, myślała. Dzięki niej mogłabym ocenić kłopoty i słabości moich przeciwników, a także dowiedzieć się, co ich ucieszy i sprawi, że chętniej spełnią me życzenia. W razie konieczności dziewczynka mogła też stać się niezawodną strażniczką, gdyby trzeba było chronić kogoś z Vardenów, na przykład Eragona czy Saphirę.

Nie można zostawić jej samej sobie. Potrzebuje kogoś, kto będzie nad nią czuwał, kogoś, kto rozumie magię i dostatecznie odpowiada mu własna pozycja, by mógł oprzeć się wpływowi Elvy... kogoś, kogo uczciwości i szczerości mogę zaufać - natychmiast odrzuciła kandydaturę Trianny.

Spojrzała na Angelę. Choć obawiała się zielarki, wiedziała, że ta w przeszłości wielokrotnie pomogła Vardenom w najbardziej delikatnych i ważnych sprawach, choćby uzdrawiając Eragona, i nie domagała się niczego w zamian. Nie przychodził jej do głowy nikt inny, kto miałby czas, ochotę i doświadczenie potrzebne, by zająć się Elwą.

- Zdaję sobie sprawę, - rzekła głośno — że z mej strony to zuchwalstwo; nie podlegasz przecież moim rozkazom i niewiele wiem o twym życiu i obowiązkach. Chciałabym jednak prosić cię o przysługę...

- Mów dalej. - Angela machnęła ręką.

Nasuada zająknęła się, zbity z pantafyku.

- Czy zechciałabyś mieć oko, na Elwę? Potrzebuję...

- Oczywiście! A jeśli będę mogła, to nawet dwoje oczu. Bardzo ucieszy mnie okazja zbadania jej bliżej.

- Będziesz musiała składać mi meldunki - ostrzegła Nasuada.
- Ziarnko gorczy pośród słodczy? Myślę, że jakoś to zniosę.
- Mam zatem twoje słowo?
- Masz moje słowo.

Nasuada jęknęła z ulgą i opadła na pobliskie krzesło.

- Co za okropna sytuacja. Co za zagadka? Jako suwerenka Eragona odpowiadam za jego czyny, nigdy jednak nie przypuszczałam, że mógłby zrobić coś równie potwornego. To skaza nie tylko na jego honorze, ale i na moim.

W pokoju rozległ się głuchy trzask. To Angela rozprostowała kostki.

- Tak, po jego powrocie z Ellesemery zamierzam z nim o tym porozmawiać.

Jej twarz miała tak groźny wyraz, że Nasuada poczuła niepokój.

- Nie zrób mu krzywdy. Potrzebujemy go.
- Nie zrobię... trwałej.



## Powrót bólu

Potężne uderzenie wiatru wyrwało Eragona ze snu.

Pościel załopotiała wokół niego, gdy burza zaatakowała pokój, porywając w powietrze cały dobytek i rozbijając lampy o ściany. Niebo było czarne, zasnułe ciężkimi chmurami.

Saphira patrzyła, jak Eragon zrywa się z łóżka i walczy, by utrzymać równowagę. Drzewo kołysało się niczym statek na wzburzonym morzu. Opuścił głowę, zmagając się z huraganem, i powoli okrążył pokój, przywierając do ściany. W końcu dotarł do otworu, przez który wpadała wichura.

Nie zważając na kołysanie podłogi, spojrział w dół. Wydawało mu się, że ziemia faluje. Przełknął ślinę, starając się zapomnieć o ściskających żołądek mdłościach. Wyłącznie dotykiem odnalazł skraj cienkiej błonki, którą można było wyciągnąć z drewna, by zamknąć otwór. Zebrał siły, szykując się do skoku na drugą stronę otworu. Gdyby się pośliznął, nic nie zatrzymałoby jego - upadku między korzenie drzewa.

*Zaczekaj* - rzuciła Saphira.

Wycofała się z niskiego postumentu, na którym spała, i wyciągnęła ku niemu ogon, tak by mógł użyć go jako poręczy.

Trzymając w prawej ręce tkaninę i wkładając w to całą swą siłę. Eragon chwycił się kolejnych szpikulców ogona Saphiry, dzięki czemu zdołał przeciągnąć się przez otwór. Gdy tylko dotarł na drugą stronę, oburącz chwycił materiał i przycisnął krawędź do zagłębienia, zamykając zasłonę. W pokoju zapadła cisza.

Błona wydeła się do wewnątrz pod naporem wściekłych żywiołów, nie wykazywała jednak żadnych oznak pęknięcia. Eragon dźgnął ją palcem — materiał był napięty niczym skóra bębna.

*Zdumiewające, co potrafią elfy* - rzekł.

Saphira przekrzywiła głowę, po czym uniosła ją, przyciskając czaszkę do sufitu. Przez chwilę nasłuchiwała.

*Lepiej zamknij gabinet, nim wiatr zupełnie go zniszczy.*

Gdy ruszył w stronę schodów, drzewo zatrzęsło się gwałtownie i noga ugięła się pod Eragonem tak, że runął ciężko na kolano.

- Do diaska - warknął.

W gabinecie ujrzał tańczące w powietrzu papiery i pióra; śmigaly wokół niczym obdarzone własną wolą. Zanurkował w ów wir, osłaniając głowę rękami. Gdy uderzały go czubki piór, miał wrażenie, jakby ktoś ciskał w niego kamieniami.

Eragon siłował się z zasłoną bez pomocy Saphiry. W chwili, gdy mu się udało, jego plecy rozdarł znajomy ból - niekończący się, wręcz ogłuszający ból.

Raz jeden krzyknął i ochrypl od siły owego krzyku. Przed oczami zatańczyły mu czerwone i żółte plamy, a potem świat pociemniał, gdy Eragon runął na bok. W dole słyszał gniewny ryk Saphiry - schody były za wąskie, a wiatr na zewnątrz zbyt silny, żeby zdołała do niego dotrzeć. Łącząca ich więź osłabła. Poddał się ciemności, witając ją z ulgą jako ucieczkę od bólu.

☆☆☆

Gdy Eragon się ocknął, czuł w ustach kwaśny smak. Nie wiedział, jak długo leżał na podłodze, lecz mięśnie ramion i nóg ściągnęły mu się boleśnie i zdrętwiały przykurczone. Burza wciąż atakowała drzewo, towarzyszył jej łoskot deszczu, idealnie pasujący do pulsowania, jakie czuł w głowie.

*Saphiro...?*

*Jestem tu. Możesz zejść?*

Był za słaby, żeby stanąć na rozkołysanej podłodze, toteż podczołgał się do schodów i na kłęczkach zaczął się zsuwać po jednym stopniu, krzywiąc się przy każdym zderzeniu z podłogą. W

połowie drogi natknął się na Saphirę, która wepchnęła głowę i szyję w przejście, rozdierając łuskami drewno.

*Mój mały.*

Wysunęła język i musnęła szorstkim koniuszkiem dłoń Eragona. Uśmiechnął się. Saphira wygięła szyję i próbowała się cofnąć, bez skutku.

*Co się stało?*

*Utknęłam.*

*Utknę...*

Nie zdołał się powstrzymać i mimo bólu wybuchnął śmiechem. Sytuacja była zbyt absurdalna.

Smoczyca warknęła i szarpnęła całym ciałem, potrząsając drzewem i wywracając Eragona. Potem opadła, zdyszana.

*Nie siedź tak uśmiechnięty jak ogłupiały lis. Pomóż mi.*

Walcząc zarastającym w gardle chichotem, przyłożył stopę do jej nosa i pchnął mocno. Tymczasem Saphira wiła się i kręciła, próbując się uwolnić.

Dopiero po dziesięciu minutach w końcu jej się udało. Wówczas Eragon w pełni dostrzegł zniszczenia, jakie poczyniła na schodach. Jęknął. Jej łuski głęboko zarysowały korę, całkowicie ścierając delikatne wzory w drewnie.

*Ups - mruknęła Saphira.*

*Przynajmniej to twoje dzieło, nie moje. Tobie elfy może wybacza. W końcu, jeśli je poprosisz, są gotowe całymi dniami i nocami śpiewać krasnoludzkie ballady miłosne.*

Dołączył do Saphiry na jej podeście i przytulił się do płaskich łusek brzucha, słuchając dobiegającego z zewnątrz ryku burzy. Szeroka błona stawała się przezroczysta, gdy na dworze płonęły kolejne oślepiające błyskawice.

*Jak myślisz, która jest godzina?*

*Kilka godzin przed porą spotkania z Oromisem. No dalej, zaśnij, odzyskaj siły. Ja będę cię strzec.*

Tak też uczynił, nie zważając na dygotanie drzewa.

## *Dlaczego walczysz?*

Czasomierz Oromisa zabuczał niczym olbrzymi szerszeń. Dźwięk wwiercał się w uszy Eragona, póki cen nie podniósł cacka i nie nakręcił mechanizmu. Na stłuczonym kolanie wykwitł mu olbrzymi fioletowy siniak, po nocnym ataku i elfim Tańcu Węża i Żurawia bolały go wszystkie mięśnie; zamiast mówić, chrząkał jedynie przez obolałe gardło. Najgorsza jednak była stała obawa, że dojdzie do kolejnych ataków, że rana zadana przez Durzę nie da mu spokoju. Perspektywa ta poruszała go do głębi, pozbawiając siły i woli.

*Tyle tygodni minęło między atakami - rzekł - że zaczynałem już mieć nadzieję, że może... może zostałem uleczony... Przypuszczalnie jednak, że po prostu miałem szczęście.*

Saphira wyciągnęła szyję i oparła mu głowę na ramieniu.

*Wiesz, że nie jesteś sam, mój mały. Pomogę, jak tylko będę mogła.*

Odpowiedział słabym uśmiechem. Smoczyca polizała mu twarz i dodała:

*Powinieneś szykować się do wyjścia.*

*Wiem.*

Przez chwilę wbijał wzrok w podłogę, nie mogąc się poruszyć. W końcu powłókł się do łazienki, gdzie wyszorował starannie ciało i zlikwidował zarost magicznym zaklęciem. Właśnie się wycierał, gdy poczuł, jak czyjaś obecność sięga mu do umysłu. Bez zastanowienia Eragon zaczął wznosić bariery, skupił się też na obrazie swego wielkiego palca u nogi, zapominając o wszystkim innym.

Nagle usłyszał głos Oromisa:

*Godne pochwały, lecz zbędne. Przynieś dziś ze sobą Zar'roca.*

Obecność zniknęła.

Eragon odetchnął głośno.

*Musze zachować większą czujność - rzekł do Saphiry. Gdyby był wrogiem, znalazłbym się na jego łasce.*

*Nie zapominaj o mnie.*

Dokończywszy toalety, Eragon odczepił od ściany zasłonę i dosiadł Saphiry, trzymając pod pachą Zar'roca.

Saphira wystartowała ostro, skręcając ku skałom Tel'naeir. Z wysoka widzieli szkody, jakie burza uczyniła w Du Veldenvarden. W Ellesmerze nie upadło żadne drzewo, lecz dalej, gdzie magia elfów była słabsza, leżały liczne powalone sosny. Wciąż wiał wiatr i skrzyżowane gałęzie i drzewa tarły o siebie do wtóru chóru jęków i poskrzypywań. Z drzew i kwiatów sypały się obłoki złotego pyłku, gęstego niczym kurz.

Podczas lotu Eragon i Saphira wymieniali się wspomnieniami z wczorajszych lekcji. Opowiedział jej wszystko, czego dowiedział się o mrówkach i pradawnej mowie, a ona o prądach opadających i innych niebezpiecznych zjawiskach pogodowych, a także o tym jak ich unikać.

Dzięki temu, gdy wylądowali i Oromis przepytał Eragona z lekcji Saphiry, a Glaedr Saphirę z tego, czego dowiedział się Eragon, zdołali odpowiedzieć na wszystkie pytania.

- Bardzo dobrze, Eragon-vodhr.

*Owszem, dobrze się spisałaś, Bjartsktilar - dodał Glaedr, zwracając się do Saphiry.*

Tak jak poprzednio, Saphira odleciała z Glaedrem, a Eragon został na urwisku. Tym razem jednak zachowali łączącą ich więź, by móc przyswajać udzielane sobie instrukcje.

- Masz dziś zachrypnięty głos, Eragonie - zauważył Oromis, gdy smoki odleciały. - Jesteś chory?

- Dziś rano znów bolały mnie plecy.

- Ach, współczuję. - Skinał palcem. - Zaczekaj tutaj.

Eragon patrzył, jak Oromis znika w swej chacie, po czym pojawia się ponownie, groźny i dumny. Wiatr unosił jego srebrną grzywę, a w dłoni elfa lśnił złocistobrazowy miecz.

- Dziś - oznajmił - zapomnimy o rimgarze i zamiast tego skrzyżujemy klingi Naeglinga i Zar'roca. Dobądź miecza i ochroń jego ostrze, jak nauczył cię twój pierwszy mistrz.

Eragon nie marzył o niczym innym jak tylko o tym, by móc odmówić. Nie zamierzał jednak złamać przysięgi ani pozwolić sobie na okazanie słabości w obecności Oromisa. Z lękiem przełknął ślinę. To właśnie znaczy być Jeźdźcem, pomyślał.

Z dawną determinacją odnalazł punkcik głęboko w umyśle, łączący go ze swobodnym przepływem magii. Zanurkował w niego i poczuł fale energii.

*Geuloth du knifr* - rzekł i między jego kciukiem i palcem wskazującym pojawiła się mrugająca błękitna gwiazdka, przeskakująca między nimi, gdy przesunął palce wzdłuż ostrej klingi Zar'roca.

W chwili, gdy ich miecze się zetknęły, Eragon zrozumiał, że Oromis przewyższa go umiejętnościami, tak jak Durzą i Arya. On sam był znakomitym szermierzem - człowiekiem, nie mógł jednak konkurować z wojownikami, w których żyłach płynęła magia. Rękę miał za słabą, refleks zbyt wolny. Nie powstrzymało go to jednak przed próbą odniesienia zwycięstwa. Walczył do granic swych umiejętności, nawet, jeśli w ostatecznym rozrachunku wiedział, że zda się to na nic.

Oromis testował Eragona na wszystkie możliwe sposoby, zmuszając go do wykorzystania całego arsenału pchnięć, ciosów, blokad i sztuczek. Na próżno, Eragon nie mógł dotknąć elfa.

W końcu spróbował zmienić swój styl walki; to mogło zbić z tropu nawet najbardziej doświadczony weteran. Zyskał na tym wyłącznie pręgę na udzie.

- Szybciej przesuwaj stopy! - krzyknął Oromis. - Ten, kto stoi jak słup, ginie w bitwie. Ten, kto gnie się jak trzcina, zwycięża!

Walczący elf był wspaniały, idealne połączenie kontroli i nieokiełznanej przemocy. Skakał jak kot, uderzał jak czapla, uskakiwał i odchyłał się z gracją łasicy. Fechtowali się niemal dwadzieścia minut, gdy nagle Oromis zachwiał się, twarz wykrzywił mu krótki grymas. Eragon rozpoznał objawy tajemniczej choroby elfa i zaatakował Zar'rokiem. Nie było to piękne zagranie, lecz frustracja sprawiła, że gotów był wykorzystać każdą nadarzącą się okazję, nieważne jak bardzo niesprawiedliwą, byle tylko przynajmniej raz dosięgnąć nauczyciela. Zar'roc nigdy nie dotarł do celu. Gdy Eragon zanadto wygiął tułów, naciągnął i nadwreżył plecy. Ból zaatakował znienacka.

Ostatnim, co usłyszał, był krzyk Saphiry:

*Eragonie!*

☆☆☆

Mimo intensywności ataku Eragon ani na moment nie stracił przytomności. Nic nie widząc, czuł tylko ogień trawiący mu ciało i zamieniający każdą sekundę w wieczność. Najgorsze było to, że nic nie mógł zrobić, by zakończyć cierpienie, tylko czekać...

... i czekać...

☆☆☆

Leżał, zdyszany, w zimnym błocie. Zamrugał i otaczający go świat powoli nabrał kształtów. Ujrzał Oromisa siedzącego na stołku nieopodal. Eragon dźwignął się na kolana i z mieszaniną niesmaku i żalu przyjrzał swej nowej tunice. Piękny rdzawy materiał pokrywała warstwa brudu. pamiątka konwulsji na ziemi. We włosach także miał błoto.

W umyśle wyczuwał Saphirę, promieniowała z niej troska, gdy smoczyca czekała, aż ją dostrzeże.

*Jak możesz kontynuować szkolenie?* - spytała, zaniepokojona. *To cię zniszczy.*

Jej obawy odebrały mu resztkę pewności siebie. Saphira nigdy wcześniej nie zdradzała żadnych wątpliwości, co do jego powodzenia - ani w Dras-Leonie, ani w Gil'eadzie, ani w Farthen Durze - mimo zagrożeń, z jakimi mieli do czynienia. Jej pewność dodawała mu odwagi, bez niej naprawdę się bał.

*Powinnaś skupić się na własnej lekcji - rzekł.*

*Powinnam skupić się na tobie.*

*Daj mi spokój!* - warknął na nią, niczym zranione zwierzę, które chce w ciszy i mroku wylizać swoje rany.

Smoczyca umilkła, pozostawiając tylko słabą więź pozwalającą mu słyszeć jak przez mgłę nauki Glaedra o ziele, które mogła jadać, by zapobiec niestrawności.

Eragon wydłubał palcami błoto z włosów. Splunął krwią.

- Ugryzłem się w język.

Oromis skinął głową, jakby się tego spodziewał.

- Wymagasz uleczenia?

- Nie.

- To dobrze. Zajmij się swoim mieczem, potem weź kąpiel, idź na pień na polanie i słuchaj myśli lasu. Słuchaj, a gdy przestaniesz słyszeć, przyjdź i opowiedz mi czego się nauczyłeś.

- Tak, mistrzu.

Siedząc na pniu, Eragon odkrył szybko, że wzburzone myśli i emocje nie pozwalają mu się skupić dostatecznie, by mógł otworzyć umysł i wyczuć stworzenia mieszkające w dolince. Poza tym zupełnie go to nie interesowało. Mimo to panujący w lesie spokój powoli odmienił wrogię nastawienie Eragona, przegnał zmieszanie, zagubienie, upór i gniew. Nie sprawił, że chłopiec poczuł się szczęśliwy, ale przynajmniej pozwolił z pewnym fatalizmem pogodzić się mu z sytuacją. Taki jest mój los i lepiej, bym do niego przywyknął, bo w najbliższej przewidywalnej przyszłości raczej się nie odmieni.

Po kwadransie jego zmysły odzyskały zwykłą ostrość, umysł ruszył do pracy i Eragon znów zajął się studiowaniem kolonii czerwonych mrówek, którą odkrył poprzedniego dnia. Próbował też wyczuć wszystko inne, co działo się na polanie, tak jak go uczył Oromis.

Nie do końca mu się powiodło. Kiedy się odprężał i pozwalał, by jego umysł chłonał informacje napływające ze wszystkich okolicznych świadomości, w głowie pojawiały mu się tysiące obrazów i uczuć, nakładających się na siebie w szybkich przebłyskach barw i dźwięków, dotyku i zapachu, bólu i rozkoszy. Liczba informacji go oszołomiła. Z czystego nawyku umysł Eragona chwycił się jednego tematu, wyciszając wszystkie inne. Czynił tak dopóty, dopóki Eragon nie zorientował się i nie powrócił do stanu pasywnego otwarcia. Cykl ów powtarzał się co kilka sekund.

Jednakże udało mu się lepiej zrozumieć świat mrówek. Zdobył pierwsze informacje na temat ich płci, gdy wydedukował, że wielka mrówka tkwiąca w sercu podziemnej kryjówki składa jaja, jedno co minutę, co oznaczało, że musi być samicą. A towarzysząc grupce mrówek wędrujących w górę gałązki różanego krzaku, obejrzał dobitną demonstrację tego, z jakimi wrogami przychodziło im się zmierzyć - jakiś stwór wyskoczył spod liścia i zabił jedną z nich. Eragon nie potrafił odgadnąć, co to za istota, bo mrówki widziały tylko jej fragmenty, a poza tym większą uwagę przykładają do zapachu niż wzroku. Gdyby były ludźmi, powiedziałbym, że zostały zaatakowane przez straszliwego potwora wielkości smoka, o szczękach potężnych jak najeżone ostrzami kraty bram w Teirmie, poruszającego się z oszałamiającą prędkością, myślał.

Mrówki utworzyły wokół potwora krąg, niczym stajenni próbujący schwytać zbiegłego konia. Rzuciły się na niego bez najmniejszego strachu, atakując grube nogi i wycofując się na sekundę przedtem, nim stwór chwycił je żelaznymi szczypcami. Z każdą chwilą do walki dołączało coraz więcej mrówek, działały wspólnie, by pokonać intruza, ani na moment nie ustępując, nawet, gdy potwór schwytał i zabił dwie z nich, a kilkanaście innych spadło z gałęzi.

Była to desperacka bitwa, żadna ze stron nie zamierzała ustąpić. Tylko ucieczka bądź zwycięstwo mogły ocalić walczących od straszliwej śmierci. Eragon śledził z zapartym tchem całą potyczkę. Podziwiał odwagę mrówek i to jak walczyły, nadal nie zważając na obrażenia, które z

pewnością wyeliminowałyby z bitwy człowieka. Ich czyny były wystarczająco bohaterskie, by bardowie śpiewali o nich w całej krainie.

Tak bardzo zafascynowała go walka, że kiedy mrówki w końcu zwyciężyły, wydał z siebie radosny okrzyk, tak głośny, że spłoszył przycupnięte wśród drzew ptaki.

Z ciekawości powrócił myślami do swego ciała i podszedł do różanego krzaka, by na własne oczy obejrzyć potwora. Ujrzał zwykłego brązowego pająka z podwiniętymi nogami. Mrówki niosły go właśnie do swego gniazda.

Zdumiewające.

Gdy zbierał się do odejścia, nagle przypomniał sobie, że znów zapomniał o obserwacji tysięcy innych owadów i zwierząt na polanie. Zamknął oczy i nawiedził umysły kilkuset z nich, starając się zapamiętać jak najwięcej ciekawych szczegółów dotyczących ich życia. Stanowiło to kiepski substytut dłuższych obserwacji, był jednak głodny, a przydzielona mu godzina dobiegła końca.

- Jak ci poszło? - spytał Oromis, gdy Eragon dołączył do niego w chacie.

- Mistrzu, mógłbym słuchać dzień i noc przez następne dwadzieścia lat i wciąż nie wiedziałbym o wszystkim, co dzieje się w lesie.

Oromis uniósł brwi.

- Robisz postępy. - Po tym, jak Eragon opisał mu to, czego doświadczył, elf dodał: - Niestety, jednak niedostateczne. Musisz się bardziej przyłożyć, Eragonie. Wiem, że potrafisz, jesteś inteligentny i uparty, i możesz zostać wielkim Jeźdźcem. Mimo że to trudne, musisz nauczyć się zapominać o kłopotach i skupiać całkowicie na aktualnym zadaniu. Znajdź spokój wewnątrz siebie i pozwól, by promieniowały z niego wszystkie twoje czyny.

- Staram się jak mogę.

- Nie, możesz więcej. Kiedy dotrzesz do tej granicy, rozpoznamy ją obaj. - Oromis z namysłem zawiesił głos. - Może pomogłoby ci, gdybyś mógł rywalizować z drugim uczniem. Wówczas przekonalibyśmy się, na co cię stać... Zastanowię się nad tym.

Oromis wyjął z szafek bochen świeżo upieczonego chleba i stój masła z orzechów laskowych - elfy używały go zamiast zwykłego masła - a także parę misek, które nappełnił gęstą zupą jarzynową, bulgoczącą w kociołku wiszącym nad narożnym paleniskiem. Eragon spojrział z niechęcią na zupę; miał po dziurki w nosie elfiego jedzenia. Tęsknił za mięsem, rybami, drobiem, czymś solidnym, w co mógłby wbić zęby, nie nieskończoną paradą roślin.

- Mistrzu? - spytał, żeby zająć myśli czymś innym. - Czemu każesz mi medytować? Czy po to, bym zrozumiał życie zwierząt i owadów, czy też kryje się w tym coś jeszcze?

- Nie potrafisz wymyślić innego powodu?

Gdy Eragon pokręcił głową, Oromis westchnął.

- Zawsze wygląda to tak samo z moimi nowymi uczniami, zwłaszcza ludźmi. Mózg to ostatni mięsień, jaki ćwiczą, i przykładają do niego najmniejszą wagę. Kiedy spytasz ich o szermierkę, potrafią wymienić wszystkie pchnięcia z pojedynku, który odbył się miesiąc wcześniej. Ale każ rozwiązać jakiś problem albo wygłosić spójne stwierdzenie i... mogę uznać za szczęście, jeśli odpowiedzą czymś jeszcze poza tępym spojrzeniem. Jesteś wciąż nowicjuszem w świecie gramarye - to właściwa nazwa magii - ale musisz zacząć zastanawiać się nad jej pełnymi implikacjami.

- Jakimi?

- Wyobraź sobie przez chwilę, że jesteś Galbatorixem. Masz do dyspozycji wszystkie możliwe zasoby. Vardeni zniszczyli twoją urgalską armię dzięki pomocy drugiego Smoczego Jeźdźca, twego rywala, który, jak wiesz, został wyszkolony - przynajmniej częściowo - przez jednego z najmniejbezpiecznych i najbardziej niezmordowanych wrogów, jakich miałeś: Broma. Wiesz też, że nieprzyjaciele gromadzą się w Surdzie, szykując do inwazji. Biorąc to wszystko pod uwagę, jaki byłby najłatwiejszy sposób rozwiązania owych różnych zagrożeń, pomijając osobisty udział w bitwie?

Eragon zamieszał zupę, by ją przestudzić, i starannie rozważył problem.

- Myślę - rzekł powoli - że najłatwiejszym wyjściem byłoby wyszkolenie oddziału magów, niekoniecznie nawet potężnych, zmuszenie ich, by przysięgli mi wierność w pradawnej mowie, a potem posłanie, by przeniknęli do Surdy i sabotowali wysiłki Vardenów, zatruli studnie, a także zabili Nasuadę, króla Orrina i innych najważniejszych buntowników.

- Czemu zatem Galbatorix jeszcze tego nie zrobił?

- Bo do tej pory Surda go nie interesowała, a Vardeni od dziesięcioleci mieszkali w Farthen Durze, gdzie mogli badać umysł każdego przybysza. W Surdzie nie są w stanie tego zrobić, nie sprzyjają temu rozległe granice i zbyt wielkie rzesze mieszkańców.

- Doszedłem do tego samego wniosku - oznajmił Oromis. - O ile Galbatorix nie porzuci swej kryjówki w Uru'baenie, największym niebezpieczeństwem, na jakie zapewne natkniesz się podczas kampanii Vardenów, będzie spotkanie innych magów. Wiesz równie dobrze jak ja, jak trudno jest ustrzec się przed magią, zwłaszcza, jeśli twój przeciwnik w pradawnej mowie przysięgnął, że cię zabije, nie bacząc na koszt. Miast próbować najpierw podbić twój umysł, nieprzyjaciel po prostu rzuci czar mający cię zabić, choć tuż przedtem, nim zostaniesz zniszczony, wciąż będziesz mógł odpowiedzieć tym samym. Nie możesz jednak powalić swego mordercy, jeśli nie wiesz, kim ani gdzie jest.

- Zatem czasem nie warto zadawać sobie trudu, by opanować umysł przeciwnika?

- Czasami, ale to pewne ryzyko. - Oromis przerwał i przełknął kilka łyżek zupy. - Teraz przejdźmy do sedna. Jak masz się bronić przed anonimowymi wrogami, którzy potrafią pokonać wszystkie fizyczne przeszkody i zabić jednym słowem?

- Nie wiem, chyba, że... - Eragon zawahał się, po czym dokończył z uśmiechem: - Chyba, że będę wyczuwał świadomość wszystkich ludzi wokół mnie. Wówczas zorientuję się, gdy będą źle mi życzyć.

Odniósł wrażenie, że Oromisa ucieszyła jego odpowiedź.

- Istotnie, Eragon-finiarel, i w ten sposób odpowiedziałeś sobie na pytanie. Medytacja przygotowuje twój umysł do odszukiwania i wykorzystywania luk w mentalnych zbrojach twych wrogów, nieważne jak byłyby małe.

- Ale czy ktoś władający magią nie zorientuje się, że dotykam jego umysłu?

- Owszem, zorientuje, lecz większość ludzi nie poczuje niczego. A co do magów, będą wiedzieć, będą się bać i ze strachu osłonią swe umysły, dzięki czemu natychmiast ich rozpoznasz.

- Ale czy niestrzeżenie świadomości nie jest niebezpieczne? Jeśli zaatakowano by mnie mentalnie, nie zdołałbym się obronić.

- To mniej niebezpieczne niż być ślepym na cały świat.

Eragon skinął głową. Zaczął rytmicznie, miarowo stukać łyżką w miskę, zatopiony w myślach.

- Wydaje mi się to złe. Niewłaściwe.

- Ach tak? Wyjaśnij...

- Co z prywatnością innych? Brom uczył mnie, bym nigdy nie nawiedzał umysłów innych, chyba, że to absolutnie konieczne. Nie podoba mi się pomysł poznawania sekretów ludzi, sekretów, które mają prawo zachować dla siebie. - Przekrzywił głowę. - Skoro to takie ważne, czemu Brom nawet o tym nie wspominał? Czemu sam mnie nie nauczył?

- Brom - odparł Oromis - powiedział ci to, co należało, zważywszy na okoliczności. U ludzi o złym charakterze bądź złaknionych władzy zanurzanie się w oceanie umysłów może przerodzić się w nałóg. Nie uczono tego przyszych Jeźdźców, chociaż kazaliśmy im medytować aż do chwili, gdy zyskiwalibyśmy pewność, że są dość dojrzały, by oprzeć się pokusie. Tak, to narusza cudzą prywatność, dowiesz się wówczas wielu rzeczy, których nie chciałeś wiedzieć. Jednakże służy to twemu własnemu dobru i dobru Vardenów. Z doświadczenia i obserwacji innych Jeźdźców mogę powiedzieć, że to ćwiczenie przede wszystkim pomoże ci zrozumieć, co kieruje ludźmi. A zrozumienie łączy się z empatią i współczuciem, choćby dla najgorszego człowieka w więzieniu w najgorszym mieście Alagaesii.

Jakiś czas jedli w milczeniu.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, jakie jest najcenniejsze narzędzie umysłowe, które posiada człowiek? - spytał Oromis.

Było to poważne pytanie i Eragon zastanawiał się chwilę.

- Determinacja - wypalił w końcu.

Oromis rozdarł długimi palcami bochenek chleba na pół.

- Rozumiem, skąd wzięłeś ten wniosek. Determinacja dobrze służyła ci w twoich przygodach, ale nie. Chodzi mi o narzędzie najniezbędniejsze do tego, by wybrać najlepszy tryb postępowania w danej sytuacji. Determinacja to cecha równie powszechna tak u ludzi niemądrych i prostych, jak i u błyskotliwych mędrców. Zatem nie, determinacja nie jest poszukiwaną odpowiedzią.

Tym razem Eragon potraktował to pytanie jak zagadkę, odliczając słowa, szepcząc je głośno, by sprawdzić, czy się rymują, i na wszystkie sposoby szukając ukrytych znaczeń. Problem polegał na tym, że zazwyczaj kiepsko sobie radził z zagadkami i nigdy nie uplasował się wysoko w dorocznych zawodach ich odgadywania, urządzanych w Carvahall. Myślał zbyt dosłownie, by odnaleźć odpowiedź, której wcześniej nie słyszał. Stanowiło to efekt praktycznego wychowania Garrowa.

- Mądrość - rzekł w końcu. - Mądrość to najważniejsze narzędzie, jakim może dysponować człowiek.

- Nieźle, ale jeszcze raz nie. Odpowiedź brzmi: logika, czy też, ujmując to inaczej, umiejętność analitycznego myślenia. Właściwie zastosowana, może zrekompensować brak mądrości, którą zdobywa się tylko z wiekiem i doświadczeniem.

Eragon zmarszczył brwi.

- Tak, ale czy dobre serce nie jest ważniejsze niż logika? Czysta logika może doprowadzić do wniosków etycznie błędnych, podczas gdy, jeśli jest się prawym i uczciwym, cechy te bronią przed hańbiącym zachowaniem.

Usta Oromisa wygięły się w ostrym jak brzytwa uśmiechu.

- Mieszasz dwie różne sprawy. Chciałem wiedzieć, jakie jest najbardziej użyteczne narzędzie, którym można dysponować. To zupełnie niezależnie od kwestii, czy dysponująca nim osoba jest dobra, czy też zła. Zgadzam się, że cnota odgrywa wielką rolę, zgodziłbym się też jednak ze stwierdzeniem, że jeśli miałbyś wybrać pomiędzy obdarzeniem człowieka szlachetną naturą a nauczaniem go jasnego, logicznego myślenia, postąpiłbyś lepiej, ucząc go myślenia. Szlachetni ludzie o powolnych umysłach wywołują zbyt wiele problemów tego świata. Historia dostarcza nam licznych przykładów ludzi, którzy w przekonaniu, że postępują słusznie, popełniali straszliwe zbrodnie. Zapamiętaj, Eragonie, że nikt nie uważa siebie za złego człowieka i bardzo nieliczni podejmują decyzje, które uważają za złe. Człowiekowi może nie podobać się wybór, jakiego musi dokonać, ale będzie przy nim trwał nawet w najgorszych okolicznościach, wierząc, że w owej chwili stanowił on dla niego najlepsze wyjście. Samo w sobie bycie porządnym człowiekiem nie gwarantuje wcale, że zachowasz się słusznie, co sprowadza nas do jedynej ochrony przeciwko demagogom, oszustom i szaleństwu tłumu, i najpewniejszego przeciwnika po zdradzieckich mieliznach życia: jasnego, logicznego myślenia. Logika nigdy cię nie zawiedzie, chyba, że nie będziesz znał bądź z rozmysłem zignorujesz konsekwencje swoich czynów.

- Skoro elfy są takie logiczne - zauważył Eragon - musicie wszyscy zgadzać się, co do swego postępowania?

- Bynajmniej - przyznał Oromis. - Jak każda rasa, trzymamy się najróżniejszych dogmatów i w efekcie często w identycznych sytuacjach wyciągamy zupełnie odmienne wnioski. Wnioski, które z osobistego punktu widzenia mają doskonały sens. Poza tym ze smutkiem przyznaję, że nie wszystkie elfy dobrze ćwiczą swe umysły.

- Jak zamierzasz nauczyć mnie logiki?

Uśmiech Oromisa stał się szerszy.

- Stosując najstarszą najskuteczniejszą metodę: debaty. Zadam ci pytanie, ty odpowiesz, broniąc swej pozycji. - Zaczekał, aż Eragon ponownie napełni miskę zupą jarzynową. - Na przykład, dlaczego walczysz z imperium.



Nagła zmiana tematu całkowicie zaskoczyła Eragona. Miał wrażenie, że Oromis osiągnął właśnie punkt, do którego zmierzał od początku.

- Jak już mówiłem wcześniej, aby pomóc tym, którzy cierpią pod jarzmem Galbatorixa. A także, w mniejszym stopniu, dla osobistej zemsty.

- Zatem walczysz z przyczyn humanitarnych?

- Co to znaczy?

- Aby pomóc ludziom, których skrzywdził Galbatorix, i nie pozwolić, by skrzywdził kolejnych.

- Zgadza się - przytaknął Eragon.

- Ach tak? Zatem odpowiedz mi, mój młody Jeździec: Czy twoja wojna z Galbatorixem nie spowoduje większych cierpień niż te, którym zapobieże? Większość mieszkańców imperium żyje normalnie i spokojnie, nie dotyka ich obłąd króla. Jak możesz usprawiedliwić napaść na ich ziemie, zniszczenie domów i zabijanie ich synów i córek?

Eragon gapił się na niego oszołomiony. Jak Oromis mógł zadać podobne pytanie? Galbatorix jest przecież zły. Jeszcze bardziej zdumiało go, że nie przyszła mu do głowy żadna prosta odpowiedź. Wiedział, że ma rację, ale jak miał tego dowieść?

- Nie uważasz, że Galbatorixa należy obalić?

- Nie tak brzmi pytanie.

- Ale musisz w to wierzyć - nalegał Eragon. - Spójrz, co zrobił z Jeźdźcami!

Oromis zanurzył chleb w misce i znów zaczął jeść, pozwalając, by Eragon wrzał w milczeniu. Gdy skończył, splótł ręce na kolanach.

- Zdenerwowałem cię? - zapytał.

- Owszem.

- Rozumiem. Zastanawiaj się, zatem dalej, póki nie znajdziesz odpowiedzi. Oczekuję, że będzie przekonująca.

## Czarny wilec

Sprzątnęli ze stołu i wynieśli naczynia na dwór, by wyczyścić je piaskiem. Oromis rozkruszył resztę chleba wokół domu, karmiąc ptaki. Potem wrócili do środka.

Elf przyniósł Eragonowi pióra i atrament, i powrócili do lekcji Liduen Kvaedhi, pisemnej formy pradawnej mowy, o wiele elegantszej niż runy ludzi i krasnoludów. Eragon pograżył się w nauce niezwykłych symboli, ciesząc się, że może zająć się czymś, co nie wymaga ćwiczeń ciała, tylko pamięci.

Po godzinie ślęczenia nad papierami Oromis machnął ręką.

- Wystarczy, wrócimy do tego jutro.

Eragon odchylił się i rozprostował plecy. Tymczasem jego mistrz wyjął z zagłębienia w ścianie pięć zwojów.

- Dwa z nich są w pradawnej mowie - oświadczył - trzy w twoim ojczystym języku. Pomogą ci opanować oba alfabety, a także dostarczą cennych informacji, które trudno by mi było wysłowić.

- Wysłowić?

Ręka elfa śmignęła z bezbłędną celnością i wyciągnęła ze ściany potężny szósty zwój. Oromis dodał go do piramidy tkwiącej w ramionach ucznia.

- To jest słownik. Wątpię, byś zdołał przeczytać go w całości, ale przynajmniej spróbuj.

- Mistrzu? - spytał Eragon, gdy elf otworzył przed nim drzwi.

- Tak, Eragonie?

- Kiedy zaczniemy zajmować się magią?

Oromis oparł się ramieniem o framugę, zgięty jakby zabrakło mu sił do utrzymania wyprostowanej postawy. W końcu westchnął.

- Musisz zaufać mojemu przewodnictwu w szkoleniu, Eragonie. Niemniej jednak niemądrze byłoby z mojej strony to odwlekać. Chodź, zostaw zwoje na stole i zajmijmy się tajemnicami gramarye.

Elf stanął w rozkroku na trawniku przed domem, spoglądając na skały Te'l'naeir, zwrócony plecami do Eragona. Ręce splótł za plecami.

- Czym jest magia? - spytał, nie odwracając głowy.

- Manipulacją energii z wykorzystaniem pradawnej mowy.

- Technicznie rzecz biorąc, masz rację - odparł Oromis po chwili przerwy - i wielu władających magią nie rozumie nic więcej. Jednakże twój opis nie ujmuje samej natury magii. Magia to sztuka myślenia, nie siły bądź języka. Przekonałeś się już, że ograniczone słownictwo nie stanowi przeszkody w jej użyciu. Podobnie jak wszystko, magia opiera się na pracy zdyscyplinowanego umysłu. Brom przeskoczył podstawy normalnego szkolenia i zignorował subtelności gramarye, chcąc przekazać ci umiejętności potrzebne do pozostania przy życiu. Ja także muszę odmienić ów porządek, skupiając się na tym, co będzie ci potrzebne w bitwach. O ile jednak Brom uczył cię samych siłowych podstaw magii, ja wpoję ci subtelniejsze jej zastosowania, tajemnice zachowane dla najmędrszych Jeźdźców: jak zabić z użyciem energii nie większej niż poruszenie palca, metody natychmiastowego przeniesienia przedmiotu z jednego miejsca w drugie, zaklęcie, które pozwoli ci rozpoznać truciznę w jadzie i napoju, odmiany postrzegania umożliwiające nie tylko widzenie, ale i słyszenie, sposoby czerpania energii z otoczenia, co pozwala zachować własną siłę, i to, jak wszelkimi możliwymi metodami zwiększać swoją moc. Techniki te są tak potężne i niebezpieczne, że nigdy nie uczono ich takich jak ty nowicjuszy. Okoliczności jednak wymagają, bym ci je przekazał i ufał, że ich nie nadużyjesz. - Unosząc prawą rękę z palcami wygiętymi niczym szpony, Oromis wykrzyknął: - Adurna!

Na oczach Eragona ponad strumieniem płynącym obok chaty utworzyła się kula wody i poszybowała w powietrzu, by zawisnąć pomiędzy wyciągniętymi palcami elfa. Strumień pod niskimi gałęziami drzew był ciemnobrązowy, natomiast podchodząca z niego kula bezbarwna niczym szkło. W środku pływały drobinki mchu, brudu i inne śmieci.

- Łap - powiedział Oromis, wciąż wpatrzony w horyzont.

Cisnął kulą przez ramię w stronę Eragona.

Chłopiec spróbował chwycić pocisk, ale gdy tylko kula dotknęła jego skóry, woda straciła kształt i rozbryznięła się mu na piersi.

- Złap ją magią. - Oromis znów krzyknął: - Adurna!

Z powierzchni strumienia wzniosła się kula wody, śmigając mu do ręki niczym wyszkolony sokół.

Tym razem cisnął kulę bez ostrzeżenia. Eragon był jednak przygotowany.

- Reisa du adurna - rzekł, sięgając po kulę.

Ta zwolniła i zatrzymała się o włos od jego dłoni.

- Nie najlepszy dobór słów - zauważył Oromis - ale zadziałał.

Eragon uśmiechnął się szeroko.

- Thrysta - szepnął.

Kula zmieniła kierunek i pośpieszyła ku podstawie srebrzystej głowy elfa. Nie wylądowała jednak tam, gdzie posłał ją Eragon. Zamiast tego przeleciała obok Oromisa, zawróciła i nadal nabierając szybkości, pomknęła ku Eragonowi. Gdy woda go trafiła, wciąż miała twardość marmuru. Z łoskotem odbiła się od czaszki. Uderzenie było tak silne, że powaliło go na trawę. Leżał tam oszołomiony, mrugając, by odpędzić migające przed oczami pulsujące światła.

- Tak - rzekł Oromis - lepsze byłoby letta bądź kodthr. - W końcu odwrócił się, spojrzawszy na Eragona i udając zdziwienie, uniósł brew. - Co ty wyprawiasz? Wstań, nie możesz tak leżeć cały dzień.

- Tak, mistrzu - jęknął Eragon.

Kiedy dzwignął się z ziemi, Oromis kazał mu manipulować wodą na różne sposoby - nadawać jej kształt skomplikowanych węzłów, zmieniać barwę pochłanianego bądź odbijanego światła i zamrażać w ściśle opisanych kombinacjach. Żadna z tych czynności nie sprawiła mu większych trudności.

Ćwiczenia ciągnęły się tak długo, że pierwotne zaciekawienie Eragona osłabło, zastąpione zniecierpliwieniem i zdumieniem. Bardzo nie chciał urazić Oromisa, nie widział jednak sensu w tym, co robił elf. Zupełnie jak by Oromis unikał zaklęć, które wymagałyby jakiegokolwiek większej siły. Zademonstrowałem mu już zakres moich umiejętności. Czemu upiera się przy sprawdzaniu podstaw? - myślał Eragon.

- Mistrzu - zagadnął - ja znam to wszystko. Nie moglibyśmy przejść dalej?

Mięśnie na karku Oromisa napięły się, jego ramiona skamieniały niczym ciosany granit. Nawet oddech elfa ucichł na chwilę.

- Nigdy nie nauczysz się szacunku, Eragon-vodhr? Niechaj i tak będzie. - Elf wymówił cztery słowa w pradawnej mowie głosem tak niskim, że ich znaczenie umknęło Eragonowi.

Eragon krzyknął ze zdumienia, czując wokół nóg, aż do kolan, nacisk, narastający, więzący jego łydki tak mocno, że nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Nadal mógł poruszać udami i tułowiem, poza tym jednak miał wrażenie jakby ugrzązł w murarskiej zaprawie.

- Uwolnij się - polecił Oromis.

To było wyzwanie, z którym Eragon nigdy wcześniej nie miał do czynienia - jak zneutralizować cudze zaklęcie. Mógł przeciąć niewidzialne więzy na dwa różne sposoby. Najskuteczniejszy wymagał wiedzy, jak Oromis go unieruchomił — czy wywarł wpływ bezpośrednio na ciało, czy też jego otoczenie - wtedy, bowiem mógłby odwrócić jeden z elementów bądź kierunek sity i rozproszyć pierwotne zaklęcie. Mógł też skorzystać i ogólnikowego zaklęcia blokującego czar nauczyciela. Ta taktyka miała jednak wadę: doprowadziłaby do bezpośredniego starcia między nimi dwoma.

*Kiedys musiało do tego dojść* - pomyślał Eragon.

Nie miał najmniejszej nadziei, że pokona elfa.

Jego wargi wypowiedziały odpowiednie zdanie:

- Losna kalfya iet - uwolnij moje łydki.

Fala energii, która opuściła Eragona, była większa, niż oczekiwał. Uczucie lekkiego zmęczenia bólem i ćwiczeniami całego dnia zniknęło, zastąpione znużeniem porównywalnym z tym, jakie odczuwałby, wędrując od rana po górzystym terenie. Nacisk na nogi ustąpił i Eragon zachwiał się, próbując odzyskać równowagę.

Oromis pokręcił głową.

- Niemądrze - rzekł. - Bardzo niemądrze. Gdybym włożył w moje zaklęcie więcej sił, to by cię zabiło. Nigdy nie używaj absolutów.

- Absolutów?

- Nigdy nie formułuj swych zaklęć tak, by miały tylko dwa możliwe skutki: powodzenie bądź śmierć. Gdyby nieprzyjaciół uwięził twoje nogi, im był silniejszy od ciebie, to próbując przełamać jego zaklęcie, zużyłbyś całą energię. Zginałbyś, nie mogąc przerwać próby, nawet gdybyś pojął, że spełniasz na niczym.

- Jak tego uniknąć? - spytał Eragon.

- Bezpieczniej jest uczynić z zaklęcia proces, który możesz zakończyć w dowolnej chwili. Zamiast mówić „uwolnij moje łydki”, co jest właśnie absolutem, mógłbyś rzec „zmniejsz magię wiążącą moje łydki”. Nieco skomplikowane, ale wtedy ty decydujesz, jak bardzo chcesz osłabić zaklęcie przeciwnika i czy możesz bezpiecznie zdjąć je do końca. Spróbujemy jeszcze raz.

Oromis ponownie wypowiedział niesłyszalne słowa i nacisk otaczający nogi Eragona powrócił. Eragon był tak zmęczony, że wątpił, czy zdoła stawić mu czoło. Mimo to sięgnął po magię.

Nim jeszcze słowa w pradawnym języku uleciały z jego ust, poczuł coś dziwnego. Przygniatający nogi ciężar zaczął maleć w szybkim tempie, zupełnie jakby coś wyciągało go z zimnego, lepkiego błota. Zerknął na Oromisa i ujrzał, że twarz elfa wykrzywia grymas; jakby tamten rozpaczliwie chwycił się czegoś cennego, czego nie chciał stracić. Na jego skroni zapulsowała żyłka.

Kiedy niewidzialne więzy Eragona zniknęły, Oromis wzdrygnął się jakby ukłuła go osa. Stał bez ruchu, wbijając wzrok w swe dłonie, jego pierś unosiła się ciężko. Przez jakąś minutę trwał tak, po czym wyprostował się i przeszedł na sam skraj skał Tel'naeir — samotna postać na tle jasnego nieba.

W sercu Eragona wezbrał smutek i żal, te same uczucia, które poczuł, gdy pierwszy raz ujrzał okaleczoną przednią nogę Gładra. Przeklął w duchu swą arogancję, lekceważenie kalectwa nauczyciela i brak zaufania dla osądu elfa. Nie tylko ja muszę sobie radzić z ranami z przeszłości. Wcześniej nie do końca rozumiał, co miał na myśli Oromis, gdy mówił, że umyka mu wszelka magia poza tą najprostszą. Teraz wreszcie Eragon pojął całą głębię nieszczęścia elfa i ból, jaki musiało mu ono sprawić, zwłaszcza komuś z tej rasy, zrodzonemu i wychowanemu wśród magii.

Podszedł do Oromisa, ukląkł i uklonił się na modłę krasnoludzką przyciskając posiniaczone czoło do ziemi.

- Ebrithilu, błagam o wybaczenie.

Elf nie reagował, jakby go nie słyszał.

Obaj trwali w swych pozycjach, a tymczasem słońce chyliło się ku zachodowi. Ptaki śpiewały wieczorne pieśni, powietrze stawało się chłodne i wilgotne. Z północy doleciał cichy łopot skrzydeł Saphiry i Gładra, powracających z lekcji.

- Jutro zaczniemy od nowa - rzekł Oromis cichym, odległym głosem. - Zajmiemy się tym tematem i innymi. - Patrząc na jego profil, Eragon dostrzegł, że twarz elfa przybrała wyraz zwykłej rezerwy i obojętności.

- Czy to ci odpowiada?

- Tak, mistrzu - odparł Eragon, wdzięczny za to pytanie.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli od tej pory będziesz się starał mówić jedynie w pradawnej mowie. Mamy niewiele czasu, a w ten sposób nauczysz się jej najszybciej.

- Nawet podczas rozmów z saprurar

- Nawet wtedy.

- Zatem będę pracował niestrudzenie tak, by nie tylko myśleć, ale i śnić w twym języku, mistrzu - przysiągł Eragon w mowie elfów.

- Jeśli ci się uda - odparł Oromis - być może jeszcze nie wszystko jest stracone. - Milczał przez chwilę. - Rano zamiast lecieć wprost tutaj, będziesz towarzyszył elfowi, którego do ciebie przyślę. Zaprowadzi cię w miejsce, gdzie mieszkańcy Ellesmery ćwiczą szermierkę. Zostań tam godzinę, po czym przybądź cło mnie.

- Nie nauczysz mnie sam? - spytał Eragon z cieniem urazy w głosie.

- Nie mam cię czego nauczyć. Jesteś jednym z najlepszych szermierzy, jakich poznałem. Nie wiem o walce więcej niż ty, a tego, co posiadam, nie mogę ci dać. Teraz pozostaje tylko zachowanie twoich umiejętności.

- Czemu nie mogę zrobić tego z tobą... mistrzu?

- Bo nie mam ochoty zaczynać dnia od konfliktów i hałasów. - Spojrzał na Eragona, po czym nieco złagodniał. - I ponieważ poznanie innych, którzy tu mieszkają, dobrze ci zrobi. Nie jestem typowym przedstawicielem mojej rasy. Ale dość już, spójrz, nadlatują.

Dwa smoki przepłynęły przed jasnym kręgiem słońca. Najpierw w towarzystwie ryku wiatru nadleciał Glaedr, przesłaniając niebo olbrzymim ciałem. Osiadł na trawie i złożył złote skrzydła. Potem zjawiała się Saphira, szybka i zręczna niczym wróbel u boku orła. Podobnie jak rano, Oromis i Glaedr zadali serię pytań, sprawdzając, czy Eragon i Saphira zwracali uwagę na lekcje swych partnerów. Nie zawsze to czynili, lecz współpracując i dzieląc się informacjami, zdołali odpowiedzieć na wszystkie pytania. Jediną przeszkodę stanowił obcy język, w którym musieli się wysławiać.

*Lepiej - zagrzmiął Glaedr. Znacznie lepiej.*

Opuścił wzrok na Eragona.

*Wkrótce będziemy musieli popracować razem.*

- Oczywiście, skulblaka.

Stary smok parsknął i podpełzł do Oromisa, lekko podskakując na przedniej nodze. Saphira śmignęła naprzód i skubnęła koniuszek jego ogona, wyrzucając go w górę nagłym skrzętem głowy, jak podczas polowania, gdy łamała kark jelenia. Cofnęła się gwałtownie, bo Glaedr odwrócił się i kłapnął potężnymi szczękami, celując w jej szyję i odsłaniając olbrzymie kły.

Eragon skrzywił się i zbyt późno zasłonił uszy, chroniąc je przed rykiem smoka. Szybkość i gwałtowność reakcji Glaedra sugerowała, że nie po raz pierwszy tego dnia Saphira dała mu się we znaki. Zamiast skruchy Eragon wyczuł w niej podniecenie i figlarne rozbawienie, jak u dziecka z nową zabawką, a także niemal ślepe oddanie drugiemu smokowi.

- Pohamuj się, Saphiro - upomniął ją Oromis.

Saphira cofnęła się i przysiadła, choć nic w jej zachowaniu nie sugerowało zawstydzenia. Eragon wymamrotał niezręczne przeprosiny. Oromis machnął ręką.

- Odejdźcie, oboje.

Nie protestując, Eragon wgramolił się na grzbiet Saphiry. Musiał kilka razy zachęcać ją do lotu, a gdy wystartowała, uparła się trzykrotnie zatoczyć krąg nad polaną, nim zdołał skierować ją w stronę Ellesmery.

*Co cię opętało? Czemu go ugryzłaś?-* spytał.

Zdawało mu się, że wie, ale potrzebował potwierdzenia.

*Tylko się droczyłam.*

Była to prawda, bo rozmawiali w pradawnej mowie, podejrzewał jednak, że stanowi jedynie część większej prawdy.

*Owszem, a jaka to zabawa!*

Smoczyca spięła się pod nim.

*Zapomniałaś o swoich obowiązkach. Przecież...*

Urwał, szukając właściwego słowa, a nie mogąc go znaleźć, powrócił do ojczystego języka.

*Przecież prowokując Glaedra, rozpraszasz uwagę jego, Oromisa i moją, i przeszkadzasz w tym co musimy osiągnąć. Nigdy wcześniej nie byłaś równie bezmyślna.*

*Nie próbuj odgrywać mojego sumienia.*

Wówczas zaśmiał się, przez moment zapominając, że przebywa wśród chmur. Zgiął się i obrócił tak, że niemal spadł z grzbietu Saphiry.

*Och, cóż to za ironia. I kto to mówi? Ty, która tyle razy przypominałaś mi co mam robić. Jestem twoim sumieniem, Saphiro, tak samo jak ty moim. Miałaś dobre powody, by upominać mnie i ostrzegać w przeszłości, a teraz ja muszę uczynić to samo: przestań zdręczać Glaedra swoimi gierkami.*

Smoczyca milczała.

*Saphiro?*

*Słyszę.*

*Mam nadzieję.*

Po minucie spokojnego lotu odezwała się.

*Dwa ataki jednego dnia. Jak się czujesz?*

*Słaby i obolały.* Skrzywił się. *Częściowo po ringarze i fechtunku, głównie jednak to pozostałości bólu. Jest jak trucizna, osłabia mięśnie i zatrzuwa umysł. Mam jednak nadzieję, że zachowam trzeźwe zmysły dość długo, by ukończyć szkolenie. Ale potem... nie wiem co zrobię. Z całą pewnością w takim stanie nie będę walczyć u boku Vardenów.*

*Nie myśl o tym - poradziła. W żaden sposób nie możesz wpłynąć na swój stan, a rozmyślenia tylko pogarszają sprawę. Żyj chwilą obecną, wspominaj przeszłość i nie lękaj się przyszłości, ta bowiem jeszcze nie istnieje i nigdy nie będzie istnieć. Jest tylko teraz.*

Poklepał ją po ramieniu i uśmiechnął się z rezygnacją i wdzięcznością. Po ich prawicy przepłynął na ciepłym prądzie powietrza jastrząb, patrolujący zniszczony wichurą las w poszukiwaniu futrzastej bądź pierzastej ofiary. Eragon odprowadził go wzrokiem, zastanawiając się nad pytaniem, które zadał mu Oromis: Jak mógł uzasadnić walkę z imperium, skoro sprawi ona ludziom ból i wywoła cierpienie?

*Mam odpowiedź - odezwała się Saphira.*

*Jaką?*

*Że Galbatorix... Zawahała się i stwierdziła. Nie, nie powiem ci, sam powinieneś ją znaleźć.*

*Saphiro, bądź rozsądna.*

*Jestem. Jeśli nie wiesz, czemu to, co robimy, jest słuszne, równie dobrze możesz poddać się Galbatorixowi, bo i tak nie działasz nic dobrego.*

Nie zważając na barwne prośby Eragona, smoczyca umilkła, blokując przed nim tę część swego umysłu.

☆☆☆

W domu Eragon zjadł lekką kolację i właśnie miał otworzyć jeden ze zwojów Oromisa, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - rzekł z nadzieją, że Arya powróciła.

Tak było w istocie.

Elfka przywitała Eragona i Saphirę.

- Pomyślałam, że może zechcecie odwiedzić dwór Tialdari i sąsiadujące z nim ogrody. Wczoraj wyraziłeś takie pragnienie. To znaczy, jeśli nie jesteś zbyt zmęczony.

Miała na sobie zwiewny, czerwony kaftan, obrębiony i ozdobiony misternymi wzorami haftowanymi czarną nicią. Kolory te przypominały szaty królowej i podkreślały podobieństwo matki i córki.

Eragon odsunął na bok zwoje.

- Chętnie je zobaczę.

*Chce powiedzieć: zobaczymy - poprawiła Saphira.*

Aryę wyraźnie zaskoczyło, że oboje przemówili w pradawnej mowie toteż Eragon wyjaśnił jej polecenie Oromisa.

- Znakomity pomysł - rzekła, także przechodząc na język swego ludu. - I bardzo stosowny podczas waszego pobytu tutaj.

Gdy cała trójka zeszła z drzewa, Arya skierowała się na zachód, w stronę nieznannej części Ellesmery. Po drodze spotkali wiele elfów; wszystkie bez wyjątku przystawały, by pokłonić się przed Saphirą.

Eragon ponownie zauważył brak elfich dzieci. Wspomnił o tym Aryi.

- Owszem - przytaknęła. - Mamy niewiele dzieci. Obecnie w Ellesmerze żyje ich tylko dwoje, Dusan i Alanna. Ceniśmy sobie dzieci ponad wszystko inne, bo są takie rzadkie. Urodzenie i wychowanie dziecka to najwyższy zaszczyt i odpowiedzialność, jakie mogą spotkać każdą żywą istotę.

W końcu dotarli do strzelistego łuku pomiędzy dwoma drzewami, służącego za wejście do rozległego kompleksu. Arya zanuciła w pradawnej mowie.

- Korzeń drzewa, owoc, krzew, pozwól mi przejść, na moją krew.

Wrota zadrżały i otwały się na zewnątrz, wypuszczając pięć paziów królowej, które wleciały ku ciemniejącemu niebu. Za bramą rozciągał się rozległy ogród kwiatowy, zaplanowany tak, by przypominał naturalną, dziką łąkę. Jedyny sztuczny element stanowiła różnorodność roślin: wiele gatunków kwitło poza sezonem bądź pochodziło z gorętszych czy chłodniejszych klimatów i nigdy nie wzrosłoby bez magii elfów. Ogród oświetlały podobne do klejnotów pozbawione płomieni lampy, wokół których tańczyły lśniące świetliki.

- Uważaj na ogon - rzekła do Saphiry Arya - by nie uszkodzić rabat.

Ruszyli naprzód przez ogród i dalej pomiędzy drzewa. Nim Eragon się zorientował, drzewa stały się gęściejsze, aż wreszcie utworzyły ścianę, i odkrył, że stoi na progu drewnianej sali, choć przecież nawet nie zauważył, kiedy wszedł do środka.

Dwór był ciepły i przytulny, panował w nim spokój, cisza i wygoda. O jego kształcie decydowały pnie drzew, pozbawione kory, wypolerowane i natarte olejem tak, że drewno lśniło niczym bursztyn. Przerwy między pniami służyły za okna. W powietrzu unosiła się woń gniecionych sosnowych szpilek. Wewnątrz ujrzeni kilka elfów, które czytały i pisały w milczeniu. Jeden, siedzący w kącie, grat na trzciniowych piszczałkach. Wszystkie elfy kolejno przerwały swe zajęcia i ukloniły się, witając Saphirę.

- Tu byście się zatrzymali - oznajmiła Arya - gdybyście nie byli Jeźdźcem i smokiem.

- Wspaniałe miejsce - odparł Eragon.

Arya poprowadziła swych gości po kompleksie, a przynajmniej jego części dostępnej dla smoków. Każde nowe pomieszczenie okazywało się niespodzianką. Wszystkie były inne i w każdym inaczej włączono do konstrukcji las. W jednym pokoju spływał po nierównej ścianie srebrzysty strumyk, który następnie przecinał posadzkę wyłożoną kamiami korytem i wypływał na zewnątrz, pod niebo. W innym ściany i sufit spowijały pnącza, niczym liściasty płaszcz ozdobiony kwiatami o kształcie trąbki i niezwykle delikatnych, różowych i białych płatkach. Arya nazwała je pnączem liani. Ujrzeni wiele wspaniałych dzieł sztuki, od fairthów i obrazów po rzeźby i lśniące witrażowe mozaiki. Wszystkie przedstawiały rośliny i zwierzęta. Islanzadi spotkała się z nimi na krótko w otwartym pawilonie, połączonym zadaszonymi ścieżkami z dwoma innymi budynkami. Spytała o postępy szkolenia Eragona i stan jego pleców. Eragon odpowiedział krótkimi, uprzejmymi zdaniem. To najwyraźniej zaspokoilo ciekawość królowej, która zamieniła kilka słów z Saphirą i odeszła.

W końcu wrócili do ogrodu. Eragon szedł obok Aryi - Saphira stąpała za ich plecami - i jak zaczarowany słuchał jej głosu, gdy elfka opowiadała mu o różnych odmianach kwiatów, o tym, skąd pochodzą, jak się je hoduje i, wielu przypadkach, w jaki sposób odmieniono je magią. Pokazywała mu też kwiaty otwierające się wyłącznie w nocy, takie jak bieluń.

- Który z nich jest twoim ulubionym? - spytał.

Arya uśmiechnęła się i poprowadziła go do drzewa na skraju ogrodu, rosnącego obok okolonego trzciniami stawu. Wokół najniższej gałęzi drzewa wił się wilec o trzech aksamitnych, czarnych kwiatach zwiniętych w ciasne paki. Arya dmuchnęła na nie, szepcząc:

- Otwórzcie się.

Płatki zaszeleściły, rozchylając się i ukazując ukryty wśród atramentowej czerni słodki nektarowy skarb. Wnętrze kwiatów zabłysło głębokim błękitem, który ciemniał ku obrzeżom niczym dzień przechodzący w noc.

- Czyż to nie najdoskonalszy i najpiękniejszy kwiat? - Spytała Arya.

Eragon patrzył na nią, niemal boleśnie świadom jej bliskości.

- O tak - odparł i nim opuściła go odwaga, dodał: - Podobnie jak ty.

*Eragonie!*- wykrzyknęła Saphira.

Arya zwróciła ku niemu oczy i przyglądała mu się tak długo, że w końcu musiał odwrócić wzrok. Kiedy znów ośmielił się na nią zerknąć, ze zgrozą ujrzał na jej ustach lekki uśmiezek, jakby rozbawiła ją jego reakcja.

- Jesteś zbyt uprzejmy - mruknęła.

Wyciągnęła rękę, dotknęła kwiatu i znów spojrzała na niego.

- Faolin stworzył je specjalnie dla mnie w pewne letnie przesilenie, dawno, dawno temu.

Eragon zaszurał nogami i odpowiedział kilkoma niezrozumiałymi słowami, zraniony i obrażony faktem, że nie potraktowała jego komplementu poważnie. Miał ochotę stać się niewidzialny; zastanawiał się nawet, czy nie rzucić zaklęcia, które by mu to umożliwiło. W końcu jednak tylko się wyprostował.

- Proszę, Arya Svit'kona, wybacz nam. Jest późno, musimy wracać do naszego drzewa.

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Oczywiście, Eragonie, rozumiem. - Odprowadziła ich do głównej bramy i otworzyła drzwi.

- Dobranoc, Saphiro. Dobranoc, Eragonie.

*Dobranoc* - odparła Saphira.

Mimo zawstydenia Eragon nie zdołał powstrzymać pytania.

- Czy zobaczymy się jutro?

Elfka przekrzywiła głowę.

- Jutro chyba będę zajęta.

A potem drzwi się zamknęły i stracił ją z oczu po drugiej stronie bramy.

Siedząca na ścieżce Saphira trąciła Eragona w bok.

*Przestań śnić na jawie i wsiadaj na mój grzbiet.*

Wdrapał się po lewej przedniej nodze smoczycy i jak zwykle zajął miejsce, chwytając się jednego ze szpikulców, gdy Saphira wyprostowała się szybko. Po kilku krokach spytała:

*Jak możesz krytykować moje zachowanie wobec Glaedra, a potem robić coś takiego? Co ty sobie myślałeś?*

*Wiesz, co do niej czuję - mruknął szorstko.*

*Ba! Skoro ty jesteś moim sumieniem, a ja twoim, to mam obowiązek uprzedzić, kiedy zachowujesz się jak oszalały dureń. Nie posługujesz się logiką, tak jak nam to nakazuje Oromis. Na co ty liczysz? Arya to księżniczka*

*A ja jestem Jeźdźcem.*

*To elfka, ty jesteś człowiekiem!*

*Z każdym dniem coraz bardziej przypominam elfa.*

*Eragonie, ona ma ponad sto lat!*

*Będę żył równie długo jak każdy elf.*

*Owszem, ale jeszcze nie żyłeś i w tym właśnie rzecz. Nie możesz zlekceważyć tak wielkiej różnicy. Arya to dojrzała kobieta, mająca sto lat doświadczenia, podczas gdy ty...*

*No, czym jestem? - warknął. Dzieckiem? To chciałaś powiedzieć?*

*Nie, nie jestem dzieckiem, nie po tym, co widziałeś i czego dokonałeś, odkąd się połączyliśmy. Ale jesteś młody, nawet wedle rachuby twojej, jakże krótko żyjącej rasy, a co dopiero krasnoludów, smoków i elfów.*

*Podobnie jak ty.*

Jego słowa uciszyły ją na minutę. W końcu rzekła:



*Próbuję tylko cię chronić Eragonie, to wszystko. Chcę, żebyś był szczęśliwy, a lękam się, że nie będziesz, jeśli nie przestaniesz, zalecać się do Aryi.*

☆☆☆

Właśnie mieli się położyć, gdy usłyszeli skrzypienie podnoszonej kłapy w sieni. Z Zar'rokiem w dłoni Eragon gwałtownie otworzył drzwi, gotów stanąć do walki z intruzem.

Ręka opadła mu, gdy ujrzał przed sobą Orika. Krasnolud pociągnął solidny łyk z trzymanej w lewej dłoni butelki, po czym, mrużąc oczy, spojrzał na Eragona.

- Na ssegły i kości, gdzie się podziewasz? A, tu jeszcze? Zastanawiałem się, gdzie cię znaję. W końssu pomyślałem, że w taką piękną, smutną noc zastanę cię tutaj... I jeszcze! O czym teraz porozmawiamy, ty i ja, gdy znaleźliśmy się razem w twym uroczym, ptasim gnieździe?

Ujmując wolną rękę krasnoluda, Eragon postawił go do pionu. Jak zawsze zaskoczyła go masa Orika - krasnolud przypominał miniaturowy głaz. Gdy Eragon zabrał rękę, Orik zachwiał się mocno, osiągając tak silne wychylenie, że zdawało się, iż lada moment runie na ziemię.

- Wejź do środka - rzekł Eragon we własnym języku i zamknął kłapę. - Przeiębisz się tutaj.

Orik zamrugął.

- Nie widziałem cię przy mojej liściastej norze, o nie, zostawiłeś mnie na łasce elfów... A to naprawdę nudni, marni towarzysze.

Eragon uśmiechnął się krzywo, ukrywając nagle poczucie winy. Istotnie, wśród wszystkich wydarzeń zapomniał o krasnoludzie.

- Przepraszam, że cię nie odwiedzałem, Oriku, byłem bardzo zajęty nauką. Daj mi płaszcz. - Pomagając krasnoludowi ściągnąć brązowe okrycie, spytał; - Co pijesz?

- Faelnirv - oznajmił Orik. - Niezwykle szudny, szmakowity trunek, najlepszy i największy ze wszystkich dziwacznych wynalazków elfów. Rozwiązuje język, słowa spływają z niego niczym ławice roztrzepotanych rybek, sztada roztańczonych kolibrów, rzeki wijących się węży. - Urwał, najwyraźniej zachwycony bogactwem swych porównań.

Eragon wprowadził go do sypialni i Orik zasalutował Saphirze butelką.

- Pozdrowienia, żelaznozęba, oby twe łuski lśniły równie jasno jak węgle w kuźni Morgodiala.

*Bądź pozdrowiony, Oriku* - odparła Saphira, kładąc głowę na krawędzi łóżka. *Czemu jesteś w takim stanie? To do ciebie niepodobne.*

Eragon powtórzył jej słowa.

- Czemu jestem w takim szsztanie? - powtórzył Orik.

Opadł ciężko na podsunięty przez Eragona fotel, jego stopy zawisły kilka cali nad podłogą, i zaczął kręcić głową.

- Czerwony sztrój, zielony sztrój, a dookoła elfów rój. Tonę wśród elfów i ich po trzykroć przeklętej grzeczności. Bezkrwiste są, małowówne, „tak, mój panie”, „nie, mój panie”, „mimo najlepszych chęci pomóc ci nie mogę”.

Spojrzał z żalną miną na Eragona.

- Co mam robić, podczas gdy ty przeprawiasz się przez labirynt swych nauk? Mam siedzieć i kiwać palcami, aż zamienię się w kamień i dołączę do duchów mych przodków? Powiedz mi, o ty, mądry Jeźdźcze.

*Czyż nie masz zainteresowań ani umiejętności, którymi mógłbyś się zająć?* - spytała Saphira.

- Owszem - odrzekł krasnolud. - Jestem całkiem dobrym kowalem, choć nie mnie to osądzać. Ale po cóż miałbym wykuwać jasną broń i zbroję dla tych, którzy ich nie cenią. Jestem tu bezużyteczny, zupełnie jak trójnożny feldunost.

Eragon sięgnął po butelkę.

- Mogę?

Orik przez moment wodził wzrokiem między nim a flaszką. W końcu skrzywił się i oddał ją. Faelnirv był zimny jak lód, spłynął w głąb gardła Eragona, piekąc boleśnie. Eragon zamrugał i do oczu napłynęły mu łzy. Pociągnął drugi łyk i oddał butelkę Orikowi, który z wyraźnym zawodem sprawdził, jak niewiele trunku pozostało.

- A jakież to psoty - spytał krasnolud - zdołaliście spłatać Oromisowi w waszym błogim lesie?

Orik słuchał, na przemian śmiejąc się i jęcząc, gdy Eragon opisywał swe szkolenie, straszliwy błąd popełniony w błogosławieństwie w Farthen Durze, drzewo Menoa, swoje plecy i wszystko inne, co zapełniło mu kilka ostatnich dni. Zakończył na temacie najbliższym w tej chwili jego sercu: Aryi. Ośmielony spożytym trunkiem, przyznał się do swych uczuć i wspominał, jak odrzuciła jego zaloty.

Orik ostrzegawczo pokiwał palcem.

- Szkała pod twymi stopami jest pęknięta, Eragonie. Nie kuś losu. Arya... - Urwał, po czym warknął i pociągnął kolejny łyk faelnimi. - Ach, już na to za późno. Kimże jeszsztem, by mówić ci, co nakazuje mądrość?

Saphira leżała od dłuższego czasu z zamkniętymi oczami. Teraz, nie otwierając ich, spytała:  
*Jesteś żonaty, Oriku?*

To pytanie zaskoczyło Eragona. Nigdy nie zastanawiał się nad osobistym życiem swego towarzysza.

- Eta - odparł Orik. - Choć przyrzeczony jestem pięknej Hvedrze, córce Thorgerda Jednookiego i Himinglady. Mieliliśmy wziąć ślub tej wiosny, potem jednak zaatakowały urgale i Hrothgar wysłał mnie w tę przeklętą podróż.

- Jest z klanu Durgrimst Ingeitum? - spytał Eragon.

- Oczywiście! - ryknął Orik, tłukąc pięścią w fotel. - Sądysz, że poślubiłbym pannę spoza klanu? To wnuczka mojej ciotki Vardruny, dalekiej kuzynki Hrothgara. Ma białe, krągłe łydki, gładkie jak jedwab, policzki czerwone niczym jabłka. Jest najpiękniejszą krasnoludzką panną, jaka istnieje.

*Bez wątpienia* - dodała Saphira.

- Z pewnością wkrótce znów ją zobaczysz - rzekł Eragon.

- Hmpf. - Orik przyjrzał mu się, mrużąc oczy. - Wierzysz w olbrzymy? Wysokie olbrzymy, silne olbrzymy, potężne i brodate olbrzymy o palcach jak szszypce?

- Nigdy ich nie widziałem, ale słyszałem o nich opowieści - odparł Eragon - Jeśli istnieją, to nie w Alagaesii.

- Ależ nie, istnieją! Istnieją! - wykrzyknął Orik, wymachując nad głową butelką. - Powiedz mi, o Jeźdźcze, gdyby straszliwy olbrzym spotkał cię na ścieżce w ogrodzie, jak by cię nazwał, poza obiadem?

- Zapewne Eragonem.

- Nie, nie. Nazwałby cię krasnoludem. Bo dla niego nim właśnie byś był. - Orik zaśmiał się i szturchnął Eragona w żebra łokciem. - Teraz rozumiesz? Ludzie i elfy to olbrzymy, cały świat jest ich pełen. Tu, tam, wszędzie. Przechadzają się wokół, tupiąc wielkimi stopami i rzucając na nas cień. - Wciąż chichotał, kołyszając się w fotelu tak mocno, że ten w końcu runął na ziemię z donośnym łoskotem.

Eragon pomógł krasnoludowi wstać.

- Lepiej będzie, jeśli zanocesz u mnie. W takim stanie nie powinieneś po ciemku schodzić po stromych schodach.

Orik zgodził się z radosną obojętnością. Pozwolił, by Eragon zdjął mu kolczugę i ułożył go z boku łóżka. Po wszystkim Eragon westchnął, zakrył lampę i zajął miejsce po drugiej stronie. Zasnął do wtóru pomrukiwań krasnoluda.

- Hvedra... Hvedra... Hvedra.

## Natura zła

Jasny ranek nastał stanowczo za wcześnie.

Obudzony gwałtownie brzęczeniem wibrującego czasomierza Eragon chwycił nóż myśliwski i wyskoczył z łóżka, oczekując ataku. Zachłysnął się, gdy jego ciało zaprotestowało gwałtownie, wciąż obolałe po przeżyciach ostatnich dwóch dni.

Nakręcił szybko czasomierz, mrugając, by przegnać napływające do oczu łzy. Orik zniknął. Krasnolud musiał wykraść się wczesnym rankiem. Eragon z jękiem pokuśtykał do łazienki, by oddać się codziennym ablucjom. Poruszał się niczym cierpiący na reumatyzm starzec. Wraz z Saphirą czekali przy drzewie przez dziesięć minut, nim ujrzeli zmierzającego ku nim poważnego, czarnowłosego elfa. Elf skłonił się, przykładając dwa palce do ust. Eragon natychmiast powtórzył ten gest.

- Niechaj sprzyja ci szczęście - powitał go elf.

- I niechaj gwiazdy cię strzegą - odparł Eragon. - Przysyła cię Oromis?

Elf zignorował jego słowa i odwrócił się do Saphiry.

- Bądź pozdrowiona, Smoczyco. Jestem Vanir z rodu Haldhina.

Eragon skrzywił się, poirytowany.

*Bądź pozdrowiony, Vanirze.*

Dopiero wtedy elf przemówił do Eragona.

- Pokażę ci, gdzie możesz ćwiczyć władanie mieczem. - Odszedł bez słowa, nie czekając na niego.

Na polu ćwiczeń było pełno elfów obojga płci, walczących w parach i grupkach. Ich niezwykła sprawność fizyczna sprawiała, że zasypywały się ciosami tak szybkimi i zręcznymi, że przypominały one grad sypiący się na żelazny dzwon. Pod okalającymi pole drzewami samotne elfy ćwiczyły ringar; Eragon wątpił, by kiedykolwiek zdołał osiągnąć równie wysoki poziom gracji i giętkości.

Gdy wszyscy na polu przerwali walkę i skłonili się przed Saphirą, Vanir dobył wąskiego miecza.

- Jeśli zechcesz zabezpieczyć swój miecz, Srebrzysta Dłoni, możemy zacząć.

Eragon z obawą przyjrzał się prowadzonym z nieludzką zręcznością pojedyńkom elfów.

*Czemu muszę to robić?* - spytał. *Czeka mnie tylko poniżająca klęska.*

*Poradzisz sobie* - odparła Saphira, wyczuwał jednak promieniującą od niej troskę.

*Jasne.*

Gdy szykował Zar'roca, jego dłonie drżały ze strachu. Miał rzucić się w wir walki, potykał się z Vanirem, utrzymując dystans, uskakując, wymijając, robiąc wszystko co możliwe, by uniknąć kolejnego ataku. Mimo wysiłków Eragona Vanir w krótkich odstępach czasu dotknął go czterokrotnie - w żebra, piszczel i oba ramiona.

Twarz, Vanira, z początku niewyraźniająca niczego, szybko przybrała wyraz otwartej pogardy. Posuwając się naprzód, przesunął klingą w górę ostrze Zar'roca, jednocześnie odbijając go i wykręcając Eragonowi przegub. Eragon wołał pozwolić, by Zar'roc wyleciał mu z ręki, niż stawić opór sile elfa.

Jego przeciwnik przyłożył mu miecz do szyi.

- Trup - rzekł.

Eragon odtrącił klingę Vanira i podbiegł, by podnieść Zar'roca.

- Trup - powtórzył Vanir. - Jak chcesz w ten sposób pokonać Galbatorixa? Oczekiwałem więcej, nawet po słabym człowieku.

- Czemu zatem sam nie staniesz do walki z Galbatorixem, miał ukrywać się w Du Veldenvarden?

Vanir zeszywniał z oburzenia.

- Ponieważ - rzekł chłodno - nie jestem Jeźdźcem. Ale gdybym był, to nie takim tchórzem jak ty.

Wszyscy na polu zamarli.

Po wszystkim Saphira podeszła do Vanira i dotknęła jego pierś czubkiem potężnego szponu.

*Trup* - rzekła.

Vanir zbladł, pozostałe elfy cofnęły się o parę kroków.

*Oromis miał rację* - rzekła smoczyca, gdy znaleźli się w powietrzu.

*W czym?*

*Dajesz z siebie więcej, jeśli masz przeciwnika.*

Kiedy dotarli do chaty Oromisa, dzień potoczył się tak jak poprzednie: Saphira odleciała z Glaedrem, a Eragon pozostał z elfem.

Ze zgrozą odkrył, że Oromis oczekuje, by prócz wcześniejszych ćwiczeń trenował także ringar. Wysłuchanie polecenia wymagało całej odwagi Eragona, lecz jego obawy okazały się bezpodstawne, bo Taniec Węża i Żurawia był zbyt łagodny, żeby go zranić.

Ćwiczenia, w połączeniu z medytacją na cichej polanie, pozwoliły Eragonowi po raz pierwszy od poprzedniego dnia uporządkować myśli i zastanowić się nad zadaniem przez Oromisa pytaniem.

Patrzył, zamyślony, jak jego czerwone mrówki atakują mniejsze, konkurencyjne mrowisko, pokonują jego mieszkańców i kradną zapasy. Pod koniec masakry, przy życiu pozostała tylko garstka przeciwniczek, samotnych i pozbawionych celu na ogromnych, wrogich pustkowiach.

*Zupełnie jak smoki w Alagaesii* - pomyślał Eragon.

Więź łącząca go z mrówkami zniknęła, gdy zaczął rozmyślać nad nieszczęsnym losem smoków. Powoli, krok po kroku, ujrzał odpowiedź na swoje pytanie. Odpowiedź, z którą mógł żyć. Zakończył medytację i powrócił do chaty. Tym razem Oromisa zadowolili osiągnięcia ucznia.

- Wiem, czemu warto walczyć z Galbatorixem, choć w wojnie mogą zginąć tysiące ludzi - rzekł Eragon, gdy elf podał południowy posiłek.

- Ach tak? - Oromis usiadł. - Powiedz mi.

- Ponieważ Galbatorix spowodował już więcej cierpień przez ostatnie sto lat, niż my zdołalibyśmy wyrządzić w czasie życia jednego pokolenia. A w odróżnieniu od zwykłego tyrana nie możemy czekać, aż po prostu umrze. Może rządzić przez setki, nawet tysiące lat, prześladować i dręczyć ludzi. Musimy go powstrzymać. Jeżeli jeszcze wzrośnie w siłę, zaatakuje krasnoludy i was, tu, w Du Veldenvarden. Zabije bądź zniewoli obie rasy. I - Eragon potarł krawędzią dłoni skraj stołu - ponieważ tylko odebranie Galbatorixowi dwóch jaj może ocalić smoki.

W tym momencie przerwał mu donośny gwizd czajnika Oromisa. Gwizd stawał się coraz głośniejszy, dźwięcząc nieznośnie w uszach. Oromis wstał, zdjął czajnik z ognia i nalał im obu jagodowej herbaty. Zmarszczki wokół jego oczu wygładziły się.

- Teraz rozumiesz - rzekł.

- Rozumiem, ale nie znajduję w tym radości.

- I nie powinienes. Ale przynajmniej możemy ufać, że nie cofniesz się z raz obranej drogi, gdy ujrzysz niesprawiedliwości i krzywdy, jakie z pewnością wyrządzą Vardeni. Nie stać nas na wątpliwości w chwili, gdy najbardziej będziemy potrzebować twojej siły i skupienia.

Elf splótł przed sobą palce i spojrzał w ciemne zwierciadło herbaty, przyglądając się własnemu zamyślonemu odbiciu.

- Czy wierzysz, że Galbatorix jest zły?

- Oczywiście!

- Wierzysz, że uważa siebie za złego?

- Nie, wątpię.

Oromis przebierał palcami złożonych dłoni.

- Zatem musisz też wierzyć, że Durza był zły?

W umyśle Eragona pojawiły się fragmenty wspomnień Durzy, jakie ujrzał podczas walki w Tronjheimie. Przypomnił sobie, jak młody Cień - Carsaib, tak się wówczas nazywał - został opętany przez upiory, które przywołał, by pomścić śmierć swego mistrza Haega.

- Sam nie był zły, lecz kontrolujące go duchy owszem.  
 - A urgale? - Oromis pociągnął łyk herbaty. - Czy są złe?  
 Eragon ścisnął w palcach łyżkę tak mocno, że zbieleły mu kłykcie.  
 - Gdy myślę o śmierci, widzę oblicze urgala. Są gorsze niż zwierzęta. To, co zrobiły... -  
 Pokręcił głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa.  
 - Eragonie, jaką opinię miałbyś o ludziach, gdybyś znał wyłącznie czyny ich wojowników na polu bitwy?  
 - To nie... - Odetchnął głęboko. - To, co innego. Urgale zasługują na to, by zetrzeć je z powierzchni ziemi, do ostatniego.  
 - Nawet ich kobiety i dzieci? Te, które nigdy cię nie skrzywdziły i nie skrzywdzą? Niewinni? Zabiłbyś je i skazał całą rasę na zniknięcie w otchłani?  
 - Gdyby one miały taką szansę, nie oszczędziłyby nas.  
 - Eragonie! - wykrzyknął ostrym tonem Oromis. - Nigdy więcej nie chcę usłyszeć z twoich ust podobnego usprawiedliwienia. Nie możesz mówić, że jeśli ktoś inny zrobił coś, czy też mógłby zrobić, ty możesz uczynić to - To odrażające lenistwo, oznaka słabego umysłu. Wyrażam się jasno?  
 - Tak mistrzu.  
 Elf uniósł do ust kubek i pociągnął łyk herbaty, ani na moment nie spuszczać z Eragona spojrzenia błyszczących oczu.  
 - Co właściwie wiesz o urgalach?  
 - Znam ich mocne i słabe strony, i wiem jak je zabijać. Nie potrzebuję niczego więcej.  
 - Czemu jednak walczą z ludźmi, czemu ich nienawidzą? Co wiesz o ich historii i legendach, o tym jak żyją?  
 - A jakie to ma znaczenie?  
 Oromis westchnął.  
 - Pamiętaj po prostu - rzekł łagodnie - że w pewnym momencie twoi wrogowie mogą stać się sojusznikami. Taka jest natura życia.  
 Eragon zwalczył chęć zaprotestowania. Obrócił w rękach kubek tak, że herbata utworzyła czarny wir, na dnie, którego zebrała się kropka białej piany.  
 - Dlatego właśnie Galbatorix wezwał do pomocy urgale?  
 - Nie jest to przykład, którym ja bym się posłużył, ale owszem.  
 - Wydaje mi się dziwne, że się z nimi sprzymierzył. Ostatecznie to one zabiły jego smoka. Spójrz tylko, co zrobił z nami, Jeźdźcami, a my nie odpowiadaliśmy przecież za tę śmierć.  
 - Ach. - Oromis westchnął. - Galbatorix to szaleniec, ale wciąż przebiegły jak lis. Przypuszczam, że zamierzał wykorzystać urgale do zniszczenia Vardenów i krasnoludów - i innych, gdyby zwyciężył w Farthen Durze - jednocześnie tym samym pozbywając się dwóch wrogów i osłabiając urgale tak, by mógł wyeliminować je, gdy tylko zechce.

☆☆☆

Popołudnie upłynęło im na nauce pradawnej mowy. Potem zajęli się ćwiczeniem magii. Większość wykładów Oromisa koncentrowała się na właściwych sposobach kontrolowania najróżniejszych form energii, takich jak światło, ciepło, elektryczność, a nawet ciężar. Wyjaśniał, że choć moce te pochłaniają siłę szybciej niż jakiegokolwiek inne zaklęcia, łatwiej jest ich szukać w naturze i kształtować za pomocą magii, niż próbować stworzyć z niczego.

Nagle zmienił temat.

- Jak zabiłbyś magią? - spytał.

- Robiłem to na wiele sposobów - odparł Eragon. - Polowałem kamykiem, rozpędzając go i celując za pomocą magii. Użyłem też słowa "jierda" by połamać urgalom nogi i karki. Raz jeden słowem „thrysta” zatrzymałem *serce* człowieka.

- Istnieją skuteczniejsze metody. Czego trzeba, by zabić człowieka, Eragonie? Ciosu miecza w pierś, skręconego karku, utraty krwi? Wystarczy jedynie zacisnąć jedną żyłkę w mózgu, odciąć kilka nerwów. Właściwie dobranym zaklęciem mógłbyś pokonać całą armię.

- Powinienem był o tym pomyśleć w Farthen Durze. - Eragon poczuł niesmak wobec samego siebie. - I nie tylko w Farthen Durze, ale też, gdy Kulle ściagały nas podczas jazdy na Pustyni Haradackiej. - Ale czemu Brom mnie tego nie nauczył?

- Bo nie przypuszczał, że w ciągu następnych miesięcy bądź lat będziesz musiał stawić czoło armii. Nie jest to narzędzie, które przekazujemy niesprawdzonym Jeźdźcom.

- Skoro tak łatwo jest zabijać ludzi, po co gromadzimy armie? I czemu czyni to Galbatorix?

- Najkrótsze wyjaśnienie to taktyka. Magowie uczestniczący w zmaganiach umysłów są wrażliwi na ataki fizyczne. Potrzebują, zatem wojowników, by ich chronili. A wojownicy muszą być przynajmniej częściowo osłonięci przed atakami magicznymi, inaczej zginęliby w ciągu paru minut. Ograniczenia te oznaczają, że gdy armie stają naprzeciwko siebie, magowie czekają rozproszeni wśród żołnierzy, nie za blisko frontu, by uchronić się przed niebezpieczeństwem. Magowie z obu stron otwierają swe umysły, próbując wyczuć, czy ktokolwiek używa magii. Ponieważ wrogowie mogą przebywać poza zasięgiem ich umysłów, każdy mag stawia też wokół siebie i swych wojowników ochronne bariery, zatrzymujące bądź osłabiające dalekosiężne ataki, takie jak kamyk posłany w powietrze z odległości mili.

- Z pewnością jeden człowiek nie zdołałby obronić całej armii - zauważył Eragon.

- Sam nie, ale gdy masz dostatecznie wielu magów, są w stanie zapewnić całkiem niezłą ochronę. Największym zagrożeniem w podobnych konfliktach jest możliwość, że przebiegły mag wymyśli nowy, niezwykły atak, który nie naruszy twoich barier. Coś takiego mogłoby rozstrzygnąć losy bitwy. Poza tym musisz pamiętać, że zdolność posługiwania się magią pojawia się bardzo rzadko wśród wszystkich ras. My, elfy, nie stanowimy wyjątku, choć dysponujemy większą grupą tkaczy zaklęć; sprawiły to przysięgi, które narzuciliśmy sobie wiele stuleci temu. Większość tych pobłogosławionych magicznie ma bardzo niewielkie zdolności, z trudem przychodzi im nawet uleczenie stłuczenia.

Eragon zgodził się z tym. Spotkał już podobnych magów wśród Vardenów.

- Lecz osiągnięcie celu nadal wymaga takiej samej energii.

- Energii owszem, ale słabszym magom wycucie przepływu mocy i zanurzenie się w niej przychodzi trudniej niż tobie czy mnie. Niewielu ma dość sił, by zagrozić całej armii, a ci zazwyczaj większość czasu podczas bitew spędzają na unikach, śledzeniu i walce z równymi sobie. Na całe szczęście, z punktu widzenia zwykłych żołnierzy; w przeciwnym razie szybko by zginęli.

- Vardeni nie mają zbyt wielu magów - rzekł z obawą Eragon.

- To jeden z powodów, dla których jesteś taki ważny.

Przez chwilę Eragon zastanawiał się nad słowami Oromisa.

- Te bariery... czy odbierają ci energię tylko wtedy, gdy coś je uruchomi

- Owszem.

- Zatem, dysponując odpowiednią ilością czasu, można otoczyć się nieskończoną ich liczbą. Można uczynić się... - Szukał właściwego słowa w pradawnej mowie. - Nietykalnym... niedosiężnym... odpornym na każdy atak, magiczny czy fizyczny.

- Moc barier - rzekł Oromis - zależy od siły twojego ciała. Jeśli przekroczysz ową siłę, umrzesz, nieważne jak wiele ich wzniesiesz. Możesz blokować ataki tylko do czasu, dopóki twoje ciało zniesie wpływ energii.

- A jednak siła Galbatorixa rośnie z każdym rokiem. Jak to możliwe?

Było to retoryczne pytanie. Kiedy jednak Oromis zachował milczenie, spoglądając migdałowymi oczami na trzy kreślące w powietrzu piruety jaskółki, Eragon pojął, że elf zastanawia się jak najlepiej odpowiedzieć. Ptaki uganiały się nad ich głowami przez kilka długich minut. Gdy w końcu odleciały, elf odezwał się cicho:

- W tej chwili nie powinniśmy dłużej o tym dyskutować.

- A zatem wiesz?! - wykrzyknął ze zdumieniem Eragon.

- Wiem, ale ta informacja musi poczekać do późniejszego etapu twojego szkolenia. Na razie nie jesteś na nią gotowy. - Oromis spojrział na Eragona, jakby oczekiwał protestów.

Eragon pokłonił się.

- Jak uważasz, mistrzu.

Nigdy nie potrafił wydobyć z Oromisa żadnej informacji, póki elf sam nie zechciał się nią podzielić, po co więc miałyby próbować? Zastanawiał się jednak, co może być tak niebezpieczne, że Oromis nie śmie mu tego ujawnić i czemu elfy utrzymywały to w tajemnicy przed Vardenami. Nagle wyszła mu do głowy inna myśl.

- Skoro bitwy z udziałem magów odbywają się tak, jak opisywałeś, czemu Ajihad pozwolił mi w Farthen Durze walczyć bez barier? Nie wiedziałem nawet, że powinienem wypatrywać swym umysłem wrogów. I czemu Arya nie zabiła większości albo wszystkich urgali? Nie było tam żadnych magów, którzy mogliby stawić jej czoło, prócz Durzy, a on, przebywając pod ziemią, nie zdołałby obronić swych wojsk.

- Czy Ajihad nie kazał Aryi bądź komuś z Du Vrangr Gata wznieść barier wokół ciebie? - spytał Oromis.

- Nie, mistrzu.

- I tak właśnie walczyłeś?

- Tak, mistrzu.

Oromis spojrział w dal. Elf jakby zamknął się w sobie, stojąc bez ruchu na trawie. Nagle odezwał się bez ostrzeżenia.

- Rozmawiałem z Aryą. Twierdzi, że Bliźniakom Vardenów polecono ocenić twoje umiejętności. Poinformowali Ajihada, że znasz się na wszelkich sztukach magicznych, łącznie ze wznoszeniem barier. Ajihad i Arya całkowicie ufali ich osądowi w tej kwestii.

- Dwulicowe, śliskie, wszawe, zdradzieckie psy! - zaklął Eragon. - Próbowali mnie zabić! - Powracając do własnego języka, rzucił jeszcze kilka barwnych przekleństw.

- Nie zanieczyszczaj powietrza - upomniał go łagodnie Oromis. — To ci nie przystoi... Tak czy inaczej, podejrzewam, że Bliźniacy pozwolili ci stanąć do bitwy bez ochrony nie po to, żebyś zginął, lecz by Durzą mógł cię schwytać.

- Co takiego?

- Wedle twych własnych słów Ajihad podejrzewał, że Vardenów zdradzono, bo Galbatorix zaczął prześladować ich sprzymierzeńców w całym imperium, bezbłędnie wyszukując wszystkich. Bliźniacy znali tożsamość współpracowników Vardenów. Oni też zwabili cię w samo serce Tronjheimu, także znalazłeś się z dala od Saphiry i w zasięgu Durzy. Logika, zatem podpowiada, że to oni byli zdrajcami.

- Jeśli nawet — odparł Eragon - to już bez znaczenia. Od dawna nie żyją.

Oromis skłonił głowę.

- Arya twierdzi, że urgale miały ze sobą magów w Farthen Durze i że walczyła z wieloma z nich. Żaden cię nie atakował?

- Nie, mistrzu.

- Kolejny dowód, że Durzą miał schwytać was z Saphirą i dostarczyć Galbatorixowi. Dobrze przygotował swą pułapkę.

W ciągu następnej godziny Oromis nauczył Eragona dwunastu metod zabijania. Żadna z nich nie wymagała większej energii niż uniesieni pióra. Gdy Eragon zapamiętał ostatnią, przysła mu do głowy myśl, która sprawiła, że uśmiechnął się szeroko.

- Następnym razem, gdy Ra'zacowie staną mi na drodze, nie będą mieli szans.

- Wciąż musisz na nich uważać - ostrzegł Oromis.

- Czemu? Trzy słowa i padną trupem.

- Czym się żywi rybołów?

Eragon zamrugał, zaskoczony.

- Oczywiście rybami.

- A gdyby ryba była nieco szybsza i inteligentniejsza od swych braci czy zdołałaby uniknąć szponów rybołowa?

- Wątpię - przyznał Eragon. - Przynajmniej niezbyt długo.

- Tak jak rybołów jest najlepiej przystosowany do łowienia ryb, wilk do polowań na jelenie i inną dużą zwierzynę, a każde zwierzę do swych celów, tak i Ra'zacowie są przystosowani do polowań na ludzi. To potwory z ciemności, nocny koszmar dręczący twą rasę.

Włosy na karku Eragona zjeżyły się ze zgrozy.

- Co to za stwory?

- Ani elfy, ani ludzie, ni krasnoludy, ni smoki. Nie mają futra, płetw ani piór, nie są to gady, owady ani żadne inne zwierzęta.

Eragon zmusił się do uśmiechu.

- A zatem rośliny?

- Także nie. Rozmnażają się, składając jaja, jak smoki. Gdy się wykluwają młode, czy raczej larwy, otaczają się czarnym egzoszkieletem, naśladującym sylwetkę ludzką. To groteskowa imitacja, lecz dostatecznie przekonująca, by Ra'zacowie mogli spokojnie zbliżyć się do swej ofiary. Tam, gdzie ludzie są słabi, Ra'zacowie są silni. Widzą dobrze nawet w pochmurną noc, wyczuwają trop niczym ogar, skaczą wyżej, poruszają się szybciej. Jednakże jasne światło ich rani, czują też śmiertelną obawę przed głęboką wodą, bo nie umieją pływać. Ich najgroźniejszą bronią jest trujący oddech, który zaćmiewa ludzkie umysły, odbierając wam siły, choć na krasnoludy działa słabiej, a elfy są na niego odporne.

Eragon zadrżał, przypominając sobie dzień, gdy pierwszy raz ujrzał Ra'zaców w Carvahall, i to, jak nie mógł przed nimi uciec, gdy go zauważyły.

- Zupełnie jakbym znalazł się nagle we śnie, w którym chciałem biec, ale nie mogłem nawet drgnąć, nieważne jak bardzo próbowałem.

- Całkiem dobry opis - przyznał Oromis. - Choć Ra'zacowie nie umieją władać magią, nie należy ich lekceważyć. Gdy wiedzą, że ich ścigasz nie pokazują się, lecz kryją się w cieniach, gdzie mają najwięcej sił i knują plany jak schwytają cię w zasadzkę, tak jak w Dras-Leonie. Nawet doświadczenie Broma nie uchroniło cię przed nimi. Wystrzegaj się zbytnej pewności siebie, Eragonie, wystrzegaj się arogancji. Inaczej, bowiem zaczniesz zachowywać się nieostrożnie, a twoi wrogowie to wykorzystają.

- Tak, mistrzu.

Oromis zmierzył Eragona poważnym spojrzeniem.

- Ra'zacowie pozostają larwami przez dwadzieścia lat, w tym czasie dojrzewają. Podczas pierwszej pełni dwudziestego roku swego życia odrzucają szkielety, rozkładają skrzydła i przekształcają się w dorosłe osobniki, gotowe do łowów na wszystkie istoty, nie tylko ludzi.

- Zatem wierzchowce Ra'zaców, te na których latają, to w istocie...

- Tak. Ich rodzice.



## Obraz doskonałości

*W końcu znam naturę moich wrogów* - pomyślał Eragon.

Ra'zacowie budzili w nim strach, odkąd pierwszy raz pokazali się w Carvahall - nie tylko z powodu swych złowrogich czynów, ale też, dlatego że tak mało o nich wiedział. W swej ignorancji przypisywał im więcej mocy, niż posiadali w istocie i czuł wobec nich niemal zabobonny lęk. Nocne koszmary, o tak. Teraz jednak, gdy wyjaśnienia Oromisa pozbawiły Ra'zaców otoczki tajemniczości, wrogowie przestali wyglądać aż tak strasznie. Informacje, że są wrażliwi na światło i wodę, wzmocniły jeszcze przekonanie Eragona, że gdy spotkają się następnym razem, zniszczy potwory, które zabiły Garrowa i Broma.

- Czy ich rodziców też nazywamy Ra'zacami? - spytał.

Oromis pokręcił głową.

- Nazwaliśmy ich Lethrblaka i o ile ich potomkowie, choć przebiegli są ograniczeni, Lethrblaka dorównują inteligencją smokom. Okrutnym, złośliwym, skrzywionym smokom.

- Skąd pochodzą?

- Z tej samej krainy, z której przybyli twoi przodkowie. Możliwe, właśnie ich pojawienie zmusiło króla Palancara do emigracji. Gdy my, Jeźdźcy, odkryliśmy ohydną obecność Ra'zaców w Alagaesii, dołożyliśmy wszelkich starań, by się ich pozbyć, tak jak pozbylibyśmy się choroby drzew. Niestety, tylko częściowo nam się powiodło. Dwa Lethrblaka uciekły. To one wraz ze swymi larwami odpowiadają za twe kłopoty. Po tym, jak Galbatorix zabił Vraela, odszukał je i zapewnił sobie ich współpracę w zamian za ochronę i gwarantowaną ilość ulubionego pożywienia stworów. Dlatego właśnie pozwala im żyć obok Dras-Leony, jednego z największych miast imperium.

Eragon zacisnął szczęki.

- Mają wiele na swym sumieniu i, jeśli zdołam, zmuszę ich, by za to zapłacili.

- Istotnie - przytaknął elf.

Wrócił do chaty, przestąpił pogrążony w cieniu próg, po czym pojawił się ponownie, niosąc w rękach pół tuzina łupkowych tabliczek, szerokich na pół stopy i wysokich na stopę. Wręczył jedną Eragonowi.

- Tymczasem jednak porzućmy nieprzyjemny temat. Pomyślałem, że spodoba ci się nauka robienia fairthów. To znakomita okazja, by poćwiczyć koncentrację. Łupek nasączono tyłoma barwnikami, że można go pokryć dowolnymi kolorami. Musisz tylko skupić się na obrazie, który chciałbyś zachować, i powiedzieć: „Niechaj to, co widzę oczyma umysłu, zostanie odtworzone na powierzchni tabliczki”.

Gdy Eragon przyjrzał się gładkiemu jak glina łupkowi, Oromis gestem wskazał polanę.

- Rozejrzyj się, Eragonie, i znajdź coś wartego zachowania.

Pierwsze rzeczy, jakie dostrzegł Eragon, wydały mu się zbyt oczywiste, zbyt banalne: żółta lilia u jego stóp, zarośnięta chata Oromisa, biały, spieniony strumień, otaczający ich krajobraz. Nic z tego nie było wyjątkowe, nic nie pozwoliłoby obserwatorowi odkryć czegoś nowego, dowiedzieć się czegoś o twórcy fairthu. Rzeczy, które zmieniają się i giną bez śladu, oto co warto zachować, pomyślał. Jego wzrok padł na bladezieloną kępkę wiosennych szpilek na końcu gałęzi drzewa, a potem na głęboką, wąską ranę, przecinającą pień w miejscu, gdzie burza odłamała konar, oddzierając wraz z nim pasmo kory. Wokół rany lśniły przejrzyste krople żywicy, odbijające i rozpraszające światło.

Eragon usiadł obok pnia tak, by widzieć korale zastygniętej krwi drzewa wystające ponad pień, otoczone wianuszkiem lśniących młodych szpilek. Utrwalił tę scenę w swym umyśle najlepiej jak potrafił i wypowiedział zaklęcie.

Powierzchnia szarej tabliczki pojaśniała, gdy rozkwitły na niej plamy barw łączące się i mieszające w odpowiednie odcienie. Gdy w końcu barwniki przestały się poruszać, Eragon odkrył, że spogląda na osobliwą kopię tego, co chciał odtworzyć. Żywica i szpilki zostały oddane z

niezwykłą, ostrą jak brzytwa dokładnością. Wszystko inne natomiast było rozmazane i niewyraźne, jakby widziane przez półprzymknięte oczy. Zdecydowanie nie przypominało to absolutnej czystości fairthu Oromisa przedstawiającego Ilireę.

Na znak nauczyciela Eragon wręczył mu tabliczkę. Elf oglądał ją przez minutę.

- Myślisz w bardzo niezwykły sposób, Eragon-finiarel. Większość ludzi ma problemy z osiągnięciem właściwego skupienia, niezbędnego, by stworzyć rozpoznawalny obraz. Ty natomiast chyba zauważasz niemal wszystko, jeśli coś naprawdę cię zainteresuje. To jednak dość ograniczona koncentracja. Widać tu ten sam problem, który przeszkadza ci w medytacjach. Musisz się odprężyć, poszerzyć pole widzenia, pozwolić, by twój umysł chłonał wszystko wokół bez osądzania, co jest ważne, a co nie. - Oromis odłożył na bok obrazek, podniósł z trawy drugą, pustą tabliczkę i podał Eragonowi.

- Spróbuj ponownie i pamiętaj o tym, co...

- Bądź pozdrowiony, Jeźdźcze!

Zaskoczony Eragon odwrócił głowę i ujrzał Orika i Aryę wychodzących razem z lasu. Krasnolud uniósł rękę w powitalnym geście. Brodę miał świeżo przystrzyżoną i zaplecioną w warkocze, włosy starannie związane w kucyk. Był ubrany w nową tunikę, dar elfów, czerwono-brązową i wyszywaną złotą nicią. Nic w jego wyglądzie nie zdradzało stanu, w jakim znalazł się poprzedniego wieczoru.

Eragon, Oromis i Arya wymienili zwyczajowe powitania, potem jednak elf zrezygnował z pradawnej mowy.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę? - spytał. - Oboje jesteście mile widziani w mojej chacie, lecz, jak widzicie, pracuję właśnie z Eragonem, a to ma pierwszeństwo przed wszystkim innym.

- Przepraszam za to najście, Oromis-elda - odparła Arya - ale...

- Wina leży wyłącznie po mojej stronie - przerwał jej Orik.

Zerknął na Eragona, po czym podjął:

- Hrothgar przysłał mnie tutaj, żebym dopilnował, by Eragon otrzymał wymagane nauki. Nie wątpię, że tak jest w istocie, ale mam obowiązek obejrzeć jego szkolenie na własne oczy, tak abym po powrocie do Tronjheimu mógł zrelacjonować wszystko mojemu królowi.

- To, czego uczę Eragona - rzekł Oromis - nie jest przeznaczone dla nikogo innego. Tylko on może poznać sekrety Jeźdźców.

- Rozumiem to, żyjemy jednak w niepewnych czasach. Kamień, niegdyś trwały i mocny, dziś się chwieje. Musimy się przystosować, by przetrwać. Tyle zależy od Eragona, że my, krasnoludy, mamy prawo sprawdzić, czy jego szkolenie przebiega tak jak obiecano. Czy uważasz naszą prośbę za nierozsądną?

- Dobrze powiedziane, mości krasnoludzie. — Oromis postukał palcami o palce; jego mina jak zawsze nie zdradzała niczego. - Mogę zatem założyć, że to dla ciebie kwestia obowiązku.

- Obowiązku i honoru.

- I że nie ustąpisz?

- Obawiam się, że nie, Oromis-elda.

- Doskonale, możesz zostać i obejrzeć tę lekcję. Czy to cię zadowoli?

Orik zmarszczył brwi.

- Czy lekcja dobiega już końca?

- Dopiero zaczęliśmy.

- W takim razie tak, to mnie zadowoli. Przynajmniej na razie.

Podczas gdy rozmawiali, Eragon próbował zwrócić na siebie uwagę Aryi, ta jednak całkowicie skupiła się na Oromisie.

- Eragonie!

Zamrugał, wyrwany z zamyślenia.

- Tak, mistrzu?

- Nie rozpraszaj się, Eragonie. Chcę, żebyś zrobił kolejny fairth. Otwórz umysł, tak jak ci mówiłem.

- Tak, mistrzu.

Eragon mocniej chwycił tabliczkę. Dłonie lekko zwilgotniały mu na myśl, że Orík i Arya oceniają jego pracę. Chciał spisać się dobrze, dowieść, że Oromis jest świetnym nauczycielem. Mimo to nie potrafił się skupić na sosnowych szpilkach i żywicy; Arya przyciągała jego uwagę niczym magnes, i choć próbował myśleć o czymś innym, nieustannie powracał do niej. W końcu zrozumiał, że nie zdoła oprzeć się temu przyciąganiu. Ułożył w głowie jej portret - zajęło to tylko chwilę, bo znał rysy elfki lepiej niż własne - i wymówił zaklęcie w pradawnej mowie, przelewając w nie cały swój podziw, miłość i lęk przed nią.

Rezultat odebrał mu mowę.

Fairth przedstawiał głowę i ramiona Aryi na ciemnym, niewyraźnym tle. Z prawej strony padało na nią światło ognia. Elfka spoglądała z obrazu mądrymi oczami. Nie wyglądała tak jak w rzeczywistości, lecz tak, jak o niej myślał: tajemnicza, egzotyczna, najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek oglądał. Obraz był daleki od doskonałości, lecz pełen takiej pasji i namiętności, że poruszył w Eragonie nieznaną wcześniej strunę. Czy tak właśnie naprawdę ją widzę? Kimkolwiek była owa kobieta, jej mądrość władczość i uroda sprawiały, że mogła pochłonać i opętać słabszych od siebie mężczyzn.

Z daleka dobiegł go cichy szept Saphiry.

*Uważaj...*

- Co stworzyłeś, Eragonie? - spytał Oromis.

- Ja... nie wiem. - Eragon zawahał się, gdy nauczyciel wyciągnął rękę po fairdi; nie chciał, by inni oglądali jego dzieła, a zwłaszcza Arya.

Po długiej, przerażającej chwili odsunął w końcu palce od tabliczki i oddał ją Oromisowi. Twarz elfa oglądającego fairth przybrała surowy wyraz. Po chwili spojrział na Eragona, który zadrżał pod ciężarem jego wzroku. Oromis bez słowa wręczył tabliczkę Aryi.

Włosy przesłoniły jej twarz, gdy pochyliła się nad fairthem. Eragon jednak dostrzegł napięte ścięgna w jej dłoniach, ściskających wizerunek. Portret zadrżał w palcach elfki.

- I co to jest? - spytał Orík.

Arya podniosła gwałtownie fairth nad głowę i cisnęła go o ziemię, roztrzaskując obraz na tysiące kawałków. Potem wyprostowała się, z godnością przeszła obok Eragona, przecięła polanę i zniknęła w splątanym gąszczu Du Veldenvarden.

Orík podniósł jeden z odłamków tabliczki - był pusty. Gdy łupek pękł, obraz zniknął. Krasnolud pociągnął się za brodę.

- Przez dziesiątki lat, odkąd ją znam, Arya nigdy do tego stopnia nie straciła panowania nad sobą. Nigdy. Co ty zrobiłeś, Eragonie?

- Jej portret - odparł oszołomiony Eragon.

Orík zmarszczył brwi.

- Portret? Czemu więc...

- Myślę, że powinieneś już iść - wtrącił Oromis. - Ta lekcja dobiegła końca. Wróc jutro bądź pojutrze, wówczas lepiej poznasz postępy, jakie poczynił Eragon.

Krasnolud, mrużąc oczy, przyjrzał się Eragonowi, potem kiwnął głową i otrzepał z dłoni pył.

- Owszem, chyba tak zrobię. Dziękuję za poświęcony mi czas, Oromis-elda, doceniam to.

Ruszył w stronę Ellesmery, nagle jednak obejrzał się przez ramię i rzekł do Eragona:

- Gdybyś chciał porozmawiać, będę w sali wspólnej dworu Tialdari.

Kiedy Orík zniknął, Oromis uniósł rąbek tuniki, ukląkł i zaczął zbierać szczątki tabliczki - Eragon obserwował go, niezdolny się poruszyć.

- Czemu? - spytał w pradawnej mowie.

- Może - odparł Oromis - Arya przestraszyła się ciebie?

- Przestraszyła? Ona nigdy się nie boi. - Już wymawiając te słowa, Eragon wiedział, że to nieprawda.

Elfka po prostu umiała ukrywać swój strach lepiej niż większość znanych mu osób. Opadając na kolano, podniósł kawałek fairthu i wcisnął go Oromisowi w dłoń.

- Czemu miałaby się mnie bać? Proszę, powiedz.

Elf wstał. Przeszedł na brzeg strumienia i powrzucał odłamki łupku do wody. Szare płatki spływały mu cicho z palców.

- Fairthy ukazują tylko to, co chcemy. Można na nich skłamać, stworzyć fałszywy obraz, ale coś takiego wymaga większych umiejętności, niż na razie posiadasz. Arya wie o tym. Zatem wie również to, że twój fairth ściśle oddawał uczucia, jakie do niej żywisz.

- Ale czemu miałyby się tego bać?

Oromis uśmiechnął się ze smutkiem.

- Ponieważ ukazywał głębię twojego zauroczenia. - Zetknął dłonie, tworząc serię strzelistych łuków. - Przeanalizujmy tę sytuację. Choć wśród twego ludu osiągnąłeś wiek męski, w naszych oczach jesteś zaledwie dzieckiem. - Eragon zmarszczył brwi, słysząc echo słów Saphiry z poprzedniego wieczoru. - W zwykłych okolicznościach nie porównywałbym wieku człowieka do elfa, ponieważ jednak cieszysz się naszą długowiecznością, musisz być oceniany wedle naszych standardów. Do tego jesteś Jeźdźcem. Polegamy na tobie, wierzymy, że pomożesz nam pokonać Galbatorixa. Naruszenie biegu twój nauki mogłoby okazać się katastrofą dla wszystkich mieszkańców Alagaesii. - Jak zatem - ciągnął Oromis - Arya powinna zareagować na twój fairth? Wyraźnie dowodził, że widzisz ją w romantycznym świetle. Ale choć nie wątpię, że ona cię lubi, związek między wami jest niemożliwy z powodu twój młodości, kultury, rasy i obowiązków. Twoje zainteresowanie Aryą sprawiło, że znalazła się ona w niewdzięcznym położeniu. Nie śmie otwarcie stawić ci czoła, lękając się, że przeszkodzi ci w nauce. Ale jako córka królowej nie może cię ignorować i ryzykować, że obrazi Jeźdźca, zwłaszcza tego, od którego zależy tak wiele. Nawet gdybyś był dla niej odpowiednim partnerem, Arya nie zachęcałaby cię, pragnąc, byś skupił całą swą energię na czekającym cię zadaniu. Poświęciłaby własne szczęście dla większego dobra. - Głos Oromisa stał się głębszy. Musisz zrozumieć, Eragonie, że zabicie Galbatorixa jest ważniejsze niż czyjekolwiek szczęście. Nic liczy się nic innego. - Urwał, patrząc na niego łagodnie. - Biorąc pod uwagę to wszystko, czy nadal dziwisz się, że Arya poczuła lęk, że twoje uczucie dla niej zagrozi wszystkiemu, do czego zmierzamy?

Eragon pokręcił głową. Czuł głęboki wstyd, że jego zachowanie tak bardzo poruszyło, Aryę, a także rozpaczył na myśl o tym, jaki okazał się niedojrzały i nieostrożny.

*Mogłem uniknąć tego wszystkiego, gdybym tylko lepiej nad sobą panował* - pomyślał.

Oromis dotknął jego ramienia i poprowadził Eragona z powrotem do chaty.

- Nie myśl, że ci nie współczuję. Każdy na pewnym etapie życia doświadcza podobnych zauroczeń, to część dorastania. Wiem też, jak trudno ci odmówić sobie zwykłych życiowych wygód, jest to jednak konieczne, jeśli mamy zwyciężyć.

- Tak, mistrzu.

Usiedli przy kuchennym stole. Oromis sięgnął po materiały do pisania, niezbędne do ćwiczeń z Liduen Kvaedhf.

- Nierozsądnie z mojej strony byłoby oczekiwać, że zapomnisz o swej fascynacji Aryą. Spodziewam się jednak, że więcej nie przeszkodzi ci ona w nauce. Możesz mi to obiecać?

- Tak, mistrzu, obiecuję.

- A Arya? Co nakazuje ci uczynić honor po tym, co zaszło?

Eragon zawahał się.

- Nie chcę utracić jej przyjaźni.

- Tak...

- Zatem... pójdę do niej, przeproszę i zapewnię, że nigdy więcej nie postawię jej świadomie w tak trudnym położeniu. - Niełatwo przyszło mu to powiedzieć, gdy jednak już to uczynił, poczuł ulgę, jakby przyznanie się do błędu go oczyściło.

Oromis sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Już te słowa dowodzą, że dojrzałeś.

Eragon pogładził palcami śliskie kartki papieru, przycisnął je do blatu. Przez chwilę wpatrywał się w czystą, nieskalaną biel, po czym zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął kreślić kolumnę znaków. Każda linia była niczym smuga nocy na papierze, otchłań, w której mógł się zagubić, próbując zapomnieć o dręczących go uczuciach.

## Unicestwicz

Następnego ranka Eragon wyruszył na poszukiwania Aryi, chcąc ją przeprosić. Szukał ponad godzinę, bez powodzenia — zupełnie jakby zniknęła wśród zaułków Ellesmery. Raz jeden, przystając przy wejściu do dworu Tlaldari, dostrzegł ją kątem oka i zawołał. Nim jednak zdążył tam dobiec, zniknęła. W końcu zrozumiał, że go unika.

Mijały dni, podczas których Eragon chłonał nauki Oromisa z tak wielkimi zapałem, że starszy Jeździec wychwalał go nieustannie. Poświęcał im każdą wolną chwilę, nie chcąc myśleć o Aryi.

Dniami i nocami dokładał wszelkich sił, by opanować nowe umiejętności. Uczył się na pamięć słów tworzenia, związywania i przywoływania. Poznawał prawdziwe nazwy roślin i zwierząt, i studiował niebezpieczeństwa przemiany, to, jak wzywać wiatr i morze, i tysiące umiejętności niezbędnych do zrozumienia sił natury. Znakomicie radził sobie z zaklęciami manipulującymi wielką energią - światłem, ciepłem, magnetyzmem, miał, bowiem szczególny talent do doskonałego oceniania, ile siły wymaga określone zadanie i czy nie wyczerpie zasobów jego ciała.

Od czasu do czasu Orick przychodził i oglądał lekcje, stojąc bez słowa na skraju polany, podczas gdy Oromis uczył Eragona, bądź też sam Eragon zmagał się ze szczególnie trudnym zaklęciem.

Oromis stawiał mu liczne wyzwania. Kazał Eragonowi gotować magią potrawy po to, by nauczyć go lepszego panowania nad gramarye. Owocem pierwszej próby były zwęglone, niejadalne resztki strawy. Elf pokazał Eragonowi, jak wykrywać i neutralizować najróżniejsze trucizny. Od tego czasu Eragon musiał sprawdzać swe jedzenie, szukając najróżniejszych jądów, które mógł podrzucić mu nauczyciel. Nie raz głodował, nie potrafiąc rozpoznać trucizny bądź jej unieszkodliwić. Dwukrotnie zachorował tak ciężko, że Oromis musiał go uleczyć. Oromis kazał też Eragonowi rzucać jednocześnie różne zaklęcia, co wymagało niewiarygodnego skupienia i uwagi, w przeciwnym razie zaklęcia nie docierały do wyznaczonych celów i odbijały się od przedmiotów, na które chciał wpłynąć.

Elf poświęcał długie godziny sztuce nasycenia materii energią - po to, by uwolnić ją później albo też by nadać przedmiotowi pewne szczególne cechy.

- Tak właśnie Rhunón zaklęła miecze Jeźdźców, by nigdy się nie łamały i nie tępiły. Tak też śpiewamy roślinom, sprawiając, że wyrastają w to, czego pragniemy. Tak można zastawić w skrzynce pułapkę, która uaktywni się dopiero po otwarciu wieka; tak wraz z krasnoludami produkujemy erisdar, czyli nasze lampy, i tak możesz uleczyć ciężko rannego. A to tylko kilka zastosowań. To najpotężniejsze zaklęcia, mogą, bowiem trwać w uśpieniu przez tysiąc lat i więcej, trudno je też dostrzec bądź odwrócić. Wiele z nich dotknęło Alagaesię, kształtując ziemię i przeznaczenie tych, którzy na niej żyją.

- Za pomocą tej techniki można by też odmienić własne ciało, prawda? - spytał Eragon. - Czy to zbyt niebezpieczne?

Wargi Oromisa wygięły się w lekkim uśmiechu.

- Niestety, natrafiłeś właśnie na największą słabość elfów: naszą próżność. Kochamy piękno i wszystkie jego przejawy, i staramy się odzwierciedlić ów ideał w naszym wyglądzie. Dlatego właśnie nazywają nas pięknym ludem. Każdy elf wygląda dokładnie tak, jak chce. Gdy elfy poznają zaklęcia umożliwiające hodowanie i odmienianie żywych istot, często zmieniają swój wygląd, by lepiej odpowiadał osobowości. Kilku z nas posunęło się nawet dalej, poza zwykłe zmiany estetyczne i odmieniło własną anatomię, by móc lepiej żyć w wybranym środowisku. Przekonasz się o tym podczas Świąta Przysięgi Krwi. Często przypominają bardziej zwierzęta niż elfy. Jednakże przelewanie mocy w żywą istotę różni się od przelewania mocy w przedmiot nieożywiony. Niewiele materiałów nadaje się do przechowywania energii. Z większości albo uchodzi ona szybko, albo też stają się tak naładowane, że ich dotknięcie owocuje niszczycielską

błyskawicą. Odkryliśmy, że do tego celu najlepiej nadają się szlachetne kamienie. Kwarc, agaty i inne pospolite minerały sprawdzają się gorzej niż, powiedzmy, diament, lecz każdy klejnot wystarczy. Dlatego właśnie w rękojeściach Jeźdźców zawsze osadzano drogi kamień. Dlatego też twój krasnoludzki naszyjnik — zrobiony całkowicie z metalu - czerpie energię z twego ciała, sam bowiem nie może jej pomieścić.

Gdy Eragon zostawał sam, uzupełniał swą edukację, czytając kolejne zwoje elfa. Wkrótce weszło mu to w nawyk. Wcześniej jego wiedza - efekt wychowania przez Garrowa - ograniczała się tylko do uprawy ziemi. Teraz chłonał informacje zapisane na milach papieru, niczym wyschnięta pustynia deszcz, zaspokajając wcześniej nieznaną pragnienie. Dosłownie pożerał teksty dotyczące geografii, biologii, anatomii, filozofii i matematyki, a także wspomnienia, biografie i dzieła historyczne. Jeszcze ważniejsze od samych faktów okazało się poznanie innych sposobów myślenia. Rzuciły one wyzwanie jego przekonaniom i zmuszały Eragona do ponownego przemyślenia wszystkich osądów, począwszy od praw jednostki w społeczeństwie, a skończywszy na tym, co sprawia, że słońce porusza się po niebie.

Zauważył, że kilka zwojów traktuje o urgalach i ich kulturze. Eragon przeczytał je uważnie, nie wspomniał jednak o tym ani słowem, a Oromis nie poruszał tego tematu. Dzięki lekturom Eragon dowiedział się wiele o elfach. Z zapalem zagłębiał się w ów temat, licząc, że pomoże mu to w lepszym zrozumieniu Aryi. Ku swemu zdumieniu odkrył, że elfy nie praktykują małżeństwa. Pojmują tylko partnerów na czas, jaki im odpowiada - czasem dzień, czasem stulecie. Dzieci rzadko przychodzą na świat. Posiadanie dziecka stanowiło u elfów najwyższy dowód miłości.

Dowiedział się też, że od czasu pierwszego zetknięcia obu ras istniała tylko garstka par elfio-ludzkich. Najczęściej byli to Jeźdźcy-ludzie, którzy znaleźli sobie partnerki pośród starszego plemienia. Z tego jednak, co zdołał wywnioskować z owych mętnych relacji, większość podobnych związków zakończyła się tragicznie - albo dlatego, że kochankowie nie potrafili się porozumieć, albo dlatego że ludzie starzeli się i umierali, podczas gdy elfy unikały szkód wyrządzonych przez czas.

Oprócz czystych źródeł wiedzy Oromis wręczał Eragonowi zwoje z najwspanialszymi pieśniami, poematami i legendami elfów, które poruszały jego wyobraźnię. Wcześniej znał tylko historie recytowane przez Broma w Carvahall. Napawał się nimi niczym doskonałym posiłkiem, powoli smakując „Czyn Gedy” bądź „Pieśń o Umhodanie”, by jak najdłużej przeciągnąć radość, jaką czerpał z owych opowieści.

Szkolenie Saphiry także przebiegało bez przeszkód. Złączony z jej umysłem Eragon widział, jak Glaedr narzuca jej reżim ćwiczeń równie surowy jak jego własny. Ćwiczyła nieruchome zawisanie w powietrzu z głazami w szponach, a także błyskawiczne loty, nurkowanie i figury akrobatyczne. By zwiększyć jej wytrzymałość, Glaedr kazał smoczycy godzinami ziać ogniem na naturalną kamienną iglicę, tak by ją stopiła. Z początku Saphira utrzymywała płomień zaledwie kilka minut, wkrótce jednak oślepiający strumień ognia tryskał z jej paszczy przez ponad pół godziny bez przerwy rozgrzewając iglicę do białości. Eragon poznawał też smoczą wiedzę, którą Glaedr przekazywał Saphirze, szczegóły dotyczące życia i historii smoków uzupełniające jej instynktowną orientację. Znaczna część z nich była dla niego kompletnie niezrozumiała, podejrzewał też, że Saphira ukrywa jeszcze więcej tajemnic swej rasy, którymi smoki dzieliły się tylko z innymi smokami. Jedynym, co wychwycił i co Saphira ceniła ponad wszystko inne, były imiona jej ojca Iormiingra i matki Vervady. W dawnej mowie oznaczało to Burzodzięzcę. Podczas gdy Iormungr był związany z Jeźdźcem, Vervada żyła na swobodzie. Złożyła wiele jaj, lecz Jeźdźcom przekazała tylko jedno: Saphirę. Oba smoki zginęły w Upadku.

Czasami Eragon i Saphira lecieli wraz z Oromisem i Glaedrem, ćwicząc walkę powietrzną bądź odwiedzając ruiny ukryte w głębi Du Veldenvarden. Nieraz zamieniali się miejscami i Eragon towarzyszył Glaedrowi, podczas gdy Saphira pozostawała na skałach Tel'naei'r z Oromisem.

Każdego ranka Eragon fechtował się z Vanirem i walki te bez wyjątku doprowadzały do jednego bądź więcej ataków. Co gorsza, elf nadal traktował Eragona z wyniosłą pogardą, nieustannie rzucał uwagi, które, choć z pozoru nie wykraczały poza granice grzeczności, w istocie były niezwykle obraźliwe. Nie dawał się też rozżłościć, nieważne jak Eragon próbował. Eragon

nienawidził Vanira i jego chłodnego, uprzejmego zachowania. Zupełnie jakby elf obrażał go każdym swym ruchem, a jego towarzysze - którzy, z tego, co dostrzegali, wywodzili się z młodszego pokolenia elfów - podzielali tę ledwie skrywaną odrazę wobec Eragona, choć Saphirę zawsze traktowali z najwyższym szacunkiem.

Ich rywalizacja osiągnęła punkt krytyczny, gdy po szóstej z rzędu porażce Eragona Vanir opuścił miecz.

- Znów jesteś trupem, Cieniobójco, jakież to nudne. Chcesz kontynuować? - Ton jego głosu wskazywał, iż uważa, że to nie ma sensu.

- Tak - wystękał Eragon.

Przeżył już tego ranka jeden atak bólu i nie był w nastroju na słowne gierki.

Gdy jednak Vanir spytał:

- Powiedz mi, bo jestem ciekaw, jak udało ci się zabić Durzę, skoro poruszasz się tak wolno? Nie potrafisz zgadnąć jak tego dokonałeś.

Eragon poczuł się zmuszony odpowiedzieć:

- Zaskoczyłem go.

- Wybacz. Powinienem być zgadnąć, że zastosowałeś nieczysty podstęp.

Eragon zwalczył ochotę, by zazgrzytać zębami.

- Gdybym ja był elfem, a ty człowiekiem, nie zdołałbyś mi dorównać.

- Może. - Vanir przybrał pozycję wyjściową i po trzech sekundach i dwóch ciosach rozbroił Eragona. - Ale nie sądzę. Nie powinieneś przechwalać się przed lepszym szermierzem, ten bowiem mógłby zechcieć ukarać cię za twą zuchwałość.

W tym momencie Eragon nie wytrzymał. Sięgnął głęboko wewnątrz siebie do prądów magii, uwolnił zgromadzoną energię, wykrzykując jedno z dwunastu mniejszych słów związania, „malthinae”, zatrzymując w miejscu nogi i ręce Vanira i zamykając mu szczękę tak, by elf nie mógł odpowiedzieć kontrzaklęciem. Jego przeciwnik wybałuszył oczy, oburzony.

- A ty nie powinieneś przechwalać się przed kimś, kto lepiej od ciebie włada magią - rzucił Eragon.

Vanir ściągnął ciemne brwi.

Bez ostrzeżenia czy najmniejszego dźwięku niewidzialna siła uderzyła Eragona w pierś i odrzuciła dziesięć kroków dalej. Wylądował ciężko na trawie, ze świstem wypuszczając z płuc powietrze. Ów wstrząs naruszył jego kontrolę nad magią, uwalniając Vanira. Jak on to zrobił?

Elf zbliżył się do niego.

- I znów dowiodłeś swej ignorancji, człowieku. Nie wiesz nawet, o czym mówisz. I pomyśleć, że to ciebie wybrano na następcę Vraela, że dostałeś jego komnaty, masz zaszczyt służyć Mędrcom w Smutku Pograżonemu. - Pokręcił głową. - Brzydzi mnie myśl, że podobnymi darami obsypano kogoś tak niegodnego. Nie rozumiesz nawet, czym jest magia i jak działa.

Wściekłość Eragona wezbrała niczym szkarłatny przypyływ.

- Cóż takiego ci uczyniłem? - rzucił. - Czemu mnie tak nienawidzisz? Wolalbyś, żeby nie istniał żaden Jeździec, który mógłby stawić czoło Galbatorixowi?

- Moja opinia nie ma znaczenia.

- Zgadzam się, ale chciałbym jej wysłuchać.

- Słuchanie, jak napisała Nuara w swych *Zgromadzeniach*, to ścieżka wiodąca ku mądrości tylko wówczas, jeśli wynika ze świadomej decyzji a nie z braku zrozumienia.

- Nie płacz języka, Vanirze, i udziel mi szczerzej odpowiedzi. Vanir uśmiechnął się zimno.

- Jak sobie życzysz, Jeźdźcze. - Przysuwając się bliżej, tak by tylko Eragon usłyszał jego cichy głos, rzekł: - Przez osiemdziesiąt lat od upadku Jeźdźców nie żywiliśmy nadziei na zwycięstwo. Przetrwaliśmy, ukrywając się za pomocą podstępów i magii, wiedząc, że to tylko środek tymczasowy, bo w końcu Galbatorix stanie się dość silny, by nas zaatakować i przełamać naszą obronę. I nagle, na długo po tym, jak z rezygnacją pogodziliśmy się z tym losem, Brom i Jeod wykradli jajo Saphiry i znów pojawiła się szansa pokonania ohydneho uzurpatora. Wyobraź sobie naszą radość i zachwyty. Wiedzieliśmy, że aby stawić czoło Galbatorixowi, nowy Jeździec będzie musiał być potężniejszy od wszystkich swych poprzedników, potężniejszy nawet niż Vrael. I jak

nagrodzono naszą cierpliwość? Kolejnym człowiekiem takim jak Galbatorix, gorzej: kaleką. W chwili, gdy dotknąłeś jaja Saphiry, Eragonie, skazałeś nas wszystkich na zagładę. Nie oczekuj, że będziemy się radować z twojej obecności. - Vanir dotknął ust pierwszym i drugim palcem, po czym ominął Eragona i zszedł z pola ćwiczeń, pozostawiając go nieruchomego na ziemi.

*On ma rację, pomyślał Eragon, nie nadaję się do tego zadania. Każdy z tych elfów, nawet Vanir, byłby lepszym Jeźdźcem ode mnie.*

Saphira, kipiąc oburzeniem, gwałtownie wzmocniła ich kontakt.

*Masz mój osąd za tak niewiele, Eragonie? Zapominasz, że gdy siedziałam w jaju, Arya przedstawiała mnie tym elfom, a także wielu dzieciom Vardenów, a ja odrzuciłam je wszystkie. Nie wybrałabym na swojego Jeźdźcę kogoś, kto nie mógłby pomóc twojej rasie, mojej i elfom. Bo losy trzech naszych ludów splatają się w jedno. Byłeś właściwą osobą we właściwym miejscu i czasie, o tym nie zapominaj.*

*Jeśli nawet to prawda - rzekł - wszystko to działo się, nim Durzą mnie zranił. Teraz w naszej przyszłości widzę jedynie ciemność i zło. Nie poddam się, ale z rozpaczą stwierdzam, że nie zwyciężymy. Być może naszym zadaniem nie jest pokonanie Galbatorixa, lecz przygotowanie drogi następnemu Jeźdźcowi, wybranemu przez jedno z pozostałych jaj.*

Po przybyciu na skały Tel'naeir Eragon zastał Oromisa siedzącego przy stole w chacie. Elf malował czarnym tuszem krajobraz na dole zwoju, który skończył zapisywać.

Eragon pokłonił się i ukląkł.

- Mistrzu.

Minął kwadrans, nim Oromis skończył kreślić kępy szpilek na poskręcanych krzewie janowca. W końcu odsunął kałamarz, przepłukał wodą z glinianego dzbana sobolowy pędzelek i odwrócił się do Eragona.

- Czemu przychodzisz tak wcześnie?

- Wybacz, że ci przeszkodziłem, lecz Vanir przerwał w połowie naszą walkę i nie wiedziałem, co ze sobą począć.

- Czemu Vanir odszedł, Eragon-vodhr?

Elf splótł ręce na kolanach, słuchając, jak jego uczeń opisuje spotkanie.

- Nie powinienem był stracić panowania nad sobą - zakończył Eragon. - Ale tak zrobiłem i wyszedłem na jeszcze większego głupca. Zawiodłem cię, mistrzu.

- Owszem - przyznał Oromis. - Może i Vanir cię sprowokował, ale to nie powód, byś odpowiedział tym samym. Musisz lepiej panować nad swymi emocjami, Eragonie. Jeśli w bitwie pozwolisz, by temperament zakłócił twój osąd, możesz za to zapłacić życiem. Poza tym podobne dziecinne wybryki potwierdzają tylko opinię elfów, które są ci przeciwne. Nasze machinacje są bardzo subtelne i nie pozostawiają zbyt wiele miejsca na błędy.

- Przykro mi, mistrzu. To się nie powtórzy.

Ponieważ Oromis siedział spokojnie w swym fotelu, czekając na porę, o której zwykle rozpoczynali rimgar, Eragon wykorzystał nadarzącą się sposobność.

- Jak Vanir zdołał posłużyć się magią, nie mówiąc ani słowa?

- A zdołał? Może inny elf postanowił mu pomóc?

Eragon pokręcił głową.

- Pierwszego dnia po moim przybyciu do Ellesmery widziałem, jak Islanzadi przywołała deszcz kwiatów, klaszcząc w dłonie. A Vanir powiedział, że nie rozumiem, jak działa magia. Co miał na myśli?

- I znów - rzekł z rezygnacją Oromis - łakniesz wiedzy, na którą nie jesteś gotów. Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, nie mogę ci jej odmówić. Ale wiedz jedno: tego, o co pytasz, nie uczono Jeźdźców ani naszych magów, póki nie opanowali już wszelkich innych aspektów magii. Chodzi, bowiem o tajemnicę wyjaśniającą prawdziwą naturę magii i pradawnej mowy. Ci, którzy ją znają, zdobywają wielką moc, owszem, ale też ogromnie ryzykują. - Zamilkł na moment. - Jak pradawna mowa wiąże się z magią, Eragon-vodhr?

- Słowa z pradawnej mowy uwalniają energię zgromadzoną w ciele i aktywują zaklęcie.



- Ach tak. Chcesz więc powiedzieć, że pewne dźwięki, wibracje, w jakiś sposób docierają do owej energii? Dźwięki, które mogłaby przypadkiem wydać jakakolwiek żywa istota bądź rzecz?

- Tak, mistrzu.

- Czyż nie brzmi to absurdalnie?

- Nieważne czy brzmi to absurdalnie, mistrzu, tak po prostu jest - rzekł zbity z tropu Eragon.

- Czy mam myśleć, iż absurdalne jest, że księżyc rośnie i maleje na niebie, pory roku się zmieniają, a ptaki zimą odlatują na południe?

- Oczywiście, że nie. Jak jednak mógłby to sprawić zwykły dźwięk? Czy pewne szczególne wzory głosu i brzmienia naprawdę zapoczątkowują reakcje pozwalające nam manipulować energią?

- Ale przecież właśnie to robią.

- Dźwięk nie ma żadnej władzy nad magią. Nie liczy się wypowiedzenie słowa bądź frazy w tym języku, lecz ich pomyślenie. - Oromis machnął ręką i nad jego dłonią na moment załśnił złocisty płomień. - Wszelako, o ile nie pojawi się paląca potrzeba, nadal wypowiadamy na głos zaklęcia, by nie pozwolić zbłąkanym myślom wędrować. To niebezpieczeństwo grożące nawet najbardziej doświadczonym magom.

Znaczenie słów elfa wstrząsnęło Eragonem do głębi. Przypomniał sobie chwile, gdy omal nie utonął pod wodospadem w jeziorze Kósthamera. Nie mógł wówczas posłużyć się magią, bo jego usta wypełniała woda.

*Gdybym o tym wiedział, mógłbym się uratować.*

- Mistrzu - rzekł głośno - skoro dźwięki nie wpływają na magię, czemu czynią to myśli?

Oromis uśmiechnął się.

- Istotnie, czemu? Muszę ci przypomnieć, że my sami nie jesteśmy źródłem magii. Magia może istnieć samoistnie, niezależnie od zaklęć. Przykładem są choćby czarcie światła na moczarach Aroughs, studnia snów w jaskiniach Mani w Górach Beorskich i powietrzny kryształ z Eoam. Podobna dzika magia jest zdradziecka, nieprzewidywalna i często silniejsza niż jakiegokolwiek nasze zaklęcie. Wiele tysięcy lat temu cała magia wyglądała podobnie. Do jej użycia wystarczyła zdolność wyczuwania magii umysłem - którą i tak musi dysponować każdy mag - oraz pragnienie i siła jej wykorzystania. Pozbawieni narzędzia w postaci struktury pradawnej mowy magowie nie potrafili zawładnąć swymi uzdolnieniami i w rezultacie rzucali wiele niszczycielskich zaklęć, zabijając tysiące istot. Z czasem odkryli, że wypowiedzenie rozmiarów w ich mowie pomaga uporządkować myśli i uniknąć kosztownych błędów. Nie była to jednak niezawodna metoda. W końcu doszło do wypadku strasznego, że doprowadził on niemal do zniszczenia wszystkich żywych istot na całym świecie. Wiemy o nim z fragmentów rękopisów, które przetrwały z tamtych czasów, nie mamy jednak pojęcia kto bądź co rzuciło owo straszliwe zaklęcie. Rękopisy głoszą, że po wszystkim rasa zwana Szarym Ludem - nie elfy, my bowiem byliśmy wówczas bardzo młodzi - zebrała wszystkie swe siły, by rzucić czar, być może najpotężniejszy ze wszystkich czarów wszechczasów. Razem Szary Lud odmienił samą naturę magii. Od tej pory ich język, pradawna mowa, mógł kontrolować skutki zaklęcia, ograniczyć magię tak, że jeśli mówiąc „spal te drzwi”, przypadkiem zerkniesz na mnie i pomyślisz o mnie, magia wciąż spali drzwi, nie moją osobę. Obdarzyli też pradawną mowę dwiema wyjątkowymi cechami: tym, że nie pozwala przemawiającym w niej kłamać, oraz zdolnością opisywania prawdziwej natury rzeczy. Jak to uczynili, pozostaje tajemnicą. Rękopisy różnią się w opisach dalszych losów Szarego Ludu, gdy ukończył już swoją pracę. Najpewniej jednak czar pozbawił ich mocy, tak, że stali się jedynie cieniem własnych przodków. Potem odeszli, pozostając w swych miastach, aż kamień skruszał w piasek, bądź znajdując partnerów wśród młodszych ludów i odchodząc w ciemność.

- A zatem - spytał cicho Eragon - nadal można posługiwać się magią bez użycia pradawnej mowy?

- A jak sądzisz? Jak Saphira zionie ogniem? Z twej własnej relacji wynika, że nie powiedziała nawet słowa, zamieniając grobowiec Broma w diament czy błogosławiąc dziecię w Farthen Durze. Umysły smoków różnią się od naszych, nie potrzebują ochrony przed magią, nie potrafią stosować jej świadomie prócz przywoływania ognia, lecz gdy spływa na nie dar, nic nie dorówna smoczej sile. Wyglądasz na zaniepokojonego, Eragonie. Czemu?

Eragon spuścił wzrok.

- Co to oznacza dla mnie, mistrzu?

- Oznacza to, że nadal będziesz studiował pradawną mowę, bo dzięki niej możesz wiele osiągnąć, rzucając zaklęcia zbyt złożone bądź niebezpieczne dla swobodnych myśli. Oznacza to, że jeśli zostaniesz pojmany i zakneblowany, wciąż będziesz mógł użyć magii, by się uwolnić, jak to uczynił Vanir. Oznacza to, że jeśli zostaniesz schwytany i odurzony tak, że nie będziesz pamiętał pradawnej mowy, nawet wtedy będziesz mógł rzucić zaklęcie, choć tylko w razie prawdziwego niebezpieczeństwa. I oznacza to, że jeśli zechcesz rzucić zaklęcie, na które nie ma nazwy w pradawniej mowie, będziesz mógł to uczynić. Wystrzegaj się jednak pokusy skorzystania z tych mocy. Nawet najmędrsi z nas unikają tego, lękając się śmierci bądź czegoś jeszcze gorszego.

☆☆☆

Następnego i każdego kolejnego ranka do końca pobytu w Ellesmerze Eragon pojedynkował się z Vanirem, nigdy już jednak nie stracił cierpliwości, bez względu na słowa i czyny elfa.

Nie miał też ochoty poświęcać nadmiernej energii tej rywalizacji. Plecy dolegały mu coraz częściej, doprowadzając na skraj wytrzymałości Nieznośne ataki bólu sprawiły, że stał się wrażliwszy i coś, co wcześniej nie sprawiało mu żadnych trudności, obecnie powodowało, że padał w drgawkach na ziemię. Nawet rimgar w miarę przechodzenia do trudniejszych pozycji zaczął wywoływać ataki. Zdarzało się całkiem często, że ból powracał trzy, nawet cztery razy dziennie.

Eragon wychudł, chodząc szurał nogami, poruszał się powoli i ostrożnie, próbując zachować siły. Coraz trudniej przychodziło mu logiczne myślenie i uważne słuchanie lekcji Oromisa. W jego pamięci zaczęły pojawiać się niewyjaśnione luki. W wolnych chwilach powrócił do układanki Orika, wolał, bowiem rozmyślać o tajemnicy połączonych pierścieni niż o stanie własnego zdrowia. Saphira, gdy była przy nim, upierała się, by na nią wsiadał, i czyniła wszystko, co w jej mocy, by oszczędzić mu nawet najdrobniejszego wysiłku.

Pewnego ranka, ściskając w dłoniach jeden z jej szpikulców, Eragon rzekł:

*Mam nową nazwę dla bólu.*

*Jaką?*

*Unicestwiacz. Bo kiedy pojawia się ból, nie istnieje nic innego, żadne myśli czy uczucia, tylko pragnienie ucieczki. Gdy jest dość silny, Unicestwiacz pozbawia nas wszystkiego, co czyni z nas tych, kim jesteśmy, aż w końcu zamieniamy się w stworzenia niższe niż zwierzęta, istoty łaknące tylko jednego - wyzwolenia.*

*A zatem to dobra nazwa.*

*Z każdym dniem jest coraz gorzej, Saphiro. Czuję się jak stary koń, który zaorał zbyt wiele pól. Obejmuj mnie swym umysłem albo rozplnę się i zapomnę, kim jestem.*

*Nigdy cię nie wypuszczę.*

Wkrótce potem Eragon przeżył trzy ataki podczas walki z Vanirem i dwa kolejne w czasie rigmaru. Gdy powoli rozprostował się z ciasnego kłębka, w jaki zwinął się na ziemi, słysząc słowa Oromisa: „Jeszcze raz, Eragonie, musisz udoskonalić swą równowagę”, potrząsnął głową;

- Nie - warknął cicho, splatając na piersi ręce, by ukryć ich drżenie.

- Co takiego?

- Nie.

- Wstań, Eragonie, i spróbuj raz jeszcze.

- Nie! Sam to zrób, jeśli chcesz.

Oromis ukląkł obok niego i położył mu na policzku chłodną dłoń. Spojrzał na Eragona z taką czułością, że chłopiec po raz pierwszy zrozumiał całą głębię współczucia, jakie żywi wobec niego elf. Pojął też, że gdyby to było możliwe, Oromis chętnie przyjąłby na siebie jego ból i uwolnił od cierpienia.

- Nigdy nie porzucaj nadziei. - Z dłoni Oromisa przepłynął w głęb ciała Eragona strumyk siły. - Jesteśmy Jeźdźcami, stoimy między światłem i mrokiem, i utrzymujemy równowagę między

nimi. Ignorancja, strach, nienawiść to nasi wrogowie. Odrzucaj je całą mocą, Eragonie, inaczej z pewnością upadniemy. - Wstał i wyciągnął rękę do ucznia. - A teraz powstań, Cieniobójco, i dowiedz, że potrafisz pokonać odruchy swego ciała.

Eragon odetchnął głęboko i dźwignął się na jednej ręce, krzywiąc się z wysiłku. Wstał na nogi, odczekał chwilę, po czym się wyprostował i spojrział Oromisowi prosto w oczy.

Elf skinął z aprobatą głową.

Eragon nie odezwał się ani słowem. W milczeniu dokończyli razem rimgar i wykapali się w strumieniu. Dopiero wtedy powiedział cicho:

- Mistrzu?

- Tak, Eragonie?

- Dlaczego muszę znosić te tortury? Mógłbyś użyć magii, by wpoić mi wszystkie niezbędne umiejętności, ukształtować moje ciało, tak jak to robisz z drzewami i roślinami.

- Mógłbym. Ale gdybym to zrobił, nie rozumiałbyś, jak zdobyłeś swe nowe ciało, nie pojmowałbyś nowych umiejętności, nie umiał ich zachować. Nie istnieje droga na skróty, Eragonie.

Zimna woda zalała całe jego ciało, gdy zanurzył się w strumieniu. Zanurkował, przytrzymując się kamienia, by nie wypłynąć na powierzchnię, i leżał wyciągnięty na dnie, czując się jak lecąca przez wodę strzała.

## Narda

Roran przyklęknął na jednym kolanie i podrapał się po swej nowej brodzie, spoglądając w dół, ku Nardzie.

Niewielkie miasto było ciemne i dziwnie ściśnięte, niczym skórka żytniego chleba wepchnięta siłą w skalną szczelinę wybrzeża. Za nim czerwone jak wino morze migotało w ostatnich promieniach umierającego słońca. Woda go fascynowała; całkowicie różniła się od widoków, do których przywykł.

Udało się.

Roran zszedł z przylądka i wrócił do zaimprovizowanego namiotu, oddychając z radością słonym powietrzem. Rozbili obóz na pogórzu Kośca, by uniknąć wykrycia przez kogokolwiek, kto mógłby zawiadomić o nich imperium.

Wędrując pośród grupek wieśniaków przycupniętych pod drzewami, ze smutkiem i gniewem ocenił ich stan. Wędrówka z doliny Palancar odcisnęła na wszystkich swoje piętno. Ludzi dręczyły choroby, obrażenia i wyczerpanie, twarze mieli wychudzone z braku żywności, ubrania podarte. Niemal wszyscy okręcili szmatami dłonie, chroniąc się przed odmrożeniami podczas zimnych górskich nocy. Tygodnie dźwigania ciężkich worków przygarbiły nawet najdumniejsze ramiona. Najgorzej wyglądały dzieci - były chude i nienaturalnie ciche.

Zasługują na coś lepszego, pomyślał Roran. Gdyby mnie nie obronili, tkwiłbym teraz w szponach Ra'zaców.

Wiele osób podchodziło do niego. Większość chciała jedynie dotknąć jego ramienia, usłyszeć słowo pociechy. Niektórzy podsuwali mu kęsy strawy, których przyjęcia odmawiał, a gdy nalegali, brał i oddawał komuś innemu. - Ci, którzy zachowywali dystans, obserwowali go okrągłymi, jasnymi oczami. Wiedział, co o nim mówią - że jest obłąkany, że opętał go duch i nawet Ra'zacowie nie potrafią pokonać go w bitwie.

Przeprawa przez Kościec okazała się jeszcze trudniejsza, niż oczekiwał. „Jedynie ścieżki w lesie wydeptała zwierzyna, były one jednak zbyt wąskie, strome i kręte dla ich grupy. W efekcie wieśniacy musieli wyrąbywać sobie drogę wśród drzew i krzaków. Była to ciężka robota, której nie znosili, także, dlatego, że ułatwiała imperium tropienie ich śladów. Miała tylko jedną dobrą stronę - ciągle wysiłek przywrócił Roranowi władzę w zranionej ręce, choć wciąż miał problemy z unoszeniem jej pod pewnymi kątami.

Nie obyło się też bez ofiar. Nagła burza uwięziła ich na nieosłoniętej przełęczy wysoko nad granicą lasu. Troje ludzi zamarzło w śniegu: Hida, Brenna i Nesbid, cała trójka mocno wiekowa. Tej nocy Roran po raz pierwszy pomyślał, że wszyscy mieszkańcy wioski zginą, bo zgodzili się pójść za nim. Wkrótce potem jeden z chłopców upadł i złamał rękę, a potem Southwell utonął w spływającym z lodowca strumieniu. Wilki i niedźwiedzie regularnie atakowały ich zwierzęta, nie przejmując się ogniskami rozpalanymi, co noc przez wieśniaków, gdy tylko dolina Palancar i znienawidzeni żołnierze Galbatorixa zniknęli w dali. Głód nie opuszczał ich niczym natrętny pasożyt, szarpiąc wnętrzności, odbierając siły i osłabiając wolę przetrwania.

A jednak przeżyli, czepiając się życia z tym samym uporem i hartem ducha, który kazał ich przodkom pozostać w dolinie Palancar, mimo nieurodzaju, wojny i plagi. Ludzie z Carvahall potrzebowali nieznośnie długiego czasu, by podjąć decyzję. Gdy jednak już ją podjęli, nic nie mogło ich zmusić do zboczenia z raz obranej ścieżki.

Teraz, kiedy dotarli do Nardy, w obozie zapanowała atmosfera nadziei i radości. Nikt nie wiedział co jeszcze ich czeka, lecz fakt, że dotarli tak daleko, dodał wszystkim ducha,

Nie będziemy bezpieczni, póki nie opuścimy imperium, pomyślał Roran. A ja sam muszę dopilnować, by nas nie schwytano. Stałem się odpowiedzialny za wszystkich... Chętnie przyjął tę odpowiedzialność, bo pozwalała mu zarówno chronić wieśniaków przed Galbatorixem, jak i nadal dążyć do celu - ocalenia Katriny. Tyle czasu minęło, odkąd ją schwytali. Czy w ogóle żyje? Zadrzał

i odrzucił tę myśl. Gdyby pozwolił sobie na rozważanie losu Katriny, z pewnością ogarnąłby go prawdziwy obłęd.

☆☆☆

O świcie Roran, Horst, Baldor, Gertrude i trzej synowie Loringa ruszyli do Nardy. Zeszli ze wzgórz na główny miejski gościniec, ukrywając się starannie, póki nie dotarli na dół. Tu, na nizinach, powietrze wydało się Roranowi dziwnie gęste, zupełnie jakby próbował oddychać pod wodą.

Kiedy zbliżyli się do bramy Nardy, zacisnął palce na tkwiącym za pasem młocie. Bramy strzegło dwóch żołnierzy. Obrzucili grupkę Rorana twardymi spojrzeniami, lustrując uważnie postrzępione łachmany wieśniaków, po czym opuścili swe berdysze, zagradzając im drogę.

- Skąd jesteście? - spytał wartownik po prawej. Miał najwyżej dwadzieścia pięć lat, lecz jego twarz okalały całkiem białe włosy.

Horst wypiął pierś i splótł na niej rękę.

- Z okolic Teirmu - oznajmił - jeśli łaska.

- Co was tu sprowadza?

- Handel. Przysłali nas kramarze, którzy chcą kupić towary bezpośrednio z Nardy zamiast od zwykłych pośredników.

- Czyżby? Jakie towary?

Gdy Horst zająknął się, naprzód wystąpiła Gertrude.

- Jeśli o mnie chodzi, zioła i leki. Rośliny, które stąd dostawałam, były albo zbyt stare, albo spleśniałe i zepsute. Muszę uzupełnić zapasy.

- A moi bracia i ja - dodał Darmmen - przybywamy, by pohandlować z waszymi szewcami. Buty uszyte w stylu północnym są modne w Dras Leonie i Uru'baenie. - Skrzywił się. - A przynajmniej były, gdy wyruszyliśmy w drogę.

Horst przytaknął z nową pewnością siebie.

- Właśnie. A ja mam odebrać dostawę towarów żelaznych dla mego pana.

- Tak przynajmniej mówisz. A co z nim? Co on robi? - Jeden z żołnierzy wskazał toporem Rorana.

- Zajmuję się garncarstwem - odparł Roran.

- Garncarstwem?

- Garncarstwem.

- Po co ci zatem młot?

- A jak myślisz, jak rozbija się szkliwo powlekające butelki czy garnce? Nie pęka samo z siebie, trzeba je uderzyć.

Widząc pełen niedowierzania wzrok białowłosego mężczyzny, Roran odpowiedział spokojnym spojrzeniem. Żołnierz odchrząknął i przyjrzał mu się uważnie.

- Dla mnie nie wyglądacie na kupców, prędzej na zagłodzone bezańskie koty.

- Mieliśmy pewne trudności po drodze - wyjaśniła Gertrude.

- W to akurat wierzę. Skoro przybywacie z Teirmu, gdzie są wasze konie?

- Zostawiliśmy je w obozie - wyjaśnił Hamund, wskazał na północ, w kierunku przeciwnym do miejsca ukrycia reszty wieśniaków.

- Brak wam grosza, by zatrzymać się w mieście? - Żołnierz zaśmiał się pogardliwie, po czym uniósł berdysz, gestem nakazując swemu koledze, by uczynił podobnie. - W porządku, możecie przejść, ale żeby nie było z wami żadnych kłopotów. Inaczej traficie w dyby albo jeszcze gorzej.

Po przejściu przez bramę Horst odciągnął na bok Rorana.

- To było głupie — warknął mu do ucha. - Nie musiałeś wymyślać czegoś równie bezsensownego. Rozbicie szkliwa, też pomysł! Chcesz, żeby doszło do walki? Nie możemy... - Urwał, gdy Gertrudę pociągnęła go za rękaw.

- Spójrz - mruknęła uzdrowicielka.

Po lewej stronie wejścia stała szeroka na sześć stóp tablica, zwieńczona wąskim daszkiem osłaniającym przypięte do niej połówki pergaminy. Połowę tablicy obwieszono oficjalnymi proklamacjami i zawiadomieniami. Na drugiej połowie rozpięto listy gończe z portretami ściganych przestępców. W samym środku wisiała podobizna Rorana bez brody.

Wstrząśnięty Roran rozejrzył się szybko, sprawdzając, czy nikt z przechodniów nie znalazł się dość blisko, by porównać jego twarz z rysunkiem. Przyjrzał mu się uważnie. Oczekiwał, że imperium będzie ich ścigać, lecz jednak, widząc dowód na to, przeżył wstrząs.

Galbatorix poświęca mnóstwo środków, by nas schwytać.

Gdy przebywali w Koścu, łatwo było zapomnieć, że istnieje świat poza górami. Założę się, że podobne listy gończe wiszą w całym imperium. Uśmiechnął się szeroko na tę myśl, rad z faktu, że przestał się golić i że wraz z pozostałymi uzgodnili, iż w Nardzie będą się posługiwać fałszywymi imionami. Na dole listu dopisano kwotę wyznaczonej nagrody. Garrow nigdy nie nauczył Rorana i Eragona czytać, pokazał im jednak cyfry, twierdząc:

„Musicie wiedzieć, ile posiadacie, ile co jest warte i ile wam płacą, by nie dać się nabrać dwulicowemu kłamcy”. Dzięki temu Roran odkrył, że imperium daje za niego dziesięć tysięcy koron, dość by przeżyć w spokoju kilkadziesiąt lat. W pewien perwersyjny sposób wysokość nagrody uradowała go; nagle poczuł się ważniejszy.

A potem jego wzrok powędrował do sąsiedniego listu gończego. Widniała na nim twarz Eragona.

Żołądek Rorana ścisnął się gwałtownie, jakby ktoś wymierzył mu cios prosto w brzuch. Przez kilka sekund zapomniał o oddychaniu.

On żyje!

Gdy pierwsza ulga ustąpiła, Roran poczuł dawny gniew z powodu roli jaką odegrał Eragon w śmierci Garrowa i zniszczeniu farmy. Towarzyszyło mu palące pragnienie sprawdzenia, czemu imperium ściga kuzyna. To musi mieć coś wspólnego z owym błękitnym kamieniem i pierwszą wizytą Ra'zaców w Carvahall. Znów zaczął się zastanawiać, w jak diabelskie machinacje zaplątał się niechcący z całą wioską.

Zamiast nagrody, na liście Eragona widniały dwa rzędy runów.

- O jakie zbrodnie go oskarżają? - spytał Gertrude Roran.

Skóra wokół oczu uzdrowicielki zmarszczyła się, gdy kobieta przyjrzała się tablicy.

- Zdradę, tak samo jak ciebie. Piszą tu, że Galbatorix da hrabstwo temu, kto schwyta Eragona, lecz ci, którzy podejmą taką próbę, powinni działać ostrożnie, bo jest on niezwykle niebezpieczny.

Roran zamrugał ze zdumienia.

- Eragon? - Nie potrafił tego pojąć, póki nie przypomniał sobie, jak on sam zmienił się przez ostatnie kilka tygodni. W naszych żyłach płynie ta sama krew. Kto wie, może od swej ucieczki Eragon osiągnął tyle samo, albo i więcej niż ja.

- Skoro zabicie ludzi Galbatorixa i sprzeciwienie się Ra'zacom jest warte tylko dziesięć tysięcy koron - rzekł cicho Baldor - choć niewątpliwie to duża suma, za co chcą dać całe hrabstwo?

- Za nastąpienie na odcisk samemu królowi - podsunął Larne.

- Wystarczy - uciał Horst. - Baldorze, trzymaj język za zębami, albo wszyscy trafimy za kraty. A ty, Roranie nie zwracaj na siebie uwagi, Przy takiej nagrodzie ludzie z pewnością będą obserwować przybyszów, szukając kogoś, kto pasuje do opisu. - Kowal przecesał włosy dłonią i mocniej zaciągnął pas.

- W porządku. Mamy swoje zadania. Spotkamy się tu w południe i każdy opowie co działo.

Po tych słowach grupka rozdzieliła się na trzy części. Darmmen, Larne i Hamund wyruszyli razem, by zakupić jedzenie dla wieśniaków, zarówno na potrzeby bieżące, jak i zapasy na następny etap podróży. Gertrude, zgodnie z tym, co powiedziała strażnikom, poszła po zioła, mikstury i maści. A R, Horst i Baldor powędrowali ulicami opadającymi w stronę portu gdzie mieli nadzieję wynająć statek, który przewiozłby wieśniaków do Surdy czy też przynajmniej do Teirmu.

Gdy ich kroki zadźwięczały głucho na pobielających od deszczu i słońca deskach, którymi pokryto plażę, Roran zatrzymał się, spoglądając w ocean, szary pod nisko wiszącymi chmurami i pokryty pasemkami piany. Nigdy nie wyobrażał sobie, że horyzont może być tak idealnie płaski. Głuchy szum wody uderzającej o słupy pod jego stopami sprawiał, że Roran miał wrażenie, iż stoi na powierzchni olbrzymiego bębna. W powietrzu unosił się smród ryb, świeżych, wypatroszonych i gnijących, zagłuszając wszystkie inne zapachy.

Horst popatrzył na Rorana i równie zafascynowanego Baldora.

- Niezły widok, prawda?

- O tak — przyznał Roran.

- Czujesz się przy nim bardzo mały.

- Owszem — rzekł Baldor.

Horst przytaknął.

- Pamiętam, że gdy pierwszy raz ujrzałem ocean, wywarł na mnie podobne wrażenie.

- Kiedy to było? - spytał Roran.

Prócz stad mew krążących nad zatoczką dostrzegł siedzącego na brzegu niezwyklego ptaka. Ptak ów miał niezgrabne ciało zakończone pasiastym dziobem, który przyciskał do piersi niczym nadęty starzec, białą głowę i szyję, i czarny jak sadza tułów. Nagle uniósł dziób, ukazując zwisający pod nim skórzasty worek.

- Bartram, kowal, który pracował w wiosce przede mną - wyjaśnił Horst - zmarł, gdy miałem piętnaście lat, rok przed zakończeniem mojego terminu. Musiałem znaleźć kowala, który zechce dokończyć czyjąś pracę, wyruszyłem zatem do Ceunon nad Morzem Północnym. Tam spotkałem Keltona, paskudnego starca, ale świetnego rzemieślnika. Zgodził się mnie przyjąć. - Horst roześmiał się. - Kiedy skończyliśmy, nie wiedziałem czy mam mu dziękować, czy go przeklinać.

- Myślę, że jednak dziękować - wtrącił Baldor. - W przeciwnym razie nigdy nie poślubiłbyś matki.

Roran skrzywił się, wodząc wzrokiem po przystani.

- Niewiele tu statków - zauważył.

Dwa z nich cumowały na południowym krańcu portu, trzeci po drugiej stronie. Pomędzy nimi kołysały się tylko łodzie i łódki rybackie. Z tych stojących na południu jeden miał złamany maszt. Roran, choć brakowało mu doświadczenia ze statkami, ocenił, że nie ma na nich dość miejsca, by pomieścić niemal trzystu pasażerów.

Przechodząc od jednego statku do następnego, Roran, Horst i Baldor odkryli wkrótce, że żaden z nich nie jest wolny. Naprawa tego ze złamanym masztem miała potrwać ponad miesiąc. Statek obok, *Biegący po falach*, wyposażony w skórzane żagle, miał właśnie popłynąć na północ ku zdradzieckim wyspom, na których rosła roślina seithr. A ostatni, *Albatros*, przybył dopiero co z odległego Feinsteru i przed odbiciem od brzegu z ładunkiem drewna miał zostać dokładne uszczelniony.

Jeden z robotników portowych zaśmiał się, słysząc pytania Horsta.

- Przybywacie jednocześnie za późno i za wcześnie. Większość wiosennych statków odpłynęła dwa, trzy tygodnie temu. Za miesiąc zaczną pojawiać się ci z północy i zachodu, potem wrócą łowcy fok i morsów, a statki z Teirmu i reszty imperium przybędą po skóry, mięso i olej. Wówczas może zdołacie wynająć kapitana dysponującego pustą ładownią. Tymczasem nie ma tu zbyt wielkiego ruchu.

- Czy istnieje inny sposób dostarczenia towarów stąd do Teirmu? - spytał z desperacją Roran. - Nie musi być szybki ani wygodny.

- No cóż. - Robotnik dźwignął na ramię skrzynkę. - Jeśli nie musi być szybki i wybieracie się tylko do Teirmu, możecie spróbować pogadać z Clovisem. - Wskazał ręką szereg szop unoszących się między dwoma pomostami. Szopy te mieściły wewnątrz łodzie. - Należy do niego kilka barek, jesienią przewozi nimi ziarno. Przez resztę roku Clovis utrzymuje się z połowu ryb, jak większość mieszkańców Nardy. - Zmarszczył brwi. - Jakie macie towary? Pora strzyżenia owiec już minęła, a wciąż jest za wcześnie na zbiory.

- To i owo. - Horst rzucił mężczyźnie miedziaka. Robotnik schował go, mrugając porozumiewawczo.

- Tak, jasne, to i owo. Umiem rozpoznać unik, bez dwóch zdań. Ale nie musicie się bać starego Ulrica, nie lubię gadać po próżnicy. Do zobaczenia, panowie. - Odszedł pogwizdując.

Jak się okazało, Clovisa nie było w porcie. Wysłuchawszy wskazówek, ruszyli do jego domu po drugiej stronie Nardy i dotarli tam po półgodzinie. Clovis sadził właśnie cebulki irysów wzdłuż ścieżki wiodącej do frontowych drzwi. Był przysadzistym mężczyzną o ogorzałych policzkach i szpakowatej brodzie.

Przez kolejną godzinę przekonywali marynarza, że naprawdę, mimo niesprzyjającej pory roku interesują ich jego barki. W końcu wrócili do portu i Clovis otworzył szopy, demonstrując trzy identyczne barki: *Dzwonek*, *Edeline* i *Rudego Dzika*.

Każda z barek liczyła sobie siedemdziesiąt pięć stóp długości, dwadzieścia stóp szerokości i została pomalowana rdzawoczerwoną farbą. Miały otwarte ładownie, które można było przykryć brezentem, podnoszone pośrodku maszty unoszące kwadratowe żagle i rzędy kabin z tyłu pokładu - czy też na rufie, jak ją nazywał właściciel.

- Zanurzenie mają większe niż barki rzeczne - wyjaśniał. - Nie musicie się zatem obawiać, że przy brzydkiej pogodzie się wywróca, choć lepiej unikać prawdziwych sztormów. Nie są przeznaczone do żeglugi po otwartym morzu, powinny trzymać się przy brzegu, a teraz mamy akurat najgorszą porę do wypłynięcia. Na mój honor, przez następny miesiąc co dzień można spodziewać się sztormu.

- Masz załogi dla wszystkich trzech? - spytał Roran.

- No... to pewien problem. Większość ludzi, których zatrudniam, wypłynęła kilka tygodni temu polować na fokę, bo tym właśnie się zajmują. Potrzebuję ich tylko po żniwach, więc przez resztę roku mogą robić co chcą. Z pewnością zani panowie rozumieją, na czym stoję. - Clovis próbował się uśmiechnąć, wodząc wzrokiem pomiędzy Roranem, Horstem i Baldorem, niepewny do kogo się zwracać.

Roran przeszedł wzdłuż *Edeline*, oglądając ją uważnie. Barka wyglądała staro, lecz drewno wciąż było solidne, a farbę świeżo położono.

- Jeśli uzupełnimy braki w załogach, ile kosztowałyby przeprawa do Teirnu wszystkimi trzema barkami?

- To zależy - odparł Clovis. - Żeglarze zarabiają piętnaście miedziaków dziennie plus tyle dobrej stawy, ile zjedzą, i kieliszek whisky. Zarobki waszych ludzi to już wasza sprawa, nie będę im płacił. Zwykle zatrudniamy także strażników, ale teraz wszyscy...

- Wypłynęli na polowanie - dokończył Roran. - Strażników także zapewnimy sami.

Grdyka Clovisa poruszyła się, gdy przełknął ślinę.

- To nader rozsądne, o tak. Prócz zarobków załogi żądam dwustu koron raz rekompensaty za wszelkie uszkodzenia barek spowodowane przez waszych ludzi, a także, jako właściciel i kapitan, dwunastu procent ogólnej sumy zysków ze sprzedaży ładunku.

- Nasza podróż nie przyniesie zysków.

Te słowa bardziej niż cokolwiek innego zaniepokoiły Clovisa. Potarł dołek w podbródku lewym kciukiem, dwa razy zaczął coś mówić i urywał.

- W takim razie po dotarciu na miejsce jeszcze czterysta koron - rzekł. - Ośmielę się zapytać, co właściwie zamierzacie przewozić?

Boi się nas, pomyślał Roran.

- Trzodę. - Owce, krowy, konie, kozy, woły... - Nasza trzoda składa się z różnych zwierząt.

- A czemu chcecie przewieźć ją do Teirnu?

- Mamy swoje powody. - Roran niemal się uśmiechnął, widząc dezorientację Clovisa. - Czy zechciałbyś zapuścić się dalej poza Teirm?

- Nie! Teirm to moja granica, nie znam wód poza nim, nie chciałbym też rozstawać się na dłużej z żoną i córką.

- Jak szybko zdążysz się przygotować?

Clovis zawahał się, postąpił dwa kroki naprzód.



- Za pięć, sześć dni. Nie, powiedzmy pełny tydzień. Mam kilka spraw, które muszę załatwić przed wyjazdem.

- Zapłacimy dodatkowe dziesięć koron, jeśli zechcesz odpłynąć pojutrze.

- Ja nie...

- Dwanaście koron.

- A zatem pojutrze - obiecał Clovis. - Tak czy inaczej, będę gotów.

Przesuwając dłonią po burcie barki, Roran kiwnął głową, nie oglądając się na właściciela.

- Czy mogę przez chwilę naradzić się z moimi towarzyszami?

- Jak sobie życzysz, panie; ja tymczasem przejdę się po porcie. - Clovis pośpieszył do drzwi.

Wychodząc z szopy, spytał nagle: - Przepraszam, ale jak masz na imię? Wcześniej chyba nie dosłyszałem, poza tym często zawodzi mnie pamięć.

- Młotoreki. Nazywają mnie Młotoreki.

- A tak, oczywiście. Dobre imię.

Gdy zamknęły się drzwi, Horst i Baldor podeszli do Rorana.

- Nie stać nas na wynajęcie go - oznajmił Baldor.

- Nie stać nas na niewynajęcie - odparł Roran. - Nie mamy dość złota, by kupić barki, nie chciałbym też uczyć się na nich żeglować, gdyby miałyby od tego zależeć życie wszystkich. Szybciej i bezpieczniej jest zapłacić załodze.

- Nadal jest za drogi - przypomniał Horst.

Roran zabębnił palcami o okrężnicę.

- Możemy zapłacić zaliczkę wynoszącą dwieście koron. Gdy dotrzemy do Teirmu, proponuję, żebyśmy albo ukradli barki, wykorzystując umiejętności, jakich nabędziemy podczas podróży, albo też unieszkodliwili Clovisa i jego ludzi i uciekli w inny sposób. Dzięki temu nie będziemy musieli zapłacić dodatkowych czterystu koron i pensji marynarzy.

- Nie podoba mi się oszukiwanie uczciwie pracujących ludzi - mruknął Horst. - To wbrew mojej naturze.

- Mnie też to nie zachwyca, ale widzisz inne wyjście?

- Jak chcesz wsadzić wszystkich na barki?

- Spotkają się z Clovisem stając za miastem, na wybrzeżu, poza zasięgiem wzroku mieszkańców Nardy.

Horst westchnął.

- No dobrze, tak zrobimy, ale czuję niesmak. Zawołaj Clovisa, Baldorze, i dobijmy targu.

☆☆☆

Tego wieczoru wieśniacy zebrali się wokół niewielkiego, wkopanego w ziemię ogniska, by wysłuchać relacji o tym co zaszło w Nardzie. Klęczący na ziemi Roran wpatrywał się w pulsujący żar, słuchając, jak Gertrudę i trzech bracia opisują kolejno swe przygody. Wieści o listach gończych za Roranem i Eragonem wywołały wśród słuchaczy falę niespokojnych szmerów.

Gdy Darmmen skończył, jego miejsce zajął Horst. Krótkimi, prostymi zdaniem opisał brak odpowiednich statków w Nardzie, to jak robotnik portowy polecił im Clovisa i zawarty układ. Jednakże gdy tylko wspomniał o barkach, okrzyki oburzenia wieśniaków zagłuszyły go całkowicie.

Loring wymaszerował na czoło grupy i uniósł ręce, by zwrócić na siebie uwagę.

- Barki? - rzucił ostro. - Niepotrzebne nam żadne śmierdzące barki! - Splunął na ziemię.

Ludzie zaczęli pokrzykiwać z aprobatą.

- Zamilczcie wszyscy - uciszył ich Delwin. - Jeśli będziecie się tak drzeć, w końcu ktoś nas usłyszy. - Kiedy trzeszczące ognisko stało się najsilniejszym źródłem dźwięku, dodał: - Zgadzam się z Loringiem, barki są nie do przyjęcia, zbyt powolne i odsłonięte. Tkwiłobyśmy na nich nie wiadomo jak długo, stłoczeni, całkowicie pozbawieni prywatności i jakiegokolwiek osłony. Horst, Elain jest w szóstym miesiącu ciąży. Nie możesz oczekiwać, że wraz z pozostałymi chorymi będzie siedzieć tygodniami pod palącym słońcem.

- Możemy rozciągnąć brezent nad ładowniami - odparł Horst. - To niewiele, ale osłoni nas przed słońcem i deszczem.

Ponad szmery tłumu wzbił się głos Birgit:

- Martwi mnie coś innego. - Ludzie odsunęli się, gdy podeszła do ognia. - Po zapłacie dwustu koron obiecanych Clovisowi i wydaniu pieniędzy przez Darmmena i jego braci zużyliśmy większość naszych zapasów monety. W odróżnieniu od mieszkańców miast nasze bogactwo nie kryje się w złocie lecz w zwierzętach i majątkach. Straciliśmy majątki i zostało nam niewiele zwierząt. Nawet jeśli staniemy się piratami i ukradniemy te barki, to jak mamy kupić zapasy w Teirmie czy przeprawę dalej na północ?

- W tej chwili - zagrzmiał Horst - najważniejsze jest dostanie się do Teirmu. Gdy już tam będziemy, pomyślimy co dalej. Być może będziemy musieli uciec się do bardziej drastycznych środków.

Koścista twarz Loringa zmarszczyła się gwałtownie.

- Drastycznych? Co to znaczy drastycznych? Robiliśmy już drastyczne rzeczy. Cała ta wyprawa jest drastyczna. Nie obchodzi mnie to co mówisz, nie wsiądę na te przeklęte barki. Nie po tym, przez co przeszliśmy w Koścu. Barki nadają się na ziarno i dla zwierząt. My potrzebujemy statku z prawdziwymi kabinami i kojami, na których będziemy mogli spać wygodnie. Czemu nie zaczekać tydzień czy dwa? Może pojawi się statek i wykupimy przeprawę? Co w tym złego? Albo może... - Gadał tak przez piętnaście minut, piętrząc przed nimi coraz to nowe trudności.

Potem oddał głos Thane'owi i Ridleyowi, którzy rozwinęli jego argumenty.

Dyskusja dobiegła końca, gdy Roran wyprostował nogi i dźwignął się na całą swą wysokość. Wieśniacy natychmiast się uciszyli. Czekali, wstrzymując oddech, w nadziei na kolejne porywające przemówienie.

- Albo to, albo idziemy pieszo - rzekł jedynie.

A potem położył się spać.

## Młot opada

Księżyc szybował wysoko pośród chmur, gdy Roran opuścił zaimprovizowany namiot, który dzielił z Baldorem, podszedł cicho na skraj obozowiska i zastąpił pełniącego wartę Albriecha.

- Nic się nie działo - wyszeptał tamten, po czym odszedł.

Roran nałożył cięciwę na łuk i wbił w gliniastą ziemię przed sobą trzy strzały zakończone gęsiami piórami. Potem owinał się ciasno kocem i skulił pod skałą po lewej. Ta pozycja pozwalała mu spokojnie obserwować, co dzieje się w dole i na zboczach pograżonych w mroku wzgórz.

Jak to miał w zwyczaju, Roran w myślach podzielił okolicę na kwadraty. Przyglądał się kolejno każdemu przez minutę, wypatrując jakiegokolwiek poruszenia bądź błysku światła mogącego zdradzić zbliżających się wrogów. Jego myśli wkrótce zaczęły wędrować bez celu, przeskakując z tematu na temat z mglistą logiką snu, rozpraszając uwagę. Przygryzł wewnętrzną stronę policzka, by się skupić. Zachowanie czujności w takim cieple było bardzo trudne...

Cieszył się, że nie wylosował dwóch wart przed świtem, ich bowiem nie można było odespać i w efekcie człowiek cały dzień czuł się zmęczony. Nagły, lekki powiew wiatru załaskotał go w ucho. Na karku wystąpiła mu gęsia skórka i poczuł dziwny dreszcz. Dotknięcie to przeraziło Rorana, przepłoszyło wszystkie myśli prócz przekonania, że tak jemu, jak i wszystkim wieśniakom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Zadygotał jak w ataku zimnicy, serce zabiło mu mocno. Z wielkim trudem zwalczył pragnienie, by porzucić kryjówkę i uciec.

Co się ze mną dzieje?

Nawet nałożenie strzały wymagało ogromnego wysiłku. Na wschodzie odłączył się od horyzontu cień, widoczny jedynie jako czarna plama pośród gwiazd. Szybował po niebie niczym skrawek rozdartego welonu, aż w końcu zasłonił księżyc i tam pozostał, wisząc bez ruchu. Padające z tyłu światło przenikało przez przejrzyste skrzydła jednego z wierzchowców Ra'zaców.

Czarny stwór otworzył dziób i krzyknął przenikliwie. Roran skrzywił się z bólu wywołanego przez ów krzyk i towarzyszące mu wibracje. Głos stwora wniknął boleśnie w głęb jego uszu, zmroził krew, przegnał radość i nadzieję, pozostawiając tylko rozpacz. Zawodzenie obudziło cały las, ptaki i zwierzęta w promieniu wielu mil zaczęły krzyczeć w panice. Ku zgrozie Rorana dołączyły do nich także resztki stad z wioski.

Przemykając od drzewa do drzewa, Roran powrócił do obozu.

- Są tu Ra'zacowie; bądźcie cicho i zostańcie na miejscu - szeptał do wszystkich napotkanych ludzi.

Widział, jak inni wartownicy krążą wśród przerażonych wieśniaków, roznosząc wiadomość. Z namiotu wyłonił się Fisk, dzierżący w dłoni włócznię.

- Czy ktoś nas atakuje?! - huknął. - Skąd te przekłete...

Roran rzucił się na cieśnię, by go uciszyć. Ze stłumionym okrzykiem wylądował na prawym ramieniu i poczuł ból dawnej rany.

- Ra'zacowie - jęknął.

Fisk znieruchomiał i natychmiast zniżył głos.

- Co mam robić?

- Pomóż mi uspokoić zwierzęta.

Razem przekradli się przez obóz na sąsiednią łąkę, gdzie spędzały noc kozy, owce, osły i konie. Farmerzy, do których należała większość zwierząt, spali wraz z nimi. Teraz zdążyli się już obudzić i uspokajali spłoszone stado. Roran podziękował swej paranoi, która sprawiła, że upierał się, by zwierzęta pozostały rozproszone na skraju łąki; drzewa i krzaki pomagały je ukryć przed wzrokiem nieprzyjaciela.

Starając się uspokoić grupkę owiec, zerknął na straszliwy czarny cień. wciąż przesłaniający księżyc niczym gigantyczny nietoperz. Ku zgrozie Rorana cień ruszył w stronę ich kryjówek. Jeśli ten stwór znów krzyknie, będziemy zgubieni.

Nim Ra'zac zdążyć zatoczyć krąg w górze, większość zwierząt ucichła, prócz jednego osła, który z uporem wydawał z siebie przenikliwe i-haa.

Roran bez wahania opadł na kolano, nałożył strzałę na cięciwę i strzelił mu między zębra. Trafił bezbłędnie; zwierzę runęło na ziemię.

Spóźnił się jednak - ryk osła wzbudził czujność Ra'zaca. Potwór obrócił głowę w stronę polany i opadł ku niej, wyciągając szpony. Poprzedzał go ostry, dławiący smród.

Czas przekonać się, czy zdołamy zabić nocną mare, pomyślał Roran.

Przycupnięty obok niego w trawie Fisk ścisnął mocniej włócznię, szykując się do rzutu, gdy tylko stwór znajdzie się w zasięgu. W chwili, gdy Roran naciągnął łuk, zamierzając rozpocząć i zakończyć bitwę dobrze wycelowanym strzałem, jego uwagę przyciągnął ruch w lesie.

Stado spłoszonych saren wypadło spod drzew i - nie zważając na wieśniaków i ich zwierzęta - popędziło przez łąkę, rozpaczliwie próbując uciec przed Ra'zaciem. Przez niemal minutę sarny przeskakiwały obok Rorana, tratując ziemię ostrymi raciczkami. Okolone białymi obwódkami oczy lśniły w promieniach księżyca. Zwierzęta były tak blisko, że słyszał ich ciężkie oddechy.

Spłoszone stado musiało ukryć wieśniaków przed wzrokiem Ra'zaca, bo zatoczywszy jeszcze jeden krąg nad łąką, skrzydlaty potwór zawrócił na południe i poszybował wzdłuż Kościca, wtapiając się w nocny mrok.

Roran i jego towarzysze przycupnęli na miejscach niczym ścigane króliki. Lękali się, że zniknięcie Ra'zaca to podstęp mający wywabić ich na otwartą przestrzeń. Może w pobliżu czaił się bliźniak stwora? Czekali godzinami, napięci i niespokojni, poruszając się tylko po to, by naciągnąć cięciwy.

Gdy księżyc chylił się ku zachodowi, z oddali dobiegło ich echo mrozącego krew w żyłach wrzasku Ra'zaca... a potem już nic.



- Mieliśmy szczęście - uznał Roran budząc się rano. - I nie możemy liczyć na to, że następnym razem nas ocali.

Po spotkaniu z Ra'zakiem żaden z wieśniaków nie protestował już przeciwko podróży barką. Wprost przeciwnie, tak bardzo chcieli wyruszyć, że wielu z nich pytało Rorana, czy nie dałoby się pożeglować jeszcze tego samego dnia, nie następnego.

- Bardzo bym chciał - powtarzał - ale mamy zbyt wiele do zrobienia.

Rezygnując ze śniadania, wraz z Horstem i grupką innych ludzi pomaszerowali do Nardy. Roran wiedział, że ryzykuje, iż ktoś go rozpozna lecz misja ta była zbyt ważna, żeby powierzyć ją komuś innemu. Poza tym uważał, że jego obecny wygląd tak bardzo różni się od podobizny na liście gończym imperium, iż nikt nie skojarzy jednego z drugim.

Bez problemu weszli do miasta, bo bramy strzegła inna para żołnierzy. Natychmiast skierowali się do portu i wręczyli Clovisowi obiecane dwieście koron. Marynarz nadzorował grupkę ludzi szykujących barki do wypłynięcia.

- Dziękuję, Młotoręki - rzekł, przywiązując do pasa sakiewkę z monetami. - Nie ma to jak żółte złoto, by rozjaśnić nasz dzień.

Poprowadził ich do ławy i rozwinął mapę wód otaczających Nardę, uzupełnioną zapiskami o sile najróżniejszych prądów, położeniu skał, mielizn i innych zagrożeń, a także o przeprowadzanych przez dziesiątki lat sondowaniach. Szybko nakreślił palcem linię łączącą Nardę z niewielką zatoczką na południe od miasta.

- Stąd zabierzemy twoje stado. O tej porze roku pływy są dość łagodne, ale wciąż nie chcemy się z nimi zmagać, toteż wyruszymy tuż po przyptywie.

- Przyptywie? - spytał Roran. - Nie łatwiej byłoby poczekać do odpływu, żeby nas uniósł?

Clovis postukał się palcem w bok nosa, w jego oczach rozbłysły figlarne iskierki.

- Owszem, i wiele razy tak właśnie zaczynałem podróż. Nie chcę jednak tkwić na plaży i ładować zwierząt, gdy nadejdzie przyptyw, bo wówczas wepchnąłby nas dalej w głąb ładu. Jeżeli zrobimy, jak mówię, to nam nie grozi, ale będziemy musieli sprawić się szybko, by nie zostać na

plaży, kiedy cofną się wody. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, morze samo pójdzie nam na rękę.

Roran przytaknął; ufał doświadczeniu Clovisa.

- Jak wielu ludzi potrzebujesz, by uzupełnić załogi?

- Zdołałem wykopać spod ziemi siedmiu chłopca, silnych, uczciwych, dobrych marynarzy, którzy zgodzili się wyruszyć w tę podróż, choć im także wydała się dziwna. Zważ jednak, że większość z nich, kiedy odszukałem ich wczoraj, oglądała świat z dna swoich kufli, przepijając zapłaty z ostatniej wyprawy. Do jutra rana wytrzeźwieją niczym stare panny, przyrzekam. Ponieważ znalazłem tylko siedmiu, potrzeba mi jeszcze czterech.

- Czterech - powtórzył Roran. - Moi ludzie nie znają się na żegludze, ale są zręczni i szybko się uczą.

Marynarz odchrząknął.

- Zwykle i tak za każdym razem biorę na pokład garstkę nowicjuszy. Póki będą słuchać rozkazów, poradzą sobie. Inaczej oberwą po łbie pachołkiem cumowniczym. Zapamiętaj moje słowa. Co do strażników, chciałbym dziewięciu, trzech na każdą łódź. I lepiej, żeby nie byli tak zieloni jak twoi marynarze. Inaczej nie wyruszę w drogę, nawet za całą whisky tego świata.

Roran pozwolił sobie na ponury uśmiech.

- Każdy, kto mi towarzyszy, wiele razy sprawdził się w walce.

- I wszyscy słuchają ciebie, co, młody Młotoręki? - Clovis podrapał się po brodzie, mierząc wzrokiem Gedrica, Delwina i pozostałych, pierwszy raz odwiedzających Nardę. - Ilu masz ze sobą ludzi?

- Dostatecznie wielu.

- Dostatecznie wielu, powiadasz. Ciekawe. - Machnął ręką. - Nie przejmuj się mną, gadam co mi ślina na język przyniesie, nie zważając na rozsądek, tak przynajmniej powtarzał mi ojciec. Mój pierwszy oficer, Torson, jest teraz u kupca, dogląda zakupu towarów i sprzętu. Rozumiem, że masz paszę dla twojego stada?

- Między innymi.

- Zatem przynieś ją. Po podniesieniu masztów zapełnimy ładownie. Przez resztę ranka i popołudnia Roran i grupka wieśniaków przenosili zakupione przez synów Loringa zapasy z magazynu do szop w porcie. W pewnej chwili Roran przeszedł przez trap na pokład *Edeline* i podał marynarzowi worek mąki.

- Większość z tego to nie pasza, Młotoręki - zauważył Clovis.

- Nie - przyznał Roran. - Ale i tego potrzebujemy. Ucieszył się, że Clovis rozsądnie postanowił nie pytać dalej.

Gdy ostatnie worki zniknęły pod pokładem, marynarz wezwał Rorana.

- Możecie już odejść, resztą zajmiemy się z moimi chłopcami. Pamiętajcie tylko, żeby być w porcie trzy godziny po świcie ze wszystkimi obiecanyymi ludźmi. Inaczej stracimy przypływ.

- Będziemy.

☆☆☆

Wróciwszy na wzgórze, Roran pomógł Elain i pozostałym w przygotowaniach do odjazdu. Nie trwały długo - przywykli już do codziennego zwijania obozu. Następnie wybrał dwunastu ludzi, którzy mieli towarzyszyć mu następnego dnia do Nardy. Wszyscy dobrze radzili sobie w walce. Poprosił jednak najlepszych wojowników, takich jak Horst i Delwin, by zostali z resztą wieśniaków na wypadek, gdyby znaleźli ich żołnierze albo powrócili Ra'zacowie.

Po zapadnięciu nocy obie grupy się rozstały. Roran przykucnął na głazie, patrząc, jak Horst prowadzi kolumnę ludzi w dół ku zatoczce, w której mieli zaczekać na barki.

Podszedł do niego Orval, splatając ręce na piersi.

- Sądzisz, że będą bezpieczni, Młotoręki? - W jego głosie pobrzmiwał niepokój; Orval był spięty niczym naciągnięta cięciwa.

- Owszem - odparł Roran, choć on także się martwił. - Założę się o baryłkę jabłecznika, że kiedy jutro dobijemy do brzegu, zastaniemy ich we śnie. Sam będziesz mógł obudzić Nollę. Co ty na to? - Orval uśmiechnął się na wzmiankę o żonie i przytaknął, wyraźnie pocieszony.

Obym miał rację.

Roran pozostał na głazie, zgarbiony niczym ponury gargulec, póki ciemna kolumna wieśniaków nie zniknęła mu z oczu.

☆☆☆

Ocknęli się godzinę przed świtem, gdy na niebie dopiero zajaśniała pierwsza bladozielona luna, a wilgotne nocne powietrze wciąż mroziło palce. Roran ochlapał twarz wodą, po czym uzbroił się w łuk i strzały, nieodłączny młot, jedną z tarcz Fiska i jedną z włóczni Horsta. Pozostali zrobili to samo, uzupełniając swój ekwipunek o miecze zdobyte podczas potyczek w Carvahall.

Biegając najszybciej jak się dało w dół zboczy, trzynastu mężczyzn dotarło na gościniec wiodący do Nardy. Wkrótce potem ujrzeni przed sobą główną bramę miasta. Roran odkrył z konsternacją, że wejścia strzegą ci sami dwaj żołnierze, którzy poprzednio o mało co nie wpuścili ich do miasta. Tak jak wcześniej, na ich widok obaj zagroździłi bramę berdyszami.

- Tym razem jest was znacznie więcej - zauważył białowłosey. - I w dodatku nie ci sami, prócz ciebie. - Skupił wzrok na Roranie. - Chcesz pewnie, bym uwierzył, że włócznia i tarcza też przydadzą się w garniarstwie?

- Nie, Clovis wynajął nas do ochrony barek w drodze do Teirnu.

- Wy mielibyście być najemnikami? - Żołnierze wybuchnęli śmiechem. - Mówiłeś, że zajmujecie się handlem.

- Clovis płaci lepiej.

Białowłosey skrzywił się.

- Kłamiesz - Kiedyś próbowałem szczęścia jako żołnierz fortuny i najczęściej głodowałem. Jak duża jest ta twoja grupa kupców? Siedmiu wczoraj, dwunastu dzisiaj, z tobą trzynastu. Raczej za duża jak na wysłanników grupki kramarzy. - Jego oczy zwięzły się i przyjrzał się uważniej twarzy Rorana. - Wyglądasz jakoś znajomo. Jak masz na imię?

- Młotoreki.

- A przypadkiem nie Roran, co?

Roran dźgnął ostro włócznią, trafiając białowłosego żołnierza w gardło. Z rany bryznęła szkarłatna krew. Wypuszczając włócznię, dobył młota i obrócił się, blokując tarczą berdysz drugiego wartownika. Zamachnął się z boku i jednym ciosem zmiażdżył mu hełm. Przez chwilę stał zdyszany między dwoma trupami. Teraz mam na sumieniu dziesięciu zabitych. Orval i pozostali wpatrywali się w niego wstrząśnięci. Nie mogąc znieść ich wzroku, Roran odwrócił się do nich plecami i gestem wskazał biegnący pod drogą przepust.

- Ukryjcie tam ciała, nim ktokolwiek je zauważy - polecił szorstko.

Podczas gdy jego ludzie rzucili się, by wykonać polecenie, Roran powiódł wzrokiem po szczycie muru, szukając wartowników. Na szczęście ani stąd, ani z ulicy za bramą nie dostrzegł nikogo. Pochylił się, wyszarpnął z gardła żołnierza włócznię i starannie wytarł grot o kępę trawy.

- Gotowe. - Mandel wygramolił się z rowu.

Broda nie do końca skrywała bladość jego twarzy. Roran przytaknął i zbierając siły, odwrócił się do swych towarzyszy.

- Posłuchajcie, pójdziemy do portu szybkim krokiem, ale spokojnie. Nie będziemy biec. Gdy zadzwonią na alarm, bo ktoś przecież mógł usłyszeć odgłosy walki, udawajcie zaskoczonych i zaciekawionych, lecz nie okazujcie strachu. Cokolwiek zrobicie, nie dajcie ludziom powodu, by was podejrzewali. Zależy od tego życie waszych rodzin i przyjaciół. Jeśli nas zaatakują, dopilnujcie, by barki odbiły od brzegu. Nic innego się nie liczy. Wyrażam się jasno?

- Tak, Młotoreki - odparli.

- Zatem chodźcie za mną.

Maszerując przez Narde, Roran czuł tak wielkie napięcie, iż lękał się, że lada moment pęknie i rozprysnie się na tysiąc kawałków.

Kim ja się stałem?

Wodził wzrokiem po twarzach mężczyzn, kobiet i dzieci. Sprawdzał nawet psy próbując zidentyfikować potencjalnych nieprzyjaciół. Wszystko wokół wydawało mu się nienaturalnie jasne i ostre, pełne szczegółów. Miał wrażenie, że dostrzega poszczególne nici w strojach mieszczan. Bez dalszych incydentów dotarli do portu.

- Wcześniej przychodzisz, Młotoręki - zauważył Clovis. - To lubię. Możemy spokojnie przygotować wszystko do podróży.

- Nie dałoby się wypłynąć już teraz? - spytał Roran.

- Sam powinieneś wiedzieć. Musimy poczekać, aż zacznie się odpływ. - Clovis urwał, po raz pierwszy przyglądając się im uważnie.

- Co się stało, Młotoręki? Wyglądacie, jakbyście ujrzeli ducha starego Galbatorixa we własnej osobie.

- Nic, czemu nie pomogłoby kilka godzin oddychania morskim powietrzem. - Roran nie był w stanie się uśmiechnąć, przynajmniej jednak zdołał przybrać nieco mniej ponurą minę, by dodać otuchy kapitanowi.

Clovis wezwał gwizdkiem dwóch marynarzy, obu opalonych na ciemny brąz.

- To jest Torson, mój pierwszy oficer - oznajmił, wskazując mężczyznę po prawej. Nagie ramię Torsona zdobił tatuaż przedstawiający lecącego smoka. - Dowodzi na *Dzwonku*. A ten czarny pies to Flint, kapitan *Edeline*. Dopóki przebywacie na pokładzie, ich słowo jest prawem, tak jak moje na *Rudym Dziku*. Odpowiadacie przed nimi i przede mną, nie przed Młotorękim. Jeśli usłyszeliście, odpowiedzcie „tak jest”.

- Tak jest! - krzyknęli.

- A teraz, którzy z was to moi pomocnicy, a którzy strażnicy? Ni diaska nie potrafię was rozróżnić.

Puszczając mimo uszu napomnienia Clovisa, że to on nimi dowodzi, wieśniacy spojrzeli na Rorana, czekając na znak, czy mają posłuchać. Przytaknął szybko i mężczyźni podzielili się na dwie grupki. Clovis poprzedzając wieśniaków - taką samą liczbę do każdej z trzech barek.

Przez następne pół godziny Roran pracował wraz z marynarzami, kończąc przygotowania *Rudego Dzika*. Cały czas nasłuchiwał, czekając na alarm. Jeśli zostaniemy tu dłużej, schwytają nas albo zabiją, pomyślał, sprawdzając poziom wody na słupie. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

Wzdrygnął się, gdy Clovis chwycił jego przedramię. Nim zdążył pomyśleć, już wyciągnął do połowy młot zza pasa. Powietrze zgęstniało mu w gardle.

Clovis uniósł brwi, widząc tak ostrą reakcję.

- Obserwowałem cię, Młotoręki, i jestem ciekaw, jak zdobyłeś sobie podobną lojalność swych ludzi. Służyłem u tylu kapitanów, że nie potrafiłbym ich wymienić, lecz żaden nie cieszył się takim posłuchem, jaki ty masz, nie podnosząc nawet głosu.

Roran nie zdołał powstrzymać gorzkiego śmiechu.

- Powiem ci, jak to zrobiłem. Ocaliłem ich przed niewolą i przed pożarciem.

Brwi Clovisa powędrowały niemal do poziomu włosów.

- Naprawdę? Tej historii chętnie bym wysłuchał.

- Wierz mi, że nie.

- Może rzeczywiście nie - przyznał po minucie kapitan. Zerknął za burtę. - Tam do kata, chyba możemy już ruszać. A to moja mała Galina, jak zawsze punktualna.

Ogorzały mężczyzna zeskoczył na trap i dalej na nabrzeże, chwytając w objęcia ciemnowłosą dziewczynkę, liczącą sobie około trzynastu lat, oraz kobietę, którą Roran uznał za jej matkę. Clovis wzburzył włosy dziewczynki.

- Będiesz grzeczna podczas mojej nieobecności, prawda, Galino?

- Tak, ojcze.

Patrząc, jak Clovis żegna się z rodziną, Roran powrócił myślami do dwóch martwych żołnierzy przy bramie. Oni też mogli mieć rodziny, żony i dzieci, które ich kochały, domy, do

których co dzień powracali... Poczul w ustach smak żółci i szybko nakazał myślom powrócić do portu, obawiając się, że zaraz zwymiotuje.

Ludzie na barkach zaczęli się denerwować. Chcąc uspić podejrzliwość marynarzy, Roran demonstracyjnie przespacerował się po pokładzie i przeciągnął, usiłując sprawiać wrażenie całkowicie odprężonego. W końcu Clovis wskoczył z powrotem na *Rudego Dzika*.

- Odrzucać cumy, chłopcy! - krzyknął. - Czekaj na nas słona głębia.

Marynarze szybko wciągnęli trapy, odwiązali cumy i podnieśli żagle na wszystkich trzech barkach. Wokół rozbrzmiewały wykrzykiwane rozkazy i zaśpiewy ciągnących liny ludzi.

Galina i jej matka pozostały na brzegu, odprowadzając wzrokiem barki. Milczały, poważne, unosząc zakapturzone głowy.

- Mamy szczęście, Młotoręki. - Clovis klepnął go w ramię. - Sprzyja nam wiatr. Może zdołamy dotrzeć do zatoczki przed przyplywem, nie sięgając nawet po wiosła!

Gdy *Rudy Dzik* znalazł się pośrodku zatoki, wciąż dziesięć minut żeglugi od otwartego morza, zdarzyło się to, czego lękał się Roran. Nad wodą rozszedł się odgłos dzwonów i trąb, odbijający się echem pomiędzy kamiennymi budynkami.

- Co to? - spytał Roran.

- Nie mam pojęcia. - Clovis zmarszczył brwi. Wsparty pod boki, spoglądał w stronę miasta. - To może być pożar, ale nigdzie nie widać dymu. Może w okolicy zauważono urgale? - Jego twarz stężała. - Nie widzieliście dziś rano na drodze nikogo podejrzanego?

Roran pokręcił głową, nie ufając własnemu głosowi. Flint podpłynął do nich, krzycząc z pokładu *Edelinr*.

- Mamy zawrócić, kapitanie?

Roran zacisnął dłonie na okrężnicy tak mocno, że pod paznokcie wbiły mu się drzazgi. Był gotów do interwencji, lecz nie chciał okazywać strachu. Clovis odwrócił wzrok.

- Nie! - huknął. - Bo stracimy odpływ.

- Tak jest, kapitanie. Ale oddałbym dzienny zarobek, by dowiedzieć się, skąd ta wrzawa.

- Ja też - mruknął pod nosem Clovis.

Domy i budynki zaczęły maleć w oddali. Roran przykucnął na rufie barki, obejmując rękami kolana, oparty plecami o ścianę kabiny. Spojrzał w niebo i uderzyła go jego głębia, czystość i barwa. Potem spuścił wzrok, przyglądając się pozostawianemu przez *Rudego Dzika* zielonemu śladowi na wodzie, w którym falowały wstęgi wodorostów. Kołysanie barki uspokajało go, koilo troski. Co za piękny dzień, pomyślał, wdzięczny, że może go oglądać.

Po wypłynięciu z zatoki Roran z ulgą wdrapał się po drabince na rufę za kabinami. Clovis stał tam z ręką na sterze, kierując barką.

- Jest coś porywającego w pierwszym dniu wyprawy - oznajmił kapitan. - Nim zorientujesz się jak kiepskie jest żarcie i zaczniesz tęsknić za domem.

Pragnąc dowiedzieć się jak najwięcej o barce, Roran zaczął wypytywać Clovisa o nazwy i przeznaczenie najróżniejszych przedmiotów na pokładzie. Clovis odpowiedział entuzjastycznym wykładem, traktującym o działaniu barek, statków i sztuce żeglarskiej w ogólności.

Dwie godziny później wskazał ręką sterczący przed nimi wąski półwysep.

- Zatoczka jest po drugiej stronie.

Roran wyprostował się nad relingiem, wyciągając szyję. Chciał jak najszybciej sprawdzić, czy wieśniacy są bezpieczni.

Gdy *Rudy Dzik* okrążył skalisty przylądek, ujrzeni przed sobą białą plażę, na której zebrali się uciekinierzy z doliny Palancar. Na widok wypływających zza skał barek tłum zaczął wiwatować i machać rękami.

Roran odprężył się.

Obok niego Clovis zaklął siarczyście.

- Wiedziałem, że coś jest nie tak, w chwili gdy cię ujrzałem, Młotoręki. Ha, zrobiłeś ze mnie durnia.

- Krzywdzisz mnie - odparł Roran. - Nie skłamałem, to moje stado, a ja jestem jego pasterzem. Czyż nie mam prawa nazywać ich swoją trzódką?



- Nazywaj ich jak chcesz, nie zgodziłem się przewozić ludzi do Teirnu. Zastanawiam się, czemu nie ujawniłeś mi prawdziwej natury tej podróży, i widzę tylko jedną odpowiedź: cokolwiek zamierzasz, oznacza to kłopoty. Kłopoty dla was i dla mnie. Powinienem wyrzucić was wszystkich za burtę i zawrócić do Nardy.

- Ale tego nie zrobisz - rzekł złowieszczo cichym głosem Roran.

- Tak? A czemu nie?

- Bo potrzebuję tych barek, Clovisie, i zrobię wszystko, by je zatrzymać. Wszystko. Dotrzymaj umowy, a czeka cię spokojna podróż, po której znów ujrzysz Galinę. Jeśli nie... - Zabrzmiało to groźniej, niż zamierzał. Roran nie chciał wcale zabijać Clovisa, choć w razie potrzeby gotów był go zostawić na brzegu.

Twarz kapitana poczerwieniała, zaskoczył jednak Rorana, mrużąc tylko pod nosem:

- Uczciwie stawiasz sprawę, Młotoreki.

Zadowolony z siebie Roran z powrotem spojrzał ku plaży. Za plecami usłyszał cichy świst. Wiedziony instynktem, uskokzył, przykucnął, obrócił się i zasłonił głowę tarczą. Ręka zawibrowała mu, gdy w sam środek tarczy uderzył pachołek. Opuścił ją szybko i spojrzał na przerażonego Clovisa, który cofnął się o kilka kroków.

Roran pokręcił głową, nie spuszczać wzroku z przeciwnika.

- Nie możesz mnie pokonać, Clovisie. Spytam raz jeszcze: Czy dotrzymasz naszej umowy? Jeśli nie, wysadzę cię na ląd, przejmę barki i zmuszę do współpracy twoją załogę. Nie chcę cię zrujnować, ale uczynię to, jeśli będę musiał. Daj spokój, to może być zupełnie normalna, nudna podróż, jeśli tylko zgodzisz się nam pomóc. Pamiętaj, dostałeś już zapłatę.

Clovis wyprostował się z godnością.

- Musisz łaskawie wyjaśnić mi, po co był ten podstęp, kim są ci ludzie i skąd pochodzą. Nieważne, ile złota mi zaproponujesz, nie pomogę w przedsięwzięciu, które sprzeciwia się moim zasadom, nie ma mowy. Jesteście bandytami? A może służycie przekłętemu królowi?

- Wiedza ta może okazać się bardzo niebezpieczna.

- Nalegam.

- Słyszałeś o wiosce Carvahall w dolinie Palancar? - spytał Roran Clovis machnął ręką.

- Raz czy dwa. Co z nią?

- Widzisz ją teraz na plaży. Żołnierze Galbatorixa zaatakowali nas bez żadnej prowokacji z naszej strony. Walczyliśmy a gdy okazało się, że nie możemy wygrać, przepawiliśmy się przez Kościec i podążyliśmy wzdłuż wybrzeża do Nardy. Galbatorix zapowiedział, że każdy mężczyzna, kobieta i dziecko z Carvahall zginie bądź trafi w niewolę. Jedyną naszą nadzieją jest dotarcie do Surdy. - Roran nie wspominał o Ra'zacach, nie chciał zbyt przerażać kapitana.

Ogorzałe policzki marynarza poszarzały.

- Wciąż was ścigają?

- Tak, lecz imperium nie wie, gdzie jesteśmy.

- I to przez was ogłoszono alarm?

- Zabiłem dwóch żołnierzy, którzy mnie rozpoznali - odparł cicho Roran.

Słowa te wstrząsnęły Clovisem, jego oczy rozszerzyły się, cofnął się o krok, mięśnie ramion zafalowały, gdy zacisnął pięści.

- Wybieraj, Clovisie, brzeg już blisko.

Gdy ramiona kapitana opadły, a z jego ciała uleciała fałszywa odwaga, Roran zrozumiał, że wygrał.

- Niech cię zaraza, Młotoreki. Nie jestem przyjacielem króla. Zawiozę was do Teirnu, ale potem nie chcę mieć z wami nic wspólnego.

- Dasz mi słowo, że nie spróbujesz umknąć nocą i nie uciekniesz się do żadnych podstępów?

- Tak, masz moje słowo.

Piasek i kamienie zazgrzytały o dno *Rudego Dzika*, gdy barka dobiła do plaży. Po obu stronach to samo uczyniły jej towarzyski. Monotonny, rytmiczny szum fał uderzających o piasek przypominał oddech olbrzymiego potwora. Załogi zwinęły żagle, a Torson i Flint podeszli do *Rudego Dzika* i otoczyli Clovisa, dopytując się, co się dzieje.

- Nastąpiła zmiana planów - wyjaśnił kapitan.

Roran pozwolił mu opisać sytuację - kapitan pominął dokładny powód, dla którego wieśniacy musieli opuścić dolinę Palancar - i zeskoczył na piasek, po czym ruszył na poszukiwanie Horsta. Przez chwilę przeciskał się przez tłum, a gdy w końcu zauważył kowala, odciągnął go na bok i opowiedział o śmierci żołnierzy w Nardzie.

- Jeśli odkryją, że odpłynąłem z Clovisem, mogą posłać za nami żołnierzy na koniach. Musimy załadować wszystkich na barki, i to jak najszybciej.

Horst długą chwilę patrzył mu w oczy.

- Twardym stałeś się człkiem, Roranie, twardszym niż ja będę kiedykolwiek.

- Musiałem.

- Uważaj tylko, żebyś nie zapomniał kim jesteś.

☆☆☆

Przez następne trzy godziny Roran przenosił dobytek wieśniaków i układał go na *Rudym Dziku*, słuchając wskazówek Clovisa. Tłumoki musiały zostać zabezpieczone, żeby się nie przesuwaly i nikogo nie zraniły, a także rozmieszczone równo, by barki nie miały przechyłu. Nie było to łatwe, bo mieli do czynienia z najróżniejszymi pakunkami. Potem na pokład zwabiono wyjątkowo niezadowolone zwierzęta i przywiązano szybko do żelaznych pierścieni w ładowni.

W końcu nadeszła kolej na ludzi, którzy jak reszta ładunku musieli zostać zorganizowani i rozmieszczeni symetrycznie na barkach, żeby ich nie wywrócić. Clovis, Torson i Flint stali na dziobach swoich statków, wykrzykując polecenia pod adresem zebranych w dole wieśniaków.

Co znowu? - pomyślał Roran, słysząc odgłosy kłótni na brzegu.

Przepchnął się do źródła zamieszania i ujrzał Calithę klęczącą obok przybranego ojca Waylanda i próbującą uspokoić starca.

- Nie, nie wsiądę na tę bestię, nie możesz mnie zmusić! - krzyknął Wayland. Wymachując pomarszczonymi rękami i wbijając pięty w ziemię, próbował uwolnić się z objęć kobiety. Z jego ust bryzgały krople śliny. - Puszczaj mnie, powiedziałem! Puszczaj! Zasypana ciosami Calitha wzdygnęła się. - Zachowuje się nierozsądnie, odkąd wczoraj rozbiliśmy obóz.

Dla wszystkich zainteresowanych byłoby lepiej, gdyby Wayland zmarł w Kościecu. Dostyc już narobił kłopotów, pomyślał Roran.

Dołączył do Calithy i wspólnie zdołali uspokoić starca, tak że przestał krzyczeć i tłuc wszystkich wokół siebie pięściami. W nagrodę za dobre zachowanie Calitha dała mu kawałek suszonego mięsa, który pochłonał całą uwagę Waylanda. Podczas gdy starzec skupił się na przeżuwaniu przysmaku, Calitha z Roranem wprowadzili go na pokład *Edeline* i posadzili w pustym kącie, gdzie nikomu nie wadził.

- No dalej, szczury ładowe, podnieść zadki! - krzyczał Clovis. - Wskakiwać, wskakiwać!

Podniesiono trapy. Obok każdej z barek na plaży zostało dwudziestu mężczyzn, zebranych przy dziobach i gotowych zepchnąć barki na wodę.

Roran kierował grupą przy *Rudym Dziku*. Mruczając rytmicznie wraz ze swymi ludźmi, naparł całym ciężarem na potężną barkę. Stopy zapadały im się w szary piasek, deski i liny skrzypiały głośno, w powietrzu unosiła się ostra woń potu. Przez chwilę mieli wrażenie, że wysilają się na próżno, potem jednak *Rudy Dzik* poruszył się i przesunął o stopę.

- Jeszcze raz! - krzyknął Roran.

Kawałek za kawałkiem przesuwali się w głąb morza, aż w końcu lodowata woda sięgnęła im do pasa. Wysoka fala załapała Rorana, napelniając mu usta wodą. Wypluł ją szybko z niesmakiem, bo okazała się bardziej słona i gorzka, niż się spodziewał. Kiedy barka zakołysała się na wodzie, Roran podpłynął do *Rudego Dzika* i wspiał się po jednej z rzuconych z burty lin. Tymczasem marynarze wyciągnęli długie tyczki, którymi odepchnęli *Dzika* na głębiny. Podobnie uczyniły załogi *Dzwonka* i *Edeline*.

W chwili, gdy znaleźli się w rozsądnej odległości od brzegu, Clovis rozkazał schować tyczki i wyciągnąć wiosła. Za ich pomocą żeglarze obrócili *Rudego Dzika* w stronę wyjścia z zatoczki. Podnieśli żagiel, ustawili tak, by chwycił lekki wiatr, i prowadząc za sobą dwie pozostałe barki, wyruszyli do Teirmu, wypływając na niespokojne wody.

## Początki mądrości

Dni, które Eragon spędził w Ellesmerze, zlewały się w jedną całość, spokojną i monotonną. W mieście sosen czas jakby nie istniał. Chłopiec nie dostrzegł żadnych oznak zmieniających się pór roku, choć popołudnia i wieczory wydłużyły się, pogrążając las w głębokich cieniach. Kwiaty wciąż rozkwiwały pod wpływem magii elfów, zasilane zaklęciami utkanymi z powietrza. Wkrótce pokochał Ellesmerę, jej piękno i spokój, wdzięczne budynki wyrastające z drzew, poruszające pieśni odbijające się echem w półmroku, dzieła sztuki ukryte w tajemniczych siedzibach i ciche skupienie elfów, od czasu do czasu przerywane wybuchami radości.

Dziki zwierzęta z Du Veldenvarden nie lękały się myśliwych. Często zdążyło się, że Eragon wyglądał ze swego gniazda i widział elfa głaszczącego jelenia bądź szarego lisa, albo mruczącego coś do ucha niedźwiedzia, który podszedł nieśmiało na skraj polany. Niektórych zwierząt nie rozpoznawał; te zjawiały się nocą, krążyły wśród krzaków, wydając dziwne odgłosy, i umykały, gdy się do nich zbliżył. Raz dostrzegł kątem oka stwora przypominającego kudłatego węża, innym razem kobietę w białej szacie, która nagle zafalowała i zmieniła się w uśmiechniętą wilczycę.

Kiedy tylko nadarzała się okazja, Eragon i Saphira nadał zwiedzali Ellesmerę, Chodzili sami albo z Orikiem, bo Arya już im nie towarzyszyła. Eragon nie rozmawiał z nią od czasu, gdy strzaskała jego fairth. Raz czy dwa widział ją przemyskającą między drzewami, ale gdy tylko się zbliżał, zamierzając przeprosić, zniknęła, pozostawiając go samego wśród prastarych sosen. W końcu zrozumiał, że jeśli chce kiedykolwiek naprawić łączące ich stosunki, musi sam przejąć inicjatywę, toteż pewnego wieczoru zebrał bukiet kwiatów rosnących pod jego drzewem i pokuśtykał do dworu Tialdari. Przebywające w sali wspólnej elfy wskazały mu drogę do siedziby Aryi.

Kiedy tam dotarł, środkowe drzwi stały otworem, ale nikt nie odpowiedział na pukanie. Eragon wszedł do środka, nasłuchując. Rozejrzał się szybko po przestronnej, porośniętej pnączami komnacie, która z jednej strony łączyła się z niewielką sypialnią, a z drugiej z gabinetem. Ściany ozdabiały dwa fairthy: portret surowego, dumnego elfa o srebrnych włosach - Eragon odgadł, że to król Evandar - i drugiego, młodszego, którego nie rozpoznał. Zaczął krążyć po komnatach, niczego nie dotykając, napawając się tym wejrzeniem w codzienne życie Aryi i usiłując odgadnąć jej zainteresowania. Obok łóżka ujrzał szklaną kulę z zachowanym w środku kwiatem czarnego wilca. Na biurku leżały równe rzędy zwojów. Przeczytał tytuły: „Osilon: raport ze żniw” i „Działalność dostrzeżona przez strażników z wieży w Gil'eadzie”. Na parapecie otwartego wykuszowego okna trzy miniaturowe drzewka układały się w kształt znaków pradawnej mowy oznaczających pokój, siłę i mądrość. Obok nich leżał skrawek papieru z niedokończonym wierszem, pełnym skreśleń i dopisków. Brzmiał on następująco:

*Pod tarczą księżycy, jasną tarczą księżycy  
leży staw, płaski srebrny staw.  
Wśród krzewów, kolczastych krzewów  
i czarnych smukłych drzew.*

*Wtem kamień, żywy kamień  
strzaskuje tarczę, jasną tarczę  
wśród krzewów, kolczastych krzewów  
i czarnych smukłych drzew.*

*Odlamki światła, miecze światła  
błyskają na tafli stawu.  
Spokojne wody, milczące wody,  
samotny leśny staw.*

*Wśród mroków nocy, ciemnej nocy  
trzepoczą cienie, spłoszone cienie,  
gdzie kiedyś...*

Eragon podszedł do stojącego przy drzwiach stolika, położył na nim bukiet i odwrócił się, by odejść. Zamarł na widok stojącej w progu Aryi. Elfka wyglądała na zaskoczoną jego obecnością, szybko jednak ukryła emocje za maską obojętności.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

Uniósł bukiet, podając go jej.

- Nie umiem stworzyć dla ciebie kwiatu, tak jak Faolin, ale to są uczciwe kwiaty, najlepsze jakie znalazłem.

- Nie mogę ich przyjąć, Eragonie.

- To nie... nie taki dar, jak myślisz. - Zamilkł na chwilę. - Nie usprawiedliwia mnie to, nie wiedziałem jednak wcześniej, że mój fairth postawi cię w tak niezręcznym położeniu. Jest mi z tego powodu bardzo przykro i błagam cię o wybaczenie. Próbowałem jedynie zrobić fairth, nie chciałem żadnych kłopotów. Zdaję sobie sprawę ze znaczenia mojego szkolenia, Aryo. Nie musisz się lękać, że je zaniedbam po to, by się do ciebie zalecać. - Zachwiał się i oparł o ścianę; zakręciło mu się w głowie, bez podpory nie utrzymałby się na nogach. - To wszystko.

Elfka przyglądała mu się długą chwilę, po czym powoli wyciągnęła rękę i wzięła bukiet, unosząc go do twarzy. Ani na moment nie spuszczała wzroku z Eragona.

- To uczciwe kwiaty - przyznała, mierzając go uważnym spojrzeniem. - Coś ci dolega?

- Mnie nie. Moim plecocom.

- Słyszałam, ale nie sądziłam...

Odepchnął się od ściany.

- Powinienem już iść.

- Zaczekaj.

Arya zawahała się i po chwili poprowadziła go do okna wykuszowego, pokazując, by usiadł na wyrastającej ze ściany wyściełanej ławie. Wyjęła z szafy dwa kubki, po czym zgniotła w palcach suszone liście pokrzywy, wsypała do obu naczyń, nalała wody i jednym słowem „wrzuj” zagotowała wodę na herbatę.

Wręczyła kubek Eragonowi, który ujął go oburącz, grzejąc dłonie, Spojrzał przez okno na rozciągającą się dwadzieścia stóp niżej ziemię.

Roześmiane, rozśpiewane elfy spacerowały po królewskich ogrodach; w mrocznym powietrzu tańczyły świetliki.

- Chciałbym - rzekł Eragon - chciałbym, żeby zawsze tak było. Tak spokojnie, cicho.

Arya zamieszała herbatę.

- Jak się miewa Saphira?

- Bez zmian. A ty?

- Szykuję się do powrotu do Vardenów.

Eragon wzdrygnął się gwałtownie.

- Kiedy?

- Po Świącie Przysięgi Krwi. I tak za długo zwlekałam, ale nie chciałam wyjeżdżać i Islanzadi życzyła sobie, żebym została. Poza tym... nie uczestniczyłam jeszcze w tym świącie, a to najważniejsza z naszych uroczystości. - Spojrzała na niego znad krawędzi kubka. - Oromis nie może ci pomóc?

Eragon zmusił się do wzruszenia ramionami.

- Próbował już wszystkiego.

Przez chwilę sączyli herbatę, obserwując w milczeniu grupki i pary wędrujące krętymi ścieżkami.

- Ale nauka dobrze ci idzie? - spytała.

- Owszem. - Eragon podniósł leżący między drzewkami skrawek papieru i przebiegł wzrokiem zwrotki, jakby czytał je pierwszy raz.

- Często pisujesz wiesz?

Arya wyciągnęła dłoń. Gdy oddał jej kartkę, zwinęła ją w rulonik, ukrywając zapisane słowa.

- Zwyczaj nakazuje, by każdy, kto uczestniczy w Świącie Przysięgi Krwi, przyniósł ze sobą wiersz, pieśń czy inne dzieło sztuki i podzielił się nim z innymi. Dopiero zaczęłam pracować nad moim.

- Mnie się podoba.

- Gdybyś czytał więcej poezji...

- Czytałem.

Arya zawahała się, w końcu spuściła głowę.

- Wybacz mi. Nie jesteś już tym samym człowiekiem, którego spotkałam w Gil'eadzie.

- Nie, ja... - Umilkł, obracając w dłoniach kubek i szukając właściwych słów. - Aryo... wkrótce odejdziesz. Ogromnie bym żałował, gdybym dziś widział się z tobą po raz ostatni. Czy nie moglibyśmy spotykać się od czasu do czasu tak jak wcześniej? Pokazałabyś, mnie i Saphirze, sekrety Ellesmery.

- To nie byłoby mądre - odparła łagodnie, lecz stanowczo.

Spojrzał na nią.

- Czy zapłata za mą niedyskrecję musi stać się nasza przyjaźń? Nic nie mogę poradzić na to, co do ciebie czuję, ale wolałbym odnieść kolejną ranę z ręki Durzy, niż pozwolić, by moja głupota zniszczyła łączącą nas przyjaźń. Zbyt ją sobie cenię.

Arya uniosła kubek i dopiła herbatę.

- Nasza przyjaźń przetrwa, Eragonie - rzekła. - Co do wspólnie spędzonego czasu... - jej wargi wygięły się w lekkim uśmiechu - może. Będziemy jednak musieli poczekać i zobaczyć co przyniesie przyszłość, bo jestem bardzo zajęta i nie mogę niczego obiecać.

Wiedział, że te słowa to najlepsze, czego mógł oczekiwać, i był za nie wdzięczny.

- Oczywiście, Arya Svit'kona. - Skłonił głowę.

Wymienili jeszcze kilka uprzejmości, wiedział jednak wyraźnie, że Arya posunęła się już dość daleko, jak na jeden dzień. Eragon zatem powrócił z Saphirą do swojego domku. To, co osiągnął, przywróciło mu nadzieję.

*Teraz niechaj los zdecyduje o wszystkim* - pomyślał, rozwijając najnowszy zwój Oromisa.

☆☆☆

Eragon sięgnął do wiszącej u pasa sakwy, wyjął wyrzeźbiony ze steatytu pojemnik z nalgaskiem - pszczelim woskiem stopionym z olejkiem z orzechów laskowych - i wysmarował nim usta, chroniąc je przed zimnym wiatrem. Zaciśnął sakwę, oplótł ramionami szyję Saphiry i osłonił twarz łokciem, tak by promienie słoneczne odbijające się od chmur w dole nie raziły mu oczu. Niestrudzony łopot skrzydeł Saphiry zagłuszał wszystko prócz niższego miarowego huku skrzydeł Glaedra, za którym frunęła. Lecieli na południowy-zachód, od świtu aż po wczesne popołudnie, często zatrzymując się na entuzjastyczne pojedynki. Smoki zmagaly się z takim zapałem, że Eragon musiał przypiąć do siodła ręce, by nie zlecieć podczas karkołomnych figur akrobatycznych. Po wszystkim uwalniał się, pociągając zębami węzeł. W końcu dotarli do celu - grupki czterech gór sterczących ponad lasem, pierwszych jakie Eragon widział w Du Veldenvarden. Wychłostane wiatrami wierzchołki przebijały pokrywę chmur i sterczały ponad nią, skapane w bezlitosnych promieniach słońca, na tej wysokości pozbawionych jakiegokolwiek ciepła.

*Wydają się takie małe w porównaniu z Beorami* - zauważyła Saphira.

Wiedziony nawykiem wyrobionym podczas tygodni medytacji, Eragon sięgnął umysłem we wszystkie strony, dotykając świadomości wszelkich żywych istot w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby źle mu życzyć. Wyczuł świstaka zwiniętego w kłębek w swej norze, kruki, kowaliki i jastrzębie, kilka wiewiórek uganiających się po drzewach i dalej na zboczu, górskie węże pełznące przez poszycie w poszukiwaniu myszy, którymi się żywiły, oraz roje wszechobecnych owadów.

Gdy Glaedr opadł na pierwszą górę, Saphira musiała odczekać, aż starszy smok złoży potężne skrzydła i zrobi jej miejsce. Zasłane głazami osypisko miało jaskrawożółtą barwę, pochodzącą od warstwy twardych, gruzełkowatych porostów. Nad nimi wznosiła się naga, czarna półka niczym szaniec zatrzymująca warstwę błękitnego lodu, który jęczał i pękał pod naporem wiatru, zasypując granit w dole ostrymi odłamkami.

*Ten szczyt nosi nazwę Fionula - oznajmił Glaedr. Jej bracia to Ethrundr Merogoven i Griminsmal. Każdy ma własną historię, opowiem je wam w drodze powrotnej. Teraz jednak chcę wyjaśnić cel naszej wyprawy. Będę dziś mówił o naturze więzi łączącej smoki i elfy oraz później smoki i ludzi. Oboje coś o tym wiecie, a w rozmowach z Saphirą czyniłem nieraz aluzje do jej prawdziwego znaczenia. Nadszedł jednak czas, abyście poznali najgłębsze, niezwykle znaczenie waszego partnerstwa, byście mogli kontynuować tradycję Jeźdźców, gdy nas z Oromisem zabraknie.*

- Mistrzu? - spytał Eragon, ciasniej opatulając się płaszczem.

*Tak, Eragonie?*

*Czemu Oromis nie przyleciał z nami?*

*Ponieważ - zagrzemiał Glaedr - to mnie - jak zawsze starszym smokom w minionych czasach - przypadł obowiązek dopilnowania, by najnowsze pokolenie Jeźdźców zrozumiało prawdziwe znaczenie łączącego ich związku. I ponieważ Oromis nie czuje się tak dobrze, jak się zdaje.*

Skąły zatrzeszczały w proteście, gdy Glaedr zwinął się wygodnie wśród głazów i ułożył majestatyczną głowę na ziemi, patrząc na Eragona i Saphirę. Zmierzył ich spojrzeniem jednego złotego oka, wielkiego i płonącego blaskiem. Z jego nozdrzy wleciała szara smużka dymu, a wiatr rozszarpał ją na strzępy.

*Część z tego, co wam wyjawię, stanowiło powszechną wiedzę wśród elfów, Jeźdźców i uczonych ludzi. O większości jednak wiedział wyłącznie przywódca Jeźdźców, garstka elfów, aktualny ludzki władca i oczywiście smoki. Słuchajcie zatem, moje pisklęta. Gdy wojna dobiegła końca i między smokami i elfami zapanował pokój, powołano Jeźdźców, którzy mieli dopilnować, by nigdy już nie doszło do podobnego konfliktu. Królowa elfów Tarmunora i wybrany na naszego przedstawiciela smok, którego imienia - urwał i przekazał Eragonowi serię obrazów: długi ząb, biały ząb, złamany ząb, walki wygrane, walki przegrane; niezliczone pożarte shyrgey i nagry, dwadzieścia siedem splodzonych jaj i dziewiętnaście potomków - nie da się wyrazić w żadnej mowie, postanowili, że zwykły traktat nie wystarczy. Podpisany papier nie ma żadnego znaczenia dla smoków. W naszych żyłach płynie gorąca, gęsta krew i wiedzieliśmy, że kiedy minie nieco czasu, znów nieuchronnie zetrzemy się z elfami, tak jak walczyliśmy z krasnoludami przez tysiące lat. Lecz w odróżnieniu od krasnoludów ani my, ani elfy nie mogliśmy sobie pozwolić na kolejną wojnę - obie nasze rasy były zbyt potężne i z pewnością zniszczylibyśmy się nawzajem. Jedyнным sposobem zapobieżenia temu i stworzenia rozsądnego traktatu było złączenie naszych dwóch ras magią.*

Eragon zadrżał. Glaedr spojrział na niego z rozbawieniem.

*Saphiro, gdybyś była mądra, rozgrzałabyś te skały ogniem ze swego brzucha, by twój Jeździec nie zamarł.*

Smoczyca natychmiast wygięła szyję i spomiędzy jej ostrych kłów wystrzelił strumień błękitnego ognia, rozlewając się po osypisku. Porosty splonęły natychmiast, wydzielając ostrą woń spalenizny. Eragona uderzyła fala tak gorącego powietrza, że musiał odwrócić głowę. Czuł, jak żyjące pod kamieniami owady giną w ognistym piekle. Po minucie Saphira zamknęła paszczę; krąg kamieni w promieniu pięciu stóp żarzył się czerwonym blaskiem.

*Dziękuję.*

Eragon przykucnął na skraju kręgu, rozgrzewając dłonie nad skałami.

*Pamiętaj, by językiem nadawać kierunek płomieniom - upomniał smoczyce Glaedr. Ale wróćmy do rzeczy. Najmędrsi magowie elfów pracowali przez dziewięć lat nad zaklęciem. Gdy w końcu się im udało, elfy i smoki przybyły do Ilirei. Elfy nadały czarowi strukturę, smoki moc, i wspólnie połączyły swe dusze. Połączenie to odmieniło nas. My, smoki, zyskałyśmy władzę nad językiem i ogólną ogładą, a elfy naszą długowieczność; wcześniej żyły bowiem równie krótko jak ludzie. W ostatecznym rozrachunku to elfy zmieniły się najbardziej; nasza magia, magia smoków - przenikająca każdą cząstkę naszej istoty - dotknęła ich także i z czasem dała im słynną już siłę i wdzięk. Ludzie nie zmienili się aż tak bardzo, bo zostaliście dodani do zaklęcia już po jego rzuceniu i działało na was krócej niż na elfy. Mimo wszystko - oko Glaedra załśniło - ucywilizowało waszą rasę. Nie jesteście już tymi barbarzyńcami, którzy piersi wylądowali w Alagaesii, choć po Upadku zaczęliście się degenerować.*

- Czy krasnoludy stanowiły kiedykolwiek część tego zaklęcia? - spytał Eragon.

*Nie. I dlatego właśnie nie było nigdy krasnoludzkiego Jeźdźca. Krasnoludy nie lubią smoków, my ich także, i idea złączenia z nami budzi w nich wstręt. Może miały szczęście, że nie dołączyły do naszego paktu, uniknęły bowiem osłabienia, jakie dotknęło ludzi i elfy.*

Oslabienia, mistrzu? - spytała Saphira. Eragon przysiągłby, że w jej głosie dzwięczała kokieteryjna nuta.

*Owszem, osłabienia. Jeśli jedna z trzech ras cierpi, cierpią też pozostałe. Zabijając smoki, Galbatorix zranił swój własny lud, a także elfy. Nie zauważyliście tego, bo jesteście nowi w Ellesmerze, lecz elfy podupadają, ich moc nie jest już taka jak kiedyś, a ludzie stracili część swej kultury, zapanował wśród nich chaos i przemoc. Jedynie przywrócenie równowagi pomiędzy naszymi trzema rasami sprawi, że na świecie znów zapanuje porządek.*

Stary smok zacisnął szpony na kamieniach, miażdżąc je w drobny pył, by usadowić się wygodnie.

*Wewnątrz czaru przygotowanego przez królową Tarmunorę krył się mechanizm pozwalający pisklęciu złączyć się ze swym Jeźdźcem. Gdy smok decyduje się oddać Jeźdźcom jajo, nad owym jajem wypowiada się pewne słowa - nauczę was ich później - sprawiające, że pisklę nie wykluwa się przedwcześnie, lecz dopiero gdy zetknie się z osobą, z którą zapraśnie się złączyć. Ponieważ smoki mogą pozostawać w swych jajach bez końca, czas nie gra tu roli, a pisklęciu nie dzieje się krzywda. Ty sama jesteś tego przykładem, Saphiro. Więź łącząca Jeźdźca i smoka to jedynie wyższy poziom więzi już istniejącej pomiędzy naszymi rasami. Człowiek bądź elf staje się silniejszy i piękniejszy smok łagodnieje i słucha głosu rozsądku. Widzę, że jakaś myśl tańczy ci na języku, Eragonie. O co chcesz spytać?*

- Po prostu - zawahał się - powiedziałaś „łagodnieje”, mistrzu. Trudno mi sobie wyobrazić, by ktoś mógł być groźniejszy niż ty czy Saphira. I nie uważam, żeby w tym było coś złego - dodał szybko.

Ziemia zadygotała jak podczas lawiny. To Glaedr zaśmiał się głośno. Jego wielkie, lśniące oko na moment zniknęło pod kościstą powieką, a potem załśniło na nowo.

*Gdybyś kiedykolwiek spotkał dziko żyjącego smoka, zmieniłbyś zdanie. Samotny smok nie odpowiada za swe czyny przed nikim i przed niczym, bierze co tylko zechce, nie zważając na niczyje dobro prócz swych najbliższych. Potężne i dumne były dzikie smoki, i wielce aroganckie... Ich samice wyróżniały się taką siłą, że wśród związanych z Jeźdźcami smoków za wielkie osiągnięcie uważano złączenie się z jedną z nich. To właśnie brak owej więzi sprawia, że partnerstwo Galbatorixa ze Shruileanem, jego drugim smokiem, jest czymś tak odrażającym. Shruikan nie wybrał sobie Galbatorixa na Jeźdźca, został zmuszony czarną magią do służenia obląkanemu królowi. Galbatorix stworzył skrzywioną imitację związku, która łączy was, Eragonie i Saphiro, i który stracił, gdy urgale zamordowały jego pierwszego smoka.*

Glaedr urwał i powiódł wzrokiem między nimi, poruszając wyłącznie okiem.

*Łączy was coś więcej niż prosta więź między umysłami. Same wasze dusze, istoty, jeśli wolicie tak je nazwać, zostały nierozzerwalnie połączone na poziomie podstawowym. Zerknął na Eragona. Czy wierzysz, że dusza człowieka jest czymś odrębnym od ciała?*



- Nie wiem - przyznał Eragon. - Saphira zabrała mnie kiedyś poza moje ciało, pokazując świat widziany jej oczami. Miałem wówczas wrażenie, jakbym oderwał się od ciała. A jeśli upiory, które wzywa czarnoksiężnik, istnieją naprawdę, może nasza świadomość jest także niezależna od powłoki z krwi i kości?

Glaedr wysunął ostry jak igła szpon i odwrócił kamień, odkrywając przycupniętego w gnieździe leśnego szczura. Chwycił go błyskawicznie, wysuwając czerwony język. Eragon skrzywił się, czując gasnące życie zwierzęcia.

*Gdy ciało ginie, ginie też dusza - oznajmił Glaedr.*

- Ale zwierzę to przecież nie człowiek - zaprotestował Eragon.

*Po swych długich medytacjach naprawdę wierzysz, że my wszyscy tak bardzo różnimy się od leśnego szczura? Że obdarzono nas czymś cudownym, darem, którego nie znają inne istoty i który w jakiś sposób zachowuje nas po śmierci?*

- Nie - mruknął Eragon.

*Tak też sądziłem. Z powodu łączącej nas więzi, gdy smok bądź Jeździec zostaje ranny, musi zamienić swe serce w kamień i zerwać połączenie po to, by chronić partnera przed zbędnym bólem czy nawet obłędem. A że duszy nie da się oderwać od ciała, musicie oprzeć się pokusie przyjęcia duszy partnera do siebie i ukrycia jej, bo doprowadziłoby to do śmierci was obojga. Nawet gdyby coś takiego było możliwe, istnienie wielu świadomości w jednym ciele stanowiłoby coś odrażającego.*

- Straszne - mruknął Eragon. - Umierać samotnie, oderwanym nawet od istoty sobie najbliższej.

*Każdy umiera samotnie, Eragonie. Nieważne, czy jesteś królem na polu bitwy, czy też biednym chłopem, konającym w łóżku wśród rodziny. Nikt nie może towarzyszyć ci w głąb otchłani... A teraz poćwiczmy odłączanie świadomości od ciała. Zaczynajcie od...*

☆☆☆

Eragon zapatrzył się na tacę z obiadem, pozostawioną w przedsionku domu na drzewie. Raz jeszcze przebiegł w pamięci jadłospis: chleb posmarowany masłem z orzechów laskowych, jagody, fasola, miska zieleniny, dwa jajka na twardo - niezapłodnione, żeby pozostać w zgodzie z poglądami elfów — i zakorkowany dzbanek świeżej, źródlanej wody. Wiedział, że każde z dań przygotowano z ogromną pieczą, że elfy dokładały wszelkich wysiłków, by jego posiłki były jak najlepsze, i że nawet Islanzadi nie jada lepiej. Nie mógł na to patrzeć.

*Chcę mięsa — warknęła i tupiąc głośno, wrócił do sypialni. Saphira spojrzała na niego ze swego legowiska. Wystarczy ryba albo drób, cokolwiek, byle tylko nie te jarzyny. Nie napęlniają mi brzucha. Nie jestem koniem, czemu więc karmią mnie jak konia?*

Smoczyca wyprostowała nogi i przeszła na skraj otworu w ścianie, wychodzącego na Ellesmerę.

*Od paru dni mam ochotę zjeść coś porządnego. Dołączysz do mnie? Możesz upiec sobie tyle mięsa ile zechcesz, elfy nigdy się nie dowiedzą.*

*Z radością - odparł uśmiechnięty Eragon. Zabrać siodło?*

*Nie polecimy aż tak daleko.*

Eragon zabrał szybko z juków sól, zioła i inne przyprawy, po czym ostrożnie, by nie nadwerężyć pleców, wdrapał się na grzbiet Saphiry i usiadł pomiędzy dwoma szpikulcami na jej grzbiecie.

Smoczyca odbiła się i na prądzie wznoszącym pofrunęła nad miasto. Po chwili opuściła kolumnę rozgrzanego powietrza, szybując w dół i w bok wzdłuż strumienia, który przecinał Du Veldenvarden i wpadał do jeziora parę mil dalej. Tam właśnie wylądowała. Przykucnęła, ułatwiając Eragonowi zejście.

*W trawie nad wodą mieszkają króliki - powiedziała. Może uda ci się parę złapać. Ja tymczasem zapoluję na jelenia.*

*A co, nie chcesz podzielić się własną zdobyczą?*

*Nie, nie chcę* - odparła zrzędliwie. *Choć zrobię to, jeśli uciekną ci te przerośnięte myszy.*

Uśmiechnął się szeroko, odprowadzając ją wzrokiem, po czym spojrzał na splątany gąszcz trawy i ziele barszczu otaczające jezioro, i zabrał się do zdobywania posiłku.

W niecałą minutę później wybrał z gniazda rodzinę martwych królików. Umysłem zlokalizował je w mgnieniu oka, po czym zabił jednym z dwunastu słów śmierci. Przekazane przez Oromisa umiejętności odebrały cały smak polowaniu. Nie musiałem ich nawet tropić, pomyślał, wspominając lata spędzone na szlifowaniu umiejętności myśliwskich.

Skrzywił się w cierpkim rozbawieniu. Kiedy wreszcie mogę upolować każde zwierzę, wydaje mi się to takie bezsensowne. Gdy u Broma polowałem kamykiem, przynajmniej stanowiło to jakieś wyzwanie. To... to zwykła rzeź.

Nagle usłyszał w głowie ostrzegawcze słowa kawałki Rhunón: „Gdy możesz zdobyć wszystko czego pragniesz, wypowiadając kilka słów, cel nie ma znaczenia, liczy się tylko podróż”.

*Powiniem był słuchać jej uważniej.*

Szybko dobył starego myśliwskiego noża i wyćwiczonymi ruchami obdarł ze skóry i wypatroszył króliki, po czym - odkładając na bok serca, płuca, nerki i wątroby - pogrzebał resztę wnętrzności, by zapach nie zwabił padlinożerców. Następnie wykopał w ziemi dziurę, nappełnił ją drewnem i rozpałił ognisko - za pomocą magii, bo nie zabrał hubki i krzesiwa. Przez chwilę doglądał go, aż w końcu uzyskał porządną żar. Wyciął rosnące obok młode drzewko, obdarł z kory i przypalił nad żarem, by pozbyć się gorzkiej żywicy. Nabił na nie króliki i zawiesił pomiędzy dwiema rozwidlonymi gałęziami, które zebrał z ziemi. Znalazł płaski kamień, ułożył na części ogniska i wysmarował tłuszczem, po czym na tak zaimprovizowanej patelni umieścił wnętrzności.

Saphira znalazła go przykucniętego przy ogniu i powoli obracającego rożen, by mięso upiekło się równomiernie. Wylądowała nieopodal. W szczękach trzymała martwą sarnę, w jej szponach tkwiły resztki drugiej. Usadowiwszy się wygodnie w pachnącej trawie, zaczęła pożerać swą ofiarę. Pochłonęła całą sarnę, łącznie ze skórą. Kości trzaskały w ostrych jak brzytwa zębach, niczym gałęzie pękające pod naporem wichury.

Gdy króliki już się upiekły, Eragon pomachał nimi w powietrzu, by ostudzić mięso, a potem spojrzał na lśniące, złociste pieczone i wciągnął nozdrzami niewiarygodnie kuszącą woń. Otworzył usta, by ugryźć pierwszy kęs - i nagle przypomniał sobie medytacje, to jak zapuszczał się w umysły ptaków, wiewiórek i myszy, jak bardzo kipiały energią, z jakim zapałem walczyły o prawo do istnienia w obliczu niebezpieczeństwa. A jeśli mają tylko to życie...

Z nagłą odrazą odrzucił mięso, wstrząśnięty faktem zabicia dwóch królików, jak gdyby zamordował dwoje ludzi. Żołądek ścisnął mu się gwałtownie i ogarnęły go mdłości.

Saphira przerwała posiłek i spojrzała na niego z troską.

Eragon odetchnął głęboko. Przycisnął pięści do kolan, próbując zapanować nad sobą i zrozumieć czemu zareagował tak gwałtownie. Przez całe życie jadał mięso, ryby i drób, uwielbiał je. Teraz jednak sarna myśl o rym, że mógłby posilić się mięsem królików, wywołała mdłości. Spojrzał na Saphirę.

*Nie mogę tego zrobić* - rzekł.

*Taki właśnie jest porządek rzeczy na świecie, wszyscy pożerają wszystkich. Czemu się mu opierasz?*

Zastanowił się nad tym pytaniem. Nie potępiał tych, którzy odżywiają się mięsem. Wiedział, że dla wielu biednych farmerów to jedyny sposób przetrwania. Sam jednak nie mógł już tego robić, chyba że stanąłby w obliczu śmierci głodowej. Odkąd odwiedził umysł królika, poczuł to, co czuje królik... Gdyby go zjadł, czułby się, jakby jadł samego siebie.

*Ponieważ możemy stawać się lepsi* - odparł. *Czy powinniśmy poddawać się impulsom nakazującym nam ranić bądź zabijać każdego, kto wzbudzi nasz gniew, brać wszystko, co zechcemy, od słabszych i lekceważyć odczucia innych: Stworzono nas niedoskonałymi. Musimy strzec się naszych wad, inaczej nas zniszczą.* - Wskazał króliki, - *jak powiedział Oromis - czemu mamy zadawać zbędne cierpienia?*

*Chcesz zatem wyrzec się wszelkich pragnień?*

*Tych, które są niszczycielskie.*

*Upierasz się przy tym?*

*Tak.*

*W takim razie - Saphira podeszła do niego - będę miała pyszny deser.*

W mgnieniu oka połknęła króliki, po czym oblizała kamień z wnętrzościami, szorując go szorstkim językiem.

*Ja sama nie mogę żywić się wyłącznie roślinami; to pokarm dla ofiar, nie dla smoka. Nie zamierzam się tego wstydzić. Wszystko ma swoje miejsce na tym świecie. Nawet królik o tym wie.*

*Nie chcę budzić w tobie wyrzutów sumienia.* Eragon poklepał ją po nodze. *To osobista decyzja, nikogo nie będę zmuszał do podobnej.*

*Mądrze powiedziane* - odparła z nutką sarkazmu w głosie.

## *Strzaskane jaja, zniszczone gniazda*

- Skup się, Eragonie - upomniął łagodnie Oromis.

Eragon zamrugał i przetarł oczy, próbując skoncentrować się na symbolach pokrywających kartkę papieru.

- Przepraszam, mistrzu.

Znużenie ciążyło mu niczym płyty ołowiu przywiązane do rąk i nóg. Mrużąc oczy, przyglądał się giętym, wdzięcznym symbolom. Uniósł gęsie pióro i rozpoczął przepisywanie od nowa.

Przez okno za plecami Oromisa widział zieloną półkę na szczycie skał Tel'naef - pokrywały ją pasma cieni rzucanych przez zachodzące słońce, Nad nią snuły się po niebie pasma pierzastych chmur.

Ręka Eragona podskoczyła gwałtownie, gdy jego nogę przeszła błyskawica bólu. Ze złamanego pióra bryznął atrament, rujnując jego pracę. Naprzeciw Oromis także poruszył się gwałtownie, ściskając prawą rękę.

*Saphiro!* - krzyknął Eragon, sięgnął ku niej umysłem.

Ku swemu zdumieniu natknął się na nieprzeniknioną barierę. Ledwie wyczuwał smoczyce - zupełnie jakby próbował ścisnąć w dłoni naoliwioną kulę z polerowanego granitu. Cały czas mu się wyslizgiwała.

Spojrzał na Oromisa.

- Coś się z nimi stało, prawda?

- Nie wiem. Glaedr wraca, ale nie chce ze mną rozmawiać.

Oromis zdjął ze ściany swój miecz, Naeglinga, wyszedł na dwór i z uniesioną głową stanął na skraju skał, czekając na złotego smoka.

Eragon dołączył do niego, myśląc o wszystkich możliwych i niemożliwych wypadkach, które mogły spotkać Saphirę. Oba smoki odleciały w południe na północ, do miejsca zwanego Skałą Strzaskanych Jaj, gdzie w dawnych czasach gniazdowały dzikie smoki. Lot nie miał być trudny. Na pewno nie napadły ich urgale; elfy nie wpuściłyby ich w głąb Du Veldenvarden, pocieszał się Eragon.

W końcu wysoko nad ich głowami pojawił się Glaedr - jasna iskra na tle ciemniejących chmur. Gdy opadł niżej, Eragon ujrzał ranę przecinającą tył przedniej nogi smoka, krwawą szramę wśród jasnych łusek, szeroką jak jego dłoń. Pomiędzy ocalałymi łuskami zbierała się szkarłatna krew.

W chwili, gdy smok dotknął ziemi, Oromis podbiegł do niego i zatrzymał się gwałtownie, słysząc warknięcie Glaedra. Podskakując na zranionej nodze, Glaedr podczołgał się na skraj lasu. Tam zwinął się w kłębek pod rozłożystymi gałęziami, zwrócony tyłem do Eragona, i zaczął wylizywać ranę.

Oromis podszedł i ukląkł w koniczynie u boku smoka, cierpliwie utrzymując dystans i zachowując spokój. Było pewne, że zamierza pozostać tam tak długo, jak będzie trzeba. Eragon kręcił się niespokojnie; czas płynął. W końcu Glaedr pozwolił swemu Jeźdźcowi podejść i zbadać nogę. Z gedwey ignasii Oromisa popłynęła magia, gdy elf położył dłoń na rozdarciu pośród łusek.

- Co z nim? - spytał Eragon, kiedy Oromis się cofnął.

- Rana wydaje się straszliwa, ale dla kogoś tak wielkiego jak Glaedr to zaledwie skaleczenie.

- A co z Saphirą? Wciąż nie mogę nawiązać z nią kontaktu.

- Musisz do niej pójść - odparł Oromis. - Jest ranna, i to nie tylko na ciele. Glaedr niewiele mówił o tym co zaszło, ale odgadłem resztę. Powinieneś się pośpieszyć.

Eragon rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś środka transportu. Jęknął, uświadamiając sobie, że niczego takiego nie ma.

- Jak mam do niej dotrzeć? To za daleko, by biec, nie ma żadnej drogi...

- Uspokój się, Eragonie. Jak nazywał się wierzchowiec, który przyniósł cię tutaj z Silthrimu?

Po chwili namysłu Eragon przypomniał sobie.

- Folkvir.

- Przywołaj zatem gramarye i wezwij go. Wymień jego imię i opisz swą potrzebę w najpotężniejszej mowie, a przybędzie, żeby ci pomóc.

Pozwalając, by magia napełniła jego głos, Eragon wykrzyknął, wzywając Folkvira. Jego prośba odbiła się echem od porośniętych lasem wzgórz, ulatując ku Ellesmerze. Ze wszystkich sił starał się przekazać, jak bardzo jest pilna.

Elf z zadowoleniem skinął głową.

- Dobrze się spisałeś.

Dwanaście minut później z mrocznych cieni między drzewami wyłonił się srebrzysty duch: Folkvira. Koń odrzucił w tył grzywę i parsknął radośnie, jego boki unosiły się ciężko, dowodząc, jak szybko pędził.

- Wróć, gdy tylko będę mógł - oznajmił Eragon, wskakując na grzbiet drobnego wierzchowca elfów.

- Zrób co musisz - odparł Oromis.

Wówczas Eragon dotknął piętami żeber Folkvira.

- Biegnij, Folkvi'rze, biegnij! - krzyknął.

Koń skoczył naprzód i pogalopował w głąb Du Veldenvarden, z niewiarygodną zręcznością odnajdując drogę między sękatymi sosnami. Obrazami myślowymi Eragon prowadził go ku Saphirze.

Ze względu na brak jakiegokolwiek ścieżki wiodącej przez poszycie koń taki jak Śnieżny Płomień potrzebowałby trzech, czterech godzin, by dotrzeć do Skały Strzaskanych Jaj. Folkv'irovi zabrało to nieco ponad godzinę.

U stóp bazaltowego monolitu - który wyrastał z lasu na podobieństwo cętkowanej, zielonej kolumny, wznosząc się dobre sto stóp ponad wierzchołki drzew - Eragon mruknął „stój”, po czym zsunął się na ziemię. Uniósł wzrok ku odległemu wierzchołkowi Skały Strzaskanych Jaj. Saphira tam była.

Okrzyknął szybko iglicę, szukając jakiegoś sposobu dotarcia na szczyt. Na próżno. Skała wznosiła się pionowo, pozbawiona szczelin, uchwytów, jakichkolwiek skaz odpowiednio dużych, by zdołał się wdrapać.

*To, co musisz zrobić, może zabołec* - pomyślał.

- Zostań tu - rzekł do Folkvira.

Koń spojrzał na niego.

- Jeśli chcesz, możesz się paść, ale zostań, dobrze?

Folkv'ir zadrżał i otarł aksamitny pysk o ramię Eragona.

- Tak, właśnie, dobry konik. Świetnie się spisałeś.

Wbijając wzrok w szczyt monolitu, Eragon zebrał siły.

- W górę - rzekł w pradawnej mowie.

Dopiero później pojął, że gdyby nie przywykł do lotów na grzbiecie Saphiry, samo doświadczenie mogłoby okazać się tak porażające, że straciły panowanie i runął na spotkanie śmierci. Ziemia pod jego stopami zaczęła błyskawicznie maleć, pnie drzew zwężyły się, gdy poszybował ku ich koronom i ciemniejszemu, wieczornemu niebu. Gałęzie chwytały jego twarz i ramiona zachłannymi palcami, nie chcąc go przepuścić. W odróżnieniu od lotów z Saphirą zachował poczucie własnego ciężaru, zupełnie jakby nadal stał na twardym gruncie.

Gdy dotarł do krawędzi Skały Strzaskanych Jaj, przesunął się naprzód i uwolnił magię, lądując lekko na kępie mchu. Wyczerpany, osunął się na ziemię, czekając, czy wysiłek rozпали ból w jego plecach. Westchnął z ulgą, stwierdzając, że zdołał uniknąć ataku.

Z wierzchołka monolitu wyrastały poszarpane wieże, rozdzielone głębokimi, szerokimi jarami, w których rosło zaledwie kilka nieśmiałych dzikich kwiatów. W bokach wież ziały otwory

czarnych jaskiń, zarówno naturalnych, jak i wyżłobionych w bazalcie szponami grubymi jak udo Eragona. Dno jaskiń wyścielała głęboka warstwa pokrytych porostami i mchami kości i innych szczątków dawnych smoczyczych ofiar. W miejscu gdzie niegdyś mieszkwały smoki, teraz gniazdowały ptaki - jastrzębie, sokoły i orły, obserwujące go ze swych gniazd, gotowe zaatakować, gdyby zagroził ich potomstwu.

Eragon ruszył naprzód, lawirując pośród złowieszczych skał. Bardzo uważał, by nie skrećić kostki na luźnych kamieniach ani nie zbliżyć się zanadto do rozszczepiających kolumny głębokich szczelin. Kilka razy musiał wdrapywać się na skalne grzebienie, dwa razy wlecieć za pomocą magii. Wszędzie wokół widział ślady obecności smoków, począwszy od głębokich zadrapań w bazalcie, po kałuże stopionego kamienia i liczne zmełniałe, bezbarwne łuski, tkwiące w szczelinach wraz z innymi śmieciami. Raz nadepnął nawet na coś ostrego i gdy się schylił, odkrył, że jest i to fragment skorupy zielonego smoczego jaja.

Ze wschodniej ściany monolitu wyrastała najwyższa wieża, pośrodku której niczym położona na boku czarna studnia, widniała największa jaskinia. Tam właśnie Eragon ujrzał w końcu Saphirę, skuloną w zagłębieniu pod ścianą, tyłem do wejścia. Ciałem smoczycy wstrząsały dreszcze, na ścianach jaskini było widać świeże ślady ognia, a wokół leżały stosy pokruszonych kości.

- Saphiro. - Eragon odezwał się głośno, bo wciąż zamykała przed nim umysł.

Smoczycy gwałtownie obróciła głowę i spojrzała na niego jak na kogoś obcego. Pod wpływem padających na nią promieni zachodzącego słońca jej źrenice zwęziły się w czarne szparki. Warknęła niczym dziki pies, a potem znów się odwróciła. Czyniąc to, uniosła lewe skrzydło, ukazując przecinającą udo długą, poszarpaną ranę. Na ten widok Eragonowi zamarło serce.

Wiedział, że smoczycy nie pozwoli mu podejść, więc zachowywał się podobnie jak Oromis wobec Glaedra: ukląkł pośród potrzaskanych kości i czekał. Trwał w milczeniu, nieruchomo, aż w końcu zdrętwiały mu nogi, a ręce zeszywniały z zimna. Niewygody jednak nie przeszkadzały Eragonowi. Chętnie zapłaciłby dużo wyższą cenę, byle tylko pomóc Saphirze. W końcu smoczycy odezwała się cicho:

*Byłam głupia.*

*Wszyscy bywamy głupi.*

*To wcale nie sprawia, że czujesz się lepiej, gdy przychodzi kolej na ciebie.*

*Chyba nie.*

*Zawsze wiedziałam co robić. Gdy Garrow zginął, wiedziałam, że powinniśmy ścigać Ra'zaców. Kiedy umarł Brom, wiedziałam, że powinniśmy udać się do Gileadu, a potem do Vardenów. A gdy zginął Ajihad, wiedziałam, że powinieneś ślubować wierność Nasuadzie. Zawsze jasno widziałam przed sobą drogę, ale nie teraz. Teraz czuję się całkowicie zagubiona.*

*O co chodzi, Saphiro?*

*Zamiast odpowiedzieć, zmieniła temat.*

*Wiesz, czemu nazywają to miejsce Skalą Strzaskanych Jaj?*

*Nie.*

*Ponieważ podczas wojny smoków z elfami elfy wyśledziły nas, odnalazły to miejsce i zabity nas we śnie. Zniszczyły nasze gniazda i magią strzaskały jaja. Tego dnia na las spadł deszcz krwi. Od tej pory nie mieszkał tu żaden smok.*

Eragon milczał; nie dlatego tu przybył. Zamierzał poczekać, aż Saphira sama opowie o tym co zaszło.

*Powiedz coś - rzuciła ostro.*

*Pozwolisz mi uleczyć twoją nogę?*

*Zostaw ją w spokoju.*

*Zatem zostanę tu milczący jak posąg i będę tak siedział, aż rozpadnę się w pył, od ciebie bowiem otrzymałem cierpliwość smoków.*

Gdy w końcu się odezwała, mówiła z wahaniem, goryczą i nutą szyderstwa.

*Wstyd mi to przyznać, lecz kiedy przybyliśmy tu po raz pierwszy i ujrzałam Glaedra, poczułam ogromną radość, że prócz Shruikana przetrwał jeszcze ktoś z mojej rasy. Nigdy wcześniej nie widziałam smoka poza tymi we wspomnieniach Broma. I sądziłam... sądziłam, że Glaedra równie mocno ucieszy mój widok.*

*Ależ ucieszył.*

*Nie rozumiesz. Pomyślałam, że będzie dla mnie partnerem i że razem odbudujemy naszą rasę.*

*Parsknęła, a z jej nozdrzy wytrysnęły płomienie.*

*Myliliłam się, on mnie nie chce.*

*Eragon starannie dobrał słowa, by pocieszyć smoczycę i jej nie urazić.*

*To dlatego że wie, że jesteś przeznaczona komuś innemu, jednemu z dwóch niewyklutych jeszcze smoków. Nie powinien też wiązać się z tobą, skoro jest twym nauczycielem.*

*A może po prostu uważa, że brak mi urody?*

*Saphiro, żaden smok nie jest brzydki, a ty jesteś z nich najpiękniejsza.*

*Jestem głupia* - mruknęła, podniosła jednak lewe skrzydło, pozwalając mu zająć się obrażeniami.

Eragon podkuśtykał do boku Saphiry i obejrzał szkarłatną ranę, rad, że Oromis podsunął mu tak wiele zwojów traktujących o anatomii. Cios, zębów bądź szponów, nie potrafił określić - rozszarpał mięsień czworogłowy pod skórą Saphiry. Rana sięgała niemal kości i Eragon wiedział że samo zamknięcie jej powierzchni, tak jak to czynił po wielokroć, tym razem nie wystarczy. Trzeba będzie naprawić mięsień.

Zakłęcie, którego użył, było długie i złożone, nie do końca też rozumiał wszystkie jego części, nauczył się go bowiem na pamięć ze starożytnego tekstu, niepodającego zbyt wielu wyjaśnień poza stwierdzeniem, że jeśli nie doszło do złamań kości ani uszkodzeń organów wewnętrznych, „urok ten uleczy każdą ranę gwałtownego pochodzenia, prócz samej ponurej śmierci”. Eragon wypowiedział zakłęcie i patrzył zafascynowany, jak mięsień Saphiry porusza mu się pod palcami - żyły, nerwy i włókna spletały się i łączyły - i scala. Ze względu na wielkość rany i własne osłabienie nie odważył się uleczyć jej wyłącznie energią ze swego ciała, zaczerpnął jej więc także z ciała Smoczycy.

*Swędzi* - mruknęła Saphira, gdy skończył.

Eragon westchnął i oparł się plecami o szorstką bazaltową ścianę. Przez spuszczone rzęsy oglądał zachód słońca.

*Obawiam się, że będziesz musiała mnie stąd zabrać. Jestem zbyt zmęczony, by się ruszyć.*

Z suchym szelestem łusek i kości smoczycy obróciła się w miejscu i położyła głowę na ziemi obok niego.

*Odkąd przybyliśmy do Ellesmery, źle się traktowałam. Puszczalam mimo uszu twoje rady, a powinnam była słuchać. Ostrzegales mnie co do Glaedra, ale byłam zbyt dumna, żeby dostrzec prawdę w twych słowach. Zawiodłam cię, nie byłam ci dobrą towarzyszką zdradziłam swe przeznaczenie jako smoka i zhańbiłam honor Jeźdźców.*

*Nie nigdy* - odparł gwałtownie. *Saphiro, nigdy mnie nie zawiodłaś, Owszem, popełniłaś błąd, ale to był uczciwy błąd. Na twoim miejscu każdy postąpiłby tak samo.*

*To nie tłumaczy mojego zachowania względem ciebie.*

Próbował spojrzeć smoczycy w oczy, ona jednak unikała jego spojrzenia. W końcu dotknął jej szyi.

*Saphiro, członkowie rodziny wybaczą sobie nawzajem, nawet jeśli nie zawsze rozumieją, czemu ktoś zachował się tak a nie inaczej. Jesteś moją, jesteś moją rodziną, tak samo jak Roran. Nie, jeszcze bardziej. Nic, co zrobisz, tego nie zmieni, nic.*

Gdy nie odpowiedziała, sięgnął do jej głowy i połaskotał skrawek odsłoniętej skóry za uchem.

*Słyszysz mnie?*

*Nie.*

Smoczyca zakasłała cicho, z niechętnym rozbawieniem, po czym wygięła szyję i uniosła głowę, umykając przed jego roztańczonymi palcami.

*Jak mam teraz spojrzeć Glaedrowi w oczy? Był okropnie zagniewany. Cała skała drżała od siły jego furii.*

*Przynajmniej nie ustąpiłaś pola, gdy cię zaatakował.*

*Było dokładnie odwrotnie.*

Zaskoczony Eragon uniósł brwi.

*Tak czy inaczej, pozostaje ci tylko przeprosić.*

*Przeprosić?*

*Tak. Idź, powiedz mu, że ci przykro, że to się już nie powtórzy i że chcesz kontynuować szkolenie. Z pewnością wysłucha cię życzliwie, jeśli dasz mu szansę.*

*No dobrze - rzekła cicho.*

*Kiedy to zrobisz, poczujesz się lepiej.* Uśmiechnął się szeroko. *Wiem to z doświadczenia.*

Mruknęła w odpowiedzi, podreptała na skraj jaskini i przykucnąwszy powiodła wzrokiem po falującym lesie.

*Powinniśmy już lecieć, wkrótce zrobi się ciemno.*

Eragon zacisnął zęby i zmusił się, by wstać; każdy ruch sprawiał mu ogromną trudność. Powoli wdrapał się na grzbiet smoczycy, dwa razy wolniej niż zazwyczaj.

*Eragonie, dziękuję, że przybyłeś. Wiem, że ryzykowałeś kolejny atak.*

Poklepał ją po ramieniu.

*Znów jesteśmy jednością?*

*Jesteśmy jednością.*



## Dar smoków

Dni dzielące ich od Agaeti Blódhren były najlepszymi i najgorszymi w życiu Eragona. Ból pleców dolegał mu bardziej niż kiedykolwiek, pozbawiając go resztek sił i wytrzymałości, i niszcząc spokój umysłu. Żył teraz w ciągłym lęku przed kolejnym atakiem. Z drugiej jednak strony nigdy dotąd nie byli sobie tak bliscy z Saphirą. Dosłownie żyli razem w swych umysłach. A od czasu do czasu dom na drzewie odwiedzała Arya i spacerowała po Ellesmerze z Eragonem i Saphirą. Nigdy jednak nie przychodziła sama, zawsze przyprowadzała Orika bądź kotołaczkę Maud.

W czasie owych wędrówek Arya przedstawiała Eragona i Saphirę najznamienitszym z elfów: wielkim wojownikom, poetom i artystom. Zabierała ich na koncerty pod sosnowym sklepieniem i pokazywała wiele ukrytych cudów Ellesmery.

Eragon korzystał z każdej sposobności, by z nią porozmawiać. Opowiedział jej o swym dorastaniu w dolinie Palancar, o Roranie, Garrowie i ciotce Marian, a także o Sloanie, Elthbercie i innych wieśniakach. Mówił o miłości, jaką żywił do otaczających Carvahall gór i ognistych zórz ozdabiających nocą zimowe niebo. Opowiedział, jak kiedyś do jednej z beczek z garbnikami Gedrica wpadła lisica i trzeba ją było wyłowić siatką. Mówił o radości, jaką znajdował w sianiu roślin, plewieniu i podlewaniu, obserwowaniu jasnozielonych delikatnych kielków wzrastających pod jego okiem. Radości, którą - jak wiedział - ona ze wszystkich znanych mu osób rozumiała najlepiej.

Sam z kolei od czasu do czasu dowiadywał się czegoś z jej życia. Słuchał wzmianek o dzieciństwie, przyjaciółach i rodzinie, a także doświadczeniach wśród Vardenów. Mówiła o nich z największą swobodą, opisując ataki i bitwy, w których uczestniczyła, traktaty, które pomogła wynegocjować spory z krasnoludami i ważne wydarzenia, jakie oglądała podczas misji ambasadora. Dzięki niej i Saphirze w sercu Eragona chwilowo zapanował spokój. Była to jednak chwiejna równowaga, którą mogło naruszyć nawet najdrobniejsze wydarzenie. Największym wrogiem był czas: po Agaeti Blódhren Arya miała opuścić Du Veldenvarden. Eragon zatem napawał się każdą spędzoną razem chwilą i z przerażeniem myślał o nadejściu uroczystości. Całe miasto kipiało podnieceniem, gdy elfy szykowały się do święta. Eragon nigdy dotąd nie widział ich tak podekscytowanych. Udekorowały las kolorowymi girlandami i lampami, rozwieszonymi gęsto, zwłaszcza wokół drzewa Menoa. Na samym drzewie, na czubku każdej gałęzi pojawiły się lampiony, lśniąco niczym świetliste łyzy. Eragon zauważył, że nawet rośliny przybrały świąteczny wygląd. Co dzień wokół pojawiały się nowe, barwne kwiaty. Nocami często słyszał śpiewające im elfy.

Każdego dnia setki elfów przybywały do Ellesmery z miast rozrzuconych w głębi puszczy, bo żaden z własnej woli nie opuściłby urządzonych raz na sto lat obchodów, upamiętniających przymierze ze smokami. Eragon domyślił się, że wiele z nich przybyło też, by poznać Saphirę.

*Czasem mam wrażenie, że zajmuję się wyłącznie powtarzaniem ich pozdrowień - pomyślał.*

Elfy nieobecne z powodu ważnych obowiązków miały jednocześnie urządzić własne uroczystości i uczestniczyć w tych w Ellesmerze, postrzegając je w zaklętych zwierciadłach ukazujących ich podobizny tak, by nikt nie czuł się szpiegowany.

Tydzień przed Agaeti Blódhren, gdy Eragon i Saphira mieli powrócić do swej siedziby ze skał Tel'naeir, Oromis zatrzymał ich.

- Oboje powinniście się zastanowić, co przyniesiecie na Święto Przysięgi Krwi. O ile stworzenie waszych dzieł nie wymaga magii, sugeruję, byście nie korzystali z gramarye. Nikt nie uszanuje daru, jeśli będzie on stanowił efekt działania zaklęcia, a nie dzieło waszych rąk. Sugeruję też, by każde z was przygotowało coś osobno. Tak nakazuje zwyczaj.

*Masz jakiś pomysł?*— spytał Saphirę Eragon, kiedy znaleźli się w powietrzu.

*Możliwe, ale jeśli ci to nie przeszkadza, wolalabym najpierw sprawdzić, czy się uda.*

Nim zablokowała umysł, zdążył dostrzec w jej myślach nagi kamień, wyrastający z leśnego poszycia.

Uśmiechnął się szeroko.

*Dasz jakąś odpowiedź?*

*Ogień. Mnóstwo ognia.*

Gdy wrócili do domu, Eragon zaczął analizować swe umiejętności.

*Najlepiej znam się na uprawie roli, ale nie widzę, jak mógłbym to wykorzystać. Nie mogę też konkurować z elfami w dziedzinie magii, ani dorównać kunsztowi ich rzemiosła. Zdolnościami przewyższając najlepszych mistrzów imperium.*

*Masz jednak coś, czym nie dysponuje nikt inny - zauważyła Saphira*

*To znaczy?*

*Twoją tożsamość, historię, czyny, sytuacje w jakich się znalazłeś. Skorzysta z nich, by ukształtować swoje dzieło, a stworzysz coś wyjątkowego. Cokolwiek zrobisz, odwołaj się do spraw, które są dla ciebie najważniejsze. Tylko wtedy będzie to miało głębię i znaczenie, i tylko wtedy poruszy innych.*

Spojrzał na nią zaskoczony.

*Nigdy nie sądziłem, że tak dobrze znasz się na sztuce.*

*Nie znam się - odparła. Zapominasz, że gdy odleciałeś z Glaedrem, spędziłam popołudnie, patrząc, jak Oromis maluje swe zwoje. Rozmawiał o tym ze mną bardzo długo.*

*A tak, zapomniałem.*

Gdy Saphira odeszła, by zająć się swym projektem, Eragon zaczął krążyć po skraju otworu w sypialni, zastanawiając się nad jej słowami. Co jest dla mnie ważne? - spytał samego siebie. Oczywiście Saphira i Arya oraz bycie dobrym Jeźdźcem. Ale czy mogę na ten temat powiedzieć coś, co nie byłoby absolutnie oczywiste? Cenię piękno natury, lecz elfy powiedziały już w tym temacie wszystko, co było do powiedzenia. Cała Ellesmera stanowi pomnik ich oddania przyrodzie. Spojrzał w głąb siebie, szukając czegoś, co porusza w nim najgłębsze, najmroczniejsze struny, co budzi w nim najgłębsze uczucia - miłość bądź nienawiść - tak mocne, że chciałby się nimi podzielić.

Znalazł trzy takie rzeczy: ranę zadaną rękami Durzy, strach przed czekającą go pewnego dnia walką z Galbatorixem i pieśni elfów, które tak bardzo go zafascynowały.

Z nagłym podnieceniem odkrył, że w jego głowie splata się opowieść łącząca elementy wszystkich tych trzech rzeczy. Lekkim krokiem wbiegł po krętych schodach, przeskakując po dwa stopnie na raz. Usiadł za biurkiem w gabinecie, zanurzył pióro w kałamarzu i uniósł je drżące nad pustą kartką. Pióro zaskrobało, gdy nakreślił pierwsze wersy.

*W królestwie, hen, gdzie morza brzeg,*

*A góry kryje nieba płaszc...*

Słowa same spływały mu z pióra. Czuł się, jakby nie wymyślał swej opowieści, lecz jedynie stał się pośrednikiem, przekazującym ją światu. W pełni ukształtowaną. Eragon, który nigdy wcześniej nie ułożył własnej pieśni, czuł dziwny dreszcz emocji, niczym odkrywca, zwłaszcza że wcześniej nie podejrzewał, że mógłby kiedykolwiek zostać bardem.

Pisał zapamiętane, nie przerywając nawet na posiłek. Podwinął do łokci rękawy tuniki, chroniąc je przed bryzgającym z przyciskanego gwałtownie pióra inkaustem. Był tak bardzo skupiony, że słyszał jedynie rytm własnego wiersza, widział wyłącznie pustą kartkę i nie myślał o niczym prócz fraz zapisanych ognistymi literami w jego głowie.

Półtorej godziny później wypuścił pióro ze zdrtwiałej dłoni, odsunął krzesło i wstał. Leżało przed nim czternaście kart; nigdy dotąd nie zapisał ich na raz aż tylu. Wiedział, że jego wiersz nie dorówna dziełom wielkich elfich i krasnoludzkich poetów, miał jednak nadzieję, że okaże się wystarczająco szczery, by elfy go nie wyśmiały.

Po powrocie Saphiry przeczytał jej głośno swój poemat.

*Och, Eragonie - rzekła, wysłuchawszy go - tak bardzo się zmieniłeś, odkąd opuściliśmy dolinę Palancar. Myślę, że sam nie poznałbyś owego młodzika, który wyruszył w świat w poszukiwaniu zemsty. Tamten Eragon nie potrafiłby napisać pieśni na modłę elfów. Nie mogę się już doczekać, kim się staniesz za następne pięćdziesiąt bądź sto lat.*

Uśmiechnął się.

*Jeśli tyle pożyję.*

☆☆☆

- Surowa, ale prawdziwa - orzekł Oromis, gdy Eragon odczytał mu Pieśń.

- A zatem podoba ci się?

- To dobry obraz stanu twego umysłu w chwili obecnej i wciągająca lektura, lecz nie arcydzieło. Oczekiwałeś czegoś więcej?

- Raczej nie.

- Zaskoczyłeś mnie jednak, że potrafiłeś wyrazić to w tym języku. Nie istnieje żadna bariera niepozwalająca pisać literatury w pradawnej mowie. - Trudność pojawia się, gdy ktoś próbuje ją odczytać. To bowiem wymaga wypowiedzenia nieprawdy, na co magia nie pozwoli.

- Ja mogę ją wypowiedzieć - odparł Eragon - bo wierze że jest prawdziwa.

- I to daje twemu pisaniu potężną siłę. Zaimponowałeś mi, Eragon-finiarel. Twój wiersz będzie godnym dodatkiem do Święta Przysięgi Krwi. - Oromis uniósł palec, sięgnął pod szatę i wręczył Eragonowi ciasno obwiązany wstążką zwój. - Na tym papierze zapisałem dziesięć barier które winienesz rozmieścić wokół siebie i krasnoluda Orika. Jak przekonałeś się w Silthrimie, nasze święta są dość niezwykle i niebezpieczne dla istot obdarzonych mniejszą siłą. Bez ochrony ryzykujecie, że rozpląnięcie się w morzu magii. Widziałem już coś takiego. Nawet otoczony barierami, musisz uważać, by nie dać się porwać fali niesionych z wiatrem emocji. Strzeż się nieustannie, gdyż w czasie święta my, elfy, popadamy czasem w szaleństwo - cudowne i wspaniałe, ale jednak szaleństwo.

☆☆☆

W wigilię Agaeti Blóðhren - które miało trwać trzy dni - Eragon, Saphira i Orik poszli wraz z Aryą pod drzewo Menoa, gdzie zebrała się grupa elfów. Ich czarne i srebrne włosy lśniły w blasku lampionów. Na uniesionym korzeniu u podstawy pnia stała Islanzadi, wysoka, blada i piękna. Na lewym ramieniu królowej przysiadł Bładgen, tuż za nią czaiła się kotołaczka Maud. Był tam Glaedr, a także Oromis odziany w czerwień i czerń, i inne elfy, które Eragon poznał, wśród nich Lifaen, Nari oraz, ku jego niezadowoleniu, Vanir. Na aksamitnym niebie migotały gwiazdy.

- Zaczekajcie tutaj - poleciła Arya.

Przecisnęła się przez tłum i wróciła, prowadząc Rhunón. Kowalka zamrugła jak sowa, rozglądając się wokół. Eragon powitał ją, a ona pozdrowiła skinieniem głowy jego i Saphirę.

- Bądźcie pozdrowieni, Jasnołuska, Cieniobójco.

Nagle dostrzegła Orika i zwróciła się do niego po krasnoludzku. Orik odpowiedział z entuzjazmem, wyraźnie zachwycony, że może porozmawiać z kimś w swej ojczystej mowie.

- Co powiedziała? - Eragon schylił się.

- Zaprosiła mnie do swego domu, bym obejrzał jej dzieła i porozmawiał o sztuce kowalskiej.

-Twarz Orika zdradzała głęboki podziw. - Eragonie, ona nauczyła się tej sztuki od samego Futharka, jednego z legendarnych grimstborithn Durgrimst Ingeitum! Ileż bym dał, żeby go poznać.

☆☆☆

Pamiętał elfy przycupnięte niczym stado ptaków na rozłożystych gałęziach drzewa Menoa. Trącały palcami struny złotych harf i wykrzykiwały zagadki do siedzącego w dole Glaedra. Od czasu do czasu unosiły też palce ku niebu, na którym rozbłyskiwały wielobarwne iskry, przybierające najróżniejsze kształty i gasnące powoli...

☆☆☆

Pamiętał, że siedział w dolince oparty o bok Saphiry i patrzył, jak ta sama elfia panna kołysze się przed zafascynowaną publicznością, śpiewając:

*Odleciś, hen, daleko stąd.  
Za góry, lasy.  
Gdzieś w odległy ład.  
Odleciś, hen, daleko stąd,  
By nigdy nie wrócić już.*

*Odejdzieś, tak, odejdzieś stąd  
I nie zobaczę cię tu już.  
Odejdzieś, tak, odejdzieś stąd,  
Choć czekać będę wiecznie już.*

☆☆☆

Pamiętał niekończące się wiersze, niektóre rozdzierająco smutne, inne radosne, choć większość łączyła jedno z drugim. Wysłuchał całego wiersza Aryi i uznał, że jest piękny, a także wiersza Islanzadi, dłuższego, lecz równie wspaniałego. Wszystkie elfy zebrały się, by wysłuchać tych dzieł...

☆☆☆

Pamiętał cuda, jakie elfy przyniosły na święto. Większość z nich wcześniej uznałby za niewykonalne, nawet za pomocą magii. Łamigłówki i zabawki, dzieła sztuki i broń, a także przedmioty, których przeznaczenie mu umykało. Jeden z elfów z czarował szklaną kulę tak, że co kilka sekund w jej sercu rozkwitał inny kwiat. Inny elf przez dziesiątki lat wędrował po Du Veldenvarden, ucząc się na pamięć dźwięków żywiołów, a teraz najpiękniejsze z nich wygrywał w kielichach setki białych lilii. Rhunón przyniosła tarczę, która nigdy nie pęka, parę rękawic utkanych ze stalowej nici, pozwalających chwytać w dłonie stopiony ołów i inne metale oraz delikatną rzeźbę lecącego strzyżyka, wykutą z solidnego bloku metalu i pomalowaną tak zręcznie, że ptak wyglądał jak żywy. Drewniana piramida, wysoka na osiem cali i złożona z pięćdziesięciu ośmiu zazębających się elementów, stanowiła dar Orika. Elfy przyjęły ją z zachwytem i natychmiast zaczęły rozbierać i składać ponownie, gdy tylko na to pozwalał. Nazwały go Mistrzem Długą Brodą, powtarzając:

- Zręczne palce to zręczny umysł.

☆☆☆

Pamiętał, jak Oromis odciąga go na bok, z dala od muzyki.

- Co się stało? - spytał Eragon.

- Musisz oczyścić umysł. - Nauczyciel poprowadził go ku zwałonemu pniowi i posadził. – zostań tu parę minut, poczujesz się lepiej.

- Nic mi nie jest, nie muszę odpoczywać - zaprotestował.

- W tej chwili nie jesteś w stanie sam tego ocenić. Zostań tu, póki nie zdołasz wymienić z pamięci mniejszych i większych zaklęć przemiany. Wtedy możesz do nas dołączyć. Obiecuj mi...

☆☆☆

Pamiętał mroczne niezwykle istoty, przybywające z głębi puszczy. Większość stanowiły zwierzęta, odmienione przez zalegającą w Du Veldenvarden magię i przyciągane na Agaeti Blóðhren tak, jak jedzenie wabi konających z głodu. Bliskość magii elfów jakby je ożywiała. Większość pokazywała się tylko jako para błyszczących oczu na granicy światła i mroku. Jednym z tych, które ujawniły się w pełni, była wilczyca - pod postacią kobiety w białej szacie - którą Eragon spotkał już wcześniej. Przycupnęła pod krzakiem, odsłaniając w rozbawionym uśmiechu zęby ostre jak sztylety. Spojrzenie jej żółtych oczu cały czas wędrowało dokoła. Lecz nie wszystkie istoty były zwierzętami. Przybyły też elfy, które odmieniły swą pierwotną postać dla osiągnięcia lepszej sprawności lub innego ideału piękna. Nad głową Eragona przeskoczył elf porośnięty cętkowanym futrem i nadal szalał wokół, zarówno na dwóch nogach, jak i na czworakach. Głowę miał wąską i wydłużoną, o uszach przypominających kocie, ręce sięgały mu do kolan, a dłonie o długich palcach miały wyraźnie zaznaczone poduszeczki.

Później przed obliczem Saphiry stanęły dwie identyczne elfki. Poruszały się z płynną gracją, a gdy dotknęły dłońmi ust w tradycyjnym powitaniu, Eragon dostrzegł, że między ich palcami rozpościera się przejrzysta błona.

- Przybyliśmy z daleka - wyszeptaly.

Gdy mówiły, na bokach ich smukłych szyj pulsowały trzy rzędy skrzel, odsłaniających pasma różowego ciała. Skóra elfki lśniła jak naoliwiona, proste włosy spływały na wąskie ramiona.

Spotkał elfa uzbrojonego w nakładające się na siebie łuski jak u smoka, o głowie zwieńczonej kościanym grzebieniem, szpikulcach wyrastających z kręgosłupa i dwóch białych płomykach migoczących w szerokich nozdrzach.

Spotykał też inne, mniej charakterystyczne postaci: elfy, których sylwetki falowały, jakby odbijały się w lustrze wody; elfy, które pozostając bez ruchu, niczym nie różniły się od drzew. Wysokie elfy o czarnych oczach pozbawionych białek i straszliwej urodzie budzącej grozę w jego sercu. Gdy te elfy dotykały czegoś, przenikały przez to niczym cień.

Najdobitniejszy przykład stanowiło samo drzewo Menoa, będące niegdyś elfką Linneą. W miarę rozwoju wydarzeń na polanie drzewo sprawiało wrażenie, jakby kipiało coraz intensywniejszym życiem. Jego gałęzie poruszały się, choć nie dotykał ich najlżejszy powiew. Czasami było słycać trzeszczenie pnia w rytm muzyki, a z samego drzewa promieniowała aura łagodnej dobroćności, obejmująca wszystkich znajdujących się w pobliżu...

☆☆☆

I pamiętał też dwa ataki bólu przeszywające plecy. Pamiętał, jak krzyczał i jęczał wśród cieni, podczas gdy wokół tańczyły oszalałe elfy i tylko Saphira przychodziła go strzec...



Trzeciego dnia Agaeti Blódhren - dowiedział się o tym później - Eragon wygłosił swój poemat elfom. Wstał i zwrócił się do nich.

- Nie jestem kowalem, nie znam się też na rzeźbie, garncarstwie, malarstwie czy jakiegokolwiek ze sztuk. Nie potrafię również dorównać wam w dziedzinie zaklęć. Pozostają mi zatem tylko moje własne doświadczenia. Próbowałem oddać je przez pryzmat historii, choć nie jestem bardem.

A potem, tak jak Brom recytujący pieśni w Carvahall, Eragon zaintonował:

*W królestwie, hen, gdzie morza brzeg,  
A góry kryje nieba płaszcz,  
W zimowy dzień mąż zrodził się.  
Co jasny miał przed sobą szlak:*

*Zabić mrocznego Durzę  
W kraju, gdzie zaległ cień.*

*Chowany tam przez mędrców chór,  
Wśród dębów starych jak sam czas,  
Z jeleniem chyżym ścigał się  
Iz wilkiem walczył, by móc wnet*

*Zabić mrocznego Durzę  
W kraju, gdzie zaległ cień.*

*Skradać się zaś go uczył człek  
W czerni, sam złodziej, zręczna dłoń,  
Sekrety walki, cios i zwód,  
Cios, pchnięcie, sztych, by kiedyś mógł*

*Zabić mrocznego Durzę  
W kraju, gdzie zaległ cień.*

*Szybko jak myśl mu płynął czas  
I człek ów wszedł już w męski wiek,  
W żyłach mu wrzała gniewem krew,  
Młodzieńczy zapal tlił się też.*

*I spotkał dziewczę, poczuł żar,  
Wiotka i smukła kibić jej,  
Na czole Gedy płonął blask,  
A za nią sukni zwiewny tren.*

*I tak w granacie ciemnych ocz,  
W źrenicach jej, otchłaniach dwóch  
Ujrzał przyszłości jasny blask,  
W której nie będą musieć już*

*Lękać się mroku Durzy  
W kraju, gdzie zaległ cień.*

I opowiedział im, jak ów mąż wyprawiał się do krainy Durzy, gdzie odszukał i walczył z wrogiem mimo chłodnej grozy ściskającej mu serce. Choć jednak w końcu zatriumfował, wstrzymał śmiertelny cios, teraz bowiem, gdy pokonał wroga, nie lękał się losu śmiertelników. Nie musiał zabijać mrocznego Durzy. Człowiek ów schował zatem miecz do pochwy, wrócił do domu i w letni wieczór poślubił swą ukochaną. Przeżył z nią w spokoju wiele dni, aż jego broda urosła długa i siwa. Ale:

*Przed świtem, gdy najgłębszy mrok,  
W komnacie, w której mąż ów spał,  
Wróg mroczny stanął nad nim, bo  
Tamtemu siłę zabrał czas.*

*Z poduszek głowę uniósł mąż  
I spojrzął w chłodne niby lód  
Oblicze Śmierci, pustą twarz.  
Król wiecznej nocy patrzył w dół.*

*I poczuł mąż, jak w sercu mu  
Spokój rozkwita; dawno już  
Uścisku Durzy nie bał się,  
Ostatnie to, co czuje człek.*

*Łagodnie, jak poranka dech,  
Schylił nad nim się ów wróg,  
Ducha żywego zabrał, i  
Odtąd w pokoju żyli już*

*Na wieki w sercu Durzy  
W kraju, gdzie zaległ cień.*

Eragon umilkł. Boleśnie świadom wpatrzonych weń oczu, opuścił głowę i szybko poszukał sobie miejsca siedzącego. Czuł się zakłopotany, że ujawnił tak wiele z siebie.

- Nie doceniasz swych zdolności, Cieniobójco - rzekł jeden z elfich panów Dathedr.

- Wygląda na to, że odkryłeś w sobie nowy talent. - Islanzadi uniosła bladą dłoń.

- Twoje dzieło zostanie dodane do wielkiej biblioteki w dworze Tialdari, Eragon-finiarel, aby mógł je poznać każdy, kto zechce. Choć twoja pieśń to alegoria, myślę, że wielu z nas pomogła lepiej zrozumieć trudy, jakim musiałeś stawić czoło, odkąd objawiło ci się jajo Saphiry, za co przecież odpowiadamy. Musisz odczytać nam ją ponownie, byśmy mogli wszystko głębiej przemyśleć.

Eragon z radością skłonił głowę i posłuchał rozkazu królowej. Potem nadeszła kolej Saphiry. Smoczyca odleciała w noc i powróciła, trzymając w szponach czarny kamień, trzykrotnie przewyższający rosłego mężczyznę. Wylądowawszy na tylnych łapach, ustawiła kamień pionowo pośrodku pustego trawnika, idealnie na widoku. Szklisty gład został stopiony i ukształtowany w misterne krzywizny, splatające się ze sobą niczym zastygłe w biegu fale. Wielowarstwowe jęzory skalne skręcały się w tak skomplikowanych wzorach, że oko z trudem podążało za pojedynczymi liniami od podstawy po czubek, przeskakując z jednego na drugi.

Ponieważ Eragon także po raz pierwszy widział jej rzeźbę, oglądał ją z równie wielkim zainteresowaniem jak elfy.

*Jak to zrobiłaś?*

*W oczach Saphiry rozbłysła iskra rozbawienia.*

*Liżąc stopioną skalę.*

Następnie smoczyca pochyliła się i zionęła ogniem na swój kamień. Na moment złocista kolumna płomieni sięgnęła drżącymi palcami w niebo, a gdy Saphira zamknęła paszczę, cienkie jak papier krawędzie rzeźby zalśniły wiśniową czerwienią, podczas gdy w ciemnych zagłębieniach skały migotały niewielkie płomyki. Kamienne fale poruszały się w hipnotycznym blasku. Elfy wykrzyknęły z zachwytem, klaszcząc w dłonie i tańcząc wokół rzeźby.

- Brawo, Jasnołuska! - wykrzyknął jeden z nich.

*Jest piękna* - rzekł Eragon.

Saphira trąciła go nosem w ramię.

*Dziękuję, mój mały.*

Potem Glaedr przyniósł swój dar: deskę z czerwonego dębu. Czubkiem szponu wyrzezał na niej wizerunek oglądanej z wysoka Ellesmery. Po nim zjawił się Oromis, niosąc ukończony zwój, który często ilustrował podczas lekcji z Eragonem. Górną połowę pokrywały kolumny symboli - kopia „Pieśni o Vestarim żeglarzu”. Dolną część zdobiła panorama fantastycznej krainy, oddana z oszałamiającym artyzmem i troską o każdy szczegół.

Arya ujęła rękę Eragona i pociągnęła go przez las w stronę drzewa Menoa.

- Spójrz, jak magiczne światło przygasa. Zostało nam zaledwie kilka godzin, a potem nastanie świt i będziemy musieli powrócić do świata, w którym panuje chłodny rozsądek.

Wokół drzewa zebrała się gromada elfów, ich twarze jaśniały w niecierpliwym oczekiwaniu. Z wielką godnością wyłoniła się spomiędzy nich Islanzadi i po korzeniu szerokim jak ścieżka przeszła do miejsca, gdzie wznosił się gwałtownie i zapętała. Stała na grubej półce, spoglądając w dół ku swym smukłym, wyczekującym poddanym.

- Jak nakazuje nasz zwyczaj i jak pod koniec smoczey wojny ustalili królowa Tarmunora, pierwszy Eragon i biały smok, przedstawiciel swej rasy - ten, którego imienia nie da się wymówić w tej ani żadnej innej mowie - gdy złączyli na zawsze losy elfów i smoków, spotykamy się, by uczcić Przysięgę Krwi pieśnią, tańcem i owocami naszej pracy. Gdy ostatnio świętowaliśmy wiele lat temu, byliśmy w rozpaczliwej sytuacji, Od tej pory poprawiła się nieco, dzięki wysiłkom naszym, krasnoludów i Vardenów, choć Alagaesie nadal spowija czarny cień Wyrdfell, a my wciąż musimy żyć z naszym wstydem i świadomością tego, jak zawiedliśmy smoki. Ze wszystkich dawnych Jeźdźców pozostali tylko Oromis i Glaedr. Podczas tego stulecia Brom i wielu innych wkroczyli w otchłań. Pojawiła się jednak nowa nadzieja pod postacią Eragona i Saphiry, słuszne jest zatem, by tu byli dziś z nami, gdy raz jeszcze potwierdzamy przysięgę łączącą nasze trzy rasy.

Na dany sygnał elfy rozstąpiły się, oczyszczając szerokie pasmo ziemi pod pnem drzewa Menoa. Wokół rozstawiły krąg lamp osadzonych na rzeźbionych tyczkach. Przy jednym z długich korzeni zbrali się muzycy uzbrojeni we flety, harfy i bębny. Arya podprowadziła Eragona na skraj kręgu, gdzie odkrył, że siedzi pomiędzy nią i Oromisem. Saphira i Glaedr przycupnęli po obu stronach niczym wysadzane klejnotami skały.

- Patrzcie bardzo uważnie - rzekł Oromis, zwracając się do Eragona i Saphiry - bo ma to ogromne znaczenie dla waszego dziedzictwa jako Jeźdźców.

Gdy wszystkie miejsca były zajęte, na środek polany wyszły dwie panny i stanęły zwrócone do siebie plecami. Były niewiarygodnie piękne i identyczne pod każdym względem prócz włosów - jedna miała loki czarne niczym zapomniane leśne jezioro, a pukle drugiej lśniły niczym rozżarzony srebrny drut.

- Opiekunki, Iduna i Neya - szepnął Oromis.

- Wyrda! - zaskrzeczał przycupnięty na ramieniu Islanzadi Bladgen.

Poruszając się jednocześnie, obie elfki uniosły ręce do brosz na szyjach i rozpięły je, pozwalając, by białe szary opadły na ziemię. Choć pod spodem nie miały niczego, ubrane były w barwny tatuaż przedstawiający smoka. Tatuaż zaczynał się od ogona owiniętego wokół lewej kostki Iduny, wspinał się po jej nodze i udzie, przez tors, a potem dalej poprzez plecy Neyi kończąc się smoczą głową na jej piersi. Każdą łuskę nakreślono innym kolorem. Żywe barwy upodabniały tatuaż do migotliwej tęczy.

Obie elfki spłotyły dłonie i ręce tak, że smok stał się jedną całością, falującą na obu ciałach. Następnie uniosły bosc stopy i opuściły na ubitą ziemię z cichym tupnięciem.



I znów: *tup*.

Po trzecim tupnięciu muzycy uderzyli w bębny. Po kolejnym harfiści tręcili struny złożonych instrumentów. Chwilę potem elfy z fletami dołączyły do pulsującej melodii.

Z początku powoli, potem coraz szybciej, Iduna i Neya zaczęły tańczyć, odmierzając rytm uderzeniami stóp o ziemię. Wiły się i kołysały tak, że zdawało się, że to nie one się poruszają, ale zdobiący je smok. Obracały się coraz szybciej, a smok zataczał niekończące się kręgi na ich skórze.

Potem bliźniaczki dodały swe głosy do muzyki, podkreślając pulsujący rytm ostrymi krzykami. Słowa pieśni snuły zakłęcie tak złożone, że jego znaczenie umykało Eragonowi. Niczym wiatr zrywający się przed burzą, elfy zaczęły wtórować inkantacji, wyśpiewując ją jednym głosem, jednym umysłem, w jednym celu. Eragon nie znał słów, ale i on odkrył, że wypowiada je wraz z innymi, porwany niepowstrzymaną pieśnią. Słyszał Saphirę i Glaedra nucących do wtóru; niskie głosy smoków były tak silne, że wibrowały w jego kościach i sprawiały, że mrowiła go skóra, a powietrze drżało.

Tymczasem Iduna i Neya wirowały coraz szybciej i szybciej, aż ich zamieniły się w rozmazane plamy, a włosy uniosły wokół lśnią - od potu ciała. Elfki przyśpieszyły do nieludzkiej szybkości i muzyka wzniosła się w szaleńczym chórze wyśpiewywanych fraz.

A potem wzdłuż smoczego tatuażu przebiegła błyskawica od głowy aż po ogon i smok się poruszył. Z początku Eragon sądził, że zwodzi go wzrok. Potem jednak stwór zamrugnął, uniosł skrzydła i zacisnął szpony.

Z zębatego pyska wystrzelił jęzor ognia. Smok pochylił się i oderwał od ciała elfek, wzlatując w powietrze, gdzie zawisł, łopocząc skrzydłami. Koniuszek jego ogona pozostał złączony z bliźniaczkami w dole niczym świetlista pępowina. Olbrzymia bestia wyciągnęła głowę ku czarnemu księżycowi i wydała z siebie ryk, wspomnienie minionych wieków. Potem odwróciła się, mierząc wzrokiem zgromadzone elfy.

Gdy spojrzenie przepelnionych żalością oczu smoka padło na Eragona ten pojął, że nie jest to zwykła zjawą, lecz świadoma istota, spętana i podtrzymywana magią. Saphira i Glaedr nucili coraz głośniejsze, aż w końcu zagłuszyli wszystkie inne odgłosy dźwięczące w jego uszach. W górze duch ich rasy zatoczył krąg nad elfami, muskając je niematerialnym skrzydłem. W końcu zatrzymał się przed Eragonem, obejmując go bezkresnym, przenikliwym spojrzeniem. Kierowany nieznanym instynktem Eragon uniosł prawą rękę, czując mrowienie w dłoni. W jego umyśle odezwał się głos ognia.

*Nasz dar, byś mógł zrobić to co uczynić musisz.*

Smok pochylił głowę i końcem pyska dotknął samego środka gedwey ignasii Eragona. Pomiedzy nimi przeskoczyła iskra. Eragon zeszytywniał, czując, jak ciało zalewa mu oślepiające gorąco, pochłaniające jego wnętrze. Przed oczami zatańczyły czerwone i czarne plamy, blizna na plecach paliła niczym piętno. Umykając przed bólem, runął w głąb siebie, gdzie pochłoneła go ciemność, a on nie miał dość sił, by się jej oprzeć.

Zachowując resztkę świadomości, ponownie usłyszał głos ognia.

*Nasz dar dla ciebie.*

## *Na rozgwieżdżonej polanie*

Gdy Eragon się zbudził, był sam. Otworzył oczy i ujrzał rzeźbiony sufit domu na drzewie, w którym mieszkali z Saphirą. Wciąż była noc. Ze świetlistego miasta w dole nadal dobiegały odgłosy elfich zabaw.

Nim dostrzegł cokolwiek innego, w jego umyśle pojawiła się Saphira, promieniowała z niej troska i zdenerwowanie. Ujrzał w myślach obraz smoczyca stojącej obok Islanzadi pod drzewem Menoa.

*Jak się czujesz?*

*Czuje się dobrze... lepiej niż od bardzo, bardzo dawna. Jak długo byłem...*

*Zaledwie godzinę. Zostałabym z tobą, ale potrzebowali Oromisa, Glaedra i mnie, by dokończyć ceremonię. Powinieneś być widzieć reakcję elfów, gdy zemdlaleś. Nic takiego wcześniej się nie zdarzyło.*

*Ty to sprawiłaś, Saphiro?*

*To nie było wyłącznie moje dzieło ani Glaedra. Wspomnienia naszej rasy, którym magia elfów nadała ciało i postać, namaściły cię mocą jaką posiadamy, jesteś bowiem naszą najlepszą nadzieją na uniknięcie zagłady.*

*Nie rozumiem.*

*Spójrz w lustro - poradziła. Potem odpocznij, odzyskaj siły, a ja dołączę dla ciebie o świcie.*

Odeszła, Eragon zaś wstał i przeciągnął się, zaskoczony doskonałym samopoczuciem. Poszedł do łazienki, wziął używane do golenia lustro i zaniósł w krąg światła rzucanego przez pobliską lampę.

Po czym zamarł wstrząśnięty.

Wyglądało na to, że, kiedy był nieprzytomny, liczne zmiany fizyczne, które z czasem dotyczą Jeźdźców - ludzi i których Eragon zaczął już doświadczać od czasu złączenia się z Saphirą, dobiegły końca. Twarz miał teraz równie gładką i kanciastą jak elfy, uszy identycznie szpiczaste, a oczy skośne. Błada jak alabaster skóra połyskiwała lekko magicznym blaskiem.

*Wyglądam jak książętko.*

Eragon nigdy wcześniej nie użył tego słowa wobec mężczyzny, a już na pewno nie wobec siebie, teraz jednak najlepiej odpowiadało jego wyglądowi: był piękny. Ale nie do końca zamienił się w elfa. Szczękę miał mocniejszą, brwi grubsze, twarz szerszą. Był piękniejszy niż jakikolwiek człowiek i męźniejszy niż jakikolwiek elf.

Drżącymi palcami sięgnął karku, szukając blizny. Nie znalazł niczego. Ściągnął szybko tunikę i obrócił się przed lustrem, sprawdzając plecy. Były gładkie jak w czasach przed bitwą o Farthen Dur. Do oczu Eragona napłynęły łzy, gdy przesunął dłonią po miejscu, w którym okaleczył go Durzą. Zrozumiał, że plecy nigdy już nie będą mu dokuczać.

Jednakże nie tylko owa potężna szrama, którą zdecydował się zachować, zniknęła. Pozbył się też wszelkich innych blizn i znamion. Wyglądał jak nowo narodzony. Przesunął palcem po przegubie w miejscu, gdzie skaleczył się, ostrząc kosę Garrowa; na skórze nie pozostał żaden ślad rany. Nierówne blizny po wewnętrznej stronie ud, pozostałości pierwszego lotu z Saphirą, także zniknęły. Przez moment zatęsknił za nimi - stanowiły część jego życia. Lecz smutek nie trwał długo, Eragon bowiem pojął, że magia naprawiła szkody wyrządzone przez wszystkie odniesione przez niego rany, nawet najdrobniejsze.

*Stałem się tym, kim powinienem - pomyślał i odetchnął głęboko.*

Odrzucił lustro na łóżko i odział się w swój najlepszy strój: szkarłatną tunikę przetykaną złotą nicią, pas wysadzany białymi jadeitami, ciepłe, filcowe nogawice, parę płóciennych butów, tak lubianych przez elfy, i skórzane nałokietniki podarowane przez krasnoludy.

Zszedł z drzewa i powędrował wśród cieni Ellesmery, obserwując elfy tańczące w gorącej świątecznej nocy. Żaden z nich nie poznał Eragona, choć witały go jako jednego z nich i zapraszały do udziału w zabawach.

Eragon znajdował się w stanie zwiększonej czujności, jego zmysły wibrowały, wychwytyując rzesze nowych obrazów, dźwięków, zapachów i uczuć. Widział w ciemności, w której wcześniej byłby ślepy. Mógł dotknąć listka i samym dotykiem policzyć pojedyncze porastające go włoski. Rozpoznawał unoszące się wokół zapachy równie dobrze jak wilk czy smok. Słyszał też tupot myszy w poszyciu i szmer płátka kory padającego na ziemię. Bicie własnego serca było dla niego niczym uderzenia bębna. W bezcelowej wędrówce minął drzewo Menoa, gdzie przystanął, obserwując Saphirę wśród roztańczonych elfów, choć nie ukazał się ich oczom.

*Dokąd idziesz, mój mały?* - spytała.

Ujrzał, jak Arya wstaje z miejsca u boku matki, przeciska się między elfami i niczym leśny duszek znika wśród drzew.

*Stapam pomiędzy światłem i ciemnością* - odparł ruszając za nią.

Podążał śladem Aryi, kierując się delikatną wonią gniecionych sosnowych szpilek, lekkimi niczym piórko muśnięciami stóp na ziemi i zawirowaniami powietrza. Znalazł ją stojącą samotnie na skraju polany. Niczym dzikie zwierzę obserwowała poruszające się w górze gwiazdozbiory. Gdy Eragon wynurzył się z lasu, spojrzała na niego. Odniósł wrażenie, że z trudem go poznaje. Jej oczy się rozszerzyły.

- Czy to ty, Eragonie? - szepnęła.

- Tak.

- Co oni z tobą zrobili?

- Nie wiem.

Podszedł do niej i razem ruszyli w głąb gęstej puszczy, w której dźwięczały echa urywków muzyki i głosów świętujących. Odmieniony Eragon niemal boleśnie czuł obecność Aryi. Słyszał szmer jej ubrania trącego o skórę, widział jasną, odsłoniętą szyję i rzęsy pokryte warstewką olejku, który sprawiał, że błyszcząły i zawijały się niczym czarne płátky, mokre od deszczu. Zatrzymali się na brzegu wąskiego strumienia tak przejrzystego, że w słabym świetle wydawał się niewidzialny. Jego obecność zdradzał wyłącznie gardłowy bulgot wody płynącej po kamieniach. Wokół nich gałęzie grubych sosen tworzyły jaskinię, ukrywającą Eragona i Aryę przed światem i łagodzącą chłód nieruchomego nocnego powietrza. Miejsce to wyglądał jakby zostało oderwane od świata i było chronione magią przed niszczylielskim dotykiem upływającego czasu. W owym tajemnym miejscu Eragon poczuł się nagle bliski Aryi i jego umysł z nagłą mocą zalała namiętność. Tak upoiła go siła i żywotność krążąca mu w żyłach - a także nieposkromiona magia przepelniająca las - że zapomniał o ostrożności.

- Jakże wysokie są drzewa, jakże jasne gwiazdy i jakże jesteś piękna, o Aryo Svit'kona.

W normalnych okolicznościach uznaliby coś takiego za szczyt szaleństwa, lecz tej obłąkanej, magicznej nocy wszystko wydawało się rozsądne.

Elfka zeszywniała.

- Eragonie...

Puścił mimo uszu jej ostrzeżenie.

- Aryo, zrobię wszystko, byle tylko zdobyć twą rękę. Pójdę za tobą na kraniec świata, zbuduję dla ciebie pałac gołymi rękami i...

- Czy przestaniesz się do mnie zalecać? Możesz mi to obiecać? - Gdy się zawahał, podeszła bliżej i rzekła cicho: - Eragonie, to niemożliwe Ty jesteś zbyt młody, ja zbyt stara. To nigdy się nie zmieni.

- Nic do mnie nie czujesz?

- Moje uczucia do ciebie to uczucia przyjaciółki, nic więcej. Jestem ci wdzięczna, że uratowałeś mnie w Gil'eadzie, i raduje mnie twoje towarzystwo. To wszystko... Porzuć swe pragnienia, sprawią ci tylko ból, i znajdź kogoś w twoim wieku, z kim będziesz mógł spędzić długie lata.

Do jego oczu napłynęły łzy.

- Jak możesz być taka okrutna?

- Nie jestem okrutna, tylko życzliwa. Nie jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Mogłabyś przekazać mi swoje wspomnienia - podsunął w rozpacz. - Wówczas dysponowałbym tą samą wiedzą i doświadczeniem, co ty.

- To byłoby czymś potwornym. - Arya uniosła głowę. Jej twarz musnęła srebrny blask migotliwych gwiazd. Miała poważną i surową minę, a w jej głosie zadźwięczała stal.

- Wysłuchaj mnie dobrze, Eragonie: to być nie może i nigdy się nie stanie. I dopóki nie zapanujesz nad sobą, nie będzie między nami przyjaźni, ponieważ twoje emocje sprawiają, że zapominasz o obowiązkach. - Skłoniła się przed nim. - Żegnaj, Eragonie Cieniobójco.

A potem odeszła i zniknęła w głębi Du Veldenvarden.

Po policzkach Eragona płynęły łzy, ściekając na mech pod nogami, gdzie układały się niczym perły rozrzucone na szmaragdowym aksamicie. Jak odrętwiały, usiadł na spróchniałym pniu, ukrywając twarz w dłoniach i oplakując swe nieodwzajemnione uczucie do Aryi. Uczucie, które tylko odepchnęło ją od niego.

Po chwili dołączyła do niego Saphira.

*Och mój mały.*

Otarła się o niego.

*Czemu sam tak bardzo się ranisz? Wiedziałeś, co się stanie, jeśli jeszcze raz spróbujesz zdobyć Aryę.*

*Nie mogłem się powstrzymać.*

Ścisnął rękami brzuch i kołysał się na pniu, szlochając głośno w rozpacz. Saphira okryła go ciepłym skrzydłem i przyciągnęła do siebie niczym sokoła matka swoje pisklę. Przytulił się do niej i pozostał tak, a tymczasem noc zamieniła się w dzień i Agaeti Blódhren dobiegło końca.

## Lądowanie

Roran stał na rufie *Rudego Dzika*, z rękami skrzyżowanymi na piersi i szeroko rozstawionymi nogami, zapewniającymi równowagę na rozkołysanej barce. Słony wiatr szarpał mu włosy i gęstą brodę i łaskotał odsłonięte przedramiona.

Obok niego Clovis trwał na posterunku za sterem. Ogorzały marynarz wskazał ręką wysokie wzgórze opadające wprost w morze. Z jego szczytu wyrastała skała, którą gęsto obsiadły mewy.

- Teirm jest po drugiej stronie tego szczytu.

Roran zmrużył oczy, chroniąc je przed oślepiającym blaskiem popołudniowego słońca, odbijającego się od powierzchni wody.

- W takim razie zatrzymajmy się tutaj.

- Nie chcesz od razu zejść do miasta?

- Nie wszyscy naraz. Wezwij Torsona i Flinta, każ im wylądować na tym brzegu. Wygląda na dobre miejsce na obóz.

Clovis skrzywił się.

- Ech, miałem nadzieję, że zjem dziś gorący posiłek.

Roran doskonale go rozumiał. Świeży prowiant z Nardy już dawno się skończył i od dłuższego czasu dysponowali wyłącznie soloną wieprzowiną solonymi śledziami, soloną kapustą, sucharami, które wieśniacy upiekli z kupionej w porcie mąki, i kiszonymi jarzynami, uzupełnianymi od czasu do czasu odrobiną świeżego mięsa, gdy któryś z wieśniaków zabił jedno z nielicznych pozostałych im zwierząt albo podczas postoju zdołał coś upolować.

Szorstki głos Clovisa poniósł się po wodzie, gdy marynarz wezwał kapitanów dwóch pozostałych barek. Kiedy się zbliżyli, kazał im przybić do brzegu i nie zważał na ich głośne protesty. Wraz z pozostałymi członkami załóg liczyli na to, że jeszcze tego dnia dotrą do Teirmu i wydadzą swoje zarobki, rozkoszując się wszystkim co oferuje miasto.

Gdy barki znalazły się na lądzie, Roran zaczął krążyć wśród wieśniaków. Pomagał im rozbijać namioty, wylądowywać rzeczy, przynosił wodę z pobliskiego strumienia. Nie ustawał, póki wszyscy nie zeszli na ląd. Zatrzymał się przy Mornie i Tarze, rzucając słowa zachęty, bo sprawiali wrażenie nieszczęśliwych i zrezygnowanych, i otrzymał zdawkową od-powiedź. Karczmarz i jego żona unikali go od dnia, w którym opuścili dolinę Palancar. Teraz wieśniacy byli w lepszym stanie niż wówczas, gdy przybyli do Nardy. Podczas żeglugi zdołali wypocząć, lecz stała troska i surowy klimat nie pozwoliły im w pełni odzyskać sił.

- Młotoreki, zechcesz dziś wieczór posilić się w naszym namiocie? - spytał Thane, podchodząc do Rorana.

Odmówił uprzejmie, odwrócił się i stanął oko w oko z Feldą, której mąż Byrd zginął z ręki Sloana. Dygnęła przed nim szybko.

- Czy mogę z tobą pomówić, Roranie Garrowssonie?

Uśmiechnął się do niej.

- Zawsze, Feldo. Wiesz o rym.

- Dziękuję. - Patrząc na niego nieśmiało, zaczęła się bawić frędzlami szala, co chwila zerkając w stronę namiotu. - Chciałam cię prosić o przysługę. Chodzi o Mandela.

Roran kiwnął głową. Sam wybrał jej najstarszego syna, by towarzyszył mu do Nardy owego nieszczęsnego dnia, gdy Roran zabił dwóch strażników. Wówczas Mandel spisał się doskonale, radził też sobie świetnie na *Edeline*, gdzie nauczył się nawet pilotować barcę.

- Bardzo zaprzyjaźnił się z marynarzami z naszej barki i zaczął grać z tymi łajdakami w kości. Nie o pieniądze, bo ich nie mamy, ale o różne drobiazgi. Rzeczy, których potrzebujemy.

- Prosiłaś, żeby przestał?

Felda przez chwilę skręcała w palcach frędzle.

- Lękam się, że od czasu śmierci ojca przestał mnie szanować. Zupełnie jakby zdziczał. Nie słucha mnie już i robi co chce.

Wszyscy zdziczeliśmy, pomyślał Roran.

- Czemu zwracasz się z tym do mnie? - spytał łagodnie.

- Zawsze traktowałeś Mandela serdecznie, on cię podziwia. Jeśli z nim pomówisz, wysłucha cię.

Roran zastanawiał się chwilę.

- Zgoda, zrobię co będę mógł.

Felda odprężyła się i było widać, że wyraźnie jej ulżyło.

- Powiedz mi jednak, co przegrał w kości.

- Głównie jedzenie - na moment zawahała się - ale wiem, że raz postawił bransoletkę mojej babki przeciwko królikowi złapanemu przez marynarza

Roran zmarszczył brwi.

- Bądź spokojna, Feldo. Zajmę się tą sprawą, gdy tylko będę mógł.

- Dziękuję. - Felda ponownie dygnęła, po czym prześliznęła się między

zaimprovizowanymi namiotami, pozostawiając go samego, by mógł w spokoju przetrwać to co usłyszał.

Roran z roztargnieniem podrapał się po brodzie. Problem z Mandelem i marynarzami nie był jedynym. Podczas żeglugi z Nardy Roran zauważył, że jeden z ludzi Torsona, Frewin, bardzo zbliżył się do Odele - młodej przyjaciółki Katriny. Kiedy rozstaniemy się z Clovisem, mogą narobić nam kłopotów, pomyślał.

Ostrożnie, by nie zwracać na siebie uwagi, przeszedł przez obóz, zbierając wieśniaków, którym ufał najbardziej, i poprosił, żeby towarzyszyli mu do namiotu Horsta.

- Wybrana przez nas piątka wyruszy już teraz, nim zrobi się za późno - oznajmił, gdy tam dotarli. - Na czas mojej nieobecności zastąpi mnie Horst. Pamiętajcie, waszym najważniejszym zadaniem jest dopilnować, by Clovis nie odpłynął z barkami ani w żaden sposób ich nie uszkodził, Być może są naszą jedyną szansą dotarcia do Surdy.

- Musimy też uważać, żeby nas nie odkryto - uzupełnił Orval.

- Właśnie. Jeśli żadne z nas nie wróci do zmierzchu pojutrze, musicie założyć, że zostaliśmy schwytani. Weźcie wówczas barki i pożeglujcie do Surdy, nie zatrzymujcie się jednak w Kuaście, by uzupełnić zapasy. Imperium na pewno zastawi tam pułapkę. Będziecie musieli szukać prowiantu gdzie indziej.

Podczas gdy jego towarzysze szykowali się do drogi, Roran poszedł do kabiny Clovisa na pokładzie *Rudego Dzika*.

- Idzie was tylko pięcioro? - spytał Clovis, gdy Roran wyjaśnił mu ich plan.

- Zgadza się. - Wbił w marynarza stalowe spojrzenie. W końcu Clovis poruszył się niespokojnie. - A kiedy wrócę, oczekuję, że ty, barki i wszyscy twoi ludzie wciąż tu będziecie.

- Śmiesz wątpić w mój honor? Dotrzymałem przecież słowa.

- W nic nie wątpię, mówię tylko czego się spodziewam. Stawka jest zbyt wysoka. Jeśli teraz nas zdradzisz, skążesz na śmierć wszystkich mieszkańców naszej wioski.

- Wiem o tym. - Clovis unikał jego wzroku.

- Moi ludzie podczas naszej nieobecności będą się bronić, póki starczy im tchu w piersiach. Nie dadzą się schwytać, oszukać ani porzucić. A gdyby spotkało ich jakieś nieszczęście, pomszczę ich, nawet gdybym musiał przejść pieszo tysiąc staj i stanąć do walki z samym Galbatorixem. Wysłuchaj mych słów, mości Clovisie, bo mówię prawdę.

- Wbrew temu co, zdaje się, myślisz, nie przepadamy za imperium - zaprotestował Clovis. - Wcale nie mam ochoty im się zasługiwać.

Roran uśmiechnął się z ponurym rozbawieniem.

- Mężczyzna zrobi wszystko, by ochronić swą rodzinę i dom.

- A co poczniesz, gdy dotrzecie do Surdy? - spytał Clovis, kiedy Roran sięgnął do zamykającego drzwi rygła.

- Porozumiemy się...

- Nie wy. Co ty zrobisz? Obserwowałem cię, Roranie, słuchałem twych słów i sprawiasz wrażenie dobrego człeka, choć nie podoba mi się to, jak mnie potraktowałeś. Nie potrafię jednak

sobie wyobrazić, że nagle odrzucasz miecz i znów chwytasz w dłonie pług tylko dlatego, że dotarłeś do Surdy.

Roran zacisnął palce na ryglu tak mocno, że zbieleły mu kłykcie.

- Gdy doprowadzę całą wioskę bezpiecznie do Surdy - rzekł pozbawionym wszelkich emocji głosem - wyruszę na łowy.

- Ach tak. Będiesz szukał swej rudowłosej panny? Słyszałem różne historie, ale...

Trzaskając drzwiami, Roran wypadł z kabiny. Przez chwilę pozwolił gniewowi płonąć bez przeszkód, napawał się swobodą i wolnością okazywania emocji. Potem jednak stłumił złość. Pomaszerował do namiotu Feldy. Mandel ćwiczył właśnie rzucanie nożem myśliwskim w pieńki.

Felda ma rację, ktoś musi przemówić mu do rozumu.

- Marnujesz czas - rzekł.

Chłopak obrócił się gwałtownie, zaskoczony.

- Czemu tak mówisz?

- W prawdziwej walce prędzej wybijesz sobie oko niż zranisz tak wroga. Jeśli nie znasz dokładnej odległości dzielącej cię od celu...

Roran wzruszył ramionami.

- Równie dobrze możesz ciskać kamieniami.

Patrzył z obojętnym zainteresowaniem, jak młodzieniec się nadyma.

- Gunner opowiedział mi o swoim znajomym w Cithri, który potrafił osiem razy na dziesięć trafić nożem lecając wronę.

- A pozostałe dwa razy oznaczałyby twoją śmierć. W bitwie zwykle nie najmądrzej jest odrzucać swoją broń. - Roran machnął ręką, uciszając protesty chłopaka. - Zbierz swoje rzeczy. Za piętnaście minut spotykamy się na wzgórzu obok strumienia. Postanowiłem, że pójdziesz z nami do Teirmu.

- Tak jest! - Uśmiechnięty Mandel zanurkował w głąb namiotu i zaczął się pakować.

Odchodząc, Roran natknął się na Feldę huśtającą na biodrze najmłodszą córeczkę. Kobieta spojrzała na niego, potem na krzotającego się w namiocie syna i zacisnęła wargi.

- Pilnuj go, Młotoręki. - Posadziła dziewczynkę na ziemi i pośpieszyła do namiotu, pomagając Mandelowi się spakować.

Roran jako pierwszy zjawił się w wyznaczonym miejscu. Przykucnął na białym głazie, spoglądając w morze i zbierając siły niezbędne do wykonania zadania. Gdy zjawili się Loring, Gertrudę, Birgit i jej syn Nolfavrell, zeskoczył z kamienia.

- Musimy zaczekać na Mandela, on też do nas dołączy.

- Po co? - spytał ostro Loring.

Birgit także zmarszczyła brwi.

- Zdawało mi się, że ustaliliśmy, że nikt inny nie powinien nam towarzyszyć. Zwłaszcza nie Mandel, widziano go przecież w Nardzie. Obecność twoja i Gertrudę jest już dostatecznie niebezpieczna. Mandel zwiększa tylko ryzyko, że ktoś nas rozpozna.

- Zaryzykuję. - Roran kolejno spojrzał im w oczy. - On musi iść z nami.

W końcu posłuchali go i gdy Mandel przybył, cała szóstka ruszyła na południe, w stronę Teirmu.

## Teirm

W tej okolicy brzeg morza był pagórkowaty, a niskie zbocza porastała bujna trawa. Od czasu do czasu dostrzegali także wrzośce, wierzby i topole. Rozmiękłe błoto ustępowało pod stopami, utrudniając marsz. Po prawej rozciągało się migoczące w słońcu morze, po lewej widzieli fioletowe pasmo Kościca. Wierzchołki ośnieżonych gór kryły się pośród chmur i pasm mgły.

Podczas wędrówki przez majątki otaczające Teirm - zarówno niewielkie farmy, jak i olbrzymie posiadłości - grupka Rorana usiłowała nie rzucać się w oczy. Gdy dotarli do gościńca łączącego Teirm z Nardą, przemknęli przez niego i podjęli marsz na wschód w stronę gór. Przebyli jeszcze kilka mil i znów skręcili na południe. Kiedy już okrążyli miasto, zawrócili w stronę oceanu i odnaleźli trakt południowy.

Jeszcze w czasie żeglugi na *Rudym Dziku* Roranowi przyszło do głowy, że władze Nardy mogły wydedukować, że ten, kto zabił dwóch strażników, znalazł się wśród grupki odpływającej na barkach Clovisa. Jeśli tak, z pewnością wyprawili posłańców i uprzedzili żołnierzy z Teirmu, by wypatrywali ludzi pasujących do ich opisu. A jeżeli Ra'zacowie odwiedzili Nardę, żołnierze wiedzą już, że nie szukają zwykłej garstki morderców, lecz Rorana Młotorękiego i uciekinierów z Carvahall. Teirm mógł być jedną wielką pułapką, nie mogli jednak ominąć miasta - potrzebowali zapasów i nowego środka transportu.

Roran postanowił, że najlepszą metodą uniknięcia schwytania będzie nie wysyłanie do Teirmu nikogo, kogo widziano w Nardzie, prócz jego samego i Gertrude. Gertrude musiała pójść, bo tylko ona знаła składniki swoich mikstur, a Roran - choć jemu najbardziej groziło rozpoznanie - ponieważ nie wierzył, by ktokolwiek inny w razie potrzeby zrobił to co konieczne. Wiedział, że on sam potrafi zareagować szybciej od innych, nie wahając się, tak jak wówczas kiedy zabił strażników. Resztę grupy dobrano tak, by zminimalizować podejrzenia. Loring był stary, ale świetnie radził sobie w walce i umiał doskonale kłamać. Birgit dowiodła swego rozumu i siły, a jej syn Nolfavrell mimo młodego wieku zabił już w walce żołnierza. Liczyli na to, że ludzie wezmą ich za podróżującą razem rodzinę. O ile Mandel wszystkiego nie zepsuje, pomyślał Roran. On także wpadł na pomysł, żeby weszli do Teirmu od strony południowej, unikając w ten sposób podejrzeń, że przybyli z Nardy.

Zbliżał się już wieczór, gdy ujrzeli przed sobą Teirm, biały i widmowy w zapadającym zmroku. Roran przystanął, przyglądając się uważnie miastu. Okolone murami, stało samotnie na skraju wielkiej zatoki, samodzielne i odporne na każdy atak. Pomiędzy blankami umocnień płonęły pochodnie, uzbrojeni w łuki żołnierze patrolowali mury, nad którymi wznosiła się cytadela, a jeszcze dalej wieloboczna latarnia morska, omiatająca mglistym promieniem ciemne wody.

- Jaki wielki - mruknął Nolfavrell.

Loring pokiwał głową, nie odrywając wzroku od Teirmu.

- O tak, wielki.

Uwagę Rorana przyciągnął statek cumujący przy jednym z kamiennych pomostów. Trzymasztowy okręt był większy niż te, które oglądał w Nardzie. - Miał wysoki forkasztel, dwa rzędy otworów na wiosła i dwanaście potężnych balist zamontowanych po obu stronach pokładu i przeznaczonych do wystrzeliwania oszczepów. Wspaniały statek równie dobrze nadał się do walki, jak i do handlu. Co ważniejsze, Roran ocenił, że mógłby - prawie na pewno - pomieścić wszystkich mieszkańców wioski.

- Tego właśnie potrzebujemy. - Wskazał okręt ręką.

- Musielibyśmy sprzedać się w niewolę, by móc wykupić przejazd na takim potworze - mruknęła cierpko Birgit.

Clovis uprzedził ich, że bramy Teirmu zamykają się o zachodzie słońca, przyspieszyli zatem kroku, by uniknąć noclegu pod gołym niebem.

W miarę jak się zbliżali się do jasnych murów, drogę wypełniał gęstniejący tłum ludzi śpieszących do i z miasta.



Roran nie spodziewał się aż takiego ruchu, wkrótce jednak zrozumiał, że pomoże on im ukryć się w tłumie. Wezwał gestem Mandela.

- Zostań trochę w tyle. Przejdź przez bramę za kimś innym, by strażnicy nie wiedzieli, że jesteś z nami. Zaczekamy na ciebie po drugiej stronie. Jeżeli spytają, powiedz, że przybywasz, by zaciągnąć się na jakiś statek.

- Tak jest.

Gdy Mandel zwolnił kroku, Roran zgarbił jedno ramię i zaczął kuśtykać, w duchu powtarzając wymyśloną przez Loringa historyjkę tłumaczącą ich obecność w Teirmie. Zszedł na pobocze i pochylił głowę, przepuszczając mężczyznę prowadzącego za sobą dwa rosłe woły rad, że może częściowo się za nimi ukryć.

Wkrótce ujrzeli przed sobą bramę, skapaną w migotliwym pomarańczowym blasku umieszczonych po obu stronach pochodni. Pod nimi stało dwóch żołnierzy odzianych w szkarłatne tuniki, ozdobione symbolem Galbatorixa - poskręcany płomieniem. Żaden ze zbrojnych nawet nie spojrzął na Rorana i jego towarzyszy, gdy szurając nogami, przeszli pod najeżoną kolcami kratą i pokonali krótki tunel.

Roran wyprostował się, czując, jak uchodzi z niego część napięcia. Wraz z pozostałymi zatrzymali się pod jednym z domów. - Jak dotąd, idzie nieźle - mruknął Loring. Gdy dołączył do nich Mandel, ruszyli na poszukiwanie taniej gospody, w której mogliby wynająć pokój. Podczas marszu Roran przyglądał się uważnie rozkładowi miasta. Ufortyfikowane domy, które w miarę zbliżania się do cytadeli wznosiły się coraz wyżej, łączyła ze sobą promienista siatka ulic. Wiodąc z północy na południe, wychodziły z cytadeli niczym słoneczne promienie. Te ze wschodu na zachód zataczały łagodne łuki, tworząc wzór podobny do pajęczej sieci, w której narożnikach można było z łatwością ustawić bariery i posterunki.

Gdyby Carvahall wyglądało podobnie, nie pokonałby nas nikt prócz samego króla - pomyślał.

O zmroku znaleźli nocleg Pod zielonym kasztanem, w odrażającej tawernie, oferującej gościom ohydne piwo i zapchlone łóżka. Jediną jej zaletą było to, że pokój kosztował grosze. Położyli się bez kolacji, oszczędzając pieniądze, i skulili razem, nie chcąc, by któryś z gości podwędził im mieszki.

☆☆☆

Następnego dnia Roran jego towarzysze jeszcze przed świtem opuścili tawernę Pod zielonym kasztanem, wyruszając na poszukiwanie zapasów i środka transportu.

- Słyszałem, że niezwyklej zielarce, niejkiej Angeli, która ponoć tu mieszka - oznajmiła Gertrude - i słynie z naprawdę niesamowitych leków, być może nawet wzmocnionych magią. Pójdę do niej. Jeśli gdziekolwiek znajdę to, czego szukam, to właśnie tam.

- Nie powinnaś iść sama. - Roran spojrzął na Mandela. - Pójdiesz z Gertrude pomożesz jej w zakupach, a w razie ataku będziesz jej bronił, I pamiętaj, nawet gdyby ktoś cię zaczepiał, nie rób nic, co mogłoby wywołać zamieszanie. Oznaczałoby to zdradę przyjaciół i rodziny.

Mandel dotknął palcami czoła i pochylił głowę. Wraz z uzdrowicielką skręcili w boczną uliczkę. Tymczasem Roran i pozostali podjęli poszukiwania.

Roran odznaczał się cierpliwością polującego drapieżcy, ale gdy ranek przerodził się w południe, a oni wciąż nie znaleźli statku, który mógłby zabrać ich do Surdy, nawet on zaczął czuć niepokój. Dowiedział się, że trzymasztowiec *Smocze skrzydło* to statek nowo zbudowany, mający właśnie wyruszyć w dziewiczą podróż, że nie mają najmniejszych szans na wynajęcie go od kompanii morskiej Blackmoor, chyba że zapłacą cały skarbiec czerwonego krasnoludzkiego złota. Zrozumiał też, że nie mają wystarczająco dużo monet, by wynająć nawet najskromniejszy statek. Barki Clovisa także nie rozwiązywały problemu, wciąż bowiem pozostawała kwestia tego, co będą jeść w czasie żeglugi.

- Trudno byłoby - oznajmiła Birgit - bardzo trudno ukraść stąd jakieś towary. Wszędzie mnóstwo żołnierzy, domy stoją blisko, a przy bramie czuwają strażę. Gdybyśmy spróbowali

wywieźć z Teirmu sporą ilość zapasów, z pewnością zainteresowałoby się, co robimy. Roran przytaknął. I w dodatku to.

Wcześniej zasugerował Horstowi, że jeśli będą musieli uciec z Teirmu, nie uzupełniwszy zapasów, być może zostaną zmuszeni do napadania na podróżnych. Wiedział jednak, że podobny czyn oznaczałoby, że stał się takim samym potworem, jak ci, których nienawidził. Walka i zabijanie sług Galbatorixa to jedno; mógł nawet zaakceptować kradzież barek Clovisa, marynarz bowiem miał jeszcze inne środki utrzymania. Ale odebranie zapasów niewinnym farmerom, którzy ciężko walczyli o przetrwanie, dokładnie tak samo jak oni w dolinie Palancar - to coś zupełnie innego. To oznaczałoby morderstwo.

Świadomość ta ciążyła Roranowi niczym głaz. Powodzenie ich szaleńczego planu zawsze było mocno niepewne. Dotąd napędzało ich połączenie strachu, desperacji, optymizmu i improwizacji. Teraz obawiał się, że dostarczył wieśniaków w sam środek jaskini wroga i spętał łańcuchem wykutym z ich własnej biedy. Sam mógłby umknąć i dalej szukać Katriny. Ale jakież byłoby to zwycięstwo, gdybym pozwolił, by moi rodacy trafili w niewolę imperium? Nieważne, co nas czeka w Teirmie, pozostanę z tymi, którzy mi zaufali i, wierząc memu słowu, porzucili swe domy. By zaspokoić głód, zatrzymali się w piekarni i kupili bochen świeżego żytniego chleba oraz mały słoiczek miodu. Płacąc za zakupy, Loring wspomniawszy pomocnikowi piekarza, że interesują ich statki, sprzęt i prowiant.

Roran obrócił się gwałtownie, czując klepięcie w ramię. Ujrzał przed sobą mężczyznę o czarnych, przyciętych na jeża włosach i sporym brzuszysku.

- Przepraszam, że podsłuchałem rozmowę z tym tu młodym panem. Ale jeśli interesują was statki i tym podobne, w dodatku za uczciwą cenę, to powinniście wziąć udział w licytacji.

- W jakiej licytacji? - spytał Roran.

- To smutna historia, ale w dzisiejszych czasach aż nazbyt powszechna. Jeden z naszych kupców, Jeod - gdy nie słyszy, nazywamy go Jeodem Laskonogim - miał ostatnio niewiarygodnego pecha. W niecały rok stracił cztery statki, a gdy próbował sprzedać swe towary drogą lądową, bandyci napadli i zniszczyli jego karawanę. Inwestorzy zmusili go do ogłoszenia bankructwa. Teraz zamierzają sprzedać majątek Jeoda, by zmniejszyć swoje straty. Co do prowiantu, nie mam pewności, ale całą resztę możecie kupić na licytacji.

Roran poczuł w piersi słabiutkie ukłucie nadziei.

- Kiedy się ona odbędzie?

- Obwieszczenia wiszą na wszystkich tablicach w całym mieście. Pojutrze, za dwa dni.

To wyjaśniało, czemu wcześniej nie dowiedzieli się o licytacji. Starali się usilnie unikać wszystkich tablic w obawie, że ktoś mógłby rozpoznać Rorana z wizerunku na liście gońcym.

- Bardzo dziękuję - rzekł do mężczyzny. - Być może oszczędziłeś nam wielkich kłopotów.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Roran i jego kompani wyszli spokojnie ze sklepu, po czym skupili się na skraju ulicy.

- Myślicie, że powinniśmy to sprawdzić?

- Nic innego nam nie pozostało - warknął Loring.

- Nie musisz mnie pytać, to oczywiste. Ale nie możemy czekać dwa dni.

- Nie uważam, że powinniśmy spotkać się z tym Jeodem i zobaczyć, czy nie da się dobić z nim targu przed rozpoczęciem licytacji. Zgadza się?

Postali przytaknęli i uzbrojeni w zdobyte od przechodnia wskazówki ruszyli do domu Jeoda. Dom - czy raczej dwór - stał w zachodniej dzielnicy Teirmu, blisko cytadeli, wśród dziesiątków innych pysznych budowli ozdobionych płaskorzeźbami, kratami z kutego żelaza, posągami i fontannami. Roran nie potrafił ogarnąć podobnego bogactwa. Zdumiewało go, jak bardzo życie tych ludzi różni się od jego własnego. Zastukał do drzwi frontowych siedziby Jeoda stojącej obok opuszczonego kramu. Po chwili otworzył je pulchny lokaj o nienaturalnie błyszczących zębach. Zmierzył wzrokiem czwórkę obcych stojących na progu, skrzywił się z dezaprobatą i błysnął uśmiechem.

- Czym mogę służyć, panowie, pani?

- Chcemy pomówić z Jeodem, jeśli jest wolny.

- Byliście umówieni?

Doskonale wiesz, że nie, pomyślał Roran.

- Zbyt krótko przebywamy w Teirmie, by umówić się na spotkanie.

- No cóż, przykro mi zatem, ale lepiej będzie, jeśli pozostały czas spędzicie gdzie indziej. Mój pan ma wiele ważnych spraw na głowie. Nie może zajmować się każdą grupką obdartych włóczęgów, którzy dobijają mu się do drzwi, prosząc o jałmużnę.

Lokaj odsłonił szkliste zęby w jeszcze szerszym uśmiechu i zaczął cofać się za próg.

- Zaczekaj! - krzyknął Roran. - Nie chodzi nam o jałmużnę, przychodzimy w interesach.

Lokaj uniósł brwi.

- Czyżby?

- Owszem. Proszę, spytaj, czy zechce nas wysłuchać. Przebyliśmy więcej staj, niż przypuszczasz, i bardzo nam zależy, by jeszcze dziś zobaczyć się z Jeodem.

- Czy mogę spytać o naturę owych interesów?

- To poufne.

- No dobrze, przekażę pańską ofertę. Ostrzegam jednak, że Jeod jest obecnie zajęty, i wątpię, czy zechce zwracać sobie głowę. Jakie imię mam my przedstawić?

- Możesz nazywać mnie Młotorękim.

Usta lokaja drgnęły, jakby rozbawiło go to miano. Mężczyzna cofnął się i zamknął drzwi.

- Gdyby miał jeszcze większy łeb, nie zmieściłby się w wygodce - mruknął Loring. Nolfavrell zaśmiał się głośno z tej uwagi.

- Miejmy nadzieję, że sługa nie naśladuje swego pana - dodała Birgit.

Minutę później drzwi otworzyły się ponownie. Stał w nich skrzywiony lokaj.

- Jeod zgodził się spotkać się z wami w gabinecie - odsunął się na bok, wzywając ich gestem. - Tędy.

Gdy znaleźli się w bogato urządzonego przedpokoju, lokaj minął ich i pomaszerował po lśniącej drewnianej posadzce do jednych z wielu drzwi. Otworzył je, pokazując, by weszli.

## Jeod Łaskonogi

Gdyby Roran umiał czytać, na pewno zaimponowałaby mu liczba książek zgromadzonych w szafach bibliotecznych. Jednakże tymczasem całą uwagę skupił na wysokim mężczyźnie o siwiejących włosach, stojącym za owalnym biurkiem. Mężczyzna - Roran mógł się założyć, że to był Jeod - wyglądał na mniej więcej tak samo zmęczonego, jak Roran. Twarz miał porytą zmarszczkami, znużoną i smutną, a gdy odwrócił się ku nim, ujrzeni paskudną, białą bliznę biegnącą od linii włosów aż do lewej skroni. Według Rorana świadczyła ona, że mężczyzna ten jest twardy jak stal - być może nie na pierwszy rzut oka, ale niewątpliwie cechuje go hart ducha.

- Usiądźcie, proszę - rzekł Jeod - nie znoszę ceremonii w moim własnym domu. - Obserwował ich z ciekawością, gdy siadali nieśmiało w miękkich skórzanych fotelach. - Czy pozwolicie się poczęstować ciastkami i szklaneczką brzoskwiniówki? Nie mogę rozmawiać zbyt długo, widzę jednak, że wiele tygodni spędziliście w drodze i dobrze pamiętam, jak zaschło mi w gardle po takich podróżach.

Loring uśmiechnął się szeroko.

- O tak, kropelka brzoskwiniówki świetnie by nam zrobiła. Jesteś bardzo łaskaw, panie.

- Dla chłopca tylko szklanek mleka - dodała Birgit.

- Oczywiście, pani. - Jeod zadzwonił na lokaja, przekazał instrukcje i odchylił się w fotelu. - Macie nade mną przewagę. Wy znacie moje imię ja nie znam waszych.

- Młotoreki, do usług - rzekł Roran.

- Mądra, do usług - dodała Birgit.

- Kel, do usług - powiedział Nolfavrell.

- Ja jestem Wally, do usług - zakończył Loring.

- Pozdrawiam was zatem - odparł Jeod. - Rolf wspominał, że przybywacie w interesach. Winniście zatem wiedzieć, że nie mogę kupować ani sprzedawać towarów, nie mam też złota na inwestycje ani statków, by przewieźć wełnę i prowiant, klejnoty i korzenie przez wzburzone morze. Czym zatem mogę służyć?

Roran oparł łokcie na kolanach, splótł palce i spojrzał przez nie, zbierając myśli. Jedno przeżyczenie może nas zabić, upomniał się w duchu.

- Mówiąc wprost, panie, reprezentujemy pewną grupę ludzi, którzy z różnych przyczyn muszą nabyć spore ilości zapasów, dysponując niewielką sumą pieniędzy. Wiemy, że pojutrze twój majątek zostanie zlicytowany za długi. Chcielibyśmy zatem nabyć część potrzebnych nam przedmiotów. Zaczekalibyśmy do licytacji, goni nas jednak czas i nie możemy zmarnować jeszcze dwóch dni. Jeśli mamy dobić targu, to dziś bądź jutro, nie później.

- O jakie towary wam chodzi?

- Prowiant i wszystko czego trzeba, by wyposażyć statek do długiej morskiej podróży.

W znużonych oczach Jeoda błysnęła iskra zainteresowania.

- Macie na oku konkretny statek? Znam bowiem wszystkie okręty, które od dwudziestu lat żeglują po tych wodach.

- Nie podjęliśmy jeszcze decyzji.

Jeod przyjął jego słowa bez najmniejszego sprzeciwu.

- Teraz rozumiem, czemu przybyliście do mnie. Obawiam się jednak, że kieruje wami błędne przekonanie. - Rozłożył ręce, wskazując cały pokój. - Wszystko, co tu widzicie, nie należy już do mnie, lecz do moich wierzycieli. Nie mogę dysponować własnym majątkiem. Gdybym sprzedał cokolwiek, zapewne trafiłbym do lochu, oskarżony o odebranie wierzycielom należnych im pieniędzy.

Urwał, bo w gabinecie zjawił się Rolf dźwigający dużą srebrną tacę, na której niósł półmisek z ciastkami, kielichy z rżniętego kryształu, szklanek mleka i karafkę z brzoskwiniówką. Lokaj postawił tacę na wyściełanym taborecie, po czym zaczął podawać gościom naczynia. Roran wziął kielich, Pociągnął łyżeczek słodkiego trunku, zastanawiając się, jak szybko będą mogli odejść i

podjąć poszukiwania, nie łamiąc zasad grzeczności. Kiedy Rolf wyszedł, Jeod jednym łykiem opróżnił kielich.

- Ja sam zdam się wam na nic, ale znam kilku ludzi z mojego fachu, którzy być może.. może... zdołają wam pomóc. Jeśli zechcecie nieco bardziej szczegółowo opisać to, czego szukacie, zorientuję się, kogo polecić.

Roran nie dostrzegł w tym niezłego, zaczął zatem recytować listę przedmiotów, które wieśniacy musieli mieć, rzeczy, których mogliby potrzebować, a także tych, które chcieli kupić, ale z pewnością nie będzie ich na nie stać, chyba że los się do nich uśmiechnie. Od czasu do czasu Birgit bądź Loring wspominali o czymś, o czym zapomniał - na przykład o lampie oliwnej. Jeod zerkał na nich, po czym dalej obserwował z coraz większym zainteresowaniem swego rozmówcę. Jego wzrok zaniepokoił Rorana. Zupełnie jakby kupiec wiedział bądź podejrzewał, co ukrywają.

- Wydaje mi się - rzekł Jeod, gdy jego gość skończył - że wystarczyłoby to do przewiezienia kilkuset osób do Feinster bądź Aroughs... albo jeszcze dalej. - Przyznaję, przez kilka ostatnich tygodni byłem dość zajęty, z pewnością jednak usłyszałbym o podobnej grupie przebywającej w okolicy. Nie mam też pojęcia, skąd mogłaby przybyć.

Roran spojrział Jeodowi prosto w oczy. Jego twarz nie zdradzała niczego. Milczał, lecz wewnątrz kipiał wściekłością na samego siebie. Jak mógł pozwolić, żeby kupiec zebrał dość informacji, dochodząc do podobnych wniosków? Jeod wzruszył ramionami.

- W gruncie rzeczy jednak to wyłącznie wasza sprawa. Sugeruję, żebyście spotkali się z Galtonem z ulicy Targowej w sprawie prowiantu i ze starym Hamillem z doków w kwestii innych towarów. Obaj to uczciwi ludzie i dobrze was potraktują. - Wziął z tacy ciastko, ugryzł i przełknąwszy, zwrócił się do Nolfavrella.

- Powiedz mi, młody Kellu, czy podoba ci się Teirm?

- O tak, proszę pana. - Nolfavrell uśmiechnął się szeroko. - Nigdy nie widziałem czegoś tak wielkiego.

- Naprawdę? - Tak proszę pana, ja...

Czując, że wkraczają na niebezpieczne terytorium, Roran przerwał im szybko

- Ciekawi mnie panie, kram obok twego domu. Wydaje się dziwne, że równie skromny sklepik sąsiaduje z tak pysznymi budynkami.

Po raz pierwszy twarz Jeoda rozjaśnił uśmiech, choć tylko przelotny. Uśmiech ten natychmiast odmłodził go o kilkanaście lat.

- Kram należał do kobiety, która także była dość niezwykła, zielarki Angeli, jednej z najlepszych uzdrowicielek jakie znałem. Kierowała nim przez ponad dwadzieścia lat, by nagle kilka miesięcy temu sprzedać wszystko i wyruszyć w nieznaną. - Westchnął. - Bardzo żałuje, była ciekawą sąsiadką.

- To z nią właśnie chciała się spotkać Gertrude? - spytał Nolfavrell, zerkając na matkę.

Roran z trudem powstrzymał warknięcie i spojrział ostrzegawczo z taką mocą, że chłopak zbladł i skulił się w fotelu. Imię Gertrude nic Jeodowi nie mówiło, jeśli jednak Nolfavrell nie będzie trzymał języka za zębami, wcześniej czy później zdradzi coś znacznie groźniejszego. Czas stać, pomyślał Roran. Odstawił kielich.

I wtedy ujrzał, że to imię jednak coś dla Jeoda znaczyło. Oczy kupca otwały się szeroko ze zdumienia i mężczyzna ścisnął poręcz fotela tak mocno, że zbieleły mu koniuszki palców.

- Niemożliwe! - Spojrział przenikliwie na Rorana, przyglądając się jego twarzy, jakby próbował przeniknąć wzrokiem jego brodę. W końcu westchnął cicho. - Roran... Roran Garrowsson

## Nieoczekiwany sojusznik

Roran zdążył już dobyć zza pasa młot i na wpół dźwignął się z fotela, gdy usłyszał imię ojca. Tylko to sprawiło, że nie skoczył na drugą stronę pokoju i nie ogłuszył Jeoda.

Skąd on wie, kim jest Garrow?

Obok niego Birgit i Loring zerwali się z miejsc, dobywając ukrytych w rękawach noży. Nawet Nolfavrell był gotów do walki, uniósłszy sztylet.

- Ty jesteś Roran, prawda? - spytał cicho Jeod, bez najmniejszej obawy patrząc na ich broń.

- Jak się domyśliłeś?

- Bo Brom przyprowadził tu Eragona, a ty wyglądasz zupełnie jak twój kuzyn. Gdy zobaczyłem list gończy za tobą, zrozumiałem, że imperium próbowało cię schwytać, ale uciekłeś. Choć - wzrok Jeoda powędrował ku pozostałym - nigdy bym nie podejrzewał, że zabrałeś ze sobą całe Carvahall.

Oszołomiony Roran opadł na fotel i położył młot na kolanach.

- Był tu Eragon?

- Tak. i Saphira.

- Saphira?

W oczach Jeoda znów błysnęło zdumienie.

- Ty nic nie wiesz?

- O czym?

Kupiec przyglądał mu się długą chwilę.

- Chyba nadszedł czas, by odrzucić wszystkie kłamstwa, Roranie Garrowssonie, i pomówić otwarcie, bez podstępów. Mogę odpowiedzieć na wiele dręczących cię pytań, na przykład wyjaśnić, czemu ściga cię imperium. W zamian jednak muszę znać powód, dla którego przybyliście do Teirmu. Prawdziwy powód.

- A czemu niby mielibyśmy ci zaufać, Laskonogi? - spytał ostro Loring. - Możesz przecież pracować dla Galbatorixa.

- Byłem przyjacielem Broma przez ponad dwadzieścia lat nim jeszcze został bajaranem w Carvahall - odparł Jeod - i dołożyłem wielkich starań, by pomóc jemu i Eragonowi, gdy gościli pod moim dachem. Ponieważ jednak żaden z nich nie może za mnie poręczyć, składam moje życie w waszych rękach. Róbcie ze mną co chcecie. Mógłbym wzywać pomocy, ale tego nie zrobię, nie będę też z wami walczył. Proszę tylko, żebyście opowiedzieli mi swoją historię i wysłuchali mojej. Wówczas sami zdecydujecie co począć dalej. Na razie nie grozi wam niebezpieczeństwo, może zatem porozmawiamy?

Birgit kiwnęła głową, przyciągając wzrok Rorana.

- Może mówi tak, bo próbuje ocalić skórę?

- Możliwe - odparł Roran. - I tak jednak musimy się dowiedzieć, ile wie.

Chwycił mocno fotel i przeciągnął go pod drzwi, po czym na nim usiadł, tak by nikt nie mógł wpaść do środka i ich zaskoczyć. Skinął młotem na Jeoda.

- W porządku, chcesz porozmawiać? Zatem rozmawiamy.

- Najlepiej będzie, jeśli ty zaczniesz.

- Jeżeli to zrobię, a później nie spodobają nam się twoje odpowiedzi, będziemy musieli cię zabić - ostrzegł Roran.

Jeod skrzyżował ręce na piersi.

- Niechaj i tak będzie.

Wbrew sobie Roran poczuł, że imponuje mu opanowanie kupca. Wyglądało na to, że Jeoda nie obchodzi jego własny los, choć mocno zacisnął usta.

- Niechaj tak będzie - powtórzył Roran.

Wiele razy odtwarzał w pamięci wydarzenia, począwszy od dnia, w którym do Carvahall przybyli Ra'zacowie, jednak nigdy dotąd nie opisywał ich szczegółowo komuś innemu. I gdy tak mówił,

uderzyło go, jak wiele wydarzyło się w życiu jego i całej wioski w tak krótkim czasie i z jaką łatwością imperium zniszczyło ich dotychczasowe życie. Przywoływanie starych koszmarów okazało się bolesne, przynajmniej jednak uradowało go szczere zdumienie Jeoda, gdy ten słuchał o tym, jak wieśniacy wypłoszyli z obozu żołnierzy i Ra'zaców, o oblężeniu Carvahall, zdradzie Sloana, porwaniu Katriny, o tym jak Roran przekonał wieśniaków do ucieczki i o trudach podróży do Teirmu.

- Na utraconych królów! - wykrzyknął kupiec. - To naprawdę niezwykła opowieść. I pomyśleć, że zdołaliście wymknąć się Galbatorixowi i cała wioska Carvahall ukrywa się pod jednym z największych miast imperium, a król nie ma o tym pojęcia! - Z podziwem pokręcił głową.

- Tak właśnie wygląda nasza sytuacja - warknął Loring. - A że z każdą chwilą staje się coraz bardziej niebezpieczna... Wyjaśnij nam lepiej bardzo dokładnie, czemu mielibyśmy ryzykować, pozostawiając cię przy życiu.

- Ja także ryzykuję, ponieważ... Jeod urwał, bo w tym momencie ktoś szarpnął kłamekę za plecami Rorana, próbując otworzyć drzwi. Gdy się to nie udało, zaczął walić pięściami w dębowe deski. Po chwili usłyszeli głos kobiety:

- Jeodzie! Wpuść mnie, Jeodzie! Nie możesz się ukrywać w tej swojej jaskini.

- Czy mogę? - mruknął Jeod.

Roran pstryknął palcami; Nolfavrell rzucił mu sztylet. Roran szybko okrążył biurko i przycisnął ostrze do gardła kupca.

- Każ jej odejść.

- Teraz nie mogę rozmawiać - oznajmił Jeod głośno. - Jestem w trakcie spotkania.

- Kłamca! Nie prowadzisz już żadnych interesów, jesteś bankrutem! Wyjdź i porozmawiaj ze mną, tchórze! - Co z ciebie za mężczyzna, skoro nie ważysz się nawet spojrzeć w oczy własnej żonie? - Na moment umilkła, jakby oczekując odpowiedzi, po czym jeszcze bardziej podniosła głos. - Tchórz! Jesteś zwykłym szcurem, zapchlonym, marnym kundlem, który nie ma dość rozumu, by kierować kramem mięsny, a co dopiero kompanią handlową! Mój ojciec nigdy nie straciłby tyłu pieniędzy.

Roran skrzywił się, słysząc te wyzwiska. Dłużej nie zdołał powstrzymać Jeoda, pomyślał.

- Milcz, kobieto - polecił Jeod. Po drugiej stronie drzwi zapadła cisza. - Nasza fortuna może się odmienić na lepsze, musisz jednak powstrzymać swój język i przestać skrzeczeć jak zwykła przekupka.

- Wedle twego rozkazu, drogi mężu - odpowiedziała po chwili zimno. - Zaczekam w jadalni. Jeśli jednak do wieczery nie zdecydujesz się pomówić ze mną i wyjaśnić co planujesz, opuszczę ten przeklęty dom i nigdy do niego nie wrócę. - Jej kroki oddaliły się szybko.

Upewniwszy się, że odeszła, Roran odsunął sztylet od szyi Jeoda i oddał broń Nolfavrellowi, po czym z powrotem zajął miejsce w przysuniętym do drzwi fotelu.

Jeod roztarł skórę na gardle.

- Jeśli nie dojdziemy do porozumienia - rzekł z cierpką miną - faktycznie lepiej mnie zabijcie. To będzie łatwiejsze niż tłumaczenie Helen, że skrzyczałem ją na próżno.

- Masz moje współczucie, Laskonogi - mruknął Loring.

- To nie jej wina... nie do końca. Po prostu nie rozumie, czemu spotkało nas tak wiele nieszczęść. - Jeod westchnął. - Może to ja zawiniłem, bo nie odważyłem się jej powiedzieć.

- Powiedzieć? Czego? - spytał Nolfavrell.

- Że jestem agentem Vardenów. - Jeod powiódł wzrokiem po ich twarzach. - Chyba powinienem zacząć od początku. Roranie, czy słyszałeś krążące od kilku miesięcy pogłoski o pojawieniu się nowego Jeźdźca, który sprzeciwia się Galbatorixowi?

- Owszem, tu i tam, ale nie brzmiały zbyt wiarygodnie.

Jeod zawahał się.

- Nie wiem jak ci to powiedzieć, Roranie... ale w Alagaesii istotnie pojawił się nowy Jeździec. To twój kuzyn, Eragon. Kamień, który znalazł w Koścu, był w istocie smoczym jajem,

które wiele lat temu pomogłem wykraść Galbatorixowi. Smoczyca wykluła się dla Eragona, a on nazwał ją Saphira. Dlatego właśnie Ra'zacowie pierwszy raz przybyli do doliny Palancar. Powrócili, ponieważ Eragon stał się groźnym wrogiem imperium i Galbatorix miał nadzieję, że jeśli cię schwyta, zmusi go do współpracy.

Roran uniósł głowę i ryknął głośnym śmiechem, w kącikach oczu zebrały mu się łzy, a brzuch rozboleł go gwałtownie. Loring, Birgit i Nolfavrell patrzyli na niego z uczuciem bliskim strachowi, nie obchodziło go jednak ich zdanie. Śmiał się z absurdalnych słów Jeoda, a jednocześnie przeraziła go myśl, że kupiec może mówić prawdę.

W końcu, chwytając głośno powietrze, uspokoił się powoli, choć od czasu do czasu wciąż jeszcze wybuchał krótkim, pozbawionym wesołości chichotem. Otarł twarz rękawem, po czym spojrzał na Jeoda, uśmiechając się groźnie.

- Przyznaję, to pasuje do faktów, ale podobnie mógłbym rzec o kilku innych możliwych tłumaczeniach.

- Jeśli kamień Eragona był smoczym jajem - wtrąciła Birgit - to skąd się tam wziął?

- Ach - odparł Jeod - to akurat wiem aż za dobrze.

Siedząc wygodnie w fotelu, Roran z niedowierzaniem słuchał fantastycznej historii o tym, jak Brom - stary, marudny Brom! - był kiedyś Jeźdźcem i pomógł zorganizować Vardenów. Jak Jeod odkrył sekretne przejście wiodące do Uru'baenu, jak Vardeni zaaranżowali kradzież ostatnich trzech smoczyczych jaj i jak zdołali ocalić tylko jedno, a Brom stanął do walki i zabił Morzana Zaprzysięzonego. Co więcej, jakby ta część historii nie zabrzmiała wystarczająco niesamowicie, Jeod kontynuował, opisując traktat zawarty przez Vardenów, krasnoludy i elfy, głoszący, że jajo ma być przewożone pomiędzy Du Veldenvarden i Górami Beorskimi. Dlatego właśnie znalazło się wraz z kurierami na skraju wielkiej puszczy, gdy posłańcy wpadli w pułapkę zastawioną przez Cienia.

Cienia, akurat - pomyślał Roran.

Mimo swego sceptycyzmu, z rosnącym zainteresowaniem słuchał dalej historii o tym, jak Eragon znalazł jajo i wychowywał smoczykę Saphirę w lesie obok farmy Garrowa. Choć on sam w owym czasie miał mnóstwo zajęć - szykował się do wyjazdu i pracy we młynie Demptona w Therinsfordzie - pamiętał, że kuzyn zdradzał dziwne roztargnienie. Każdą wolną chwilę spędzał na dworze i nikt nie wiedział co robi... Kiedy Jeod wyjaśnił, jak i dlaczego zginął Garrow, w sercu Rorana wezbrała wściekłość.

Jak Eragon śmiał utrzymać w sekrecie istnienie smoczycy, mimo że stanowiło to zagrożenie dla wszystkich? To jego wina, że mój ojciec nie żyje.

- Co on sobie myślał?! — wybuchnął.

Spojrzał ze złością na Jeoda, który obserwował go ze spokojem i zrozumieniem malującym się na twarzy.

- Wątpię, by Eragon sam to wiedział. Jeźdźców i ich smoki łączy tak silna więź, że często trudno ich rozróżnić. Eragon nie mógł zranić Saphiry, równie dobrze mógłby odciąć sobie własną nogę.

- Mógł - mruknął Roran. — Przez niego musiałem robić rzeczy równie bolesne i wiem, że mógł.

- Masz prawo tak się czuć - odparł kupiec. - Nie zapominaj jednak, że Eragon opuścił dolinę Palancar po to, by chronić ciebie i wszystkich, którzy tam pozostali. Z tego, co wiem, było to dla niego bardzo trudne. Z jego punktu widzenia poświęcił siebie, by zapewnić wam bezpieczeństwo i pomóc twojemu ojca. A choć odejście nie odniosło pożądanych skutków, gdyby został, to z pewnością byłoby jeszcze gorzej.

Roran nie odzywał się więcej aż do chwili, kiedy Jeod wspomniał, że Brom i Eragon odwiedzili Teirm po to, by sprawdzić manifesty statków i na tej podstawie spróbować odnaleźć kryjówkę Ra'zaców.

- I udało im się?! - wykrzyknął, zrywając się na równe nogi.

- Owszem, udało.

- Gdzie zatem to jest? Do licha, człowieku, mów! Wiesz jakie to dla mnie ważne.



- Z rejestrów wynikało, że siedzibą Ra'zaców jest formacja skalna zwana Helgrindem obok miasta Dras-Leona. Później zaś dostałem od Vardenów wiadomość, że Eragon także to potwierdził. Podniecony Roran zacisnął palce na trzonku młota.

To bardzo długa droga, ale z Teirmu prowadzi gościniec na jedyną otwartą przełęcz wiodącą na południowy kraniec Kośca. Gdybym zdołał bezpiecznie wsadzić wszystkich na statek, mógłbym udać się do Helgrindu, ocalić Katrinę, jeśli tam jest, i podążyć wzdłuż rzeki Jiet do Surdy.

Część z jego myśli musiała odbić się na twarzy, bo Jeod rzekł szybko:

- Nie da się tego zrobić, Roranie.

- Słucham?

- Samotny człowiek nie zdoła zdobyć Helgrindu. To potężna, naga, czarna, kamienna góra, nie da się na nią wspiąć. Przypomnij sobie ohydne wierzchowce Ra'zaców. Całkiem możliwe, że mieszkają w gnieździe na szczycie góry, a nie w odsłoniętej jamie u jej stóp. Jak zatem do nich dotrzesz? A jeśli nawet, to naprawdę sądzisz, że zdołasz pokonać obu Ra'zaców i ich dwa wierzchowce, jeśli nie więcej? Nie wątpię, że jesteś groźnym wojownikiem, ostatecznie w twych żyłach płynie ta sama krew co w żyłach Eragona, ale Ra'zacowie to przeciwnik zbyt silny dla zwykłego człowieka.

Roran pokręcił głową.

- Nie mogę opuścić Katriny. Być może nic nie zdołałam, muszę jednak spróbować ją uwolnić, nawet gdybym miał zapłacić życiem.

- Twoja śmierć nie pomoże Katrinie - upomniał go Jeod. - Jeśli mogę ci coś poradzić, spróbuj dotrzeć do Surdy, tak jak planowałeś. Gdy się tam znajdziesz, z pewnością Eragon zgodzi się ci pomóc. Nawet Ra'zacowie nie mogą się równać w otwartej walce z Jeźdźcem i jego smokiem.

Oczywiście Roran ujrzał olbrzymie, szarokóre bestie, których dosiadali Ra'zacowie. Wbrew samemu sobie musiał przyznać, że nie zdoła zabić podobnego stwora, bez względu na siłę własnej motywacji. W chwili, gdy się z tym pogodził, uwierzył w końcu w opowieść Jeoda - gdyby bowiem w nią wątpił, na zawsze utraciłby Katrinę.

Eragonie, pomyślał. Eragonie! Na krew, którą przelałem, którą mam na rękach, przysięgam na mego ojca, że odpokutujesz za to co zrobiłeś, zaatakujesz wraz ze mną Helgrind. Skoro ty nas w to wplątałeś, to zmuszę cię, abyś nas wypłatał. Skinął głową Jeodowi. - Opowiadaj dalej. Nim zapadnie zmierzch, wysłuchajmy do końca tej smutnej historii.

Wówczas Jeod opowiedział im o śmierci Broma; o Murtaghu synu Morzana; o schwytaniu i ucieczce w Gil'eadzie; o desperackiej gonitwie i próbie ocalenia elfki; o urgalach, krasnoludach i wielkiej bitwie w miejscu zwanym Farthen Dur, gdzie Eragon pokonał Cienia. Opowiedział im też, że Vardeni opuścili Góry Beorskie, zmierzając do Surdy, a Eragon przebywa teraz głęboko w sercu Du Veldenvarden, poznając sekrety magii i sztuki walki elfów, ale wkrótce powróci.

Gdy kupiec umilkł, Roran wezwał Loringa, Birgit i Nolfavrella na drugą stronę gabinetu i spytał o ich opinię.

- Nie potrafię stwierdzić, czy kłamie - rzekł Loring, zniżając głos - ale każdy, kto potrafiłby wymyślić taką historię pod groźbą noży, zasługuje na to, by żyć. Nowy Jeździec! I to w dodatku Eragon. - Pokręcił głową.

- Birgit? - spytał Roran.

- Sama nie wiem. Wszystko to jest takie niesamowite... - Zawahała się. - Ale musi być prawdą. Tylko drugi Jeździec mógł sprawić, że imperium ściga nas tak zawzięcie.

- Owszem - zgodził się Loring; jego oczy lśniły z podniecenia. - Zaplątaliśmy się w znacznie ważniejsze sprawy, niż podejrzewaliśmy. Nowy Jeździec, pomyślcie tylko. Powiadam wam, stary porządek się chwieje... Od początku miałaś rację, Roranie.

- Nolfavrell?

Chłopiec zastanowił się z powagą, wyraźnie rad, że go spytano. Przygryzł wargę.

- Jeod sprawia wrażenie uczciwego. Myślę, że możemy mu ufać.

- W porządku. - Roran odwrócił się do Jeoda. Oparł się kostkami o skraj biurka. - Jeszcze dwa ostatnie pytania, Laskonogi. Jak wyglądają Brom i Eragon? I jak rozpoznałeś imię Gertrude?

- Wiedziałem o Gertrude, bo Brom wspominał, że zostawił u niej list do ciebie. A co do wyglądu: Brom był nieco niższy ode mnie, miał gęstą brodę, haczykowaty nos i nosił ze sobą rzeźbioną laskę. Śmiej się też dodać, że czasami bywał dość drażliwy.

Roran skinął głową, tak właśnie wyglądał Brom.

- Eragon był... młody. Brązowe włosy, brązowe oczy, blizna na przegubie, i nie przestawał zadawać pytań.

Roran skinął głową po raz drugi. Tak wyglądał Eragon.

Wsunął młot za pas. Birgit, Loring i Nolfavrell schowali noże. Potem Roran odciągnął fotel od drzwi i cała czwórka wróciła na swe miejsca zachowując się jak ludzie cywilizowani.

- Co teraz, Jeodzie? - spytał Roran. - Możesz nam pomóc? Wiem, że jesteś w trudnej sytuacji, ale my... my jesteśmy zrozpaczeni. Nie mamy się do kogo zwrócić. Jako agent Vardenów, czy możesz zagwarantować nam ich ochronę? Chętnie będziemy im służyć, jeśli ochronią nas przed gniewem Galbatorixa.

- Vardeni - odparł Jeod - będą więcej niż radzi, mogąc was przyjąć. Więcej niż radzi. Podejrzewam zresztą, że już to odgadłeś. Co do pomocy... - Przesunął dłonią po twarzy, spoglądając ponad głową Loringa na rzędy stojących na półkach książek. - Od prawie roku orientuję się, że moja prawdziwa tożsamość, podobnie jak wielu innych kupców wspomagających Vardenów, została ujawniona imperium. Z tego powodu nie odważyłem się uciec do Surdy. Gdybym spróbował, imperium by mnie aresztowało. A wówczas kto wie, co za koszmar by mnie czekał. Musiałem oglądać stopniowy upadek moich interesów, w żaden sposób nie mogąc mu przeciwdziałać. Co gorsza, teraz, gdy nie mogę też wysłać niczego Vardenom, oni nie śmiały wyprawiać do mnie posłańców. Lękam się, że lord Risthart każe mnie zakuć w żelaza i zaciągnąć do lochów, nie jestem już bowiem przydatny imperium. Spodziewam się tego od chwili, gdy ogłosiłem bankructwo.

- Może - podsunęła Birgit - chcą, byś uciekł, żeby mogli schwytać tych, których zabierzesz ze sobą.

Jeod uśmiechnął się.

- Może. Teraz jednak, gdy przybyliście tutaj, mam sposób ucieczki, którego nie przewidzieli.

- Zatem masz plan? - spytał Loring. Twarz Jeoda pojaśniała.

- O tak, mam plan. Czy widzieliście cumujący w porcie statek *Smocze skrzydło* ?

Roran powrócił do niego myślami.

- Tak

- *Smocze skrzydło* należy do kompanii handlowej Blackmoor, stanowiącej przykrywkę dla imperium. Zajmują się przewożeniem zapasów dla armii, która ostatnio niepokojąco wzrosła. Werbownicy zaciągali chłopów w wioskach, a wojsko rekwirowało konie, osły i wory. - Jeod uniósł brwi. - Nie jestem pewien co to znaczy, możliwe jednak, że Galbatorix zamierza pomaszzerować na Surdę. Tak czy inaczej, *Smocze skrzydło* w ciągu tygodnia pożegluje do Feinster. To najlepszy statek, jaki kiedykolwiek zbudowano, nowy projekt mistrza skutnika Kinnella.

- A ty chcesz go zająć? - dokończył Roran.

- Owszem - Nie tylko po to, by zrobić na złość imperium, czy dlatego że *Smocze skrzydło* jest ponoć najszybszym żaglowcem swojej wielkości, Chcę to zrobić, gdyż wyposażono go już na długą podróż, a ładunkiem jest żywność, której wystarczy dla całej wioski.

Loring zaśmiał się nerwowo.

- Mam nadzieję, że potrafisz sam żeglować statkiem, Laskonogi, bo nikt z nas nie umie pływać na niczym większym od barki.

- Kilku ludzi z załóg moich statków wciąż przebywa w Teirmie. Są w takiej samej sytuacji jak ja: nie mogą walczyć ani uciec. Z pewnością zechcą skorzystać z szansy dotarcia do Surdy. Już na pokładzie nauczą was wszystkiego. To nie będzie łatwe, ale nie mamy wyboru.

Roran uśmiechnął się szeroko. Plan spodobał mu się, był w jego stylu - szybki, zdecydowany, zaskakujący.

- Wspominałeś, że przez ostatni rok żaden z twoich statków, ani statków innych kupców służących Vardenom, nie dotarł do celu - wtrąciła Birgit - Czemu zatem uważasz, że ta misja się powiedzie, skoro tak wiele innych poniosło klęskę?

- Ponieważ mamy po swej stronie zaskoczenie - odpowiedział szybko Jeod. - Prawo wymaga, by statki handlowe przekazały władzom portu plan podróży co najmniej dwa tygodnie przed wypłynięciem. Przygotowanie statku wymaga mnóstwa czasu. Jeśli więc odpłyniemy bez uprzedzenia, może minąć tydzień lub więcej, nim Galbatorix zdoła wysłać za nami pościg. Jeżeli dopisze nam szczęście, nie zobaczymy nawet czubków masztów ścigających nas okrętów. A zatem, jeśli chcecie spróbować, oto co musimy zrobić...

## Ucieczka

Gdy rozważyli już propozycję Jeoda z każdej możliwej strony i zgodzili się, by wcielić ją w życie - z drobnymi zmianami - Roran wysłał Nolfavrella Pod zielony kasztan po Gertrudę i Mandela, bo kupiec zaproponował im wszystkim gościnę.

- A teraz, jeśli mi wybaczycie - rzekł, wstając - muszę wyznać żonie to, czego nigdy nie powinienem był przed nią ukryć, i spytać, czy zechce towarzyszyć mi do Surdy. Możecie wybrać sobie pokoje na piętrze. Rolf wezwie was na kolację. - Wyszedł z gabinetu, stawiając długie, powolne kroki.

- Czy to mądre pozwolić, by powiedział o wszystkim tej potworzycy? - spytał Loring.

Roran wzruszył ramionami.

- Mądre czy nie, nie możemy go powstrzymać i wątpię, by odnalazł spokój, póki tego nie uczyni.

Miał udać się do pokoju, Roran zaczął wędrować po całym domu, podświadomie unikając służby. Rozmyślał o wszystkim, co powiedział Jeod. Zatrzymał się przy oknie wykuszowym z tyłu domu, wychodzącym na stajnie, i wciągnął w płuca chłodne, zadymione powietrze, w którym unosiła się znajoma woń łajna.

- Nienawidzisz go?

Wzdrygnął się i obejrzał. W drzwiach stała Birgit, widział zarys jej sylwetki. Ramiona owinęła ciasno szalem, zbliżając się do niego.

- Kogo? - spytał, choć dobrze wiedział.

- Eragona. Nienawidzisz go?

Roran spojrział w ciemniejące niebo.

- Nie wiem. Nienawidzę go, bo to przez niego zginął mój ojciec, ale wciąż należy do rodziny i za to go kocham. Przypuszczam, że gdybym nie potrzebował Eragona, by ocalić Katrinę, przez długi czas nie chciałbym mieć z nim nic wspólnego.

- Tak samo ja ciebie potrzebuję i nienawidzę, Młotoręki.

Parsknął z ponurym rozbawieniem.

- O tak, jesteśmy jak zrośnięci, prawda? Musisz mi pomóc odnaleźć Eragona, by pomóc śmierć Quimby'ego na Ra'zacach.

- A potem na tobie.

- To także.

Roran przez chwilę patrzył w jej niezłomne oczy, czując łączącą ich więź. Dziwnie pocieszała go świadomość, że gna ich ta sama siła, ten sam gniewny ogień, który każe przyspieszyć kroku, nawet gdy inni słabną. W Birgit dostrzegał bratnią duszę.

Wędrując przez dom, przystanął przy jadalni, bo usłyszał znajomy głos Jeoda. Zaciekawiony, przysunął oko do szczeliny w środkowym zawiasie.

Jeod stał naprzeciwko smukłej, jasnowłosej kobiety; Roran zakładał, że to Helen.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, jak możesz oczekiwać, że ci zaufam?

- Nie mogę - odparł Jeod.

- A jednak prosisz mnie, bym dla ciebie skazała się na wygnanie.

- Kiedyś byłaś gotowa opuścić rodzinę i wędrować ze mną po świecie. Błagałaś, żebym porwał cię z Teirmu.

- Kiedyś. Wówczas sądziłam, że jesteś niesamowicie przystojny, z tym swoim mieczem i blizną.

- Wciąż je mam - rzekł cicho. - Popeliłem wiele błędów w naszym małżeństwie, Helen, teraz to rozumiem. Ale wciąż cię kocham i chcę, żebyś była bezpieczna. Tu nie mam żadnej przyszłości. Jeśli zostanę, zaszkodzę tylko twojej rodzinie. Możesz wrócić do ojca albo pójść ze mną. zrób to, co cię uszczęśliwi. Błagam jednak, abyś dała mi drugą szansę, byś znalazła w sobie

odwagę, żeby opuścić to miejsce i odrzucić gorzkie wspomnienia. W Surdzie możemy zacząć wszystko od nowa.

Długą chwilę Helen milczała.

- Ten młodzieniec, który tu był, to naprawdę Jeździec?

- Owszem. Zerwał się wiatr zmian, Helen. Vardeni szykują się do ataku, krasnoludy zbierają siły. Nawet elfy wychylają głowy z pradawnych siedzib. Zbliża się wojna i jeśli dopisze nam szczęście, przyniesie ze sobą upadek Galbatorixa.

- Czy wśród Vardenów jesteś kimś ważnym?

- Są mi coś winni za rolę, jaką odegrałem w zdobyciu jaja Saphiry.

- Zatem w Surdzie będziesz miał wśród nich godną pozycję?

- Tak przypuszczam. - Położył jej rękę na ramionach, a ona się nie cofnęła.

- Jeodzie -szepnęła - Jeodzie, nie naciskaj. Jeszcze nie podjęłam decyzji.

- Ale pomyślisz nad tym?

Zadrżała.

- O tak, pomyślę.

Roran odszedł cicho, czując ból w sercu.

Katrina.

Tego wieczoru przy kolacji zauważył, że Helen przygląda mu się często, szacując go wzrokiem. Był pewien, że porównuje go z Eragonem.

Po posiłku wezwał gestem Mandela i wyprowadził na dziedziniec za domem.

- Co się stało? - spytał Mandel.

- Chciałem porozmawiać z tobą w cztery oczy.

- O czym?

Roran przesunął palcem po wyszczerbionym ostrzu młota. Pomyślał sobie nagle, że czuje się zupełnie jak Garrow, który wygłaszał mu wykłady na temat odpowiedzialności. Roranowi cisnęły się na język te same frazy. Jedno pokolenie przechodzi w drugie.

- Ostatnio bardzo zaprzyjaźniłeś się z marynarzami.

- Nie są naszymi wrogami — zaprotestował Mandel.

- Na tym etapie każdy jest naszym wrogiem. Clovis i jego ludzie w jednej chwili mogą zwrócić się przeciwko nam. Nie byłby to jednak problem, gdyby nie fakt, że przebywanie z nimi sprawiło, że zaniedbałeś swoje obowiązki. - Mandel zeszywniał, a na jego policzkach wykwitły rumieńce. Roran jednak z zadowoleniem stwierdził, że chłopak nie zniżył się do tego, by zaprzeczać. - Co jest w tej chwili dla nas najważniejsze. Mandelu?

- Chronienie naszych rodzin.

- Zgadza się. I co jeszcze?

Mandel zawahał się, niepewny.

- Nie wiem - wyznał w końcu.

- Pomaganie sobie nawzajem. Tylko dzięki temu zdołamy przetrwać. Zawiodłem się słysząc, że grałeś z marynarzami o żywność, to bowiem zagraża całej wiosce. Zamiast grać w kości bądź uczyć się rzucać nożem, lepiej spędzisz czas, polując. Po śmierci ojca teraz ty musisz zaopiekować się matką i rodzeństwem. Polegają na tobie. Wyrażam się jasno?

- Bardzo jasno - odparł Mandel zdławionym głosem.

- Czy to się powtórzy?

- Nigdy.

- To dobrze. Nie przyprowadziłem cię tu jednak po to, by ci czynić wyrzuty. Wyczuwam w tobie siłę i dlatego chcę ci powierzyć zadanie, którego nie wyznaczylbym nikomu innemu.

- Tak jest!

- Jutro rano wrócisz do obozu i przekazesz wiadomość Horstowi. Jeod uważa, że szpiegdy imperium obserwują jego dom. Pamiętaj zatem, żeby sprawdzić, czy nikt cię nie śledzi. Wydostań się z miasta, a potem wymknij szpiegom. Jeśli będzie trzeba, zabij. Kiedy znajdziesz Horsta, powiedz mu, by... - Szybko powtórzył instrukcje, obserwując twarz Mandela, która zdradzała kolejno zaskoczenie, wstrząs i wreszcie nabożny podziw.

- A jeśli Clovis zaprotestuje? — spytał chłopak.  
- Tej nocy połam stery barek, by nie dało się nimi kierować. To wstrętny podstęp, ale gdyby Clovis bądź jego ludzie zjawili się w Teirmie przed wami, mogłoby to zakończyć się katastrofą.  
- Nie pozwolę, by do tego doszło, przysięgam - obiecał Mandel.  
Roran uśmiechnął się.  
- To dobrze.  
Zadowolony, że rozwiązał problem zachowania Mandela i pewien, że młodzieniec uczyni wszystko, by dostarczyć Horstowi wiadomość, wrócił do domu, życzył gospodarzowi dobrej nocy i położył się spać.

☆☆☆

Oprócz Mandela, Roran i jego towarzysze przez następny dzień nie wychylali nosa z domu, wykorzystując ten czas, by odpocząć, naostrzyć broń i raz jeszcze przemyśleć wszystkie plany.

Od świtu do zmierzchu widywali przelotnie Helen krzątającą się po pokojach, całkiem często Rolfa o zębach niczym wypolerowane perły, ani razu natomiast nie widzieli Jeoda, albowiem siwowłosa kupiec wyszedł na przechadzkę po mieście i - pozornie przypadkowe - spotkania z kilkoma ludźmi morza, którym ufał.

Po powrocie odszukał Rorana.

- Możemy liczyć na pięciu ludzi. Mam tylko nadzieję, że to wystarczy. Przez resztę wieczoru Jeod pozostał w swym gabinecie, przygotowując najróżniejsze dokumenty prawne i porządkując swoje sprawy.

Na trzy godziny przed świtem Roran, Loring, Birgit, Gertrude i Nolfavrell obudzili się i rozziewani od ucha do ucha zebrali przy wejściu, opatuleni w długie płaszcze skrywające twarze. Gdy Jeod dołączył do nich, dostrzegli, że ma rapier u pasa. Roran pomyślał, że wąski miecz w jakiś sposób dopełnia jego postaci, jakby przypominał Jeodowi, kim jest naprawdę. Kupiec zapalił lampę oliwną i uniósł ją przed nimi.

- Gotowi? - spytał.

Przytaknęli. Wówczas odryglował drzwi i wyszli gęsiego na pustą, brukowaną ulicę. Za ich plecami Jeod jeszcze przez chwilę zwlekał w wejściu, zerkając tęsknie na schody po prawej. Helen jednak się nie zjawiała.. W końcu przekroczył próg domu i zamknął drzwi.

Roran położył mu rękę na ramieniu.

- Co się stało, to się stało.

- Wiem.

Zaczęli biec przez miasto, zwalniając kroku, gdy natykali się na strażników bądź innych ludzi nocy, z których większość umykała na ich widok. Raz usłyszeli dobiegające z góry kroki.

- Konstrukcja miasta - wyjaśnił Jeod - ułatwia złodziejom wspinaczkę z dachu na dach.

Zbliżając się do wschodniej bramy Teirmu, znów zwolnili. Ponieważ ta brama wychodziła na port, zamykano ją tylko na cztery nocne godziny, by jak najmniej zakłócać handel. Mimo wczesnej pory dostrzegli już w niej kilkanaście osób.

Choć Jeod uprzedził ich o tym, Roran poczuł nagły lęk, gdy strażnicy opuścili piki i spytali, co ich sprowadza. Oblizwał wargi, starając się nie kręcić niespokojnie, podczas gdy starszy wartownik oglądał uważnie wręczony mu przez Jeoda zwój. Po długiej chwili skinął głową i oddał kupcowi pergamin.

- Możecie przejść.

- Jak to dobrze, że nie umiał czytać - stwierdził Jeod, gdy znaleźli się na przystani.

Czekali w szóstkę na wilgotnym pomoście, aż w końcu z szarej, zalegającej na brzegu mgły kolejno wyłonili się ludzie Jeoda, ponurzy i milczący, o splecionych w warkocze włosach sięgających do połowy pleców i poplamionych smołą dłoniach. Każdy z nich mógł się poszczycić kolekcją blizn, które wzbudziły szacunek nawet u Rorana. Spodobał mu się ich widok i widział, że oni także przyjęli ich chętnie. Wszystkich, prócz Birgit. Jeden z marynarzy, potężny osiłek, wskazał ją palcem.

- Nie mówiłeś, że mamy walczyć u boku kobiety. Jak mam się skupić, gdy pod nogami będzie mi się kręcić tępa wieśniaczka?

- Nie mów tak o niej - warknął Nolfavrell, zaciskając zęby.

- I do tego jej szczeniak?

- Birgit walczyła z Ra'zacami - odparł spokojnie Jeod. - A jej syn zabił już jednego z najlepszych żołnierzy Galbatorixa. Możesz powiedzieć o sobie to samo, Utharze?

- To nie przystoi - poparł go drugi. - Nie czuję się bezpiecznie z kobietą u boku, przynoszą tylko pecha. Prawdziwa dama nie powinna...

Nie wiadomo, co chciał rzec dalej, bo w tym momencie Birgit zachowała się w sposób zupełnie nie przystający damie. Wystąpiła naprzód, kopnęła Uthara między nogi, a potem złapała drugiego marynarza i przycisnęła mu do gardła nóż. Trzymała go tak chwilę, by wszyscy zobaczyli, co robiła, a potem wypuściła. Uthar wił się na deskach u jej stóp i skulony przeklinał cicho.

- Ktoś jeszcze ma jakieś uwagi? - spytała ostro.

Za jej plecami Nolfavrell z otwartymi szeroko ustami gapił się, oszołomiony.

Roran naciągnął niżej kaptur, by ukryć uśmiech.

Dobrze, że nie zauważyli Gertrude, pomyślał.

Gdy nikt więcej nie sprzeciwił się obecności Birgit, Jeod przeszedł do rzeczy.

- Przynieśliście wszystko co chciałem? - spytał.

Marynarze jak jeden mąż sięgnęli pod kubraki i wyciągnęli obciążone pałki oraz zwoje liny. Tak uzbrojeni ruszyli w głąb portu w stronę *Smoczego skrzydła*, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. Jeod cały czas zasłaniał lampę. Gdy dotarli do doku, ukryli się za magazynem, obserwując dwie latarnie kołyszące się w dłoniach patrolujących pokład wartowników. Załoga *Smoczego skrzydła* zdjęła na noc trap.

- Pamiętajcie - szepnął Jeod. - Najważniejsze to nie dopuścić do wszczęcia alarmu, póki nie będziemy gotowi.

- Dwóch na górze, dwóch pod pokładem, zgadza się? - spytał Roran.

- Taki jest zwyczaj - odparł. Uthar i Roran zdjęli spodnie, zostając w samych kalesonach. Obaj przywiązali sobie do pasa liny i pałki, Roran zostawił na brzegu młot, a potem przebiegli w głąb pomostu, poza zasięg wzroku wartowników, i zanurzyli się w lodowatej wodzie.

- Nienawidzę tego - mruknął Uthar.

- Robiłeś już coś takiego?

- To mój czwarty raz. Nie zatrzymuj się, bo zamarzniesz.

Przytrzymując się oślizgłych pali pod pomostem, popłynęli z powrotem i dotarli do kamiennego nabrzeża, przy którym cumowało *Smocze skrzydło*. Wówczas skręcili w prawo. Uthar wyszeptał do ucha Rorana:

- Ja biorę kotwicę od sterburty.

Roran kiwnął głową. Obaj zanurkowali w czarnej wodzie i rozdzielili się. Uthar przepłynął pod dziobem statku, podczas gdy Roran skierował się wprost do kotwicy od bakburty i przywarł do grubego łańcucha. Odwiązał od pasa pałkę i wsunął między zęby - nie tylko po to, by uwolnić ręce, ale też by powstrzymać szcęknięcie - i czekał. Szorstki metal wyszczał z jego dłoni ciepło równie szybko, jak bryła lodu.

W niecałe trzy minuty później usłyszał w górze szuranie butów Birgit. Kobieta podeszła na koniec nabrzeża, zatrzymując się w połowie długości *Smoczego skrzydła*. Po chwili uszu Rorana dobiegł słaby dźwięk jej głosu, gdy wciągnęła wartowników w rozmowę. Liczył na to, że zdoła odwrócić uwagę od dziobu.

Teraz!

Roran zaczął się wspinać po łańcuchu. Rana zadana przez Ra'zaca piekła nieznośnie, nie ustawał jednak. Na moment zatrzymał się przy otworze kotwicznym, chwycił dłońmi mocowania malowanej figury dziobowej, prześliznął się przez burtę i osunął na pokład. Uthar już tam był; dyszał, ociekając wodą.

Z pałkami w dłoniach zaczęli podkładać się w stronę rufy. W końcu stanęli dziesięć stóp za wartownikami. Obaj mężczyźni przechylali się przez reling, przekomarzając się z Birgit.

W mgnieniu oka Roran i Uthar wypadli na pokład, wymierzając wartownikom ciosy w głowę, nim tamci zdążyli dobyć szabel. W dole Birgit wezwała machnięciem ręki Jeoda i resztę grupy. Wspólnymi siłami podnieśli trap i oparli o burtę. Uthar przywiązał go do relingu.

Gdy Nolfavrell wbiegł na pokład, Roran cisnął mu linę.

- Zwiąż tych dwóch i zaknebluj - polecił.

A potem wszyscy prócz Gertrude zeszli pod pokład w poszukiwaniu pozostałych wartowników. Znaleźli czterech dodatkowych mężczyzn - płatnika, bosmana, kuka i pomocnika kuka - wyciągnęli wszystkich z łóżek, opierających się ogłuszyli i związali jak się patrzy. Birgit ponownie dowiodła swej sity, osobiście obezwładniając dwóch marynarzy.

Jeod kazał posadzić nieszczęsnych jeńców w rzędzie na pokładzie, tak by cały czas mieć ich na oku.

- Mamy wiele do zrobienia - oznajmił - i bardzo mało czasu. Roranie, odtąd Uthar jest kapitanem *Smoczego skrzydła*. Ty i pozostali macie słuchać jego rozkazów. Przez następne dwie godziny na statku toczyły się gorączkowe przygotowania. Marynarze zajęli się żaglami i olinowaniem. Roran i reszta przybyszów z Carvahall opróżniali ładownie ze zbędnych zapasów, takich jak bele surowej wełny. Opuszczali je ostrożnie do wody, by plusk nie zaalarmował nikogo. Jeśli na *Smoczym skrzydle* mieli zmieścić się wszyscy mieszkańcy wioski, należało zwolnić jak najwięcej miejsca. Roran obwijał właśnie liną beczkę, gdy usłyszał ochrypy krzyk:

- Ktoś idzie!

Wszyscy, prócz Jeoda i Uthara, padli na pokład, sięgając po broń. Dwaj pozostali zaczęli krążyć po statku, udając wartowników. Serce Rorana tłukło się w piersi, gdy leżał bez ruchu, zastanawiając się co będzie dalej. Wstrzymał oddech, słysząc głos Jeoda... A potem na trapie rozległy się kroki.

To była Helen.

Miała na sobie prostą suknię, ukryte pod chustą włosy związała na karku, a na ramieniu dźwigała jutowy worek. Nie odezwała się ani słowem, wepchnęła tylko swoje rzeczy do głównej kabiny i wróciła, stając u boku Jeoda. Roran pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział szczęśliwszego człowieka.

☆☆☆

Niebo nad odległymi szczytami Kośca zaczynało jaśnieć, gdy jeden z marynarzy wskazał na północ i zagwizdał na znak, że widzi wieśniaków. Roran zareagował błyskawicznie. Wpadł na pokład, patrząc na ciemny rząd ludzi zbliżających się brzegiem. Ta część ich planu bazowała na tym, że w odróżnieniu od innych miast nabrzeżnych, zewnętrzny mur Teirmu nie opadał do morza, lecz raczej opasywał całe miasto, po to by uchronić je przed częstymi atakami piratów. Oznaczało to, że budynki nabrzeżne pozostały niechronione i że wieśniacy mogli podejść do samego statku.

- Szybciej, szybciej - ponaglał Jeod.

Na rozkaz Uthara marynarze przynieśli naręcza oszczepów i ułożyli pod wielkimi łukami na pokładzie. Przytoczyli też baryłki cuchnącej smoły; po otwarciu wysmarowali nią górne połowy oszczepów. Potem załadowali balisty od strony sterburty. Naciągnięcie jednej cięciwy wymagało siły dwóch silnych mężczyzn.

Wieśniacy pokonali już dwie trzecie drogi na statek, gdy dostrzegł ich patrol na murze Teirmu. Zabrzmiały pierwsze trąbki.

- Zapalać i strzelać! - huknął Uthar, jeszcze nim ucichła pierwsza nuta. Nolfavrell otworzył błyskawicznie lampę Jeoda i puścił się biegiem od balisty do balisty, podsuwając płomień pod oszczepy tak, by zapalić smołę. W chwili, gdy pocisk zajmował się ogniem, czekający z tyłu człowiek zwalniał dźwignię i oszczep z ciężkim brzękiem śmigał naprzód. W sumie ze *Smoczego skrzydła* wystrzelono dwanaście płonących pocisków, przeszywających statki i budynki nabrzeża niczym rozpalone do czerwoności meteory.

- Naciągnąć i załadować! - huknął Uthar.



W powietrzu rozległo się skrzypienie zginanego drewna, gdy wieśniacy rzucili się naciągając skręcone cięciwy. Szybko wsunęli na miejsca oszczepy. Nolfavrell ponownie pobiegł z lampą. Roran wyczuwał stopami wibracje, gdy stojąca przed nim balista posłała w powietrze śmiertelny pocisk. Pożar w porcie rozprzestrzenił się szybko, tworząc nieprzenikloną barierę, nie dopuszczającą żołnierzy ze wschodniej bramy Teirmu do *Smoczego skrzydła*. Roran liczył na to, że kolumna dymu ukryje statek przed łucznikami na murach, o mało się jednak nie przeliczył - nim wartownicy stracili ich z oczu, olinowanie zasypał deszcz strzał, a jedna wbiła się w pokład obok Gertrude.

- Dowolnie wybierać cele! - krzyknął stojący na dziobie Uthar. Wieśniacy biegli ku nim na łeb, na szyję. Dotarli już do północnego krańca pomostu. Kilku z nich potknęło się i upadło, gdy żołnierze z Teirmu zasypali ich gradem strzał. Dzieci krzyczały przerażone. Potem jednak uchodźcy z Carvahall znów przyśpieszyli kroku - tupiąc głośno, pędzili po deskach, mijając stojący w płomieniach magazyn. Zdyszany tłum zaczął wlewać się na statek w splątanej masie ciał.

Birgit i Gertrudę kierowały dwa ludzkie strumienie do włazów na dziobie i rufie. Po zaledwie kilku minutach statek pękał w szwach, od ładowni po kabinę kapitana. Ci, którzy nie zmieścili się na dole, pozostali skuleni na pokładzie, unosząc nad głowami tarcze Fiska.

Roran, przekazując wiadomość przez Mandela, polecił, by wszyscy zdolni do walki mężczyźni z Carvahall zgromadzili się wokół głównego masztu, czekając na instrukcje. Dostrzegł wśród nich swojego posłańca i pozdrowił go unosząc dłoń.

A potem Uthar wskazał jednego z marynarzy.

- Ty tam, Bonden - warknął - zabierz tych wałkonów do kabestanów. Podnieście kotwice, a potem łapcie się za wiosła, ale już! - Odwrócił się do obsługujących balisty mężczyzn. - Połowa z was niech przejdzie na bakburtę. Nie możecie dopuścić do abordażu.

Roran należał do tych, którzy zmienili stronę. Podczas gdy szykował balistę kilku późnialszych wypadło chwiejnie z chmury cuchnącego dymu i wdrapało się na statek. Obok niego Jeod i Helen przeciągali kolejno sześciu związanych jeńców na trap i spychali na brzeg. Nim się zorientował, podniesiono kotwice, odrzucono trap, a pod stopami Rorana odezwał się bęben, nadając rytm wiosłarzom. *Smocze skrzydło* powoli skręciło w prawo, w stronę otwartego morza, a potem nabierając szybkości, oddaliło się od brzegu.

Roran wraz z Jeodem ruszyli na rufę. Obserwowali stamtąd czerwone piekło pochłaniające wszystko pomiędzy Teirmem i oceanem. Widziane przez chmury dymu słońce wschodzące nad miastem przypominało rozdęty, krwawy dysk.

Ilu teraz zabiłem? - zastanawiał się w myślach.

- Ucierpi na tym wielu niewinnych ludzi - zauważył Jeod, jakby je odczytując.

Poczucie winy, gnębiące Rorana, sprawiło, że odpowiedział ostrzej, niż zamierzał:

- Wolałbyś siedzieć w więzieniu lorda Ristharta? Wątpię, by wielu ludzi zginęło w pożarze, a pozostałym nie grozi śmierć, w odróżnieniu od nas, jeśli schwyta nas imperium.

- Nie musisz wygłaszać mi wykładów, Roranie; doskonale znam wszystkie argumenty. Zrobiliśmy to co musieliśmy. Nie każ tylko, bym napawał się cierpieniem, jakie zadaliśmy, ratując własną skórę.

☆☆☆

W południe załoga postawiła żagle i *Smocze skrzydło*, gnane sprzyjającym północnym wiatrem, popłynęło naprzód. Naprężone liny nad głowami mruczały cicho.

Na statku panował okrutny tłok, Roran jednak wierzył, że przy starannym planowaniu zdołają dotrzeć do Surdy, unikając niewygód. Najgorsze było racjonowanie żywności - jeśli mieli uniknąć śmierci z głodu musieli wydawać oszczędne posiłki. A w takim tłoku groziły im też choroby. Po tym, jak Uthar wygłosił krótką przemowę na temat znaczenia dyscypliny na statku, wieśniacy zajęli się najpilniejszymi zadaniami: opatrywaniem rannych, rozpakowywaniem skromnego dobytku i przydzielaniem miejsc noclegowych na każdym pokładzie. Musieli też

wybrać ludzi którzy przejmą obowiązki załogi - nowego kucharza, kandydatów na marynarzy - uczących się pod okiem Uthara i tak dalej.

Roran pomagał właśnie Elain rozwiesić hamak, gdy został wciągnięty w żarliwą dyskusję pomiędzy Odele, jej rodziną i Frewinem, który najwyraźniej zdezerterował z załogi Torsona, aby zostać z dziewczyną. Młodzi chcieli się pobrać, rodzice Odele jednak sprzeciwiali się temu, twierdząc że młody marynarz nie ma rodziny, szanowanego zawodu ani środków pozwalających zapewnić ich córce dostatnie życie. Osobiście Roran uważał, że najlepiej byłoby, żeby zakochana para pozostała razem - próbowanie rozdzielenia ich na jednym statku wydało mu się wybitnie niepraktyczne - lecz rodzice Odele nie przyjmowali do wiadomości żadnych argumentów.

- Co zatem chcecie zrobić? - spytał w końcu, poirytowany. - Nie możecie jej zamknąć, a uważam, że Frewin dostatecznie dowiódł swego oddania. I...

- Ra'zac!

Krzyk dobiegł z bocianiego gniazda.

Bez sekundy zastanowienia Roran wyrwał zza pasa młot, obrócił się gwałtownie i wspiął po drabince, po drodze mocno obijając piszczel. Puścił się biegiem ku grupce ludzi na pokładzie rufowym i zatrzymał obok Horsta. Kował wskazał ręką.

Jeden z upiornych wierzchowców Ra'zaców unosił się nad brzegiem niczym poszarpany cień. Na jego grzbiecie siedział jeździec. Oglądane w blasku słońca oba potwory nadal budziły silną grozę w sercu Rorana. Zadrzał, gdy skrzydlaty stwór wydał z siebie złowieszczy wrzask. A potem nad wodą poniosł się owadzi głos Ra'zaca, słaby lecz wyraźny.

- Nie zdolaciecie uciec!

Roran zerknął na balistę, nie mogli jednak odwrócić się na tyle, by trafić Ra'zaca bądź jego wierzchowca.

- Czy ktoś z was ma może łuk?

- Ja mam - odparł Baldor. Ukląkł na pokładzie i zaczął zakładać cięciwę. - Zasłońcie mnie.

Wszyscy obecni utworzyli wokół ciasny krąg, zasłaniając Baldora przed złowrogim spojrzeniem Ra'zaca.

- Czeemu nie atakują? warknął Horst.

Zdumiony Roran zaczął szukać wyjaśnienia; nie znalazł. Dopiero Jeod wpadł na pomysł.

- Może jest dla nich za jasno? Ra'zacowie polują nocą i z tego, co wiem, nie wypuszczają się raczej ze swych kryjówek, gdy słońce świeci na niebie.

- Nie tylko to - dodała powoli Gertrude. - Myślę, że boją się oceanu.

- Boją się oceanu? - prychnął Horst.

- Przyjrzyj się. Ani na moment nie zapuszczają się dalej niż jard od brzegu.

- Ona ma rację - przytaknął Roran.

W końcu odkryłem słabość, którą mogę wykorzystać! - pomyślał.

- Gotów - rzucił Baldor.

Szereg stojących przed nim ludzi rozstał się błyskawicznie, oczyszczając drogę strzałę. Baldor zerwał się na równe nogi i jednym płynnym ruchem przyłożył pióro do policzka, wypuszczając chyży pocisk.

Był to doskonały strzał. Ra'zac wisiał na samej granicy zasięgu długiego łuku - dużo dalej, niż docierały strzały znanych Roranowi łuczników. A jednak Baldor nie chybił, jego strzała trafiła skrzydlatego stwora w prawy bok. Bestia wrzasnęła z bólu tak głośno, że szklana szyba na pokładzie pękła, a kamienie na brzegu rozsypały się w proch. Roran przycisnął dłonie do uszu, chroniąc je przed potwornym, wibrującym dźwiękiem. Wciąż wrzeszcząc, potwór zawrócił w głąb łądu i zniknął za zamglonymi wzgórzami.

- Zabiłeś go? - spytał Roran.

- Niestety, nie - odparł Baldor. - To tylko lekka rana.

- O tak - potwierdził z satysfakcją Loring, który właśnie do nich dołączył. - Ale przynajmniej go zraniłeś i założę się, że w przyszłości dwa razy się zastanowią, nim znów zaczną nas nękać.

- Zachowaj swą radość na później, Loringu - rzekł Roran z nagłym przygnębieniem. - To nie było zwycięstwo.

- Czemu nie? - wtrącił Horst.

- Bo teraz imperium wie dokładnie, gdzie jesteśmy.

Gdy do wszystkich dotarło znaczenie jego słów, na pokładzie zapadła cisza.

## *Dziecięca igraszka*

- Oto - oznajmiła Trianna - najnowszy wzór, jaki wynaleźliśmy.

Nasuada wzięła od czarodziejki czarny welon i z zachwytem przesunęła go w dłoniach. Żaden człowiek nie zdołałby utkać tak delikatnej koronki. Z satysfakcją przyjrzała się rzędom stojących na biurku pudeł zawierających próbki nowych wzorów produkowanych przez Du Vrangr Gata.

- Dobrze się spisałaś - rzekła - znacznie lepiej, niż śmiałam liczyć. Powiedz swoim magom, jak bardzo cieszy mnie ich praca. To wiele znaczy dla Vardenów.

Słyszac pochwały, Trianna skłoniła głowę.

- Przekażę im twą wiadomość, pani Nasuado. - Czy już się...

Nasuadzie przeszkodziło nagle zamieszanie przy drzwiach kwatery. Usłyszała, jak strażnicy klną i podnoszą głos, potem rozległ się jęk bólu. odgłos metalu uderzającego o metal. Nasuada cofnęła się, zaniepokojona, dobywając miecza.

- Uciekaj, pani! - rzuciła Trianna.

Czarodziejka ustawiła się przed Nasuadą i podciągnęła rękawy, odsłaniając białe ramiona i szykując się do przywołania magii.

- Wejściem dla służby.

Nim Nasuada zdążyła się ruszyć, drzwi otwały się gwałtownie i drobna postać chwyciła ją za nogi, powalając na posadzkę. Padając, dostrzegła śmigający w powietrzu tuż nad nią srebrzysty przedmiot, który z głuchym łoskotem wbił się w ścianę.

Potem zjawilo się czterech strażników i w komnacie zapanował zamęt. Nasuada poczuła, jak odciągają napastnika. Gdy wstała, ujrzała zwisającą w jej uścisku Elwę.

- Co to ma znaczyć? - spytała.

Czarnowłosa dziewczynka uśmiechnęła się, po czym zgięła w pól i zwymiotowała na pleciony dywan. Potem znów spojrzala na Nasuadę fioletowymi oczami.

- Każ swojej magiczce zbadać ścianę, o córo Ajihada - rzekła swym strasznym głosem - i przekonaj się, czy nie dopełniłam złożonej obietnicy.

Nasuada skinęła głową na Triannę, która popłynęła ku nierównej dziurze w ścianie i wymamrotała zaklęcie. Wróciła, trzymając metalową strzałkę.

- To tkwiło w drewnie.

- Ale skąd się wzięło? - Nasuada patrzyła oszołomiona.

Trianna wskazała gestem otwarte okno wychodzące na miasto Aberon.

- Przypuszczam, że stamtąd.

Nasuada odwróciła się z powrotem do czekającej dziewczynki.

- Co o tym wiesz, Elvo?

Straszliwy uśmiech małej stał się jeszcze szerszy.

- To był zabójca.

- Kto go przysłał?

- Zabójca wyszkolony przez samego Galbatorixa, znający czarne sekrety magii. - Płonące oczy zniknęły pod powiekami, jakby wpadła w trans. - Ten człowiek cię nienawidzi, przyjdzie po ciebie. Zabiłby cię, gdybym go nie powstrzymała. - Szarpnęła się i znów zwymiotowała, zalewając podłogę na w pól strawionym jedzeniem. Nasuada poczuła mdłości. - I czeka go wielkie cierpienie.

- Czemu?

- Bo powiem ci, że mieszka w gospodzie na ulicy Świątynnej, w ostatnim pokoju na najwyższym piętrze. Lepiej się pośpieszcie albo ucieknijcie... ucieknijcie. - Jęknęła jak zranione zwierzę i przycisnęła dłonie do brzucha. - Szybciej, nim zaklęcie Eragona zmusi mnie, bym was powstrzymała. - Wtedy pożałujecie!

Trianna ruszyła już ku drzwiom.

- Powiedz Jórmundurowi, co się dzieje - poleciała Nasuada. - Potem weź najsilniejszych magów i znajdźcie tego człowieka. Jeśli się uda, schwytajcie go, jeśli nie, zabijcie.

Gdy czarodziejka wyszła, Nasuada przyjrzała się swym ludziom i dostrzegła, że krwawią z licznych drobnych ranek na nogach. Nagle dotarło do niej, ile musiało kosztować Elwę zadanie im bólu.

- Idźcie - poleciała - znajdźcie uzdrowiciela, który opatrzy wam rany.

Żołnierze pokręcili głowami.

- Nie, pani - rzekł ich dowódca - zostaniemy u twego boku dopóki nie upewnimy się, że jesteś bezpieczna.

- Jak wolisz, kapitanie.

Mężczyźni zabarykadowali okna, co jeszcze pogorszyło duchotę i upał, panujące w zamku Borromeo. Potem wszyscy wycofali się do dalszych, lepiej chronionych komnat.

Nasuada krążyła po pokoju, serce tłukło jej w piersi. Dopiero teraz przeżyła szok, uświadomiwszy sobie, jak bliska była śmierci. Co by się stało z Vardenami, gdybym zginęła? Kto by mnie zastąpił? Z rozpaczą pojęła, że nie poczyniła żadnych ustaleń na wypadek własnego zgonu. Obecnie przeoczenie to wydało jej się strasliwym błędem. Nie pozwolę, by wśród Vardenów zapanował chaos tylko dlatego, że się nie przygotowałam.

Zatrzymała się.

- Jestem twoją dłużniczką, Elvo.

- Teraz i zawsze.

Nasuada zająknęła się, kolejny raz zaskoczona odpowiedzią dziewczynki.

- Przepraszam, że nie rozkazałam moim strażnikom, aby cię przepuszczali o każdej porze.

Powinnaś była przewidzieć coś takiego.

- Powinnaś była - zgodziła się Elva drwiącym tonem.

Nasuada przyglądała suknię i znów zaczęła krążyć, nie tylko po to, by rozładować własną nerwową energię, ale też by nie musieć patrzeć na białą jak kamień, oznaczoną smoczym piętnem twarz Elvy.

- Jak udało ci się samotnie wymknąć z pokoju?

- Powiedziałam mojej opiekunce Grecie to, co chciała usłyszeć.

- To wszystko?

Elva zamrugnęła.

- Poczula się bardzo szczęśliwa.

- A co z Angelą?

- Dziś rano musiała coś załatwić.

- Tak czy inaczej, jestem ci wdzięczna, uratowałaś mi życie. Możesz prosić mnie o co zechcesz. Jeśli tylko zdołam, spełnię twoje życzenie.

Elva rozejrzała się po bogato urządzonej sypialni.

- Masz może coś do jedzenia? Jestem głodna.

## Zwiastuny wojny

Dwie godziny później Trianna powróciła, prowadząc dwóch żołnierzy niosących trupa. Na rozkaz czarodziejki opuścili go na podłogę.

- Znaleźliśmy zabójcę tam, gdzie mówiła Elva. Nazywał się Drail.

Z dziwną, niezdrową ciekawością Nasuada obejrzała uważnie twarz człowieka, który próbował ją zabić. Zabójca był niski, brodaty, wyglądał zupełnie zwyczajnie, nie różnił się od innych ludzi w mieście. Czują się z nim w pewien sposób związana, jakby zamach na jej życie i fakt, że w odwecie kazała go zabić, złączył ich w najbardziej intymny sposób.

- Jak zginął? - spytała. - Nie widzę znaków na ciele.

- Popelniał magicznie samobójstwo, gdy przebiliśmy się przez jego osłony i wtargnęliśmy do umysłu, lecz nim zdążyliśmy zawładnąć jego ciałem.

- Dowiedzieliście się czegośkolwiek przed jego śmiercią?

- Owszem. Drail należał do siatki agentów działających w Surdzie i oddanych Galbatorixowi. Nazywają się Czarną Ręką, szpiegują nas, sabotują nasze działania i z tego, co zdołaliśmy ustalić, sięgając przelotnie do wspomnień Draila, odpowiadają za dziesiątki zabójstw wśród Vardenów. Najwyraźniej od naszego przyjazdu z Farthen Duru czekali na okazję zabicia ciebie, pani.

- Czemu ta Czarna Ręka nie zamordowała dotąd króla Orrina?

Trianna wzruszyła ramionami.

- Nie potrafię powiedzieć. Możliwe, że Galbatorix uważa cię za większe zagrożenie od niego. W takim przypadku, gdy Czarna Ręka zorientuje się że jesteś chroniona przed atakami - czarodziejka zerknęła na Elwę - Orrin nie pożyje dłużej niż miesiąc, chyba że dzień i noc będą go strzegli magowie. Możliwe też, że Galbatorix wstrzymał się przed tak bezpośrednim działaniem, bo chciał, by Czarna Ręka pozostała niezauważona. Surda zawsze istniała tylko dlatego, że jej na to pozwalał. Teraz, gdy stała się zagrożeniem...

- Czy możesz też chronić Orrina? - spytała Elwę Nasuada. Fioletowe oczy dziewczynki rozbłysły.

- Może, jeśli ładnie poprosi.

Nasuada zaczęła myśleć gorączkowo, zastanawiając się, jak poradzić sobie z tym nowym zagrożeniem.

- Czy wszyscy agenci Galbatorixa potrafią posługiwać się magią?

- W umyśle Draila panował zamęt, trudno mi zatem powiedzieć - odparła Trianna. - Ale przypuszczam, że jest ich tu spora liczba.

Magia, zakłęta w duchu Nasuada. Największym zagrożeniem, jakie magowie - i wszyscy ludzie wyszkoleni w posługiwaniu się swym umysłem - stanowili dla Vardenów, nie były zabójstwa, lecz szpiegostwo. Mag potrafił wnikać do ludzkich myśli i wyłuskać z nich informacje, które mogłyby posłużyć do zniszczenia Vardenów. Dlatego właśnie Nasuadę i wszystkich dowódców Vardenów nauczono rozpoznawać, że ktoś dotyka ich umysłów, i bronić się przed podobnymi intruzami. Podejrzewała, że Orrin i Hrothgar stosują podobne środki ostrożności w swych własnych rządach. Ponieważ jednak zmuszanie wszystkich ludzi mających dostęp do niebezpiecznych informacji, by opanowali te umiejętności, trudno nazwać praktycznym, jednym z wielu zadań Du Vrangr Gata było ściganie wszystkich, którzy wychwytyją fakty z ludzkich umysłów. Istniała jednak cena: członkowie Du Vrangr Gata musieli szpiegować nie tylko wrogów ale też samych Vardenów. Nasuada starannie ukrywała ten fakt przed swymi podwładnymi, wywołałby on bowiem wyłącznie nienawiść, nieufność i protesty. Jej samej nie podobała się ta praktyka, nie widziała jednak innego wyjścia. To, czego dowiedziała się o Czarnej Ręce, wzmocniło jeszcze jej przekonanie, że w jakiś sposób musi zapanować nad magami.

- Czemu nie odkryliście tego szybciej? - spytała. - Rozumiem, że mogliście przeoczyć samotnego zabójcę, ale całą siatkę magów usiłujący zniszczyć? Wyjaśnij mi co, Trianno.

Oczy czarodziejki zabłysły gniewnie.

- Ponieważ tutaj, inaczej niż w Farthen Durze, nie możemy sprawdzać umysłu każdego przybysza. Jest tu po prostu zbyt wielu ludzi. Dlatego właśnie aż do tej chwili nie wiedzieliśmy o istnieniu Czarnej Ręki, pani Nasuado.

Nasuada zastanowiła się, w końcu skinęła głową.

- Rozumiem. Czy odkryliście tożsamość innych członków tej organizacji?

- Paru.

- To dobrze. Wykorzystajcie ich, by ujawnić resztę. Chcę, żebyś zniszczyła tę organizację, Trianno. Wytep ich tak jak plagę szczurów. Dam ci tylu ludzi, ilu będziesz potrzebować. Czarodziejka pokłoniła się.

- Jak sobie życzysz, pani Nasuado.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Strażnicy dobyli mieczy i ustawili się po obu stronach wejścia, po czym dowódca bez ostrzeżenia otworzył je szarpnięciem. Na zewnątrz stał młody paź, unosił właśnie pieść, by zapukać ponownie. Ze zdumieniem spojrzął na trupa na podłodze, po czym wyprostował się szybko, słysząc głos dowódcy.

- O co chodzi, chłopcze?

- Mam wiadomość od króla Orrina dla pani Nasuady.

- Mów zatem szybko - poleciła Nasuada.

Paż przez moment zbierał myśli.

- Król Orrin prosi, byś odwiedziła go pani w komnacie rady, otrzymał bowiem z imperium raport, który wymaga twej natychmiastowej uwagi.

- To wszystko?

- Tak, pani.

- Muszę się tym zająć. Trianno, masz swoje rozkazy. Kapitanie, zechcesz zostawić jednego ze swych ludzi, żeby usunął stąd Draila?

- Tak jest, pani.

- Każ mu też, proszę, odszukać Faricę, moją służkę. Dopilnuje sprzątnięcia gabinetu.

- A co ze mną? - Elva przekrzywiła głowę.

- Ty - odparła Nasuada - pójdziesz ze mną. To znaczy, jeśli masz dość sił.

Dziewczynka odrzuciła włosy do tyłu, z jej małych, okrągłych ust dobiegł zimny śmiech.

- Ja mam dość sił, Nasuado. A ty?

Puszczając pytanie mimo uszu, Nasuada wyszła majestatycznie na korytarz, otoczona strażnikami. Kamienie, z których zbudowano zamek, w upale wydzielaly ziemistą woń. Za sobą słyszała tupot stóp Elvy. Poczula złośliwą radość, że upiorne dziecko musi prawie biec, by dotrzymać kroku dorosłym.

Strażnicy pozostali w przedsionku komnat rady; Nasuada i Elva same weszły do środka. Komnaty były urządzone skromnie, wręcz surowo, odzwierciedlając militarną naturę królestwa Surdy. Jego władcy poświęcali wszystkie swe zasoby zapewnieniu poddanych ochrony i próbom obalenia Galbatorixa. Nie zajmowali się ozdabianiem zamku Borromeo próżnymi świecidełkami, tak jak to czyniły w Tronjheimie krasnoludy.

W głównej sali ustawiono prosty stół, długi na dwanaście stóp, na którym rozpięto mapę Alagaesii, przytrzymywaną w rogach czterema sztyletami. Jak nakazywał zwyczaj, Orrin zasiadał u szczytu stołu. Jego różni doradcy - Nasuada wiedziała, że wielu z nich to jej zawzięci przeciwnicy - zajmowali krzesła po obu stronach. Obecni byli także członkowie Rady Starszych.

Jórmundur zerknął na nią; Nasuada dostrzegła w jego wzroku troskę i wydedukowała, że Trianna poinformowała go o Drailu.

- Panie, wzywałeś mnie?

Orrin wstał.

- Istotnie. Teraz mamy... - Urwał w pół słowa, dostrzegając Elve. - A tak, Srebrne Czoło. Nie miałem dotąd okazji udzielić ci audiencji, choć wieści o twych wyczynach dotarły do mych uszu i muszę przyznać, że bardzo mnie zaintrygowałaś. Czy jesteś zadowolona z pokoi, które ci przydzieliłem?

- Są bardzo ładne, panie, dziękuję.

Na dźwięk owego niesamowitego dorosłego głosu wszyscy siedzący przy stole wzdrygnęli się wyraźnie.

Premier Surdy Irwin zerwał się z miejsca, wskazując Elwę drżącym palcem.

- Po co sprowadziłaś tu tego... tego potwora?

- Zapominasz o dobrych manierach, panie - odparła Nasuada, choć rozumiała doskonale jego uczucia.

Orrin zmarszczył brwi.

- O tak, opanuj się, Irwinie. Jednakże mój premier zadał dobre pytanie, Nasuado. To dziecko nie może być obecne podczas naszych obrad.

- Imperium właśnie próbowało mnie zabić - oznajmiła Nasuada.

W pokoju rozległy się okrzyki zdumienia.

- Gdyby nie błyskawiczna reakcja Elvy, już bym nie żyła. Ufam jej zatem całkowicie. Gdzie ja idę, idzie i ona. - Niech sami zastanawiają się, do czego jest zdolna, dodała w myślach.

- To doprawdy wstrząsające wieści! - wykrzyknął król. - Czy schwytałaś złoczyńcę, który za to odpowiada?

Nasuada zawałała się, widząc pełne napięcia zainteresowanie jego doradców

- Odłóżmy to do czasu, aż będę mogła opowiedzieć ci o wszystkim w cztery oczy, panie.

Orrinowi wyraźnie nie spodobała się jej odpowiedź, nie nalegał jednak.

- No dobrze. Ależ usiądź, proszę. Otrzymaliśmy niezwykle niepokojący raport. - Gdy Nasuada zajęła miejsce naprzeciwko niego, Elva przyczaiła się tuż za jej plecami. - Wygląda na to, że nasi szpiegowie w Gil'eadzie mylili się co do stanu armii Galbatorixa.

- Jakże to?

- Wciąż uważają, że armia przebywa w Gil'eadzie, podczas gdy my otrzymaliśmy właśnie wiadomość od jednego z naszych ludzi w Uru'baenie, który twierdzi, że półtora tygodnia temu widział wojska maszerujące na południe i mijające stolicę. Była noc, nie potrafił zatem określić ich liczby, jest jednak pewien, że znacznie przewyższa ona szesnaście tysięcy, stanowiące jądro oddziałów Galbatorixa. Armia mogła liczyć sobie nawet sto tysięcy, jeśli nie więcej.

Sto tysięcy! Lodowaty strach ścisnął w swych kleszczach żołądek Nasuady.

- Możemy ufać temu człowiekowi?

- Jego wiadomości zawsze okazywały się prawdziwe.

- Nie rozumiem - przyznała. - Jak Galbatorix mógł w sekrecie wyprawić w drogę tak wielu ludzi? Same tabory ciągnęłyby się na całe mile. Widzieliśmy wyraźnie, że mobilizuje wojska, lecz imperium nie było bliskie wymarszu.

Odpowiedział jej Falberd, podkreślając słowa uderzeniem pięści w stół.

- Przechytrzyli nas. Jego ludzie musieli omamić naszych szpiegów magią, tak by sądzili, że wojska wciąż przebywają w koszarach w Gil'eadzie.

Nasuada poczuła, jak z jej twarzy odpływa krew.

- Jediną osobą dość silną, by podtrzymać tak rozległą iluzję, jest...

- Sam Galbatorix - dokończył Orrin. - My też doszliśmy do tego wniosku. Oznacza to, że Galbatorix porzucił w końcu swoją kryjówkę i wyruszył do walki. Podczas gdy my rozmawiamy, czarny wróg nadciąga.

Irwin pochylił się.

- Teraz pytanie brzmi: Jak powinniśmy zareagować? Oczywiście musimy stawić czoło zagrożeniu. Ale w jaki sposób, gdzie, kiedy, jak? Nasze siły nie są gotowe do takiej kampanii. Tymczasem twoje, pani Nasuado... Vardeni, przywykli już do wojennych trudów.

- Co chcesz powiedzieć? Że mamy za was zginąć?

- Poczyliem tylko pewną obserwację. Przyjmij ją, pani, jak chcesz. - Sami zginiemy pod naporem tak olbrzymiej armii - rzekł Orrin. - Musimy mieć sojuszników i przede wszystkim musimy mieć tu Eragona, zwłaszcza jeśli przyjdzie nam zmierzyć się z Galbatorixem. Nasuado, zechcesz po niego posłać?

- Uczyniłabym to, gdybym mogła, lecz do czasu powrotu Aryi w żaden sposób nie mogę skontaktować się z elfami ani wezwać Eragona.



- W takim razie - rzekł Orrin, wzdychając ciężko - musimy mieć nadzieję, że Arya przybędzie na czas. Nie sądzę, byśmy mogli liczyć na wsparcie elfów w tej walce. O ile smok może pokonać staję dzielące Aberon od Ellesmery z chyżością sokoła, elfy nie zdołają zgromadzić sił i przybyć tutaj przed wojskami imperium. Pozostają jeszcze krasnoludy. Wiem, że od lat przyjaźnisz się z Hrothgarem. Zechcesz w naszym imieniu wysiać doń prośbę o pomoc? Krasnoludy zawsze przyrzekały, że gdy nadejdzie czas, staną do walki.

Nasuada skinęła głową.

- Du Vrangr Gata ustaliła z krasnoludzkimi magami metody pozwalające natychmiast przesyłać wiadomości. Przekażę im waszą - naszą - prośbę. Poproszę też Hrothgara, by wysłał emisariuszy do Ceris i poinformował elfy o obecnej sytuacji.

- Doskonale. Od Farthen Duru dzieli nas spora odległość. Jeśli jednak zdołamy zatrzymać armię imperium choćby na tydzień, krasnoludy dotrą tu na czas.

Potem nastąpiła niezwykle burzliwa dyskusja. Istniało sporo taktyk obrony przed większymi - choć niekoniecznie potężniejszymi - siłami, lecz nikt przy stole nie potrafił sobie wyobrazić, jak mogliby pokonać Galbatorixa, zwłaszcza gdy Eragon nie mógł nawet mierzyć się mocą z wiekowym królem. Jedyny plan, jaki przyszedł im do głowy, zakłada otoczenie Eragona możliwie największą grupą magów - krasnoludów i ludzi - a następnie zmuszenie Galbatorixa, by samotnie stawiał im czoło.

Problem w tym, pomyślała Nasuada, że gdy Galbatorix niszczył Jeźdźców, pokonywał znacznie potężniejszych przeciwników, a od tego czasu jego siła jeszcze wzrosła. Nasuada była pewna, że innym też przyszło to do głowy. Gdybyśmy mieli choć elfich czarodziejów, może zdołalibyśmy zwyciężyć. Ale bez nich... Jeśli nie obalimy Galbatorixa, pozostaje nam tylko jedno wyjście: uciec z Alagaesii przez bezkresne morze i znaleźć nowy ląd na którym stworzymy sobie nowe życie. Tam będziemy mogli poczekać na śmierć Galbatorixa. Nawet on nie może żyć wiecznie. Jedno tylko jest pewne: wszystko przemija.

Od taktyki przeszli do logistyki i dyskusja stała się bardziej zawzięta - członkowie Rady Starszych spierali się z doradcami Orrina w kwestiach podziału obowiązków pomiędzy Vardenów i Surdę: kto ma płacić za to i za tamto, zapewniać racje robotnikom pracującym dla obu grup, zdobywać zapasy dla wojska. Poruszali też wiele innych podobnych kwestii.

W trakcie słownej potyczki Orrin wyciągnął zza pasa zwój i odwrócił się do Nasuady.

- Skoro już mowa o finansach, czy zechciałabyś mi wyjaśnić osobliwy problem, na który zwrócono moją uwagę?

- Postaram się, panie.

- Trzymam w dłoni skargę cechu tkaczy, który twierdzi, że tkacze w całej Surdzie stracili sporą część zysków, ponieważ rynek załaty niezwykle tanie koronki, które jak przysięgają, pochodzą od Vardenów. - Skrzywił się. - Wiem, że to niemądre pytanie, ale czy ich twierdzenia mają jakiegokolwiek podstawy? A jeśli tak, czemu Vardeni uczynili coś takiego?

Nasuada nie próbowała nawet ukryć uśmiechu.

- Pamiętasz może, panie, że gdy odmówiłeś nam użyczenia złota, poradziłeś mi, bym znalazła inne środki utrzymania?

- Owszem. I co z tego? - Orrin spojrzął na nią, mrużąc oczy.

- Przyszło mi do głowy, że produkcja koronek w zwykły sposób wymaga czasu, co bardzo podnosi ich koszt. Łatwo je natomiast wytwarzać magicznie, bo koszt energii jest znikomy. Ze wszystkich ludzi ty, jako filozof naturalny, powinieneś zrozumieć to najlepiej. Sprzedając nasze koronki tu i w imperium, zdołaliśmy w pełni opłacić nasze działania. Vardenom nie brak już jada ani schronienia.

Niewiele rzeczy w jej życiu ucieszyło Nasuadę tak bardzo, jak wyraz niedowierzania na twarzy Orrina. Zwój zamarł w jego dłoni w połowie drogi między podbródkiem a stołem, usta rozchyliły się lekko, a brwi zmarszczyły. Nadało mu to wygląd człowieka, który ujrzał właśnie coś, czego kompletnie nie rozumie. Napawała się tym widokiem.

- Koronki? - wykrztusił w końcu.

- Tak, panie.

- Nie możesz walczyć z Galbatorixem za pomocą koronek!

- Czemu nie, panie?

Przez chwilę zmagał się ze sobą.

- Ponieważ - warknął w końcu - ponieważ to niegodne, oto dlaczego. Jakiż bard ułożyłby epicką pieśń o naszych czynach, opiewając koronki?

- Nie walczymy po to, by wychwalano nas w pieśniach.

- Zatem do diabła z pieśniami! Jak jednak mam odpowiedzieć na skargę cechu tkaczy? Sprzedając tak tanio koronki pozbawiliście moich podwładnych zysków i zaszkośliście całą naszą gospodarce. To niedopuszczalne, niedopuszczalne!

Nasuada wlała w swój uśmiech dodatkową dawkę słodyczy i ciepła.

- Ojej - rzekła przyjaźnie - jeśli to zbyt wielkie brzemię dla twego skarbcza, Vardeni chętnie zaproponują ci pożyczkę w zamian za życzliwość, jaką nam okazałeś... oczywiście na stosowny procent.

Członkowie Rady Starszych zdołali się opanować, lecz przykucnięta za plecami Nasuady Elva wybuchnęła głośnym śmiechem.

## Czerwona kłingą, biała kłingą

W chwili, gdy słońce wynurzyło się znad linii drzew na horyzoncie, Eragon odetchnął głęboko, nakazał swemu sercu przyspieszyć i otworzył oczy, przywołując pełną świadomość. Nie spał, nie sypiał bowiem od dnia swej przemiany. Gdy zmęczenie kazało mu się położyć, przechodził w stan przypominający sen na jawie. Doświadczał wówczas wielu cudownych myśli i krążył wśród szarych cieni wspomnień, cały czas jednak pozostając świadomym swego otoczenia.

Oglądał wschód słońca i znów powrócił myślami do Aryi, jak to czynił każdej godziny od Agaeti Blódhren, które zakończyło się dwa dni wcześniej. Rankiem po uroczystościach ruszył na jej poszukiwanie do dworu Tildari - zamierzał prosić o wybaczenie za swe zachowanie - odkrył jednak, że wyruszyła już do Surdy.

*Kiedy znów ją zobaczę?* - zastanawiał się.

W jasnym blasku dnia pojął, jak bardzo magia elfów i smoków otępiła mu umysł w czasie Agaeti Blódhren.

*Może i zachowałem się jak głupiec, ale to nie do końca moja wina. Nie odpowiadam za to, co zrobiłem; byłem jak pijany.*

Nie oznaczało to jednak, że nie mówił wówczas szczerze, choć w zwykłych okolicznościach nie zdradziłby swoich uczuć. Odmowa Aryi zraniła go do żywego. Uwolniony z zaćmiewających umysł zakłęb, musiał przyznać, że elfka miała zapewne rację, że dzieląca ich różnica wieku jest zbyt wielka, by ją lekceważyć. Trudno było mu się z tym pogodzić, gdy to jednak uczynił, ta świadomość tylko wzmogła dręczący go ból.

Eragon słyszał już wcześniej określenie „złamane serce”. Do tej pory uważał je wyłącznie za barwną przenośnię, nie coś rzeczywistego. Teraz jednak czuł głęboki ból w piersi - niczym nadwężonego mięśnia - i każde uderzenie serca sprawiało mu cierpienie.

Jedyną pociechę znajdował u Saphiry. Przez te dwa dni smoczyca ani razu nie skrytykowała tego co uczynił, nie opuszczała też jego boku na dłużej niż kilka minut, wspierając go swym towarzystwem. Dużo mówiła, ze wszystkich sił próbując wywabić go z milczącej samotni. By nie rozmyślać dłużej o Aryi, Eragon zdjął z szafki pierścień Orika i obrócił go w palcach, zachwycając się tym, jak bardzo wyostrzyły mu się zmysły. Czuł każdą skazę w poskręcany metalu. Przyglądając się pierścieniowi, dostrzegł wzór w układzie złotych obrączek, wzór, który wcześniej mu umykał. Ufając instynktowi, zaczął manipulować obrączkami w kolejności podsunętej przez obserwacje. Ku jego radości osiem fragmentów spasowało się idealnie, tworząc solidną całość. Wsunął pierścień na serdeczny palec prawej dłoni, podziwiając odbicie światła w złotych splotach.

*Wcześniej tego nie potrafiłeś* - zauważyła Saphira, ułożona w zagłębieniu w podłodze.

*Teraz widzę wiele rzeczy, które wcześniej pozostawały przede mną ukryte.*

Eragon skierował się do łazienki i odprawił codzienny rytuał porannych ablucji, łącznie z usuwaniem zarostu zakłębem. Mimo że teraz bardzo przypominał elfa, nadal rosła mu broda.

Gdy wraz z Saphirą zjawili się na polu treningowym, Orik już czekał. Jego oczy pojaśniały, gdy Eragon uniósł dłoń, demonstrując pierścień.

- A zatem go ułożyłeś.

- Trwało to dłużej, niż sądziłem - odparł Eragon - ale tak. Też chcesz potrenować?

- Ech. Poćwiczyłem już machanie toporem z elfem, który z dość paskudną radością tłukł mnie po głowie. Nie, przyszedłem zobaczyć, jak walczysz.

- Widywałeś już wcześniej jak walczę - zauważył Eragon.

- Ale nie ostatnio.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś ciekaw, jak bardzo się zmieniłem.

Orik tylko wzruszył ramionami.

Z drugiej strony pola zbliżył się ku nim Vanir.

- Jesteś gotów, Cieniobójco?! - krzyknął.

Pogarda dźwięcząca w głosie elfa zmaląła nieco od czasu ich ostatniego pojedynku przed Agaeti Blodhren, ale nieznacznie.

- Jestem gotów.

Eragon i Vanir stanęli naprzeciwko siebie na otwartym polu. Opróżniając umysł Eragon chwycił Zar'roca i dobył go jak najszybciej. Ku jego zdumieniu miecz zdawał się ważyć nie więcej niż wierzbowy witka. Brak oporu zaskoczył Eragona; jego ręka wyprostowała się tak gwałtownie, że miecz wysliznął mu się z palców i poleciał dwadzieścia jardów w prawo, wbijając się w pień sosny.

- Nie potrafisz nawet utrzymać własnego miecza, Jeźdźcze? – spytał ostro Vanif.

- Przepraszam, Vanir-vodhr. - Eragon sapnął. Rozmasował stłuczony łokieć. - Źle oceniłem własną siłę.

- Postaraj się, by to się nie powtórzyło.

Vanir podszedł do drzewa, chwycił rękojeść Zar'roca i spróbował wyrwać miecz. Broń nawet nie drgnęła. Brwi elfa uniosły się wysoko, gdy patrzył na nieustraszone szkarłatne ostrze, jakby podejrzewał jakiś podstęp. W końcu, zbierając siły, pociągnął gwałtownie. Drzewo zatrzeszczało i Zar'roc został mu w dłoni.

Eragon przyjął miecz od Vanira. Zważył broń w dłoni, zaskoczony jej lekkością.

Coś jest nie tak - pomyślał.

- Zajmij miejsce!

Tym razem to Vanir rozpoczął walkę. Jednym skokiem pokonał dzielący ich dystans i pchnął wprost ku prawemu ramieniu Eragona, który odniósł wrażenie, że elf poruszał się wolniej niż zazwyczaj, jakby miał teraz refleks zwykłego człowieka. Z łatwością odtrącił miecz Vanira. Klingi zderzyły się w snopie błękitnych iskier.

Elf ze zdumioną miną wylądował na ziemi. Zaatakował ponownie. Eragon uniknął ciosu, odchylając się w tył niczym drzewo w porywach wiatru. Vanir zasypywał go błyskawicznymi ciosami, a Eragon unikał bądź blokował wszystkie, używając pochwy Zar'roca równie często, jak samego miecza. Wkrótce zorientował się, że widmowy smok z Agaeti Blodhren odmienił nie tylko jego wygląd. Obdarzył go także fizycznymi zdolnościami elfów, ich szybkością i zwinnością. Eragon dorównywał teraz najlepiej wyćwiczonym elfom.

Napędzany tą wiedzą i pragnieniem sprawdzenia swych nowych sił, skoczył jak najwyżej. Zar'roc błysnął szkarłatem w promieniach słońca, gdy jego właściciel poszybował w górę ponad dziesięć stóp nad ziemię. Obrócił się w powietrzu niczym akrobata i wylądował za plecami Vanira, spoglądając w tę samą stronę co przedtem.

Z jego ust uleciał groźny śmiech. Nie był już bezradny w starciu z elfami, Cieniami i innymi magicznymi stworami. Nie będzie musiał dłużej znosić pogardy elfów ani czekać, aż Saphira bądź Arya ocalą go przed wrogiem takim jak Durza.

Przypuścił atak i zaczęli walczyć do wtóru ogłuszającego szczęku metalu. Zmagali się ze sobą, skacząc tam i z powrotem po zdeptanej trawie. Siła ich ciosów burzyła powietrze, które targało im gwałtownie włosy. Nad ich głowami drzewa kołysały się, zrzucając szpilki. Pojedynek trwał długo, bo mimo nowych zdolności Eragona Vanir pozostał bardzo groźnym przeciwnikiem. Ostatecznie jednak Eragon nie dał sobie wydrzeć zwycięstwa. Zatoczył Zar'rokiem młyńca, wyminął obronę Vanira i trafił go w ramię, łamiąc kość.

Elf upuścił broń. Jego twarz zbieleła gwałtownie.

- Jakże chyży jest twój miecz - rzekł.

Eragon rozpoznał słynny cytat z „Pieśni o Umhodanie”.

- Na bogów! - wykrzyknął Orik. - To był najlepszy pokaz fechtunku, jaki zdarzyło mi się oglądać, a widziałem, jak walczyłeś z Aryą w Farthen Durze.

Wówczas Vanir uczynił coś, czego Eragon nigdy się nie spodziewał. Elf uniosł zdrową rękę i zgiął ją w geście hołdu, przykładając do mostka i kłaniając się.

- Błagam o wybaczenie za me wcześniejsze zachowanie, Eragon-elda. Sądziłem, że skazałeś mój lud na nicość otchłani, i ów lęk sprawiał, że zachowywałem się niegodnie. Wygląda jednak na

to, że twoja rasa nie zagraża już naszej sprawie. Jesteś teraz godzien miana Jeźdźca - dodał niechętnie.

Eragon także się uklonił.

- Zaszczycasz mnie tymi słowami. Przykro mi, że tak ciężko cię zraniłem. Pozwolisz mi uleczyć ci rękę?

- Nie, niechaj natura uczyni to we własnym rytmie. Na pamiątkę, że kiedyś skrzyżowałem klingi z Eragonem Cieniobójcą. Nie obawiaj się, nie zakłóci to nam jutrzejszego treningu. Równie dobrze walczę lewą ręką.

Obaj skłonili się ponownie, po czym Vanir odszedł. Orik klepnął się ręką w udo.

- Teraz mamy szansę, prawdziwą szansę na zwycięstwo, czuję to w kościach. Kości jak kamień, powiadają. Och, jak bardzo ucieszy to Hrothgara i Nasuadę.

Eragon zachował spokój, skupiając się na zdjęciu blokady z ostrza Zar'roca, rzekł jednak do Saphiry:

*Gdyby do pokonania Galbatorixa wystarczyła czysta siła, elfy zrobiłyby to już dawno temu.*

Mimo wszystko jednak nic umiał powstrzymać zadowolenia ze swej zręczności. Cieszyło go także cudowne uzdrowienie pleców. Zniknięcie ciągłych ataków bólu sprawiło, że poczuł się, jakby zdjęto przesłaniającą świat mglistą zasłonę, i znów mógł myśleć jasno.

Do spotkania z Glaedrem i Oromisem zostało jeszcze kilka minut, toteż Eragon zdjął z grzbietu Saphiry łuk i kołczan, i podszedł na miejsce, gdzie elfy ćwiczyły łuczniczo. Ponieważ ich łuki były znacznie mocniejsze, wybrane cele okazały się dla Eragona zbyt małe i stanowczo za daleko umiejscowione. Musiał strzelać z połowy dystansu. Nałożył strzałę i powoli odciągnął cięciwę, rozkoszując się łatwością, z jaką mu to przychodziło. Wycelował, wypuścił strzałę i został na miejscu. Strzała pomknęła ku celowi, brzęcząc niczym oszalały szerszeń, i wbiła się w sam środek. Uśmiechnął się szeroko. Coraz szybciej wypuszczał kolejne strzały, jego pewność siebie rosła, aż w końcu w ciągu minuty wypuścił ich trzydzieści.

Przy trzydziestej pierwszej naciągnął cięciwę nieco mocniej, niż udało mu się to kiedykolwiek wcześniej. Z ogłuszającym trzaskiem cisowy łuk pękł na pół pod lewą dłonią Eragona, drapiąc mu palce i wyrzucając w powietrze deszcz drzazg. Ręka zdrętwiała mu od szarpnięcia. Głęboko poruszony stratą Eragon wpatrywał się w szczątki swej broni. Garrow zrobił mu ten łuk w prezencie urodzinowym przed trzema laty. Od tego czasu nie było tygodnia, by Eragon nie wziął w ręce łuku. Wielokrotnie ta broń pomogła mu wyżywić rodzinę. Z tego łuku zabił swego pierwszego jelenia. Również z niego zastrzelił pierwszego urgala i poprzez niego pierwszy raz użył magii. Strata łuku przypominała utratę starego przyjaciela, na którym mógł polegać nawet w najgorszych okolicznościach.

Saphira obwąchała oba kawałki drewna w jego dłoniach.

*Wygląda na to, że potrzebny ci nowy kijomiot.*

Mruknął coś pod nosem w odpowiedzi, nie miał bowiem nastroju na pogawędkę, i pomaszerował zebrać strzały.

Wraz z Saphirą wystartowali i polecili na białe skały Tel'naeir. Po chwili stali już przed obliczem Oromisa, który siedział na stołku przed swą chatą, spoglądając poza urwisko swymi dalekowzrocznymi oczami.

- Czy doszedłeś już do siebie po działaniu potężnej magii Święta Przysięgi Krwi, Eragonie?

- Tak, mistrzu.

Nastąpiła długa cisza. Oromis powoli popijał jagodową herbatę, kontemplując pradawną puszcę. Eragon czekał, nie skarżąc się - przywykł do podobnych przerw, pobierając nauki u starego Jeźdźca. W końcu tamten przemówił cicho.

- Glaedr wyjaśnił mi najlepiej jak potrafił, co z tobą uczyniono podczas święta. Coś takiego nigdy nie nastąpiło w całej historii Jeźdźców... Raz jeszcze smoki dowiodły, że są zdolne do czynów wykraczających poza naszą wyobraźnię. - Pociągnął łyk herbaty. - Glaedr nie był do końca pewien, jakich zmian doświadczysz, chciałbym zatem, abys opisał w pełni swą przemianę, łącznie z wyglądem.

Eragon szybko zrelacjonował, jak bardzo się zmienił, opisując zwiększoną wrażliwość wzroku, węchu, słuchu i dotyku. Zakończył relacją z pojedynku z Vanirem.

- A jak się z tym czujesz? - spytał Oromis. - Czy świadomość, że odmieniono ci ciało bez twojej zgody, budzi w tobie niechęć?

- Ależ nie, zupełnie nie. Przed bitwą w Farthen Durze mogłem tak zareagować, teraz jednak jestem wdzięczny, że nie bolą mnie już plecy. Chętnie poddałbym się znacznie większym zmianom, byle tylko uniknąć klątwy Durzy. Nie, czuję wyłącznie wdzięczność.

Oromis kiwnął głową.

- Cieszę się, że masz dość mądrości, by tak myśleć, bo dar twój wart jest więcej niż całe złoto tego świata. Dzięki niemu nasze stopy trafiły wreszcie na właściwą ścieżkę. - Ponownie napił się herbaty. - Zaczynajmy. Saphiro, Glaedr czeka na ciebie przy Skale Strzaskanych Jaj. Eragonie, zaczniesz dziś od trzeciego poziomu rigmaru, jeśli zdołasz. Chcę sprawdzić, do czego jesteś zdolny.

Eragon ruszył ku kwadratowi ubitej ziemi, na którym zwykle ćwiczyli Taniec Węża i Żurawia. Zawahał się jednak, dostrzegłszy, że srebrzystowłosy elf został na miejscu.

- Mistrzu, nie dołączysz do mnie?

Oromis uśmiechnął się smutno.

- Nie dziś, Eragonie. Zaklęcia wymagane podczas Święta Przysięgi Krwi wiele mnie kosztowały. One i mój... stan. Wystarczyło mi tylko sił, by wyjść na dwór.

- Przykro mi, mistrzu.

Czy gniewa go świadomość, że smoki nie uzdrowiły także jego? - zastanowił się Eragon.

Natychmiast jednak odrzucił tę myśl. Oromis był na to zbyt szlachetny.

- Niech nie będzie Ci przykro. To nie twoja wina, że jestem kaleką.

Gdy Eragon zmagał się z trzecim poziomem rigmaru, przekonali się, że wciąż brak mu równowagi i gibkości elfów, dwóch cech, nad którymi nawet one musiały pracować. W pewnym sensie ograniczenie to nawet go ucieszyło gdyby, bowiem był doskonały, cóż jeszcze mógłby osiągnąć? Następne tygodnie okazały się dla niego bardzo trudne. Z jednej strony czynił ogromne postępy w szkoleniu, opanowując kolejne zagadnienia, które niegdyś mu umykały. Stawiane przez Oromisa zadania wciąż stanowiły wyzwanie, ale nie czuł się już jakby tonął w morzu własnej niekompetencji. Czytanie i pisanie przychodziło mu łatwiej, a wzrost siły oznaczał, że mógł obecnie rzucać elfickie zaklęcia, wymagające tak wiele energii, że zabiłyby zwykłego człowieka. Ta sama siła sprawiła, że pojął, jak słaby jest Oromis w porównaniu z innymi elfami.

A jednak mimo tych osiągnięć czuł coraz większy niepokój. Nieważne, jak bardzo starał się zapomnieć o Aryi, każdy mijający dzień wzmacniał tylko jego tęsknotę, cierpienie, które pogarszała świadomość, że elfka nie chce go więcej widzieć. Co gorsza jednak, miał wrażenie, jakby za horyzontem zbierały się chmury i nadciągała złowroga burza. Burza, która mogła przełamać wszelkie bariery i zniszczyć wszystko, co stanie jej na drodze.

Saphira podzielała ten niepokój.

*Świat jest jak rozciągnięty, Eragonie - rzekła. Rozciągnięty do granic. Wkrótce pęknie i wszędzie zapanuje oblęd. To, co czujesz, czujemy też my, smoki, i czują elfy - nieubłagane zbliżanie się końca naszej ery. Oplakuj tych, którzy zginą w chaosie, jaki pochłonie Alagaesię, i miej nadzieję, że dzięki sile twego miecza i tarczy, i moich klów i szponów, zdołamy wywalczyć lepszą przyszłość.*

## *Wizje dalekie i bliskie*

Nadszedł dzień, gdy Eragon wybrał się na polanę za chatą Oromisa, usiadł na lśniącem białym pniu pośrodku porośniętej mchem dolinki i kiedy otworzył umysł, by obserwować otaczające go stworzenia, wyczuł nie tylko ptaki, zwierzęta i owady, ale też rośliny.

Rośliny miały zupełnie inną świadomość niż zwierzęta - powolną, leniwą, pozbawioną jądra, lecz na swój sposób równie wyraźnie dostrzegającą otoczenie jak on sam. Słabe pulsowanie świadomości roślin rozjaśniło galaktykę gwiazd wirujących mu przed oczami - każda lśniąca iskierka symbolizowała życie - miękkim, wszechobecnym blaskiem. Nawet w jałowym piasku roilo się od organizmów. Sama ziemia była żywa i świadoma.

*Wszędzie istnieje inteligentne życie* - pomyślał.

Kiedy zanurzył się w oceanie myśli i uczuć otaczających go istot, zdołał osiągnąć stan tak głębokiego wewnętrznego spokoju, że przez ten czas przestał istnieć jako odrębna jednostka. Stał się nicością, otchłanią, odbiorcą głosów całego świata. Nic nie umykało jego uwagi, bo uwaga ta nie skupiała się na niczym. Był lasem i jego mieszkańcami.

*Czy tak właśnie czuje się bóg?* - zastanawiał się Eragon po powrocie do swego ciała.

Opuścił polanę, odnalazł w chacie Oromisa i ukląkł przed nim.

- Mistrzu, zrobiłem to co kazałeś. Słuchałem, aż w końcu przestałem słyszeć.

Oromis przerwał pisanie i spojrzał z namysłem na Eragona.

- Opowiedz mi.

Przez półtorej godziny Eragon rozpływał się nad każdym aspektem roślin i zwierząt żyjących na polanie.

W końcu elf uniósł dłoń.

- Przekonałeś mnie. Usłyszałeś wszystko co mogłeś usłyszeć. Ale czy wszystko zrozumiałeś?

- Nie, mistrzu.

- Tak też być powinno, zrozumienie przyjdzie z wiekiem. Dobrze się spisałeś, Eragon-finiarel, bardzo dobrze. Gdybyś był moim uczniem w Ili - rei, przed tym, jak Galbatorix przejął władzę, zakończyłbyś właśnie termin i został przyjęty na członka naszego zakonu, zyskując te same prawa i przywileje co najstarsi Jeźdźcy. - Oromis dźwignął się z krzesła i pozostał w miejscu, chwając się lekko. - Użycz mi ramienia, Eragonie, i pomóż wyjść. Członki nie słuchają mej woli.

Eragon podbiegł do swego mistrza i podtrzymał elfa. Oromis podkuśtykał do strumienia rwącego na skraj skał Tel'naeir.

- Teraz, gdy osiągnąłeś ten etap wykszolenia, mogę przekazać ci jedną z największych tajemnic magii. Tajemnicę, której być może nie zna nawet sam Galbatorix. To nasza największa nadzieja na dorównanie jego mocy. - Wzrok elfa wyostrzył się nagle. - Jaki jest koszt magii, Eragonie?

- Energia. Zaklęcie wymaga tej samej energii, jakiej potrzeba, by wykonać to zadanie zwykłymi środkami.

Oromis przytaknął.

- A skąd pochodzi owa energia?

- Z ciała rzucającego zaklęcie.

- Czy musi?

Eragon rozmyślał gorączkowo, rozważając niewiarygodne implikacje pytania Oromisa.

- Chcesz powiedzieć, że może pochodzić z innych źródeł?

- Tak dokładnie się dzieje, gdy Saphira pomaga ci przy jakimś zaklęciu.

- Owszem, ale nas łączy niezwykła więź - zaprotestował Eragon. - Ta więź sprawia, że mogę czerpać z jej siły. Czyniąc to z kimś innym, musiałbym wnikać do... - Urwał, gdy zrozumiał, do czego zmierzał Oromis.

- Musiałbyś wniknąć do świadomości istoty, bądź istot, które miałyby dostarczyć ci owej energii - dokończył Oromis. - Dziś dowiodłeś, że potrafisz tego dokonać nawet z najmniejszymi formami życia. A teraz - pochylił się i przycisnął dłoń do piersi w ataku kaszlu - chcę, abys oderwał kulę wody od strumienia, używając wyłącznie energii zaczerpniętej z otaczającego cię lasu.

- Tak, mistrzu.

Gdy Eragon sięgnął ku pobliskim roślinom i zwierzętom, poczuł muśnięcie umysłu Oromisa. Elf obserwował go i oceniał postępy. Marszcząc brwi w skupieniu, Eragon starał się zaczerpnąć niezbędną siłę z otoczenia i utrzymać ją wewnątrz siebie do czasu, aż będzie gotów uwolnić magię...

- Eragonie, nie czerp jej ze mnie! I tak jestem słaby.

Zaskoczony Eragon pojął, że w swych poszukiwaniach uwzględnił także Oromisa.

- Przepraszam, mistrzu - rzekł pokornie i podjął wysiłki, by staranie omijać elfa. Gdy był gotów, rzucił krótkie: - W górę!

Kula wody o średnicy stopy wzniosła się cicho ze strumienia i zawisła na wysokości jego oczu. A choć Eragon poczuł zwykle napięcie towarzyszące gwałtownemu wysiłkowi, samo zaklęcie wcale go nie zmęczyło.

Kula wisiała w powietrzu zaledwie chwilę, gdy nagle wśród drobnych stworzeń, z którymi pozostawał w kontakcie, rozlała się fala śmierci. Szereg mrówek padł na ziemię i znieruchomiał, mysie niemowlę sapnęło i runęło w otchłań, bo zabrakło mu sił, by podtrzymywać bicie serca. Niezliczone rośliny zwiędły i zamieniły się w pył.

Eragon wzdrygnął się, przerażony tym co zrobił. Jego nowo odkryty szacunek dla świętości życia sprawił, że popełniona zbrodnia wstrząsnęła nim jeszcze bardziej. Co gorsza, był blisko złączony z każdą umierającą istotą. Miał wrażenie, jakby sam umierał raz po raz. Błyskawicznie odciął strumień magii, pozwalając, by kula wody rozbryznięta się na ziemi i obrócił się gwałtownie do Oromisa.

- Wiedziałeś, że tak się stanie - warknął.

Twarz wiekowego Jeźdźca wykrzywił przejmujący ból.

- To było konieczne.

- Konieczne było zabicie tak wielu istot?

- Konieczne, byś zrozumiał, jak straszliwą cenę płaci się za ten typ magii. Zwykle słowa nie potrafią przekazać uczucia, jakie towarzyszy umieraniu tych, do których umysłów wniknąłeś. Musiałeś doświadczyć go sam.

- Nigdy więcej tego nie zrobię - przyrzekł Eragon.

- I nie będziesz musiał. Jeśli zachowasz dyscyplinę, będziesz mógł czerpać moc jedynie z roślin i zwierząt, które zniosą jej utratę. W bitwie to niezbyt praktyczne, ale możesz poćwiczyć podczas kolejnych lekcji. - Oromis wezwał go gestem.

Wciąż kipiąc ze złości, Eragon pozwolił, by elf wsparł się na nim. Razem wrócili do chaty.

- Widzisz teraz, czemu nie uczymy tej techniki młodych Jeźdźców. Gdyby poznał ją czarodziej o złych skłonnościach, mógłby dokonać ogromnych zniszczeń, zwłaszcza, że trudno byłoby powstrzymać kogoś, kto miałby dostęp do tak wielkiej mocy.

Kiedy wrócili do domu, elf westchnął, powoli opadł na krzesło i uniósł przed siebie zetknięte dłonie.

Eragon także usiadł.

- Skoro można czerpać energię z... - machnął ręką - z życia, czy da się to także uczynić bezpośrednio ze światła, ognia czy też innych form energii?

- Ach Eragonie, gdyby to było możliwe, w mgnieniu oka zniszczylibyśmy Galbatorixa. Możemy wymieniać się energią z innymi żywymi istotami, możemy z niej korzystać, by poruszać nasze ciała bądź zasilać zaklęcia, a nawet przechowywać ją w pewnych przedmiotach do późniejszego użytku, ale nie potrafimy chłonać jej z podstawowych mocy natury. Rozsądek mówi, że można to zrobić, ale nikomu nie udało się stworzyć pozwalającego na to zaklęcia.



Dziewięć dni później Eragon stanął przed Oromisem.

- Mistrzu, wczoraj wieczorem przyszło mi do głowy, że w żadnym ze zwojów, które czytałem, nie wspomniano o waszej religii. W co wierzą elfy?

Pierwszą odpowiedzią Oromisa było przeciągłe westchnienie.

- Wierzmy, że świat działa w zgodzie z pewnymi nienaruszalnymi zasadami i że dzięki niezłomnemu wysiłkowi możemy odkryć te zasady i wykorzystać je do przewidywania pewnych powtarzających się wydarzeń.

Eragon zamrugał. To nie była odpowiedź na jego pytanie.

- Ale komu bądź czemu oddajecie cześć?

- Niczemu.

- Oddajecie cześć idei niczego?

- Nie, Eragonie. W ogóle jej nie oddajemy.

Myśl ta zabrzmiała tak obco, że Eragon dopiero po kilku chwilach zrozumiał, co Oromis ma na myśli. Wieśniacy z Carvahall nie wyznawali jednej i ściśle doktryny, łączyły ich jednak wspólne przesady i rytuały, większość *związana* z odpędzaniem pecha. Podczas szkolenia Eragon dowiedział się, że wiele zjawisk, które wieśniacy przypisywali siłom nadprzyrodzonym, to w istocie procesy naturalne. Na przykład podczas medytacji odkrył, że larwy wykluwają się z jajeczek much, a nie rodzą z brudu, jak wcześniej sądził. Nie widział też sensu w zostawianiu duszkom ofiary z jedzenia, by nie zakwasały mleka, skoro wiedział, że mleko kwaśnieje, bo mnożą się w nim maleńkie organizmy. Wciąż jednak żywił przekonanie, że siły spoza świata wpływają na niego w tajemniczy sposób, a spotkanie, z religią krasnoludów tylko wzmocniło tę wiarę.

- Jak zatem według was powstał ten świat, skoro nie stworzyli bogowie?

- Jacy bogowie, Eragonie?

- Wasi bogowie, krasnoludscy, nasi... ktoś musiał go stworzyć.

Oromis uniósł brwi.

- Nie do końca się z tobą zgodzę, ale tak czy inaczej, nie potrafię dowieść nieistnienia bogów. Nie potrafię też dowieść, że świat i wszystko na tym świecie nie zostało stworzone przez jakąś istotę bądź istoty w odległej przeszłości. Mogę ci jednak powiedzieć, że my, elfy, od tysiącleci badamy naturę i przez cały ten czas nie widzieliśmy ani jednego przypadku, w którym zasady rządzące tym światem zostałyby złamane. To znaczy nigdy nie oglądaliśmy cudu. Wiele wydarzeń wykraczało poza nasze umiejętności wyjaśnienia, jesteśmy jednak przekonani, że nie udało się nam ich wytłumaczyć, bo wciąż nie znamy do końca praw rządzących wszechświatem, a nie dlatego że jakieś bóstwo odmieniło naturalny porządek rzeczy.

- Bóg nie musiałby odmieniać naturalnego porządku rzeczy, by urzeczywistnić swą wolę - oznajmił Eragon. - Mógłby to zdziałać wewnątrz istniejącego systemu, wpływając na wydarzenia za pomocą magii.

Oromis uśmiechnął się.

- Istotnie. Zadaj sobie jednak pytanie, Eragonie: Jeśli bogowie istnieją, czy byli dla Alagaesii dobrymi opiekunami? Śmierć, choroby, bieda, tyrania, niezliczone inne nieszczęścia dręczą tę ziemię. Skoro to ma być dzieło boskich istot, to trzeba się im sprzeciwić, zbuntować przeciwko nim i je obalić, nie wielbić ślepo i posłusznie.

- Krasnoludy wierzą...

- Właśnie. Krasnoludy wierzą. W pewnych kwestiach polegają na wierze, a nie na rozumie. Wiadomo nawet, że ignorują dowiedzione fakty, sprzeciwiające się ich dogmatom.

- Na przykład? - spytał ostro Eragon.

- Kapłani krasnoludscy używają koralu jako dowodu, że kamień żyje i może rosnąć, co potwierdza ich legendy, że Helzvog ukształtowaną rasę krasnoludzką z granitu. Lecz my, elfy, odkryliśmy, że koral to w istocie pancerz maleńkich żyjątek. Każdy mag, otwierając swój umysł, może wyczuć te zwierzęta. Wyjaśniliśmy to krasnoludom, one jednak nie słuchały. Twierdziły, że

życie, które wyczuwamy, istnieje w każdym typie kamienia, choć tylko ich kapłani potrafią wykrywać je w kamieniach na suchym łądzie.

Przez długi czas Eragon wyglądał przez okno, analizując w myślach odpowiedź Oromnisa.

- A zatem nie wierzycie w życie po śmierci?

- Z tego, co powiedział Glaedr, wynoszę, że wiedziałeś już o tym.

- I nie uznajecie żadnych bogów?

- Wierzimy tylko w to, czego istnienia potrafimy dowieść. Ponieważ nie dysponujemy dowodami, że bogowie, cuda i inne zjawiska nadprzyrodzone istnieją naprawdę, nie zaprzędamy sobie nimi głów. Gdyby się to zmieniło, gdyby Helzvog ukazał się światu, przyjęlibyśmy nowe informacje i zrewidowali nasze poglądy.

- To taki zimny świat, pozbawiony czegoś... więcej.

- Wprost przeciwnie - odparł elf. - To lepszy świat. Miejsce, w którym sami odpowiadamy za własne czyny, w którym możemy być dla siebie dobrzy, ponieważ chcemy i ponieważ tak należy, a nie, dlatego, że wpojono nam strach przed karą boską. Nie zamierzam mówić ci, w co masz wierzyć, Eragonie. Lepiej nauczyć się myśleć krytycznie i samemu móc podjąć decyzję niż przyjmować ślepo poglądy innych. Spytałeś o naszą religię, odpowiedziałem na pytanie. Zrób z tym co zechcesz.

\*\*\*

Rozmowa ta, w połączeniu z poprzednimi troskami, tak bardzo poruszyła Eragona, że w ciągu następnych dni miał problemy ze skupieniem się na nauce, nawet, gdy Oromis zaczął pokazywać mu jak śpiewać roślinom, czego od dawna pragnął się dowiedzieć. Jego własne przeżycia sprawiły, że już wcześniej dość sceptycznie podchodził do religii. Co do zasad, zgadzał się z większością tego co powiedział Oromis. Jeden problem jednak nie dawał mu spokoju, jeśli elfy miały racje, oznaczało to, że niemal wszyscy ludzie i krasnoludy się okłamują. Eragon nie mógł w to uwierzyć. Tak wielu ludzi nie może się mylić, upierał w duchu.

Gdy spytał o to Saphirę, smoczyca odparła:

*Dla mnie to nie ma znaczenia, Eragonie. Smoki nigdy nie wierzyły w wyższe moce. Czemu miałybyśmy wierzyć, skoro jelenie i inne ofiary to nas uważają za wyższe moce?*

Zaśmiał się, słysząc te słowa.

*Nie zapominaj o rzeczywistości po to, by się pocieszyć, bo gdy tak uczynisz, inni z łatwością cię oszukają.*

Tej nocy dręcząca Eragona niepewność znalazła odbicie w śnie, szalejącym mu w głowie niczym ranny niedźwiedź, porywającym oderwane strzępki wspomnień i łączącym je z takim hurgotem, iż miał wrażenie, że znów stoi na polu bitwy pod Farthen Durem. Ujrzał Garrowa leżącego w domu Horsta, martwego Broma w samotnej jaskini z piaskowca i twarz zielarki Angeli, która szepnęła

„Strzeż się, Argedamie, wyraźnie widzę zdradę. Jej źródło to twoja rodzina. Strzeż się, Cieniobójco”.

A potem szkarłatne niebo pękło i stojący na zboczu Gór Beorskich Eragon ujrzał przed sobą dwie armie. Szeregi żołnierzy nacierały na siebie na pomarańczowożółtym polu, wśród krzyków padlinożernych ptaków i świstu czarnych strzał. Sama ziemia zdawała się płonąć, zielone płomienie wystrzeliwały ze zwęglonych dziur, przypiekając okaleczone trupy pozostałe na polu bitwy. Słyszał ryk olbrzymiej bestii, która zbliżała się szybko z gór...

Eragon usiadł gwałtownie na łóżku i chwycił krasnoludzki naszyjnik, który parzył mu gardło. Owijając dłoń tuniką, odciągnął od skóry srebrny młot, po czym usiadł, czekając w ciemności. Serce tłukło mu się gwałtownie w piersi. Czuł, jak traci siły, gdy zakłęcie Gannela nie dopuszczało tego, kto próbował postrzegać jego i Saphirę. Raz jeszcze zastanowił się, czy to czyni sam Galbatorix, czy też jeden z nadwornych magów króla.

Gdy metal się ochłodził, Eragon wypuścił go, marszcząc brwi. Coś jest nie tak. Wiem to od jakiegoś czasu, podobnie Saphira. Zbyt zdenerwowany, by z powrotem pogрузić się w niemal

transie zastępującym sen, wyszedł na palcach z sypialni, nie budząc smoczycy, i wspiał po spiralnych schodach do gabinetu. Tam odsłonił białą lampę i aż do świtu pograżył się w lekturze zbioru pieśni Analisii, próbując ukoić nerwy.

W chwili, gdy odkładał zwój, przez portal we wschodniej ścianie wleciał Bładgen i wylądował w narożniku rzeźbionego biurka, łopocząc skrzydłami. Biały kruk spojrział na Eragona oczami przypominającymi koraliki.

- Wyrda! - zaskrzeczał.

Eragon skłonił głowę.

- I niechaj gwiazdy cię strzegą, mości Bładgenie.

Kruk podskoczył i podszedł bliżej. Przekrzywił głowę, zaśmiał się ochryple, jakby odchrząkując, po czym wyrecytował:

*Na kość i dziób,  
Szczerniały słup,  
moje kamienie!  
widzą gawrony,  
Dziury i szpony  
I krwi strumienie!*

- Co to znaczy? - spytał Eragon

Bładgen rozłożył skrzydła i powtórzył wierszyk. Gdy Eragon wciąż nie umiał znaleźć odpowiedzi, ptak napuszył się, wyraźnie niezadowolony.

- Syn i ojciec jednacy, ślepi jak gacek.

- Zaczekaj! - wykrzyknął Eragon, zrywając się na równe nogi. - Znasz mojego ojca? Kto to? Bładgen znów zakrakał; tym razem zdawało się, że się śmieje.

*Choć dwaj mogą mieć dwa,  
a jeden z dwóch to na pewno jeden,  
jeden może być dwoma.*

- Imię, Bładgenie. Podaj mi imię!

Kruk milczał, toteż Eragon sięgnął ku niemu umysłem, zamierzając wydrzeć informację ze wspomnień ptaka. Bładgen jednak okazał się przebiegły. Krótką myślową flintą odparował atak Eragona, wrzeszcząc „Wyrda!”, skoczył naprzód, wyrwał z kałamarza błyszczący, szklany korek i odleciał, ściskając w dziobie zdobycz. Nim Eragon zdążył rzucić zaklęcie przywołujące, kruk zniknął mu z oczu.

Eragon poczuł, jak ściska mu się żołądek. Próbował odszyfrować dwie zagadki Bładgena. Ostatnim, co spodziewał się usłyszeć w Ellesmerze, była wzmianka o jego ojcu. Wystarczy. Później znajdzie Bładgena i wydobędzie z niego prawdę. Ale na razie...

*... musiałbym być półgłówkiem, by zlekceważyć wszystkie omeny.*

Skoczył na równe nogi, zbiegł po schodach, budząc myślami Saphirę i informując o wszystkim, co zdarzyło się w nocy. Szybko zabrał z łazienki lusterko, po czym usiadł między przednimi łapami smoczycy tak, by mogła patrzeć mu nad głową i widzieć to co on.

*Arya nie będzie zachwycona, jeśli naruszymy jej prywatność - ostrzegła Saphira.*

*Muszę wiedzieć, czy jest bezpieczna.*

Saphira się nie sprzeciwiła.

*Jak ją znajdziesz? Sam mówiłeś, że po uwiezieniu wzniosła wokół siebie bariery podobne do twojego naszyjnika, niepozwalając, by ktokolwiek ją postrzegł.*

*Jeśli zdołam postrzec ludzi, z którymi przebywa, może się dowiem jak się miewa.*

Skupiony na obrazie Nasuady Eragon przesunął dłoń nad zwierciadło i wymamrotał tradycyjne zaklęcie.

- Senna wizja.

Zwierciadło zamigotało i zbiałało. Pośrodku pojawiło się dziewięć osób zgromadzonych wokół niewidocznego stołu. Z tej grupy Eragon znał Nasuadę i członków Rady Starszych, nie rozpoznawał natomiast dziwnej dziewczynki w czarnym kapturze, przycupniętej za plecami Nasuady. To go zdumiało, bo mag mógł postrzegać jedynie rzeczy, które widział już wcześniej, on zaś był pewien, że jego wzrok nigdy nie spoczął na tej dziewczynce. Zapomniał o niej jednak szybko, dostrzegając, że mężczyźni i Nasuada są uzbrojeni i gotowi do walki.

*Posłuchajmy, co mówią* - zaproponowała Saphira.

Gdy tylko Eragon wprowadził modyfikację zaklęcia, z lustra dobiegł głos Nasuady:

- ...a zamęt nas zniszczy. Nasi żołnierze podczas tego konfliktu muszą mieć tylko jednego dowódcę. Zdecyduj, kto to ma być, Orrinie, i zdecyduj szybko.

Do uszu Eragona dobiegło westchnienie.

- Jak sobie życzysz. To stanowisko należy do ciebie.

- Ależ, panie, nie przeszła wymaganych prób!

- Wystarczy, Irwinie - uciał król. - Ma większe doświadczenie wojenne niż ktokolwiek w Surdzie, a Vardeni to jedyne oddziały, jakie kiedykolwiek pokonały armię Galbatorixa. Gdyby Nasuada była surdańskim generałem - co przyznaję, wyglądałoby dość osobliwie - nie wahałbyś się ani chwili z jej nominacją. Jeśli później pojawią się problemy dotyczące władzy, chętnie je rozstrzygnę, będzie to, bowiem oznaczało, że wciąż stoję na nogach, a nie leżę w grobie. Na razie jednak, przy tak znacznej przewadze sił przeciwnika, lękam się, że jesteśmy skazani na klęskę, chyba, że Hrothgar dotrze do nas przed końcem tygodnia. Gdzie jest ten przeklęty zwój z informacjami o taborach? A tak, dziękuję ci, Aryo. Jeszcze trzy dni bez... Dyskusja przeszła płynnie na braki w cięciwach. Temat ten nie zabrzmiał obiecująco, więc Eragon przerwał zaklęcie. Lusterko pojaśniało i odkrył, że spogląda we własną twarz.

- Ona żyje - mruknął. Nie czuł jednak ulgi, bo wstrząsnęło nim znaczenie tego, co usłyszał.

Saphira spojrzała na niego.

*Jesteśmy potrzebni.*

*Owszem. Czemu Oromis nie wspomniał o tym? Z pewnością wie.*

*Może nie chciał przeszkodzić nam w nauce?*

Zdenerwowany Eragon zaczął się zastanawiać, co jeszcze ważnego dzieje się w Alagaesii, o czym nie ma pojęcia. Roran. Z ukłuciem winy uświadomił sobie, że minęły tygodnie, odkąd po raz ostatni pomyślał o kuzynie i jeszcze dłużej od czasu, gdy postrzegał go w drodze do Ellesmery. Na rozkaz Eragona lusterko pokazało dwie postaci stojące na śnieżnobiałym tle. Minęła długa chwila, nim Eragon rozpoznał w mężczyźnie po chwili Rorana. Kuzyn miał na sobie sfatygowany strój podróźny, za jego pasem tkwił młot, gęsta broda przysłaniała twarz, a oczy miały znękany, desperacki wyraz. Po jego lewej stał Jeod; obaj unosili się i opadali, towarzyszył temu ogłuszający szum fal, tłumiący wszelkie słowa. Po dłuższej chwili Roran zawrócił i pomaszerował po, jak odgadł Eragon, pokładzie statku. W lusterku pojawiły się dziesiątki innych mieszkańców wioski.

*Gdzie oni są? I czemu jest z nimi Jeod?* - spytał zaskoczony.

Odmieniając zaklęcie, zaczął postrzegać kolejno Teirm - ze wstrząsem ujrzał zniszczone nabrzeże i port - Therinsford, dawną farmę Rorana i wreszcie Carvahall, na którego widok wydał z siebie zduszony krzyk.

Wioska zniknęła.

Wszystkie budynki, łącznie ze wspaniałym domem Horsta, zostały spalone do gołej ziemi. Po Carvahall pozostała tylko czarna plama na brzegu Anory. Jedynymi mieszkańcami były krążące wokół cztery szare wilki.

Lusterko wysunęło mu się z ręki i roztrzaskało na posadzce, Eragon oparł się o Saphirę, w oczy zapiekły go łzy, gdy oplakiwał na nowo utratę swego domu. Saphira zaczęła mruczeć głęboko w piersi, potarła krawędź pyska jego ramię, opatulając Eragona ciepłym kokonem współczucia.

*Pociesz się, mój mały, że przynajmniej twoi przyjaciele wciąż żyją.*

Zadrżał i poczuł ucisk w żołądku.

*Zbyt długo pozostawaliśmy z dala od świata. Czas, byśmy opuścili Ellesmerę i stawili czoło naszemu przeznaczeniu, nieważne, co nas czeka. Na razie Roran musi radzić sobie sam, lecz Vardeni... Vardenom możemy pomóc.*

*Czy nadszedł czas walki, Eragonie?*- spytała Saphira; w jej głosie dźwięczała dziwnie uroczysta nuta.

Wiedział, co miała na myśli: Czy nadszedł czas, by rzucić otwarcie wyzwanie imperium, czas, by zabijać i niszczyć aż do granic ich nie najmniejszych umiejętności? Czas, by uwolnić całą skrywaną wściekłość i nie spocząć, póki Galbatorix nie legnie martwy u ich stóp? Czy nadszedł czas, by poświęcić się kampanii, której rozstrzygnięcie mogło potrwać dziesiątki lat?

*Już czas.*

## Dary

Eragon w niecałe pięć minut spakował cały swój dobytek. Uniósł siodło podarowane przez Oromisa, nałożył Saphirze, przewiesił jej przez grzbiet juki i zamocował.

Saphira odrzuciła w tył głowę, rozdymając nozdrza.

*Zaczekam na ciebie na polu* - oznajmiła.

Z rykiem wystartowała z drzewa, już w powietrzu rozkładając błękitne skrzydła, i odleciała, przemykając tuż nad koronami drzew.

Szybko jak elf, Eragon pobiegł do dworu Tialdari. Orík jak zwykle siedział tam w swym kącie, grając w runy. Krasnolud powitał go serdecznym klepinięciem w ramię.

- Eragonie, co cię tu sprowadza o tej porze? Sądziłem, że okładacie się mieczami z Vanirem.

- Odlatujemy z Saphirą - oznajmił Eragon.

Orík milczał z otwartymi ustami. Natychmiast spoważniał i spojrział na Eragona, mrużąc oczy.

- Macie jakieś wieści?

- Opowiem ci później. Chcesz nam towarzyszyć?

- Do Surdy?

- Tak.

Zarośniętą twarz krasnoluda rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Żeby mnie tu zatrzymać, musiałbyś zakuć mnie w łańcuchy. W Ellesmerze nie mam nic do roboty, a odrobina emocji dobrze mi robi. Kiedy wyruszamy?

- Jak najszybciej. Zbierz swoje rzeczy i spotkajmy się na polu treningowym. Możesz zdobyć dla nas zapasy na tydzień drogi?

- Tydzień? Ale to nie...

- Polecimy na grzbiecie Saphiry.

Skóra nad brodą Oríka pobladła.

- My krasnoludy, nie przepadamy za wysokościami, Eragonie, zdecydowanie nie przepadamy. Lepiej, żebyśmy pojechali konno, tak jak poprzednio.

Eragon pokręcił głową.

- To by trwało zbyt długo. Poza tym bardzo łatwo jest dosiadać Saphiry, jeśli spadniesz, złapie cię.

Orík burknął coś pod nosem, wyraźnie nieprzekonany. Eragon szybko wymknął się z dworu, przebiegł przez leśne miasto, dołączając do Saphiry, po czym razem polecili na skały Tel'naeir.

Gdy wylądowali na polanie, Oromis siedział na prawej nodze Glaedra. Światło odbijające się od łusek smoka rozjaśniało okolicę niezliczonymi złotymi plamkami. Ani elf, ani smok nie poruszyli się. Eragon zeskoczył z grzbietu Saphiry i skłonił się nisko.

- Mistrzu Glaedrze, mistrzu Oromisie.

*Postanowiliście wrócić do Vardenów, prawda?* - spytał Glaedr.

*Owszem* - odparła Saphira.

Poczucie zdrady było tak wielkie, że pokonało zwykle opanowanie Eragona.

- Czemu ukryliście prawdę? Czy tak bardzo zależało wam, by nas tu zatrzymać, że musieliście uciec się do podobnego podstępu? Lada moment imperium zaatakuje Vardenów, a wy nawet o tym nie wspomnieliście.

- Chcesz usłyszeć, dlaczego? - spytał jak zawsze spokojnie Oromis.

*Bardzo, mistrzu* - powiedziała Saphira, nim Eragon zdążył odpowiedzieć, po czym upomniała go: *Bądź uprzejmy.*

- Zachowaliśmy dla siebie te wieści z dwóch przyczyn. Po pierwsze i najważniejsze, sami o niczym nie wiedzieliśmy. O groźbie wiszącej nad Vardenami dowiedzieliśmy się zaledwie dziewięć dni temu, a prawdziwe rozmiary i położenie i ruchy wojsk imperium pozostawały ukryte aż do

chwili, gdy trzy dni temu lord Dathedr przełamał zaklęcie, za pomocą, którego Galbatorix blokował nasze postrzeżenie.

- To wciąż nie tłumaczy, czemu nic nie wspomnieliście. - Eragon skrzywił się. - Co więcej, kiedy już odkryliście, że Vardenom grozi niebezpieczeństwo, czemu Islanzadi nie zmobilizowała elfów do walki? Czyż nie jesteśmy sojusznikami?

- Ależ zmobilizowała, Eragonie. W całym lesie słysząc echa uderzeń młotów, tupotu nóg i smutku tych, których czeka rozstanie. Po raz pierwszy od stu lat nasza rasa szykuje się do opuszczenia Du Veldervarden i rzucenia wyzwania naszemu największemu wrogowi. Nadszedł czas, by elfy znów stanęły na polach Alagaesii. - Głos Oromisa złagodniał. - Ostatnio byłeś dość roztargniony, Eragonie, i rozumiem, dlaczego. Teraz jednak musisz wyrzec poza samego siebie. Świat wymaga twojej uwagi.

Zawstydzony Eragon skłonił głowę.

- Przepraszam, mistrzu. - Wspominając słowa Bładgena, pozwolił sobie na gorzki uśmiech. - Jestem ślepy jak gacek.

- Ależ nie, Eragonie, dobrze się spisałeś; szczególnie, gdy wziąć pod uwagę ogromną odpowiedzialność, jaka spoczęła na twoich barkach. - Oromis spojrzął na niego z powagą.

- W ciągu następnych paru dni spodziewamy się otrzymać list od Nasuady, z prośbą do Islanzadi o pomoc i o to, byś dołączył do Vardenów. Zamierzałem wówczas poinformować cię o wszystkim. Nadal miałbyś dość czasu, by dotrzeć do Surdy, nim dojdzie do walki. Gdybym powiedział ci wcześniej, honor nakazałby ci przerwać szkolenie i pośpieszyć na pomoc suwerence. Dlatego właśnie milczeliśmy z Islanzadi.

- Moje szkolenie zda się na nic, jeśli imperium zniszczy Vardenów.

- Istotnie. Możesz jednak być jedynym człowiekiem, który zdoła uchronić ich od zniszczenia. Istnieje, bowiem szansa - niewielka, lecz przerażająca - że Galbatorix weźmie udział w tej bitwie. Jest już za późno, by nasi wojownicy mogli wesprzeć Vardenów, co oznacza, że jeżeli Galbatorix naprawdę tam jest, będziesz musiał samotnie stawić mu czoło, pozbawiony ochrony naszych magów. W tych okolicznościach uznaliśmy, że twoje szkolenie winno potrwać jak najdłużej.

W ułamku sekundy gniew Eragona minął, zastąpiony zimnym, brutalnym rozsądkiem. Natychmiast też zrozumiał, czemu Oromis zdecydował się milczeć. W obliczu podobnego zagrożenia uczucia osobiste się nie liczy.

- Miałeś rację - rzekł głucho. - Hołd lenny nakazuje mi chronić Nasuadę i Vardenów. Nie jestem jednak gotów do walki z Galbatorixem, przynajmniej na razie.

- Sugeruję - odparł elf - byś w razie, gdyby Galbatorix istotnie się pokazał, uczynił wszystko co w twojej mocy, by odciągnąć jego uwagę od Vardenów, aż do czasu gdy bitwa się rozstrzygnie. Unikaj bezpośredniego starcia. Nim odejdziesz, proszę tylko o jedno: byście z Saphirą przysięgli, że gdy tylko pozwolą na to okoliczności, powrócicie tu, by zakończyć szkolenie. Wciąż, bowiem musicie jeszcze wiele się nauczyć.

*Wrócimy* - obiecała Saphira w pradawnej mowie.

- Wrócimy — powtórzył Eragon, przypieczętowując ich los.

Usatysfakcjonowany ich odpowiedzią Oromis sięgnął za plecy, podniósł czerwoną, haftowaną sakwę i ją otworzył.

- Spodziewając się waszego odejścia, przygotowałem dla ciebie trzy dary Eragonie. - Wyłowił z sakwy srebrną flaszkę. - Po pierwsze, faelnirv, który wzmocniłem swoimi zaklęciami. Trunek ten doda ci sił, gdy wszystko inne zawiedzie, może też się przydać w innych okolicznościach. Pij go oszczędnie, bo miałem czas przygotować zaledwie parę łyków.

Wręczył butelkę Eragonowi, po czym wyjął z sakwy długi, niebiesko-czarny pas od miecza. Gdy Eragon wziął go w dłonie, pas wydał mu się niezwykle gruby i ciężki. Utkano go z grubych włókien tworzących wzór splecionych pędów liani. Na polecenie Oromisa Eragon pociągnął a chwast z boku i zachłysnął się ze zdumienia, widząc, jak pasmo tkaniny z przodu przesuwają się, ukazując dwanaście diamentów, każdy liczący sobie cal średnicy. Cztery z nich były białe, cztery czarne, a pozostałe mieniły się czerwienią, błękitem, żółcią i brązem. W promieniach porannego

słońca lśniły zimnym blaskiem niczym kawałki lodu, rzucając na dłonie Eragona snop wielobarwnych iskier.

- Mistrzu. - Eragon pokręcił głową; przez długą chwilę brakowało mu słów. - Czy bezpiecznie jest dawać mi coś takiego?

- Strzeż go dobrze, by nikogo nie skusił. To pas Belotha Mądrego, o którym czytałeś w historii Mrocznego Roku, jeden z największych skarbów Jeźdźców. Zdobią go najdoskonalsze klejnoty, jakie Jeźdźcy zdołali znaleźć. Niektóre kupiliśmy od krasnoludów, inne zdobyliśmy w walce bądź wydobyliśmy sami. Same w sobie nie są magiczne, możesz jednak przechowywać w nich moc i czerpać z niej w razie potrzeby. Wraz z rubinem w rękojeści Zar'roca pozwoli ci to zgromadzić dostateczny zapas energii, by rzucając w bitwie zaklęcia i starcia z magami wrogów zbyt szybko cię nie wyczerpały.

W końcu Oromis uniósł cienki zwój, ukryty w drewnianej tubie, ozdobionej płaskorzeźbą przedstawiającą drzewo Menoa. Rozwinąwszy go, Eragon ujrzał poemat, który wyrecytował podczas Agaeti Blódhren, wykaligrafowany pięknym pismem elfa i ilustrowany misternymi rysunkami. Wokół pierwszego symbolu każdego czterowiersza spletały się rośliny i zwierzęta, delikatne wzory otaczały kolumny słów i ilustracje.

- Pomyślałem - rzekł Oromis - że zechcesz mieć własny egzemplarz.

Eragon stał z dwunastoma bezcennymi diamentami w jednej dłoni i zwojem Oromisa w drugiej i wiedział, że to właśnie zwój ceni sobie bardziej. Skłonił się i znów zabrakło mu słów, by wyrazić wdzięczność.

- Dziękuję, mistrzu - rzekł w końcu.

Wówczas Oromis zaskoczył Eragona, intonując tradycyjne pozdrowienie elfów i tym samym demonstrując szacunek, jakim darzy swego ucznia.

- Niechaj sprzyja ci szczęście.

- Niech gwiazdy cię strzegą.

- A pokój zamieszka w sercu - dokończył srebrzystowłosy elf. Powtórzył to samo z Saphirą. - Teraz ruszajcie i lećcie jak najchyżej z północnym wiatrem, wiedząc, że oboje - Saphira Jasnołuska i Eragon Cieniobójca - macie błogosławieństwo Oromisa, ostatniego potomka rodu Thandurina tego którego zwą zarówno Mędrce w Smutku Pograżonym, jak i Kaleką Uzdrawionym.

*I moje także* - dodał Glaedr.

Wyciągnąwszy szyję, czubkiem nosa dotknął nozdrzy Saphiry, jego złote oczy błyszczały niczym dwa bursztynowe źródła.

*Pamiętaj, by strzec swego serca, Saphiro.*

Smoczyca zamruczała w odpowiedzi.

Wymienili ostatnie smutne pozdrowienia i rozstali się. Saphira poszybowała nad spletanymi konarami. Oromis i Glaedr zostali na skałach, malejąc z każdą chwilą. Mimo trudów towarzyszących pobytowi w Ellesmerze, Eragon wiedział, że będzie tęsknił za miastem elfów. Tu, bowiem pierwszy raz od ucieczki z doliny Palancar poczuł się niemal jak w domu.

*Odchodzę odmieniony* - pomyślał i zamknął oczy, przywierając do grzbietu smoczy.

Przed spotkaniem z Orikiem czekał ich jeszcze jeden postój: we dworze Tialdan. Saphira wylądowała w zamkniętych ogrodach, uważając, by nie zniszczyć ogonem ani szponami żadnych roślin. Nie czekając, aż przykucnie, Eragon zeskoczył na ziemię. Jeszcze niedawno podobny skok wywołałby ogłuszający atak bólu.

Natychmiast zjawił się przed nim elf; dotknął dwoma palcami ust i spytał, czym może służyć. Gdy Eragon wyjaśnił, że chciałby prosić Islanzadii o audiencję, elf skinął głową.

- Proszę, zaczekaj tu, Srebrna Dłoni - rzekł.

W niecałe pięć minut później z labiryntu drzew tworzącego dwór Tialdari wyłoniła się królowa we własnej osobie. Jej szkarłatna tunika wyglądała niczym kropla krwi pośród białych szat elfich panów i pań, towarzyszącym w orszaku.

- Oromis poinformował mnie o waszych zamiarach - rzekła, gdy wymienili słowa powitania.

- Nie cieszy mnie ta wieść, ale nie można sprzeciwiać się nakazom losu.



- Nie można, Wasza Wysokość. Przyszliśmy, by przed wyjazdem złożyć wyrazy uszanowania. Byłaś dla nas niezwykle dobra, pani. Chcemy podziękować tobie i twojemu dworowi za ubrania, kwatery i jadło. Jesteśmy twymi dłużnikami.

- Nigdy. Jeźdźcze. Odpłaciliśmy zaledwie odrobinę tego, co jesteśmy winni tobie i smokom za to, że tak zawiedliśmy was podczas Upadku. Miło mi jednak, że docenicie naszą gościnność. - Urwała. - Gdy przybędziesz do Surdy, przekaz me królewskie pozdrowienia pani Nasuadzie i królowi Orrinowi, i powiadom ich, że nasi wojownicy zaatakują wkrótce północną część imperium. Jeśli dopisze nam szczęście, zaskoczemy Galbatorixa i z czasem podzielimy jego siły.

- Jak każesz.

- Wiedz też, że wyprawiłam do Surdy dwunastu najlepszych naszych magów. Jeśli wciąż będziesz żył, gdy tam dotrą, stawią się przed tobą i oddadzą pod twoje rozkazy, dniem i nocą chroniąc ciebie i Saphirę.

- Dziękuję, Wasza Wysokość.

Islanzadi wyciągnęła rękę i jeden z elfich panów podał jej płytkie, pozbawione ozdób drewniane pudło.

- Oromis miał dla ciebie dary, ja także coś przygotowałam. Niechaj przypomina ci o czasie spędzonym wśród nas pod mrocznymi sosnami. - Otworzyła pudło, ukazując długi, ciemny i wygięty łuk o zakrzywionych koniuszkach, spoczywający na aksamitnej wyściółce. Srebrne okucia pokryte wzorem z liści zdobiły końcówki i środek łuku. Obok niego spoczywał kołczan pełen nowych strzał, zakończonych śnieżnobiałymi, łabędzimi piórami.

- Teraz, gdy masz naszą siłę, stosownym jest, byś dostał też jeden z naszych łuków. Wyśpiewałam go sama z drzewa cisowego. Cięciwa nigdy nie pęknie, a dopóki będziesz używał tych strzał, rzadko chybisz celu, nawet, gdy przeszkodzi ci powiew wiatru.

Raz jeszcze Eragon oniemiał wobec hojności elfów.

- Co mogę rzec, pani? Czynisz mi zaszczyt, darując dzieło własnych rąk.

Islanzadi skinęła głową. Minęła go i podeszła do smoczycy.

- Saphiro, nie przynoszę ci darów, bo nie wiem, czego mogłabyś potrzebować bądź pragnąć. Jeśli jednak chciałabyś dostać cokolwiek, wystarczy tylko twe słowo.

*Smoki* - odparła Saphira - *nie potrzebują do szczęścia dobytku. Po cóż nam bogactwa, skoro nasze łuski piękniejsze są niż jakiegokolwiek skarby? Nie, wystarczy mi dobroć okazana Eragonowi.*

Wówczas Islanzadi, życząc im bezpiecznej podróży, odwróciła się i odeszła, ciągnąc za sobą czerwoną pelerynę. Po paru krokach jednak zatrzymała się.

- Eragonie.

- Tak, Wasza Wysokość?

- Gdy spotkasz się z Aryą, przekaz jej, proszę, wyrazy mego uczucia i powiedz, że bardzo nam jej brakuje w Ellesmerze. - Słowa te zabrzmiały sztywno i oficjalnie. Nie czekając na odpowiedź, odeszła i zniknęła wśród pograżonych w cieniu szpalerów drzew, strzegących wnętrza dworu Tialdari. Za nią podążyła jej świta.

Saphira potrzebowała niecałej minuty, by dolecieć na pole treningowe, gdzie czekał już Orik siedzący na swym worku, przerzucając z ręki do ręki topór wojenny.

- Najwyższy czas - mruknął, krzywiąc się groźnie.

Wstał i wsunął za pas broń.

Eragon przeprosił za spóźnienie, po czym przywiązał worek Orika do siodła. Krasnolud, zadzierając głowę, przyjrzał się grzbietowi smoczycy.

- Jak, na czarną brodę Morgothala, mam się tam wdrapać? Na zwykłej skale znajdę więcej uchwytów niż na twym boku, Saphiro.

*Proszę* - rzekła.

Położyła się płasko na brzuchu i wyciągnęła jak najdalej prawą tylną nogę, tworząc stromą pochylnię. Podciągając się i sapiąc głośno, Orik wdrapał się na czworakach po nodze smoczycy. Saphira parsknęła, wypuszczając z nozdrzy niewielki płomień.

*Pośpiesz się, laskoczesz.*

Orik zatrzymał się, dotarłszy na górę, po czym postawił stopy po obu stronach kręgosłupa smoczycy i ruszył ostrożnie naprzód, zmierzając ku siodłu. Poklepał dłonią jeden z kościanych szpikulców między nogami.

- Niezły sposób na utratę męskości - zauważył.

Eragon uśmiechnął się szeroko.

- Tylko się nie potknij.

Gdy Orik usiadł z przodu, Eragon dołączył do niego szybko. Aby nie zgubić krasnoluda podczas zwrotów, poluzował rzemienie przytrzymujące zazwyczaj jego ręce i polecił Orikowi, by wsunął za nie nogi.

Gdy Saphira dźwignęła się z ziemi, Orik zachwiał się, zaciskając dłonie na sterzącym przed nim szpikulcu.

- Garr! Eragonie, nie pozwól mi otworzyć oczu, póki nie znajdziemy się w powietrzu, bo zwymiotuję. To nienaturalne. Krasnoludy nie powinny siadać smoków. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło.

- Nigdy?

Orik pokręcił głową.

Grupki elfów wynurzyły się z Du Veldenvarden i zebrały na skraju pola, obserwując z poważnymi minami, jak Saphira unosi przejrzyste skrzydła, szykując się do startu. Eragon wzmocnił uchwyt, czując, jak potężne mięśnie smoczycy napinają się gwałtownie. Przyśpieszając ostro, Saphira skoczyła w górę i gwałtownie uderzając skrzydłami, wleciała ponad olbrzymie drzewa w błękitne niebo. Zatoczyła krąg nad rozległą puszcza, z każdą chwilą nabierając wysokości, a potem skierowała się na południe, ku Pustyni Haradackiej. Choć wiatr świszczął mu głośno w uszach, Eragon usłyszał, jak jedna z elfek z Ellesmery wznosi czysty głos w pieśni, tak jak wtedy, gdy przybył do miasta elfów.

## *Paszczą oceanu*

Obsydianowe morze kołysało się pod *Smoczym skrzydłem*, unosząc statek wysoko. Na moment balansował na grzbiecie spienionej fali, po czym opadł w ciemną dolinę. Strzępy lodowatej mgły unosiły się w mroźnym powietrzu, wiatr jęczał i zawodził niczym olbrzymi upiór.

Roran z całych sił ścisnął dłońmi olinowanie przy burcie. Przechylony, zwymiotował po raz kolejny, lecz z jego ust wypłynęła jedynie gorzka żółć. Szczycił się tym, że podczas żeglugi na barkach Clovisa ani razu nie dolegał mu żołądek, ale ten sztorm był tak gwałtowny, że nawet ludzie Uthara, zaprawieni w bojach marynarze, z trudem powstrzymywali mdłości.

Kolejna fala uderzyła statek z boku, zalewając pokład lodowatą wodą i spływając z powrotem do spienionego, rozwścieczonego oceanu. Roran miał wrażenie, jakby ktoś rąbnął go bryłą lodu między łopatki. Starł z powiek słoną wodę palcami sztywnymi niczym kawałki drewna i mrużąc oczy, spojrzął ku mrocznemu horyzontowi za rufą.

Może to sprawi, że zgubią nasz ślad.

Trzy korwety o czarnych żaglach ściagały ich, odkąd minęli Żelazne Urwiska i okrążyli półwysep, który Jeod nazwał Edur Carthungave, a Uthar rozpoznał jako Ostrogę Rathbara.

- To ogon Kościca, sam jego koniec - dodał z uśmiechem.

Korwety były szybsze niż wyładowane wieśniakami *Smocze skrzydło* i stopniowo doganiały kupiecki statek. W końcu zbliżyły się na tyle, by móc zasypać go strzałami. Co gorsza, wyglądało na to, że na pierwszej z nich płynął mag, bo wystrzeliwane z niej strzały bezbłędnie trafiały do celu, rozszczepiając liny, niszcząc balisty i unieruchamiając bloki. Z ataków tych Roran wydedukował, iż imperium nie zależy już na schwytaniu go i chce tylko nie dopuścić, by znalazł schronienie wśród Vardenów.

Właśnie przygotowywał wieśniaków do odparcia abordażu, gdy wiszące na niebie chmury pociemniały groźnie, obniżyły się, ciężkie od deszczu, i z północnego-zachodu nadciągnął wściekły sztorm. W chwili obecnej Uthar skierował *Smocze skrzydło* pod kątem do wiatru, zmierzając ku Wyspom Południowym, gdzie miał nadzieję zgubić korwety pośród mielizn i zatoczek Beirlandu.

Pomiędzy dwiema czarnymi chmurami rozbłysła błyskawica i świat na moment zamienił się w płaskorzeźbę z jasnego marmuru, po czym znów pograżył w ciemności. Każdy oślepiający błysk pozostawiał w oczach Rorana nieruchomy obraz, jeszcze długo pulsujący pod powiekami.

Kolejna błyskawica rozdarła niebo i Roran ujrzał, niczym na serii monochromatycznych obrazów, jak bomstenga bezana przekreśla się, pęka i spada we wzburzone morze, prostopadle do burty. Chwytnąjąc linę ratunkową, podciągnął się na pokład rufowy i wraz z Bondenem zaczął gorączkowo przecinać liny, wciąż łączące czubek masztu ze *Smoczym skrzydłem* i ciągnące je pod wodę. Odcinane liny wiły się niczym węże.

Po wszystkim osunął się na pokład, przytrzymując się prawą ręką burty. Statek tymczasem opadał dwadzieścia, trzydzieści stóp między fale. Rorana zalała woda, wypłukując z kości ostatnie resztki ciepła. Dreszcze wstrząsnęły całym jego ciałem.

Nie pozwól mi tu zginąć, błagał w myślach, choć sam nie wiedział, do kogo się zwraca, nie w tych okrutnych falach. Nie wykonałem jeszcze swego zadania.

Przez tę długą noc trzymał się gorączkowo wspomnień o Katrinie, czerpiąc z nich pociechę, gdy ogarniało go znużenie i opuszczała nadzieja.

Sztorm trwał dwa pełne dni, w końcu uspokoił się nad ranem. O świcie ujrzeli bladozieloną łunę na bezchmurnym niebie - i trzy czarne żagle na północnym horyzoncie.

Na południowym zachodzie leżał zamglony Beirland, ukryty pod kopułą chmur zebranych wokół zębatej góry wznoszącej się nad wyspą. Roran, Jeod i Uthar spotkali się w niewielkiej kabinie dziobowej - kapitan oddał swą własną chorą i ranną. Tam Uthar rozwinął morskie mapy i postukał palcem w punkt nad Beirlandem.

- Tu właśnie jesteśmy - oznajmił. Potem puknął w ujście rzeki Jiet. - A tu zmierzamy, bo nie wystarczy nam prowiantu, by dotrzeć do Reavstone. Nie mam jednak pojęcia, jak tam dopłynąć i nie dać się doścignąć. Nie mamy bramsła i te przeklęte korwety dogonią nas najpóźniej jutro w południe. Może pod wieczór, jeśli dopisze nam wiatr.

- Nie możemy wymienić masztu? - spytał Jeod. - Statki tej wielkości mają zwykle wszystkie niezbędne materiały.

Uthar wzruszył ramionami.

- Moglibyśmy, gdyby na pokładzie znalazł się doświadczony portowy cieśla. Ponieważ jednak nie mamy nikogo takiego, wolę nie stawiać masztu tylko po to, by runął na pokład i kogoś poranił.

- Gdyby nie mag bądź magowie - wtrącił Roran - uznałbym, że powinniśmy zaczekać na nich i stanąć do walki. Jest nas znacznie więcej, niż mogą liczyć załogi tych korwet. Teraz jednak obawiam się bitwy; wątpię, byśmy zwyciężyli, biorąc pod uwagę, jak wiele statków wysłanych na pomoc Vardenom zniknęło bez śladu.

Uthar odchrząknął i zakreślił krąg wokół ich obecnej pozycji.

- Oto jak daleko możemy pożeglować do jutra wieczór, zakładając, że wiatr się nie zmieni. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy wylądować gdzieś na Beirlandzie bądź Nii, nie widzę jednak, jak miałyby to nam pomóc. Znaleźlibyśmy się w pułapce, żołnierze z korwet bądź Ra'zacowie, czy nawet sam Galbatorix, mieliby nas na widelcu.

Roran skrzywił się, rozważając wszystkie możliwości. Walka z korwetami wydawała się nieunikniona.

Przez kilkanaście minut w kabinie panowała cisza, słyszeli tylko uderzenia fal o kadłub. W końcu Jeod położył palec na mapie pomiędzy Beirlandem i Nią i spojrzał na Uthara.

- A Oko Dzika? - spytał.

Ku zdumieniu Rorana pokryta bliznami twarz marynarza zbladła.

- Póki żyję, nie zaryzykuję Oka, mości Jeodzie. Wolę stawić czoło korwetom i zginąć na otwartym morzu niż w tym przeklętym miejscu. Pochłonęło ono dwakroć więcej statków niż cała flota Galbatorixa.

- Pamiętam, że kiedyś czytałem - Jeod odchylił się na krześle - że podczas szczytu przypływu i odpływu można przepłynąć bezpiecznie. Czy to prawda?

- Tak - przyznał Uthar z wyraźną niechęcią. - Ale Oko jest tak szerokie, że przeprawa przez nie wymaga idealnej dokładności. Ścigani przez korwety możemy nie trafić we właściwy moment.

- Gdybyśmy jednak zdołali - naciskał Jeod - i dobrze wszystko obliczyli, korwety zostałyby zniszczone, albo gdyby ich dowódców zawiodły nerwy, musiałyby okrążyć Nię. To dałoby nam dość czasu, byśmy mogli znaleźć sobie kryjówkę przy Beirlandzie.

- Jeżeli, jeżeli. Chcesz posłać nas we wzburzoną otchłań?

- Daj spokój, Utharze, myśl rozsądnie. To, co proponuję, jest niebezpieczne, ale nie bardziej niż ucieczka z Teirmu. A może wątpisz w swe umiejętności żeglarskie? Jesteś przecież mężczyzną i nie brak ci odwagi.

Uthar skrzyżował na piersi nagie ramiona.

- Nigdy nie widziałeś Oka, prawda?

- Przyznaję, nie widziałem.

- To nie kwestia odwagi. Po prostu siła ludzka jest niczym w porównaniu z Okiem. Nikną przy nim nasze największe okręty, najwspanialsze budowle, wszystko, co zdziałaliśmy. Próba

przebycia Oka to jak wyścig z lawiną: może się udać, ale równie dobrze możesz zostać zmiądzony.

- Co to jest Oko Dzika? - wtrącił Roran.

- Wygłodniała paszcza oceanu - oznajmił Uthar.

- To wir, Roranie - rzekł łagodnie Jeod. - Oko powstaje w wyniku prądów zderzających się pomiędzy Beirlandem i Nią. Gdy wody opadają, Oko obraca się z północy na zachód, a gdy się wznoszą, z północy na wschód.

- To nie wygląda niebezpiecznie.

Uthar pokręcił głową tak energicznie, że warkocz chlasnął go po ogorzałym karku. Roześmiał się.

- Nie wygląda niebezpiecznie, powiada. Ha!

- To, co ci umyka - ciągnął Jeod - to rozmiary wiru. Zazwyczaj środek Oka ma staję średnicy, ramiona wiru sięgają na dziesięć do piętnastu mil. Nieszczęsne statki porwane przez Oko są wciągane na dno oceanu i tam roztrzaskują się o skały. Morze często wyrzuca ich szczątki na plaże obu wysp.

- Czy ktoś mógłby przypuszczać, że popłyniemy tą drogą? - spytał Roran.

- Nie, i to nie bez powodu - warknął Uthar.

Jednocześnie Jeod pokręcił głowę.

- A możliwe jest, byśmy przeprawili się przez Oko?

- To byłaby przeklęta głupota.

Roran kiwnął głową.

- Wiem, że nie chcesz ryzykować, Utharze, ale nie mamy zbyt wielkiego wyboru. Nie jestem marynarzem, toteż muszę polegać na twych osądzie. Czy możemy przeprawić się przez Oko?

Kapitan zawahał się.

- Może tak, może nie. Trzeba być szaleńcem, by zbliżyć się na pięć mil do tego potwora.

Roran dobył młota i rąbnął nim w stół, pozostawiając calowe zagłębienie.

- A zatem jestem szaleńcem! - Tak długo patrzył Utharowi w oczy, aż marynarz poruszył się niespokojnie. - Czy muszę ci przypominać, że dotarliśmy tak daleko, dokonując czynów, które według marudnych malkontentów były niemożliwe bądź niewłaściwe? My z Carvahall odważyliśmy się porzucić własne domy i przeprawić przez Kościec. Jeod odważył się wyobrazić sobie, że ukradniemy *Smocze skrzydło*. Na co ty się poważysz, Utharze? Jeśli zdołamy stawić czoło Oku i przeżyć, obwołają cię jednym z największych marynarzy w dziejach. A teraz odpowiedz mi i odpowiedz szczerze: Czy można to zrobić?

Uthar przesunął dłonią po twarzy. Gdy znów się odezwał, mówił bardzo cicho, jakby wybuch Rorana kazał mu porzucić wszelkie pozy.

- Nie wiem, Młotoręki... Jeśli zaczekamy, aż Oko osłabnie, korwety mogą zbliżyć się tak bardzo, że im również uda się przepłynąć. A jeśli zmieni się wiatr, uwięźniemy wśród prądów i nie zdołamy się uwolnić.

- Jako kapitan zechcesz podjąć tę próbę? Ani ja, ani Jeod nie możemy dowodzić *Smoczym skrzydłem*.

Uthar przez długi czas wpatrywał się w mapy, mocno zaciskając ręce. Nakreślił parę linii z ich pozycji i pochylił się nad tabelą liczb, które Roranowi nic nie mówiły.

- Lękam się, że poześlujemy ku naszej zgubie - rzekł w końcu. - Ale tak, dołożę wszelkich starań, by przeprowadzić nas na drugą stronę.

Usatysfakcjonowany Roran odłożył młot.

- Niechaj tak będzie.

## Przeprawa przez Oko Dziką

Korwety nieuchronnie przybliżały się do *Smoczego skrzydła*. Roran, gdy tylko mógł, obserwował ich postępy, lękając się, że zdążą zaatakować, nim statek dotrze do Oka. Wyglądało jednak na to, że przynajmniej przez jakiś czas Uthar zdoła utrzymać dystans.

Na rozkaz kapitana Roran i pozostali wieśniacy zaczęli uprzętać statek po burzy, szykując się do ciężkiej przeprawy. Przerwali pracę o zmierzchu; wówczas pogasili wszystkie światła na pokładzie, próbując zgubić swych prześladowców. Podstęp częściowo się udał, kiedy bowiem weszło słońce, Roran przekonał się, że korwety oddaliły się o milę, choć szybko nadrobiły stracony dystans.

Późnym rankiem wdrapał się na grotmaszt i zajął miejsce w bocianim gnieździe, sto trzydzieści stóp nad pokładem, tak wysoko, że ludzie w dole wydawali się nie więksi niż jego mały palec. Woda i niebo wokół niego kołysały się niebezpiecznie, gdy *Smocze skrzydło* przechylało się z boku na bok.

Roran wyjął zza pazuchy lunetę, przytknął ją do oka i ustawił ostrość.

Ujrzał korwety odległe o zaledwie cztery mile i zbliżające się szybciej, niżby chciał.

Musieli się zorientować, co zamierzamy - pomyślał.

Przesuwając lunetę zaczął przeszukiwać ocean, wypatrując śladów Oka Dzika. Nagle zamarł, dostrzegając wielki dysk piany, dorównujący rozmiarami wyspie, wirujący z północy na wschód.

Spóźniliśmy się - pomyślał i żołądek ścisnął mu się gwałtownie.

Kulminacyjny punkt przypiływu już minął i Oko Dzika nabierało prędkości i siły, w miarę jak ocean cofał się od lądu. Roran oparł krawędź lunety o skraj bocianiego gniazda i ujrzał, że lina z węzłami, którą Uthar przywiązał do rufy od strony sterburty, by sprawdzić kiedy znajdą się w zasięgu wiru, unosi się poziomo obok *Smoczego skrzydła*, miast ciągnąć się za nim. Na ich korzyść działał wyłącznie fakt, że płynęli z prądem Oka, nie przeciw niemu. W przeciwnym razie nie mieliby wyboru i musieliby poczekać na przypiływ.

Usłyszał, jak w dole Uthar krzyczy na wieśniaków, rozkazując im sięść do wiosła. W chwilę później po bokach *Smoczego skrzydła* uniosły się dwa rzędy długich tyczek nadających statkowi wygląd olbrzymiego nartnika. Zagrzmiał potężny bęben z bawolej skóry, któremu towarzyszył rytmiczny zaśpiew Bondena, nadający tempo; wiosła uniosły się w przód, opadły w morze zieleni i zatoczyły łuk, pozostawiając po sobie strumienie białych bąbelków. *Smocze skrzydło* zaczęło przyspieszać, poruszając się szybciej niż korwety, wciąż pozostające poza zasięgiem Oka.

Roran patrzył przerażony i zafascynowany na rozgrywający się wokół dramat. Podstawowym elementem, od którego zależał wynik całego planu, był czas. Czy *Smocze skrzydło* uzbrojone w wiosła i żagle okaże się dość szybkie, by pokonać Oko? I czy korwety - które także opuściły wiosła - zdołają zmniejszyć dzielącą ich odległość tak, by nie zginąć we wzburzonych wodach? Nie potrafił orzec. Uderzenia bębna odmierzały minuty. Roran boleśnie odczuwał każdą upływającą chwilę.

Zdumiał się, gdy nad krawędzią kosza pojawiła się ręka, a potem twarz Baldora.

- Pomożesz mi? Mam wrażenie, że zaraz spadnę.

Roran zapał się mocno i wciągnął Baldora do kosza.

Mężczyzna wręczył mu suchar i suszone jabłko.

- Pomyślałem, że zechcesz coś przekąsić. - Roran podziękował mu skinieniem głowy i wgrzył się w suchar, cały czas patrząc przez lunetę.

- Widzisz Oko? - spytał Baldor.

Roran podsunął mu soczewkę, skupiając się na jedzeniu.

Przez następne pół godziny spieniony krąg kręcił się coraz szybciej, w końcu wirował już jak bąk. Woda wokół piany zabulgotała i zaczęła się podnosić. Tymczasem piana zniknęła im z oczu, opadając na dno olbrzymiej otchłani, która z każdą chwilą stawała się coraz głębsza. W

powietrzu nad wirami utworzył się cyklon rozedrganej mgły. - Z hebanowej gardzieli otchłani dobiegł umęczony jęk, przypominający wycie zranionego wilka.

Szybkość z jaką tworzyło się Oko Dzika, zdumiała Rorana.

- Lepiej powiedz Utharowi – mruknął.

Baldor wygramolił się z gniazda.

- Przywiąż się do masztu, żebyś nie spadł.

- Tak zrobię.

Roran okręcił się liną, pozostawiając wolne ręce, by w razie potrzeby móc sięgnąć po nóż i się uwolnić. Z rosnącym niepokojem patrzył w dół. Za ledwie milę dzieliła *Smocze skrzydło* od centrum Oka. Korwety płynęły dwie mile dalej, a samo Oko z każdą chwilą przybierało na sile. Co gorsza, wir przyciągał także wiatr, który osłabł, uderzając statek raz z jednej, raz z drugiej strony. Zagle wydeły się na moment, po czym opadły i znów się wypełniły w kolejnym podmuchu.

Może Uthar miał rację? - pomyślał Roran. Może posunąłem się za daleko i rzuciłem wyzwanie przeciwnikowi, którego nie da się pokonać zwykłą determinacją. Może posłałem moich ludzi na śmierć? Nie da się zastraszyć sił natury.

Otwarta paszcza Oka Dzika miała obecnie prawie dziewięć i pół mili średnicy i nikt nie potrafił orzec, jak głęboko sięga, prócz tych, którzy w niej uwięźli. Boki Oka opadały pod kątem czterdziestu pięciu stopni; pokrywały je płytkie bruzdy, niczym mokrą glinę wirującą na kole garncarskim. Niski skowyt narastał, aż w końcu Roran odniósł wrażenie, że cały świat lada moment rozpadnie się na kawałki pod naporem wibracji. Wśród mgieł nad wirującą otchłanią zajaśniała wspaniała tęcza. Prąd rwał do przodu szybciej niż kiedykolwiek, unosząc ze sobą *Smocze Skrzydło*. Statek okrążał krawędź wiru i zdawało się, że prawdopodobieństwo, iż zdoła uwolnić się po drugiej stronie, maleje z każdą sekundą.

Statek popłynął tak szybko, że przechylił się mocno na sterburtę i Roran zawisł w powietrzu nad rozszalałą wodą. Mimo to korwety wciąż się zbliżały. Statki wroga płynęły teraz niecałą milę od nich, ich wiosła poruszały się zgodnie niczym dwie płetwy, po każdym uderzeniu wyrzucające w górę kaskady wody. Roran nie mógł wyjść z podziwu. Wsunął lunetę za pazuchę. Korwety znajdowały się wystarczająco blisko, by dostrzec je gołym okiem, a tymczasem wir przesłaniał coraz gęściejsze chmury białego wodnego pyłu wlatujące z jego krawędzi. Wciągane w głąb tworzyły stożek naśladujący swym wyglądem wir.

Nagle *Smocze skrzydło* skręciło, opuszczając prąd i próbując wydostać się na otwarte morze. Kil przeciął wzburzone wody i statek zwolnił gwałtownie, walcząc ze śmiertelnie uściskiem Oka Dzika. Maszt zadygotał tak mocno, że Roranowi zadzwoniły zęby. Bocianie gniazdo pochyliło się w przeciwną stronę, poczuł zawrót głowy. Z przerażeniem odkrył, że wciąż zwalniają. Przeciął podtrzymującą go linę i nie zważając na własne bezpieczeństwo, przeskoczył przez krawędź gniazda, chwytając liny w dole i zsuwając się tak szybko, że raz rozluźnił uchwyt i runął kilka stóp w dół, nim zdołał się zatrzymać. Zeskoczył na pokład, pobiegł do przedniego włazu i do pierwszego rzędu wiosła, gdzie dołączył do Baldora i Albriecha walczących z dębowym drzewcem.

Nie odzywając się nawet słowem, poruszali się w rytm własnych rozpaczliwych oddechów, oszalałego bicia bębna, ochrypłych okrzyków Bondena i ryku Oka Dzika. Roran z każdym uderzeniem wiosła czuł przyciąganie potężnego wiru.

Jednakże mimo ich wysiłków *Smocze skrzydło* praktycznie zatrzymało się w miejscu. Nie uda się nam, pomyślał Roran. Plecy i nogi bolały go nieznośnie, płuca paliły żywym ogniem. Między uderzeniami bębna usłyszał głos Uthara. Rozkazywał załodze naciągnąć zagle i w pełni wykorzystać kapryśny wiatr.

Dwa miejsca przed Roranem Darmmen i Hamund przekazali wiosła Thane'owi i Ridleyowi, po czym, dygocząc, padli na środek przejścia. W niecałą minutę później ktoś inny runął na ziemię i został natychmiast zastąpiony przez Birgit i jeszcze jedną kobietę.

Jeśli przeżyjemy, pomyślał Roran, to tylko dlatego że mamy dość ludzi, by bez końca utrzymywać to tempo.

Miał wrażenie, że minęły wieki, odkąd usiadł za wiosłem w mrocznym, zadymionym wnętrzu. Popychał je i przyciągał, nie zważając na narastający w ciele ból. Zgięta pod niskim

sklepieniem szyja zdrętwiała, czarne drzewce pióra lepilo się od krwi w miejscach, gdzie pękały pokrywające skórę pęcherze. Zdarł z siebie koszulę - luneta runęła na ziemię - owinął wiosło materiałem i wiosłował dalej.

W końcu zabrakło mu sił i runął na bok, ślizgając się po deskach na własnym pocie. Jego miejsce zajął Orval. Roran leżał bez ruchu, póki jego oddech się nie uspokoił. Potem dźwignął się na rękach i kolanach i podpełznął do włazu.

Niczym oszalały pijak, wciągnął się na górę po drabinie, kołysząc się wraz ze statkiem i często przywierając do ściany, by odpocząć. Gdy znalazł się na pokładzie, przez chwilę rozkoszował się świeżym powietrzem. Potem ruszył na rufę w stronę steru. Z każdym krokiem nogi ugiwały się pod nim boleśnie.

- Jak nam idzie? - wydyszał do stojącego za sterem Uthara.

Ten pokręcił głową.

Zerkając ponad burta, Roran dostrzegł trzy korwety. Były teraz jakieś pół mili dalej i nieco bardziej na zachód, bliżej serca Oka. Z pokładu *Smoczego skrzydła* wydawały się nieruchome. Z początku, gdy patrzył na pozycje czterech statków, pozostawały one nieodmienione. Potem wyczuł zmianę prędkości *Smoczego skrzydła*, zupełnie jakby statek przebył kluczowy punkt i przytrzymujące go siły osłabły.

Była to subtelna różnica, zaledwie kilka stóp na minutę - ale dość, by odległość dzieląca *Smocze skrzydło* i korwety zaczęła rosnać. Z każdym uderzeniem wiosła statek nabierał rozpędu.

Korwety natomiast nie zdołały pokonać straszliwej siły wiru. Ich wiosła stopniowo zwalniały, aż w końcu statki kolejno zaczęły przesuwac się w tył, ściągane ku welonom mgły, za którymi czekały wirujące ściany hebanowoczarnej wody i bezlitosne skały na dnie oceanu.

Nie mogą dłużej wiosłować, uświadomił sobie Roran. Mają za mało ludzi i do tego bardzo zmęczonych. Nie potrafił powstrzymać odrobiny współczucia, myśląc o losie załóg na tych statkach.

Dokładnie w tym samym momencie z najbliższej korwety wyprysnęła strzała i płonąc zielonym ogniem, popędziła ku *Smoczemu skrzydłu*. Musiała nieść ją magia, skoro doleciała tak daleko. Trafiała w sam środek bezana, rozbryzgując wokół kulki płynnego ognia, przywierające do wszystkiego, czego dotknęły. W ciągu kilku sekund na maszcie, żaglu i pokładzie pojawiło się dwadzieścia maleńkich ognisk.

- Nie możemy tego zgasić! - krzyknął jeden z marynarzy w panice.

- Odrąbujcie to co się pali i wyrzucajcie za burtę! - ryknął w odpowiedzi Uthar.

Roran dobył zza pasa nóż i zaczął wycinać kropkę zielonego ognia, która padła na deski u jego stóp. Minęło kilka pełnych napięcia minut, nim pozbyli się nienaturalnych ognia i upewnili, że płomień nie rozprzestrzeni się na cały statek.

Dopiero na okrzyk „Czysto!” Uthar lekko rozluźnił ściskające ster palce.

- Jeśli tylko na to stać ich maga, to nie mamy się czego obawiać.

- Wydostaniemy się z Oka, prawda? — spytał Roran, złakniony nadziei.

Uthar wyprostował się i uśmiechnął z dumą i niedowierzaniem.

- Jeszcze nie teraz, ale jesteśmy blisko. Nie poczynimy żadnych postępów i nie oddalimy się od paszczy, dopóki nie osłabnie pływ. Powiedz Bondenowi, żeby nieco zwolnił tempo; nie chcę, by ludzie mdleli przy wiosłach.

Tak też się stało. Roran znów usiadł do wiosła, a gdy powrócił na pokład, wir zaczął słabnąć. Upiorne zawrozczenie Oka ucichło, zagłuszone szumem wiatru. Woda się wygładziła, zacierając ślady niedawnego groźnego szaleństwa, a poskręcane pasma mgły wijące się nad otchłanią stopniały w ciepłych promieniach słońca, pozostawiając powietrze czyste niczym naoliwione szkło. Z samego Oka Dzika - Roran przyjrzał się mu przez lunetę, którą wy dostał pomiędzy wiosłarzy - pozostał jedynie dysk żółtej piany, obracający się na wodzie.

Wydało mu się, że spośród owej piany dostrzega przez moment trzy złamane maszty i czarny żagiel, zataczające niekończące się kręgi. Nie był jednak pewien, czy nie zrodziła ich jego wyobraźnia.

Tak przynajmniej powiedział sobie w duchu.



Elain podeszła do niego, z ręką spoczywającą na napęczniałym brzuchu.

- Mielśmy szczęście, Roranie. Większe szczęście, niż mogliśmy przypuszczać.

- Tak - zgodził się.

## Do Aberonu

W dole pod brzuchem Saphiry olbrzymia puszcza rozciągała się między białymi horyzontami, mieniając się całą gamą barw, od soczystej zieleni aż po zamglony, jasny fiolet. Gawrony, jaskółki i inne leśne ptaki fruwały nad koronami potężnych sosen, krzycząc rozdzierająco na widok smoczycy. Saphira leciała tuż nad leśnym sklepieniem, by chronić swych dwóch pasażerów przed arktycznymi temperaturami panującymi w górze. Po raz pierwszy, od czasu gdy w Kościecu umykała przed Ra'zacami, mieli z Eragonem okazję pokonywać razem w locie wielkie odległości, nie zatrzymując się co dzień i nie czekając na przykutych do ziemi towarzyszy. Zwłaszcza Saphira cieszyła się tym niezmiernie i z radością demonstrowała Eragonowi, jak nauki Glaedra zwiększyły jej siłę i wytrzymałość. Gdy pierwszy lęk ustąpił, Orik odwrócił się do Eragona.

- Wątpię, bym kiedykolwiek dobrze czuł się w powietrzu, ale rozumiem czemu tak bardzo lubicie to z Saphira. Latanie sprawia, że czujesz się wolny, niespełnany, niczym lśniący sokół polujący na swą zdobycz. Na samą myśl serce bije mi mocniej w piersi.

Aby urozmaicić podróż, Orik zabawiał się z Saphira w zagadki. Eragon wymówił się z gry. Nigdy nie przepadał za zagadkami, przeskokami myślowymi niezbędne do ich rozwiązania jakoś mu umykały. W tej materii Saphira zdecydowanie go przewyższała. Tak jak większość smoków, fascynowały ją zagadki i układanki, i rozszyfrowywała je z łatwością.

- Jedyne znane mi zagadki - rzekł Orik - są po krasnoludzką. Postaram się przełożyć je jak najwierniej, ale rezultaty mogą brzmieć dość topornie.

- I wyrecytował:

*Wysokam, gdym mloda,  
na starość maleję,  
w tchu Urura mam wroga,  
póki me życie goreje.*

*To nieuczciwe - warknęła Saphira - nie znam waszych bogów.*

Eragon nie musiał powtarzać jej słów, Orik bowiem udzielił smoczycy pozwolenia, by przesyłała je wprost do jego umysłu.

Krasnolud zaśmiał się.

- Poddajesz się?

*Nigdy.*

Przez kilka minut słyszeli tylko łopot skrzydeł, w końcu zapytała:

*Czy to świeca?*

- Zgadza się.

Obłok gorącego dymu omiół im twarze, gdy parsknęła.

*Kiepsko sobie radzę z takimi zagadkami. Od dnia, gdy się wyklulałam, nie byłam we wnętrzu domu i pytania o sprzęty domowe mnie zaskakują.*

Następnie ona zadała zagadkę:

*Co jest gorzkiego w złocie?*

To okazało się bardzo trudnym zadaniem dla Orika. Jęczał, mamrotał i sfrustrowany zgrzytał zębami. Siedzący za nim Eragon nie zdołał powstrzymać uśmiechu, widział bowiem odpowiedź wyraźnie w umyśle Saphiry. W końcu krasnolud ustąpił.

- I co to jest? Tu mnie pokonałaś.

*Złoto jasno błyszczy,  
zółć pełna goryczy.*

Teraz to Orik wykrzyknął.

- To nieuczciwe! Nie rozmawiamy w moim ojczystym języku. Nie możesz oczekiwać, że wyłapię takie dwuznaczności.

*Wet za wet. To była uczciwa zagadka.*

Eragon patrzył, jak mięśnie na karku Orika napinają się niczym węzły. Krasnolud wysunął do przodu głowę.

- Skoro tak uważasz, o Żelaznozęba, to rozwiąż zagadkę, którą zna każde krasnoludzkie dziecko:

*Zwą mnie Kuźnią Morgothala i Łonem Helzuoga,  
osłaniam Córę Nordwig i śmierć szarą niosę,  
i świat odnawiam Krwią Helzvoga.  
Czym jestem?*

I tak to szło. Krasnolud i smoczyca wymieniali się coraz trudniejszymi zagadkami, a tymczasem Du Veldenvarden przepływał w dole. W szczelinach między gałęziami często błyskały srebrzyście fragmenty rzek przecinających puszcze. Wokół Saphiry wznosiły się chmury, tworząc fantastyczne budowle: wyniosłe łuki, kopuły i kolumny, zwieńczone krużgankami wały, wieże wyniosłe jak góry, urwiska i doliny skąpane w miękkim świetle, sprawiającym, że Eragon miał wrażenie, że śni.

Saphira leciała tak szybko, że gdy nastał zmierzch, zostawili już za sobą Du Veldenvarden i znaleźli się nad rdzawymi polami dzielącymi wielką puszcze od Pustyni Haradackiej. Rozbili obóz wśród wysokich traw i przycupnęli przy niewielkim ognisku całkiem sami na płaskim obliczu ziemi. Siedzieli z ponurymi minami i niemal się nie odzywali, słowa bowiem podkreślały tylko ich małość w tej olbrzymiej, pustej krainie.

Eragon wykorzystał postój, by zgromadzić nieco energii w rubinie zdobiącym rękonożec Zar'roca. Klejnot chłonał całą przekazaną mu energię, tak od niego, jak i od Saphiry, gdy użyczyła mu siły. Eragon uznał, że minie parę dni, nim zdoła nasycić energią zarówno rubin, jak i dwanaście diamentów ukrytych na pasie Belotha Mądrego.

Zmęczony, opatulił się kocami, legł obok Saphiry i pogrążył we śnie na jawie, w którym nocne mary rozgrywały się na tle rozciągającego się w górze morza gwiazd.

\*\*\*

Wkrótce po tym, jak następnego ranka znów wyruszyli w drogę, falujące trawy ustąpiły miejsca zbrązowiałym krzaczkom, które stawały się coraz rzadsze, aż w końcu zupełnie zniknęły, ukazując spieczoną, nagą ziemię, na której rosły jedynie najodporniejsze rośliny. Pojawiły się złocistoczerwone wydmy. Eragon, patrząc na nie z grzbietu Saphiry, pomyślał, że wyglądają niczym szeregi fal zastygłych w biegu ku odległemu brzegowi. Gdy słońce zaczęło zniżać się nad horyzontem, daleko na wschodzie dojrzał łańcuch górski i pojął, że oto widzi Du Felis Nangoroth, w których dzikie smoki odbywały gody, wychowywały młode i umierały.

*Kiedyś musimy je odwiedzić* - powiedziała Saphira, podążając za jego wzrokiem.

*Tak*

Tej nocy Eragon jeszcze mocniej odczuwał samotność, obozowali bowiem na największych pustkowiach Pustyni Haradackiej, gdzie w powietrzu pozostało tak niewiele wilgoci, że pękały mu wargi, choć co parę minut smarował je nalgaskiem. W ziemi niemal nie wyczuwał życia poza garstką mizernych roślin, a także kilkoma owadami i jaszczurkami.

Podobnie jak wtedy, gdy umykali z Gil'eadu przez pustynię, Eragon przywołał wodę z głębi ziemi, by uzupełnić zapasy. Nim pozwolił jej wsiąknąć z powrotem, w kałuży postrzegł Nasuadę, sprawdzając, czy nieprzyjaciel zaatakował już Vardenów. Ku jego uldze jeszcze to nie nastąpiło.



Trzeciego dnia od opuszczenia Ellesmery za ich plecami zerwał się wiatr, unosząc Saphirę szybciej, niż mogłaby lecieć o własnych siłach. Dzięki temu opuścili Pustynię Haradacką. Na skraju pustkowi minęli grupę konnych nomadów odzianych w powłóczyste szaty, chroniące przed słońcem. Mężczyźni krzyczeli, potrząsając mieczami i włóczniami. Żaden jednak nie ośmielił się strzelić do smoczy.

Tej nocy Eragon, Saphira i Orik rozbili obóz na południowym krańcu Srebrnej Puszczy, rozciągającej się wzdłuż jeziora Tudosten i noszącej to miano, bo rosły w niej niemal wyłącznie buki, wierzby i rozedrgane topole. W odróżnieniu od wiecznego półmroku panującego pod rozłożystymi sosnami Du Veldenvarden, Srebrną Puszczę wypełniały jasne promienie słońca, śpiew skowronków i łagodny szelest zielonych liści. Eragonowi drzewa wydawały się młode i szczęśliwe, cieszył się, że tu jest. A choć pustynia zniknęła w dali, było znacznie cieplej niż zazwyczaj o tej porze roku. Tutejsza wiosna przypominała lato.



Z puszczy polecili wprost do Aberonu, stolicy Surdy, kierując się wskazówkami, jakie Eragon odszukiwał w pamięci napotykanym ptaków. Po drodze Saphira nawet nie próbowała się ukrywać i często słyszeli okrzyki zdumienia i strachu dobiegające z leżących w dole wiosek.

Późnym popołudniem dotarli do Aberonu, niskiego, okolonego murami miasta, wzniesionego wokół wysokiej skały wyrastającej z płaskiej równiny. Na szczycie skały stał zamek Borromeo. Olbrzymią cytadelę chroniły trzy koncentryczne mury, liczne wieże i jak zauważył Eragon, setki balist mogących zestrzelić smoka. W bursztynowym świetle zachodzącego słońca budynki Aberonu rysowały się ostro i wyraźnie. Ujrzeni pióropusz pyłu pod zachodnią bramą, gdzie długi szereg żołnierzy czekał, by wejść do miasta.

Gdy Saphira opadła ku wewnętrznemu dziedzińcowi zamku, Eragon wyczuł połączone myśli wszystkich mieszkańców stolicy. Z początku hałas go oszołomił - jak miał wyłapywać wrogów i jednocześnie normalnie funkcjonować? Potem jednak zrozumiał, że zanadto skupia się na szczegółach. Wystarczyło wyczuwać ogólne zamiary ludzi. Odprężył się i pojedyncze głosy domagające się jego uwagi zlały się w morze otaczających go emocji. Przypominało to taflę wody okrywającą okolicę i falującą wraz ze wznoszeniem i opadaniem ludzkich uczuć. Od czasu do czasu pojawiał się wśród nich wstrząs gwałtownych namiętności.

W ten sposób natychmiast wyczuł strach, jaki ogarnął ludzi w dole na wieść o Saphirze.

*Ostrożnie - uprzedził smoczyce - nie chcemy, żeby nas zaatakowali.*

Każde uderzenie skrzydeł Saphiry wzbijało w powietrze chmury pyłu, gdy osiadała powoli pośrodku dziedzińca, wbijając szpony w ziemię. Uwiązane nieopodal konie zaczęły rzeć tak rozpaczliwie, że Eragon wszedł w końcu w ich umysły i uspokoił zwierzęta słowami z pradawnej mowy.

Zsiadł za Orikiem, mierząc wzrokiem żołnierzy na murach i przy naciągniętych balistach. Nie bał się ich broni, ale nie miał ochoty angażować się w walkę ze sprzymierzeńcami.

Z twierdzy wynurzyła się grupka dwunastu ludzi, w tym kilku żołnierzy, i pośpieszyła ku Saphirze. Prowadził ich wysoki mężczyzna o skórze równie ciemnej jak u Nasuady. Był zaledwie trzecim człowiekiem o takiej cerze, jakiego Eragon spotkał. Zatrzymując się dziesięć kroków od nich, mężczyzna uklonił się, podobnie jego towarzysze.

- Witaj, Jeźdźcze - rzekł. - Jestem Dahwar, syn Kedara, seneszał króla Orrina.

- Ja jestem Eragon Cieniobójca, niczyj syn.

- A ja Orik, syn Thrifka.

*A ja Saphira, córka Vervady* - dodała Saphira za pośrednictwem Eragona.

Dahwar uklonił się ponownie.

- Wybaczcie, że nikt szlachetniejszy ode mnie nie może powitać tak dostojnych gości, lecz król Orrin, pani Nasuada i wszyscy Vardeni już dawno wymaszerowali na spotkanie armii Galbatorixa. - Eragon skinął głową, niczego innego bowiem się nie spodziewał. - Zostawili rozkazy, że gdybyś się zjawił, powinienes dołączyć do nich jak najrychlej. Jeśli mamy zwyciężyć, potrzebna jest nam twoja siła.

- Możesz pokazać nam na mapie, jak ich znaleźć?

- Oczywiście, panie. A tymczasem, nim przyniosą mapy, zechcesz ukryć się w cieniu i odświeżyć?

Eragon pokręcił głową.

- Nie mamy czasu do stracenia. Zresztą to nie ja muszę obejrzeć mapę, lecz Saphira, a wątpię, by zmieściła się w waszym zamku.

Słowa te wyraźnie zaskoczyły seneszala. Zamrugał, mierzając wzrokiem smoczyce.

- Oczywiście, panie. Tak czy inaczej, możesz liczyć na naszą gościnność i jeśli pragniecie czegokolwiek, ty i twoi towarzysze, wystarczy jedno słowo.

Po raz pierwszy Eragon uświadomił sobie, że może wydawać rozkazy i oczekiwać, że zostaną spełnione.

- Potrzebne nam tygodniowe racje podrózne, dla mnie wyłącznie owoce, warzywa, mąka, ser, chleb i tak dalej. Musimy też napełnić bukłaki. - Zaimponowało mu, że Dahwar nie skomentował ani słowem jego wegetariańskiej diety. Orik uzupełnił listę o suszone mięso, bekon i inne mięsne produkty.

Dahwar pstryknął palcami i dwaj służący puścili się biegiem do twierdzy, aby zebrać zapasy.

- Czy z twojej obecności, Cieniobójco, mogę wnosić - spytał, gdy czekali na ich powrót - że zakończyłeś swoje szkolenie u elfów?

- Moje szkolenie zakończy się dopiero wraz z życiem.

- Rozumiem. - Dahwar umilkł, ale po chwili zapytał ponownie: - Proszę, wybacz mi moją impertynencję, nie znam bowiem zwyczajów Jeźdźców, ale czy nie jesteś człowiekiem? Słyszałem inaczej.

- Owszem, jest - warknął Orik. - Został... odmieniony i powinniście się cieszyć, bo inaczej nasza sytuacja wyglądałaby znacznie gorzej.

Dahwar miał dość taktu, by nie naciskać, lecz jego myśli jasno wskazywały, że zapłaciłby sporą sumę, żeby poznać szczegóły. Wszelkie informacje dotyczące Eragona i Saphiry miały na dworze Orrina wysoką cenę. Dwaj paziowie przynieśli wkrótce wodę, jedzenie i mapę. Na polecenie Eragona złożyli swój ładunek obok Saphiry i wyraźnie przerażeni natychmiast wycofali się za plecy Dahwara. Seneszal ukląkł na ziemi, rozłożył mapę - przedstawiającą Surdę i okoliczne ziemie — i nakreślił palcem linię na północny-zachód z Aberonu do Cithri.

- Z tego, co słyszałem ostatnio, król Orrin i pani Nasuada zatrzymali się tu na popas. Nie zamierzali jednak zostać długo, bo wojska imperium maszerują na południe wzdłuż rzeki Jiet i chcieli pierwsi dotrzeć na miejsce, by móc się przygotować na nadejście armii Galbatorixa. Teraz Vardeni mogą być wszędzie pomiędzy Cithri i rzeką Jiet. To tylko moja skromna opinia, rzekłbym jednak, że najlepiej szukać ich na Płonących Równinach.

- Płonących Równinach?

Dahwar uśmiechnął się.

- Możesz je znać pod starą nazwą, używaną przez elfy: Du Vóllar Eldrvarya.

- A tak.

Teraz Eragon przypomniał sobie, że czytał o nich w jednej z historii Oromisa. Równiny - kryjące w sobie olbrzymie pokłady torfu - leżały po wschodniej stronie rzeki Jiet w miejscu, gdzie przecinała ją granica Surdy. W przeszłości odbyła się tam potyczka Jeźdźców i Zaprzysiężonych. Podczas walki zięjące ogniem smoki podpaliły niechcący torf. Żar pozostał pod ziemią i tlił się tam od tej pory. Cuchnące opary sączące się z rozpalonych otworów w zwęglonej ziemi sprawiały, że Równiny nie nadawały się do zamieszkania.

Z nagłym dreszczem Eragon przypomniał sobie swą wizję - szeregi wojowników ścierające się ze sobą na pomarańczowożółtym polu do wtóru ochrypłych wrzasków padlinożernych ptaków i świstu czarnych strzał.

Znów wstrząsnął nim dreszcz.

*Nadciąga nasze przeznaczenie* - rzekł do Saphiry. Wskazał mapy. *Widziałaś dosyć?*

*Tak.*

Wkrótce wraz z Orikiem spakowali zapasy, dosiedli smoczycy i już z jej grzbietu podziękowali Dahwarowi. Gdy Saphira zaczęła szykować się do lotu, Eragon zmarszczył brwi - w śledzonych przez niego umysłach pojawiła się nuta niezgody.

- Dahwarze, dwóch stajennych wdało się w kłótnię. Jeden z nich, Tathal, zamierza popełnić morderstwo. Możesz go jednak powstrzymać, jeśli natychmiast wyślesz tam ludzi.

Oczy Dahwara rozszerzyły się w wyrazie zdumienia. Nawet Oriki obrócił głowę, patrząc na Eragona.

- Skąd o tym wiesz, Cieniobójco? - spytał seneszał.

- Ponieważ jestem Jeźdźcem - odparł Eragon.

Wówczas Saphira rozłożyła skrzydła i wszyscy na ziemi odbiegli, chroniąc się przed gwałtownym powiewem, gdy wzbijała się w niebo. Po chwili zamek Borromeo zaczął oddalać się gwałtownie.

- Słyszysz moje myśli, Eragonie? - spytał Oriki.

- Mam spróbować? Bo dotąd tego nie robiłem.

- Spróbuj.

Eragon zmarszczył brwi, koncentrując się na świadomości krasnoluda, i ze zdumieniem odkrył, że umysłu Oriki bronią grube myślowe bariery, Wyczuwał jego obecność, ale nie myśli i uczucia.

- Nic.

Oriki uśmiechnął się szeroko.

- To dobrze. Chciałem się upewnić, że nie zapomniałem dawnych lekcji.

Tej nocy nie zatrzymali się na popas, lecz lecieli dalej poprzez mrok.

Nie dostrzegli ani śladu księżyca i gwiazd, nawet najślabszy promyk nie rozjaśniał ciężkiej czerni nieba. Martwe nocne godziny ciągnęły się bez końca; Eragon miał wrażenie, że każda sekunda walczy o to, by trwać jak najdłużej, nim zamieni się w przeszłość.

Gdy w końcu powróciło słońce - przynosząc ze sobą utęsknione światło - Saphira wylądowała na brzegu niewielkiego jeziora, by Eragon i Oriki mogli rozprostować nogi, załatwić swoje potrzeby i zjeść śniadanie, odpoczywając w bezruchu.

Właśnie znów wystartowali, gdy na horyzoncie pojawiła się długa, niska, brązowa chmura, niczym smuga orzechowego tuszu na białej kartce papieru. W miarę, jak się zbliżali, chmura stawała się coraz szersza, aż w końcu późnym rankiem zasnęła całą ziemię, skrywając ją pod woalem cuchnących oparów.

Dotarli do Płonących Równin Alagaesii.

## *Płonące Równiny*

Eragon zakasłał, gdy Saphira opadła pomiędzy obłoki dymu, kierując się w stronę ukrytej przed ich wzrokiem rzeki Jiet. Zamrugał, wycierając łzy, bo od oparów zapiekły go oczy. Bliżej ziemi powietrze stało się czystsze i Eragon ujrzał cel ich podróży.

Falująca zasłona czarnych i szkarłatnych dymów przesłaniała częściowo słońce, tak że wszystko w dole było skąpane w ostrym, pomarańczowym świetle. Od czasu do czasu w zasnuwającej niebo zasłonie pojawiały się wyrwy, pozwalając jasnym smugom światła paść na ziemię. Pozostawały tam niczym kolumny z przejrzystego szkła, póki nie pochłonęły ich wędrujące chmury.

Przed nimi rozciągała się rzeka Jiet, szeroka i nabrzmiała niczym nażarty wąż. W jej pomarszczonej powierzchni odbijał się ten sam upiorny odcień, który panował niepodzielnie na Płonących Równinach. Nawet gdy od czasu do czasu padał na nią promień czystego światła, woda wciąż wydawała się kredowobiała, nieprzejrzysta i opalizująca. Wyglądała, jakby lśniła własnym, niesamowitym blaskiem.

Na wschodnim brzegu wezbranej rzeki stały dwie armie. Na południu Vardeni i ludzie z Surdy, ukryci za wieloma liniami obronnych szańców, czekali pod barwnymi proporcami i sztandarami, wśród rzędów dumnych namiotów i spętanych koni kawalerii króla Orrina. Jednakże, choć liczne, ich wojska wydawały się żałośnie małe w porównaniu z rozmiarami sił zgromadzonych na północy. Armia Galbatorixa była tak wielka, że jej czoło miało trzy mile szerokości; nie wiadomo było, jak daleko się rozciągało bo poszczególni ludzie zlewali się w dalą mroczną masę.

Obie armie dzieliły dwie mile pustej równiny. Ziemia ta, podobnie jak teren, na którym obozowały wojska, była podziurawiona niezliczonymi poszarpanymi otworami, w których tańczyły zielone płomyki. Z otworów sączył się cuchnący dym przesłaniający słońce. Żadna roślinność nie zdołała podbić spalonej, wysuszonej równiny prócz czarnych, pomarańczowych i zgniłozielonych porostów, które z powietrza wyglądały jak strupy i liszaje pokrywające chore ciało.

Był to najbardziej złowrogi widok, jaki Eragonowi zdarzyło się oglądać.

Saphira opadła nad ziemię niczyją, rozdzielającą ponure armie, skrzyła i zanurkowała ku Vardenom z maksymalną szybkością, im dłużej bowiem pozostawali w pobliżu wojsk imperium, tym bardziej narażali się na ataki ich magów. Eragon sięgnął swą świadomością jak najdalej, poszukując wrogich umysłów, które poczują jego dotyk i zareagują na niego - umysłów magów i ludzi wyszkolonych w obronie przed magicznymi atakami.

Zamiast tego poczuł nagłą panikę, która ogarnęła wartowników Vardenów. Wielu z nich nigdy wcześniej nie widziało Saphiry. Strach sprawił, że zapomnieli o rozsądku, wypuszczając w powietrze chmurę zębatach strzał, która śmignęła im na spotkanie.

- Letta orya thorna! - krzyknął Eragon, unosząc prawą dłoń. Strzały zastygły w powietrzu. Machnięciem ręki i słowem „ganga” odmienił ich kierunek, posyłając pociski ku ziemi niczyjej, gdzie, nie czyniąc nikomu szkody, wbiły się w jałową glebę. Przeoczył jednak jedną strzałę wystrzeloną kilka sekund po pierwszej salwie.

Gwałtownie odchylił się w prawo, jak najmocniej, szybciej niż jakikolwiek człowiek i złapał pocisk w powietrzu.

Zaledwie sto stóp nad ziemią Saphira szeroko rozłożyła skrzydła, zwalniając ostro i lądując najpierw na tylnych nogach, potem na przednich, wśród namiotów Vardenów.

- Werg - warknął Orik, rozluźniając przytrzymujące go rzemienie. - Wolałbym walczyć z tuzinem Kullów, niż raz jeszcze przeżyć taki upadek.

Na moment zawisł z boku siodła, po czym osunął się na przednią nogę Saphiry i zbiegł na ziemię. Nim Eragon zdążył zsiąść, wokół smoczyca zgromadziły się dziesiątki oszołomionych wojowników. Pomiedzy nimi przepchnął się potężny mężczyzna, którego Eragon poznał: Fredric, zbrojmistrz Vardenów z Farthen Duru, wciąż odziany we włochatą zbroję z bawolej skóry.

- Ruszać się, tępe draby! - ryknął Fredric. - Nie stójcie tu i nie gapcie się. Wracajcie na posterunki albo zaraz przydzielę wam dodatkowe warty!

Na rozkaz żołnierze zaczęli się rozchodzić. Wielu mamrotało pod nosem i oglądało się za siebie. Brodaty Fredric zbliżył się do nich. Wyraźnie zaskoczyła go zmiana wyglądu Eragona, postarał się jednak ukryć swą reakcję, dotykając dłonią czoła.

- Witaj Cieniobójco - rzekł. - Przybywasz w samą porę... Nie potrafię wyrazić, jak mi wstyd, że zostałeś zaatakowany. Ten błąd to skaza na honorze wszystkich naszych ludzi. Czy któreś z was odniosło rany?

- Nie.

Na twarzy Fredrica odbiła się wyraźna ulga.

- Przynajmniej za to mogę podziękować. Kazałem odwołać ze służby wszystkich odpowiedzialnych za atak strażników; zostaną wychłostani i zdegradowani. Czy ta kara ci wystarczy, Jeźdźcze?

- Chcę się z nimi zobaczyć - oznajmił Eragon.

Poczuł nagłą troskę promieniującą z Fredrica - mężczyzna wyraźnie lękał się, że Eragon zechce wyrzucić straszliwą, nienaturalną zemstę na wartownikach. Fredric jednak nie wyraził sprzeciwu.

- Zechciej zatem pójść ze mną.

Poprowadził ich przez obóz do pasiastego namiotu dowództwa, w którym około dwudziestu nieszczęśników oddawało broń i zbroję strażnikom. Na widok Eragona i Saphiry więźniowie uklękli na jedno kolano i pozostali tak, wbijając wzrok w ziemię.

- Bądź pozdrowiony, Cieniobójco! - krzyknęli. Eragon nie odpowiedział.

Przeszedł wzdłuż ich szeregu, badając umysły żołnierzy; jego buty miażdżyły ze złowieszczym zgrzytem zapieczoną skorupę pokrywającą ziemię.

- Powinniście być dumni z tego, że zareagowaliście tak szybko na nasze przybycie - rzekł w końcu. - Jeśli Galbatorix zaatakuje, tak właśnie powinniście postąpić, choć wątpię, by strzały zaszkodziły mu bardziej niż Saphirze i mnie. - Wartownicy przyglądali mu się z niedowierzaniem; przenikające przez chmury słońce zabarwiało ich twarze odcieniem polerowanego mosiądzu. - Na przyszłość proszę tylko, abyście zastanowili się chwilę i nim strzelicie, zidentyfikowali cel. Następnym razem mogę być zbyt zajęty, by zatrzymać wasze strzały. Zrozumiano?

- Tak, Cieniobójco! - krzyknęli.

Zatrzymując się przed przedostatnim z żołnierzy, Eragon uniósł strzałę, którą chwycił w powietrzu, siedząc na grzbiecie Saphiry.

- To chyba twoja, Harwinie?

Zachwycony Harwin przyjął strzałę.

- Rzeczywiście! Ma biały pasek, zawsze tak maluję moje drzewca, by je później łatwiej znaleźć. Dziękuję, Cieniobójco.

Eragon skinął głową. Odwrócił się do Fredrica i rzekł głośno, tak by wszyscy go słyszeli:

- To dobrzy, wierni ludzie. Nie chcę, żeby spotkała ich jakakolwiek kara za to, co się dziś zdarzyło.

- Osobiście tego dopilnuję. - Fredric uśmiechnął się szeroko.

- A teraz mógłbyś zaprowadzić nas do pani Nasuady?

- Tak jest.

Opuszczając namiot, Eragon wiedział, że okazując strażnikom łaskę, zaskarbił sobie ich dozoną wierność, a wieść o tym czynie rozejdzie się wśród Vardenów.

Podążając wskazaną przez Fredrica ścieżką, zetknął się z bliska z większą liczbą umysłów niż kiedykolwiek przedtem. Setki myśli, obrazów i uczuć napierały na jego świadomość. Mimo prób utrzymania dystansu mimowolnie chłonał przypadkowe szczegóły z życia ludzi; niektóre go zaskakiwały, inne nic nie znaczyły, jeszcze inne wzruszały bądź budziły wstręt. Przy wielu czuł się zakłopotany. Kilka osób postrzegało świat tak odmiennie, że ich umysły wyróżniały się z tłumu.

Jakże łatwo byłoby widzieć w tych ludziach tylko przedmioty, którymi mógłbym dowolnie manipulować. A jednak każde z nich ma własne nadzieje i marzenia, potencjał tego, co może



osiągnąć, i wspomnienia wszystkiego, co już im się udało. I wszyscy czują ból. Garstka umysłów, na które się natknął, wyczuła kontakt i cofnęła się gwałtownie, ukrywając swe wewnętrzne życie za barierami o różnej mocy. Z początku Eragon poczuł troskę, wyobrażając sobie, że odkrył wielu wrogów, którzy przeniknęli w szeregi Vardenów. Później jednak, z kilku dostrzeżonych obrazów zorientował się, iż ma do czynienia z poszczególnymi członkami Du Vrangr Gata.

*Muszą umierać ze strachu* - mruknęła Saphira - *myśląc, że zaraz zaatakują ich obcy mag.*

*Nie mogę ich przekonać, że jest inaczej, póki blokują swe umysły.*

*Powinieneś spotkać się z nimi osobiście, i to wkrótce, nim zbiorą siły i przypuszczą atak.*

*Zgoda, choć wątpię, by mogli nam zagrozić... Du Vrangr Gata. Sama ich nazwa dowodzi ignorancji. W pradawnej mowie prawidłowo powinni nazywać się Du Gata Vrangr.*

W końcu dotarli do celu. Na tyłach armii Vardenów stał wielki czerwony pawilon z proporcem, na którym wyhaftowano czarną tarczę i dwa równoległe miecze. Fredric uniósł klapę. Eragon i Oriek weszli do środka. Saphira wsunęła głowę przez otwór, zerkając ponad ich ramionami. Pośrodku umebłowanego namiotu umieszczono szeroki stół. Przy jego końcu stała Nasuada i wsparta na jednej ręce, przeglądała plik map i zwojów. Żołądek Eragona ścisnął się gwałtownie na widok stojącej naprzeciwko Aryi.

Obie kobiety były uzbrojone jak żołnierze do bitwy. Nasuada odwróciła ku niemu twarz.

- Eragon? - szepnęła.

Nie był przygotowany na to, jak wielką radość sprawił mu jej widok. Z szerokim uśmiechem przekreślił dłoń nad mostkiem w elfickim geście hołdu i skłonił się.

- Do usług.

- Eragon! - tym razem w głosie Nasuady zadźwięczała radość i ulga. Arya także sprawiała wrażenie ucieszonej. - Jakim cudem tak szybko dostałeś naszą wiadomość?

- Nie dostałem. Dowiedziałem się o Galbatorixie, postrzegając i tego samego dnia opuściłem Ellesmerę. - Uśmiechnął się ponownie. - Dobrze jest być znów wśród Vardenów.

Nasuada tymczasem przyglądała mu się z namysłem.

- Co się z tobą stało, Eragonie?

*Widać Arya jej nie powiedziała* - zauważyła Saphira.

I tak Eragon opowiedział, co spotkało Saphirę i jego od dnia, gdy rozstali się z Nasuada w Farthen Durze. Wyczuwał, że znaczną część z tego wiedziała już wcześniej albo od krasnoludów, albo też od Aryi, pozwoliła mu jednak mówić bez przeszkód. Eragon musiał zachować ostrożność, opowiadając o swym szkoleniu - obiecał, że bez zgody elfów nie ujawni istnienia Oromisa, a większość z tego, co się dowiedział, nie była przeznaczona dla obcych - postarał się jednak, by Nasuada poznała zakres jego umiejętności i związane z nimi ryzyko. Co do Agaeti Blódhren, rzekł jedynie:

- ...i podczas święta smoki poddały mnie zmianie, którą widzisz, obdarzając fizycznymi zdolnościami elfa i lecząc moje plecy.

- A zatem nie masz już blizny? - spytała.

Kiwnął głową i w kilku zdaniach zakończył opowieść, wspominając krótko powód, dla którego opuścili Du Veldewarden i opisując podróż powrotną.

Nasuada pokręciła głową.

- Co za historia. Tak wiele przeżyliście z Saphirą od waszego wyjazdu z Fardien Duru.

- Podobnie jak ty. - Machnął ręką, wskazując namiot. - Zdumiewające. Wyprowadzenie Vardenów do Surdy wymagało ogromnej pracy. Czy Rada Starszych sprawiała ci kłopoty?

- Odrobinę, ale nic specjalnego. W końcu pogodzili się z moim przywództwem.

Brzęcząc kolczugą, Nasuada usiadła w wielkim fotelu z wysokim oparciem i odwróciła się do Orika, który dotąd milczał. Powitała go i spytała, czy chciałby coś dodać do opowieści Eragona. Krasnolud wzruszył ramionami i powtórzył kilka anegdot z czasu pobytu w Ellesmerze, Eragon jednak podejrzewał, że prawdziwe obserwacje zachował dla swojego króla.

- Rada jestem, słysząc, że jeśli nie zginiemy w tej walce, dołączą do nas elfy - rzekła Nasuada, gdy skończył. - Czy któryś z was widział może podczas lotu z Aberonu żołnierzy Hrothgara? Liczymy na to, że zasilą nasze szeregi.

*Nie* - odparła Saphira poprzez Eragona. *Jednakże było ciemno, a ja często leciałam nad chmurami albo wśród nich. W takich warunkach z łatwością mogłam przeoczyć obóz. Tak czy inaczej, wątpię, byśmy ich mijali. Leciałam prosto z Aberonu, a krasnoludy wędrowałyby raczej inną trasą, zapewne istniejącymi gościńcami; nie maszerowałyby przez głuszę.*

- Jak wygląda sytuacja? - spytał Eragon.

Nasuada westchnęła. Opowiedziała mu o tym, jak wraz z Orrinem dowiedzieli się o armii Galbatorixa, i o rozpaczliwych metodach, do jakich się uciekli, by dotrzeć na Płonące Równiny przed żołnierzami króla.

- Imperium przybyło trzy dni temu - zakończyła. - Od tego czasu dwukrotnie wymieniliśmy posłańców. Najpierw oni zażądali, byśmy się poddali. Odmówiliśmy i czekamy na ich odpowiedź.

- Ilu ich jest? - warknął Orik. - Z grzbietu Saphiry wyglądało, że mnóstwo.

- O tak, oceniamy, że Galbatorix zgromadził tu sto tysięcy żołnierzy - Eragon nie zdołał się pohamować i wykrzyknął:

- Sto tysięcy! Skąd oni się wzięli? Niemożliwe, by znalazł więcej niż garstkę ludzi gotowych mu służyć.

- Zostali zaciągnięci siłą. Możemy tylko liczyć na to, że oderwani od swych domów i rodzin, nie żywią zapału do walki. Jeśli uda nam się ich przerazić, być może złamią szyki i rzucają się do ucieczki. Jest nas więcej niż w Farthen Durze, bo dołączył do nas król Orrin, a odkąd zaczęliśmy rozpuszczać wieści o tobie, Eragonie, zalała nas fala ochotników. Nadal jednak pozostajemy słabsi niż imperium.

Wówczas Saphira zadała najważniejsze, straszliwe pytanie i Eragon musiał je powtórzyć:

- Jak oceniasz nasze szanse na zwycięstwo?

- To - Nasuada położyła nacisk na to słowo - zależy w znacznej mierze od ciebie i Eragona, a także liczby magów, którzy przybyli z wojskiem nieprzyjaciela. Jeśli zdołamy ich odnaleźć i zniszczyć, nasi wrogowie stracą osłonę i bez kłopotu zabijecie ich magią. Wątpię, byśmy zdołali odnieść miażdżące zwycięstwo, możemy jednak utrzymać ich w szachu, póki nie zabraknie im zapasów albo dopóki Islanzadi nie przyjdzie nam z pomocą. To jest... jeśli Galbatorix sam nie dołączy do walki. W takim przypadku lękam się, że pozostanie nam tylko odwrót.

W tym momencie Eragon wyczuł zbliżanie się niezwykłego umysłu. Umysłu, który czuł, że go obserwuje, i nie wycofał się, zrywając kontakt. Umysłu chłodnego i twardego, kalkulującego. Zaniepokojony, zerknął w głąb pawilonu i ujrzał tę samą ciemnowłosą dziewczynkę, którą zobaczył, postrzegając Nasuadę w Ellesmerze. Dziewczynka spojrzała na niego fioletoowymi oczami.

- Witaj, Cieniobójco - powiedziała. - Witaj, Saphiro. Na dźwięk jej głosu - to był głos osoby dorosłej

Eragon zadrżał. Zwilżył zaschnięte wargi.

- Kim jesteś?

Dziewczynka odgarnęła w tył lśniąca czarne włosy, ukazując srebrzystobiałe piętno pośrodku czoła, identyczne jak gedwey ignasia Eragona. Wówczas zrozumiał, kogo widzi. Nikt się nie poruszył, gdy Eragon podszedł do dziewczynki. Smoczyca wyciągnęła szyję, wsuwając głowę w głąb pawilonu. Opadając na kolano, Eragon ujął prawą dłoń małej. Jej skóra płonęła w gorączce. Nie stawiała oporu, pozwalając mu przytrzymać bezwładną rękę. Przemówił do niej Pradawnej mowie, a także umysłem, by go dobrze rozumiała.

- Tak mi przykro. Czy możesz wybaczyć mi to, co ci zrobiłem?

Wzrok dziewczynki złagodniał. Pochyliła się i ucałowała Eragona w czoło.

- Wybaczam ci - szepnęła; po raz pierwszy jej głos pasował do wieku. - Jak mogłam nie wybaczyć? Wraz z Saphirą stworzyliście mnie taką, jaką jestem i wiem, że nie mieliście złych zamiarów. Wybaczam ci, pozwolę jednak, by ta wiedza dręczyła twoje sumienie: skazałeś mnie na wyczuwanie otaczającego mnie cierpienia. Twoje zaklęcie nawet teraz każe mi biec na pomoc człowiekowi trzy namioty dalej, który właśnie skaleczył się w rękę, pomóc młodemu chorążemu, który złamał lewy palec wskazujący o szprychy wozu, a także dziesiątkom innych, którzy zostali bądź zostaną ranni. Wiele kosztuje mnie opieranie się tym pragnieniom, jeszcze więcej, gdy

świadomie sprawiam komuś ból, tak jak teraz, kiedy to mówię. Siła zaklęcia nie pozwala mi nawet sypiać nocami. To twoje dziedzictwo, o Jeźdźcze. - W jej głosie znów zabrzmiała gorzka, drwiąca nuta.

Saphira wsunęła się między nich i końcem pyska dotknęła piętna dziewczynki.

*Spokojnie, odmieńcze. Masz w sercu wiele gniewu.*

- Nie musisz wiecznie tak żyć - rzekł Eragon. - Elfy nauczyły mnie jak zdjąć zaklęcie i wierzę, że zdołam uwolnić cię od tej klątwy. Nie będzie to łatwe, ale wykonalne.

Przez moment wydawało się, że dziewczynka straciła panowanie nad sobą. Z jej ust uleciało ciche westchnienie, ręka w dłoni Eragona zdrząła, a w oczach zalśniły łzy. Potem równie szybko ukryła prawdziwe emocje pod maską cynicznego rozbawienia.

- No cóż, zobaczymy. Tak czy inaczej, nie powinieneś próbować, dopóki nie zakończy się bitwa.

- Mógłbym oszczędzić ci wielkiego bólu.

- Nie możesz marnować sił, skoro nasze przetrwanie może zależeć od twych talentów. Nie oszukuję się, jesteś znacznie ważniejszy ode mnie. - Jej twarz rozjaśnił przebiegły uśmiech. - Poza tym, jeśli teraz zdejmiesz ze mnie zaklęcie, nie zdołam pomóc Vardenom, gdy coś im zagrozi. Nie chciałbyś, żeby Nasuada zginęła z tego powodu, prawda?

- Nie - przyznał Eragon.

Długą chwilę milczał, pogrążony w myślach.

- Zgoda, zaczekam, ale przysięgam ci: jeśli zwyciężymy w walce, naprawię tę krzywdę.

Dziewczynka przekrzywiła głowę.

- Trzymam cię za słowo, Jeźdźcze.

Nasuada podniosła się ze swego krzesła.

- To Elva ocaliła mnie przed zabójcą w Aberonie.

- Naprawdę? W takim razie jestem twoim dłużnikiem, Elvo, bo uratowałaś moją suwerenkę.

- Chodźcie - poleciła Nasuada - muszę przedstawić waszą trójkę Orrinowi i jego dworzanom. Spotkałeś już kiedyś króla, Oriku?

Krasnolud pokręcił głową.

- Nigdy nie zapuszczałem się tak daleko na zachód. Gdy wychodzili z pawilonu - Nasuada na przedzie z Elwą u boku - Eragon próbował ustawić się tak, by móc porozmawiać z Aryą. Kiedy jednak się do niej zbliżył, elfka przyspieszyła kroku, aż w końcu zrównała się z przywódczynią Vardenów. Idąc, ani razu nie spojrzała na niego, i fakt ten sprawił mu większy ból niż jakakolwiek rana fizyczna. Elva obejrzała się przez ramię i Eragon wiedział, że wyczuwała jego cierpienie. Wkrótce dotarli do kolejnego dużego pawilonu, tym razem żółto-białego - choć jaskrawopomarańczowe światło zalewające wszystko na Płonących Równinach sprawiało, że trudno było określić dokładnie kolory tkaniny. Kiedy znaleźli się w środku, Eragon ze zdumieniem ujrzał, że namiot wypełnia ekscentryczna kolekcja kolb, retort, alembików i innych instrumentów filozofii naturalnej. Kto zawracałby sobie głowę ciągnięciem tego wszystkiego na pole bitwy? - zastanawiał się oszołomiony.

- Eragonie - powiedziała Nasuada - chciałabym, żebyś poznał Orrina, syna Larkina i władcę królestwa Surdy.

Spomiędzy stosu szklanych naczyń wyłonił się dość wysoki, przystojny mężczyzna o sięgających ramion włosach podtrzymywanych przez wąską złotą koronę. Jego umysł, podobnie jak umysł Nasuady, krył się za żelaznymi murami. Bez wątplenia przeszedł doskonale szkolenie. Po chwili rozmowy Eragon uznał, że Orrin to miły człowiek, choć nieco niedoświadczony, jeśli chodzi o dowodzenie ludźmi na wojnie, i dość osobliwy. Udzieliwszy mniej lub bardziej wymijających odpowiedzi na dziesiątki pytań dotyczących szkolenia elfów, którymi zasypał go Orrin, Eragon odkrył, że uśmiecha się i przytakuje uprzejmie, witając kolejnych paradyjących przed nim hrabiów i baronów, z których każdy upierał się, by uścisnąć mu dłoń, oświadczyć, jakim zaszczytem jest dla niego spotkanie z Jeźdźcem, i zaprosić go do swego majątku. Eragon pilnie zapamiętywał ich liczne imiona i tytuły - wiedział, że Oromis by tego oczekiwał - i starał się usilnie zachować uprzejmą minę, mimo narastającej irytacji.

Czeka nas bitwa zjedna z największych armii w historii, a ja stoję tu, wymieniając uprzejmości.

Cierpliwości - poradziła Saphira - nie zostało ich już wielu. Poza tym spójrz na to z innej strony: jeśli zwyciężymy, to biorąc pod uwagę wszystkie te obietnice, przez najbliższy rok oni będą nas karmić.

Z trudem powstrzymał chichot.

Myślę, że informacja, ile potrafisz zjeść, wstrząsnęłoby nawet najbogatszymi z nich, nie mówiąc o tym, że w jedną noc zdołałbyś opróżnić ich piwnice.

Nieprawda.

Smoczyca pociągnęła nosem, po czym przyznała.

No może w dwie noce.

Gdy w końcu zdołali uwolnić się z pawilonu Orrina, Eragon zwrócił się do Nasuady.

- Co mam teraz robić? Jak ci służyć?

Nasuada przyjrzała mu się z osobliwą miną.

- A jak według ciebie możesz mi służyć, Eragonie? Znasz swoje umiejętności znacznie lepiej ode mnie.

Nawet Arya obserwowała go uważnie.

Eragon spojrział w krwawe niebo, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Obejmę dowództwo nad Du Vrangr Gata, tak jak mnie kiedyś prosili, i poprowadzę ich do bitwy. Działając wspólnie, będziemy mieli większą szansę unieszkodliwienia magów Galbatorixa.

- Świetny pomysł.

Czy jest jakieś miejsce- spytała Saphira - gdzie Eragon mógłby zostawić swoje juki? Nie chce ich nosić, ani tego siodła, dłużej niż to konieczne.

- Oczywiście - odparła Nasuada, kiedy Eragon powtórzył pytanie smoczy. - tymczasem możesz zostawić je w moim pawilonie, a ja każę rozbić specjalny namiot, gdzie będziesz mógł przechowywać swe rzeczy. Proponuję jednak, żebyście przed rozstaniem z nami wdziali zbroje, bo możecie ich potrzebować w każdej chwili. To mi przypomina, że mam ze sobą twoją zbroję, Saphiro. Każę ją rozpakować i przynieść.

- A co ze mną, pani? - spytał Orik.

- Jest z nami kilkunastu knurlan z Durgrimst Ingeitum, którzy użyczyli nam fachowej pomocy przy wznoszeniu ziemnych umocnień. Jeśli chcesz, możesz objąć nad nimi dowództwo.

Orika wyraźnie ucieszyła perspektywa spotkania z innymi krasnoludami, zwłaszcza członkami własnego klanu. Uderzył się pięścią w pierś.

- Tak też uczynię. Jeśli pozwolisz, pójdę do nich natychmiast.

Nie oglądając się za siebie, pomaszerował przez obóz, zмирzając na północ, w stronę umocnień.

Nasuada wróciła do pawilonu z pozostałą czwórką.

- Zamelduj się u mnie, gdy tylko załatwisz sprawę z Du Vrangr Gata - poleciła Eragonowi. a potem uniosła kłapę i zniknęła w mroku wraz z Elwą.

Kiedy Arya ruszyła za nimi, Eragon sięgnął ku niej.

- Zaczekaj - rzekł w pradawnej mowie.

Elfka zatrzymała się i spojrziała na niego, jej twarz nie zdradzała niczego. Eragon nie odwrócił wzroku. Patrzył głęboko w oczy Aryi, odbijające otaczające ich dziwne światło.

- Nie będę przepraszał za to, co do ciebie czuję, chcę jednak, byś wiedziała, że przykro mi z powodu mojego zachowania podczas Święta Przysięgi Krwi. Tej nocy nie byłem sobą, w przeciwnym razie nigdy nic zachowałbym się tak bezceremonialnie.

- Nie zrobisz tego ponownie?

Zduśił pozbawiony wesołości śmiech, - I tak nic by mi to nie dało, prawda? - Gdy nie odpowiedziała, dodał: - Nieważne. Nie chcę cię niepokoić, nawet jeśli... - Umilkł szybko, by nie powiedzieć czegoś, czego mógłby pożałować.

Twarc Aryi złagodniała.

- Nie próbuję cię zranić, Eragonie. Musisz to zrozumieć.

- Rozumiem - rzekł bez przekonania.

I znów zapadła niezręczna cisza.

- Mam nadzieję, że lot minął spokojnie?

- Owszem, bez przeszkód.

- Nie natknęliście się na nic na pustyni?

- A powinniśmy?

- Nie, zastanawiałam się tylko... - Urwała i po chwili zapytała już łagodniejszym głosem: -

A co z tobą, Eragonie? Jak się miewasz od czasu Święta? Słyszałam, co mówiłeś Nasuadzie, nie wspomniałeś jednak o niczym prócz pleców.

- Ja... - Zamierzał skłamać, nie chcąc, by wiedziała, jak bardzo za nią tęsknił, lecz pradawna mowa uwięziła słowa w jego ustach, odbierając głos. W końcu uciekł się do techniki elfów, zdradzając jedynie część prawdy, po to by stworzyć wrażenie przeciwne do rzeczywistego stanu rzeczy. - Miewam się lepiej niż wcześniej - rzekł, myśląc o stanie swych pleców.

Mimo tego podstęp Arya nie wyglądała na przekonaną. Nie naciskała jednak.

- Cieszę się - rzekła.

Z pawilonu dobiegł ich głos Nasuady. Arya zerknęła w tamtą stronę, po czym znów spojrzała na niego.

- Jestem potrzebna gdzie indziej, Eragonie... oboje jesteśmy potrzebni gdzie indziej. Wkrótce zacznie się bitwa. - Unosząc płócienną klapę, weszła do mrocznego namiotu, ale w ostatniej chwili się zawahała. - Uważaj na siebie. Eragonie Cieniobójco.

A potem zniknęła.

Rozpacz unieruchomiła Eragona. Osiągnął to, co zamierzał, ale najwyraźniej niczego to nie zmieniło w jego stosunkach z Aryą. Zaciśnął pięści i zgarbił się, wbijając wściekły wzrok w ziemię. Dosłownie kipiał ze złości.

Wzdrygnął się mocno, gdy Saphira szturchnęła go w ramię.

*Chodź, mój mały* - rzekła łagodnie - *nie możesz zostać tu na wieczność, a skóra pod siodłem zaczyna mnie swędzieć.*

Eragon podszedł do niej i pociągnął okalający szyję pas, przeklinając pod nosem, gdy zacięła się sprzączka. Niemal miał nadzieję, że rzemień pęknie. Odplątując kolejne, pozwolił, by siodło, wraz ze wszystkim, co do niego przywiązał, runęło na ziemię.

*Dobrze jest to zdjąć.*

Saphira poruszyła potężnym grzbietem.

Wyciągając z worków zbroję, szybko przywdział barwny strój wojenny. Najpierw na elficką tunikę naciągnął kolczugę, potem przypiął do nóg zdobione nagolenniki, a do przedramion inkrustowane karwasze. Na głowę powędrowała wyściełana skórzana czapka, za nią kaptur z misiurki i wreszcie srebrnozłoty hełm. Na koniec zastąpił zwykłe rękawice okutymi metalem.

Zar'roca powiesił sobie na biodrze, na pasie Belotha Mądrego, na plecy zarzucił kołczan z biało upierzonymi strzałami, które podarowała mu Islanzadi. Z radością odkrył, że w kołczanie mieści się też wyśpiewany przez królową łuk z już założoną cięciwą.

Złożywszy rzeczy swoje i Orika w pawilonie, Eragon i Saphira wyruszyli na poszukiwania Trianny, obecnej przywódczyni Du Vrangr Gata. Zdołali jednak zrobić zaledwie kilka kroków, gdy Eragon wyczuł w pobliżu osłonięty umysł. Zakładając, że to jeden z magów Vardenów, skręcili ku niemu.

Dwanaście jardów dalej natknęli się na niewielki szary namiot, przed którym czekał spętany osioł. Po lewej stronie namiotu, na metalowym trójnogu ustawionym nad jednym z cuchnących ziemnych płomieni, wisiał poczerniały żelazny kocioł. Nad nim przeciągnięto sznurki, na których wisiały pęki wilczej jagody, cykuty, rododendronu, jałowca, kory cisu, a także najróżniejsze grzyby, od śmierciokapa po kortek nakrapiany. Eragon rozpoznał trucizny, o których opowiadał mu na lekcjach Oromis A obok kociołka, mieszając zawartość długą drewnianą łopatką, stała zielarka Angela. U jej stóp siedział Solembum.

Kotołak miauknął żałośnie i Angela oderwała wzrok od wywaru. Sprężynki włosów unoszące się wokół jej głowy przypominały gradową chmurę. Zmarszczyła brwi i jej lśniąca twarz, oświetlona od lotu migotliwym zielonym płomieniem, przybrała upiorny wyraz.

- A zatem wróciliście?

- Wróciliśmy - przytaknął Eragon.

- Tylko tyle masz do powiedzenia? Widziałeś już Elwę? Widziałeś, co zrobiłeś tej biednej dziewczynie?

- Tak.

- Tak?! - wykrzyknęła Angela. - Cóż za oszczędność w słowach. Po trwających tyle czasu naukach u elfów z Ellesmery stać cię tylko na „tak”? Powiem ci coś durniu. Każdy, kto uczyniłby coś równie głupiego, zasługuje na...

Eragon splótł ręce za plecami, czekając cierpliwie, gdy tymczasem Angela używając niezwykle barwnych, szczegółowych i pomysłowych określeń informowała go, jakim dokładnie jest durniem, jakich musiał mieć przodków, by okazać się równie ogromnym durniem - posunęła się nawet do tego, by insynuować, że jeden z jego dziadków musiał sparzyć się z Urgalem - a także opisywała przerażające kary, jakie powinien ponieść za swoją głupotę. Gdyby ktokolwiek inny obraził go w ten sposób, Eragon wyzwałby go na pojedynek. Zniósł jednak bez słowa skargi i wyzwiska zielarki, bo wiedział, że nie może oceniać jej zachowania wedle tej samej miary co pozostałych, i ponieważ zdawał sobie sprawę, że zasłużył sobie na podobne oburzenie. Popęłił straszliwy błąd.

- Masz zupełną rację - wtrącił, gdy urwała, by zaczerpnąć tchu - i po rozstrzygnięciu bitwy postaram się zdjąć ten czar.

Angela zamrugła trzykrotnie, bardzo szybko. Przez chwilę otwierała usta ze zdumienia, w końcu zacisnęła je mocno.

- Nie mówisz tego tylko po to, żeby mnie ugłaskać, prawda? - spytała podejrzliwie.

- Nigdy bym tego nie zrobił.

- I naprawdę zamierzasz zdjąć tę klątwę? Sądziłam, że coś takiego jest niemożliwe.

- Elfy odkryły wiele zastosowań magii.

- Ach... w takim razie to ustalone. - Uśmiechnęła się do niego szeroko, a potem podeszła do Saphiry i poklepała ją po policzku. - Dobrze cię znów widzieć, Saphiro. Urosłaś.

*Mnie także jest miło, Angelo.*

- Wygłosiłaś bardzo imponującą tyradę - zauważył Eragon, gdy Angela znów zaczęła mieszać w kociołku.

- Dziękuję. Pracowałem nad nią przez kilka tygodni. Szkoda, że nie wysłuchałeś zakończenia, jest naprawdę niezapomniane. Jeśli chcesz, mogę dokończyć.

- Nie, dziękuję, potrafię sobie wyobrazić. - Zerkając na nią kątem oka, zauważył: - Nie wyglądasz na zaskoczoną moją przemianą.

Zielarka wzruszyła ramionami.

- Mam swoje źródła informacji. Według mnie to spora poprawa. Przedtem byłeś taki... jakby to ująć... nie wykończony.

- Istotnie. - Wskazał gestem wiszące na sznurkach rośliny. - Co zamierzasz z nimi zrobić?

- To taki mój drobny projekt. Doświadczenie, jeśli wolisz.

Eragon przyjrzał się z podziwem barwom dyndającego tuż przed nim kapelusza ususzonego grzyba.

- Udało ci się w końcu ustalić, czy ropuchy istnieją?

- Prawdę mówiąc, tak! Wygląda na to, że wszystkie ropuchy to żaby ale nie wszystkie żaby są ropuchami. Zatem w tym sensie ropuchy tak naprawdę nie istnieją, co oznacza, że od początku miałam rację. - Urwała gwałtownie, sięgnęła w bok, złapała stojący na pobliskiej ławie kubek i wręczyła Eragonowi. - Proszę, napij się herbaty.

Eragon zerknął na otaczające ich śmiercionośne rośliny, a potem na szczerą twarz Angeli i przyjął kubek. Zniżając głos, tak by zielarka nie zauważyła, wymamrotał pod nosem trzy zaklęcia

wykrywając truciznę. Dopiero gdy się upewnił, że herbata jest nieszkodliwa, ośmielił się pociągnąć łyk. Była przepyszna, choć nie potrafił rozpoznać składników.

W tym momencie Solembum podszedł do Saphiry i wyginając grzbiet, zaczął ocierać się o jej nogę, zupełnie jak najzwyczajniejszy kot.

Saphira wygięła szyję, pochyliła się i pogładziła go po grzbiecie czubkiem nosa. *Spotkałam w Ellesmerze kogoś, kto cię znał* - rzekła.

Solembum zamarł, przekrzywiając głowę.

*Naprawdę?*

*Tak. Na imię miała Szybkołapa, Tancerka Snu, a także Maud.*

Złote oczy Solembuma rozszerzyły się gwałtownie, z jego piersi dobiegło głębokie, gardłowe mruczenie. Z nowym entuzjazmem powrócił do ocierania się o Saphirę.

- A zatem - rzekła Angela - zakładam, że rozmawiałeś już z Nasuadą. Aryą i królem Orrinem. I co myślisz o poczciwym Orrinie?

Eragon starannie dobrał słowa, wiedział bowiem, że rozmawiają o królu.

- Cóż... jak się zdaje, ma wiele różnych zainteresowań.

- Owszem, jest zbzikowany jak nawiedzony błazen w noc letniego przesilenia. Ale też każdy taki jest na swój sposób.

- Musi być szaleńcem - odparł Eragon, rozbawiony jej otwartością - skoro przywiózł z Aberonu mnóstwo szkła.

Angela uniosła brwi.

- O czym ty mówisz?

- Nie widziałaś wnętrza jego namiotu?

- W odróżnieniu od niektórych - prychnęła - nie zadaję się z każdym napotkanym monarchą.

Opisał jej zatem niezliczone instrumenty, które Orrin przywiózł ze sobą na płonące Równiny. Zasluchana Angela przerwała mieszanie; wyglądała na szczerze zainteresowaną. Gdy tylko skończył, zaczęła krzątać się wokół kotła, zbierając ze sznurków rośliny - często za pomocą szczypiec.

- Chyba złożę Orrinowi wizytę. Wy dwoje możecie opowiedzieć mi o swej wyprawie do Ellesmery później. No już, znikajcie stąd.

Eragon pokręcił głową, patrząc, jak ta drobna kobieta przegania ich z Saphirą sprzed swego namiotu. Wciąż trzymał w dłoni kubek z herbatą.

*Rozmowy z nią są zawsze...*

*Inne?* - podsunęła Saphira.

*Właśnie.*

## *Chmury wojny*

Odnalezienie namiotu Trianny, w którym mieściła się nieoficjalna kwatera główna Du Vrangr Gata, zabrało im niemal pół godziny. Potrzebowali aż tyle czasu, bo nieliczni ludzie wiedzieli o istnieniu namiotu, a jeszcze mniej liczni potrafili opisać gdzie stoi. Tkwił ukryty za skalną iglicą, kryjącą go przed wzrokiem wrogich magów z obozu Galbatorixa.

Gdy Eragon i Saphira zbliżyli się do czarnego namiotu, jego kłapa uniosła się gwałtownie i na zewnątrz wymaszerowała Trianna, unosząc w obronnym geście odsłonięte przedramiona. Za jej plecami tłoczyła się grupka zdeterminowanych, choć przerażonych czarodziejów. Wielu z nich Eragon pamiętał z bitwy o Farthen Dur - walczyli wówczas bądź leczyli rannych.

Obserwował teraz, jak Trianna i pozostali reagują, ze znajomym już zaskoczeniem, na jego odmieniony wygląd.

- Cieniobójco, Saphiro - powitała ich czarodziejka, opuszczając ręce. - Powinniście byli uprzedzić nas wcześniej, że tu jesteście. Szykowaliśmy się do spotkania i walki z kimś, kogo wzięliśmy za potężnego przeciwnika.

- Nie chciałem was zaniepokoić - odparł Eragon - ale najpierw musieliśmy zameldować się u Nasuady i króla Orrina.

- A czemu teraz zawdzięczamy twoją wizytę? Wcześniej nigdy nas nie odwiedzałeś, mimo że jesteśmy ci bliżsi niż pozostali Vardeni.

- Przybyłem, by objąć przywództwo Du Vrangr Gata.

Zebrani magowie zaczęli szeptać między sobą, wyraźnie zaskoczeni, Trianna zeszywniała. Eragon poczuł, jak kilku z nich usiłuje wniknąć w jego świadomość i odczytać prawdziwe zamiary. Zamiast się strzec – co oślepiłoby go na nadchodzące ataki - odpowiedział czynnie, uderzając umysły niedoszłych napastników dość mocno, by wycofali się za własne bariery. Gdy to uczynił, z satysfakcją zauważył, że dwaj mężczyźni i kobieta wzdrygnęli się i odwrócili wzrok.

- Na czyj rozkaz? - spytała ostro Trianna.

- Nasuady.

- Ach. - Czarodziejka uśmiechnęła się triumfalnie. - Ale Nasuada nie ma nad nami bezpośredniej władzy. Pomagamy Vardenom z własnej, nieprzymuszonej woli.

Jej opór zaskoczył Eragona.

- Jestem pewien, że Nasuadę zdziwią te słowa, po wszystkim co ona i jej ojciec zrobili dla Du Vrangr Gata. Być może odniesie wrażenie, że nic potrzebujecie już dłużej wsparcia i ochrony Vardenów. - Pozwolił, by groźba na chwilę zawisała w powietrzu. - Poza tym, z tego co pamiętam, wcześniej sami chcieliście oddać mi to stanowisko. Czemu nie teraz?

Trianna uniosła brwi.

- Odrzuciłeś moją ofertę, Cieniobójco. A może zapomniałeś?

Mimo jej opanowania Eragon wyczuł w odpowiedzi czarodziejki nutę defensywną, jakby wiedziała, że tak naprawdę nie dysponuje przekonującymi argumentami. Wydała mu się dojrzała niż wówczas, gdy spotkali się po raz ostatni. Wspomniawszy trudy, jakie musiała znieść od tego czasu: marsz przez Alagaesję do Surdy, kierowanie magami z Du Vrangr Gata, przygotowania wojenne.

- Wówczas nie mogliśmy się zgodzić. To nie był właściwy moment.

- Czemu Nasuada uważa, że powinniście nam rozkazywać? - spytała, nagle zmieniając temat. - Z pewnością bardziej przydadacie się z Saphirą gdzie indziej.

- Nasuada chce, bym pokierował wami, Du Vrangr Gata, w nadchodzącej bitwie, i tak też uczynię. - Eragon uznał, że lepiej będzie nie wspominać, że to on wpadł na ten pomysł.

Twarz Trianny skrzywiła się w groźnym grymasie. Czarodziejka wskazała ręką gromadkę zebranych za nią magów.

- Poświeciliśmy całe swe życie studiowaniu sztuki, ty rzucasz zaklęcia od zaledwie dwóch lat. Czemu miałbyś lepiej nadawać się do tego zadania niż ktokolwiek z nas? Zresztą nieważne. Powiedz mi, jaka jest twoja strategia, jak zamierzasz nas użyć?



- Mój plan jest prosty - powiedział. - Złączycie ze sobą umysły, szukając magów wroga. Gdy znajdziecie jakiegoś, dołączę do was i razem przełamiemy jego obronę. Wówczas będziemy mogli zabić żołnierzy, których osłaniały jego bariery.

- A co będziesz robił przez resztę czasu?

- Walczył u boku Saphiry.

Zapadła niezręczna cisza. W końcu jeden z mężczyzn stojących Trianna przemówił cicho.

- To dobry plan. - Skulił się, gdy czarodziejka posłała mu nieprzychylnie spojrzenie.

Powoli obróciła się do Eragona.

- Od śmierci Bliźniaków kierowałam Du Vrangr Gata. Pod moim przywództwem zapewnili Vardenom środki na przygotowania do wojny, wyszukali członków Czarnej Ręki - sieci szpiegów Galbatorixa, która próbowała zabić Nasuadę - a także służyli Vardenom na inne niezliczone sposoby. Nie przechwalałam się, mówiąc, że to spore osiągnięcia. Jestem też pewna, że mogę nadal przeprowadzić im z dobrym skutkiem. Czemu zatem Nasuada chce mnie usunąć? W czym ją zawiodłam?

Nagle Eragon wszystko zrozumiał.

*Trianna przywykła do władzy, nie chce jej oddawać. Co więcej, uważa, że moje zastępstwo stanowi krytykę jej przywództwa.*

*Musisz rozwiązać ten problem, i to szybko* - odparła Saphira. *Zaczyna brakować nam czasu.*

Eragon zaczął gorączkowo szukać sposobu zapanowania nad Du Vrangr Gata, tak by nie uczynić z Trianny wroga.

- Nie przybyłem tu, by szukać kłopotów - rzekł w końcu. - Przybyłem prosić was o pomoc. - Mówił do całej grupy, lecz patrzył wyłącznie na czarodziejkę. - Owszem, jestem silny, wraz z Saphirą zdołalibyśmy zapewne pokonać wiele magicznych sług Galbatorixa, ale nie zdołamy ochronić wszystkich Vardenów. Nie możemy być wszędzie naraz. A jeśli magowie imperium złączą swe siły przeciwko nam, czeka nas ciężka przeprawa i nie możemy stanąć do niej sami. Masz rację, Trianno, dobrze się spisałaś z Du Vrangr Gata i nie chcę wcale odbierać ci władzy. Po prostu jako mag muszę współpracować z Du Vrangr Gata, a jako Jeździec muszę czasem wydać wam rozkazy i wiedzieć, że zostaną natychmiast wykonane. Trzeba ustalić hierarchię dowodzenia. Nie oznacza to, że nie zachowacie większej części swej autonomii. Zazwyczaj będę zbyt zajęty, by poświęcać uwagę Du Vrangr Gata. W żadnym razie też nie zignoruję twej opinii, bo wiem, że masz ogromne doświadczenie. Pytam zatem ponownie: Czy pomożesz mi dla dobra Vardenów?

Trianna zawahała się, po czym skłoniła głowę.

- Oczywiście, Cieniołójco. Dla dobra Vardenów. Zaszczycisz nas, obejmując dowództwo nad Du Vrangr Gata.

- Zaczynamy więc.

Przez kilka następnych godzin Eragon rozmawiał z każdym z zebranych magów, spora grupa jednak była nieobecna, gdyż na różne sposoby udzielała pomocy Vardenom. Starał się jak najlepiej poznać ich umiejętności magiczne. Dowiedział się, że większość mężczyzn i kobiet z Du Vrangr Gata poznała początki sztuki dzięki krewnym i zwykle w najgłębszym sekrecie, by uniknąć zwrócenia uwagi tych, którzy lękali się magii i oczywiście samego Galbatorixa. Zaledwie garstka przeszła prawdziwe przeszkolenie. W rezultacie większość magików niemal nie znała prądowej mowy, nikt z nich nie władał nią płynnie. Na ich poglądy co do magii często wpływały wierzenia religijne, nie znali także licznych zastosowań gramarye.

*Nic dziwnego, że Bliźniacy tak rozpaczliwie próbowali wydobyć z ciebie twój zasób słów w prądowej mowie, gdy poddali cię próbie w Farthen Durze - zauważyła Saphira. Dzięki nim mogli z łatwością pokonać słabszych od siebie magów. Nie mamy jednak nikogo lepszego. To prawda. Chyba teraz widzisz, że miałam rację co do Trianny? Swe własne pragnienia stawia wyżej niż dobro wielu.*

*Miałaś rację* - zgodził się. *Ale nie potępiam jej za to. Trianna radzi sobie ze światem najlepiej jak potrafi. Rozumiem to, choć nie aprobuję. A zrozumienie jak mawiał Oromis, rodzi współczucie.*

Trochę więcej niż jedna trzecia magów specjalizowała się w uzdrawianiu. Tych Eragon odesłał, przekazując im najpierw pięć nowych zaklęć, których mieli się nauczyć, pozwalających leczyć najrozmaitsze rany. Pozostałych zorganizował tak, by ustalić jasno hierarchię. Trianne mianował swą zastępczynią i pozwolił, by to ona pilnowała wypełnienia jego rozkazów. Usiłował też pogodzić najróżniejsze osobowości tak, by stworzyć jeden sprawny oddział. Odkrył wkrótce, że próby przekonania magów do współpracy są równie beznadziejne jak próby zmuszenia stada psów, by podzieliły się jedną kością. Fakt, że wszyscy bez wyjątku żywili wobec niego nabożny podziw, nie ułatwiał sprawy, bo Eragon w żaden sposób nie potrafił wykorzystać swego wpływu dla dobra całej grupy.

By lepiej zorientować się co do zakresu umiejętności Du Vrangr Gata, kazał im rzucać serie zaklęć. Patrząc, jak zmagają się z czarami, które obecnie uważał za proste, po raz pierwszy pojął, jakie on sam poczynił postępy.

*I pomyśleć-* rzekł do Saphiry - *że kiedyś miałem problem z podniesieniem kamyka.*

*I pomyśleć-* odparła - *że Galbatorix mógł przez ponad sto lat w spokoju szlifować swe umiejętności.*

Słońce zniżało się ku zachodowi i jego blask gasł, sprawiając, że panujący niepodzielnie wokół odcień zgnitego oranżu nabrał jeszcze intensywności, aż w końcu obóz Vardenów, wezbrana rzeka Jiet i całe Płonące Równiny zaczęły lśnić chorym, oślepiającym blaskiem. Wyglądało to jak scena ze snu szaleńca. Czerwona tarcza wisiała już zaledwie o szerokość palca nad horyzontem, gdy w namiocie pojawił się posłaniec. Poinformował Eragona, że Nasuada rozkazuje mu natychmiast stawić się u niej.

- I lepiej się pośpiesz, Cieniobójco, jeśli wybaczysz mi tę uwagę.

Otrzymawszy od członków Du Vrangr Gata obietnicę, że będą gotowi na jego wezwanie, Eragon, mijając rzędy szarych namiotów, pobiegł z Saphirą w stronę pawilonu Nasuady. Nagle z góry dobiegł go szum i zgiełk. Oderwał wzrok od zdradzieckiej ziemi, zerkając w niebo.

Ujrzał olbrzymią chmurę ptaków kołujących pomiędzy dwiema armiami. Dostrzegł wśród nich orły, sokoły i jastrzębie, a także niezliczone żarłoczne wrony i ich większych, groźniejszych, połyskujących czernią kuzynów - drapieżne kruki. Każdy z ptaków wrzeszczał i skrzeczał, złacony krwią i świeżego mięsa - krwią, która zwilży mu gardło, mięsa, by napełnić pusty brzuch i zaspokoić głód. Doświadczenie i instynkt podpowiadały im, że gdy w Alagaesii pojawia się wojsko, mogą oczekiwać uczty wśród trupów.

*Zbierają się chmury wojny* - pomyślał Eragon.

## Nar Garzhvog

Wszedł do pawilonu, a tuż za nim Saphira wsunęła głowę do środka. Powitał go zgrzyt stali, gdy Jórmundur i pół tuzina dowódców Nasuady dobyli mieczy na widok intruzów.

- Chodź tu, Eragonie - poleciała Nasuada i mężczyźni opuścili broń.

- Czemu mnie wezwałaś?

- Nasi zwiadowcy donoszą, że na północnym wschodzie pojawił się oddział kilkuset Kullów.

Eragon zmarszczył brwi. Nie spodziewał się natknąć w tej bitwie na urgale, bo Durzą już nad nimi nie panował, a w Farthen Durze zginęło ich mnóstwo. Skoro jednak przybyły, to przybyły. Poczul, jak wzbiera w nim żądza krwi, i pozwolił sobie na drapieżny uśmiech, widząc oczyma wyobraźni, jak dzięki nowo nabytej sile zabija setki potworów. Zaciśnął dłoń na rękojeści Zar'roca.

- Z przyjemnością je wyeliminuję. Jeśli chcesz, załatwimy to sami z Saphirą.

Nasuada uważnie obserwowała jego twarz.

- Nie możemy tego zrobić, Eragonie. Podnieśli białą flagę i chcą ze mną rozmawiać.

Eragon sapnął zdumiony.

- Nie zamierzasz chyba udzielić im audiencji?

- Potraktuję ich tak samo jak każdego wroga, który pragnie pertraktować.

- Ależ to zwierzęta, potwory! Wpuszczenie ich do obozu byłoby szaleństwem. Nasuado, widziałem do jakich potworności są zdolne urgale. Rozkoszują się bólem i cierpieniem. Nie zasługują na litość większą niżli wściekły pies. Nie ma sensu, byś traciła czas na tak oczywistą pułapkę. Powiedz tylko słowo, a każdy z twoich ludzi z radością zabije dla ciebie te ohydne stwory.

- Zgadzam się z Eragonem - wtrącił Jórmundur. - Skoro nas nie chcesz wysłuchać, Nasuado, wysłuchaj przynajmniej jego.

- Widzę, że naprawdę nie dokończyłaś szkolenia, skoro potrafisz być tak ślepy - mruknęła cicho do Eragona Nasuada, tak by nikt inny jej nie usłyszał. Następnie podniosła głos, w którym zadźwięczał ten sam stalowy, rozkazujący ton, jak kiedyś u jej ojca. - Zapominacie wszyscy, że ja także walczyłam pod Farthen Durem, tak samo jak wy i widziałam, co potrafią urgale. Jednakże widziałam też, jak nasi ludzie popełniają czyny równie potworne. Nie zamierzam lekceważyć tego co wycierpieliśmy z rąk urgali, ale też nie będę ignorować potencjalnych sojuszników, gdy imperium ma nad nami tak wielką przewagę liczebną.

- Pani, to zbyt niebezpieczne. Nie możesz spotykać się z Kullem.

- Zbyt niebezpieczne? - Nasuada uniosła brwi. - Gdy chroni mnie Eragon, Saphira, Elva i wszyscy wojownicy? Raczej nie.

Eragon zazgrzytał zębami z bezradną złością.

*Powiedz coś, Saphiro. Możesz ją przekonać, by porzuciła ten obłąkańczy plan.*

*Ale tego nie zrobię. W tej kwestii nie myślisz jasno.*

*Nie zgadzasz się z nią chyba?!- wykrzyknął z oburzeniem Eragon. Byłaś ze mną w Yazuac, wiesz co urgale zrobiły z wieśniakami. A to, co się stało po opuszczeniu Teirmu, pojmanie mnie w Gileadzie, Farthen Dur. Za każdym razem, gdy spotykaliśmy się z urgalami, próbowały nas zabić. To zwykle wściekle zwierzęta!*

*Elfy myślały to samo o smokach podczas Du Fyrn Skulblaka.*

Na rozkaz Nasuady jej strażnicy unieśli przednie i boczne ścianki pawilonu i przywiązali je na górze, odsłaniając wnętrze i pozwalając, by Saphira przycupnęła obok Eragona. Wówczas przywódczyni Vardenów usiadła w wysokim fotelu, Jórmundur i pozostali dowódcy ustawili się w dwóch równoległych szeregach, tak by każdy przybywający na audiencję musiał przejść między nimi. Eragon stał po jej prawicy, Elva po lewicy.

W niecałe pięć minut później ze wschodniej części obozowiska dobiegły ich wściekłe ryki. Burza wrzasków i wywisk stawała się coraz głośniejsza aż w końcu ujrzeli samotnego Kulla, maszerującego ku Nasuadzie.

Tłum Vardenów obsypywał go obelgami. Urgal - czy też byk; Eragon przypomniał sobie, że tak właśnie je nazywano - wysoko unosił głowę, odsłaniając żółte kły, poza tym jednak nie reagował na docinki tłumu. Był wspaniałym okazem swego gatunku: miał osiem i pół stopy wysokości, silne, dumne choć groteskowe rysy, grube, spiralne rogi wznoszące się po obu stronach głowy i fantastyczne mięśnie, sprawiające, iż można było uwierzyć, że jednym uderzeniem pięści potrafi zabić niedźwiedzia.

Był ubrany wyłącznie w przepaskę biodrową i kilka metalowych płyt tworzących prymitywną zbroję połączoną strzypami kolczugi. Czubek głowy między rogami chronił wygięty, metalowy dysk. Splecione w warkocz długie czarne włosy opadały na plecy.

Eragon poczuł, jak jego wargi wyginają się w grymasie nienawiści. Musiał walczyć z pragnieniem zdobycia Zar'roca i zaatakowania. Wbrew sobie jednak poczuł respekt wobec odwagi urgala. Stwór samotnie, nieuzbrojony stawiał czoło całej armii nieprzyjaciół. Ku swemu zdumieniu Eragon odkrył też, że umysł Kulla otaczają silne bariery.

Gdy urgal zatrzymał się przed pawilonem, nie śmiać podejść bliżej, Nasuada poleciła strażnikom, by uciszeli tłum. Wszyscy wpatrywali się w urgala, zastanawiając się, co teraz robi.

Ten uniósł ku niebu muskularne ręce, odetchnął głęboko, po czym otworzył paszczę i ryknął na Nasuadę. W jednej sekundzie otoczył go las mieczy, Kull jednak nie zwracał na nie uwagi. Ryczał dalej, aż w końcu zabrakło mu tchu. Potem spojrzał na Nasuadę, ignorując setki złaknionych krwi ludzi, i warknął gardłowo:

- Cóż to za zdrada, Nocna Łowczyni? Obiecano mi nietykalność. Czy ludzie tak łatwo łamią słowo?

Jeden z dowódców Nasuady wystąpił naprzód:

- Pozwól nam ukarać go za bezczelność, pani. Gdy nauczymy tego potwora znaczenia słowa „szacunek”, wówczas wysłuchasz co ma do powiedzenia.

Eragon bardzo pragnął zachować milczenie, znał jednak swoje obowiązki wobec Nasuady i Vardenów, Pochylił się zatem i szepnął jej do ucha.

- Nie obrażaj się, oni w ten sposób witają swoich wodzów. Prawidłowa odpowiedź to zderzenie się głowami, ale nie powinnaś raczej tego próbować.

- Nauczyły cię tego elfy? - mruknęła, nie odrywając wzroku od czekającego Kulla.

- Tak.

- Czego jeszcze nauczyły cię o urgalach?

- Wielu rzeczy - przyznał niechętnie.

- Vardeni nie są kłamcami, jak Galbatorix i imperium - oświadczyła Nasuada, zwracając się nie tylko do Kulla, ale i do zebranych ludzi. - Mów otwarcie. Nie musisz lękać się niczego, póki nie złamiesz warunków rozejmu.

Urgal odchrząknął i uniósł głowę jeszcze wyżej, odsłaniając gardło. Eragon rozpoznał w tym gest przyjaźni. Opuszczenie głowy stanowiło wśród jego pobratymców groźbę, bo oznaczało, że urgale zamierza zaatakować rogami.

- Jestem Nar Garzhvog, ze szczepu Bolveg, przemawiam w imieniu mego ludu. - Jego słowa brzmiały jakby każde przeżuwał i wypluwał. - Urgale są zniechęcone bardziej niż jakakolwiek inna rasa. Elfy, krasnoludy, ludzie polują na nas, palą i przeganiają z naszych domów.

- Nie bez powodu - zauważyła Nasuada. Garzhvog przytaknął.

- Nie bez powodu. Nasz lud kocha wojnę. Jak często jednak atakujecie nas tylko dlatego, że uważacie nas za równie brzydkich, jak my waszą rasę? Od upadku Jeźdźców dobrze nam się wiedzie. Nasze szczepy są teraz tak liczne, że surowa kraina, w której żyjemy, nie może nas wykarmić.

- Zawarliście zatem pakt z Galbatorixem.

- Tak, Nocna Łowczyni. Przrzekł nam żyzne ziemie, jeśli zabijemy jego wrogów, ale oszukał nas. Jego ognistowłosy szaman Durza spętał umysły naszych wodzów i zmusił szczepy, by

działały wspólnie, choć to nie nasz zwyczaj. Gdy dowiedzieliśmy się o tym w wydrążonej krasnoludzkiej górze, Herndall, matki które nami władają, wysłały moją połowicę do Galbatorixa z pytaniem, czemu tak nas wykorzystał. - Garzhvog pokręcił ogromną głową. - Nie wróciła. Nasze najlepsze byki zginęły dla Galbatorixa, który potem porzucił nas niczym złamany miecz. To drżał węzowy język, bezrogi zdrajca. Nocna Łowczyni, jest nas teraz mniej, ale będziemy walczyć u twego boku, jeśli nam pozwolisz.

- Jaka jest wasza cena? - spytała Nasuada. - Wasze Herndall z pewnością muszą chcieć czegoś w zamian.

- Krew. Krew Galbatorixa. A jeśli imperium upadnie, prosimy, byście dali nam ziemię. Ziemię, na której będziemy się mogli mnożyć i dorastać i unikać w przyszłości nowych bitew.

Eragon odgadł decyzję Nasuady po jej minie, jeszcze nim przemówiła. Podobnie Jórmundur, bo pochylił się ku niej, zniżając głos.

- Nasuado, nie możesz tego zrobić. To wbrew naturze.

- Natura nie pomoże nam pokonać imperium. Potrzebujemy sojuszników.

- Ludzie prędzej zdezerterują, niż zgodzą się walczyć u boku urgali.

- To da się załatwić. Eragonie, czy one dotrzymają słowa?

- Tylko do czasu, gdy będziemy mieć wspólnego wroga.

Nasuada kiwnęła głową i ponownie podniosła głos.

- Doskonale, Nar Garzhvogu. Ty i twoi wojownicy możecie rozbić obóz przy wschodniej flance naszej armii, z daleka od głównych sił. Omówimy też warunki naszego paktu.

- Ahgrat ukmar - warknął Kuli, unosząc pięści do czoła.

- Jesteś mądrą Herndall, Nocna Łowczyni.

- Czemu tak mnie nazywasz?

- Herndall?

- Nie, Nocną Łowczynią.

Garzhvog wydał z siebie gardłowe „ruk-ruk”. Eragon rozpoznał w tym dźwięku śmiech.

- Nocny Łowca to imię, którym obdarzyliśmy twojego ojca, dlatego że polował na nas w mrocznych tunelach pod krasnoludzką górą, a także z powodu koloru skóry. Jako jego szczenię zasługujesz na to samo miano.

To rzekłszy, obrócił się na pięcie i wymaszerował z obozu.

- Ktokolwiek zaatakuje urgale, zostanie ukarany, jakby dopuścił się napaści na towarzysza broni - oznajmiła Nasuada, wstając. - Dopilnujcie, ty wieść o tym trafiła do wszystkich kompanii.

Gdy tylko skończyła, Eragon zauważył króla Orrina, podążającego ku nim szybkim krokiem. Za jego plecami powiewała peleryna.

- Nasuado! - wykrzyknął, gdy się zbliżył. - Czy to prawda, że spotkałaś się z urgalem? Czemu to zrobiłaś i dlaczego nie powiadomiono mnie wcześniej? Nie... - Przerwał, bo pomiędzy szarych namiotów wypadł biegiem strażnik.

- Od strony imperium nadjeżdża konny!

W ułamku sekundy król Orrin zapomniał o wszystkim i dołączył do Nasuady, która pośpieszyła ku pierwszemu szeregom armii, a wraz z nią co najmniej setka ludzi. Zamiast trzymać się tłumu, Eragon wskoczył na grzbiet Saphiry, pozwalając, by poniosła go do celu.

Gdy smoczyca zatrzymała się przy wałach, rowach i rzędach zaostrzonych pali broniących czoła armii Vardenów, ujrzał samotnego jeźdźcę, galopującego ku nim przez ponurą ziemię niczyją. Nad jego głową padlinożerne ptaki obniżyły lot, sprawdzając, czy nie pojawiło się przypadkiem pierwsze danie ich uczy.

Żołnierz ściągnął wodze czarnego ogiera trzydzieści jardów od obwarowań, utrzymując bezpieczny dystans.

- Odrzucając łaskawe warunki kapitulacji zaferowane przez króla Galbatorixa, wybraliście śmierć. Nie będziemy więcej negocjować. Ręka przyjaźni zamienia się w pięść wojny! Jeśli ktokolwiek z nas wciąż żywi szacunek dla prawowitego władcy, wszechwiedzącego, wszechpotężnego króla Galbatorixa, niechaj ucieka, znika stąd. Gdy wyruszymy oczyścić Alagaesię ze wszystkich zdrajców, łotrów i podżegaczy, nikt nie zdoła nas powstrzymać. A choć boli to

naszego władcę, wie on bowiem, że za rebelię odpowiada wyłącznie garstka zgorzkniałych, zbłąkanych przywódców, skarcimy łagodnie krainę bezprawia zwaną Surdą i przywrócimy ją pod dobrotliwe skrzydła króla Galbatorixa, który z głębokim poświęceniem dniami i nocami pracuje dla dobra swego ludu. Uciekajcie zatem albo podzielcie los swego posłańca!

To rzekłszy, żołnierz rozwiązał płócienny worek i wyłowił z niego odrąbaną głowę. Cisnął ją w powietrze, patrząc, jak opada między Vardenów, a potem zawrócił ogiera, spał ostrogami i pogalopował z powrotem ku ciemnym szeregom armii Galbatorixa.

- Mam go zabić? - spytał Eragon.

Nasuada pokręciła głową.

- Wkrótce odbierzemy zapłatę. Nie naruszę nieetykalności wysłanników, mimo że uczyniło to imperium.

- Jak sobie... - Nagle krzyknął, zdumiony, ściskając szyję Saphiry, by powstrzymać upadek, gdy smoczyca wspięła się gwałtownie, oparła przednie łapy o zgniłozielony szczyt wału, rozchyliła szczęki i ryknęła ogłuszająco, tak jak wcześniej Garzhvog. Ryk ten stanowił wyzwanie rzucone nieprzyjaciółom, ostrzegał przed gniewem, który wzbudzili, i wzywał do walki wszystkich, którzy nienawidzili Galbatorixa.

Jej ogłuszający głos spłoszył ogiera. Koń szarpnął się w prawo, pośliznął na rozgrzanej ziemi i runął na bok. Żołnierz wyleciał z siodła i wylądował w płomieniach, które dokładnie w tym momencie wystrzeliły z ziemi. Wydał z siebie jeden okrzyk, tak straszny, że Eragonowi zjeżyły się włosy a potem umilkł na zawsze.

Ptaki opadły ku niemu.

Vardeni zaczęli wiwatować na cześć Saphiry. Nawet Nasuada pozwoliła sobie na lekki uśmiech. Potem klasnęła w dłonie.

- Myślę, że zaatakują o świcie. Eragonie, zbierz Du Vrangr Gata i przygotowując się do działania. Za godzinę przekażę ci rozkazy. - Ujmując Orrina pod ramię, poprowadziła go ku środkowi obozu. - Panie, musimy podjąć niezbędne decyzje. Mam pewien plan, ale wymagać będzie...

*Niech przyjdą* - rzekła Saphira.

Koniuszek jej ogona zakołysał się jak u kota polującego na królika.

*Wszyscy spłoną.*

## *Mikstura wiedzy*

Na Płonących Równinach zapadła noc. Sklepienie gęstego dymu przesłaniało księżyc i gwiazdy, pogrążając ziemię w nieprzeniknionej ciemności, którą rozjaśniał jedynie słaby blask torfowych płomieni oraz pochodni rozpalonych przez obie armie. Eragon, który trwał na posterunku blisko czoła armii Vardenów, pomyślał, że wojska imperium wyglądają niczym rój drżących pomarańczowych płomyków, dorównujący wielkością sporemu miastu.

Gdy przypiął do ogona Saphiry ostatnią część jej zbroi, zamknął oczy, by łatwiej utrzymać kontakt z magami z Du Vrangr Gata. Musiał nauczyć się odszukiwać ich w mgnieniu oka; jego życie mogło zależeć od błyskawicznego nawiązania kontaktu. Ze swej strony magowie musieli nauczyć się rozpoznawać dotknięcie jego umysłu, by nie blokowali przed nim myśli, gdy będzie potrzebował ich pomocy.

Uśmiechnął się nagle.

- Witaj, Oriku - rzekł.

Otworzył oczy i ujrzał krasnoluda wspinającego się na niską skałę, na której siedzieli z Saphira. Uzbrojony po zęby Oriku trzymał w lewej ręce swój róg urgala.

Przykucnąwszy obok Eragona, otarł spocone czoło i pokręcił głową

— Skąd wiedziałeś, że to ja? Oślaniałem się.

*Każda świadomość jest inna* — wyjaśniła Saphira. *Tak jak żadne dwa głosy nie brzmią dokładnie tak samo.*

- Ach tak.

- Co cię tu sprowadza? - spytał Eragon.

Oriku wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że może przyda ci się towarzystwo w tę ponurą noc. Zwłaszcza, że Arya jest zajęta gdzie indziej, a tym razem nie masz przy sobie Murtagha.

*A chciałbym* - pomyślał Eragon.

Murtagh był jedynym człowiekiem, który dorównywał mu umiejętnością fechtunku, przynajmniej przed Agaeti Blodhren. Codzienne z nim pojedynki były jednym z nielicznych miłych wspomnień ze spędzonego wspólnie czasu.

*Z radością zawalczyłbym z tobą znowu, stary druhu.*

Wspomnienie o tym, jak zginął Murtagh - zawleczony pod ziemię przez urgale w Farthen Durze - zmusiło Eragona do stawienia czoła bezwzględnej prawdzie: nieważne jak wielki jest wojownik, na wojnie często zwykle szczęście decyduje o tym, kto przeżyje, a kto zginie.

Oriku musiał wyczuć jego nastrój, bo klepnął go mocno w ramię.

- Nic ci nie będzie. Wyobraź sobie, jak się czują tamci żołnierze, wiedząc, że wkrótce będą musieli zmierzyć się z tobą.

Eragon uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Cieszę się, że przyszedłeś.

Koniuszek nosa Orika poczerwieniał. Krasnolud spuścił wzrok, obracając w sękaty ch palcach łuk.

- No cóż - mruknął. - Hrothgarowi nie spodobałoby się, gdybym pozwolił by coś ci się stało.

Poza tym jesteśmy przecież przyrodni braćmi, pamiętasz?

*A co z innymi krasnoludami* — spytała za pośrednictwem Eragona Saphira. *Czy nie ty nimi dowodzisz?*

W oczach Orika zabłyśły ogniki.

- Owszem, ja. I wkrótce do nas dołączą. Skoro Eragon jest członkiem Durgrimst Ingeitum, wydaje się słuszne, byśmy razem walczyli z imperium. W ten sposób nie będziecie aż tak odslonięci. Możecie skupić się na wyszukiwaniu magów Galbatorixa, zamiast bronić się przed ciągłymi atakami.

- Dobry pomysł. Dziękuję.

Orlik mruknął coś pod nosem.

- Co myślisz o Nasuadzie i urgalach? - spytał Eragon.
- Podjęła właściwą decyzję.
- Zgadzasz się z nią?
- Tak. Choć nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż tobie.

Po tych słowach obaj umilkli. Eragon siedział obok Saphiry, wpatrując się w wojska imperium i próbując nie dopuścić, by zaważnęło nim rosnące zdenerwowanie. Minuty płynęły powoli. Owo nieznośne czekanie przed bitwą było równie denerwujące jak sama walka. Naoliwił siodło Saphiry, wypolerował własną kolczugę, wycierając plamy rdzy, i powrócił do zaznajamiania się z umysłami Du Vrangr Gata. Zabijał czas.

Ponad godzinę później zaważał się, wyczuwając dwie istoty zbliżające się przez pas ziemi niczyjej.

*Angela? Solembum?*

Zaskoczony i zaniepokojony, obudził Orika, który tymczasem zapadł w drzemkę, i poinformował o swym odkryciu. Krasnolud zmarszczył brwi i dobył zza pasa topór

- Spotkałem tę zielarkę tylko kilka razy, ale nie sprawiała wrażenia kogoś, kto mógłby nas zdradzić. Od dziesiątków lat był wśród Vardenów miłym gościem.

- Nadal uważam, że powinniśmy sprawdzić, co robi - upierał się Eragon.

Razem przemknęli przez obóz, wychodząc na spotkanie zbliżającej się do umocnień dwójce. Wkrótce Angela pojawiła się w kręgu światła. Tuż za nią podążał Solembum. Czarownica owinęła się całą w długi czarny płaszcz, sprawiający, że niemal zlewała się z otoczeniem. Demonstrując zaskakującą siłę i zręczność, pokonała szeregi wzniesionych przez krasnoludy umocnień, przeskakując z pala na pal, pokonując kolejne rowy i w końcu zbiegając na łeb, na szyję po stromej pochylni, by zatrzymać się zdyszana obok Saphiry. Angela odrzuciła na plecy kaptur i obdarzyła ich promiennym uśmiechem.

- Komitet powitalny. Jakież to miłe z waszej strony. Tymczasem kotołak zamigotał, jego futro zafalowało, a potem postać rozmazała się, jak widziana przez zamgloną wodę. Gdy znów pojaśniała, ujrzeli nagiego kędzierzawego chłopca. Angela sięgnęła do skórzanej sakwy u pasa, podała Solembumowi dziecięcą tunikę i bryczesy, a także mały czarny sztylet.

- Co tam robiliście? - Orik spojrzał na nich podejrzliwie.

- To i tamto.

- Lepiej nam powiedz - wtrącił Eragon.

- Ach tak? Nie ufacie mnie i Solembumowi?

Kotołak odsłonił szpiczaste zęby.

- Nie do końca - przyznał Eragon z lekkim uśmiechem.

- To dobrze. - Angela poklepała go po policzku. - Dłużej pożyjecie. Jeśli musisz wiedzieć, starałam się usilnie pomóc pokonać imperium, tyle, że moje metody nie obejmują głośnych krzyków i biegania wite i wewte z mieczem.

- A jakie dokładnie są te metody? - warknął Orik.

Angela umilkła, zwijając płaszcz w ciasne zawiniątko, które wepchnęła do sakwy.

- Wolałabym nie mówić. Chcę, żeby to była niespodzianka. Nie będziecie musieli czekać długo. Za kilka godzin się zacznie.

Orik pociągnął się za brodę.

- Co się zacznie? Jeśli nie udzielisz nam jasnej odpowiedzi, będziemy musieli zabrać cię do Nasuady. Może to sprawi, że zaczniesz gadać z sensem.

- Nie macie, po co wlec mnie do Nasuady - oznajmiła Angela. - Dostałam od niej pozwolenie na opuszczenie obozu.

- Ty tak twierdzisz. - Orik spojrzał na nią wyzywająco z jeszcze większym oburzeniem.

- Ja też tak twierdzą - oznajmiła Nasuada, która tymczasem podeszła do nich od tyłu. Eragon wiedział, że się zbliża.

Wyczuwał też towarzyszących jej czterech Kullów, w tym Garzhvoga. Skrzywiony, odwrócił się do nich starając się nawet ukryć gniewu z powodu obecności urgali. Orlik nie był tak



opanowany - odskoczył z donośnym przekleństwem, ściskając w dłoni topór. Szybko zorientował się, że nikt nie atakuje, i powitał nerwowo Nasuadę, lecz jego dłoń ani na moment nie opuszczała drzewca topora, a oczy cały czas obserwowały czwórkę urgali. Wyglądało na to, że Angela nie żywi podobnych uprzedzeń. Pozdrowiła Nasuadę, po czym zwróciła się do urgali w ich chrapliwym języku. Odpowiedziały z wyraźną radością. Nasuada odciągnęła Eragona na bok, by mogli porozmawiać na osobności.

- Chcę, byś na moment zapomniał o swych uczuciach i przyjrzał się temu, co powiem, logicznie i zdroworozsądkowo. Potrafisz to zrobić? Przytaknął z kamienną twarzą.

- To dobrze. Staram się czynić wszystko, co w mojej mocy, by zapobiec jutrzejszej przegranej. Nieważne jednak, jak dobrze będziemy walczyć, jak dobrze pokieruję Vardenami, ani nawet czy zdołamy zmusić do odwrotu imperium, jeśli ty - dźgnęła go palcem w pierś - zginiesz. Rozumiesz?

- Pani - wymamrotał.

Orik nie był tak opanowany - odskoczył z donośnym przekleństwem, ściskając w dłoni topór. Szybko zorientował się, że nikt nie atakuje, i powitał nerwowo Nasuadę, lecz jego dłoń ani na moment nie opuszczała drzewca topora, a oczy cały czas obserwowały czwórkę urgali. Wyglądało na to, że Angela nie żywi podobnych uprzedzeń. Pozdrowiła Nasuadę, po czym zwróciła się do urgali w ich chrapliwym języku. Odpowiedziały z wyraźną radością.

Nasuada odciągnęła Eragona na bok, by mogli porozmawiać na osobności.

- Chcę, byś na moment zapomniał o swych uczuciach i przyjrzał się temu, co powiem, logicznie i zdroworozsądkowo. Potrafisz to zrobić?

Przytaknął z kamienną twarzą.

- To dobrze. Staram się czynić wszystko co w mojej mocy, by zapobiec jutrzejszej przegranej. Nieważne jednak, jak dobrze będziemy walczyć, jak dobrze pokieruję Vardenami, ani nawet czy zdołamy zmusić do odwrotu imperium, jeśli ty - dźgnęła go palcem w pierś - zginiesz. Rozumiesz?

Ponownie przytaknął.

- Jeżeli pojawi się Galbatorix we własnej osobie, nie zdołam cię ochronić. W takim przypadku będziesz musiał sam stawić mu czoło. Du Vrangr Gata nie zagrozą mu bardziej niż tobie, a nie chcę, by zginęli na próżno.

- Zawsze wiedziałem, że będę musiał stawić czoło Galbatorixowi samotnie, tylko z Saphirą u boku.

Wargi Nasuady wygięły się w smutnym uśmiechu. W migotliwym blasku pochodni sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej.

- Nie ma powodów, by zawczasu wymyślać sobie problemy. Możliwe, że Galbatorixa w ogóle tu nie ma. - Wyraźnie nie wierzyła we własne słowa. - Tak czy inaczej, mogę przynajmniej nie pozwolić ci polec od ciosu mieczem w brzuch. Słyszałam, co planują krasnoludy i pomyślałam, że ulepszę ten plan. Poprosiłam Garzhvoga i trzy z jego byków, by cię strzegli. Najpierw jednak musieli się zgodzić, abyś zbadał ich umysły i sprawdził, czy nie knują zdrady.

Eragon zeszytywniał.

- Nie możesz oczekiwać, że będę walczył u boku tych potworów! Poza tym przyjąłem już propozycję obrony ze strony krasnoludów. Źle to przyjmą, jeśli ją odrzucę na rzecz urgali.

- Zatem będą cię strzec obie grupy - odparowała Nasuada. Przez długą chwilę przyglądała mu się. - Och, Eragonie, miałam nadzieję, że zdołasz otrząsnąć się z nienawiści. Co innego zrobiłbyś na moim miejscu? - Westchnęła, gdy nie odpowiedział. - Jeśli ktoś miałby mieć pretensję do urgali, to właśnie ja. Przecież zabiły mi ojca. Nie mogę jednak pozwolić, aby moje uczucia zaszkodziły sprawie Vardenów. Poproś przynajmniej o opinię Saphirę, nim powiesz „tak” bądź „nie”. Mogłabym rozkazać ci przyjąć ochronę urgali, ale wolałabym tego nie robić.

*Zachowujesz się niemądrze - zauważyła Saphira.*

*Niemądrze jest nie chcieć, by Kuli strzegł moich pleców?*

*Nie, niemądrze jest w naszym obecnym położeniu odrzucać pomoc, nieważne skąd przychodzi. Zastanów się, wiesz co zrobiłby Oromis, co by powiedział. Nie ufasz jego osądowi?*

*Nie może mieć racji we wszystkim.*

*To żaden argument. Wejrzyj w siebie, Eragonie, i powiedz mi, czy mówię prawdę. Znasz właściwą ścieżkę. Będę bardzo zawiedziona, jeśli nie zdołasz na niej pozostać.*

Słowa Saphiry i Nasuady jeszcze wzmocniły opory Eragona, wiedział jednak, że nie ma wyboru.

- W porządku, pozwolę im mnie strzec, ale tylko jeśli nie znajdę niczego podejrzanego w ich umysłach. Czy obiecasz, że po tej bitwie nie każesz mi więcej współpracować z urgalami?

Nasuada pokręciła głową.

- Nie mogę tego zrobić, to mogłoby zaszkodzić Vardenom. - Zawiesiła głos - Och i Eragonie?

- Tak, pani.

- W razie mojej śmierci wybrałam cię na zastępcę. Gdyby do tego doszło, sugeruję, byś polegał na radach Jórmondura. Ma większe doświadczenie niż wszyscy inni członkowie Rady Starszych. Spodziewam się też, że będziesz nade wszystko przedkładał dobro swoich podwładnych. Wyrażam się jasno?

Jej oświadczenie całkowicie go zaskoczyło. Dla Nasuady nie istniało nic ważniejszego od Vardenów. Przekazanie ich stanowiło wyraz najwyższego zaufania. Wiara Nasuady wzruszyła Eragona. Przyjął ją z pokorą i skłonił głowę.

- Będę się starał być równie dobrym przywódcą, jak ty i Ajihad. Czynisz mi zaszczyt, Nasuado.

- Owszem, czynię. - Odwróciła się i odeszła.

Wciąż oszołomiony słowami Nasuady, które złagodziły jego wcześniejszy gniew, Eragon wrócił powoli do Saphiry. Długą chwilę przyglądał się Garzhvogowi i pozostałym urgalom, próbując ocenić ich nastrój, lecz rozpoznawał tylko najprostsze emocje. Nie potrafił też znaleźć w sobie empatii wobec urgali. Dla niego były jedynie bestiami z piekła rodem, które zabijają go, gdy tylko nadarzy się okazja, nie znającymi miłości, czułości czy nawet prawdziwej inteligencji. Krótko mówiąc, uważał je za istoty niższe.

*Jestem pewna, że Galbatorix podziela tę opinię* - szepnęła Saphira głęboko w jego umyśle.

*I ma powody* - warknął.

Ukrywając wstręt, odezwał się głośno.

- Nar Garzhvog, słyszałem, że zgodziliście się wpuścić mnie do waszych umysłów.

- Owszem, Ognisty Mieczu. Nocna Łowczyni powiedziała nam, czego potrzebujesz. To dla nas zaszczyt móc walczyć u boku tak potężnego wojownika, który tak wiele dla nas uczynił.

- Co to znaczy „uczynił”? Zabiłem dziesiątki twoich pobratymców, Nagle w pamięci Eragona stały wyjątki ze zwojów, które kazał mu czytać Oromis. Przypomniał sobie, że urgale, zarówno samce, jak i samice, ustalają swą pozycję w społeczeństwie za pomocą walki, i że to przede wszystkim prowadziło do tak wielu konfliktów między urgalami i innymi rasami. To z kolei, jak sobie uświadomił; oznaczało, że jeśli tak bardzo podziwiali jego wyczyny bitewne, być może nadali mu ten sam status, co swym własnym wodzom.

- Zabijając Durzę, uwolniłeś nas spod jego kontroli. Jesteśmy twoimi dłużnikami, Ognisty Mieczu. Żaden z naszych byków nie rzuci ci wyzwania, a jeśli odwiedzisz nasze domostwa wraz ze smoczycą Płomiennymi Językiem, zostanieie powitani jak żaden dotąd przybysz z zewnątrz.

Ze wszystkich reakcji, jakich spodziewał się Eragon, najmniej oczekiwał wdzięczności i nie był na nią przygotowany.

- Nie zapomnę - rzekł, nie potrafiąc wymyślić nic innego. Powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych urgali, po czym znów spojrzął w żółte oczy Garzhvoga.

- Jesteś gotów?

- Tak, Jeźdźcze.

Sięgając ku świadomości Garzhvoga, Eragon przypomniał sobie, jak Bliźniacy wtargnęli w jego umysł, gdy pierwszy raz dotarł do Farthen Duru. Wkrótce jednak wspomnienie zniknęło i zanurzył się całkowicie w głąb istoty urgala. Sama natura jego poszukiwań - sprawdzanie, czy gdzieś w przeszłości Garzhvoga nie kryją się wrogie zamiary - zmuszała go do przeglądania całych

lat wspomnień. W odróżnieniu od Bliźniaków unikał zadawania niepotrzebnego bólu, nie był jednak przesadnie delikatny. Od czasu do czasu czuł, jak Garzhvog wzdyga się pod jego dotknięciem. Tak samo jak u elfów i krasnoludów, umysł urgala zawierał elementy odmienne od ludzkiego, jego struktura odzwierciedlała sztywną hierarchię - odbicie podziałów plemiennych - sam umysł natomiast wydawał się szorstki i surowy, brutalny i przebiegły, jak u dzikiego zwierzęcia.

Choć świadomie nie starał się dowiedzieć czegoś więcej o Garzhvogu jako jednostce, Eragon nie mógł nic poradzić na to, że poznawał fragmenty życia urgala. Garzhvog nie stawiał oporu, wprost przeciwnie, zdawał się chętnie dzielić swymi doświadczeniami, jakby chciał przekonać Eragona, że urgale nie są jego urodzonymi wrogami.

*Nie możemy sobie pozwolić na to, by powstał kolejny Jeździec, który zapragnie nas zniszczyć - powiedział Garzhvog. Spójrz zatem, Ognisty Mieczu i przekonaj się, czy naprawdę jesteśmy potworami, za które nas bierzesz...*

Przez połączone umysły przemknęło tak wiele obrazów i odczuć, że Eragon na moment o mało się nie zagubił: dzieciństwo Garzhvoga. Spędzone z braćmi i siostrami z miotu w prymitywnej wiosce w sercu Kościca; jego matka, czesząca włosy grzebieniem z racicy i śpiewająca łagodną pieśń; nauka łowów gołymi rękami na jelenie i inne zwierzęta; to, jak rósł coraz większy i większy, aż w końcu stało się jasne, że w jego żyłach wciąż płynie stara krew i że osiągnie ponad osiem stóp wzrostu, co uczyni z niego Kulla, dziesiątki wyzwania, jakie rzucił i sam przyjął; kolejne wygrane walki; wyprawa poza wioskę, aby zdobyć sławę i moc pojąć samicę, i stopniowe poznawanie nienawiści, nieufności i strachu - tak, strachu - przed światem, który skazał jego rasę na taki los; walka w Farthen Durze; odkrycie, że Durzą nimi manipulował i że ich jedyna nadzieja na lepsze życie to odłożenie na bok starych sporów, zawiązanie sojuszu z Vardenami i obalenie Galbatorixa. Eragon nigdzie nie znalazł dowodu na to, że Garzhvog skłamał.

Nie rozumiał tego, co widzi. Opuścił gwałtownie umysł Garzhvoga i zanurkował kolejno w świadomość pozostałych trzech urgali. Ich wspomnienia potwierdzały poznane wcześniej fakty. Kulle nie próbowały ukrywać, że zabijały ludzi, czyniły to jednak na rozkaz Durzy, gdy zawładnął nimi czarodziej, albo też w walce o ziemię bądź żywność.

*Robiliśmy to co musieliśmy, by zadbać o nasze rodziny.*

Kiedy Eragon skończył, stanął przed Garzhvogiem, wiedząc, że urgale pochodzą z równie szlachetnego rodu jak ludzki książę krwi. Wiedział też, że choć brak mu wykształcenia, Garzhvog jest błyskotliwym dowódcą i wielkim myślicielem i filozofem, dorównującym Oromisowi.

*Z pewnością jest mądrzejszy ode mnie - przekazał Saphirze Eragon.*

Odstłonił gardło na znak szacunku.

- Nar Garzhvog - rzekł głośno i po raz pierwszy zrozumiał do końca szlachetne pochodzenie tytułu nar. - Dumny jestem, że mogę walczyć u twego boku. Możesz powiadomić Herndall, że dopóki urgale dotrzymają słowa i nie zwrócą się przeciw Vardenom, nie stanę do walki z nimi.

Wątpił, by kiedykolwiek polubił urgala, lecz ciasna obręcz uprzedzeń, która jeszcze kilka minut temu ścisnęła mu umysł, teraz wydawała się zwykłą ignorancją i nie mógł z czystym sumieniem pozostać przy dawnych poglądach.

Saphira trąciła jego ramię kolczastym językiem, tak że zadzwoniła kolczuga.

*Potrzeba odwagi, by się przyznać, że się myliliśmy.*

*Tylko jeśli boisz się wyjść na głupca - odparł. A wyglądałbym znacznie głupiej, gdybym kurczowo trzymał się dawnych błędów.*

*Ależ, mój mały, powiedziałaś właśnie coś mądrego.*

Mimo żartobliwego tonu Saphiry wyczuwał promieniującą z niej dumę z tego, co osiągnął.

- Powtarzam raz jeszcze, że jesteśmy twymi dłużnikami, Ognisty Mieczu - rzekł Garzhvog. Wraz z pozostałymi urgalami unieśli pięści do wypukłych masywnych czoł.

Eragon wyczuwał, że Nasuada chce usłyszeć szczegóły o tym co zaszło, wstrzymała się jednak.

- To dobrze. Teraz, gdy załatwiliśmy tę sprawę, muszę odejść. Eragonie, Trianna przekaże ci mój sygnał, gdy nadejdzie czas. - To rzekłszy, odeszła i zniknęła w mroku.

Gdy Eragon usiadł obok Saphiry, podszedł do nich Orik.

- Szczęście, że będą tu krasnoludy. Będziemy obserwować Kulle niczym jastrzębie. Nie pozwolimy, by zaatakowały cię z zienacka. W chwili, gdy to uczynią, zwalimy je z nóg.

- Zdawało mi się, iż zgadzałeś się z Nasuadą co do przyjęcia propozycji urgali?

- To wcale nie oznacza, że im ufam ani że chcę walczyć wraz z nimi, prawda?

Eragon uśmiechnął się. Nie zamierzał się sprzeczać. Nie zdołałby przekonać Orika, że urgale nie są bezwzględnyimi zabójcami. W końcu on sam także nie dopuszczał takiej myśli, dopóki nie poznał ich wspomnień.

Noc przygniatała ziemię ciężkim płaszczem, a oni leżeli, czekając na świt. Orik wyciągnął z kieszeni osełkę i zaczął ostrzyć swój zakrzywiony topór. Po przybyciu pozostała szóstka krasnoludów uczyniła podobnie i zgrzyt metalu o kamień nappełnił powietrze wokół nich, raniąc uszy. Kulle siedziały oparte o siebie plecami, nucąc cicho pieśni śmierci. Eragon wykorzystał ten czas, stawiając bariery magiczne wokół siebie, Saphiry, Nasuady, Orika, a nawet Aryi. Wiedział, że niebezpiecznie jest chronić tak wiele osób, nie mógł jednak znieść myśli, że komuś z nich miałyby stać się krzywdą. Gdy skończył, przelał jak najwięcej mocy do diamentów tkwiących w pasie Belotha Mądrego.

Z zainteresowaniem patrzył na Angełę, która przywdziała swą zielono-czarną zbroję, a potem wyjęła puzdro z rzeźbionego drewna i z dwóch osobnych uchwytów łączących się pośrodku oraz dwóch ostrzy z hartowanej stali zmontowała swoją broń. Kilka razy zakręciła nią nad głową, nim uznała z satysfakcją, że zniesie trudy bitwy.

Krasnoludy obserwowały ją z dezaprobatą. Eragon usłyszał, jak jeden mruczy pod nosem:

- ... bluźnierstwo, by ktoś prócz Durgrimst Quan posługiwał się huthvirem.

Gdy krasnolud umilkł, w ciszy było tylko słychać zgrzyt krasnoludzkich osełek.

Niedługo przed świtem rozległy się krzyki. Dzięki wyostrzonym zmysłom Eragon i Saphira usłyszeli je pierwsi, lecz wkrótce wrzaski bólu stały się dość głośne, by wychwyciły je uszy pozostałych. Orik wstał z ziemi, spojrział w stronę wojsk imperium, skąd dobiegała kakofonia głosów.

- Jakież to torturowane stwory wydają z siebie tak przeraźliwe wycie? Ten dźwięk mrozi mi szpik w kościach.

- Mówiłam, że nie będziecie musieli czekać zbyt długo - odparła Angela.

Odpuściła ją dawna wesołość, jej twarz pobladła i poszarzała jak w chorobie.

- Ty to zrobiłaś? - spytał Eragon.

- Tak. Zatrulałam ich gulasz, chleb, wodę, wszystko co wpadło mi w ręce. Niektórzy umrą od razu, inni później, w miarę jak różne toksyny zaczną działać. Oficerom podrzuciłam wilczą jagodę i inne podobne trucizny, by mieli halucynacje podczas bitwy. - Próbowала się uśmiechnąć, lecz bez powodzenia. - Nie jest to zbyt szlachetny sposób walki, ale wolę to niż dać się zabić. Zamęt w szeregach wroga i tak dalej.

- Tylko tchórz bądź złodziej używa trucizny! - wykrzyknął Orik. - Jakaż chwałę można znaleźć, pokonując chorego wroga?

Krzyki nasilały się z każdą chwilą. Angela zaśmiała się nieprzyjemnie.

- Chwałę? Jeśli szukasz chwały, znajdziesz tysiące żołnierzy, których nie zatrulałam. Z pewnością do wieczora zdobędziesz aż nadto chwały..

- Po to właśnie potrzebowałaś sprzętu z namiotu Orrina? - spytał Eragon.

Jej czyn budził w nim wstręt, ale wiedział, że to było konieczne. Angela otruła żołnierzy z tej samej przyczyny, dla której Nasuada przyjęła propozycję sojuszu od urgali: ponieważ mogło to pomóc im przetrwać.

- Zgadza się.

Wrzaski żołnierzy stawały się coraz głośniejsze, aż w końcu Eragon zapragnął zatkać uszy i odciać dopływ wszelkich dźwięków. Krzywił się i kręcił, zaciskając zęby. Zmusił się jednak, by słuchać. To był koszt stawienia oporu imperium. Nie powinien go ignorować. Siedział zatem z rękami zaciśniętymi w pięści i wysuniętą szczęką, słuchając rozbrzmiewających na Płonących Równinach głosów umierających ludzi.

## Nadejście burzy

Pierwsze poziome promienie porannego słońca padły już na ziemię, gdy Trianna przemówiła do Eragona.

*Nadeszła pora.*

Gwałtowny zastrzyk energii przegnał resztki senności. Eragon zerwał się na równe nogi, dając sygnał wszystkim wokół. Wspiął się na siodło Saphiry, wyciągając z kołczana nowy łuk. Kulle i krasnoludy otoczone pierścieniem smoczyce razem pośpieszyły wzdłuż umocnień aż do przygotowanego w nocy otworu.

Vardeni wylewali się przez niego, starając się zachować ciszę. Kolejne szeregi wojowników maszerowały naprzód z bronią i zbrojami owiniętymi szmatami, by żaden dźwięk nie uprzedził imperium o ich obecności. Gdy wśród ludzi pojawiła się dosiadająca rosłego deresza Nasuada z Trianną i Aryą u boku, Saphira dołączyła do procesji. Pozdrowiły się krótkimi spojrzeniami, niczym więcej.

Przez noc cuchnące opary zebrały się nisko nad ziemią; teraz poranne słabe słońce pozłociło wzburzone chmury, odbierając im przejrzystość. Dzięki temu Vardeni zdołali przebyć trzy czwarte ziemi niczyjej, nim dostrzegli ich wartownicy imperium.

Słyszając odgłos rogów, Nasuada krzyknęła:

- Teraz, Eragonie! Powiedz Orrinowi, by uderzał. Do mnie Vardeni! Walczcie o wasze domy! Walczcie za swoje żony i dzieci! Walczcie by obalić Galbatorixa! Atakujcie i skąpcie swe miecze we krwi wrogów! Naprzód! - Spięła wierzchowca. Ludzie z gromkim okrzykiem podążyli za nią, unosząc broń nad głowy.

Eragon przekazał rozkaz Nasuady Bardenowi, magowi towarzyszącemu królowi Orrinowi. Chwilę później usłyszał łoskot kopyt. To Orrin i jego kawaleria - wraz z pozostałymi Kullami, szybkością dorównującymi koniom - przygalopowali ze wschodu. Uderzyli siły imperium z flanki, przyszpilając żołnierzy do rzeki Jiet i odwracając ich uwagę dostatecznie długo, by Vardeni bez przeszkód pokonali resztę dystansu.

Obie armie zderzyły się z ogłuszającym rykiem. Piki uderzały o włóczęnie, młoty o tarcze, miecze o hełmy. Nad ich głowami kłębiły się wygłodniałe kruki i wrony, kracząc ochryple, oszalałe od zapachu świeżego mięsa.

Eragonowi serce zatrzepotało w piersi.

*Teraz musisz zabić bądź zginąć.*

Niemal natychmiast poczuł, jak bariery zaczęły czerpać zeń energię, gdy blokowały ataki skierowane przeciw Aryi, Orikowi, Nasuadzie i Saphirze.

Saphira trzymała się nieco z tyłu pierwszej fali żołnierzy, z przodu, bowiem byłiby zbyt odsłonięci przed magami Galbatorixa. Eragon odetchnął głęboko i zaczął szukać myślami owych magów, cały czas wypuszczając kolejne strzały.

Du Vrangr Gata znaleźli pierwsi wrogiego czarodzieja. Gdy tylko dali znać Eragonowi, sięgnął ku kobiecie, która dokonała odkrycia, i dalej, ku przeciwnikowi, z jakim się zmagala. Przywołując pełnię sił swej woli, zmiażdżył opór owego człowieka, opanował jego świadomość — starając się nie zwracać uwagi na jego przerażenie - ustalił, których żołnierzy strzeże i zabił go jednym z dwunastu słów śmierci. Bez chwili wahania Eragon zlokalizował umysły wszystkich niechronionych żołnierzy i ich także zabił. Vardeni zakrzyknęli, radośnie, widząc padającą grupkę ludzi. Łatwość, z jaką przychodziło mu zabijanie, zdumiała Eragona. Żołnierze nie mieli najmniejszej szansy, by uciec czy walczyć.

*Co za różnica w porównaniu z Farthen Durem - pomyślał.*

Choć zachwycały go własne umiejętności, niechętnie zadawał śmierć. Teraz jednak nie miał czasu, by o tym rozmyślać.

Otrząsnąwszy się po zaskakującym ataku Vardenów, imperium poszło do walki machiny wojenne - katapulty wystrzeliwujące okrągłe ceramiczne pociski i mniejsze, uzbrojone w beczki płynnego

ognia, a także balisty bombardujące napastników gradem długich na sześć stóp strzał. Ceramiczne kule i płynny ogień czyniły ogromne spustoszenie w szeregach Vardenów. Jedna z kul eksplodowała, uderzając o ziemię dziesięć jardów od Saphiry. Eragon wznosił tarczę. Poszarpany odłamek pomknął wprost ku jego głowie - tylko po to, by zatrzymać się w powietrzu na jednej z barier. Eragon zamrugał, czując nagły odpływ energii.

Machiny szybko powstrzymały napór Vardenów, siejąc wśród nich grozę.

Jeśli mamy wytrzymać dość długo, by zmęczyć imperium, trzeba je zniszczyć, zrozumiał Eragon. Saphira z łatwością rozmontowałaby każdą z nich, nie śmiała jednak wlecieć między wrogich wojowników, lękając się ataku magicznego.

Ośmiu żołnierzy przebiło się przez linię Vardenów i popędziło ku smoczycy, dźgając ją pikami. Nim Eragon zdołał dobyć Zar'roca, krasnoludy i Kulle wyeliminowały wszystkich.

— Dobra walka! — ryknął Garzhvog.

- Dobra walka! - zgodził się Orik, z morderczym uśmiechem na twarzy

Eragon nie zaatakował machin zaklęciami; z pewnością były chronione przed każdym możliwym czarem. Chyba, że... Sięgnął myślami i odszukał umysł żołnierza obsługującego jedną z katapult. Choć z pewnością chronił go jakiś mag, Eragon zdołał zawładnąć żołnierzem i z dała pokierować jego ruchami. Poprowadził człowieka do załadowanej maszyny i kazał mu ciąć mieczem skręconą linę. Była za gruba, by zdążyć ją przeciąć, nim odciągnęli go towarzysze, ale szkoda została wyrządzona. Z donośnym trzaskiem nadcięta cięciwa pękła i łyżka katapulty poleciała w tył, raniąc kilku ludzi. Eragon przeszedł z ponurym uśmiechem do następnej katapulty i w krótkim czasie unieszkodliwił je wszystkie.

Wracając do swego ciała, zauważył, że dziesiątki otaczających Saphirę Vardenów padają bez życia. Jeden z Du Vrangr Gata został pokonany. Ze strasliwym przekleństwem rzucił się szlakiem magii, szukając tego, kto rzucił śmiercionośne zaklęcie, opiekę nad swym ciałem powierzając Saphirze i jej strażnikom.

Przez ponad godzinę polował na magów Galbatorixa, bez zbytniego powodzenia, byli, bowiem przebiegli i zmyślni, i nie atakowali go bezpośrednio. Ich powściągliwość zdumiewała Eragona, dopóki z umysłu jednego z nich na sekundę przed tym, nim tamten popełnił samobójstwo, wyrwał myśl:

*..rozkaz nie zabijać ciebie ani smoka... nie zabijać ciebie ani smoka..*

*To jest odpowiedź na moje pytanie - rzekł do Saphiry. - Ale czemu Galbatorix wciąż chce zachować nas przy życiu? Jasno daliśmy mu do zrozumienia, że popieramy Vardenów.*

Nim smoczycą zdążyła odpowiedzieć, podjechała do nich Nasuada. Twarz miała brudną i zakrwawioną, tarczę pokrytą wgnieceniami. z rany na lewym udzie płynęła krew.

- Eragonie — wydyszała. — Potrzebuję ciebie, was obojga. Musicie walczyć, pokazać się, ośmielić naszych ludzi... Przerazić żołnierzy.

Jej stan zdumiał Eragona.

- Pozwól, że najpierw cię uzdrowię! - krzyknął w obawie, że Nasuada zemdleje.

*Powiniennem był wzniesć wokół niej więcej barier.*

- Nie! Ja mogę poczekać, ale jeśli nie powstrzymasz nawały żołnierzy, przegramy. - Oczy miała szkliste i puste, dwa czarne otwory w twarzy. - Potrzebujemy... Jeźdźca. - Zachwiała się w siodle.

Eragon zasalutował jej Zar'rokiem.

- Masz Jeźdźca, pani.

- Idź - rozkazała. - I jeśli istnieją jacyś bogowie, niechaj czuwają dziś nad tobą.

Dosiadający Saphiry Eragon tkwił zbyt wysoko, by móc uderzać wrogów w dole, zeskoczył, zatem na ziemię i ustawił się obok prawej nogi smoczycy. - Chronicie lewy bok Saphiry - polecił Orikowi i Garzhvogowi. - I cokolwiek się stanie, nie wchodźcie nam w drogę.

- Stratuj ją, Ognisty Mieczu.

- Nie - odparł. - Nie stratuj ją. Zajmijcie pozycje! - Gdy to uczynili, położył dłoń na nodze Saphiry i spojrzał w przejrzyste szafirowe oko.

*Zatańczymy, przyjaciółko mego serca?*

*Zatańczymy, mój mały.*

Wówczas złączyli swe umysły w stopniu większym niż kiedykolwiek wcześniej, zacierając wszelkie dzielące ich różnice i stając się jednością. Ryknęli i skoczyli naprzód, przebijając sobie drogę na pierwszą linię. Gdy się tam znaleźli, Eragon nie potrafił określić, z czyich ust wystrzelił żarłoczny jezor ognia, który pochłonął tuzin żołnierzy, gotując ich żywcem w zbrojach, ani czyja ręka opuściła Zar'roca szerokim łukiem, rozcinając na pół hełm przeciwnika.

W powietrzu wisiała ciężka metaliczna woń krwi, zasłony dymu falowały nad Płonącymi Równinami, na zmianę ukrywając i odsłaniając grupki, skupiska, szeregi i bataliony zmagających się w walce ruchliwych ciał. Nad ich głowami padlinożerne ptaki czekały na posiłek, a słońce wznosiło się ku zenitowi.

Sięgając do umysłów otaczających ich żołnierzy, Eragon i Saphira wychwytywali własne obrazy. Saphirę zawsze dostrzegano jako pierwszą, wielką drapieżną bestię o ociekających posoką kłach i szponach, która zabijała wszystkich na swej drodze uderzeniami łap i ogona, a także gwałtownymi falami ognia, zalewającymi całe plutony. Jasne łuski lśniły niczym gwiazdy, niemal oślepiając przeciwników odbitym światłem. Potem zauważali biegnącego u jej boku Eragona. Poruszał się szybciej, niż żołnierze mogli zareagować i z siłą przekraczającą ludzką rozszechciał jednym cięciem tarcze, wgniatał zbroje i rozcinał na pół miecze wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Wycelowane w Eragona strzały i pociski opadały na zakrwawioną ziemię dziesięć stóp przed nim, zatrzymane przez bariery.

Eragonowi - a tym samym Saphirze - trudniej było walczyć z przedstawicielami własnej rasy niż wcześniej z urgalami w Farthen Durze. Za każdym razem, gdy widział przerażoną twarz lub spoglądał w umysł żołnierza, myślał:

*To mogłem być ja.*

Lecz nie mogli sobie pozwolić z Saphira na litość. Jeśli żołnierz pojawił się przed nimi, ginął.

Trzy razy wypuszczali się naprzód i trzy razy Eragon i Saphira zabijali wszystkich ludzi w kilku pierwszych szeregach imperium, po czym wycofywali się ku oddziałom Vardenów, by nie dać się otoczyć. Pod koniec ostatniego ataku Eragon musiał osłabić bądź wyeliminować część barier otaczających Aryę, Orika, Nasuadę, Saphirę i jego samego, by zakłęcia nie wyczerpały go zbyt szybko. Choć odznaczał się ogromną siłą, wymagania, jakie stawiała przed nim bitwa, były równie wielkie.

*Gotowa* - spytał Saphirę po krótkim odpoczynku.

Smoczyca warknęła z aprobatą.

Gdy Eragon ruszył do walki, natychmiast pomknęła ku niemu chmara strzał. Szybko jak elf uskoczył przed większością - magia nie broniła go już przed podobnymi pociskami - dwanaście trzymał tarczą, po czym potknął się, gdy jedna trafiła go w brzuch, a druga w bok. Żaden z grotów nie przebił zbroi, pozbawiły go jednak tchu, pozostawiając sińce wielkości jabłek.

*Nie zatrzymuj się! Radziłeś sobie już wcześniej z dużo większym bólem* - upomniał się w duchu.

Pędząc ku grupce ośmiu żołnierzy, Eragon śmigał od jednego do drugiego, odtrącając na bok piki i dźgając Zar'rokiem niczym śmiercionośną błyskawicą. Walka jednak osłabiła jego refleks i jeden z żołnierzy zdołał przebić piką kolczugę i rozciąć mu lewy triceps.

Żołnierze skulili się, gdy Saphira ryknęła.

Eragon wykorzystał tę chwilę, by uzbroić się w energię zgromadzoną w rubinie na rękojeści Zar'roca i zabić pozostałych trzech żołnierzy.

Saphira chlasnęła ogonem tuż nad jego głową, powalając kilku stojących na drodze ludzi i zyskując mu chwilę spokoju. Eragon spojrział szybko na swe obolałe ramię.

- *Waise heill*- polecił.

Wyleczył siniaki, czerpiąc z rubinu Zar'roca, a także z brylantów na pasie Belotha Mądrego. A potem oboje ruszyli naprzód.

Eragon i Saphira zasłali Płonące Równiny stosami trupów nieprzyjaciół, jednakże imperium ani na moment nie zawahało się i nie cofnęło. Na miejsce każdego zabitego przez nich żołnierza

pojawiał się kolejny. Eragon z rosnącym poczuciem beznadziejności przyglądał się, jak zmasowane ataki żołnierzy imperium spychają Vardenów do obozowiska. Podobną rozpacz ujrzał na twarzach Nasuady, Aryi, króla Orrina, a nawet Angeli, gdy mijał ich w bitwie.

*Mimo całego szkolenia wciąż nie możemy zatrzymać ich w bitwie - wściekał się w duchu.*

Żołnierzy jest po prostu zbyt wielu. Długo już nie wytrzymamy Prawie wyczerpałem zapasy z Zar'roca i pasa.

*W razie potrzeby możesz czerpać energię z otoczenia.*

*Nie zrobię tego, chyba, że zabiję kolejnego maga Galbatorixa i pozbawię energii żołnierzy. W przeciwnym razie zaszkoziłbym tylko Vardenom, bo nie ma tu roślin i zwierząt, które mogłyby mnie podtrzymać.*

Mijały godziny.

Coraz bardziej zmęczony i obolały Eragon, pozbawiony większości magicznych środków obronnych, zebrał kilkanaście drobnych obrażeń. Lewa ręka zdrętwiała mu od niezliczonych ciosów trafiających pociętą tarczę. Zadrapania na czole, co chwila oslepiały go strumyczkami gorącej, zmieszanej z potem krwi. Wydawało mu się, że złamał sobie palec.

Saphira nie miewała się lepiej. Zbroje żołnierzy kaleczyły wewnątrz jej paszczy. Dziesiątki mieczy i strzał cięły niechronione skrzydła, a oszczep przebił jedną z płyt tarczy, raniąc ją w bark. Eragon zauważył pocisk i próbował odbić go zaklęciem, zareagował jednak zbyt wolno. Przy każdym ruchu Saphira zostawiała na ziemi setki kropel krwi.

Obok nich padło trzech wojowników Orika i dwa Kulle.

A słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

Gdy Eragon i Saphira szykowali się do siódmego i ostatniego ataku, na bodzie rozległ się głośny i wyraźny dźwięk trąb.

- Krasnoludy! - krzyknął król Orrin. - Krasnoludy są tutaj!

*Krasnoludy?*

Eragon zamrugał i rozejrzył się oszołomiony. Widział jedynie żołnierzy. Nagle zrozumiał i wezbrały w nim nowe siły.

*Krasnoludy!*

Wdrapał się na grzbiet Saphiry i smoczyca wzbija się w powietrze. Na moment zawisła na poszarpanych skrzydłach, gdy z góry oglądali pole bitwy. Istotnie, ze wschodu ku Płonącym Równinom maszerowała wielka armia. Prowadził ją król Hrothgar, odziany w złotą zbroję i wysadzany klejnotami hełm. Ścisnął w dłoni Volund, swój prastary młot.

Na widok Eragona i Saphiry krasnoludzki król uniósł go w powitalnym geście. Eragon krzyknął ile sił w płucach i odpowiedział tym samym gestem przecinając powietrze Zar'rokiem. Wiedząc, że ma wsparcie, zapomniał o swych ranach. Znów poczuł się groźny i zdecydowany. Saphira dołączyła do niego i ich głosy się złąły. Vardeni spojrzeli na nią z nadzieją, tymczasem żołnierze imperium zawahali się.

- Co widziałeś?! - krzyknął Orik, gdy smoczyca wylądowała. - Czy, to Hrothgar? Ilu wojowników przywiódł?

Niemal oszalały z ulgi Eragon stanął w strzemionach.

- Odwagi! Przybył król Hrothgar i wygląda na to, że towarzyszą mu wszystkie krasnoludy. Razem zmiażdżymy imperium! - Gdy ludzie wokół przestali wiwatować, dokończył: - Teraz chwycie za miecze i pokażcie zapchlonym tchórzom, dlaczego powinni się nas bać! Naprzód!

Saphira skoczyła ku żołnierzom, w tym momencie jednak Eragon usłyszał krzyk, tym razem dobiegający z zachodu.

- Statek! Statek płynie rzeką Jiet!

- Do diaska! - warknął.

*Nie możemy pozwolić, by dobił do brzegu, jeśli przywozi posiłki dla imperium.* Nawijając kontakt z Trianną, rzekł:

*Powiedz Nasuadzie, że zajmiemy się tym z Saphira. Jeśli statek przyplywa od Galbatorixa, zatopimy go.*

*Jak sobie życzysz, Argetlamie* - odparła czarodziejka.



Saphira bez wahania wystartowała, zataczając krąg wysoko nad zdeptaną dymiącą równiną. Gdy niekończący się zgiełk walki przestał wypełniać mu uszy, Eragon odetchnął głęboko, czując, jak przejaśnia mu się umysł. Spoglądając w dół, odkrył ze zdumieniem, jak rozproszone są obie armie. Imperium i Vardeni rozdzielili się na serie niewielkich grup, zmagających się ze sobą na całej szerokości i długości Płonących Równin.

I właśnie w ten oszalały zamęt rzuciły się krasnoludy, atakując imperium z flanki - jak to wcześniej uczyniła kawaleria Orrina.

Saphira skręciła w lewo i Eragon stracił z oczu bitwę. Poszybowali w chmurach ku rzece Jiet. Powiew wiatru uniósł z drogi torfowy dym i odsłonił wielki trzymasztowy okręt, płynący po pomarańczowej wodzie. Dwa rzędy wiosła unosiły się i opadały, walcząc z prądem. Statek był uszkodzony, podrapany, nie podniósł też flagi, deklarującej po czyjej jest stronie. Mimo wszystko Eragon szykował się już do zatopienia statku. Saphira zanurkowała, a on uniósł nad głowę Zar'roca i wydał z siebie dziki okrzyk wojenny.

## Spotkanie

Roran stał na dziobie Smoczego skrzydła nasłuchując plusku wiosel zanurzających się w wodę. Właśnie sam skończył zmianę przy wiosle i czuł promieniujący z prawego ramienia zimny szarpiący ból. Czy już na zawsze pozostanie mi ta pamiątka po Ra'zacach? Otarł pot z twarzy i nie zważając na swą dolegliwość, skupił wzrok na rzece przed nimi, przesłoniętej ciężką warstwą chmur.

Elain dołączyła do niego. Oparła dłoń na sterczącym brzuchu.

- Woda wygląda złowieszczo - powiedziała. - Może, zamiast wyruszać na poszukiwanie kłopotów, powinniśmy byli zostać w Dauth.

Roran obawiał się, że miała rację. Po przeprawie przez Oko Dzika pożeglowali na wschód od Wysp Południowych, z powrotem w stronę wybrzeża, a potem przez ujście rzeki Jiet do największego portu Surdy, Dauth. Gdy zawinęli do portu, zapasy już im się wyczerpały, a wieśniacy ciągnęli resztką sił.

Roran miał szczery zamiar zostać w Dauth, zwłaszcza po entuzjastycznym powitaniu, jakie zgotowała im zarządczyni miasta, lady Alarice.

Wówczas jednak dowiedział się o armii Galbatorixa. Gdyby Vardeni ponieśli klęskę, już nigdy nie zobaczyłby Katriny, zatem z pomocą Jeoda przekonał Horsta i wielu innych, że jeżeli pragną pozostać w Surdzie, bezpieczni poza zasięgiem imperium, muszą powiosłować w górę rzeki Jiet i wspomóc Vardenów. Było to trudne zadanie, lecz w końcu Roranowi się udało. A gdy powiedzieli lady Alarice o swych zamiarach, dostarczyła im wszystkie niezbędne zapasy.

Od tego czasu Roran często zastanawiał się, czy dokonał właściwego wyboru. Do tej chwili wszyscy znienawidzili już życie na Smoczym skrzydle. Ludzie byli spięci i drażliwi, a sytuację pogarszała dodatkowo świadomość, że płyną ku bitwie.

Czy to samolubstwo z mojej strony? - zastanawiał się Roran. Naprawdę zrobiłem to dla wszystkich wieśniaków czy też jedynie, dlatego, by o kolejny krok przybliżyć się do Katriny?

- Może powinniśmy byli - rzekł do Elain.

Patrzyli, jak nad ich głowami zbiera się gruba warstwa dymu, zasnuwając niebo, przesłaniając słońce i zabarwiając światło, tak że wszystko w dole nabrało barwy mdlącego pomarańcza. Roran nigdy nie widział podobnie niesamowitego zachodu słońca. Marynarze na pokładzie rozglądali się z lękiem, mamrocząc ochronne zaklęcia i wyciągając kamienne amulety strzegące przed złym okiem.

- Słuchaj. - Elain przekrzywiła głowę. - Co to?

Roran wyteżył słuch i dosłyszał odległy brzęk metalu uderzającego o metal.

- To dźwięk naszego przeznaczenia - rzekł i obrócił się, krzyknawszy: - Kapitanie, mamy przed sobą walczących!

- Do balist! - rozkazał Uthar. - Bondenie, przyłóżcie się tam, przy wiosłach! I niech wszyscy będą gotowi do walki, bo inaczej sam wypruję wam flaki i użyję ich zamiast poduszki.

Roran pozostał na miejscu. Za jego plecami na Smoczym skrzydle zawrzało. Mimo hałasu wciąż słyszał dźwięk zderzających się mieczy i tarcz. Teraz dołączyły do niego krzyki ludzi. I ryk olbrzymiego zwierzęcia.

Wzdrygnął się, gdy obok stanął Jeod. Kupiec był śmiertelnie blady.

- Brałeś wcześniej udział w podobnej bitwie? - spytał Roran.

Grdyka Jeoda podskoczyła, gdy przełknął ślinę i pokręcił głową.

- Często zdarzało nam się z Bromem walczyć, ale nigdy na taką skalę.

- Dla mnie to też pierwszy raz.

Warstwa dymu po prawej rozrzedziła się i ujrzeli ciemną ziemię wyrzucającą w górę ogień i cuchnące pomarańczowe opary, deptane przez zmagających się ludzi. Nie dało się stwierdzić, kto walczy dla imperium, a kto dla Vardenów, Roran jednak dostrzegł wyraźnie, że szala zwycięstwa

może jeszcze przechylić się na jedną bądź drugą stronę. Wystarczył drobny impuls. A my możemy zapewnić ów impuls.

Nagle nad wodą zabrzmiał męski głos.

- Statek! Statek nadpływa rzeką Jiet!

- Powinnaś zejść pod pokład - rzekł Roran do Elain. - Tu nie jesteście bezpieczni.

Kobieta kiwnęła głową i pośpieszyła do przedniej kłapy. Zeszła zręcznie po drabinie, zamykając za sobą wejście. Chwilę później na dziób wybiegł Horst i wręczył Roranowi jedną z tarcz Fiska.

- Pomyślałem, że ci się przyda - rzekł.

- Dziękuję, ja...

Roran urwał, bo powietrze wokół nich zawibrowało jak po potężnym uderzeniu.

Łup.

Zęby zderzyły mu się boleśnie.

Łup.

Uszy bolały po zmianie ciśnienia. Tuż po drugim uderzeniu nastąpiło trzecie..

Łup

... i rozległ się ochrypliły okrzyk, który Roran rozpoznał bez trudu, bo słyszał go wielokrotnie w dzieciństwie. Uniósł wzrok i ujrzał olbrzymiego szafirowego smoka, opadającego ze skłębionych chmur - a na grzbiecie bestii, w miejscu gdzie szyja łączy się z ramionami, siedział Eragon.

Nie był to Eragon, jakiego pamiętał. Rysy jego twarzy były wygładzone, szlachetne i miały w sobie kocią drapieżność.

Ten Eragon był odziany niczym księżę, w drogi strój i piękną zbroję, a w prawej dłoni dzierzył oślepiająco czerwone ostrze. Ten Eragon zabijał bez wahania. Ten Eragon był potężny i niewzruszony... Ten Eragon mógł pokonać Ra'zaców i ich wierzchowce, i pomóc mu ocalić Katrinę.

Smok rozłożył szerzej przezryste skrzydła, zatrzymał się i zawisł przed statkiem. Wtedy Eragon spojrział w oczy Rorana.

Do tej chwili Roran nie do końca wierzył w opowieść Jeoda o Eragonie i Bromie. Teraz, kiedy patrzył na kuzyna, zalała go fala sprzecznych emocji. Eragon jest Jeźdźcem! Wydawało mu się niepojęte, że drobny, nieco kapryśny, radosny chłopak, z którym dorastał, stał się potężnym wojownikiem. Jego widok nappełnił Rorana niespodziewaną radością, a jednocześnie, w głębi serca, wezbrał znajomy straszliwy gniew. Roran przypomniał sobie, że przez Eragona zginął Garrow i nastąpiło oblężenie Carvahall. Przez te kilka sekund nie wiedział, czy kocha kuzyna, czy też go nienawidzi. Zesztywniał ze zgrozy, gdy jego umysłu dotknęła olbrzymia obca świadomość. Z tej świadomości promieniował głos Eragona:

*Roran?*

- Tak.

*Przekaż mi swoje odpowiedzi, usłyszę je. Czy są z tobą wszyscy z Carvahall.*

*Prawie.*

*Jakim cudem?.. Nie, nie możemy teraz o tym rozmawiać. Zostańcie tu do rozstrzygnięcia bitwy, a najlepiej zawróćcie w głąb rzeki. Imperium was tam nie zaatakuje.*

*Musimy porozmawiać, Eragonie. Masz wiele do wyjaśnienia.*

Eragon zawahał się.

*Wiem, ale nie teraz. Później.*

Smok odleciał od statku i skręcił na wschód, znikając w mgłę nad Płonącymi Równinami.

- Jeździec! - rzekł z nabożnym podziwem Horst. - Prawdziwy Jeździec! Nigdy nie sądziłem, że zobaczę kogoś takiego. I w dodatku to Eragon. - Pokręcił głową. - Widać jednak powiedziałeś nam prawdę, co, Laskonogi?

Jeod uśmiechnął się.

Roran nie słuchał ich; patrzył na pokład. Miał wrażenie, że zaraz wybuchnie. Dręczyły go dziesiątki pytań, zmusił się, by o nich zapomnieć.

Nie mogę teraz myśleć o Eragonie. Musimy walczyć. Vardeni muszą pokonać imperium.

Pochłonał go nagły przypływ furii. Doświadczył go już wcześniej: szaleństwa godnego berserkera, pozwalającego pokonać wszystkie przeszkody, przesuwac przedmioty, których zwykle przesunac nie potrafil, stawic czolo wrogowi w walce, nie czujac lęku. Teraz ogarnęło go niczym gorączka w żyłach, przyspieszając oddech i sprawiając, że serce tłuło się w piersi.

Odepchnął się od burty, przebiegł wzdłuż statku na rufę, gdzie Uthar stał przy kole sterowym.

- Wpłyn na mieliznę - polecił.

- Co takiego?

- Wpłyn na mieliznę. Zostań tam z resztą żołnierzy. Balistami siejcie chaos w szeregach wroga, nie dopuście ich na pokład Smoczego skrzydła i własnym życiem strzeżcie naszych rodzin. Zrozumiałeś?

Uthar patrzył na niego obojętnie. Roran poczuł lęk, że kapitan nie przyjmie rozkazów, potem jednak porwany bliznami marynarz zsalutował.

- Tak jest, Młotoręki!

Ciężkie kroki Horsta oznajmiły zbliżanie się kowala.

- Co zamierzasz zrobić, Roranie?

- Zrobić? - Roran roześmiał się i obrócił gwałtownie, stając oko w oko z kowalem. - Zrobić? Zamierzam odmienić losy Alagaesii!

## Najstarszy

Eragon ledwie zauważył, że Saphira niesie go z powrotem w sam środek bitwy. Wiedział, że Roran gdzieś płynie, nie przyszło mu jednak do głowy, że kieruje się do Surdy. Nie oczekiwał podobnego spotkania. A oczy Rorana! Jego wzrok wwiercał się w twarz Eragona. Widział w nim pytanie, ulgę, wściekłość... oskarżenie. Eragon zrozumiał, że kuzyn dowiedział się już, jaką rolę Eragon odegrał w śmierci Garrowa, i dotąd mu nie wybaczył.

Dopiero, gdy ostrze miecza odskoczyło od jego nagolenników, Eragon otrząsnął się gwałtownie i skupił na otoczeniu. Krzyknął ochryple i ciął w dół, powalając żołnierza, który go uderzył. Przeklinając swoją nieostrożność, sięgnął myślami do Trianny.

*Nikt na tym statku nie jest naszym wrogiem. Przekaż innym, żeby ich nie atakowali. Spytaj Nasuadę, czy w ramach przysługi dla nas dwojga nie mogłaby wysłać herolda, który wyjaśni im sytuację i dopilnuje, by trzymali się na uboczu.*

*Jak sobie życzysz Argetlamie.*

Z zachodniej flanki bitwy, gdzie wylądowali, Saphira przecięła Płonące Równiny kilkoma ogromnymi skokami, zatrzymując się przed Hrothgarem i jego krasnoludami. Eragon zeskokczył z grzbietu smoczycy i podszedł do króla.

- Bądź pozdrowiony, Argetlamie! - powiedział Hrothgar. - Bądź pozdrowiona, Saphiro! Elfy uczyniły dla was więcej, niż obiecały.

Obok niego stał Orik.

- Nie, panie, to dzieło smoków.

- Naprawdę? Gdy zakończymy już krwawe dzieło, będziesz musiał opowiedzieć mi o wszystkim. Cieszę się, że przyjąłeś moją propozycję i stałeś się jednym z Durgrimsr Ingeitum. To prawdziwy honor mieć takiego krewniaka.

— Dla mnie również.

Hrothgat, chichocząc, odwrócił się do Saphiry.

— Nie zapomniałem twojej obietnicy naptawienia Isidar Mithrimu, smoku. Nawet teraz nasi mistrzowie składają na nowo gwiaździsty szafir pośrodku Tronjheimu. Nie mogę się doczekać chwili, gdy znów ujrzę go w całości.

Smoczycą pochyliła głowę.

*Jak obiecałam, tak uczynię.*

Gdy Eragon powtórzył jej słowa, Hrothgar wyciągnął palce i poklepał jedną z metalowych płyt na jej grzbiecie.

- Widzę, że nosisz naszą zbroję. Mam nadzieję, że dobrze ci służyła.

*Bardzo dobrze, królu Hrothgarze* — odparta poprzez Eragona. *Ocaliła mnie od wielu ran.*

Hrothgar wyprostował się, z błyskiem w głęboko osadzonych oczach, uniósł Volunda.

— A zacem może pomaszerujemy razem i sprawdzimy ją raz jeszcze w kuźni wojny? - Obejrzał się na swoich wojowników, krzyząc: - Akh sartos oen durgrimst!

- Vbr Hrothgarz korda! Vor Hrothgarz korda!

Eragon spojrział na Orika, który przetłumaczył, wykrzykując:

— Na miecz Hrothgara!

Eragon dołączył do krasnoludzkiego króla, pędzącego ku szkarłatnym rzędom żołnierzy z Saphira u boku. Teraz wreszcie, dzięki pomocy krasnoludów, losy bitwy odwróciły się na korzyść Vardenów. Wspólnie zaatakowali imperium, rozdzielając jego siły, miażdżąc je, zmuszając olbrzymią armię Galbatorixa, by porzuciła swe pozycje. Ich wysiłkom sprzyjał fakt, że trucizny Angeli działały coraz, mocniej. Wielu oficerów imperium zachowywało się irracjonalnie, wydając pozbawione sensu rozkazy ułatwiające Vardenom głębsze wniknięcie w ich szeregi i sianie w nich zamęt. Żołnierze najwyraźniej zaczynają dostrzegać, że nie sprzyja im już fortuna, bo setki poddawały się albo dezercerowały, zdradzając swych kompanów, albo też odrzucały broń i umykały.

Dzień przeszedł w późne popołudnie. Eragon walczył właśnie z dwoma żołnierzami, gdy nad jego głową przemknął płonący oszczep i wbił się w jeden z namiotów dowództwa imperium, stojących dwadzieścia jardów dalej. Pozbywając się przeciwników, Eragon obejrzał się i ujrzał dziesiątki ognistych pocisków wystrzeliwanych ze statku na rzece Jiet.

*Co ty planujesz, Roranie?* - spytał w duchu Eragon, ruszając w pościg za kolejną grupką żołnierzy.

Wkrótce potem na tyłach wojsk imperium rozległo się zawodzenie rogu, potem kolejne i jeszcze jedno. Kros zaczął bić w głuchy bęben i dudnienie uciszyło pole, bo wszyscy powiedli wzrokiem ku jemu źródłu. Na oczach Eragona złowieszcza postać oderwała się od horyzontu na północy i wleciała w wielobarwne niebo nad Płonącymi Równinami. Padlinożerne wrony umykały przed kanciastym czarnym cieniem, który bez ruchu balansował na prądach powietrznych. Z początku Eragon sądził, że to lethrblaka, jeden z wierzchowców Ra'zaców, potem jednak pomiędzy chmur przebił się promień słońca i oświetlił postać od strony zachodniej.

Przed sobą widzieli czerwonego smoka, połyskującego i lśniącego w blasku słońca niczym wypełnione żarem palenisko. Błony jego skrzydeł miały barwę wina trzymanego przed lampą. Szpony, zęby i szpikulce na grzbiecie jaśniały śnieżną bielą. W cynobrowych oczach płonęła straszliwa radość. Na grzbiecie miał siodło, a w nim siedział mężczyzna odziany w błyszczącą stalową zbroję i uzbrojony w półtoraręczny miecz.

Serce Eragona ścisnęło się ze zgrozy. Galbatorix zmusił do wyklucia jedno z jaj!

W tym momencie mężczyzna w zbroi uniósł lewą rękę i z jego dłoni w wystrzelił promień syczącej rubinowej energii, trafiając Hrothgara w pierś. Krasnoludscy magowie krzyknęli z bólu — próbując zablokować atak, zużyli całą energię. Runęli martwi, a potem Hrothgar chwycił się za serce i upadł powoli. Krasnoludy zakrzyknęły z rozpacz, widząc śmierć swego władcy.

- *Nie!* - krzyknął Eragon, a Saphira ryknęła głośno.

Spojrzał z nienawością na przeciwnika.

*Zabiję cię za to.*

Wiedział, że w tym stanie są oboje zbyt zmęczeni, by móc stawić czoło równie potężnemu wrogowi. Rozglądając się wokół, szybko wyszukał leżącego w błocie konia, którego bok przeszły włócznia.

Eragon położył mu dłoń na szyi, mrużąc:

- *Śpij, bracie* - po czym przeniósł, reszrę energii konia, w ciała swoje i Saphiry.

Nie było jej dość, by przywrócić wszystkie siły, ale wystarczyło do ukojenia bólu zmęczonych mięśni i powstrzymania drżenia kończyn.

Odmłodniały Eragon wskoczył na grzbiet Saphiry.

— *Oriku, przejmij dowodzenie swymi rodakami!* - krzyknął.

Po drugiej stronie pola Arya spojrzała na niego z troską. Odrzucił myśli o niej, zaciągając paski siodła wokół nóg. A potem Saphira skoczyła ku czerwonemu smokowi, w szaleńczym tempie uderzając skrzydłami, by nabrać rozpędu.

Mam nadzieję, że pamiętasz lekcje u Glaedra — rzekł, mocniej ściskając tarczę.

Smoczyca nie odpowiedziała, ale z rykiem uderzyła myślami drugiego smoka.

*Zdrajca! Pożeracz jaj, krzywoprzysięzca, morderca!*

Oboje jednocześnie przypuścili atak na umysły przeciwników, usiłując przełamać ich obronę. Eragonowi świadomość Jeźdźca wydała się dziwna, zupełnie jakby zawierała dziesiątki różnych umysłów, uwieczonych duchów błagających o uwolnienie.

W chwili, gdy nawiązali kontakt, Jeździec odpowiedział uderzeniem czystej energii większym, niż potrafił przywołać nawet Oromis. Eragon wycofał się głęboko za własne bariery, gorączkowo recytując kawałek wiersza, którego nauczył go Oromis na takie okoliczności.

*Pod pustym, szarym niebem mroźnej zimy  
Stał drobny mąż ze srebrnym mieczem w dłoni,  
Skakał, parował, dźgał w bojowym szale.  
Walczył z zebraną przed nim armią cieni...*

Napór obcej woli na umysł Eragona osłabł nagle, gdy Saphira i czerwony smok zderzyli się w powietrzu niczym dwa lśniące meteory. Smoki zaczęły się zmagać, siłować, kopać w brzuchy tylnymi nogami. Ich szpony z upiornym zgrzytem tarły o zbroje Saphiry i płaskie łuski czerwonego smoka. Czerwony smok był mniejszy niż Saphira, miał jednak potężniejsze nogi i mięśnie. Na moment odrzucił ją kopniakiem, a potem znów się zwarli, próbując zacisnąć szczęki na szyi przeciwnika.

Eragon mógł jedynie z całych sił trzymać w dłoni Zar'roca, podczas gdy smoki opadały ku ziemi, walcząc ze sobą, zadając straszliwe ciosy nogami i ogonem. Zaledwie pięćdziesiąt jardów nad Płonącymi Równinami Saphira i czerwony smok rozdzielili się i zaczęli nabierać wysokości.

Wzleciawszy w górę, Saphira odchyliła do tyłu głowę niczym gotowy do ataku wąż i wypuściła z paszczy gruby słup ognia.

Ogień jednak nie dotarł do celu. Dwanaście stóp od czerwonego smoka rozczepił się, przelatując spokojnie bokiem i nie czyniąc żadnej szkody.

*Do diaska!* — pomyślał Eragon i widząc, jak czerwony smok otwiera paszczę krzyknął:

*Skolir nosu fra brisingr!*

Zdażył w ostatnim momencie. Płomienie wezbrały wokół nich, lecz nawet nie osmaliły łusek smoczycy.

Saphira i czerwony smok ścigali się wśród warstw chmur i dalej, po czystym zimnym niebie, śmigając w przód i w tył, i próbując wspiać się ponad przeciwnika. Czerwony smok ugryzł ją w ogon; wraz z Eragonem jęknęli z bólu. Saphira, dysząc z wysiłku, wykręciła ciasną beczkę w tył, także znalazła się za smokiem, który skręcił ostro w lewo, próbując wyminąć ją spiralą.

Podczas gdy smoki walczyły dalej, wykonując coraz bardziej skomplikowane akrobacje, Eragon zorientował się, że na Płonących Równinach dzieje się coś złego. Członkowie z Du Vrangr Gata zostali zaatakowani przez dwóch nowych magów imperium. Magowie ci byli znacznie potężniejsi niż poprzednicy. Zdołali już zabić jednego z Du Vrangr Gata i przebijali się przez bariery drugiego. Eragon usłyszał w umyśle krzyk Trianny:

*Cieniobójco! Musisz nam pomóc! Nie zdołamy ich powstrzymać! Zabiją wszystkich Vardenów. Pomóż nam, to...*

Nagle głos ucichł, gdy Jeździec zaatakował jego świadomość.

-To się musi skończyć - warknął Eragon przez zaciśnięte zęby.

Nad szyją smoczycy ujrzał nurkującego ku nim czerwonego smoka, zmierzającego do brzucha Saphiry. Eragon nie śmiał otworzyć umysłu dostatecznie szeroko, by z nią porozmawiać, rzucił, zatem głośno:

- Złap mnie!

Dwoma cięciami Zar'roca pozbył się więzących nogi pasków i zeskoczył z grzbietu smoczycy. To szaleństwo, pomyślał, śmiejąc się radośnie, gdy ogarnęło go poczucie nieważkości. Pęd powietrza zdarł mu z głowy hełm i sprawił, że do oczu napłynęły piekące łzy. Eragon odrzucił tarczę, rozłożył szeroko ręce i nogi, jak nauczył go Oromis, po to by ustabilizować lot. Tymczasem zakuty w stal Jeździec zauważył, co się święci. Czerwony smok skręcił w lewo, ale nie zdołał uniknąć Eragona, który ciął na oślep oddalający się smoczy zad i poczuł, jak klinga przecina tylne więzadło, nim siła rozpędu zaniósła go niżej. Smok ryknął przeraźliwie.

Siła zderzenia podrzuciła Eragonem, który zaczął wirować w powietrzu. Nim zdołał powstrzymać obroty, pokrywa chmur została już w górze, a on leciał na śmiertelne spotkanie z Płonącymi Równinami. W razie potrzeby mógł zatrzymać się magią, ale wyczerpałby w ten sposób ostatnie zasoby energii. Obejrzał się najpierw przez jedno, potem przez drugie ramię.

*No dalej, Saphira. Gdzie jesteś?*

Jakby w odpowiedzi, smoczycą wypadła ze skłębionej chmury cuchnącego dymu. Mocno przyciskała do ciała skrzydła. Skręciła ostro, wlatując pod niego, i rozłożyła skrzydła. Ostrożnie, by nie nabić się na szpikulce Eragon z powrotem opadł na siodło, witając z radością powrót ciężenia, podczas gdy Saphira wyrównała lot.

*Nigdy więcej nie rób mi czegoś takiego.*

Przyjrzał się krwi parującej na klindze Zar'roca.

*Ale się udało, prawda?*

Jego satysfakcja zniknęła jednak, gdy uświadomił sobie, że ten atak sprawił, że Saphira znalazła się na łasce czerwonego smoka. Wróg pędził ku niej z góry, ścigając ją bezlitośnie i zmuszając, by coraz bardziej obniżała lot. Saphira próbowała go wymanewrować, ale za każdym razem nurkował ku niej, gryząc i tłukąc skrzydłami, zmuszając ją, by zmieniła kurs. Smoki zmagaly się niestrudzenie, aż w końcu języki wysunęły im się z paszcz, ogony opadły. Zrezygnowały też z uderzania skrzydłami, zado-walając się zwykłym szybowaniem.

Ponieważ otaczające umysł batiery znów nie dopuszczały nikogo, przyjaciela ani wroga, Eragon powiedział głośno:

— *Laduj, Saphiro. To na nic. Będę z nim walczył na ziemi.*

Saphira opadła z pomrukiem na najbliższy kawałek wolnego terenu, niewielki kamienny płaskowyż na zachodnim brzegu rzeki Jiet. Rzeczny nurt poczerwieniał od spływającej do niej z pola bitwy krwi. Gdy tyl-ko Saphira wylądowała na ziemi, Eragon zeskoczył z siodła, sprawdzając podłoże. Było gładkie i twarde, nie miał się, o co potknąć. Z zadowoleniem skinął głową.

Kilka sekund później czerwony smok przemknął mu nad głową i wylądował po drugiej stronie płaskowyżu. Uniósł lewą nogę, by nie otworzyć znów rany, długiego cięcia, które omal nie oderwało mięśnia. Smok dygotał niczym ranny pies. Próbował skoczyć naprzód. Nagle zatrzymał się i warknął na Eragona.

Jego Jeździec oswoił nogi i zsunął się po zdrowym boku smoka. Następnie szybko okrążył go, badając zranioną nogę.

Eragon pozwolił mu - wiedział jak wiele bólu sprawia jeźdźcowi widok obrażeń partnera. Jeździec wymamrotał kilka niezrozumiałych słów i w trzy sekundy uleczył ranę. Eragon zadrzał ze strachu. Jak mógł zrobić to tak szybko równie krótkim zaklęciem? Ale na pewno Jeździec nie był Galbatorixem, bo smok króla był czarny. Trzymając się kurczowo tej wiedzy, Eragon ruszył naprzód, aby stawić czoło Jeźdźcowi. Starli się pośrodku płaskowyżu. Tym czasem Saphira i czerwony smok krążyły z tyłu.

Jeździec chwycił oburącz swój miecz i zamachnął się nad głową. Eragon odparował cios Zar'rokiem, klingi zderzyły się w fontannie szkarłatnych iskier. A potem Eragon odepchnął przeciwnika, rozpoczynając skomplikowaną serię pchnięć. Ciął, parował, tańczył i zmuszając zakutego w stal mężczyznę do wycofania się na skraj płaskowyżu.

Gdy do niego dotarli, tamten zatrzymał się, odpierając nawet najbardziej zmyślne ataki Eragona.

*Zupełnie jakby potrafił przewidzieć każdy mój ruch* - pomyślał Eragon ze złością.

Gdyby był wypoczęty, z łatwością pokonałby Jeźdźca. Teraz jednak nie potrafił się przebić. Tamtemu brakowało szybkości i siły elfa, lecz jego umiejętności techniczne były lepsze niż Vanira i dorównywały umiejętnościom Eragona.

Eragon z nagłym lękiem stwierdził, że ostatnia fala energii zaczyna opadać, a tymczasem nie udało mu się osiągnąć niczego prócz lekkiego zadraśnięcia lśniącego napierśnika Jeźdźca. Ostatnie zapasy mocy tkwiące w rubinie Zar'roca i pasie Belotha Mądrego wyszarczyły tylko, by podtrzymać jego siły przez następną minutę. Potem Jeździec postąpił krok naprzód. I następny. Nim Eragon się zorientował, powrócili na środek płaskowyżu. Stali tam naprzeciwko siebie, wymieniając ciosy.

Zar'roc ciążył mu w dłoni. Eragon ledwie go unosił. Czuł palący ból w ramieniu, dyszał głośno, po twarzy spływały strużki potu. Nawet pragnienie pomszczenia Hrorhgara nie potrafiło dłużej zwalczyć wyczerpania.

W końcu poślizgnął się i upadł. Przeturlał się, zerwał na nogi i dźgnął Jeźdźca, który odparował Zar'roca leniwym lekkim ciosem.

To, jak potem obrócił miecz, kreśląc nim szybki młyniec z boku, nagle wydało się Eragonowi znajome, tak jak cały wcześniejszy pojedynek.

Z rosnącą zgrozą przyglądał się półtoraręcznemu mieczowi przeciwnika, potem spojrzał w szczelinę błyszczącego niczym zwierciadło hełmu.



- Ja cię znam! - krzyknął.

Rzucił się na jeźdźca; blokując między ich ciałami oba miecze i wbijając palce pod hełm, zerwał go gwałtownie. Przed nim, pośrodku płaskowyżu, na skraju Płonących Równin Alagaesii, stał Murtagh.

## Dziedzictwo

Murtagh uśmiechnął się szeroko.

- Thrysta vindr- rzucił i czarna kula powietrza zgęstniała między nimi, uderzając Eragona w sam środek piersi i odrzucając dwadzieścia stóp dalej.

Łądując na plecach, Eragon usłyszał warknięcie Saphiry, przed oczami rozbłysły mu czerwone i białe plamy, a potem zwinął się w kłębek, czekając na ustąpienie bólu. Wszelka radość, jaką poczuł na widok cudownie ożywionego Murtagha, zniknęła w obliczu makabrycznych okoliczności ich spotkania. Poczuł, jak wzbiera w nim wybuchowa mieszanina szoku, zamętu i gniewu.

Murtagh opuścił miecz, wycelował w Eragona zakutą w stal dłoń, zwijając wszystkie palce, prócz wskazującego, w kolczastą pięść.

- Nigdy się nie poddajesz.

Eragon poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz rozpoznał, bowiem, scenę ze swej wizji podczas spływu Az Ragni do Hedarth: Mężczyzna leżący w rozbełtanym błocie, odziany w zakrwawioną kolczugę i pogiętym hełmie, jego twarz przesłaniała uniesiona ręka. Dłoń tu zbroi pojawiająca się w polu widzenia Eragona i wskazująca powalonego mężczyznę z władczością godną samego losu. Przeszłość i przyszłość zlały się w jedno. Teraz miał się rozstrzygnąć los Eragona.

Wstając, zakasłał głośno.

- Murtagh... jakim cudem ty żyjesz? Widziałem, jak urgale zawlokły cię pod ziemię. Próbowałem cię postrzegać, lecz widziałem tylko ciemność.

Murtagh roześmiał się.

- Nic nie widziałeś, tak jak ja nic nie widziałem, gdy próbowałem cię postrzegać podczas dni spędzonych w Uru'baenie.

- Ale ty zginąłeś! - krzyknął Eragon. - Zginąłeś pod Farthen Durem. Arva znalazła w tunelach twoje zakrwawione ubranie.

Na twarz Murtagha padł cień.

- Nie.. nie zginąłem. To dzieło Bliźniaków, Eragonie. Przejęli kontrolę nad grupką urgali i zaaranżowali zasadzkę po to, by zabić Ajihada i mnie pojmać. Potem rzucili na mnie czar, niepozwalający mi uciec, i dostarczyli do Uru'baenu.

Eragon pokręcił głową, wciąż nie mogąc pojąć co się stało.

- Ale czemu zgodziłeś się służyć Galbatorixowi? Mówiłeś mi, że go nienawidzisz. Mówiłeś...

- Zgodziłem się? - Murtagh znów się roześmiał. Tym razem w jego śmiechu dzwięczała nuta szaleństwa. - Na nic się nie zgadzałem. Najpierw Galbatorix ukarał mnie za to, że wzgardziłem latami ochrony, jaką mi zapewniał, gdy dorastałem w Uru'baenie, za sprzeciwienie się jego woli i ucieczkę. Potem wydobył ze mnie wszystko, co wiedziałem o tobie, Saphirze i Vardenach.

- Zdradziłeś nas! ja cię oplakiwałem, a ty nas zdradziłeś!

- Nie miałem wyboru.

- Ajihad miał rację, że cię zamknął. I powinien był pozwolić ci zgnić w celi, wówczas nic z tego...

- Nie miałem wyboru - warknął Murtagh. - A potem, kiedy Cierń wyklął się dla mnie, Galbatorix zmusił nas obu do przysięgnięcia mu wierności w pradawej mowie. Teraz nie możemy go nie słuchać.

Eragon poczuł niesmak i litość.

- Stałeś się swoim ojcem. - w oczach Murtagha rozbłysło dziwne światło.

- Nie, nie ojcem. Jestem silniejszy, niż kiedykolwiek był Morzan. Galbatorix nauczył mnie magii, o jakiej nawet nie śniłeś... Zaklęć tak potężnych, że tchórzliwe elfy nie śmiały ich wypowiedzieć. Słów w pradawej mowie zaginionych do czasu, aż Galbatorix odkrył je na nowo,

metod manipulowania energią... Tajemnic, straszliwych tajemnic, które mogą zniszczyć wroga i spełnić wszelkie twe pragnienia.

Eragon powrócił pamięcią do niektórych lekcji Oromisa.

- Tego, co powinno zostać tajemnicą.

- Gdybyś tylko wiedział, nie mówiłbyś tak. Brom był zwykłym amtorem, niczym więcej. A elfy, ba! Potrafią tylko ukrywać się w swym lesie i czekać, aż ktoś je podbije. - Murtagh zmierzył wzrokiem Eragona - sam wyglądasz teraz jak elf, Islanzadi ci to zrobiła?

Gdy Eragon odpowiedział, Murtagh uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Zresztą nieważne, wkrótce i tak poznam prawdę. - Zmarszczył brwi i spojrzał na wschód.

Podążając za jego spojrzeniem, Eragon ujrzał Bliźniaków stojących na czele wojsk imperium, ciskających kule energii w sam środek armii Vardenów i krasnoludów. Zasłony dymu nie pozwalały tego stwierdzić, lecz Eragon był pewien, że łysi magowie uśmiechają się szeroko i śmieją w głos, mordując ludzi, którym poprzysięgli kiedyś wieczną przyjaźń. Było jednak coś, czego nie dostrzegli - a co Eragon i Murtagh widzieli wyraźnie ze swego miejsca na wzgórzu: podkładał się do nich, Roran.

Serce Eragona na moment ustało, gdy rozpoznał kuzyna.

*Ty głupcze! Wynoś się stamtąd! Zabiją cię!*

W chwili, gdy otworzył usta, by nie zważając na koszty, rzucić zaklęcie, które przeniosłoby Rorana na bezpieczną odległość od Bliźniaków Murtagh przeszkodził mu.

- Zaczekaj. Chcę zobaczyć, co zrobi.

- Czumu?

Na twarzy Murtagha zatańczył ponury uśmiech.

- Bliźniacy z zapalem torturowali mnie, gdy byłem ich jeńcem.

Eragon zerknął na niego.

- Nie skrzywdzisz go? Nie ostrzeżesz Bliźniaków?

- Vel edhradhin iet ai Shur'tugal. Daję słowo Jeźdźca.

Razem patrzyli, jak Roran ukrywa się za stosem trupów. Eragon zeszywniał, gdy Bliźniacy obejrzeni się ku niemu. Przez chwilę zdawało się, że go dostrzegli, potem jednak się odwrócili. Roran skoczył naprzód, zamachnął się młotem i uderzył w głowę bliższego z Bliźniaków, miażdżąc mu czaszkę. Drugi Bliźniak runął na ziemię w drgawkach i wydał okrzyk. A potem on także padł pod młotem Rorana. Roran oparł stopę o trupy swych wrogów, uniósł nad głowę młot i zakrzyknął zwycięsko.

- Co teraz? - zapytał Eragon i się obrócił. - Jesteś tu po to, by mnie zabić.

- Oczywiście, że nie. Galbatorix chce cię mieć żywego

- Po co?

Usta Murtagha wygięły się.

- Nie wiesz? Ha! To dopiero żart. Nie chodzi o ciebie, chodzi o nią - palcem w stronę Saphiry. - Smok wewnątrz jaja w skarbcu Galbatorixa, ostatniego smoczego jaja na tym świecie, to samiec. Saphira jest żyjącą smoczą. Tylko ona może zostać matką całej swej rasy. Nie rozmiesz? Galbatorix nie chce wybić smoków. Chce z pomocą Saphiry odtworzyć Jeźdźców. Nie może was zabić, ani ciebie, ani jej, jeśli jego wizja ma się spełnić... A cóż to za wspaniała wizja, Eragonie. Powinieneś usłyszeć, jak ja opisuje. Wówczas nie myślałbyś o nim tak źle. Czy to złe, że chce zjednoczyć Alagaesię pod jednym sztandarem? Na zawsze zakończyć wojny i odtworzyć Jeźdźców?

- Przecież to on ich zniszczył!

- I nie bez powodu - oświadczył Murtagh. - Byli starzy, tłuści i zepsucim Elfy kontrolowały ich i z ich pomocą podporządkowywały sobie ludzi, trzeba było ich usunąć, by móc zacząć wszystko od początku.

Rysy Eragona wykrzywił wściekły grymas. On sam zaczął krążyć tam i z powrotem, dysząc ciężko. Gestem wskazał wciąż trwającą bitwę.

- Jak możesz usprawiedliwiać bredniami szaleńca wywołanie tak wielu cierpień! Galbatorix jedynie pali, morduje i wzmacnia swą władzę. On.. Zabija.. Manipuluje.. Przecież o tym wiesz! To,

dlatego nie chciałeś mu służyć. — Eragon urwał i dodał łagodniejszym tonem. — Rozumiem, że kazał ci działać wbrew twojej woli i nie odpowiadasz za śmierć Hrothgara, możesz jednak spróbować uciec. Wraz z Aryą z pewnością znaleźlibyśmy sposób zneutralizowania zaklęć, którymi was zniewolił. Dołącz do mnie, Murtaghu. Tak wiele możesz zdziałać dla Vardenów. Z nami będziecie podziwiani i wychwalani, a nie.. przeklinani i znieawidzeni.

Przez chwilę, gdy Murtagh patrzył w dół, zerkając na wyszczerbiony miecz, Eragon miał nadzieję, że się zgodzi.

- Nie możesz mi pomóc, Eragonie - powiedział cicho. - Nikt prócz Galbatorixa nie może zwolnić nas z przysięgi. A on nigdy tego nie uczyni.. Zna nasze prawdziwe imiona, Eragonie. Jesteśmy jego niewolnikami.

Choć bardzo pragnął, Eragon nie potrafił zaprzeczyć, że współczuje Murtaghowi.

- Zatem pozwól, abyśmy zabili was obu — rzekł z przejmującą powagą.

- Czemu mielibyśmy na to pozwolić?

Eragon starannie dobierał słowa.

- To uwolniłoby was spod kontroli Galbatorixa i ocaliło życie setek, a może tysięcy ludzi. Czyż to nie dość szlachetny cel, by się poświęcić?

Murtagh pokręcił głową.

- Może dla ciebie, ale dla mnie życie wciąż ma zbyt wiele słodyczy, bym chciał się z nim rozstać. A życie nikogo obcego nie jest ważniejsze niż Ciernia lub moje.

Choć tego nienawidził, a także całej sytuacji, Eragon wiedział, co musi zrobić. Podejmując na nowo atak na umysł Murtagha, skoczył naprzód, odbijając się od ziemi, próbując przebić mieczem serce przeciwnika.

- Letta! - warknął Murtagh.

Eragon opadł na ziemię. Niewidzialne więzy spętały jego ramiona i nogi. Saphira wyrzuciła z paszczy strumień ognia i skoczyła na Murtagha niczym kotka na mysz.

- Rdsa! - polecił Murtagh, wysuwając szpony, jakby chciała ją złapać.

Smoczyca zawyla zaskoczona, gdy zaklęcie Murtagha zatrzymało ją w powietrzu. Wisiała kilkanaście stóp nad ziemią, próbując się uwolnić, lecz choć wiała się i szarpała, nie mogła dotknąć ziemi ani wzbić się wyżej.

*Jak on wciąż może być człowiekiem i dysponować tak wielką siłą?* - myślał szybko Eragon. *Mimo moich nowych zdolności coś takiego zwałoby mnie z nóg.*

Wiedziony doświadczeniem w przełamywaniu zaklęć Oromisa, rzekł głośno:

- Brakka du vanyalf sem huildar Saphira un eka!

Murtagh nie próbował go nawet powstrzymać. Spojrzał tylko chłodno, jakby próby oporu Eragona stanowiły jedynie bezsensowne utrapienie. Eragon odsłonił zęby, zwiększając wysiłek. Zziębły mu dłonie, bolały wszystkie kości, puls zwolnił, gdy magia wysysała zeń energię. Saphira bez słowa złączyła z nim siły, dając mu dostęp do olbrzymich zapasów jej ciała.

Minęło pięć sekund...

Dwadzieścia sekund... Na szyi Murtagha zaczęła pulsować gruba żyła.

Minuta...

Półtorej minuty...

Eragonem wstrząsnęły drgawki. Mięśnie i ścięgna zdrząły, napięte do ostateczności. Gdyby nie zaklęcie Murtagha, ugięłyby się pod nim nogi.

Dwie minuty...

W końcu Eragon musiał uwolnić magię. Ryzykował, że straci przytomność i runie w otchłań. Wyczerpany, oklapł, dysząc głośno.

Wcześniej czuł strach, ale tylko dlatego że sądził, że może przegrać. Teraz bał się, bo nie wiedział, do czego jest zdolny Murtagh.

- Nie możesz nawet liczyć, że zdołasz mi dorównać - rzekł Murtagh. - Nikt tego nie potrafi prócz Galbatorixa.

Podszedł do Eragona i zadrasnął jego szyję. Eragon nawet nie drgnął.

- Łatwo byłoby zabrać cię teraz do Uru'baenu.

Eragon spojrział mu w oczy.

- Nie rób tego, pozwól mi odejść.

- Przed chwilą próbowałeś mnie zabić.

- A ty na moim miejscu zrobiłbyś to samo. - Gdy Murtagh milczał z twarzą pozbawioną wyrazu, Eragon dodał: - Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, walczyliśmy razem. Galbatorix nie mógł odmienić cię do tego stopnia, byś o tym zapomniał. Jeśli to zrobisz, Murtaghu, będziesz stracony na zawsze.

Minęła co najmniej minuta. Do ich uszu docierał daleki szczełk broni i krzyki ścierających się armii. Po szyi Eragona spływała krew. Saphira machnęła ogonem w bezsilnej furii. Wreszcie Murtagh przemówił:

- Rozkazano mi spróbować pojmać ciebie i Saphirę. Spróbowałem... Bacz, byście nigdy więcej nie weszli mi w drogę. Galbatorix z pewnością zmusi mnie do złożenia dodatkowych przysięg w pradawnej mowie, które nie pozwolą mi okazać wam litości w razie następnego spotkania.

- Postępujesz słusznie. - Eragon próbował się cofnąć, nadal jednak tkwił w miejscu.

- Może. Ale zanim cię wypuszczę... - Murtagh wyszarpnął z pięści Eragona Zar'roca i odpiął od pasa Belotha Mądrego czerwoną pochwę. - Skoro stałem się moim ojcem, wezmę jego klingę. Mój smok to Cierń i stanie się cierniem dla wszystkich naszych wrogów, słuszne jest zatem, bym wziął jego miecz Nieszczęście. Nieszczęście i Cierń, dobrana para. Poza tym Zar'roc powinien trafić do rąk najstarszego syna Morzana, nie jego najmłodszego. Należy mi się prawem starszeństwa.

Żołądek Eragona ścisnął się w lodowatą kulę. Nie może być! Twarz Murtagha rozjaśnił okrutny uśmiech.

- Nigdy nie wspomniałem ci imienia mojej matki, prawda? A ty nie mówiłeś, jak nazywa się twoja. Powiem więc teraz: Selena. Selena była moją i twoją matką. Nasz ojciec to Morzan. Bliźniacy domyślili się, gdy grzebali ci w głowie. Galbatorixa bardzo zainteresowała ta szczególna informacja.

- Kłamiesz! - krzyknął Eragon. Nie mógł znieść myśli, że może być synem Morzana. *Czy Brom wiedział? Czy Oromis wie?... Czemu mi nie powiedzieli?*

Nagle przypomniał sobie przepowiednię Angeli, że ktoś z rodziny go zdradzi. Miała rację.

Murtagh pokręcił głową i powtórzył swe słowa w pradawnej mowie. Następnie pochylił się i szepnął Eragonowi do ucha:

- Ty i ja jesteśmy tacy sami, Eragonie. Niczym dwa zwierciadlane odbicia. Nie możesz temu zaprzeczyć.

- Mylisz się - warknął Eragon, zmagając się z zakłębieniem. - W ogóle nie jesteśmy podobni. Ja nie mam już blizny na plecach.

Murtagh wzdrygnął się jak użądłony. Jego twarz stężała. Uniósł Zar'roca i przyłożył do piersi.

- Niechaj tak będzie. Odbieram ci moje dziedzictwo, bracie. Żegnaj.

Podniósł z ziemi hełm i dosiadł Ciernia. Nie spojrział na Eragona. Jego smok przykucnął, rozłożył skrzydła i odleciał z wyżyny na północ. Dopiero gdy Cierń zniknął za horyzontem, pętająca Eragona i Saphirę magiczna sieć zniknęła.

Szpony smoczycy uderzyły głośno o kamień, gdy wylądowała ciężko. Podpełzła do Eragona i dotknęła pyskiem jego ramienia.

*Dobrze się czujesz, mój mały?*

*Nic mi nie jest.*

Ale tak nie było i oboje o tym wiedzieli.

Eragon podszedł na skraj płaskowyżu i powiódł wzrokiem po Płonących Równinach, oglądając krajobraz po bitwie. Bitwa bowiem dobiegła końca. Po śmierci Bliźniaków Vardeni i krasnoludy odzyskali utraconą przewagę i zdołali rozbić formację oszołomionych żołnierzy wroga, spychając ich do rzeki bądź przeganiając tam skąd przyszli.

Choć większa część armii imperium pozostała nietknięta, jej wodzowie ogłosili odwrót. Bezwątpienia zamierzali się przegrupować i przygotować do drugiej próby najazdu na Surdę. Za

sobą pozostawili stosy trupów, dosyć ludzi i krasnoludów, by zaludnić całe miasto. Ze zwłok wrzuconych do torfowych ognisk bił w niebo ciężki czarny dym.

Teraz, gdy walki dobiegły końca, sokoły, orły, kruki i wrony opadły na pole niczym całun.

Eragon zamknął oczy. Po policzkach spływały mu łzy.

Wygrali, ale on przegrał.

## Znów razem

Eragon i Saphira wędrowali między trupami zaścielającymi Płonące Równiny. Poruszali się wolno, wyczerpani i poranieni. Po drodze natykali się na innych ocalonych, kuśtykających po wypalonym polu walki, mężczyzn o zapadniętych oczach, którzy patrzyli, nie widząc, spoglądając wdał.

Teraz, gdy żądza krwi opadła, Eragon czuł wyłącznie smutek. Walka wydała mu się zupełnie bezsensowna.

*Co za tragedia, że tak wielu musi zginąć, by pokonać jednego szaleńca.*

Zatrzymał się, by ominąć gąszcz wbitych w błoto strzał, i dostrzegł ranę na ogonie Saphiry, w miejscu gdzie ugryzł ją Cierń, i inne obrażenia.

*Użyj mi swojej siły, uleczę cię.*

*Najpierw zajmij się śmiertelnie rannymi.*

*Jesteś pewna*

*Całkowicie pewna, mój mały.*

Ustąpił i pochylił się, lecząc rozdartą szyję żołnierza. Następnie przeszedł do jednego z Vardenów. Nie wyróżniał przyjaciół ani wrogów, lecząc jedych i drugich do granic swych umiejętności.

Eragon był tak bardzo zaprzątnięty własnymi myślami, że nie zwracał zbyt uwagi na swą pracę. Tak bardzo chciałby zaprzeczyć słowom Murtagha, lecz wszystko, co tamten mówił o swej matce - ich matce - pasowało do nielicznych drobiazgów, które Eragon o niej wiedział: Selena opuściła Carvahall dwadzieścia parę lat temu, powróciła, by urodzić Eragona, i nigdy więcej jej nie widziano. Wrócił pamięcią do dnia, gdy wraz z Murtaghem przybyli do Farthen Duru. Murtagh opowiadał wówczas jak jego matka zniknęła z zamku Morzana, gdy on ścigał Broma, Jeoda i jajo Saphiry.

*Po tym, jak Morzan cisnął Zar'rokiem w Murtagha i omal go nie zabił, matka musiała ukryć ciazę, wrócić do Carvahall, by chronić mnie przed Morzanem i Galbatorixem.*

Świadomość, że Selena tak bardzo go kochała, dała radość Eragonowi ale, niestety, poczuł smutek, wiedząc, że matka nie żyje i nigdy już się nie spotkają. Od dziecka żywił słabą nadzieję, że być może znajdzie gdzieś swych rodziców. Nie pragnął już poznać ojca, żałował jednak gorzko, że pozbawiono go szansy zbliżenia się do matki.

Od czasu, gdy dorósł na tyle, by zrozumieć, że jest przybranym dzieckiem Garrowa, Eragon zastanawiał się, kim był jego ojciec i czemu matka zostawiła go u brata i jego żony Marian. Teraz, kiedy odpowiedzi na te pytania udzieliło mu tak niespodziewane źródło i w tak niestosownej chwili, wciąż zmagał się z nimi, próbując je sobie przyswoić. Wiedział, że będzie potrzebował miesięcy, jeżeli nie lat, by pogodzić się z prawdą.

Eragon zawsze zakładał, że ucieszy się, poznając imię swego ojca, teraz jednak wiedza ta budziła w nim wstręt. Kiedy był młodszy, często zabawiał się marzeniami, że ojciec to ktoś ważny i bogaty, choć zdawał sobie sprawę, że najprawdopodobniej jest wprost przeciwnie. Mimo wszystko jednak, nawet w najbardziej szaleńczych marzeniach nie przyszło mu do głowy, że mógł być synem Jeźdźca, a co dopiero Zaprzysiężonego.

Marzenie stało się koszmarem.

*Splodził mnie potwór... To mój ojciec zdradził Jeźdźców dla Galbatorixa.*

Ta myśl sprawiła, że Eragon poczuł się nieczysty.

Ale nie... Lecząc złamany kręgosłup żołnierza, ujrzał nagle całą sytuację w innym świetle, przywracającym mu częściowo spokój ducha. Być może Morzan mnie splodził, ale nie jest moim ojcem. Moim ojcem jest Garrow. On mnie wychował. Nauczył, jak dobrze i godnie żyć. Jestem kim jestem dzięki niemu. Nawet Brom i Oromis byli. dla mnie bardziej ojcem niż Morzan. A moim bratem jest Roran, nie Murtagh.

Eragon pokiwał głową, zdecydowany zachować tę opinię. Wcześniej aż do tej chwili, nie potrafił do końca zaakceptować Garrowa jako swego ojca. Teraz, choć Garrow nie żył, wizja ta przyniosła Eragonowi ulgę, poczucie spełnienia. Pomogła złagodzić wstrząs towarzyszący odkryciu.

*Zmądrzałeś - zauważyła Saphira.*

*Zmądrzałem?*

Pokręcił głową.

*Nie, po prostu nauczyłem się myśleć. Przynajmniej tyle dał mi Oromis.*

Eragon starł z twarzy leżącego na ziemi chłopca warstwę brudu, upewniając się, że naprawdę nie żyje, po czym wyprostował się i wzdygnął, gdy mięśnie zaprotestowały gwałtownie.

*Chyba zdajesz sobie sprawę, że Brom musiał o tym wiedzieć? Inaczej, po co ukrywałby się w Carvahall, czekając na twoje wyklucie?...*

*Chciał mieć oko na syna swego wroga.*

Myśl, że Brom mógł uważać go za zagrożenie, wstrząsnęła Eragonem.

*I miał rację. Spójrz tylko, co mnie spotkało.*

Saphira chuchnęła na niego. Powiew gorącego powietrza wzburzył mu włosy.

*Pamiętaj, że niezależnie od swych zamiarów, Brom zawsze starał się chronić nas przed niebezpieczeństwem. Zginął, ratując cię przed Ra'zacami.*

*Wiem... Myślisz, że nie powiedział mi o tym, bo się bał, że mogę pójść w ślady Morzana, tak jak Murtagh?*

*Oczywiście, że nie.*

Spojrzał na nią, zaciekawiony.

*Skąd ta pewność?*

Smoczyca uniosła głowę wysoko nad niego, nie patrząc mu w oczy. Nie odpowiedziała.

*Niech ci będzie.*

Eragon ukląkł obok jednego z ludzi króla Orrina, z brzucha którego sterczała strzała. Chwyił go za rękę, powstrzymując drgawki.

- Spokojnie.

- Wody - wyjęczał mężczyzna. - Zlituj się, proszę, wody. Gardło mam suche niczym piasek. Proszę, Cieniobójco. - Jego twarz była mokra od potu.

Eragon uśmiechnął się, próbując go pocieszyć.

- Mogę dać ci się napić, ale będzie lepiej, jeśli zaczekasz aż cię ulecę. Możesz poczekać? Jeżeli tak, obiecuję, że po wszystkim dostaniesz tyle wody ile zechcesz.

- Obiecujesz, Cieniobójco?

- Obiecuję.

Mężczyzna wykrzywił usta pod wpływem kolejnej fali bólu.

- Skoro trzeba...

Z pomocą magii Eragon wyciągnął drzewce, po czym wraz z Saphirą zajęli się naprawianiem wnętrza mężczyzny, wykorzystując do zaklęcia część energii postrzelonego żołnierza. Wszystko to trwało kilka minut.

Mężczyzna obejrzał brzuch, przyciskając dłonie do nieskazitelnie gładkiej skóry, spojrzał na Eragona, w oczach zakręciły mu się łzy.

- Ja... Cieniobójco, ty...

Eragon wręczył mu bukłak.

- Proszę, zatrzymaj go. Potrzebujesz go bardziej niż ja.

Sto jardów dalej przebili się z Saphirą przez ścianę gryzącego dymu, i ujrzeli Orika i dziesięć innych krasnoludów, w tym kobiety, zgromadzonych wokół ciała Hrothgara, który leżał na czterech tarczach, odziany we wspaniałą złotą kolczugę. Krasnoludy szarpały i wyrywały sobie włosy biły się w piersi i zawodziły pod niebiosami. Eragon skłonił głowę.

- Stydja unin mor'ranr, Hrothgar Kónungr.

Po chwili Orik dostrzegł ich i wstał. Twarz miał czerwona od płaczu zazwyczaj starannie splecioną brodę potarganą. Podszedł chwiejnie do Eragona.



- Zabiłeś tchórza, który za to odpowiada? - spytał bez ogródek.

- Uciekł mi. - Eragon nie był w stanie zmusić się do wyjaśnień, że tym Jeźdźcem był Murtagh.

Orik uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Barzuln!

- Ale przysięgam ci na wszystkie kamienie Alagaesii, że jako Durgrimst Ingeitum zrobię wszystko, by pomścić śmierć Hrothgara.

- Owszem, poza elfami tylko ty masz dość sił, by wymierzyć ohydnemu mordercy sprawiedliwość. A kiedy go znajdziesz, zmiażdż mu kości na pył, Eragonie, wyrwij zęby i napełnij żyły roztopionym ołowiem. Spraw, by cierpiał za każdą minutę życia Hrothgara, której go pozbawił.

- Czy to nie była dobra śmierć? Czy Hrothgar nie chciał zginąć w bitwie, z Volundem w dłoni?

- W bitwie, o tak, z uczciwym wrogiem, stojąc i walcząc jak mężczyzna. Ale nie zginąć od sztuczek magów. - Orik pokręcił głową, obejrzał się na Hrothgara, po czym splótł ręce na piersi i opuścił nisko głowę, tak że podbródkiem dotknął obojczyka. Odetchnął głęboko. - Gdy moi rodzice zmarli na ospę, Hrothgar dał mi nowe życie. Zabrał na swój dwór, uczynił następcą. Jego śmierć... - Krasnolud uszczypnął się w grzbiet nosa, ściskając go między kciukiem i palcem wskazującym, i zakrywając dłonią twarz. - Zupełnie jakbym stracił drugiego ojca.

Dźwięczący w głosie Orika smutek był tak wyraźny, że Eragon miał wrażenie, jakby udzielił się też jemu samemu.

- Rozumiem - rzekł.

- Wiem, że rozumiesz, Eragonie. Wiem. - Po chwili Orik otarł oczy i wskazał gestem dziesiątkę krasnoludów. - Nim zrobimy cokolwiek innego, musimy odwieźć Hrothgara do Farthen Duru, by mógł spocząć wśród swych przodków. Durgrimst Ingeitum musi wybrać nowego grimstboritha, a potem trzynastu przywódców klanów. Będą w tym ci, których tu widzisz. Wybierze naszego nowego króla. Nie wiem, co stanie się dalej. Ta tragedia ośmieliła część klanów, a inne zwróciło przeciw naszej sprawie. - Pokręcił głową.

Eragon położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie martw się teraz o to. Wystarczy, byś poprosił, a moja ręka i wola wesprą cię nawet w najcięższej chwili. Jeśli chcesz, przyjdź do mego namiotu. Odbijemy baryłkę miodu i wypijemy toast za pamięć Hrothgara.

- Z radością, ale jeszcze nie teraz. Dopiero gdy skończymy błagać bogów, by pozwolili Hrothgarowi przejść bezpiecznie do zaświatów.

Orik zostawił Eragona i wrócił do kręgu krasnoludów, dołączając do ich śpiewów.

Ruszyli dalej przez Płonące Równiny.

*Hrothgar był wielkim królem* - powiedziała Saphira.

*Owszem, i dobrym krasnoludem.* Eragon westchnął. *Powinniśmy znaleźć Arye i Nasuadę. W tej chwili nie jestem już w stanie uleczyć nawet skaleczenia, a one muszą się dowiedzieć o Murtaghu.*

*Tak.*

Zataczając szeroki łuk, skręcili na południe w stronę obozowiska Vardenów, ale pokonali zaledwie kilka jardów, gdy Eragon ujrzał nadchodzącego znad rzeki Jiet Rorana. Wraz z kuzynem powróciły obawy. Roran stanął przed Eragonem w szerokim rozkroku i spojrzał na kuzyna.

Uderzył go pięścią w podbródek.

Eragon mógł uniknąć tego ciosu, pozwolił jednak, by osiągnął cel. Cofnął się odrobinę, żeby Roran nie połamał sobie kostek. Mimo to uderzenie wciąż bolało.

Skrzywił się i spojrzał na kuzyna.

- Chyba na to zasłużyłem.

- Owszem. Musimy porozmawiać.

- Teraz?

- To nie może czekać. Ra'zacowie porwali Katrinę i potrzebuję twojej pomocy, by ją ocalić. Jest u nich w niewoli, a my opuściliśmy Carvahall.

*A zatem o to chodzi.*

W jednej sekundzie Eragon zrozumiał, czemu Roran był tak ponury i zdeterminowany i dlaczego sprowadził ze sobą do Surdy całą wioskę. Brom miał rację, Galbatorix posłał z powrotem Ra'zaców do doliny Palancar. Eragon zmarszczył brwi, rozdarty między głosem krwi, nakazującym pomóc Roranowi, a obowiązkiem złożenia meldunku Nasuadzie.

- Najpierw muszę coś załatwić, potem porozmawiamy. Zgoda? Jeśli chcesz, możesz mi towarzyszyć.

- Pójdę z tobą.

Gdy pokonywali kolejne niewielkie zagłębienie, Eragon kątem oka przyglądał się Roranowi.

- Tęskniłem za tobą - rzekł cicho.

Roran potknął się i skinął głową. Po kilku krokach spojrzął na niego.

- To Saphira, prawda? Jeod mówił, że tak ma na imię.

- Owszem.

Saphira zerknęła na Rorana lśniącem okiem. Zniósł to, nie odwracając głowy. Niewielu ludzi było stać na podobny wyczyn.

*Zawsze chciałam spotkać towarzysza z gniazda Eragona.*

- Ona mówi! - wykrzyknął Roran, kiedy Eragon przetłumaczył mu jej słowa.

Tym razem Saphira zwróciła się wprost do niego.

*A co, sądziłeś, że jestem niema jak skalny jaszczur?*

Roran zamrugał.

- Proszę o wybaczenie. Nie wiedziałem, że smoki są tak inteligentne. - Ponury uśmiech wykrzywił mu usta. - Najpierw Ra'zacowie i magowie, teraz krasnoludy, Jeźdźcy i gadający smok. Zupełnie jakby cały świat oszalał.

- Na to wygląda.

- Widziałem, jak walczyłeś z tamtym Jeźdźcem. Zraniłeś go? To dlatego uciekł?

- Zaczekaj, wszystkiego się dowiesz.

Gdy dotarli do pawilonu, Eragon uniósł tkaninę przy wejściu i wśliznął się do środka. Za nim podążali Roran i Saphira, która wepchnęła do środka głowę. Pośrodku namiotu na skraju stołu siedziała Nasuada. Pozwoliła służącej zdjąć z siebie poskręcane zbroję i toczyła zaciętą dyskusję z Aryą. Rany na jej udzie zniknęły.

Na widok przybyszów Nasuada zamilkła w pół zdania, podbiegła do nich i zarzuciła Eragonowi ręce na szyję.

- Gdzie byliście?! - wykrzyknęła. - Sądziłyśmy, że już nie żyjecie, albo jeszcze gorzej.

- Nie do końca.

- Świeca wciąż płonie - mruknęła Arya.

Nasuada cofnęła się o krok.

- Nie widzieliśmy, co stało się z tobą i Saphirą, kiedy wylądowałeś na wyżynie. Gdy czerwony smok odleciał, a wy się nie pojawiliście, Arya usiłowała nawiązać z wami kontakt. Nie udało się i założyliśmy... - Umilkła - Właśnie zastanawialiśmy się, jak najlepiej przeprowadzić przez rzekę Du Vrangr Gata i całą kompanię wojowników.

- Przykro mi, nie chciałem was martwić. Po prostu byłem tak zmęczony po walce, że zapomniałem opuścić bariery. - Eragon poprowadził naprzód Rorana. - Nasuado, chciałbym ci przedstawić mojego kuzyna, Rorana. Ajihad być może wspominał ci o nim. Roranie, oto pani Nasuada, przywódczyni Vardenów i moja suwerenka, a to Arya Svit'kona, ambasador elfów.

Roran kłaniał się im kolejno.

- To dla mnie zaszczyt, móc spotkać kuzyna Eragona - powiedziała Nasuada.

- Istotnie - dodała Arya.

Gdy skończyli wymieniać grzeczne formułki, Eragon wyjaśnił, że na *Smoczym skrzydle* przybyła do nich cała wioska Carvahall i że to Roran ubił Bliźniaków.

Nasuada uniosła ciemną brew.

- Vardeni są twymi dłużnikami, Roranie, za to, że ich powstrzymałeś. Kto wie, jakie szkody wyrządziliby Bliźniacy, nim Eragon bądź Arya zdołaliby stawić im czoło. Pomogłeś nam wygrać tę bitwę. Nie zapomnę o tym. Nasze zapasy są ograniczone, dopilnuję jednak, by wszyscy z twojego statku dostali ubrania i żywność, i by zajęto się chorymi.

Roran uklonił się jeszcze niżej.

- Dziękuję, pani Nasuado.

- Gdyby nie pośpiech, poprosiłabym, żebyś opowiedział dokładnie, jak całej waszej wiosce udało się uniknąć ataku Galbatorixa, dotrzeć do Surdy, a potem nas odnaleźć. Nawet zwykłe suche fakty stanowiłyby niezwykłą opowieść. Chcę poznać szczegóły, zwłaszcza że przypuszczam, że dotyczą Eragona, chwilowo jednak muszę zająć się innymi, pilniejszymi sprawami.

- Oczywiście, pani Nasuado.

- Możesz teraz odejść.

- Proszę - wtrącił Eragon. - Niech zostanie. Powinien tego wysłuchać.

Nasuada spojrzała na niego.

- Dobrze, jeśli chcesz. Dość już zwlekania. Przejdź do sedna historii Opowiedz nam o Jeźdźcu!

Eragon rozpoczął od krótkiej historii ostatnich trzech smoczycich jaj z których dwa już się wykluły, a także Morzana i Murtagha, by Roran zrozumiał znaczenie nowin, jakie miał do przekazania. Następnie opisał walkę swoją i Saphiry z Cierniem i tajemniczym Jeźdźcem, skupiając się na niezwykłych mocach przeciwnika.

- Gdy tylko obrócił w dłoni miecz, zrozumiałem, że już ze sobą walczyliśmy. Rzuciłem się więc na niego i zerwałem mu hełm.

- To był Murtagh, prawda? - spytała cicho Nasuada.

- Skąd...?

Westchnęła.

- Jeśli Bliźniacy przetrwali, logiczne, że Murtagh także przeżył. Opowiedział ci, co naprawdę się stało tamtego dnia w Farthen Durze?

Eragon opowiedział, jak Bliźniacy zdradzili Vardenów, zatrudnili do pomocy urgale i porwali Murtagha. Po policzku Nasuady spłynęła łza.

- Wielka szkoda, że coś takiego spotkało właśnie Murtagha, który wcześniej tak wiele wycierpiał. W Tronjheimie lubiłam jego towarzystwo i uważałam go za sojusznika, mimo jego pochodzenia. Trudno mi myśleć o nim jak o wrogu. - Odwróciwszy się do Rorana, dodała: - Wygląda na to, że jestem twoją osobistą dłużniczką. Zabiłeś zdrajców, którzy zamordowali mi ojca.

*Ojcowie, matki, bracia, kuzyni* - pomyślał Eragon. *Wszystko sprowadza się do rodziny.*

Przyzywając całą swą odwagę, dokończył historię. Opowiedział, jak Murtagh skradł mu Zar'roca i wreszcie powtórzył ostatni straszliwy sekret.

- To być nie może - szepnęła Nasuada.

Eragon ujrzał szok i odrazę na twarzy Rorana, który niemal natychmiast opanował emocje. To zabolalo go bardziej niż cokolwiek innego.

- Czy Murtagh mógł kłamać? - spytała Arya.

- Nie wiem jak. Gdy zacząłem go wypytywać, powtórzył mi to samo w pradawnej mowie.

W namiocie zapadła cisza. W końcu przerwała ją Arya.

- Nikt inny nie może się o tym dowiedzieć. Vardeni i tak są mocno poruszeni po pojawieniu się nowego Jeźdźcy. Zaniepokoją się znacznie bardziej, gdy odkryją, że ich wrogiem jest Murtagh, który walczył u ich boku i któremu zaufali w Farthen Durze. Jeśli wieść o tym, że Eragon Cieniobójca jest synem Morzana, się rozejdzie, ludzie stracą nadzieję i niewielu do nas dołączy. Nawet król Orrin nie powinien o niczym wiedzieć.

Nasuada potarła dłońmi skronie.

- Obawiam się, że masz rację. Nowy Jeździec... - Pokręciła głową. - Wiedziałam, że może do tego dojść, ale nie wierzyłam. Skradzione przez Galbatorixa jaja tak długo się nie wykluwały...

- Kryje się w tym pewna symetria - zauważył Eragon.

- Teraz nasze zadanie stało się jeszcze trudniejsze. Dziś nie ustąpiliśmy pola, ale imperium wciąż dysponuje znacznie większymi siłami. A przeciwko sobie mamy nie jednego, lecz dwóch Jeźdźców, obu silniejszych od ciebie, Eragonie. Sądzisz, że przy pomocy elfickich magów zdołałbyś pokonać Murtagha?

- Może. Ale wątpię, by okazał się na tyle głupi, żeby stanąć do walki ze mną i z nimi jednocześnie.

Przez kilka minut dyskutowali o tym, jak pojawienie się Murtagha wpłynie na dalszą kampanię, i opracowywali strategie, które miałyby zminimalizować bądź wyeliminować ów wpływ.

- Wystarczy - rzekła w końcu Nasuada. - Niczego więcej nie zdziałamy. Jesteśmy zmęczeni, zakrwawieni, a nasze umysły zasnuła mgła walki. Idźcie, odpocznijcie. Porozmawiamy o rym jutro.

Gdy Eragon odwrócił się do wyjścia, podeszła do niego Arya i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie zdręczaj się tym, Eragon-elda. Nie jesteś swoim ojcem ani bratem, a ich hańba nie jest twoją.

- Owszem - wtrąciła się Nasuada. - Nie sądzę też, że w jakikolwiek sposób wpłynęło to na naszą opinię o tobie. - Wyciągnęła ręce i ujęła jego twarz. - Ja cię znam, Eragonie. Masz dobre serce. Imię twojego ojca tego nie zmienia.

Eragon poczuł, jak ogarnia go fala ciepła. Powiódł wzrokiem od jednej kobiety do drugiej. Oszołomiony dowodami ich przyjaźni, uniósł dłoń ku piersi i przekręcił ją.

Gdy znaleźli się na dworze, wsparł się pod boki i odetchnął głęboko zadymionym powietrzem. Było późne popołudnie, oślepiające pomarańczowe zorze dnia przygasły. Ciemnozłote promienie słońca zalały cały obóz, przydając mu niezwykłego piękna.

- Teraz już wiesz - rzekł.

Roran wzruszył ramionami.

- Krew zawsze dojdzie do głosu.

- Nie mów tak - warknął Eragon. - Nigdy tak nie mów.

Roran przyglądał mu się kilka sekund.

- Masz rację, to wstrętna myśl. Nie chciałem tego powiedzieć. - Podrapał się po brodzie i mrużąc oczy, spojrzał w wiszące nad horyzontem rozdęte słońce. - Nasuada jest inna, niż oczekiwałem.

Eragon zaśmiał się ze znużeniem.

- Oczekiwałeś jej ojca, Ajihada. Jest jednak dobrym przywódcą, równie dobrym jak on, jeśli nie lepszym.

- Czy ona farbuje skórę?

- Nie, tak po prostu wygląda.

W tym momencie Eragon wyczuł śpieszących ku nim Jeoda, Horsta i kilku innych mieszkańców Carvahall. Wieśniacy zwolnili kroku, gdy okrążyli namiot i ujrzeli Saphirę.

- Horst! - wykrzyknął Eragon. Wystąpił naprzód i chwycił w objęcia kowala. - Dobrze cię znów widzieć.

Horst przez moment gapił się na Eragona. Potem jego twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

- Do licha, ciebie też jest dobrze widzieć, Eragonie. Bardzo wyrosłeś od czasu swego wyjazdu.

- Chcesz powiedzieć: ucieczki.

Spotkanie z wieśniakami okazało się dla niego dziwnym przeżyciem. Trudy podróży odmieniły niektórych z nich tak bardzo, że ledwo ich poznał, oni zaś traktowali go inaczej niż wcześniej, z mieszaniną nabożnego szacunku i podziwu. Przypominało to sen, w którym wszystko co znajome staje się obce. Wstrząśnięty, odkrył, jak bardzo czuje się nie na miejscu pośród nich.

Podszedł do Jeoda.

- Wiesz o Bromie?

- Ajihad posłał mi wiadomość, ale chciałbym usłyszeć od ciebie, co dokładnie się stało.

Eragon kiwnął głową.

- Gdy tylko nadarzy się okazja, usiądziemy razem i porozmawiamy bez pośpiechu.

Jeod podszedł do Saphiry i skłonił się przed nią.

- Całe życie czekałem, by zobaczyć smoka, a teraz tego samego dnia widziałem dwa. Prawdziwy ze mnie szczęściarz. Jednakże to ty jesteś smokiem, którego pragnąłem poznać.

Saphira przekrzywiła głowę i dotknęła czoła Jeoda, który zadrżał.

*Podziękuj mi w moim imieniu, że pomógł uratować mnie od Galbatorixa. W przeciwnym razie wciąż tkwiłabym w skarbcu królewskim. Był przyjacielem Broma, a zatem jest i naszym.*

Eragon szybko powtórzył jej słowa.

- Atra esterni ono thelduin, Saphira Bjartskular - odparł Jeod, zaskakując ich swoją znajomością pradawnej mowy.

- Gdzie się podziałeś? - spytał Rorana Horst. - Szukaliśmy cię wszędzie po tym, jak puściłeś się w pościg za dwoma magami.

- To teraz nieważne. Wracajcie na statek. Niech wszyscy zejną na ląd. Vardeni dadzą nam strawę i schronienie. Dzisiejszą noc spędzimy na twardym łądzie.

Mężczyźni wyrzucili w górę ręce, wiwatując.

Eragon patrzył na Rorana wydającego rozkazy.

- Oni ci ufają - rzekł, kiedy w końcu Jeod i wieśniacy odeszli. - Nawet Horst słucha cię bez szemrania. Czy przemawiasz teraz w imieniu całego Carvahall?

- Tak.

Nim w końcu znaleźli niewielki dwuosobowy namiot, który Vardeni przydzielili Eragonowi, ciężki całun mroku zaczął już spowijać Płonące Równiny. Saphira, nie mogąc pomieścić głowy w wejściu, zwinęła się obok, gotowa objąć wartę.

*Gdy tylko odzyskam siły, zajmę się twoimi ranami* - przyrzekł Eragon.

*Wiem. Nie rozmawiajcie do późna.*

Eragon znalazł w namiocie lampę olejną. Podpalił ją hubką i krzesiwem. Bez niej widział równie dobrze, ale Roran potrzebował światła.

Usiedli naprzeciwko siebie, Eragon na posłaniu ułożonym przy ścianie namiotu, Roran na składanym stołku w kącie. Eragon nie wiedział od czego zacząć, milczał zatem, zapatrzony w roztańczony płomyk lampy. Żaden z nich nawet nie drgnął.

- Opowiedz mi, jak zginął mój ojciec - rzekł w końcu Roran, przerywając długie milczenie.

- Nasz ojciec. - Eragon zachował spokój; twarz Rorana stężała. Łagodnym głosem dodał: - Mam takie samo prawo jak ty, by go tak nazywać. Wejrzyj w głąb siebie, wiesz, że to prawda.

- No dobrze, nasz ojciec. Jak zginął?

Eragon już kilkakrotnie powtarzał tę historię, tym razem jednak niczego nie ukrywał. Zamiast wymieniać wydarzenia, opisywał, co myślał i czuł od chwili, gdy znalazł jajo Saphiry. Chciał, żeby Roran zrozumiał, czemu postąpił w taki, a nie inny sposób. Nigdy wcześniej tak bardzo mu na tym nie zależało.

- Popełniłem błąd, ukrywając Saphire przed resztą rodziny - zakończył. - Ale bałem się, że możecie nalegać, by ją zabić, a nie miałem pojęcia na jak wielkie niebezpieczeństwo nas naraża. Po śmierci Garrowa postanowiłem odejść, aby wytropić Ra'zaców, a także, by nie narażać Carvahall na dalsze niebezpieczeństwo. - Z jego piersi uleciał pozbawiony wesołości gorzki śmiech. - Nie udało się, ale gdybym tam został, żołnierze zjawiliby się znacznie wcześniej, a wówczas, kto wie, być może Galbatorix we własnej osobie odwiedziłby dolinę Palancar. Owszem, spowodowałem śmierć Garrowa - ojca - zginął, ale nigdy nie miałem złych zamiarów. Nie chciałem, by wszyscy w Carvahall cierpieli z mego powodu. - Uniósł rękę w bezradnym geście. - Starłem się jak umiałem, Roranie.

- A cała reszta, to że Brom był Jeźdźcem, ocalenie Aryi w Gil'eadzie i zabicie Cienia w stolicy krasnoludów, wszystko to zdarzyło się naprawdę?

- Owszem.

Jak najszybciej umiał, Eragon zrelacjonował wszystko co zaszło, odkąd z Saphirą wyruszyli w drogę z Bromem. Nie pominął nawet wyprawy do Ellesmery i swej przemiany podczas Agaeti Blóðhern.

Roran pochylił się ku niemu, wspierając łokcie na kolanach. Splótł dłonie, przyglądając się śladom brudu między palcami. Eragon nie potrafił odczytać targających nim uczuć - w tym celu

musiałby sięgnąć do świadomości kuzyna, a tego robić nie chciał, wiedząc, że byłby to straszliwy błąd.

Roran milczał tak długo, że Eragon zaczął zastanawiać się, czy w ogóle odpowie.

- Popeliłeś wiele błędów - rzekł w końcu - ale nie większych niż moje. Garrow zginął, ponieważ utrzymałeś istnienie Saphiry w sekrecie. Wielu innych umarło, bo nie chciałem poddać się imperium... Jesteśmy tak samo winni. - Uniósł wzrok i powoli wyciągnął prawą dłoń.

- Bracia.

- Bracia - odparł Eragon.

Chwycił przedramię Rorana, po czym objeli się mocno, siłując się, tak jak kiedyś, gdy byli jeszcze w domu. Kiedy w końcu się rozdzielili, musiał przetrzeć oczy wierzchem dłoni.

- Galbatorix powinien już się poddać, bo znów jesteśmy razem - rzekł żartobliwie. - Kto mógłby stawić czoło nam dwóm? - Usiadł ostrożnie na posłaniu. - A teraz opowiedz mi, jak Ra'zacowie pojмали Katrine?

Z twarzy Rorana zniknęła wszelka radość. Mówił niskim monotonnym głosem. Eragon słuchał z rosnącym zdumieniem epickiej historii ataków, obleżeń i zdrady, opowieści o opuszczeniu Carvahall, przeprawie przez Kościec, zniszczeniu doków w Teirmie i żegludze przez gigantyczny wir.

- Jesteś dużo większym człowiekiem niż ja - rzekł Eragon, gdy Roran skończył - Nie zdołałbym działać nawet połowy tego co ty. Walczyć, owszem, ale przekonać wszystkich, by poszli za mną?

- Nie miałem wyboru, gdy tamci zabrali Katrinę. - Roranowi załamał się głos. - Mogłem albo poddać się i umrzeć, albo próbować uciec z pułapki Galbatorixa, nie bacząc na koszty. - Wbił w Eragona spojrzenie płonących oczu. - Żeby się tu dostać, kłamałem, paliłem i zabijałem. Nie muszę się już martwić ochroną mieszkańców Carvahall, odtąd zajmą się tym Vardeni. Teraz pozostał mi w życiu tylko jeden cel: znaleźć i uratować Katrinę, jeśli wciąż żyje. Pomożesz mi, Eragonie?

Eragon wyciągnął rękę, chwycił juki i wyjął z nich drewnianą misę oraz srebrną flaszkę czarodziejskiego faelnirvu, подарowaną przez Oromisa. Pociągnął niewielki łyk trunku, by dodać sobie sił, i sapnął, gdy ognisty płyn spłynął mu w głąb gardła. Następnie przelał faelnirv do miski i wkrótce powstała w niej płytka kałuża szerokości dłoni.

- Patrz. - Zbierając w sobie nową energię, Eragon rzucił: - Drau mr kopa.

Płyn zamigotał i poczerniał. Po kilku sekundach pośrodku miski pojawił się maleńki świetlny punkcik, który urósł, ukazując Katrinę. Leżała przytulona do niewidocznej ściany, uniesione nad głową ręce tkwiły w niewidzialnych okowach, miedzianorude włosy opadały na plecy niczym wachlarz.

- Ona żyje! - Roran zgarbił się nad miską, jakby chciał zanurkować w głąb faelnirvu i dołączyć do Katriny.

Nadzieja i determinacja przemieszały się na jego twarzy z tak głęboką czułością i miłością, że Eragon pojął, że tylko śmierć powstrzyma Rorana przed próbą uwolnienia Katriny. Nie mogąc dłużej utrzymać zaklęcia, pozwolił, by obraz rozplynął się i zniknął. Oparł się ciężko o ścianę namiotu, zbierając resztki sił.

- Tak - rzekł ze znużeniem - ona żyje. I istnieje spora szansa, że jest uwięziona w Helgrindzie, kryjówce Ra'zaców. - Zaciśnął palce na ramieniu Rorana. - A co do odpowiedzi na twe pytanie, bracie, tak, wyruszę z tobą do Dras-Leony. Pomogę ci ocalić Katrinę. A potem ty i ja zabijemy Ra'zaców i pomścimy naszego ojca.

*Koniec księgi drugiej.*

## O pochodzeniu nazw

Przypadkowemu obserwatorowi różne nazwy, na które śmiały podróżnik natknął się w Alagaesii, mogą wydawać się jedynie przypadkowym zbiorem, pozbawionym jakiegokolwiek spójności kulturowej czy historycznej. W istocie jednak, jak każda kraina kolejno podbijana przez różne kultury - a także, jak w tym przypadku, różne rasy - Alagaesia zgromadziła wielką kolekcję nazw z języków elfów, krasnoludów, ludzi, a nawet urgali. Stąd Dolina Palancar (nazwa ludzka), rzeka Anora i Ristvak'baen (elfickie) i góra Urgard (krasnoludzka), leżące w odległości kilku mil od siebie.

Wszystko to stanowi fascynujący temat dla historyka, w praktyce natomiast prowadzi do zamieszania i problemów z wymową. Niestety, nie istnieje żaden zbiór zasad, do którego mógłby odwołać się nowicjusz. Każdą nazwę wymawia się odmiennie, chyba, że natychmiast odkryje się jej korzenie językowe. Co gorsza, należy uświadomić sobie, że w wielu miejscach pisownia i wymowa obcych nazw uległy zmianie, gdy miejscowi próbowali przystosować je do swego własnego języka. Doskonały przykład stanowi tu Anora. Pierwotnie nazwę tę pisano denora, co oznacza w pradawnej mowie „szeroka”. W swych pismach ludzie uprościli to słowo i taką właśnie postać zachowało do czasów Eragona.

### *Pradawna Mowa*

**adurna** – woda

**Agacti Blóðhren** - Święto Przysięgi Krwi

**Aiedail** - gwiazda zaranna

**Argedam** - Srebrna Ręka

**tra esterni ono thelduin/ Mor'ranr lifa unin hjarca onr/ Un du evarinya ono varda**

- Niechaj sprzyja ci szczęście / pokój zamieszka w sercu / a gwiazdy cię strzegą.

**Atra gulia un ilian tauthr ono un atra ono waise skólr fra rauthr.**

- Niechaj dobry los i szczęście stale ci sprzyjają i bądź ochroną od złego.

**Atra nosu waise vardo fra eld hórnya.**

- Obyśmy byli chronieni przed wszystkimi.

**Bjartskular** – Jasnołuska

**blóthr** - stój, prr

**Brakka du vanyali sem huildar Saphira un eka!**

- Osłab magię, która przytrzymuje Saphirę i mnie!

**brisingr** – ogień

**Dagshelgr** - Święty Dzień

**draumr kopa** - senna wizja

**Du Felis Nangoródi** - Góry Jałowe

**Du Fyrn Skulblaka** - Wojna ze Smokami

**Du Vóllar Eldrvarya** - Płonące Równiny

**Du Vrangr Gata** - Kręta Ścieżka

**Du Veldenvarden** - Las, Który Strzeże

**dvergar** – Krasnoludy

**ebrithil** – Mistrz

**edur** - wysokie wzgórze, wzniesienie

**Ekafricai un Shurtugal.** - Jestem Jeźdźcem i przyjacielem.

**elda** - przydomek, oznaka wielkiego szacunku, używany przy imionach obu płci

**Eyddr eyreya onr!** - Opróżnij uszy!  
**fairth** - obraz, sporządzony za pomocą magii  
**finiarel** - przydomek, którym obdarza się obiecującego młodzieńca  
**fricai Andlar** - przyjaciel śmierci (trujący grzyb)  
**Gala O Wyrda Brunlwit** / **Abr Berundal vandr-fódhr** / **Burthro lauf- sbladar ekar undir** /  
**Eom kona dauthleikr...** - Śpiewaj, sędziwy Losie / o nieszczęsnym Berundalu / zrodzonym pod  
liśćmi dębu / z kobiety śmiertelnej...  
**ganga apar** - cofać się  
**ganga fram** - iść naprzód  
**Gath sem oro un lam iet.** - Złącz tę strzałę z moją ręką, sprowadź tę strzałę  
**gedwey ignasia** - lśniący dłoń  
**Geuloth du knifr!** - Stęp nóż!  
**haldthin** - bielun dziedzierzawa  
**Helgrind** - Wrota Śmierci Hlaupa - biegnij  
**hljóðhr** - milczący, cichy jierda - pęknij, złam się, uderz  
**kodthr** – łap  
**Kvetha Fricai.** - Bądź pozdrowiony, przyjacielu  
**lethrblaka** - nietoperz, wierzchowiec Razaków (dosłownie „poruszający skórą”)  
**letta** – stój  
**Letta orya thorna!** - Zatrzymaj te strzały!  
**Losna kalfya iet.** - Uwolnij moje łydki,  
**malthinae** - uwięzić, zatrzymać w miejscu, kępować  
**nalgask** - mieszanina pszczelego wosku i olejku z orzechów laskowych, służąca do nawilżania  
skóry  
**Osthato Chetowa** - Mędrzec w Smutku Pograżony  
**Reisa du adurna.** - Podnieś wodę.  
**rdsa** - podnieś się, powstań  
**Se morYanr ono finna.** - Obyś odnalazł spokój.  
**Se onr sverdar sitja hvass!** - Oby wasze miecze pozostały ostre!  
**Se oriim thornessa havr sharjalvi lifs.** - Oby ten wąż poruszał się jak za życia,  
**skólr** - tarcza, osłona  
**Skólr nosu fra brisingr!** - Osłoń nas przed ogniem!  
**skóliro** - chroniony, osłonięty  
**skulblaka** - smok (dosłownie: „poruszający łuskami”)  
**Stydja unin morYanr, Hrothgar Kónungr.** - Spoczywaj w pokoju, królu Hrothgarze.  
**svit'kona** - uroczysty przydomek dla elfki obdarzonej wielką mądrością  
**thrysta** - pchać, zgniatać  
**Thrysta vindr.** - Zgnieć powietrze,  
**Togira Ikonoka** - Kaleka Uzdrawiony  
**Varden** – Strażnik  
**Vel ed'nradhin iet ai Shur'tugal.** - Daję słowo Jeźdźca.  
**Vinr Alfakyn** - przyjaciel elfów  
**vohr** - przydomek dla szanowanego mężczyzny / przydomek dla mężczyzny, bliskiego przyjaciela  
**Waise heill!** - Bądź uzdrawiony!  
**Wiol ono.** - Dla ciebie,  
**wyrda** – los  
**Wyrdfell** - elficka nazwa Zaprzysiężonych  
**yawe** - więź zaufania  
**Zar'roc** – nieszczęście



**Akh sartos oen Durgrimst!** - Za rodzinę i klan!

**Ascudgamln** - stalowe pięści

**Astim Hefthyn** - Strzegący przed Spojrzeniem (napis na naszyjniku podarowanym Eragonowi)

**Az Ragni** – Rzeka

**Az Sweldn rak Anhuin** - Łzy Anhuin

**Azt jok jordn rast.** - Zatem możesz przejść.

**barzul** - przekląć kogoś i życzyć mu pecha

**Barzul knurlar!** - Niech będą przeklęci!

**barzuln** - przekląć kogoś i życzyć mu wielu nieszczęść

**beorn** - niedźwiedź jaskiniowy (nazwa elficka)

**durgrimst** - klan (dosłownie nasz dom / dwór)

**eta** – nie

**Etzil nithgech!** - Zatrzymaj się!

**Farthen Dur** - Nasz Ojciec

**feldunost** - szronobroda (odmiana kozy, występująca wyłącznie w Górach Beorskich)

**Formv Hrethcarach... formv Jurgencarmeitder nos eta go Roth bahst Tarnag. dur encesti rak yrhn! Jok is warrev az barzulegur dur durgrimst, Az Sweldn rak Anhuin, mógh tor rak urgenvren? Ne udim etal os rast knurlag. Knurlag ana...**

- Ten Cieniobójca... ten Smoczy Jeździec, nie ma dla niego miejsca w Tamagu, najświętszym z naszych miast Zapomnieliście o klątwie, jaka ciąży nad naszym klanem, Łzami Anhuin, od czasu Smoczej Wojny? Nie pozwolimy mu przejść. On jest...

**grimstborith** - przywódca klanu

**grimstcarvlorss** - porządkujący dom

**Guntera Aruna.** - Błogosław, Guntero.

**Hert durgrimst? Fild rastn?** - Jaki klan? Kto idzie?

**hirna** - podobizna, posąg

**huthvir** - drażek, zakończony dwoma ostrzami, broń Durgrimst Quan

**Ignh az voth!** - Przynieście jadło!

**Ilf gauhnith.** - charakterystyczne wyrażenie krasnoludzkie, oznaczające „Jest bezpieczne i dobre”. Zazwyczaj wypowiedane przez gospodarza uczty, stanowi pozostałość z czasów, gdy trucizna była jedną z ulubionych broni klanów.

**Ingeitum** - pracujący w ogniu, kowale

**Isidar Mithrim** - Gwiazdzisty Szafir

**Jok is frekk durgrimstvren?** - Chcesz doprowadzić do wojny klanów?

**knurl** - kamień, skała

**knurla** - krasnolud (dosłownie: kamienny)

**Knurlag qana qiranu Durgrimst Ingeitum! Qarzul ana Hrothgar oen volfild...**

- Uczyniono go Członkiem Klanu Ingeitum! Przeklęty niech będzie Hrothgar i wszyscy, którzy...

**knurlagn** - kamienna głowa

**Knurlnien** - Kamienne Serce

**nagra** - olbrzymi dzik, występujący wyłącznie w Górach Beorskich

**oei** - tak, potwierdzenie

**Orik Thrifkz menthiv oen Hrethcarach Eragon rak Durgrimst Ingeitum. Wharn, az vanyali-carharug Arya. Ne oc Undinz grimstbelardn.**

- Orik syn Thrifka, i Cieniobójca Eragon z Klanu Ingeitum. A także kurierka elfów, Arya. Jesteśmy gośćmi we dworze Undina.

**Os ii dom qiranu carn dur thargen, zeitmen, oen grimst von formv edaris rak skilfz. Narho is belgond...**

- Niechaj poprzez moją krew złączą się nasze ciała, honor, i domostwa. Przysięgam...

**otho** – wiara

**Ragni Hefthyn** - Rzeczna Straż

**shrrg** - olbrzymi wilk, występujący wyłącznie w Górach Beorskich

**Smer voth.** - Podajcie jadło.

**Tronjheim** - Hełm Olbrzymów

**urzhadn** - niedźwiedź jaskiniowy / **anyali** - elf (krasoludy zapożyczyły to słowo z pradawnej mowy, w której oznacza ono magię)

**Vor Hrothgarz kordą!** - Na młot Hrothgara!

**vrron** – wystarczy

**werg** - okrzyk wyrażający niesmak, obrzydzenie (krasoludzki odpowiednik „fuj”)

### *Język Urgali*

**Ahgrat ukmar.** - Stało się.

**drajl** - nędzny robak

**Nar** - przydomek, wyrażający głęboki szacunek

